

KATARZYNA PUZYŃSKA

*Prawa do serii o aspirancie Podgórskim
i komisarz Kopp sprzedano
do dwudziestu krajów świata*



ŁASKUN

Prószyński i S-ka

KATARZYNA
PUZYŃSKA
ŁASKUN

Prószyński i S-ka

Copyright © Katarzyna Puzyńska, 2016

Projekt okładki
Mariusz Banachowicz

Zdjęcie na okładce
© Merkushev Vasilij/Shutterstock

Redaktor prowadzący
Anna Derengowska

Redakcja
Małgorzata Grudnik-Zwolińska

Korekta
Maciej Korbaśiński

ISBN 978-83-8097-573-6

Warszawa 2016

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28
www.proszynski.pl

Dla mojego S.

PROLOG

Lipowo. Wrzesień 1987

Czuł jej ręce na swoim ciele. Jak zwykle dotykała go nieśmiało. Nie patrzyli sobie w oczy. Pewnie dlatego, że gdzieś głęboko oboje wiedzieli, że nie powinni tu razem być. Przynajmniej on wiedział. Tylko co z tego, skoro nie potrafił odmówić jej nieśmiałym pieszczotom? Miała w sobie coś takiego, że nie umiał jej się oprzeć. Od tego pierwszego razu, kiedy mieli po kilkanaście lat.

Nie miał złych intencji. Nie! Wręcz przeciwnie. Kochał ją szczerze i z całego serca. Doskonale wiedział, że nigdy żaden inny mężczyzna nie obdarzy jej takim uczuciem. Dlatego przez te wszystkie lata modlił się gorąco, żeby przez jego własną słabość nie doszło do jakiejś katastrofy.

– Mam teraz męża – powiedziała pomiędzy pocałunkami, którymi ją raczył. – Musimy z tym skończyć. Naprawdę musimy...

Położył delikatnie palec na jej ustach, jak ucisza się dziecko. Teraz nie miały sensu ani te słowa, ani jego modlitwy. Równie dobrze mogli pozwolić, żeby przynajmniej ciała znalazły ukojenie, skoro dusze i tak skazane już były na potępienie.

Po wszystkim leżeli przez chwilę na słomie w stodole. Była świeża i pachnąca. Kłua w plecy i ramiona. Tym razem nie przyniosło to spodziewanej ulgi. Nie od momentu, kiedy o tym się dowiedział. Byle tylko to nie doprowadziło do katastrofy, błagał znowu w duchu. Chociaż doskonale wiedział, że już za późno. Patrzył, jak głaskała się po brzuchu. Tak. Katastrofa, której tak się bał, już nastąpiła.

CZEŚĆ PIERWSZA

Poniedziałek, 8 czerwca 2015

ROZDZIAŁ 1

**Gospodarstwo sędziego Jaworskiego.
Poniedziałek, 8 czerwca 2015.
Aspirant Daniel Podgórski**

Aspirant Daniel Podgórski obserwował, jak szef techników kryminalnych podnosi się z kolan i otrzepuje spodnie. Mężczyzna robił to powoli i metodycznie. Zupełnie jak przed chwilą, kiedy uważnie sprawdzał ślady opon na podjeździe.

Daniel przejechał ręką po włosach. Wcale nie miał ochoty tu być. I to nie tylko dlatego, że bolała go głowa, a żołądek buntował się po wczorajszej dawce trunków, którą kolejny raz sobie zaaplikował jako lekarstwo na zapomnienie.

– Oczywiście przyjrzymy się temu uważniej – powiedział szef techników, kiedy zakończył metodyczne czyszczenie spodni. Daniel miał wrażenie, że słyszy uderzanie ostatnich ziarenek piasku o ziemię. – Uprzedzając państwa pytania, to nie opony tego pojazdu zostawiły te ślady.

Wszyscy spojrzeli w stronę starej alfy romeo 146, zaparkowanej z boku obojścia. Całe gospodarstwo było nieprawdopodobnie wręcz zaniedbane. Stodoła chyliła się ku upadkowi, daszek nad studnią zupełnie zmurszał, a dawno nieużywane sprzęty rolnicze były porzucane. Trawa wokół samochodu sięgała niemal do kolan. Nie trzeba było eksperta, żeby stwierdzić, że alfy od dawna nie używano.

Dlatego Podgórski nie zamierzał się przyznawać, że doskonale wie, że alfa jest zepsuta. Co by to dało, skoro widać to gołym okiem? Bardziej dziwił go fakt, że na podjeździe w ogóle były ślady. Znał to miejsce i doskonale wiedział, że nie powinno ich tu być. Sędzia Jaworski nie lubił, kiedy ktoś wjeżdżał na jego teren.

Daniel westchnął i jak w nerwowym tiku znowu przejechał ręką po włosach. Zdawały się teraz jakieś takie rzadkie i tłuste. Bardzo chciało mu się palić, ale to nie był dobry moment. Policjant skrzyżował więc ręce na piersiach, żeby zająć czymś dłonie.

Być może postępował niesłusznie, nie przyznając się do znajomości z sędzią. To nawet bardziej niż pewne, że powinien o tym wspomnieć. Coś w stylu: to nie takie ważne, ale... Nie wchodziło to jednak w grę, bo przecież obietnica to obietnica. Przynajmniej na tym polu nie zamierzał zawieść.

– Mogę? – zapytał prokurator Leon Gawroński, zerkając pytająco na technika.

– Oczywiście.

Gawroński podszedł ostrożnie do śladu opony odcisniętego na podjeździe. Ominął przy tym Daniela szerokim łukiem. Ich stosunki można było nazwać napiętymi. W najlepszym razie. Po tym, co wydarzyło się jesienią, właściwie trudno było się dziwić niechęci prokuratora.

– Czyli jest pan całkowicie pewien, że to nie opony alfy?

– Opony stoczterdziestkiszóstki mają około stu siedemdziesięciu pięciu milimetrów przekroju. Te, które tu widzimy, jakieś sto dziewięćdziesiąt pięć. To prawie dwa centymetry różnicy. Pomyłka jest raczej niemożliwa.

Ostatnie zdanie technik wypowiedział z godnością, jakby poczuł się obrażony, że ktoś może wątpić w jego kompetencje.

– Od wtorku nie padało – wtrącił się komisarz Nikodem Małecki.

Daniel spojrzał w jego stronę. Małecki miał długie wąsy i włosy zebrane w cienki kucyk z tyłu głowy. Upodobał sobie dżinsy i skórzane kowbojki. Podgórski nigdy nie widział go w mundurze.

Komisarz kucnął w trawie i zrobił kilka zdjęć śladom. Miał taki zwyczaj, mimo że wszystko było dokładnie dokumentowane przez policyjnych fotografów. Współpracowali, odkąd Podgórski kilka miesięcy temu przeniósł się do policji kryminalnej w Brodnicy. Daniel zdążył się już przyzwyczać do tego nieco ponurego mężczyzny, chociaż bardzo brakowało mu Klementyny i szczerze mówiąc, żałował, że jesienią podjął taką, a nie inną decyzję.

– Tak – potwierdził technik, domyślając się chyba, co chciał zasugerować Małecki. – Pamiętają panowie tę burzę?

Nikomiu nie trzeba było przypominać pierwszej zapowiedzi lata, która nawiedziła okolicę w nocy z poniedziałku na wtorek tydzień temu. Połamane drzewa, zebrane w wielkie stosy gałęzie i ciągle jeszcze wirujące wokół liście nie dawały o niej zapomnieć.

– W gruncie rzeczy mamy szczęście – podjął Małecki. – Ten ktoś podjechał tu, kiedy było jeszcze mokro, ale już nie padało. W przeciwnym razie ślady by się rozmyły. Mam rację?

Szef techników pokiwał głową.

– Raczej tak, ale mimo wszystko powstrzymałbym się przed zbyt pochopnymi wnioskami. Zależy, jak mocno by padało i jakie faktycznie tu jest podłoże.

– Ale można sądzić, że te ślady powstały we wtorek, kiedy ziemia powoli schła – bardziej stwierdził, niż zapytał, Małecki, wstając. – Chodźmy porozmawiać z lokalsami z Lipowa.

Daniel wzdrygnął się na to określenie. Komisariat w Lipowie. Jeszcze nie tak dawno to było jego miejsce i jego ludzie. Przynależał tu całym sobą i nigdy nie przyszłoby mu do głowy, że to może się zmienić. Objął stanowisko szefa komisariatu po swoim ojcu, który wiele lat temu zginął podczas bohaterskiej akcji. Wszystko zdawało się iść swoim rytmem. Właściwym rytmem. Aż do ostatniej jesieni.

Przygotowywał się do ślubu z Weroniką i chociaż przyszła teściowa nie akceptowała go, był szczęśliwy. Znalazł przecież miłość swojego życia. Coraz lepiej układały się też jego relacje z nastoletnim synem.

Nieufność Łukasza nie była w gruncie rzeczy niczym

zaskakującym. Chłopak był owocem krótkiego związku z Emilią Strzałkowską. To było jeszcze w czasach szkoły policyjnej. Nie widzieli się później kilkanaście lat. Emilia przyjechała do Lipowa rok temu i podjęła pracę w komisariacie. Dopiero wtedy oznajmiła Podgórnemu, że nastolatek jest jego synem.

To wszystko wydawało się skomplikowane. Tym bardziej że Daniel zawsze marzył o tradycyjnej rodzinie. W tej sytuacji musiał jednak pogodzić się z tym, że już nigdy takiej mieć nie będzie. Mieszkał z Weroniką, ale starał się również uczestniczyć w życiu Strzałkowskich.

Wkrótce Emilia zaczęła spotykać się z prokuratorem Gawrońskim. O dziwo, szybko się okazało, że taki układ się sprawdza. Nawet konserwatywni mieszkańcy wsi przełknęli jakoś fakt, że Podgórnki i Strzałkowska mają nieślubnego syna i nie zamierzają się pobrać.

Potem zlecono im śledztwo w Utopcach. Miało być dyskretne i nieformalne, dlatego Daniel prowadził je jedynie z Klementyną Kopp z komendy i z Emilią. Sprawie towarzyszyły silne emocje i presja, bo od rozwiązania zagadki zależały losy komisariatu w Lipowie. Może dlatego wszystko skończyło się tak, jak się skończyło. Dla Klementyny. Dla Daniela i Emilii. Dla nich wszystkich.

– Idziecie? – zapytał Małecki.

Podgórnki i prokurator Gawroński ruszyli za komisarzem, nadal trzymając się daleko od siebie. Daniel nie miał już siły przeproszać. Zrobił to zbyt wiele razy. Teraz to słowo miało nieprzyjemnie gorzki smak porażki. Dobrze, że chociaż Klementyna jutro ma wrócić do Brodnicy. O jeden wyrzut sumienia mniej.

Podeszli do przewróconej brzozy na granicy gospodarstwa i lasu okalającego pobliskie jezioro. W jej delikatnych gałęziach wił się zerwany kabel telefoniczny. Pewnie skutki burzy sprzed tygodnia.

Emilia stała tuż obok drzewa. Gawroński uśmiechnął się do niej uprzejmie. Daniel nawet nie próbował. Od czasu tamtej jesiennej nocy, która wszystko zmieniła, Strzałkowska traktowała go z wystudiowanym chłodem. Teraz położyła rękę

na brzuchu, jakby kolejny raz chciała podkreślić, że dziecko jest tylko jej. Jakby on nie miał z tym nic wspólnego.

– A co z kobietami, które znalazły ciało? – zapytał jakby od niechcienia Małecki, chociaż na pewno doskonale wiedział, że atmosfera jest napięta. Plotki lubiano nie tylko w Lipowie. Komenda w Brodnicy też od nich huczała.

– Mój kolega z komisariatu zaraz je tu przywiezie – wyjaśniła Emilia.

Daniel był pewien, że miała na myśli Marka Zarębę. Z miejsca poczuł wstyd. Ostatni raz widział się z Markiem w weekend. W niezbyt sprzyjających okolicznościach.

– Nie trzeba im było pozwolić stąd odejść przed naszym przybyciem – mruknął Małecki. – No nic, poczekamy.

Strzałkowska rzuciła komisarzowi nieprzychylnie spojrzenie, ale się nie odezwała.

– Jak się czujecie? – zapytał Gawroński, wskazując na brzuch policjantki. – Byłaś na wizycie kontrolnej w piątek?

– Tak – odpowiedziała szybko. – Wszystko w porządku.

Emilia rozstała się z Gawrońskim, zanim okazało się, że zaszła w ciążę z Danielem. Skoro jednak prokurator wiedział o wizycie lekarskiej, najwyraźniej ich relacje na powrót się ociepliły. Podgórski znowu poczuł wielką chęć, żeby stąd odjechać. Tak byłoby najłatwiej.

– Zapalimy? – rzucił Małecki, jakby czytał Danielowi w myślach. – Wiem, że ty nie palisz, Leon. Pani nawet nie pytam ze względu na dziecko.

Komisarz wyciągnął z kieszeni nieco pomiętą paczkę marlboro. Poczęstował Daniela i podał mu ogień. Palili w milczeniu. Smak nikotyny tym razem nie pomagał, wręcz potęgował gorycz sytuacji. A miało być jeszcze gorzej. Przecież zaraz zjawi się Marek z Wierą i Weroniką, które odkryły ciało.

Podgórski nie zamierzał ukrywać zdrady przed Weroniką. Wręcz przeciwnie. Chciał się zachować honorowo. O wszystkim jej powiedzieć, zapewnić, że ją kocha, i poprosić, aby mu wybaczyła ten jednorazowy błąd.

Sledztwo w Utopcach trwało jednak w najlepsze, a wieści w Lipowie rozchodzą się szybko. W rezultacie walizki czekały

już spakowane, a Weronika nie chciała słuchać wyjaśnień ani przeprosin. Daniel wprowadził się więc z powrotem do sutereny w domu matki.

Potem Emilia poinformowała go o ciąży. Wielokrotnie podkreślała, że sama sobie poradzi. Ze nie ma też ochoty dłużej z nim pracować. Wyglądało na to, że Strzałkowska chciała wyjechać i zupełnie zniknąć z jego życia. Razem z Łukaszem i dzieckiem, które nosiła pod sercem. Na to Daniel nie zamierzał pozwolić. Poprosił o przeniesienie do wydziału kryminalnego w Brodnicy. Nowy komendant go znał, więc zgodził się bez wahania.

W ten sposób Podgórski znalazł się w miejscu, w którym zupełnie nie chciał być. Obcy w Brodnicy, gdzie ciągle traktowano go jak wiejskiego krawężnika. Obcy w Lipowie, gdzie uważano, że zdradził miejscowy komisariat i zasady moralności. Odrzucony zarówno przez Weronikę, którą kochał, jak i przez Emilię, która była matką jego dzieci. Śmiał się z tego melodramatu tylko po pijanemu.

– Niezły bałagan, co? – zapytał Małcki.

Daniel myślał przez chwilę, że chodzi mu o pomieszanie z poplątaniem, w które zmieniło się jego życie. Komisarz skinął jednak głową w kierunku domu sędziego Jaworskiego. Technicy wchodzili właśnie do środka. Kilku z nich zabezpieczało ślady przy wybitej szybie w oknie przy drzwiach. Daniel nie był jeszcze na górze, ale już mu powiedziano, co tam jest.

– Szczerze mówiąc, nigdy czegoś takiego nie widziałam – potwierdziła Emilia. – Niezbyt przyjemny widok.

– To mało powiedziane – wtrącił się Gawroński.

Daniel wołał się nie odzywać. Miał irracjonalne wrażenie, że jeżeli zabierze głos, pozostali wyczują, że zdecydował się przemilczeć swoją znajomość z ofiarą.

– No i już są.

Wszyscy odwrócili się w stronę bramy. W wielu miejscach ogrodzenie było zniszczone, więc konieczność zamykania bramy była dyskusyjna. Tak czy inaczej łatwo można było się tu dostać.

Na podjeździe już zaczęli gromadzić się gapie. Sędzia mieszkał przy bocznej drodze, która prowadziła na skróty z Lipowa do Szramowa. Była mało uczęszczana, ale języki musiały już pójść w ruch. Radiowóz z Lipowa przedzierał się powoli pomiędzy ludźmi, aż zatrzymał się przy odrapanej bramie.

Najpierw z samochodu wysiadła Wiera. Jak zwykle ubrana była w powłóczystą, czarną suknię, co zapewniło jej miano lokalnej wiedźmy. Tuż za nią wyłonili się Weronika i Marek. Na ich widok Podgórski znowu miał ochotę zapaść się pod ziemię. Nowy zwyczaj topienia smutków w butelce sprawiał, że tracił kontrolę nad swoim życiem.

O tym, co zrobił w weekend, najchętniej by zapomniał. Czemu po prostu nie został w domu, tylko w pijanym widzie pakował się w kłopoty? Na samą myśl zrobiło mu się niedobrze. Zdecydowanie nie był już tym człowiekiem, którym chciał być. Co gorsza, przekroczył już chyba granicę, zza której nie było powrotu.

Małecki zgasił papierosa o obcas kowbojki i jak zwykle włożył niedopałek za ucho.

– No więc jak to było? – zapytał po wymianie powitalnych formułek. – Wiem, że to panie odkryły ciało.

Weronika przytaknęła. Nie patrzyła w stronę Daniela. Marek za to zmierzył go krótkim spojrzeniem i skinął głową. Wyszło to nieco sztywno, zważywszy na to, że się przyjaźnili, a Marek był dla Daniela jak młodszy brat. A teraz? Zaręba nie mógł wybaczyć Podgórskiemu przejścia do policji kryminalnej w Brodnicy. Po tym, co się stało w weekend, nastawiony był chyba jeszcze bardziej negatywnie.

– Przyszliśmy tu, bo sędzia Jaworski nie zjawił się u mnie w sklepie – wyjaśniła Wiera.

– Byliście państwo umówieni? – zapytał Małecki.

Sklepiarka wzruszyła ramionami i zlustrowała komisarza od stóp do głów. W końcu kiwnęła głową, jakby zaakceptowała nowego śledczego na swoim terenie.

– Tak jakby, kochanieńki.

Jeżeli komisarz był zaskoczony dość niecodziennym wyglądem i sposobem mówienia Wiery, to nie dał tego po sobie

poznać. Nie zwracał też uwagi na niezręczne relacje pomiędzy zgromadzonymi. Poprawił tylko długie, równo przystrzyżone wąsy.

– Co to znaczy „tak jakby”? – chciał wiedzieć Gawroński.

– Pan Jaworski miał zwyczaj przychodzić do Wiery w każdą niedzielę – pospieszyła z wyjaśnieniami Weronika.

– Tak. Od kilku miesięcy nie było niedzieli, żeby nie zjawił się u mnie w sklepie punkt dziesiąta rano – potwierdziła Wiera. – I jak mówię „punkt dziesiąta”, to nie przesadzam! Kiedyś spóźnił się ze dwie minuty i przeproszał mnie solennie przez następne piętnaście. Taki już był. Ten Jaworski. Miał swoje przyzwyczajenia.

Daniel miał wielką ochotę pokiwać głową, ale w porę się powstrzymał. Skoro zdecydował się nic nie mówić, nie mógł z tym teraz wyskoczyć.

– Dobrze panie znały Jaworskiego? – zapytał Małecki.

– Nie, raczej nie za dobrze, kochanku. To znaczy jak wszyscy tu w okolicy. Tyle o ile – mówiła Wiera. – No i potem z zakupów, jak do mnie zaczął przychodzić. Kilka słów zamieniliśmy zawsze nad siatkami. Zdawał mi się jakiś taki dziwny, poprosiłam więc Weroniczkę, żeby kilka razy z nim pogadała. Na dziwnych to ona się dobrze zna.

Weronika uśmiechnęła się do Wiery. Oprócz tego, że prowadziła stajnię w Lipowie, z wykształcenia była psychologiem.

– Ma pani na myśli jakąś chorobę psychiczną? – zainteresował się komisarz.

– Na pewno miał jakieś problemy – odparła nieco wymijająco Weronika.

– Co było dalej?

– Pukałyśmy do drzwi... – wyjaśniła Weronika.

– ...ale nikt nie odpowiadał – dokończyła za nią Wiera.

Daniel nie mógł oprzeć się wrażeniu, że zabrzmiało to tak, jakby były siostrami syjamskimi. Mimo że wiele je różniło, przyjaźniły się od dawna. Teraz, kiedy matka Nowakowskiej wyjechała z Lipowa, a Daniel się wyprowadził, Weronika i Wiera spędzały ze sobą jeszcze więcej czasu.

– Potem zawiadomiłyśmy Marka i Emilię – zakończyła Weronika.

Zaręba i Strzałkowska pokiwali głowami.

– My zawiadomiliśmy was – powiedział Marek.

– Czy to tak już tu wtedy było? – zapytał Małecki i skinął głową w kierunku domu.

– To? – zapytał Marek, jakby nie rozumiał, że chodzi o wybitą szybę w długim oknie po lewej stronie drzwi.

– Tak. To.

Zaręba zdjął policyjną czapkę i nieco nerwowo ścisnął ją w dłoniach. Przez chwilę panowało pełne zakłopotania milczenie.

– Dajcie już spokój, dzieciaki – mruknęła Wiera. – Ja zbiłam tę szybę. Drzwi były zamknięte na klucz. Musiałyśmy przecież jakoś wejść do środka.

– Musiałyście? – powtórzył prokurator Gawroński. Najwyraźniej był innego zdania.

Wiera natychmiast skinęła głową.

– Tak. Musiałyśmy – podkreśliła. – Już mówiłam, że sędzia Jaworski bardzo rzadko się spóźniał. Choćby o minutę. A wczoraj w ogóle nie przyszedł! Gdybyście go znali, tobyście rozumieli, że ja i Weroniczka się martwiłyśmy.

Podgórski znowu poczuł niepokój. Gdybyście go znali... Otóż znał sędziego. Chociaż teraz bardzo chciałby nie wiedzieć o Jaworskim nic. Wymazać go ze swojej pamięci i spokojnie prowadzić to śledztwo.

– Wybiłam to okno i weszłyśmy – mówiła dalej Wiera. – Potem wezwałyśmy Mareczka i Emilię. Miałyśmy z Weroniką całkowitą rację. Sędzia Jaworski nie żyje. Sami widzieliście, co tam jest, w sypialni na pięterku... Czegoś takiego nie widziałam od czasu...

Wiera nie dokończyła. Zanim ktokolwiek zdążył coś powiedzieć, Strzałkowska zgięła się w pół. Na jej twarz wystąpiły rumieńce. Oddaliła się pospiesznym truchtem w stronę krzaków. Wszyscy taktownie się odwrócili. Trudno było stwierdzić, czy jej niedyspozycja spowodowana jest ciążą, czy tym, co policjantka zobaczyła na piętrze. Daniel spojrzął na

dom sędziego. To, co było na górze, mogło przyprawić o mdłości nawet najbardziej zaprawionego w bojach stróża prawa.

Małecki rzucił niezbyt przychylnie spojrzenie w stronę Emilii. Policjantka ocierała właśnie usta nadal pochylona.

– Chodźmy na górę – zdecydował komisarz. – Trzeba się tam dokładniej rozejrzeć.

– Poczekajcie! – zawołała nagle Strzałkowska. – Znalazłam coś!

ROZDZIAŁ 2

Rezydencja Rakowskich. Poniedziałek, 8 czerwca 2015. Jagoda Rakowska

Jagoda Rakowska usiadła przed lustrem. Wpatrywała się przez chwilę w swoją twarz. Wydawała się za długa, niemal końska. Cokolwiek by robiła, jakkolwiek by się starała, żaden makijaż nie mógł ukryć tego mankamentu urody. To był jej kompleks od wczesnego dzieciństwa. Osiągnęła wiek średni, ale nic się w tej kwestii nie zmieniło.

Westchnęła. Tylko jej ukochany Lech uważał, że jest piękna. Tak zawsze powtarzał. Od tego pierwszego momentu, kiedy podszedł do niej na ulicy, jeszcze w Warszawie. Potem spojrzał jej w oczy i obiecał, że zmieni jej życie.

Początkowo nie uwierzyła. To było zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe. Nie kłamał. Tak się rzeczywiście stało. Miała tyle szczęścia, że spotkała Lecha. Można śmiało powiedzieć, że zawdzięczała mu wszystko. Dosłownie wszystko.

Gdyby nie jej ukochany Lech, Jagody być może już by na tym świecie nie było. Spojrzała z czułością na zdjęcie męża, które stało w eksponowanym miejscu po prawej stronie toaletki. Lech otaczał ramieniem ich syna. Obaj się uśmiechali. Jagoda przejechała palcem po fotografii. Ojciec i syn. Zdjęcie było stare. Zrobione na długo przed tym, jak jej ukochanego męża zamordowano.

Poczuła, jak gniew wypełnia jej ciało. Długo szukała w sobie siły, żeby się zemścić, ale teraz nie zamierzała dłużej tego odkładać. Musiała znaleźć w sobie siłę, nawet jeśli bardzo się bała. Lech musi zostać pomszczony. Mąż zawsze powtarzał, że powinna być silna, bo tylko najsilniejsi pozostaną. Właśnie taka zamierzała być. Silna i odważna.

Sporo już zrobiła. Nie może odkładać dalszych działań w nieskończoność. Plan już wyraźnie klarował się w jej głowie. Przez ostatnie dwa tygodnie prawie nie spała. Długie godziny leżała w łóżku. Bliska obłądu z narastającego zmęczenia obmyślała wszystko krok po kroku. Bała się, że inaczej może gdzieś popełnić błąd. To było nawet bardziej niż prawdopodobne. Nigdy nie uważała się za zbyt inteligentną. Może dlatego się wahała? Lech na pewno lepiej by to wszystko wymyślił. Tylko że jego już od dawna nie było. I to ona musiała go pomścić. Nikt inny.

Jagoda spojrzała z determinacją w swoją końską twarz. Czas porzucić zbędne wątpliwości. Konsekwencje nie powinny jej obchodzić. Zemsta za śmierć Lecha była najważniejsza.

– Nigdy nie zapomnę, że mnie uratowałeś – obiecała, biorąc do ręki zdjęcie męża. Obietnica wypowiedziana na głos znaczyła więcej niż tysiąc myśli. – Pomszczę twoją śmierć. Chociażby nie wiem co! Za każdą cenę.

Odłożyła ostrożnie zdjęcie na lakierowany blat toaletki. Dostała ją od Lecha jakieś pięć lat temu. Wtedy niezbyt jej się podobała, teraz zdawała się największym skarbem. Wszystko, co dostała od niego, było skarbem. I za to musi się odwdziżyć.

Zadrżała, kiedy zadzwonił telefon.

– Jest u ciebie Michał? – usłyszała głos przyjaciółki.

Przez chwilę nasłuchiwała odgłosów rezydencji, ale było cicho. Syn na pewno już wyszedł.

– Nie. Już poszedł do siebie. Coś się stało?

– Wskoczyło mi coś nieoczekiwanego. Chciałam mu tylko powiedzieć, że chyba się spóźnię. Obiecałam zawsze być na czas, więc dzwonię...

– Nie ma problemu – przerwała jej Jagoda. Zdenerwowanie przyjaciółki było rozczulające.

– Ale kiedyś mówiłaś, żebym miała na niego oko...

– Michał jest już dużym chłopcem. – Rakowska zaśmiała się, słysząc własne słowa. Syn miał już dwadzieścia pięć lat. To żaden chłopiec. To mężczyzna! Powinna się z tym pogodzić. – Nic się nie przejmuj. Zresztą mam nadzieję, że u niego

wszystko już w porządku.

Nadzieja! Bo co innego pozostało, pomyślała, odkładając słuchawkę. Tylko zemsta, przyszło jej do głowy. Jagoda znowu spojrzała na siebie w lustrze. Mogła się oszukiwać całymi godzinami, ale prawda była taka, że jest tchórzem. Oby tylko okazja nadarzyła się sama. Oby pojawił się jakiś znak. Wierzyła w znaki! Tak. Potrzebny jej znak. Wtedy będzie działać dalej. Wtedy pomści Lecha.

ROZDZIAŁ 3

Gospodarstwo sędziego Jaworskiego. Poniedziałek, 8 czerwca 2015. Starszy sierżant Marek Zaręba

Starszy sierżant Marek Zaręba spojrzał w górę. Wzdrygnął się na samą myśl, że znowu będzie musiał wejść po tych schodach. Smród był wystarczająco silny już na dole. Zdawał się wwiercać w nos młodego policjanta i drażyć drogę do płuc jak trucizna.

– Wnętrze jest zdecydowanie zadbane – stwierdził Małecki. Mówił, jakby co najmniej odkrył jakąś prawdę objawioną. – Nie uderza was kontrast z tym śmietnikiem na dworze?

– Powiedziałbym nawet, że dom jest sterylny – potwierdził prokurator Gawroński, rozglądając się wokoło.

Dom sędziego Jaworskiego urządzony był dość spartańsko. Marek nie zauważył nigdzie ani telewizora, ani radia. Było za to całkiem sporo książek. Pokrywała je cieniutka warstewka kurzu, charakterystyczna dla pomieszczeń, w których od pewnego czasu nikt nie przebywał. Poza tym wszędzie panował idealny porządek. Nigdzie nie było żadnych codziennych przedmiotów, które właściciel odłożył „tylko na chwilę”. Każda rzecz zdawała się mieć swoje ściśle określone miejsce.

– Nie podoba mi się to – mruknął Małecki.

Marek próbował się przemóc, ale komisarz nie wzbudzał jego sympatii. Może miał do komisarza dziecianną pretensję, że Daniel pracuje teraz w komendzie. To było oczywiście głupie. Decyzja należała przecież tylko i wyłącznie do Podgórskiego.

Zaręba spojrzał na Daniela, ale ten uciekł natychmiast wzrokiem. Pewnie chodziło o ostatni weekend. Marek pokręcił głową. Podgórski tym razem zdecydowanie przesadził. Są w końcu pewne granice. Można wybaczyć, że uciekł pracować do Brodnicy i zostawił ich na pastwę Kamińskiego, ale to, co

robił w weekend... Marek nie spodziewał się, że Daniel może się tak zachować. To zupełnie nie pasowało do Daniela, którego Zaręba znał i podziwiał. Tak jakby to już nie był ten sam człowiek.

Zaczęli wchodzić po schodach na piętro. Z każdym stopniem smród stawał się coraz intensywniejszy. Marek cieszył się, że Emilia została na zewnątrz, żeby przesłuchać gapiów. W jej stanie ponowne oglądanie tych okropieństw na pewno nie było wskazane. Oczywiście policjantka była zbyt dumna, żeby to przyznać, i za nic nie chciała wrócić do komisariatu. Typowa Strzałkowska, zaśmiał się Marek w duchu.

– Myślicie, że klucz ma znaczenie? – zapytał.

Nieoczekiwana niedyspozycja Strzałkowskiej miała swoje dobre strony. W krzakach porastających obejście leżał klucz, który, jak się okazało, otwierał drzwi do domu sędziego Jaworskiego.

– Zobaczymy – odparł Małecki. – Zajmiemy się tym później.

– Wygląda na to, że zabójca zamknął za sobą drzwi – ciągnął Marek. Nie chciał, żeby odkrycie koleżanki przeszło niezauważone.

– Kurwa – mruknął Małecki zamiast odpowiedzi, kiedy już wszedł na górę. Nie było wątpliwości, że spojrział właśnie na łóżko. Wyciągnął telefon i pstryknął kilka zdjęć, jakby był jakimś domorosłym fotoreporterem.

Piętro zostało przerobione ze strychu. Znajdowała się tam sypialnia i mikroskopijna łazienka. Łóżko stało na środku pomieszczenia, a na nim... Zaręba nie potrafił się zmusić, żeby tam spojrzeć. Zaczął więc rozglądać się po pomieszczeniu. Pokój zdawał się zupełnie zwyczajny. Na szafce nocnej stała szklanka z resztką wody. Obok leżał mały składany scyzoryk i książka. To był jakiś podręcznik do psychologii. Naklejka na grzbiecie sugerowała, że książkę wypożyczono z biblioteki.

– Żadnego „co my tu mamy, doktorze?“, dziś nie usłyszę? – rzucił wesoło doktor Zbigniew Koterski.

Na rumianej twarzy medyka sądowego jak zwykle gościł uśmiech. Marek zdążył się już przekonać, że patolog rzadko tracił dobry humor. Bez względu na to, nad czym właśnie

pracował.

– Chory skurwiel – mruknął Małeckci.

Marek uniósł wzrok i spojrzął na łóżko. Widział już dzieło mordercy, ale i tak bezwiednie wciągnął powietrze do płuc i z miejsca tego pożałował. Wypełnił je słodkawy smród postępującego rozkładu.

Na równo wygładzonej pościeli spoczywała postać. Głowa należała do mężczyzny, chociaż usta pokrywała intensywnie czerwona, rozmazana szminka. Twarz okalały pukle damskiej rudej peruki. Sprawiało to makabryczne wrażenie. Sprawę pogarszał fakt, że puste oczodoły zdawały się porozrywane, a ciało na policzkach było częściowo nadgniłe. Mimo posuniętego rozkładu Marek rozpoznał rysy sędziego Jaworskiego.

Niżej znajdował się kobiecy tułów. Kończyny odcięto, pozostawiając jedynie krótkie kikuty ramion i ud. Ciało przykryto piękną białą sukienką i ozdobiono długim sznurem pereł. Miało się wrażenie, jakby postać wybierała się właśnie na ślub.

– Do scalenia użyto zszywacza tapicerskiego – oznajmił doktor Koterski, wskazując miejsce, gdzie sprawca połączył głowę Jaworskiego z tułowiem kobiety.

Prokurator Gawroński odchrząknął cicho.

– Korpus jest w takim samym stanie jak głowa?

– W zdecydowanie lepszym. Już zaglądałem pod sukienkę – odparł patolog. Zabrzmiało to niemal frywolnie. Niby żart ze szkolnej przerwy. – Znalazłem też coś, co może pomóc w identyfikacji tej kobiety.

Śledczy zbliżyli się do łóżka w pełnym szacunku milczeniu. Dopiero teraz Marek zauważył na prześcieradle kilka strużek zaschniętej krwi. Głównie w okolicach postrzępionych kikutów, które pozostały po kończynach.

Doktor Koterski uniósł rąbek białej sukienki, ukazując łono nieznannej kobiety. Stojący obok Marka Daniel poruszył się niespokojnie. Inni też zdawali się zakłopotani tym naruszeniem intymności. Przynajmniej Zareba tak się czuł. Na szczęście patolog szybko zakrył z powrotem zmaltretowane ciało.

– Kolczyki w miejscu intymnym nie są chyba zbyt popularną ozdobą – powiedział patolog. Uśmiech zniknął z jego twarzy. – Może to jakaś wskazówka. Jak panowie widzą, są też ubrania. Damskie, więc prawdopodobnie jej.

Na fotelu przy wejściu do łazienki leżały bluzeczka, krótka spódniczka i kusy żakiecik. Obok niedbale rzucona damska torebka.

– To na pewno dobry punkt zaczepienia – zgodził się prokurator Gawroński. – Rozumiem, że mężczyzna to ten sędzia, tak?

– Tak – potwierdził Marek. – Wiera go rozpoznała. Ja też tak uważam. Chociaż znałem go tylko z widzenia.

– Głowa nie jest w najlepszym stanie – stwierdził komisarz Małecki.

Marek znowu poczuł ogarniającą go irytację. Zdecydowanie wolał współpracować z komisarz Klementyną Kopp. Miała swoje wady, a ostatniej jesieni zdecydowanie przesadziła, ale Zaręba zdążył już się do niej przyzwyczaić i na swój sposób nawet ją podziwiał.

Zerknął na Daniela. Podgórski miał zacięty wyraz twarzy. Może jego zachowanie było spowodowane nie tylko tym, co się stało z Emilią i Weroniką? Może obwiniał się o to, co spotkało Klementynę? Składanie zeznań przeciwko współpracownikom nie należało do przyjemnych, nawet jeżeli było usprawiedliwione. Ciekawe, co z tego wszystkiego wyniknie. Chodziły słuchy, że Klementyna już wraca.

– Jesteśmy pewni, że to głowa Jaworskiego – powiedział Marek do Małeckiego z naciskiem. – Daniel, ty też go na pewno kojarzysz. Prawda?

Podgórski spojrzał na Marka spod oka.

– Nie, niezbyt.

ROZDZIAŁ 4

Brodnica.

Poniedziałek, 8 czerwca 2015.

Łukasz Strzałkowski

Łukasz Strzałkowski siedział przed budynkiem szkoły i patrzył w niebo. Słońce schowało się za szczelną osłoną szarych chmur. Po wczorajszym upale nie zostało śladu, ale powietrze nadal było parne i wilgotne.

Chłopak poruszył się niespokojnie. Marzył o tym, żeby już zaczęły się wakacje. A konkretniej, żeby to wszystko, co działo się w szkole, wreszcie się skończyło. Zerknął w stronę ceglanego budynku. Bluszcz porastający ściany poruszał się delikatnie, mimo że właściwie nie było wiatru.

Nie chodziło wcale o naukę! Zawsze dobrze sobie z nią radził i starał się, jak mógł. Umiał sam sobie narzucić dyscyplinę. Teraz to wszystko na nic. Ilekroć szedł korytarzem, widział, jak dyrektorka szkoły przypatruje mu się z nieukrywaną niechęcią. Karcąco. Przez to i pozostali nauczyciele byli nastawieni do Łukasza wrogo. Nie przejmowałby się tym za bardzo, gdyby nie ciągły lęk, że coś może dojść do mamy. Emilia miała teraz sporo spraw na głowie i nie chciał, żeby się zamartwiała.

– Idziemy czy olewamy dziś? – zapytał Konrad.

Łukasz spojrział na kolegę ze złością. Naprawdę? Po tym, co się stało, jeszcze zadaje takie pytania? Łukasz miał ochotę zaśmiać mu się w twarz. A może za szybko oceniał? Przecież sam się na to zgodził.

– To jak? – zapytał Konrad, nie doczekawszy się odpowiedzi.

Łukasz jeszcze raz spojrział na obrośnięty bluszczem budynek szkoły.

– No coś ty. Teraz muszę się starać na dwieście procent, jeżeli nie chcę, żeby mnie wywalili. Już prawie koniec, jakoś

dotrwam.

Konrad przyglądał się Łukaszowi.

– Słuchaj, stary, jeżeli chodzi o tamto... – zaczął.

Łukasz pokręcił głową. Nie chciał, żeby Konrad dokończył. Tak było zdecydowanie lepiej. Zresztą to właściwie była spłata długu, a nie akt dobrej woli.

Siedzieli przez chwilę w ciszy, każdy pogrążony w swoich rozważaniach. Kiedyś się przyjaźnili. A teraz? Łukasz złapał się na tym, że nie jest już tego pewien. Po tym, co się stało, ciągle zapadała między nimi niezręczna cisza.

Taka jak teraz. Łukasz nie potrafił jej znieść. Już miał powiedzieć coś banalnego, co jeszcze bardziej pogorszyłoby ich relacje. Na szczęście zadzwonił dzwonek.

– Dobra, ja idę – oznajmił szybko. – Ty rób, jak chcesz.

Ruszył do szkoły, nie patrząc, co robi Konrad. To już nie jego problem. I tak Konrad wpakował go w niezłe kłopoty.

ROZDZIAŁ 5

Gospodarstwo sędziego Jaworskiego. Poniedziałek, 8 czerwca 2015. Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska

Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska rozejrzała się po ludziach zgromadzonych przed zaniedbaną posesją sędziego Jaworskiego. Rozpoznała kilka twarzy, ale większość to byli chyba ludzie ze Szramowa. Aż dziwne, że plotkary z Lipowa nie zwietrzyły jeszcze sensacji. Pewnie to się wkrótce zmieni.

Dom sędziego Jaworskiego znajdował się właściwie na zupełnym odludziu, przy bocznej drodze prowadzącej z Lipowa do Szramowa. Kiedyś pewnie była gruntowa, ale potem ktoś ułożył na ziemi wielkie betonowe płyty z rodzaju tych, z jakich w Warszawie budowało się kiedyś bloki. Płyty przylegały do siebie. Z grubsza. W wielu miejscach wyrastały spomiędzy nich kępy wysokiej trawy. Beton był pokruszony i dziurawy, więc większość mieszkańców okolicy wołała nadłożyć drogi i wybierała szosę prowadzącą naokoło jeziora.

Sędzia nie miał żadnych sąsiadów. No może oprócz kaczek pływających po jeziorze, zaśmiała się w duchu policjantka. Tafla wody nie była stąd widoczna, bo jezioro otoczone było lasem. Posesja sędziego przycupnęła na jego skraju. Gospodarstwo Jaworskiego było więc właściwie zapomniane. Do dziś.

– To musiało się stać! – krzyknęła jakaś kobieta spośród gapiów, którzy zgromadzili się przed bramą gospodarstwa. Jej głos nie znosił sprzeciwu.

– A niby dlaczego? – odparowała Emilia. Nie mogła się powstrzymać.

Czuła narastającą irytację i zmęczenie. W piątek podczas kontroli lekarz zapewniał ją, że z Dzieckiem wszystko

w porządku, ale radził, żeby więcej odpoczywała. Strzałkowska nie miała na to ochoty. Siedzenie za biurkiem nigdy jej nie bawiło, a już na pewno nie zamierzała przesiadywać w domu. W poprzedniej ciąży pracowała niemal do ostatnich dni. Co prawda miała wtedy dwadzieścia lat, ale jak wiele przez ten czas mogło się zmienić?

– Tylko tyle, że to nie był przyjemny człowiek. Ten Jaworski – fuknęła kobieta, opierając dłonie na masywnych biodrach. – Oj nie!

– A pani to co niby tam wie, pani Krukowska?! – krzyknął ubrany w wędkarską kamizelkę mężczyzna. – Spoko facet z niego był. I do bitki, i do szklanki, czy jak to tam.

Kilka osób zarechotało chóralnie.

– Do bitki i do szklanki? – podchwyciła Emilia natychmiast. Dziecko znowu dawało o sobie znać. Kopnęło tak silnie, że policjantka niemal jęknęła. Z jakiegoś powodu to było wyjątkowo zawstydzające. Poglądziła się po brzuchu drżącą ręką. – Pił?

– Raczej popijał – poprawił ją ten w kamizelce. – Ale tak po prawdzie to Jaworski nie był zbyt dobrym kompanem do kilku głębszych. Z butelką to się raczej zasztywał w domu. Samotnik jeden.

– Alkoholik jeden – stwierdziła antypatyczna baba.

– A pani to akurat wie, pani Krukowska! – odparował mężczyzna w kamizelce.

– Podobno z sądu go za to wywalili – szepnął teatralnie mężczyzna w czapce z daszkiem. Tłuste kosmyki rzadkich włosów wystawały spod nakrycia głowy. Dotychczas stał nieco z boku, ale teraz podszedł do pordzewiałej bramy, włączając się do dyskusji. Miał przepaskę na prawym oku. Wyglądał jak pirat. Emilia kojarzyła go z Lipowa. Był stolarzem.

– Co pan nie powie? – zaczęła tonem pogawędki i spojrzała na zebranych wokoło ludzi z nowym zainteresowaniem. Może jednak czegoś się od nich dowie. Poczwała, że irytacja mija.

– Ano tak. Nie wiedziała pani? – stwierdził pirat z satysfakcją. – Tak się tu gada.

– A skąd niby pan wiesz, panie Zieliński, co się u nas gada?

Skoroś pan z Lipowa i tylko na fuchy do nas do Szramowa jeździsz – warknęła Krukowska. Jej podwójny podbródek falował przy każdym słowie. Ona też zbliżyła się do bramy. Zależało jej chyba na tym, żeby pozostać na widoku. – Plotki, panie Zieliński, i tyle.

– A tam plotki! Nie ma dymu bez ognia!

– Alina Krukowska jestem – przedstawiła się masywna kobieta, ignorując stolarza. Wystawiła przy tym serdelkową dłoń do Strzałkowskiej. – Z domu Jasik.

– A ja Bolek Piotrowski. I co? – zarechotał facet w kamizelce wędkarskiej, który rozpoczął tę dyskusję. – Nic! Stary ma rację o tym sędzie. To żadne plotki, pani Krukowska. Naprawdę Jaworskiego stamtąd wywalili. Nie wiem, czy za picie, czy za co.

– Nie wywalili – upierała się Krukowska. – Sam zrezygnował. Kiedyś z nim kilka słów zamieniłam. A mówi się, że to baby plotkują. A tu proszę. Mężczyźni, a jak mieli ozorami!

– Czyli pan Jaworski już nie pracował w sądzie? – próbowała ustalić Strzałkowska.

– A gdzie tam, pani kochana! Siedział tu na dupie i chłał – stwierdziła Krukowska tonem dobrze poinformowanej.

– No toż przecież mówię – upierał się ten w kamizelce. – Pani Krukowska, pani sama się płacze!

Kobieta prychnęła głośno, niezadowolona. Odwróciła się do Emilii i utkwiała w niej świdrujące spojrzenie. Zdawało się przewiercać głowę policjantki na wylot. Szramowo leżało blisko Lipowa, stara plotkara wiedziała pewnie doskonale, kim jest Emilia i kto jest ojcem jej dziecka. Strzałkowska była przekonana, że pół okolicy wiedziało i dyskutowało o niej i o Podgórskim przy kolacji. Przez swoją niedorzeczność to było nawet zabawne. Do jakiegoś momentu.

– No dobrze. Czyli tę „szklankę” już sobie wyjaśniliśmy – powiedziała policjantka. Dziecko znowu kopnęło. Pogłaskała się po brzuchu uspokajająco. Miała nadzieję, że nikt tego nie zauważy. Chciała, żeby traktowano ją poważnie. – A co z „bitką”?

Mieszkańcy Szramowa spojrzeli na Emilię z rozbrajającą

konsternacją. Otarła pot z czoła. Robiło się duszno, mimo że upał od wczoraj zelżał.

– Jaką bitką? – zdziwił się Piotrowski.

– No mówili państwo przed chwilą, że sędzia Jaworski był „i do bitki, i do szklanki” – przypomniała Strzałkowska niecierpliwie. – O co chodzi z tą bitką? Bywał agresywny? Na przykład jak wypił.

Znowu poczuła, że ogarnia ją zniecierpliwienie. Teraz miała ochotę odejść od tych ludzi. To było jednak niemożliwe, jeżeli nadal chciała brać udział w śledztwie. Do wyboru miała jeszcze wspinanie się po schodach na piętro i oglądanie ponurej inscenizacji, którą przygotował morderca. Wołała nie ryzykować. Już i tak zwymiotowała przy nich wszystkich. Przed zupełną kompromitacją ratowało ją tylko to, że przy okazji znalazła porzucony w krzakach klucz. A kto wie, może okaże się istotnym śladem?

– Nie no, raczej nieszczególnie – odpowiedział człowiek w kamizelce.

– Ale sam pan przed chwilą powiedział.

– No tak... jakoś tak mi się powiedziało.

– Raczej był nieprzyjemny – włączyła się znowu Krukowska.

– Taki niewychowany. Opryskliwy. Człowiek do niego miło „dzień dobry” czy co innego, a on jak taki gbur.

– Kiedy widzieli państwo sędziego Jaworskiego po raz ostatni?

Odpowiedziała jej cisza, jakby uderzyła w niewłaściwą strunę. Emilia rozejrzała się po zebranych pytająco.

– Tak po prawdzie to ja go z miesiąc przeszło nie widziałem. On do nas na Szramowo nie zaglądał. Raczej do was do Lipowa go ciągnęło – przyznał w końcu Piotrowski, poprawiając kamizelkę. – Samotnik był z niego. Cały czas powtarzam.

– I wyjątkowy gbur – dodała Krukowska.

Piotrowski pokiwał głową.

– Czasem, jak po jezioru tu naszym pływałem, to go z łodzi widziałem. To znaczy światła w oknie żem widywał. Bardziej tak.

Strzałkowska spojrzała na ścianę lasu, potem na wędkarza.

– Przez te drzewa?

– No, jak się świeci w oknach, to czasem widać z jeziora. W dzień nie.

– Kiedy ostatnio?

Piotrowski znowu wzruszył ramionami. Rozejrzył się po zebranych, jakby oni znali odpowiedź.

– Czy ja tam wiem? Nie pamiętam. Gdyby człowiek wiedział, że będzie afera, toby zwracał uwagę, a tak?

– A państwo? – zapytała Emilia, wodząc wzrokiem po pozostałych.

– Może na początku poprzedniego tygodnia? – zastanawiał się stolarz. – Jeżdżę na rowerze z Lipowa i czasem mi się nie chce szosą, to jadę tędy. Sam nie wiem, kiedy to było...

Zdjął czapkę i zaczął intensywnie trzeć wysokie czoło, jakby to mogło wspomóc jego procesy myślowe. Marszczył się przy tym zabawnie. Teraz naprawdę przypominał pirata. Strzałkowska omal nie parsknęła śmiechem.

– Jak teraz o tym myślę, to ja go chyba widziałam w zeszły poniedziałek. Tego Jaworskiego – zastanawiała się Alina Krukowska. – Znaczą się dokładniusięńko tydzień temu.

Emilia pokiwała głową zadowolona. Wreszcie jakieś konkrety.

– Gdzie?

Krukowska poczerwieniała.

– A może to było dwa tygodnie temu? – wycofała się. – Sama nie wiem. Czas tak szybko leci.

To by było na tyle, jeżeli chodzi o konkrety. Policjantka znowu westchnęła.

– No dobrze...

– W każdym razie w jakiś poniedziałek – przerwała jej kobieta. Zadowolenie na powrót zagościło na jej pulchnej twarzy. – Tego akurat to jestem całkiem pewna. Bo wie pani, ja w poniedziałki jeżdżę na pocztę do was, do Lipowa. Wysłałam listy do znajomych. Kultuwujemy tę no... tradycję, wie pani. Jaworski jechał na rowerze. Miał takiego starego składaczka.

Strzałkowska pokiwała głową. Rzeczywiście w pochylonej ze starości stodole znaleźli rometa wigry 3. Zważywszy na stan samochodu, rower był chyba jedynym środkiem lokomocji

Jaworskiego.

– No dobrze. Dziękuję państwu – zakończyła Emilia. Czowała, że na razie nic więcej z nich nie wydobędzie.

Wycofała się z powrotem za przerdzewiałą bramę. Już wcześniej zabezpieczyli ją policyjną taśmą. Nie chroniła oczywiście przed niczym, ale może przynajmniej nikt nie odważy się jej przekroczyć.

Ruszyła przez podwórze. Trzeba było pogodzić się z myślą, że nadeszła pora na rozmowę z Wierą. I, co gorsza, z Weroniką. Wyglądało na to, że one jedyne zainteresowały się zniknięciem sędziego. Gdyby tu nie przyszły, być może o makabrycznej inscenizacji na piętrze domu jeszcze przez długi czas nikt by się nie dowiedział.

Przedzierała się przez trawę, która całkiem zarosła podwórze. Minęła przewróconą przez wiatr brzozę. Już wcześniej zauważyła zerwane kable telefoniczne, które płątały się wśród gałęzi. Zostały chyba zniszczone podczas burzy sprzed tygodnia. Jeżeli ta gruba baba ma rację i widziała Jaworskiego w poniedziałek, pewnie umarł we wtorek. Inaczej zgłosiłby usterkę linii telefonicznej. Przyjechaliby monterzy i być może ciało zostałoby odnalezione wcześniej.

– Chciałabym wam zadać jeszcze kilka pytań – powiedziała Emilia, kiedy wreszcie przedarła się przez chaszczę w okolice stodoły. Weronika i Wiera przysiadły tam na pieńku do rąbania drewna.

– Jasne – zgodziła się Weronika. Patrzyła Emilii prosto w oczy. Policjantka szukała w nich niechęci czy nienawiści. Byłyby one całkiem usprawiedliwione. Oczy Nowakowskiej pozostały jednak nieprzeniknione.

– Może usiądziesz, kochanieńka – zaproponowała tymczasem Wiera, poklepując pieńek obok siebie. – Wyglądasz coś trochę blade.

Im bardziej oblicze sklepikarki wyrażało troskę, tym bardziej Strzałkowska miała ochotę stać. Poradzi sobie świetnie. Cięża to nie choroba. Jakby na zawołanie Dziecko kopnęło znowu z wielką siłą. Pogłaskała się po brzuchu.

– Czy Jaworski naprawdę był takim samotnikiem i pijakiem?

- zapytała, ignorując propozycję Wiery.
 - Był zamknięty w sobie – przyznała Weronika. – Takie odniosłam wrażenie podczas naszych krótkich rozmów w sklepie.
 - Ludzie chyba niezbyt go lubili.
 - Sprawiał wrażenie nieprzyjemnego. Ale ja uważam, że to była maska. Ten człowiek sporo w życiu przeszedł.
 - Podobno był alkoholikiem. To prawda?
 - Kiedyś popijał. Już z tym skończył. Mimo to nadal była w nim jakaś... desperacja. Dlatego poradziłam mu spotkania z terapeutą.
 - Ty go leczyłaś?
 - Nie – zaśmiała się Weronika. – Był kimś w rodzaju mojego znajomego. To byłoby nieetyczne. Tak to czułam. Potrzebny był ktoś neutralny. Poleciałam mu doktora Dorian Witkowskiego. Przyjmuje w Centrum Terapii w Brodnicy.
- Emilia sięgnęła do kieszeni po notes. Wypadł jej z ręki i potoczył się wprost pod nogi Weroniki. Nowakowska schyliła się, żeby go podnieść. Jej twarz skryła się na moment wśród rudych loków. Strzałkowska poczuła ukłucie zazdrości. Sama miała cienkie mysie włosy, które dały się tylko ściągnąć w kucyk.
- Proszę.
 - Dzięki – odparła policjantka sztywno, biorąc notes od Weroniki. Zapisała imię i nazwisko psychiatry. Dorian Witkowski. Dziwne imię. Miała nadzieję, że dobrze usłyszała, bo nie chciała pytać ponownie.

ROZDZIAŁ 6

Komenda Powiatowa Policji w Brodnicy. Poniedziałek, 8 czerwca 2015. Nina Chrzanowska

Czy córka była ubezwłasnowolniona?

Pytanie zabrzmiało wyjątkowo sucho. Jakby rozmawiali o workach ziemniaków w piwnicy albo o czymś równie prozaicznym. Nina Chrzanowska nie mogła uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Tracili czas. Chciała, żeby już zaczęli szukać. Sabina mogła być przecież w niebezpieczeństwie. Ile można dyskutować? Ile można pytać w kółko o to samo?

– Częściowo i przez bardzo krótki czas – przyznała.

Po twarzy policjanta widziała, że nie ma co się kłócić. Jeżeli chciała, żeby podjęto jakieś działania, musiała cierpliwie odpowiadać na jego pytania. Jeżeli chce pomóc córce, nie może dać się wyprowadzić z równowagi.

– Pani była jej opiekunem prawnym?

– Tak. To był trudny okres, ale Sabinka wychodzi już na prostą. Odzyskała prawa i...

Chrzanowska próbowała zachować spokój, ale głos jej się urwał. Funkcjonariusz wyrównał kartki na biurku i spojrzał na nią z pewną troską.

– Nie uważa pani, że córka wróciła do narkotyków...

Chrzanowska poczuła, że dłużej tego nie znieśie.

– Proszę pana, ja uważam, że należy już zacząć szukać Sabiny!

– przerwała mu. – Natychmiast! Niech pan to nazwie matczyną intuicją. Czymkolwiek.

Funkcjonariusz spojrzał na nią z wystudiowanym spokojem. Przestraszyła się, że powoływanie się na matczyną intuicję wszystko zepsuje, ale dostrzegła w jego oczach współczucie. Jakby chciał jej bez słów przekazać, że muszą przebrnąć przez

pewne procedury. Mimo wszystko wcale jej to nie uspokoiło.

– Zróbcie coś...

– Pani córka... – policjant zerknął przelotnie do dokumentów
– ...Sabina ma dwadzieścia jeden lat. Jak sama pani zauważyła, obecnie już sama może o sobie decydować. Rozumie pani, że...

– Wszystko to rozumiem. – Chrzanowska znowu nie pozwoliła mu dokończyć. – Wiem też, że mam prawo zgłosić zaginięcie córki. Jestem jej najbliższym członkiem rodziny. Nie mam z nią kontaktu od piątku.

Starła się mówić głośno i wyraźnie. A przede wszystkim zachować spokój. Nie mogła wyjść na wariatkę. Trzeba było zostawić intuicję i emocje. Zamiast tego powrócić do rzeczowego tonu. To mógł być klucz do sukcesu.

Policjant westchnął. Bardzo prawdopodobne, że mogli mieć tysiące takich zgłoszeń. No i co z tego? Chrzanowskiej to nie interesowało. Chodziło o bezpieczeństwo Sabiny.

– Była pani w mieszkaniu córki?

– Czy byłam? – zachnęła się. – Oczywiście, że byłam! Żartuje pan? To pierwsze, co zrobiłam. Mam zapasowy klucz. Sabinka już dawno mi go dała. Przecież bym tu nie przychodziła, gdybym tam najpierw nie zajrzała.

– Zauważyła pani cokolwiek, co mogłoby wskazywać na miejsce pobytu córki?

Chrzanowska spojrzała na funkcjonariusza spod oka. Może i miał dobre zamiary, ale ta gadka trwała zdecydowanie za długo. Denerwowała się. Coraz trudniej było zachować spokój, a nie mogła wyjść na rozhisteryzowaną idiotkę.

– Nic takiego tam nie było! Gdyby było, już bym szukała Sabinki na własną rękę!

– Próbowала pani zadzwonić do córki?

– Za kogo pan mnie ma?! Oczywiście, że próbowałam. Zanim pojechałam do jej mieszkania. Nie odpowiadała. Jak weszłam do środka, to się okazało, że telefon leży na stole. Jej podróżna torba też.

– Wyjeżdżała gdzieś ostatnio? – podchwycił policjant.

– Do Warszawy. Na krótki kurs dla stylistek. Wróciła w piątek.

– Wtedy się z nią pani ostatni raz widziała?
– Nie widziałyśmy się. Już panu mówiłam, że rozmawialiśmy przez telefon. Właśnie wracała do domu. Była przed klatką.
– O której to było?
– Coś koło siedemnastej... Sabinka chciała spędzić wieczór na porządkowaniu notatek z kursu. Obiecywała, że zadzwoni do mnie w sobotę. Ale tego nie zrobiła. – Chrzanowska bardzo się starała, żeby głos jej się nie załamał. Mimo to wyszło piskliwie i drżąco. – Potem poszłam do jej mieszkania... Tak jak mówiłam... znalazłam telefon i walizkę, ale Sabinki nie było... Nie wiem, co robić... Już naprawdę nie wiem, co robić. Tak się boję...

Funkcjonariusz zerknął na zegarek i nieoczekiwanie pogładził Chrzanowską po ramieniu.

– Bardzo dobrze, że pani się do nas zgłosiła – zapewnił, ale w jego głosie brzmiał automatyzm często wygłaszanej formułki. Chrzanowskiej to nie wystarczało. Nie tak łatwo było ją zwieść.
– To pierwsze, co w takich sytuacjach trzeba zrobić. Pani córka jest w dobrych rękach. Zajmiemy się tym. Zaraz wydam pani potwierdzenie przyjęcia zawiadomienia o zaginięciu. Proponuję też skorzystać z pomocy fundacji. Zamieszczą zdjęcie Sabiny na swojej stronie internetowej. Może także pani szukać wsparcia u psychologa...

Chrzanowska niemal go nie słuchała. Nie mogła znieść myśli, że Sabina przebywa gdzieś i robi coś, czego zdecydowanie nie powinna. A jeżeli naprawdę wróciła do narkotyków? To byłoby gorsze niż śmierć...

Ta myśl przeraziła Chrzanowską. Jaka śmierć! Jak mogło jej coś takiego przyjść do głowy? Oby policja znalazła Sabinę jak najszybciej! Muszą ją znaleźć, prawda?

ROZDZIAŁ 7

Dom Rajmunda Jaworskiego w Strzemiuszczku. Poniedziałek, 8 czerwca 2015. Aspirant Daniel Podgórski

Od początku tego roku jestem na emeryturze – poinformował ich Rajmund Jaworski. Zabrzmiało to przeprasząco. Jakby już sam ten fakt stawiał go w zdecydowanie niekorzystnym świetle. – Przedłużyli wiek emerytalny, ale w końcu i ja się doczekałem.

Brat sędziego był drobnym, niepozornym mężczyzną. Włosy miał wyraźnie przerzedzone, a nad czołem powstały pokaźne zakola. Cała jego postać przywodziła na myśl jakiegoś neurotycznego bohatera filmów Woody’ego Allena. Wrażenie potęgowało to, że Rajmund co chwila nerwowo poprawiał staromodne okulary. Daniel, Emilia i Marek przyjechali poinformować go o śmierci sędziego Jaworskiego. Tak zdecydował Małecki, chociaż Podgórski wolałby zostać w gospodarstwie sędziego.

Podgórski nie mógł skupić się na rozmowie. Myślał o tym, co zobaczył w sypialni sędziego. Postać na łóżku była wystarczająco przerażająca, żeby każdego wytrącić z równowagi. Daniel miał jednak dodatkowe powody do zmartwień. Nie chodziło już tylko o drobne przemilczenie faktu, że znał sędziego. O ile wcześniej mógł się ludzi w kwestii damskiego ubrania porzuconego w sypialni, o tyle charakterystyczny piercing w miejscu intymnym nie pozostawiał wątpliwości. Wiedział, kim była kobieta, której korpus połączono z głową Jaworskiego.

Znowu miał wielką ochotę zapalić, żeby chociaż trochę rozładować niepokój. Powinien był się przyznać Małeckiemu, Gawrońskiemu i reszcie. Od razu. Nadal jednak kurczowo

trzymał się swojej obietnicy, aż chyba zabrnął za daleko. Jeżeli teraz nagle z tym wyskoczy, to wzbudzi podejrzenia.

Zaklął w duchu. Kogo oszukiwał? Przecież wcześniej czy później kobieta zostanie zidentyfikowana. Znajdą się świadkowie. Przejechał ręką po twarzy. Kilkudniowy zarost, który ostatnio nosił, na powrót zmienił się w krótką brodę. Musi to wszystko szybko odkręcić. Zanim sprawy zajdą za daleko.

– Daniel? – odezwał się Marek, wrywając Podgórskiego z zamyślenia.

Daniel spojrzął na młodego policjanta. Zareba zdawał się oczekiwać od niego jakiejś odpowiedzi. Strzałkowska przewróciła oczami najwyraźniej zniecierpliwiona.

– Czy pański brat nie miał obecnie żadnej partnerki? – zapytała, biorąc sprawy w swoje ręce.

– Nie, nie. Nigdy też nie był żonaty – zapewnił Rajmund. W tonie jego głosu było coś takiego, że cokolwiek mówił, brzmiało to jak przeprosiny. – Był raczej borsukiem.

– Borsukiem? – zdziwił się Marek.

Rajmund usiadł wygodniej. Chciał chyba sprawiać wrażenie rozluźnionego, ale i tak wyszło to nieco nerwowo. Szara kanapa zatrzeszczała pod jego ciężarem. Nijak nie pasowała do dywanu w szkocką kratę, który zajmował dużą część salonu.

– Przepraszam. To takie moje powiedzonko... Chodzi mi o milczka. Mój brat był dzikusiem. Odludkiem.

– Zawsze? – drażyła Emilia. – Czy jego zachowanie zmieniło się w ostatnim czasie?

– Chyba przez całe życie był takim mrukiem – odparł Rajmund. Chciał poprawić okulary, ale dotknął szkła palcem i zostawił na nim wyraźny ślad. Zdjął okulary i zaczął je czyścić, używając rąbka spranej koszuli. Podgórski zauważył, że ręce lekko mu drżą.

– Pan jest najbliższym członkiem rodziny, prawda? – zapytał Daniel.

Oczywiście już wiedzieli, że jest jeszcze adoptowana córka. Zamierzali porozmawiać z nią później. Podgórski czuł jednak, że powinien wreszcie się odezwać. W głowie miał natłok myśli

i lepszego pytania nie potrafił wymyślić.

– Matka popełniła samobójstwo wiele lat temu. Chyba w siedemdziesiątym szóstym. Coś koło tego – odparł Rajmund.

– Ojciec nasz zmarł pierwszego marca bieżącego roku.

– Bardzo nam przykro – powiedziała uprzejmie Emilia.

Rajmund skinął głową i z powrotem założył okulary. Zamrugał kilkakrotnie, jakby próbował odzyskać ostrość widzenia.

– Można powiedzieć, że mój brat był czarną owcą w rodzinie.

– Co pan ma na myśli?

– To dłuższa historia. Napiją się państwo czegoś? Ja sam bardzo chętnie. Pójdę przygotować.

Rajmund wstał, nie czekając na ich odpowiedź.

– Ja bym raczej skoczyła do toalety – powiedziała cicho Emilia, gładząc się po brzuchu, jakby dla usprawiedliwienia.

Rajmund zatrzymał się w pół kroku i uśmiechnął się do policjantki ciepło. – Ależ oczywiście. Zaprowadzę panią!

– Przerabane – mruknął Marek, kiedy zostali sami. – Daniel, nie wiem, co się z tobą dzieje, ale weź się, człowieku, w garść!

Podgórski zerknął na przyjaciela. Wyraz twarzy Zaręby mówił wszystko. Na pewno chodziło mu o sobotni wieczór. Daniel nie wiedział, co odpowiedzieć. Nie miał nic na usprawiedliwienie. Wstał i zaczął przechadzać się po saloniku. Bał się, że Marek będzie drążył, ale młody policjant kiwał tylko głową z niesmakiem.

– Ja... – zaczął Daniel, ale nadal nie bardzo wiedział, co dalej.

Drzwi salonu otworzyły się, wybawiając go z konieczności wymyślania jakichś tłumaczeń. Rajmund wszedł do pokoju z kolejnym przepaszającym uśmiechem. Niósł niewielką metalową tackę z parującymi filiżankami. Strzałkowska przytrzymała mu drzwi.

– Zrobiłem herbatę – powiedział Rajmund. – Właściwie jest już lato, ale jakoś tak... Nie wiem, czy państwo będą chcieli. Herbata jest podobno dobra na wszystko.

Daniel wzdrygnął się. Herbata jest dobra na wszystko. Tak zawsze powtarzała Maria. Znowu mieszkał w suterenie jej domu, ale nie rozmawiali za często. Matka miała mu za złe to,

jak potraktował Weronikę, to, że przeniósł się do wydziału kryminalnego w Brodnicy, i to, jak się ostatnio zachowywał. Była na niego zła chyba nawet bardziej niż wszyscy inni.

– Mówił pan, że sędzia Jaworski był czarną owcą w rodzinie – przypomniała Strzałkowska. – Mógłby pan rozwinąć tę myśl?

– A tak – odparł na powrót przepraszająco Rajmund. Tym razem zajął miejsce na krześle pod oknem. – Nasz ojciec chorował, a Jakub nawet do niego nie zajrzał. Wyobrażacie sobie państwo? Ani razu! Tak jakby się ojca brzydził.

– Na co chorował ojciec? – zapytał Podgórski. Strzemiuszczek był oddalony kilka kilometrów od Lipowa. Daniel nie znał tutejszych ludzi, chociaż wieś leżała na obszarze podlegającym jego dawnemu komisariatowi.

– Na alzheimera, ale zmarł na powikłania po zapaleniu płuc.

– Bardzo nam przykro – zapewniła raz jeszcze Emilia.

Zapadło stosowne milczenie.

– No cóż... Brat zawsze myślał tylko o sobie – podjął w końcu Rajmund. – Kiedy byliśmy chłopcami, ubzdurał sobie dajmy na to balet. Ojciec woził go na lekcje do Brodnicy. Stawał na głowie, żeby na to wszystko zarobić. To nie były łatwe czasy, chociaż pewnie żadne z państwa tego nie pamięta. Nie to pokolenie.

Balet? To dopiero była niespodzianka. Podgórski starał się wyobrazić sobie sędziego Jaworskiego w trykocie. Mężczyzna był co prawda drobnej budowy, ale nie wyglądał na tancerza. Jego ruchy zawsze były ostrożne. Niemal mechaniczne.

Rajmund poprawił się na krześle. Rozległa się przy tym cała symfonia trzasków i skrzypnięć. Wyglądało na to, że nie tylko sofa jest wiekowa.

– Potem na szczęście brat dostał stypendium i miejsce w szkole baletowej na Śląsku. To była ulga dla rodzinnego budżetu... No ale matka tego nie przeżyła. To znaczy jego wyjazdu. Była z Jakubem mocno związana. Powiesiła się rok później. Wyobrażcie sobie państwo, że brat nawet nie przyjechał na jej pogrzeb!

Po raz pierwszy w głosie Rajmunda zabrzmiała nieco ostrzejsza nuta. Zaraz jednak poprawił okulary w szylkretowej

oprawce i uśmiechnął się przeprasząc.– W osiemdziesiątym roku brat doznał kontuzji i było po balencie.

– Wrócił wtedy do domu? – zapytał Marek.

Rajmund pokręcił głową.

– Nie. Gdzie tam. Miał nas za wieśniaków. Od razu pojechał na studia prawnicze do Warszawy. Potem tam został i podjął pracę. W latach dziewięćdziesiątych adoptował Natalkę. Kolejna fanaberia, jeżeliby mnie kto pytał o zdanie.

– Co ma pan na myśli? – odezwała się Strzałkowska.

– Jakub wcale się Natalką nie zajmował. Traktował ją jak obcą – wyjaśnił Rajmund szybko.

– Dlaczego w takim razie zdecydował się na adopcję?

– Filmowa historia – odchrząknął Rajmund. – Ktoś podrzucił mu niemowlę pod drzwi. Może brat czuł, że tak wypada. Pomóc jakoś temu dziecku. Nie za bardzo rozumiem, jaki mógłby mieć inny powód. Brat był ostatnią osobą, która pragnęłaby dziecka. Zawsze myślał tylko o sobie.

W słowach Rajmunda pobrzmiwała wyraźna gorycz. Poprawił okulary i zapiął guzik rozpinanego swetra w szaroburym kolorze. Przez chwilę panowała cisza.

– Mówił pan, że sędzia Jaworski mieszkał w Warszawie – odezwał się Marek, przerywając milczenie. – Jak to się stało, że wrócił w nasze strony?

– Brat wrócił na przełomie stuleci. Kupił tanio gospodarstwo koło Szramowa. Chciał je chyba remontować. Do dziś tam mieszka... mieszkał. Może i dobrze się stało, bo mój ojciec i ja mogliśmy się zająć Natalką. Biedna dziewczyna. Całe życie miałem wrażenie, że u kogoś innego byłaby zdecydowanie szczęśliwsza niż u Jakuba. – Rajmund pokiwał głową jakby na potwierdzenie swoich słów. – Staralem się jej to wynagrodzić, ale wiadomo: stryj i dziadek to nie to samo co ojciec. Nie ta relacja.

– Rozumiem, że pan i sędzia Jaworski nie widywaliście się zbyt często? – zapytał Daniel.

– Nie. Już mówiłem, że brzydził się chorego ojca. Nie zaglądał tu – odpowiedział z nagłym gniewem. – Po śmierci ojca to już zupełnie inna historia... Nie mogłem sobie z nim poradzić.

ROZDZIAŁ 8

Brodnica.

Poniedziałek, 8 czerwca 2015.

Łaskun

Czyli lodówka turystyczna, tak? – zapytał sprzedawca. Jowialnie. Zapytał. Sprzedawca. – Przygotowujemy się już do wakacji, tak?

Łaskun uśmiech. Szeroki. Wesoły. Uśmiech. Łaskun.

– W końcu mamy początek czerwca!

Sprzedawca promienieje. Jego zęby. Równe. Ale. Pokryte. Żółtym osadem. Niezbyt apetyczne. Łaskun myśli. Może pali. Sprzedawca. Może. Albo nie szczotkuje zębów. Zbyt dokładnie. Albo jedno i drugie. Łaskun próbuje. Się nie krzywić. Obrzydza go. Sprzedawca.

– Szkoda, że do tej pory pogoda taka nieteges – śmieje się. Mężczyzna.

Znowu. Mógłby już. Wreszcie. Pokazać lodówki. Wreszcie. Mógłby. Lodówki.

– Weekend był przecież gorący – Łaskun. Uściśla. Tak było. Właśnie tak.

Sprzedawca. Kiwa. Głową. Kiwa.

– No niby tak. Racja – zgadza się. – Tylko że dziś już znowu słońca nie ma. Cały maj był taki średni. Ciekawe, jakie będzie lato. Może nawet lodówki nie będą potrzebne na kemping. No, ale bądźmy dobrej myśli. Bądźmy dobrej myśli. Ja tam jestem zdania, że będą jeszcze upały. To może taką lodóweczkę.

Niebieski pojemnik. Pokazuje. Łaskunowi.

– A ile tam się mieści?

– Cztery litry – z dumą. Oznajmia. Sprzedawca. Oznajmia. Z dumą.

Cztery litry? Łaskun rozbawiony. Dużo. Za mało. Dużo za mało.

– Nie, nie. Potrzebuję czegoś większego.

Sprzedawca oko. Puszczą. Porozumiewawczo.

– Czyli cała rodzina jedzie pod namiot?

Łaskun uśmiech. Szeroki. Godny. Zaufania. Uśmiech.

– Tak. Caluteńka rodzina jedzie.

– No to trzeba było tak od razu! – sprzedawca. Promienieje. Znowu. – Tu mam na przykład takie cacuszko. Dwadzieścia pięć litrów!

Lodówka znacznie. Większa. Niż poprzednia. Łaskun patrzy. Krytycznie. Kształt nie ten, co potrzeba. Nie ten. Zupełnie. Inny. Potrzeba. Inny. Za wąska. Nie zmieści się to. Co ma. Tam trafić. Nie zmieści. Się.

– Nie ma czegoś bardziej kwadratowego?

Sprzedawca patrzy. Spod oka. Jakby zdziwiony.

– Kwadratowego?

– Tak byłoby nam wygodniej wkładać napoje – Łaskun. Dodaje natychmiast.

Sprzedawca patrzy. Spod oka. Znowu. Patrzy. Ale chyba. Uwierzył.

– To mam coś specjalnego. Proszę poczekać chwileczkę. Zaraz przyniosę i pokażę.

Sprzedawca na zaplecze. Idzie. Wraca. Białe wieko. Pudło.

– Sześćdziesiąt sześć litrów – mówi. Z satysfakcją. – Na wkłady mrożące.

Łaskun kiwa. Głową. Kiwa. Łaskun.

– Interesująca propozycja. Jak długo to trzyma temperaturę?

Sprzedawca zadowolony. Opchnie towar. Czuje to. Niech się cieszy. Łaskun też. Zadowolony. Idealnie. Ta lodówka idealnie. Spełni. Swoje. Zadanie. Może za duża. Ale. Nie szkodzi.

– Producent twierdzi, że trzyma temperaturę aż sto dwadzieścia godzin! – chwali. Sprzedawca. – Ja osobiście trochę w to wątpię, ale na pewno na dłuższy czas wystarczy.

– Świetnie – Łaskun. Zapewnia.

Sto dwadzieścia? Godzin? Wystarczą. Dwadzieścia cztery. Szczelna. Ma być. Głównie o to. Chodzi. Głównie. O to.

– Pochłaniacz zapachów pan ma? – pyta Łaskun. Pyta.

– Jasne, że mam. Z atestem PZH oczywiście – sprzedawca. Zapewnia. – Świetny do kompletu z tą lodówką! Gwarancja świeżości produktów i zero niepożądanych zapachów. Dobra decyzja! Wiem, bo sam stosuję do dokładnie identycznej lodóweczki.

Łaskun wątpi.

– Biorę i to, i to. Obie. Rzeczy.

– Świetnie. Świetnie. Już pakuję. Idealna decyzja.

Ma rację. Idealna.

ROZDZIAŁ 9

Gospodarstwo sędziego Jaworskiego. Poniedziałek, 8 czerwca 2015. Podinspektor Wiktor Cybulski

Podinspektor Wiktor Cybulski patrzył, jak zbezczeszczona głowa sędziego Jaworskiego znika w torbie do przewożenia zwłok. Tułów nieznaney kobiety był już zabezpieczony i spakowany. Po ciele Cybulskiego przebiegł znajomy dreszcz emocji. Cieszył się, że tu przyjechał.

Ostatnio wydawało mu się, że tylko siedzi przy biurku i załatwia papierkową robotę. Nigdy nie uważał się za osobę szczególnie żądną wrażeń. Odkąd jednak jesienią objął stanowisko komendanta powiatowego po Czajkowskim, bardzo brakowało mu pracy w terenie. Dlatego kiedy tylko poinformowano go o szczegółach tej sprawy, postanowił się w nią zaangażować chociaż na jakiś czas.

– Kiedy nastąpił zgon, Zbigniewie? – zapytał medyka sądowego.

Doktor Koterski zdejmował właśnie ochronne rękawiczki.

– Wiesz przecież, że wolę wypowiadać się o tych kwestiach po sekcji.

Cybulski żałował, że nie ma tu teraz Klementyny Kopp. Ona na pewno wystrzeliłaby zaraz z ostrym nieznośnym sprzeciwu żądaniem natychmiastowego udzielenia jakiejś informacji. Klementyna. Zrobił, co mógł, żeby zminimalizować konsekwencje jej jesiennych wybryków. Mimo to przez ostatnie miesiące czuł pustkę i bardzo się cieszył, że Klementyna wraca już do miasta. Ciekaw był, jak przetrwała pobyt w szpitalu. Czy się zmieniła?

– Jakie masz pierwsze spostrzeżenia? – zapytał prokurator Gawroński.

Cybulski lubił tego człowieka. Zawsze był elegancki i stonowany. Zupełnie jak on sam.

– Kobieta zginęła nie później niż w sobotę, ale nie wcześniej niż w czwartek – poinformował ich patolog. Słyszeli wyraźny ton rezygnacji w jego głosie. Miał szczególną awersję do wypowiadania się przed przeprowadzeniem sekcji zwłok.

– Czyli można przyjąć, że zabito ją w piątek, tak? – włączył się Małecki. Jak zwykle miał za uchem papierosa, jakby czekał tylko na moment, kiedy będzie mógł go zapalić. Szczerze mówiąc, Cybulski uważał to za wyjątkowo irytujący nawyk.

Doktor Koterski niechętnie pokiwał głową.

– Bardzo wiele na to wskazuje. Stężenie pośmiertne już osłabło, ale jeszcze nie ustąpiło do końca. Zwykle mięśnie rozmiękają trzy, cztery dni po śmierci na skutek rozkładu enzymatycznego i pojawienia się substancji gnilnych. Na tułowie tej kobiety są już objawy rozpoczynającego się gnicia, ale sami widzieliście, że jest w o wiele lepszym stanie niż mężczyzna... to znaczy niż głowa.

– Przepraszam panów...

Szef techników podszedł do nich tak cicho, że Cybulski go nie usłyszał. Minę miał wyraźnie zafrasowaną.

– Czy coś się stało? – zapytał komendant.

– Nie wiem, co z tym zrobić – szepnął technik niepewnie.

Cybulski spojrzał na niego zdziwiony. Przysunął się, jakby dzielili jakąś tajemnicę. Prokurator Gawroński i komisarz Małecki też podeszli. Doktor Koterski wykorzystał moment ich nieuwagi, żeby się oddalić.

– To ja nie przeszkadzam – powiedział na odchodnym. – Odezwę się po sekcji.

– Co się stało? – zapytał Cybulski, kiedy zostali sami.

– Przejrzałem torebkę – zaczął technik. – Dokumentów niestety nie było. Żadnych kart kredytowych ani nic z tych rzeczy.

– Trudno. Spróbujemy ustalić tożsamość na podstawie piercingu – stwierdził prokurator. – To już jakiś punkt zaczepienia.

– Ciekawe, czy to zabójca zabrał dokumenty z torebki –

odezwał się Małecki. – Czy po prostu ich przy sobie nie miała.

– Tego nie wiem. Ale miała telefon komórkowy – odparł technik. – Jest nadal włączony. Zostało piętnaście procent zasilania, więc...

Cybulski, Gawroński i Małecki spojrzeli na technika wyczekująco. To powinien był powiedzieć od razu.

– Dane abonenta? – mruknął Małecki. Kciuki zaczepił o szlufki dżinsów i stanął na szeroko rozstawionych nogach. Wyglądał jak kowboj czekający na swoją kolej w jakiejś konkurencji rodeo.

– Numer na kartę – odparł równie krótko technik.

– Kontakty? Spis połączeń?

– Niewiele. Właściwie nic. To był chyba nowy numer. Pewnie niedawno kupiony.

Cybulski odchrząknął.

– Skoro nic tam nie ma... – zaczął i urwał wyczekująco. Chciał, żeby technik przeszedł do rzeczy.

– Nie powiedziałem, że nic nie ma – obruszył się mężczyzna.

Cybulski uśmiechnął się pod nosem. Nareszcie coś!

Tymczasem szef techników odblokował ekran telefonu. Wyświetlacz rozbłysnął, kiedy mężczyzna zaczął wybierać kolejne ikony.

– Proszę spojrzeć na to.

Śledczy pochylili się zaciekawieni. Na wyświetlaczu pojawiła się galeria ze zdjęciami. Technik wybrał jedno z nich. Kliknął i fotografia wypełniła ekran.

– Nie rozumiem – wyrwało się Cybulskiemu.

To było zdjęcie typu *selfie*. Przedstawiało Daniela Podgórskiego i kobietę w rudej peruce. Jej twarz wydawała się komendantowi znajoma. Szukał jej przez chwilę w pamięci. Wreszcie sobie przypomniał. Tak!

– To jest przecież striptizerka z Gwiazdzbioru – powiedział.

– Zdaje się, że nazywali ją Marilyn.

Cybulski nie był z tego dumny, ale po rozwodzie z Żanetą próbował rozbudzić w sobie męskość i kilka razy poszedł do klubu dla panów popularnego wśród policjantów z Brodnicy. Miejsce nosiło dumną nazwę Gwiazdzoziór i szczyliło się tym,

że tancerki są wcieleniami niezapomnianych kobiecych ikon piękna.

Mimo że kobieta na zdjęciu miała na głowie ognistorudą perukę, Cybulski był niemal pewien, że w klubie występowała jako Marilyn Monroe. Cybulski pamiętał jej występ w białej sukience przypominającej tę ze *Słomianego wdowca*. Tylko dużo, dużo krótszej, poprawił się w duchu. To była jego ostatnia wizyta w tym miejscu. Zdecydowanie nie lubił, kiedy od razu wszystko było wiadomo. Niedopowiedzenia były znacznie ciekawsze. Pozostawiały pole do popisu wyobraźni. Cybulski uważał, że skąpe stroje striptizerek stanowiły obrazę męskiego intelektu. Najwidoczniej tylko on był tego zdania, bo mimo iż Gwiazdozbiór znajdował się na obrzeżach miasta, wieczorami był wypełniony po brzegi.

– Możliwe, że masz rację – odezwał się Małecki po krótkim namyśle. – Też ją jakoś kojarzę.

– Myślicie, że to ona...? – Prokurator Gawroński nie dokończył. Wszyscy wiedzieli, że chodzi mu o damski tułów, który sprawca złączył z głową sędziego Jaworskiego.

– Trzeba będzie poprosić kogoś z Gwiazdozbioru o identyfikację – powiedział Cybulski. – Może ma jakąś rodzinę... Kiedy zrobiono to zdjęcie?

Technik klikał przez chwilę w ekran, po czym poinformował:

– W piątek.

Zapadła krępująca cisza. Nie dało się dłużej uniknąć palącej kwestii obecności Podgórskiego na zdjęciu. Cybulski poczuł lekkie dławienie w gardle. To on zatrudnił Daniela. To on zaufał Podgórskiemu, kiedy policjant poprosił o przeniesienie z Lipowa do Brodnicy. To była jedna z jego pierwszych decyzji personalnych w nowej roli komendanta. Wydawało się, że to dobre posunięcie, bo Cybulski miał okazję widzieć Daniela w akcji, kiedy wspólnie pracowali nad sprawą Mordercy Dziewic dwa lata temu. Czyżby popełnił błąd?

– No dobrze... w takim razie ja zapytam – mruknął Małecki, przerywając ciszę. – I tak wszyscy o tym myślicie... Co robimy z Danielem?

Gawroński poruszył się niespokojnie, ale nic nie powiedział.

Prokurator byłby zadowolony, gdyby mógł pozbyć się Daniela, biorąc pod uwagę, co poróżniło obu mężczyzn. Zazdrość. Co za zdradliwe uczucie.

Cybulski pomyślał o Żanecie. O tym, że teraz dzieliła życie z innym mężczyzną. To było trudne do zniesienia.

– Jeżeli mogę się jeszcze wtrącić – szepnął znowu szef techników kryminalnych. Wyglądało na to, że planuje zaserwować im kolejną tajemnicę. – Te ślady opon na podjeździe...

– Co z nimi? – chciał wiedzieć Małecki.

– Do tej starej alfy z podwórka nie pasują, ale myślę, że do subaru pasowałyby jak najbardziej...

Znowu nie trzeba było kończyć. Wszyscy wiedzieli, że Podgórski lubi szybką jazdę i ma błękitne subaru imprezę z 1998 roku. Cybulski poprawił okulary. Był ostatnio u optyka i nareszcie były idealnie dopasowane, ale przyzwyczajenie pozostało.

– Potrzebuję czegoś mocniejszego – powiedział Gawroński. Całe szczęście starał się zachować prokuratorski obiektywizm.

– Przeszukajcie to miejsce. I to dokładnie. Jeżeli Daniel to zrobił, chcę mieć naprawdę przekonujący dowód. Nie wywinie się.

ROZDZIAŁ 10

Dom Rajmunda Jaworskiego w Strzemiuszczku. Poniedziałek, 8 czerwca 2015. Rajmund Jaworski

Rajmund przebrał się w poplamione robocze ubranie i włożył kilka puszek z farbą do reklamówki. Ręce ciągle mu drżały po wizycie policji. Salon zdawał się przesiąknięty zapachem obcych ludzi. Mierziło go to strasznie, ale pocieszał się nadzieją, że wszystko poszło w miarę dobrze. Zdecydowanie wolał, żeby nie rozgrzebywali niepotrzebnie starych spraw. Sam dopiero próbował się z nimi zmierzyć i nie chciał, żeby wtykali tam swoje policyjne nosy.

Wyszedł przed dom i od razu zaklął w duchu. Ta cholerna Maryśka pielila ten swój zasrany ogródeczek! Ile można? Nie było tam ani jednego chwastu. Ani jednego. Czasem Rajmundowi wydawało się, że sąsiadka czeka przy oknie i wyskakuje na zewnątrz, jak tylko zobaczy, że on gdzieś idzie.

– A pan znowu do remontu, panie Mundku! – zawołała kobieta z irytującą wesołością.

Rajmund pozdrowił ją skinieniem głowy. Jak się mieszka w takiej dziurze, to trzeba umieć zachować pozory sąsiedzkiej życzliwości. Uśmiechnął się pod nosem. Być może Maryśka nienawidziła go tak samo jak on jej.

– Ano tak, ano tak – powiedział z uśmiechem.

– Pan to się zaharuje na śmierć, panie Mundku – zażartowała sąsiadka. Otarła spocone czoło, pozostawiając na nim brązową smugę. – Niech no pan chociaż jeden dzień odpocznie! Dom nie ucieknie, nie zając.

Teraz już nie ucieknie, pomyślał Rajmund z pewną dozą nostalgicznego zadowolenia. Skoro brat nie żył, skończy się nękanie i walka o spuściznę po ojcu. Nareszcie, bo ciężko było

rozliczać się z przeszłością, walcząc jednocześnie z bratem.

– Mam takie poczucie, że powinienem – wyjaśnił sąsiadce. Szczerze mówiąc, naprawdę tak to czuł. – Ze względu na ojca. Nie chcę, żeby jego ukochane miejsce na ziemi stało zrujnowane. To wstyd. Kiedy chorował, nie było czasu, żeby się tym zająć, to chociaż teraz.

Maryśka pokiwała głową ze zrozumieniem.

– Niech pan tylko uważa na serce, panie Mundku! W naszym wieku to już nie to samo co kiedyś – przestrzegła. Jakby i bez niej nie wiedział, że lata i jego dopadły. Irytujące babsko. – Duchota piekielna! Ledwo oddycham! A to dopiero czerwiec. I to początek. Niedługo zaczną się prawdziwe upały i naprawdę trzeba będzie zachować ostrożność, żeby nie przeholować. Zdrowie ma się tylko jedno.

– Tak, ma pani rację – przyznał Rajmund. Nie było innego wyjścia, jeżeli chciał zakończyć tę rozmowę. – Przepraszam. Ja już pójdę...

Uklonił się grzecznie i ruszył przez łąkę w stronę domu ojca. Musiał się przedzierać przez wysoką trawę, ale wolał to niż nadkładać drogi, idąc szosą.

– Panie Mundku! – zawołała za nim Maryśka.

Odwrócił się. Nie mógł zliczyć, ile razy rozważał, jak najlepiej się jej pozbyć. Na razie zostało to w sferze życzeń.

– Co się stało, pani Marysiu?

– Pędzli pan zapomniał!

Rajmund zaklął w duchu. Nie sądził, żeby ktoś mógł go o coś podejrzewać, ale niedbanie o szczegóły mogło przesądzić o wielu sprawach. Cóż za nierozwaga.

– O tak, przepraszam – powiedział, uśmiechając się do niej miło. – Dobrze, że mi pani przypomniała! Musiałbym wracać.

Maryśka uśmiechnęła się szeroko, znowu ocierając pot z czoła.

– No widzi pan! Od czego się ma sąsiadów.

Rajmund odwrócił się szybko. Miał nadzieję, że nie widziała grymasu na jego twarzy. Potrzebował teraz chwili samotności i relaksu. Rozmowa z policją zupełnie go wykończyła.

ROZDZIAŁ 11

Brodnica.

Poniedziałek, 8 czerwca 2015.

Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska

Emilia oddychała ciężko. Najbardziej zawstydzające było to, że musiała przystawać co kilka schodków. Kiedy wreszcie dotarła na czwarte piętro bloku przy ulicy Kazimierza Wielkiego, dyszała jak przysłowiowa lokomotywa, a Marek i Daniel spoglądali na nią z wyraźną obawą. Tego jeszcze jej brakowało!

– Cięża to nie choroba – warknęła z irytacją. Efekt nie był powalający, bo cała siła jej głosu zniknęła gdzieś pomiędzy pierwszym a drugim piętrem.

– Spokojnie. Żaden z nas tak nie twierdzi – odparł Daniel bardzo ostrożnie. To tylko ją rozsierdziło. Co oni tam wiedzą? Zwłaszcza on. – Może po postu...

Strzałkowska rzuciła mu nienawistne spojrzenie, więc nie dokończył.

– Najważniejsze, że jesteśmy na miejscu – podsumował Marek ugodowo.

Emilia skinęła głową. Poczula, że jej oddech stopniowo się wyrównuje, a humor poprawia. To nie był czas na kłótnie. Tym bardziej że nagle znowu wydawało się, że jest jak dawniej. Jakby nic się nie stało, a oni stanowili dawny zgrany *team* z Lipowa.

Ruszyli do mieszkania córki sędziego Jaworskiego. Znajdowało się na końcu wąskiego korytarza. Dziewczyna była wprawdzie zameldowana w domu ojca w Szramowie, ale od dawna mieszkała w Brodnicach.

Dzwonek do drzwi najwyraźniej nie działał. Przycisk był zaklejony fantazyjnym plastrem z Kubusiem Puchatkiem

i Tygrysiem.

– Najpierw domofon, a teraz dzwonek? Jakaś zbiorowa awaria? – zażartował Marek i zapukał do drzwi. Był środek dnia, ale Rajmund Jaworski twierdził, że siostrzenica pracuje wieczorami i powinni ją zastać. Przyjechali więc bez zwłoki.

Rzeczywiście wkrótce po drugiej stronie drzwi rozległo się delikatne szuranie, zgrzytnęły zamki i drzwi uchyliły się odrobinę. Stała za nimi ubrana w szlafrok drobniutka dziewczyna. Miała olbrzymie niebieskie oczy i małe usteczka gejszy. Całości dopełniała krótka ciemna fryzurka. Gdyby Emilia nie wiedziała, że Natalia Jaworska ma dwadzieścia dwa lata, oceniłaby ją na szesnaście. Może nawet mniej.

– Ty tutaj? – rzuciła ostro na widok Daniela. – Skąd masz adres? Nie przyjmuję klientów w domu! Daj mi spokój.

Emilia i Marek wymienili spojrzenia zaskoczeni. Klientów? Co to mogło znaczyć? Strzałkowska poczuła, jak Dziecko kopie. Wyczuło pewnie jej konsternację. Zerknęła na Daniela. Był wyraźnie spięty, jakby nie spodziewał się, że córka Jaworskiego jest jego znajomą.

– To wy się znacie? – zapytała policjantka.

– A ta dwójka to kto? – zaatakowała dziewczyna, nie spuszczać oczu z Daniela.

– Jesteś córką sędziego Jakuba Jaworskiego? – zapytał.

Teraz na twarzy dziewczyny odmalowało się zdziwienie.

– Czyli jesteście od wuja Rajmunda. Dzwonił, żeby mi powiedzieć, że ktoś przyjdzie. Ciebie się nie spodziewałam – mruknęła w stronę Podgórskiego. – Myślałam, że chodzi ci... o co innego.

– Możemy wejść? – zapytał Daniel szybko.

Córka sędziego otworzyła szerzej drzwi i wpuściła ich do środka.

– Jasne, wchodźcie. Byle szybko. Nie chcę tracić całego dnia.

Weszli do przedpokoju. Mieszkanie zostało urządzone dość dziwnie. Emilia nie знаła się na dekoracji wnętrz, ale jej zdaniem nic tu do siebie nie pasowało. Wyglądało to tak, jakby naznoszono tu sprzętów z różnych domów. Kratki, paski, pastele, minimalizm, maksymalizm. Pomieszenie

z poplątaniem.

Młoda Jaworska zamknęła za nimi drzwi i szczerzej owinęła się szlafrokiem. Dopiero teraz Strzałkowska zauważyła, że pokrywa go delikatny nadruk w maleńkie misie. Potęgowało to jeszcze wrażenie, że dziewczyna jest niepełnoletnia.

Przez chwilę panowała cisza. Czekali, aż gospodyni zaprosi ich dalej, ale najwyraźniej nie miała na to ochoty.

– Musimy z przykrością panią poinformować, że pani ojciec nie żyje – odezwała się więc Strzałkowska.

Dziewczyna machnęła nonszalancko chudziutką ręką. Nic się nie stało, mówił jej gest.

– Już powiedziałam, że wuj do mnie dzwonił. Wiem.

– Nie wygląda pani na przejętą, pani Natalio – zdziwił się Marek.

– Twiggy – poprawiła go dziewczyna. – Wszyscy tak mnie nazywają. Przyzwyczałam się. To od tej modelki. U nas w klubie wszystkie dziewczyny mają jakieś ksywki.

– Pracuje pani w Gwiazdozbiorze? – zapytała Emilia powoli.

Z tego, co słyszała, to był klub ze striptizem. Spojrzała na Daniela. Policjant odwrócił wzrok. To i sposób, w jaki przywitała go Twiggy, dobitnie sugerowały, że w Gwiazdozbiorze na tańcu egzotycznym mogło się nie kończyć. Strzałkowska nie zamierzała się tym przejmować. Podgórski mógł lazić na dziwki, jeżeli chciał. Co ją to obchodzi? To jej zupełnie nie dotyczy. Cholera jasna! Ona jest tylko matką jego dwójki dzieci.

– Tak – odparła Twiggy bez skrępowania. – Te pseudonimy to pani Diana wymyśliła. Początkowo miałam być Polą Negri, bo szefowa miała swojego czasu obsesję na punkcie okresu międzywojennego. No ale stanęło na Twiggy. Tak wolę. Bardziej jestem do niej podobna. Poza tym Negri to zbyt dawne dzieje.

– Wróćmy do sędziego Jaworskiego – warknęła Strzałkowska, próbując zachować profesjonalizm. – Chcielibyśmy zadać pani kilka pytań.

Twiggy pokiwała głową.

– Słuchajcie, będę z wami szczerza. Możecie pytać, ale nic nie

wiem. Nie miałam właściwie żadnych relacji z ojcem, dobrze?

– To znaczy?

– To znaczy, że nie spotykałam się z nim od kilku lat. Właściwie nigdy nie było między nami dobrze. Nie zamierzam teraz udawać, że oplakuję jego śmierć. Nie jestem hipokrytką. Tak naprawdę to pewnie nawet nie zauważę, że go nie ma. Chyba że wy będziecie mnie nękać.

W pokoju na końcu korytarza coś się poruszyło.

– Ty chuju! Ty chuju! – rozległo się nagle. Głos był skrzeczący i dziwny. – Zabiję cię! Zabiję cię!

Widząc zaskoczenie policjantów, Twiggy zachichotała głośno.

– Spokojnie. To tylko Kacper. – Otarła łzy, które napłynęły jej do oczu ze śmiechu. – Moja papuga. Czasem zabieram go do klubu i chłopaki nauczyli go kilku najważniejszych słówek.

– Ty chuju! – zawołała papuga, jakby chciała się przed nimi popisać.

Twiggy znowu zaśmiała się głośno. Była w tym pewna czułość.

– Czy pani ojciec miał jakichś wrogów?

– Przecież już powiedziałam, że od dłuższego czasu nie utrzymywałam z nim kontaktu. Jak miałam szesnaście lat, to się od niego wyprowadziłam. Najpierw pomieszkowałam u wuja Rajmunda, a odkąd skończyłam osiemnastkę, wynajmuję ten przybytek – wyjaśniła Twiggy, zataczając ręką po przedpokoju. – Ale nie zdziwiłabym się, gdyby miał.

– Ty chuju! Ty chuju! – dobiegło znowu z drugiego pokoju.

– Może pani to wyjaśnić? – zapytała Emilia, ignorując kolejne wyzwiska, którymi racyła ich papuga. Bardziej interesowało ją, co ma do powiedzenia córka sędziego. Co rusz ktoś potwierdzał, że Jaworski nie był przyjemnym człowiekiem. Czy to właśnie przyczyniło się do jego śmierci? Komu i dlaczego zalaż za skórę?

Twiggy wzruszyła ramionami i znowu poprawiła szlafrok.

– Tylko tyle, że to nie był przyjemny typ. Nękał nawet wuja Rajmunda. Nie wiem, czy wuj wam wspomniał.

– Chodzi o dom pani dziadka? – upewnił się Marek. – Ten w remoncie?

Rajmund Jaworski napomknął o tym, kiedy kończyli go

przesłuchiwać.

– Tak. Z wujem też nie mam zbyt często kontaktu, ale mówił mi, że ojciec po prostu nie dawał mu spokoju o dom dziadka. Podobno ojciec nękał go od czasu jego pogrzebu.

– Była pani na pogrzebie? – zapytał Podgórski.

Twiggy zmierzyła go przelotnym spojrzeniem.

– Najpierw macanki, a teraz pani? Zabawni jesteście wy psiarze. U was tylko pozory i pozory.

Marek wciągnął głęboko powietrze, jakby nie spodziewał się czegoś takiego. Strzałkowska skrzyżowała ręce na piersi. Cholerny Daniel. Jak widać, nie myliła się co do niego.

– To byłeś na tym pogrzebie czy nie? – zapytał Daniel niespodziewanie ostro. Tym razem nie odwrócił wzroku.

– Spokojnie już. Bez nerw – syknęła Twiggy w odpowiedzi. – Byłam.

– Przed chwilą twierdziłaś, że nie widziałaś ojca od lat – zaatakował znowu Podgórski.

Twiggy spojrzała na niego spod oka.

– Wow, co za niesamowita dedukcja, panie Sherlock Holmes! – zakpiła. – Tak, widziałam ojca na pogrzebie. Ale nie gadaliśmy. Nie był mną szczególnie zainteresowany. Można by pomyśleć, że kiedy nie widziało się córki przeszło rok, to warto podejść i zamienić chociaż ze dwa słowa. Ale nie mój ojciec. Nie on. On wolał wyklócać się o ruinę z wujem Rajmundem.

Dziewczyna owinęła się szczelniej szlafrokiem, jakby chciała dodać sobie otuchy.

– I na pogrzebie zaczęło się to napastowanie? – zapytał Marek delikatnie.

– Tak. To znaczy nie wiedziałam wtedy, że o to chodzi. Wuj mi potem wyjaśnił przez telefon. Wuj Rajmund opiekował się dziadkiem. Komu jak komu, ale to jemu się należy dom. Nawet jeżeli to rudera. O, już sobie przypomniałam. Pogrzeb był piątego marca! Wtedy widziałam ojca po raz ostatni.

– Ty chuju! – rozległo się znowu z pokoju.

Twiggy ponownie zaczęła się śmiać, jakby to był najlepszy dowcip pod słońcem. Emilia nic nie mogła poradzić. Ta dziewczyna ją mierzyła. Nie tylko dlatego, że Daniel

prawdopodobnie płacił jej za seks. Szkoda, że nie wiedzieli, kiedy dokładnie zmarł sędzia Jaworski, Strzałkowska od razu wypytałaby ją o alibi. I bardzo by się cieszyła, gdyby Twiggy go nie miała.

– Jeżeli już mowa o dziedziczeniu – zaczęła Emilia – skoro pani ojciec nie żyje, to teraz pani dostanie jego dom w Szramowie i część domu dziadka w Strzemiuszczku. Czyż nie?

Strzałkowska postarała się, żeby ton jej głosu zabrzmiał neutralnie. W takich sprawach Klementyna była mistrzynią, przebiegło jej przez myśl. Pewnie dlatego, że Kopp wracała do Brodnicy. Oby tylko nie przyszło jej do głowy mścić się za tamte zeznania jesienią. Strzałkowska naprawdę nie potrzebowała więcej kłopotów.

– Wisi mi to – odparowała z miejsca Twiggy. – Nie chcę ani jednej, ani drugiej chałupy. Co ja bym tam mogła robić? Zresztą jeżeli w Szramowie leżał trup ojca, to tym bardziej. Nikt by tego nie chciał. Masakra jakaś. I to tak długo!

Twiggy wzdrygnęła się wyraźnie. Na jej policzkach pojawił się lekki rumieniec.

– Tak długo? – podchwycił Daniel.

– Spokojnie. Nie przyłapaliście mnie na błędzie – zaśmiała się Twiggy. – Niedawno trąbili o tym w radiu! Zawsze słucham, jak jem śniadanie.

Śledczy spojrzeli po sobie. Czyli media już wiedziały. W dobie telefonów komórkowych to była tylko kwestia czasu. Emilia na nowo poczuła mdłości na samo wspomnienie makabrycznej inscenizacji na piętrze domu sędziego. Nic dziwnego, że dziennikarze rzucili się na ten temat. Nie codziennie działo się w okolicy coś takiego.

– A, no i jeszcze jedno... – nagle głos Twiggy stał się błagalny, a oczy zrobiły się jeszcze większe. – Nie wspominajcie nikomu, że Jaworski to mój ojciec, dobra? Co wam szkodzi? Pani Diana i chłopaki nie pytają o metrykę, więc udało mi się to ukryć. Miałabym spore kłopoty, gdyby to wyszło na jaw. Pewnie by mnie wywalili.

ROZDZIAŁ 12

Garaż Braci Maciejewskich. Poniedziałek, 8 czerwca 2015. Piotr Maciejewski

Piotr Maciejewski spróbował podrapać się po twarzy nadgarstkiem, żeby nie ubrudzić się smarem. Nie pomogło, wytarł więc ręce w brudną szmatę. Spojrzał na swoje dłonie krytycznie. Smar jak był, tak był. Bez względu na to, jak by się nie szorowało, i tak nie dało rady zmyć. Cholerstwo włożyło w skórę. Taka praca. I nie mógł powiedzieć, że jej nie lubi. Nawet wręcz przeciwnie. A już na pewno nie wyobrażał sobie, żeby miał pracować w biurze, sklepie czy gdzieś tam jeszcze. Ręce może i miałyby czyściutkie, ale to tu wśród zapachu benzyny był u siebie.

– Szefie, przyszło to nowe sprzęgło i amortyzatory gazowe! – krzyknął Zychu, zaglądając do hali. – Zrzucić to tu?

– Jasne. Potem się tym zajmę.

Maciejewski wyszedł przed garaż i z satysfakcją spojrzął na parking. Był zapchany samochodami. Nowe logo i afera wokół niego sprawiły, że nie mogli się opędzić od klientów. Nie zawsze tak było. Najwyraźniej jednak ludzie rzeczywiście jarali się takimi rzeczami.

Albo cholernie lubili opowiedzieć się po czyjejś stronie, przyszło mu do głowy. Za i przeciw. Ci, którzy tu teraz do niego przyjeżdżali, uważali chyba, że to jakiś przedwyborczy *statement*. Bawiło go to.

Jakkolwiek by było, najważniejsze, że logo zwróciło na nich uwagę, bo wcześniej garaż ledwie prządl. Gdyby mieszkał w Warszawie, Krakowie albo we Wrocławiu... Tam pewnie byłoby łatwiej, ale tu ludzie byli praktyczni. Zdarzało się co prawda, że ktoś chciał mieć spoiler czy obniżone zawieszenie,

ale tak naprawdę to było mało zabawne. Maciejewski najbardziej lubił odnawiać stare samochody i zmieniać je w błyszczące nowością cacuszka w starym stylu. To był właśnie największy *fun* w tej robocie.

Odszedł jeszcze kawałek dalej i zapalił papierosa. Zaciągnął się głęboko. Samochody faktycznie były jego pasją, ale prawdziwą miłością pozostawały motocykle. Pęd powietrza na twarzy... Nie zrozumie nikt, kto tego nie przeżył.

W jego kieszeni zawibrował telefon, przerywając rozważania Maciejewskiego.

– No, co tam? – zapytał, odbierając.

Ekran znowu nie zadziałał, więc mechanik zaklął głośno. Miał wymienić zbitą szybkę już dawno, ale jakoś ciągle brakowało czasu. Komórka zlepiona była taśmą klejącą i działała, kiedy chciała. Raz jeszcze przejechał palcem po wyświetlaczu. Tym razem zaskoczyło.

– Halo? – usłyszał szept po drugiej stronie linii.

– Jestem, jestem.

– W tym tygodniu.

Mówiła tak przyciszonym głosem, że ledwie ją słyszał. Odszedł kawałek dalej, bo chłopaki w garażu zaczęli coś przykręcać i zupełnie nie był pewien, czy dobrze rozumiał.

– W tym tygodniu? Jesteś pewna?

– Tak. Zadzwoń.

Rozłączyła się bez pożegnania. Pewnie znowu nie mogła rozmawiać otwarcie. Maciejewski spokojnie schował telefon do kieszeni roboczych bojówek i znowu zaciągnął się papierosem. Skinął na Zycha. Mechanik ruszył do niego powolnym krokiem. Długie siwawe włosy wystawały mu spod czarnej bandany. Spojrzał na Maciejewskiego pytająco.

– Bądźcie gotowi. To może być lada dzień – poinformował.

Zychu skinął głową bez słowa. Maciejewski powtórzył ten gest bezwiednie. Tak naprawdę byli gotowi. Czekali tylko na sygnał.

ROZDZIAŁ 13

Gwiazdozbiór. Poniedziałek, 8 czerwca 2015. Podinspektor Wiktor Cybulski

Srebrne mondeo podskakiwało na wertepach. Zjechali z głównego traktu w las. Droga w kierunku Niskiego Brodna była gruntowa. Dopiero kawałek dalej, za kolejnym zakrętem, została wyłożona elegancką szarą kostką. Las stawał się stopniowo coraz bardziej uporządkowany, aż niepostrzeżenie zmieniał się w coś w rodzaju pozornie dzikiego, ale tak naprawdę dobrze zaplanowanego ogrodu, który otaczał Gwiazdozbiór.

Kiedy podjechali do wielkiej kutej bramy, od razu zaczęła się otwierać.

– Podobno mają tu niezły system kamer – powiedział Małecki.

– Tak podejrzewam. Myślisz, że to, co się stało w domu sędziego Jaworskiego, ma jakiś związek ze sprawą Rakowskiego?

Cybulski skinął w stronę klubu. O ile dobrze pamiętał, do tragedii doszło jakieś dwa lata temu. Jeden ze współwłaścicieli Gwiazdozbioru, Longin Grzelak, zabił swojego partnera biznesowego Lecha Rakowskiego. Pomagał mu kierowca, Dymitr Sokołow.

– To znaczy?

– O ile dobrze pamiętam, sprawę o zabójstwo sądził Jaworski – przypomniał komendant. – Teraz być może ofiarą była kobieta, która tańczyła w klubie.

– To może być przypadek. Nie wyciągajmy zbyt pochopnych wniosków tylko po to, żeby wykluczyć udział Podgórskiego.

Cybulski zastanowił się. Może Małecki miał rację. Choć

zdecydowanie lepszym rozwiązaniem dla nich wszystkich byłoby powiązanie Gwiazdozbioru z makabryczną inscenizacją z domu Jaworskiego niż ewentualna wina Daniela Podgórskiego.

Brama otworzyła się do końca. Opony chrzęściły na drobnych białych kamykach, którymi wysypany był podjazd. Komendant zaparkował po lewej stronie budynku. Gwiazdozbiór położony był na uboczu, już poza granicami miasta, ale nie oznaczało to bynajmniej braku klientów. Aura tajemniczości, a przede wszystkim prywatności sprawiała, że zabawiało się tu nie tylko wielu policjantów, ale także prominentnych mieszkańców Brodnicy. Miejsce tętniło życiem nie tylko wieczorem. Teraz, w środku dnia, też stało tu sporo samochodów. Cybulski rozpoznał nawet kilka.

Małecki włożył nieodłącznego papierosa do ust, ale nie zapalił.

– Rzucasz? – Cybulski nie mógł się powstrzymać przed zadaniem tego pytania. Kiedyś Małecki palił prawie bez przerwy. Ale odkąd wyszli z domu sędziego Jaworskiego w Szramowie, nie zapalił ani razu.

– Nie, dlaczego?

Cybulski wzruszył ramionami. Zamknął drzwi nieoznakowanego radiowozu i ruszyli w stronę budynku. Gwiazdozbiór przypominał dwór w angielskim stylu. Wzdłuż ścian rosły równo przystrzyżone krzewy. W powietrzu unosiła się przyjemna woń świeżo koszonej trawy. Czuć było też intensywny zapach jeziora. Nie było go stąd widać, ale Niskie Brodno znajdowało się zaledwie kilkanaście metrów za budynkiem.

Na spotkanie wyszła im elegancka kobieta. Ubrana była w błękitną sukienkę i cieliste czółenka. Żadnego odsłoniętego dekoltu. Zero kuszenia. Pełny profesjonalizm. Na jej szyi połyskiwał krótki sznur białych pereł.

Cybulski zdrygnął się na ten widok. Stała mu przed oczami upiorna figura w domu sędziego Jaworskiego. Tamten sznur pereł był jednak znacznie dłuższy. Morderca owinał go dwa razy wokół szyi stworzonej przez siebie postaci. Perły

i biała suknia z niskim stanem okrywająca damski korpus przywodziły Cybulskiemu na myśl modę lat dwudziestych.

Ciekawe, jakie to ma znaczenie dla sprawcy, zastanawiał się komendant, bo chyba jakieś musiało mieć. No i przede wszystkim jaka jest w tym rola Daniela? Zerknął na Małeckiego. Komisarz był dobry w swoim fachu, ale nie najlepszy. Najlepsza była Klementyna. To ona powinna tu teraz być. Oczywiście nie wchodziło to w grę. Przynajmniej nie oficjalnie.

– Dzień dobry – powitała ich kobieta. – Diana Grzelak, właścicielka Gwiazdozbioru... ale pewnie panowie wiedzą. Zdaje się, że miałam już przyjemność gościć obu panów w naszym klubie.

Kobieta nie musiała się przedstawiać. Cybulski dobrze znał jej nazwisko. Kiedy jej mąż i jego kierowca trafili do więzienia za zabójstwo Lecha Rakowskiego, Diana przejęła rządy nad klubem.

– Wiktor Cybulski – przedstawił się komendant. – Uprzedzając pani pytanie, niestety nie jestem spokrewniony ze słynnym aktorem.

– Naprawdę? – zapytała Diana Grzelak uprzejmie. – A jest pan niezmiernie podobny. Ten sam czar.

Cybulski uśmiechnął się na te słowa.

– Komisarz Nikodem Małecki – przedstawił się jego towarzysz.

Wymienili uściski dłoni. Skóra Diany była miękka i przyjemna. Wypiełgnowana. Cybulski nie mógł oprzeć się wrażeniu, że w tym względzie przypominała Żanetę.

– Zapraszam do środka. O tej porze nie ma nocnej zmiany, a to z nimi Marilyn głównie pracowała i spędzała czas – wyjaśniła Diana. – Gdyby mnie panowie zawiadomili wcześniej, zadzwoniłabym do nich wszystkich. Teraz jest tylko mój szef ochrony, barman i jedna z tancerek. Wszyscy czekają w moim gabinecie. Tam porozmawiamy spokojnie. Trudno mi uwierzyć w taką tragedię... Marilyn nie żyje. To znaczy Swietłana Sokołowa. Tak się nazywała. Przepraszam. Jesteśmy tu przyzwyczajeni posługiwać się pseudonimami scenicznymi.

Cybulski spojrział na nią z zainteresowaniem.

– Marilyn nazywała się naprawdę Swietłana Sokołowa?

– Tak. Myślałam, że panowie wiedzą.

Diana nie sprecyzowała, skąd mogliby to wiedzieć. Być może chodziło o ich wcześniejsze wizyty w klubie.

– O ile dobrze pamiętam, kierowca pani męża... – zaczął komendant.

– Tak, Swietłana była żoną Dymitra – dokończyła Diana. Jeżeli wspomnienie tamtej sprawy zrobiło na niej jakieś wrażenie, to nie dała tego po sobie poznać.

Cybulski zerknął na Małeckiego, ale komisarz wzruszył ramionami. Komendant postanowił więc nie drażnić na razie tematu, mimo że jego zdaniem ten trop mógł być nad wyraz obiecujący. Jeżeli tożsamość denatki się potwierdzi, druga ofiara była nie tylko striptizerką w tym klubie, ale też żoną jednego ze skazanych za morderstwo Lecha Rakowskiego mężczyzn.

Diana Grzelak poprowadziła ich do głównego wejścia. Diana. Cybulski zastanawiał się, czy to jej prawdziwe imię, czy też używała pseudonimu, jak tancerki, które dla niej pracowały. Ubiorem, fryzurą i elegancją rzeczywiście przypominała brytyjską księżną. Być może specjalnie to podkreślała, żeby być kolejną ikoną piękna Gwiazdozbioru.

– Zapraszam – powiedziała Diana raz jeszcze, otwierając drzwi.

Znaleźli się w sporej sali, która zdecydowanie bardziej kojarzyła się z urządzoną w dobrym guście restauracją niż klubem ze striptizem. Cybulski dobrze jednak wiedział, że w głębi korytarza jest druga sala. To tam ustawiono scenę z rurą do tańca i urządzono bar z mniej wyszukаныmi trunkami.

Diana poprowadziła ich na zaplecze i zaprosiła do swojego gabinetu. Pomieszczenie było przestronne. Wielkie nieosłonięte kotarami okna wychodziły na jezioro, potęgując jeszcze to wrażenie. Niebo było zachmurzone i falująca tafla Niskiego Brodna wydawała się brunatna i ciemna. Przy lepszej pogodzie pewnie błyszczała w promieniach słońca,

rozświetlając gabinet.

Pośrodku sali stało rzeźbione biurko. Przysiadł na nim olbrzymi, ogolony na łyso mężczyzna. Cybulski musiał dosłownie zadrzeć głowę, żeby spojrzeć mu w oczy, mimo że ten nie był nawet wyprostowany. Rękawy czarnej bluzki opinały się na nienaturalnie wielkich bicepsach.

– To jest Grzegorz Zakrzewski, szef ochrony – wyjaśniła Diana. – To on będzie identyfikował ciało, bo przez jakiś czas spotykał się z Marilyn. Z tego względu... ekhm... najlepiej z nas zna te rejony jej ciała, o które panom chodzi. Przepraszam, to dość krepujące.

– Krzywy – powiedział olbrzym.

Nie wyglądał na szczególnie zakłopotanego tym, że ma identyfikować ciało na podstawie charakterystycznego piercingu w miejscu intymnym. Ucisnęła Cybulskiemu boleśnie rękę, potem Małeckiemu. Komisarz wyglądał przy tym wielkoludzie jak mały chłopiec. Komendant wołał sobie nie wyobrażać, jak on sam się prezentuje.

– To Żaba – wyjaśnił Krzywy, przedstawiając pozostałe dwie osoby zgromadzone w gabinecie. – A to Pamela.

– Tomasz Zieliński. Jestem tu barmanem.

Żaba był mężczyzną znacznie mniejszej postury niż jego współpracownik. Można było nawet zaryzykować stwierdzenie, że zdawał się dość chuderlawy. Miał pomalowane czarnym eyelinerem oczy i czarne paznokcie. Do tego skórzane spodnie rockowego wokalisty.

– Pamela. Tancerka.

Nawet bez podawania scenicznego pseudonimu nie było wątpliwości, jaką ikonę udaje. Miała tlenione blond włosy, duże usta i gigantyczny biust. Cybulski omal się nie wzdrygnął. Nie podobały mu się takie panie. Zupełnie nie rozumiał mężczyzn, którzy ekscytowali się taką dosłownością. Znowu pomyślał o Żanecie. Jej klasa była nie do podrobienia. Na myśl o tym, że teraz dzieliła życie z kimś innym, ogarniała go fala zazdrości.

Starął się odsunąć od siebie tęsknotę. Od czasu rozvodu powtarzał sobie, że to zamknięty rozdział. Niestety bez skutku. Przedstawił szybko siebie i Małeckiego. Nie miał już nawet

ochoty napomykać o braku koligacji z amantem polskiego kina. Niech myślą, co chcą.

– Gdzie macie ten tułów? – warknął Krzywy, kiedy przywitania zostały zakończone. Mówił trochę niewyraźnie. Być może przez to, że jego górna warga została zszyta w kilku miejscach. – Pokażcie i miejmy to już za sobą.

Małecki spojrział na olbrzyma spod oka. Włożył nieodłącznego papierosa za ucho i sięgnął do aktówki.

– Na razie muszą wystarczyć zdjęcia – oznajmił. – Nie wozimy ze sobą trupów.

– Dawaj zdjęcia w takim razie. Byle szybciej.

Małecki podał Krzywemu fotografie wykonane na miejscu zbrodni. Później trzeba będzie pokazać ochroniarzowi ciało. Tożsamość zabitej należało jednak potwierdzić jak najszybciej.

Krzywy przeglądał zdjęcia w milczeniu. Dochodził do ostatniego i metodycznie zaczynał od nowa. Żyłki pulsowały pod napięciem na wyrzeźbionych mięśniach skórą. Cisza przeciągała się niemilosernie.

– To Mary – oznajmił w końcu olbrzym.

– Jest pan pewien? – zapytał Małecki.

– Jestem kurewsko pewien.

Małecki wyciągnął rękę po zdjęcia. Krzywy zignorował jego gest i podał fotografie Żabie, jakby mimo wszystko potrzebował potwierdzenia od drugiej osoby. Barman ledwie rzucił okiem na zdjęcia, a jego twarz się wykrzywiła. Podał zdjęcia Pameli. Striptizerka wzięła je ostrożnie, jakby parzyły. Żuła gumę tak zawzięcie, że gruba warstwa podkładu na jej twarzy marszczyła się przy każdym ruchu. Dopiero teraz Cybulski dostrzegł, że jest kobietą znacznie starszą, niż mu się początkowo wydawało. Musiała mieć koło czterdziestki. Dużo jak na tancerkę egzotyczną.

Pamela skinęła głową bez słowa i oddała zdjęcia Krzywemu, jakby już należały do niego.

– To Mary – powiedziała. – Chwaliła się tym piercingiem non stop. Szefowa chyba sama pamięta.

Diana omijała wzrokiem zdjęcia. Skinęła tylko głową.

– Zrozumiałam, że dysponują panowie także zdjęciami

twarzy.

Cybulski nie zamierzał przyznać, że głowy Swietłany Sokołowej na razie nie znaleźli.

– Tak. Dzięki nim tu trafiliśmy – powiedział z nadzieją, że Diana nie będzie pytała dalej.

– To trudny moment dla naszego zespołu – szepnęła, nie drażąc tematu głowy. – Jesteśmy mocno zżyci.

– Czy pani Swietłana ma jakąś bliską rodzinę? – zapytał komendant.

– Męża. Jak już pan wie, Dymitr jest w więzieniu. No i syna. Lwa.

Cybulski poczuł, że serce zaczyna mu bić szybciej z niepokojem.

– Kto się zajmuje dzieckiem?

– Co pan ma na myśli?

– Pani Sokołowa nie żyje prawdopodobnie od piątku...

Cybulski nie dokończył. Nie musiał.

– Słuchajcie! Co się stało z Lewką?! – zawołał barman. Wyglądał na szczerze zaniepokojonego. – Skoro Mary nie żyje?! Co z nim?

Na twarzy Diany również malowała się trwoga.

– Znajdziemy chłopca – zapewnił Cybulski. Zabrzmiało to całkiem wiarygodnie, chociaż niepokój, który teraz odczuwał, był niemal namacalny. Najważniejsze, że dziecko nie trafiło do koszmarniej inscenizacji w domu sędziego Jaworskiego, pocieszył się w duchu. Może nic mu się nie stało. – Gdzie mieszkała Swietłana?

– Zapiszę panom adres – powiedziała Diana i sięgnęła po leżący na biurku notes. – Boże drogi, mam nadzieję, że Lewka nie jest sam w domu od piątku...

Nagle Krzywy walnął wielką łapą o blat drewnianego biurka. Równo poukładane przedmioty podskoczyły i opadły z głośnym hukiem.

– Przestańcie histeryzować. Przecież Lewka na pewno jest u opiekunki. Sprawdźcie ją.

Atmosfera w pokoju wyraźnie się rozluźniła.

– Ma pan do niej jakiś kontakt?

– Edzia się nazywa – powiedział Krzywy, sięgając po telefon.

– Mam gdzieś jej namiary. Mary kiedyś mnie prosiła, żebym chłopaka odebrał. Zapisałem tu sobie.

– Boże, żeby Lewka u niej był – szepnęła Diana, kiedy Krzywy dyktował policjantom adres.

Cybulski odwrócił się do Małeckiego.

– Zadzwoń do ludzi z Lipowa, żeby natychmiast to sprawdzili – poprosił.

– Ale teraz jest z nimi...

– Zadzwoń do nich. Niech jada pod ten adres – przerwał mu komendant.

W tej chwili nie obchodziło go, że Podgórski może być jednym z podejrzanych. Trzeba było upewnić się, że dziecko Sokołowej jest bezpieczne. A wina Daniela nie została jeszcze w żaden sposób potwierdzona.

Małecki bez słowa wybrał numer i wydał polecenia. Wszyscy czekali w milczeniu, aż skończy.

– Zaraz to sprawdzą – poinformował, rozłączając się.

Zerknął przy tym na Cybulskiego niechętnie. Chyba niezbyt mu się podobało, że komendant przejął sprawę. Nie chodziło tylko o Daniela. Małecki i Cybulski przez długie lata pracowali razem w wydziale kryminalnym na równorzędnych stanowiskach. Teraz komisarz musiał się podporządkować dawnemu koledze. To nigdy nie jest łatwe.

– Kiedy widzieli państwo Swietlanę Sokołową po raz ostatni? – zapytał Cybulski, żeby skierować rozmowę na właściwe tory.

– W piątek – odpowiedzieli niemal chórem.

Komendant pokiwał głową. To by się zgadzało ze wstępnymi ustaleniami patologa co do czasu śmierci Marilyn.

– To dwa dni temu – włączył się Małecki. Jego kowbojki skrzypiały przy każdym ruchu. Musiały być nowe i skóra jeszcze się nie wyrobiła. Cybulski nie był pewien, dlaczego nie zwrócił na to wcześniej uwagi. Teraz ten dźwięk go drażnił. – Skoro jesteście takim zgranym zespołem, dlaczego nie zainteresowaliście się jej zniknięciem? Klub jest chyba czynny w soboty i niedziele, prawda?

– Nie wiedzieliśmy, że jej nie ma. Dałam jej wolny weekend – wyjaśniła Diana. – W czwartek miała urodziny. To był prezent.

Miała przyjść dziś wieczorem na swój występ. Dlatego nikt z nas się nie martwił. To okropne... Dopiero miała urodziny, a teraz nie żyje.

Słowa Diany zawisły w powietrzu jak wyrzut.

– My jej daliśmy telefon – szepnęła Pamela, nadal żując gumę. – Wcześniej miała strasznie stary.

– Była zrzutka – dodał barman. – Tak się śmialiśmy z tego jej grata. Teraz okropnie się z tym czuję...

– Kurwa, Żaba, daj żyć – warknął Krzywy. – Chyba teraz ważniejsze, czy z Lewką w porządku.

– Długo się pan spotykał ze Swietlaną? – zapytał Małecki.

Olbrzym wyglądał na zirytowanego.

– Teraz mnie wypytujecie? W takiej chwili? Jakie to ma znaczenie? Poszukajcie chłopaka. Kurwa, że też nie znam numeru do Edzi. Może sam tam pojedę sprawdzić.

– Spokojnie. Nasi ludzie zaraz tam będą – zapewnił Cybulski.

– Proszę odpowiedzieć na pytanie. Jak długo byliście parą?

– Jakiś czas. Dymitr gwarantuje, więc jakoś tak się stało, że się spiknęliśmy. Zresztą już od dawna się... Zerwaliśmy i tyle.

– Kiedy? – zainteresował się komendant. Chciał pociągnąć ten temat. Zdecydowanie wolałby w roli mordercy Krzywego niż Daniela.

Olbrzym wzruszył ramionami niechętnie.

– Z miesiąc, dwa chyba będzie – podsunęła Pamela usłudźnie.

Wyjęła gumę z ust i przez chwilę gniotła ją w palcach. Cybulski odwrócił się natychmiast. Nie był to przyjemny widok. Małecki chyba też nie mógł go znieść, bo podszedł do striptizerki i jednym szybkim ruchem zabrał jej gumę. Wyjął chusteczkę higieniczną z kieszeni dzinsów i zawinął ją dokładnie. Pamela nie spuszczała z niego wzroku dziwnie zafascynowana.

– Wspominała coś o planach na wolny weekend? – zapytał komisarz, rzucając chusteczkę w stronę kosza stojącego za biurkiem.

– Mnie nic nie mówiła – odparła Pamela z uśmiechem.

– A wy coś wiecie na ten temat?

Pozostali pokręcili głowami.

– Odtwórzmy może wydarzenia z piątku – zaproponował komendant.

– Wieczorem tańczyła – zaczęła Diana Grzelak. – Pozwoliłam jej skończyć wcześniej. Należało się dziewczynie.

– Do której była tu w klubie?

– Do jakiejś dwudziestej pierwszej. Nie później. Pamela i jeszcze jedna dziewczyna, Twiggy, zastępowały ją tamtej nocy.

Pamela pokiwała głową na potwierdzenie słów szefowej.

– Co było dalej?

Diana rozejrzała się po pracownikach.

– Wiecie? Bo ja byłam tu w gabinecie i nie widziałam jej już potem.

– Robiła prywatny taniec dla jednego z was – stwierdził Żaba powoli. W jego głosie czaił się wyrzut.

– Jednego z nas? – zapytał Cybulski zdziwiony.

– Żabie chodziło o policjanta – wyjaśniła Pamela. – Taki wysoki. Nazywa się Daniel, o ile wiem.

Cybulski i Małecki wymienili spojrzenia. Małecki uśmiechnął się ponuro. A nie mówiłem, czaiło się w jego oczach.

– Tak – potwierdził Żaba. – Daniel Podgórski. O niego mi chodzi.

– Czy ten policjant jest tu częstym gościem? – zapytał Cybulski. Nie mógł nie zadać tego pytania, chociaż naprawdę nie podobało mu się, że Podgórski mógł być w to zamieszany.

– Dostyc częstym – powiedział barman.

– Mary często dla niego tańczyła – potwierdziła Pamela. – Podobała mu się. Facet jest nieźle porąbany. Jak popije, to ciągle nawija o swojej Weronice.

– Rudej Weronice – dodał Krzywy z pozornie poważnym wyrazem twarzy.

Pamela i Żaba zaśmiali się, jakby to był ich wspólny żart. Tylko Diana Grzelak pozostała poważna. Cybulskiemu coraz bardziej się to wszystko nie podobało.

– Marilyn specjalnie kupiła sobie rudą perukę, żeby mu sprawić przyjemność – dodała Pamela. – Wkładała ją, kiedy dla niego tańczyła.

– Mamy zdjęcie peruki? – zapytał Cybulski Małeckiego.

Media i tak wiedziały już wiele, ujawnienie kolejnego szczegółu ludziom z klubu nie mogło nikomu zaszkodzić.

Komisarz sięgnął po telefon i wybrał jedną z fotografii, które zrobił na miejscu zbrodni.

– To ta?

Pamela spojrzała na zdjęcie. Peruka znajdowała się już w torebce na dowody. Wyglądała całkiem zwyczajnie, kiedy nie stanowiła elementu inscenizacji.

– Możliwe. Kolor by się zgadzał. Ta peruka to trochę dziwna sprawa, ale Daniel dawał napiwki, więc Mary nie chciała go stracić. Zresztą gość nie jest taki zły. Interesował go głównie taniec i luźna gadka o nieszczęśliwej miłości. Rzadko coś więcej.

– Coś więcej? – podchwycił Małecki.

Diana odchrząknęła wyraźnie zakłopotana gadulstwem swojej pracownicy. W komendzie od dawna podejrzewano, że usługi w Gwiazdozbiorze nie kończą się na striptizie. Niestety jak zwykle zmowa milczenia utrudniała policji jakiegokolwiek działanie.

Cybulski postanowił na razie w to nie wnikać. Priorytetem było znalezienie mordercy, a na razie wyglądało na to, że człowiek, którego sam zatrudnił w wydziale kryminalnym, ma niejedno na sumieniu. Dziwne. Kiedy dzięki Klementynie poznał Daniela dwa lata temu, policjant z Lipowa zrobił na nim dobre wrażenie. Cybulski miał nadzieję, że doszło do jakiegoś koszmarnego nieporozumienia.

– Tej nocy tańczyła tylko dla Podgórskiego? – zapytał Małecki. – Chodzi mi o te prywatne tańce.

Słowa komisarza wyraźnie sugerowały, o co tak naprawdę mu chodziło.

– To klub ze striptizem. Wszystko jest tu legalne – poczuła się w obowiązku zapewnić Diana. – Nie mogę jednak kontrolować, co moje tancerki robią prywatnie. To ich sprawa! Ich życie, ich wybory.

Cybulski skinął powoli głową. Być może ten wybór kosztował Swietlanę Sokołową życie.

– Widziałem, jak razem wyszli – odezwał się Krzywý. Ruszał

szczęką, jakby on też coś przeżuwał. – Potem Marilyn już tu nie wróciła. Myślałem, że po prostu pojechała do domu. Już po.

Nagle Cybulski poczuł, że jego telefon wibruje. Wyjął go z kieszeni i zerknął na wyświetlacz. Dzwonił szef techników kryminalnych.

– Halo?

– Mamy scyzoryk! – oznajmił bez przywitania.

– Scyzoryk?

Cybulski nie wiedział, co to znaczy.

ROZDZIAŁ 14

Centrum Terapii doktora Witkowskiego w Brodnicy. Poniedziałek, 8 czerwca 2015. Doktor Dorian Witkowski

Doktor Dorian Witkowski stanął przed lustrem i poprawił krawat. Lubił szalone, ale tylko na pozór, połączenia kolorystyczne. Dziś włożył płócienną żółtą marynarkę, fioletową jedwabną koszulę i ognistoczerwony krawat w różowe prążki. I seledynowe spodnie, dość obcisłe, według nowej mody.

Spojrzał na siebie raz jeszcze zadowolony. Zdawał sobie sprawę, że zdaniem niektórych wyglądał niecodziennie. Jak klaun. Słyszał to już na ulicy. Najczęściej od szaraczków, którzy nie potrafili wyjść poza beże.

Nie, nie zamierzał przejmować się krytyką takich ludzi. A już na pewno nie w kwestii mody. Witkowski uważał, że kolory najlepiej nadają się do wyrażenia osobowości. Dlaczego mógłby nie mieć do tego prawa? To było w końcu najważniejsze. Być w zgodzie ze sobą.

Zadrzał. Najgorsze, że teraz zdecydowanie nie był w zgodzie ze sobą. Czuł dysonans poznawczy. O tak. Dawno już odciął się od sztywnego nazewnictwa i podążył w terapii swoją własną drogą, ale tym razem słowa nasuwały się same.

Dysonans poznawczy.

Witkowskiemu naprawdę trudno było zaakceptować to, co zrobił. Najchętniej wymazałby wszystko z pamięci. Nie tylko wysypisko... Tyle błędów! A co gorsza, jeden wynikał z drugiego, a potem pojawiał się kolejny. I kolejny. Jednym słowem, typowa równia pochyła. W dół, w dół, w dół.

Westchnął. Miał nadzieję, że ta sprawa zakończy się we wtorek tydzień temu! Tak się jednak nie stało. Nie ma tak

łatwo! Właściwie mógł zaryzykować twierdzenie, że teraz było gorzej niż wcześniej! Witkowski nie mógł wiedzieć, co konkretnie zrobił, a czego nie zrobił sędzieja Jaworski, zanim umarł. Może skłamał i wcale nie zamierzał czekać?

– Panie doktorze. – Bogna uchyliła drzwi i zajrzała ostrożnie do gabinetu. – Pani Lisowska już tu jest. Poprosić ją?

Witkowski spojrział na recepcjonistkę. Była wesołą, gadatliwą dziewczyną, która z łatwością nawiązywała ze wszystkimi kontakt. Cud, miód i orzeszki. Tyle że teraz psychiatra żałował, że ją zatrudnił. Chwilowo wolałby mieć zamiast niej kogoś, kto trzyma gębę na kłódkę.

Pokręcił głową, starając się odpędzić natrętne myśli. Bogna nie była winna. Jeżeli ktokolwiek zawinił, to tylko on sam.

– Jeszcze nie? – upewniła się recepcjonistka.

Źle zinterpretowała jego gest. A może dobrze? Witkowski nie miał ochoty spędzić długiej godziny z Lisowską. Kobieta twierdziła, że ma ciężką depresję, podczas gdy tak naprawdę była zwyczajnie znudzona siedzeniem w domu. Terapia stanowiła raczej przerywnik między jednym a drugim serialem. Nie widziała jeszcze prawdziwej depresji!

Witkowski znowu pokręcił głową. Nie podobało mu się, że myśli w ten sposób o pacjentach. Nie powinien. Jako terapeuta zdecydowanie nie powinien. Do czego to doszło!

– Oczywiście, poproszę ją. Jestem gotowy.

Bogna zawahała się, stojąc w drzwiach.

– Widział pan, co się stało...? – nie dokończyła. Patrzyła na niego pytająco. – Straszne!

Witkowski próbował powstrzymać nerwowy tik oka, ale się nie udało. Może Bogna nie zwróci na to uwagi.

– Masz na myśli wiadomości w telewizji? Oczywiście, że tak... to doprawdy tragedia...

Recepcjonistka wyglądała, jakby chciała coś powiedzieć. Nie miał ochoty zagłębiać się w ten temat.

– Wprowadź panią Lisowską – poprosił szybko. Lepsza rozmowa o serialach niż o śmierci Jaworskiego.

ROZDZIAŁ 15

Brodnica. Poniedziałek, 8 czerwca 2015. Aspirant Daniel Podgórski

Po telefonie od Małeckiego Daniel, Marek i Emilia pojechali niezwłocznie do niejkiej Edyty Sadowskiej. Według informacji, które Małecki i Cybulski uzyskali od Krzywego w Gwiazdozbiorze, Sadowska zajmowała się dzieckiem Sokołowej.

Daniel rzeczywiście przypomniał sobie, że Marilyn o tym kiedyś wspominała. Poczł wyrzuty sumienia, że zajęty sobą i ukrywaniem faktu, że zna obie ofiary, nie pomyślał o jej dziecku od razu. Przecież, bez względu na jego własną sytuację, trzeba było natychmiast sprawdzić, czy mały Lew jest bezpieczny.

Drzwi otworzyła im niewysoka kobieta o twarzy w kształcie serca. Miała długie czarne włosy i krągłe piersi. Była całkiem atrakcyjna, ale twarz zdradzała zmęczenie i wiek.

– Czego?

Popatrzyła z odrazą na mundury Marka i Emilii. Odkąd Daniel przeszedł do wydziału kryminalnego, mógł przychodzić do pracy w cywilnym ubraniu. Musiał jednak przyznać, że brakowało mu służbowego uniformu. Kiedyś był jakby drugą skórą.

Nie musieli pytać, czy Lew Sokołow jest u Sadowskiej, bo chłopczyk sam wyszedł z jednego z pokoi. Wyglądał zupełnie tak jak na zdjęciach, które kiedyś pokazała Podgórskiemu Mary. Daniel poczuł niewyobrażalną ulgę.

– Mama?

Kiedy Lewka zobaczył stojących w drzwiach obcych ludzi, jego twarz posmutniała. Nie powiedział nic więcej, tylko stał, jakby

czekał na jakieś wieści. Daniel usłyszał ciche westchnienie Emilii. Ten widok rzeczywiście łamał serce. Zwłaszcza kiedy wiadomo było, że Marilyn nie żyje.

– Możemy z panią porozmawiać? – zapytał Podgórski. – Chodzi o matkę chłopca.

– No lepiej, żeby ktoś wreszcie coś mi powiedział. Swietłana miała go odebrać wczoraj wieczorem – warknęła Sadowska, nie bacząc na to, że dziecko stoi w drzwiach i wszystko słyszy. – Cholera jasna, ja mam drugą pracę! Zajmuję się Lewką tylko w weekendy i we wtorki wieczorem. Taka była umowa. Poniedziałek w to nie wchodzi. Cholera jasna. Zależy mi na tej drugiej robocie.

– Czy możemy porozmawiać na osobności? – zapytał Daniel raz jeszcze. Nie chciał, żeby Lewka się dowiedział o śmierci mamy w ten sposób. Należało to zrobić inaczej. Podgórski czuł, że chociaż tyle był Marilyn winien.

– Lew, do pokoju – rozkazała Edyta Sadowska, jakby chłopiec był psem.

Dziecko posłuchało i zniknęło za drzwiami. Opiekunka stanęła w szerokim rozkroku i oparła dłonie na biodrach, jakby, podobnie jak wcześniej Twiggy, chciała zagrozić im wejście do mieszkania. Daniel poczuł nagłą irytację.

– Możemy jednak wejść? – zapytał ostro. – Koleżanka chętnie usiądzie.

Wskazał ciężarną Emilię. Strzałkowska skrzywiła się nieznacznie, ale o dziwo nie zaprotestowała. Podgórski spojrzał na jej brzuch z nagłą czułością. Tak bardzo chciał, żeby wszystko ułożyło się inaczej.

– Mam bałagan – ucięła Sadowska niewzruszona błogosławnym stanem policjantki.

– Nie wygląda na to – rzucił Daniel. Sam nie był pewien, dlaczego wdaje się w te idiotyczne przepychanki. Emocje i stres chyba zaczynały brać górę. Powinien wziąć się w garść.

– A jednak – odparowała Sadowska.

– Matka chłopca nie żyje – poinformował cicho Marek.

Sadowska spojrzała na Zarębę. Po raz pierwszy na jej twarzy pojawił się cień emocji innych niż gniew i niechęć.

– Wypadek?

– Niestety... – odparła enigmatycznie Strzałkowska. Oddychała ciężko, mimo że tym razem nie musieli wspinać się po schodach. – Czyli pani Sokołowa miała przyjść po dziecko w niedzielę?

Sadowska pokiwała głową.

– Zwykle odbierała Lwa wieczorem. W nocy właściwie, bo do późna pracowała.

– Podobno tym razem miała wolny weekend? – zaczął Daniel. Miał wielką nadzieję, że głos mu nie zadrży. – Może mówiła o jakichś planach? Chciała się z kimś spotkać?

Informację o wolnym weekendzie otrzymali od Małeckiego, ale Podgórski wcześniej o tym wiedział. Marilyn sama mu o tym powiedziała w piątek. Cieszyła się.

– Przyproceedziła Lwa jak zwykle przed pracą. Nie wspominała nic o wolnym weekendzie – wyjaśniła Sadowska. Wbrew sobie Daniel poczuł ulgę. – Nie zwierzała mi się z takich rzeczy. Nie przyjaźniłyśmy się.

– Kiedy nie przyszła wczoraj w nocy odebrać chłopca, nie próbowała się pani z nią kontaktować?

Sadowska pokręciła głową.

– Czasem się zdarzało, że przychodziła w poniedziałek z samego rana.

– Ale teraz się nie zjawiała, a pani nie zadzwoniła do niej mimo to – bardziej stwierdziła, niż zapytała, Strzałkowska. – Mogę wiedzieć dlaczego?

– Nie chciałam jej robić problemów – odparła opiekunka ostrożnie.

– Jakich problemów? – nie ustępowała Emilia.

Daniel pomyślał z rozbawieniem, że ton, jakim posłużyła się Strzałkowska, przypominał ostrą wymowę komisarz Kopp. Emilia pewnie nie ucieszyłaby się z takiego porównania, bo nigdy nie darzyła Klementyny sympatią.

– Nie wiem – wykręciła się Edyta Sadowska. – Swietłana na ogół była w porządku. Pomyślałam chyba, że dam jej czas dzisiaj do popołudnia. Już mówiłam, że muszę być w drugiej pracy. Rozumiem, że teraz, skoro ona nie żyje, zabierzecie Lwa

do jakiejś instytucji? Nie zamierzam być dla niego domem zastępczym. Nie lubię dzieci.

– Widać – wyrwało się Danielowi. Nie mógł się powstrzymać. Opiekunka spojrzała na niego spod oka.

– To jak? – nie ustępowała niezrażona tym komentarzem.

– Zawieziemy chłopca do domu dziecka – wyjaśnił Marek. – Niech pani będzie spokojna. Na pewno się nim tam dobrze zajmą. To bardzo poważana placówka.

– Świetnie. Spakuję jego rzeczy.

Głos Sadowskiej był beznamiętny, jakby los osieroconego chłopca zupełnie jej nie interesował. Zniknęła w pokoju, gdzie siedział Lew.

– Co za baba – mruknął Marek, kręcąc głową.

Daniel nie mógł się z nim nie zgodzić, ale zanim zdążył coś powiedzieć, drzwi skrzypnęły i opiekunka wróciła na korytarz z niewielkim dziecięcym plecakiem w ręce. Rzuciła go bez słowa w stronę Zaręby. Młody policjant złapał go zręcznie, ale jego twarz pozostała chmurna.

– Od dawna zajmuje się pani chłopcem? – zapytała Emilia.

– Od czasu kiedy mąż Swietłany poszedł siedzieć i nie miała z kim zostawiać dzieciaka, jak pracowała. Będzie z rok, może dwa.

– Skąd pani ją знаła?

– Przedstawiła nas wspólna znajoma – odparła Sadowska sucho. – A teraz zabierajcie dzieciaka, bo mi się spieszy.

– Mogłaby pani chociaż okazać współczucie! – nie wytrzymał Marek.

– Cieszcie się, że nie żądam od was pieniędzy za przepracowany weekend – odparła Sadowska bez skrępowania.

– Lew! Idziesz z tymi ludźmi.

Chłopiec wynurzył się z pokoju.

– Do mamy?

ROZDZIAŁ 16

Gwiazdozbiór. Poniedziałek, 8 czerwca 2015. Diana Grzelak

Diana Grzelak usiadła przy biurku w gabinecie i zapatrzyła się w wody Niskiego Brodna. Słońce wychyliło się zza chmur, więc tafla jeziora połyskiwała w bladym świetle. Wczoraj był prawdziwy upał. Dziś temperatura nieco spadła, ale zrobiło się nieprzyjemnie parno. Sukienka lepiała jej się do ciała. A może to nie z powodu pogody, tylko przez wizytę policji?

– Po co przyjechał aż komendant? – zastanawiał się Krzywy. Jakby czytał jej w myślach. – Nie wystarczył sam Małecki?

Diana spojrzała w jego stronę. Nawet jeżeli wcześniej był wytracony z równowagi oglądaniem zdjęć tułowia Marilyn, to teraz już się opanował. Krzywy potrafił to robić znakomicie. Zmieniać się o sto osiemdziesiąt stopni. W jednej chwili furia, a potem moment całkowitego wyciszenia. Takie krańcowe emocje były niepokojące, ale Longin zawsze mu ufał, więc ona jako żona także. Krzywy był jej prawą ręką, odkąd mąż trafił za kratki.

– Nie wiem – przyznała – ale mam nadzieję, że się dowiemy. I to szybko. Prawdę powiedziawszy, mnie też się to niezbyt podoba...

– Będę musiał pojechać zidentyfikować ciało – przypomniał ochroniarz. Diana wyczuła, że w głosie Krzywego pojawiła się dziwna nuta. Czyżby smutek?

– Chcesz, żebym pojechała z tobą?

Sama nie wiedziała, czemu to zaproponowała. Brzmiało to co najmniej komicznie, zważywszy na to, że Krzywy był od niej jakies cztery razy większy. – Nie trzeba, Dianka!

Uśmiechnęła się do niego. Tak właśnie myślała. Czy to ona

miała wspierać Krzywego? Dobre sobie! Zresztą czy on potrzebował wsparcia? To on był wsparciem.

– Mam wielką nadzieję, że cała ta sytuacja nie wpłynie na nasze dalsze plany...

Na razie trudno było stwierdzić, co oznacza dla nich pojawienie się komendanta, ale nie po to walczyli o to, żeby stać się ulubionym miejscem spędzania wolnego czasu dla funkcjonariuszy z komendy, żeby teraz trwało tu śledztwo. Tak to nie działa. To miało być miejsce bezpieczne. Rozrywka bez konsekwencji. W zamian nikt za bardzo się klubowi nie przyglądał. O to chodziło. Wadim byłby wściekły, gdyby to się teraz zmieniło.

– Nic się nie martw – uspokoił ją Krzywy. – Załatwimy to.

Tak. To on stanowił podporę. Diana starała się dowodzić klubem mocną ręką. Próbowała być kobietą silną i grać swoją rolę, ale to było naprawdę trudne. Zwłaszcza w tym męskim świecie. Tu nie było miejsca na okazanie chociaż cienia słabości.

Dlatego zachowała się tak nieustępliwie podczas tamtej rozmowy z Marilyn i z Pamelą. Dlatego postawiła im ultimatum. Nie dlatego, że jej podpadły, tylko dlatego, że musiała. Teraz Diana miała nadzieję, że to nie obróci się przeciwko niej. Chociaż tamto ultimatum stanowiło chyba teraz jej najmniejszy problem. – A co z alarmem? Działa?

Od jakiegoś czasu pojawiły się problemy z systemem alarmowym. Zawieszał się od czasu do czasu. Jakby ktoś przy nim majstrował, ale to przecież nie było możliwe.

– Na razie okej, ale trzeba będzie coś pomyśleć, jak znowu się zatnie. Nic się nie martw, Dianka. Poradzimy sobie ze wszystkim. Te zawirowania są przejściowe.

Spojrzała na Krzywego. Ochroniarz znowu uśmiechnął się szeroko, jakby chciał raz jeszcze podkreślić, że o wszystko zadba. Tak. Był podporą, ale Diana pamiętała, że w tym biznesie nie wolno ufać nikomu. Nie mogła pozwolić, żeby Krzywy zapomniał, kto tu jest szefem. To mogłoby się źle skończyć. Longin zawsze jej to powtarzał. Silna ręka. To jest klucz do sukcesu.

ROZDZIAŁ 17

Dom dla Dzieci „Nowa Szansa” w Brodnicy. Poniedziałek, 8 czerwca 2015. Starszy sierżant Marek Zaręba

Marek zlustrował Halinę Michalik od stóp do głów. Dyrektorka domu dziecka miała włosy spięte w niedbały koński ogon. Widać było ciemniejszy odrost tuż przy skórze. Ewelina pewnie z miejsca stwierdziłaby, że kobieta sama koloryzuje włosy farbą z drogerii, zaśmiał się w duchu policjant.

Żona była fryzjerką i często oceniała fryzury napotykanych osób, tak że i on zaczął zwracać uwagę na takie szczegóły. A może teraz po prostu chciał skupiać się na włosach. Dzięki temu nie myślał o nieszczęściu, jakie spotkało małego Lwa Sokołowa.

Pani Michalik głaskała chłopca po głowie matczynym gestem. Lew stał grzecznie, z poważną miną. Nie płakał, ale w jego oczach czaił się bezbrzeżny smutek.

Marek odwrócił wzrok. Miał dwie córki i nie wyobrażał sobie, że kiedykolwiek mógłby je stracić. Nie wyobrażał też sobie, żeby kiedykolwiek mógł je opuścić. Przynajmniej nie do momentu, kiedy będą gotowe radzić sobie w życiu bez niego.

Spojrzał raz jeszcze na chłopca. Mały Lewka został właściwie sam. Przywiezienie synka Sokołowej do domu dziecka było jednym z trudniejszych zadań, jakie zdarzyło się Zarębie wykonywać od podjęcia pracy w policji.

– Dobrze się tu nim zajmimy – obiecała Halina Michalik, jakby słyszała myśli Marka. Nie wydawało się, żeby rzucała słowa na wiatr. Wyglądała na porządną kobietę, która autentycznie troszczy się o dzieci. – Tak naprawdę mamy komplet, ale rozumiem, że to wyjątkowa sytuacja. Proszę się o nic nie martwić. Obiecuję, że pomożemy mu najlepiej, jak

umiemy.

– Dziękujemy – szepnęła Emilia. Marek wyraźnie słyszał, że głos jej drży. Dla niej ta sytuacja musiała być równie trudna.

Zaręba poczuł nagle, że jego telefon wibruje w kieszeni.

– Przepraszam na chwilę – powiedział i odszedł na bok, żeby odebrać. – Halo?

– Zaręba? – odezwał się komisarz Małecki. – Jest z wami jeszcze Daniel?

– Nie. Zabraliśmy Lwa Sokołowa od opiekunki. Ja i Emilia jesteśmy teraz w domu dziecka. Daniel pojechał już do komendy. – Po drugiej stronie linii zapadła cisza. Marek odchrząknął. – Coś się stało?

– Przyjeżdżajcie do komendy – powiedział Małecki. Na popołudnie zaplanowana była odprawa w sprawie śmierci Sokołowej i Jaworskiego. W jego głosie kryła się jednak zapowiedź, że chodzi o coś innego.

– Tak jest.

– Nie komunikujcie się z Danielem – dodał Małecki z wyraźnym naciskiem. – Czy to jasne?

– Tak – odpowiedział Marek, ale nie rozumiał dlaczego.

ROZDZIAŁ 18

Lipowo.

Poniedziałek, 8 czerwca 2015.

Weronika Nowakowska

A wie pani, że ja chyba coś widziałam?

Weronika Nowakowska pochyliła się do okienka w kiosku.

– Co ma pani na myśli? – zapytała kioskarkę.

– No sprawę tego Jaworskiego! A co innego? O tym tylko wszyscy mówią!

Od czasu powrotu do domu po poranku spędzonym w gospodarstwie sędziego Jaworskiego Weronika nie mogła sobie znaleźć miejsca. Oporządziła konie i wysprzątała dokładnie stajnię. Myślała, że fizyczne zmęczenie pomoże jej zapomnieć o śmierci sędziego. Nic z tego. Potworne obrazy nie znikwały. Cały czas miała przed oczami makabryczną postać, którą ktoś stworzył w sypialni na piętrze.

W końcu usiadła z książką na ganku swojego starego dworku. Drzewa szumiały przyjemnie, a wokół unosił się kojący zapach lasu. Wiklinowy fotel wyłożyła poduszkami i miękko się w nie zapadła. Warunki do czytania zdawały się idealne. Nie mogła jednak skupić się na lekturze. Wydawało jej się, że czyta sto razy to samo zdanie.

To nie miało sensu, odłożyła więc książkę i zaczęła się przechadzać po posesji. Dworek stał na wzniesieniu i rozciągał się stąd wspaniały widok niemal na całe Lipowo. Weronika widziała w oddali sklep Wiery, remizę ochotniczej straży pożarnej, a nawet staw. Sadržawka położona była niemal dokładnie pośrodku wsi. Tuż obok lipowego starodrzewu, od którego wieś wzięła swoją nazwę.

Nagle wzrok Weroniki padł na kiosk usytuowany tuż przy stawie. Niewykluczone, że kolorowe czasopismo tym razem

będzie lepszym wyborem niż powieść. Lekkie, łatwe i przyjemne. Pozwoli oderwać umysł od porannych wydarzeń, a jednocześnie nie będzie wymagało tyle skupienia co książka.

Weronika zamknęła dom i zawołała psa. Igor przybiegł, radośnie poszczekując. Cieszył się na spacer, chociaż wyglądał na rozczarowanego, że nie idą w stronę lasu. Całe szczęście wkrótce zapomniał o niezadowoleniu i poświęcił się obwąchiwaniu płotów. Psy szczekały głośno, kiedy mijali kolejne obejścia. Golden nic sobie z tego nie robił.

We wsi panowało duże poruszenie. Weronika zauważyła nieopodal grupkę dziennikarzy. Prawdopodobnie poszukiwali chętnych do rozmowy. Dostrzegła też kilka wozów transmisyjnych. Wieści rozchodziły się szybko.

Skręciła w polną drogę, która biegła równolegle do szosy. Oby udało jej się uniknąć spotkania z dziennikarzami, bo nie miała najmniejszej ochoty rozmawiać z nikim o dzisiejszym poranku. O dziwo, chyba żaden z nich nie dowiedział się jeszcze, że to ona i Wiera znalazły ciała. W przeciwnym razie koczowałiby już przy dworku.

Przeszła miedzę dzielącą dwa pola i wydostała się na szosę. Tuż obok kiosku. Właśnie kiedy przeglądała najnowsze numery plotkarskich tygodników, kioskarka oznajmiła konspiracyjnie, że coś widziała. Mimo wcześniejszego postanowienia Weronika nie mogła się powstrzymać, żeby chociaż trochę nie podrażnić tego tematu.

– Co pani widziała? – zapytała więc.

Drogą przejechał bus lokalnej stacji telewizyjnej i skierował się w stronę Szramowa. Weronika odwróciła się plecami do drogi. Wołała nie ryzykować, że ktoś ją rozpozna.

– Nie żebym była wścibska – zastrzegła pani Honorata i z godnością poprawiła loki. Okalały jej twarz sztywnymi blond spiralkami. Całość utrwalona była lakierem tak mocno, że niebezpiecznie przypominała hełm.

– Oczywiście, że nie – zapewniła ją Weronika. Czuła narastającą ciekawość i chciała zachęcić kioskarkę do mówienia.

Kobieta skinęła głową w stronę budki telefonicznej, która

stała zapomniana blisko kiosku. Weronika spojrzała zaskoczona. Budka była nieco staromodna. Aparat ukrywał się pod daszkiem w kształcie błękitnej muszli z logo operatora. Gdzieś wydrapano kilka napisów, a na górze pyszniło się wyznanie miłości wykaligrafowane czarnym flamastrem. Imię ukochanej na wpół się zatarło, trudno było stwierdzić, kogo kiedyś dotyczyło.

Kioskarka uśmiechnęła się usatysfakcjonowana zainteresowaniem Weroniki.

– Zaraz przyjdzie córka i mnie tu w kiosku zastąpi. Ona wszystko słyszała. Niech lepiej sama opowie. Jestem ostatnia, żeby komuś wchodzić w słowo. Zapraszam na zaplecze.

ROZDZIAŁ 19

Przed Komendą Powiatową Policji w Brodnicy. Poniedziałek, 8 czerwca 2015. Aspirant Daniel Podgórski

Daniel zaciągnął się głęboko papierosem. Wypuścił dym z płuc i wypił długi łyk kawy, którą kupił przed chwilą w McDonalddie przy Sądowej. Napój był całkiem dobry. Mocny i słodki. Dawniej tylko taką kawę pijał. Jeżeli w ogóle. Ten znajomy smak stanowił jakąś namiastkę normalności w tym szalonym dniu.

Ciągle nie mógł zapomnieć słów małego Lewki, a przede wszystkim wyraźnej nadziei, która pobrzmiwała w jego pytaniu. „Jedziemy do mamy?”. Tylko że mamy już nie było, a chłopiec miał trafić do domu dziecka. Daniel cieszył się, że to nie na niego spadł obowiązek zawiezienia tam Lewki.

Podgórski zaciągnął się raz jeszcze papierosem i rzucił niedopałek na ziemię. Pet wylądował tuż obok opony subaru. Policjant przypatrywał się delikatnej smużce dymu, która się z niego unosiła, jakby to miało przynieść jakąś ulgę. Nie przyniosło.

Wypił ostatni łyk kawy. Zdawała się teraz nieprzyjemnie gorzka. Pozory normalności odeszły w zapomnienie. Spojrzał w stronę budynku. Radiowóz z Lipowa stał już zaparkowany przed komendą, więc Marek i Emilia szybko załatwili sprawy w domu dziecka. A może to Podgórski za długo siedział w McDonalddie? Czas mijał szybko, kiedy głowę wypełniała burza myśli.

Zgniół styropianowy kubeczek. Trzeba zagrać w otwarte karty, zdecydował. Tak będzie najlepiej. Nawet jeżeli oznaczało to złamanie obietnicy, którą dał synowi. Liczył na to, że Łukasz

zrozumie, że Daniel nie mógł dłużej ukrywać, skąd zna sędziego Jaworskiego. Oby tylko Łukasz zrozumiał. Podgórski nie chciał zawieść syna. Nie po raz kolejny.

Nagle Daniel poczuł pojedynczą wibrację komórki w kieszeni spodni. SMS. Postawił kubeczek po kawie na dachu samochodu i sięgnął po telefon. Nieznany numer.

Idą po ciebie. Niewinny? Radzę się zmywać.

Serce zaczęło bić mu szybciej. Jakies wygłupy? Daniel rozejrzał się, jakby żartowniś mógł stać za słupem z ogłoszeniami i pokładać się ze śmiechu. Jeżeli jesteś niewinny, radzę się zmyć? Kto to napisał?

Podgórski rzucił okiem w stronę komendy. Drzwi otworzyły się i pojawiło się w nich kilku umundurowanych funkcjonariuszy. Wśród nich zafrasowany Marek Zaręba. Zauważyli go. Daniel dobrze znał te spojrzenia. Oznaczały ni mniej, ni więcej, tylko że polowanie się zaczęło i najwyraźniej on był jego celem. Mógł oczywiście poczekać i spokojnie spytać, o co chodzi. Był przecież niewinny... Tylko że w takich sytuacjach najpierw się łapie. Dopiero potem wysłuchuje.

Albo i nie wysłuchuje.

Instykt zadziałał szybciej niż umysł. Daniel rzucił telefon na ziemię i wskoczył do samochodu. Całe szczęście drzwi były nadal otwarte. Dzięki temu zyskał kilka cennych sekund. Zatrzasnął je za sobą i ruszył z piskiem opon.

Światła na skrzyżowaniu Zamkowej i Sądowej zmieniły się na czerwone, ale nie zamierzał się tym przejmować. Błękitne subaru przemknęło przez jezdnię. Ten, kto mu wysłał wiadomość, miał rację. Polowanie się zaczęło. Jest ścigany.

ROZDZIAŁ 20

Lipowo.

Poniedziałek, 8 czerwca 2015.

Weronika Nowakowska

Zaplecze oznaczało po prostu skrawek wydeptanej trawy za kioskiem. Nie było tu zbyt wiele miejsca, ponieważ jakiś metr dalej szeleściły szuwary okalające staw. Powietrze zdawało się ciężkie i zatęchłe od stojącej wody. Zapach nie był zbyt przyjemny, więc Weronika starała się oddychać przez usta. Niewiele to pomogło.

Pani Honorata zatrzasnęła za sobą drzwi i stanęła obok Weroniki. Znowu wskazała głową budkę telefoniczną. Potem wyjęła paczkę papierosów i zapaliła. Skórę na dłoniach miała suchą i szorstką.

– Wysłałam tu na papierosa – podjęła, wydmuchując dym przed siebie. – Córnka została w kiosku, dlatego lepiej słyszała, co on mówił. Czasem mnie zastępuje. Powinna zaraz przyjść.

Weronika kojarzyła Idkę z Lipowa. Dziewczyna interesowała się zielarstwem i czasem wpadała do sklepu Wiery.

– Co pani słyszała? – zapytała Weronika raz jeszcze.

– No więc mówię, że ja nic – w głosie kioskarki słychać było wyraźny zawód. – Ale za to widziałam!

Weronika miała nadzieję, że pani Honorata wreszcie przejdzie do rzeczy. O co chodziło z tą budką telefoniczną? Ciekawość aż paliła. Tym bardziej że w dobie telefonów komórkowych mało kto korzystał z publicznych aparatów. Weronika podejrzewała, że budka w Lipowie mogła być ostatnią w okolicy. Chyba że w Brodnicy jeszcze jakaś się ostała.

– Co pani widziała?

– To było w ostatni wtorek. Pamiętam, bo to akurat po tej

wielkiej burzy było. Takie wietrzycho! Całą noc się bałam, że kiosk mi odleci i będzie w stawie leżał. – Pani Honorata zaśmiała się przepraszająco. – Wie pani, człowiek czasem takie głupoty wymyśla. Stary mnie przekonywał, że nic nie będzie... Ale wie pani, pani Weroniczko, dawno temu mój ślubny się utopił na rybach, mam więc awersję do wody.

– Mamo, chyba nie opowiadasz znowu o tym kiosku?

Zza budyneczku wyszła młoda kobieta. Podobieństwo między matką a córką było komicznie uderzające. Właściwie różniły się tylko fryzurą i tym, że pani Honorata była raczej mocnej budowy, a Idka bardzo drobna.

– Idka! No wreszcie jesteś! Już myślałam, że nie przyjdiesz i będę musiała zamknąć kiosk. Nie mamy takiego utargu, żeby sobie na to pozwolić.

Idka przewróciła oczami.

– Mamo, czy kiedykolwiek nie przyszłam, jak prosiłaś?

Pani Honorata uśmiechnęła się do córki czule.

– No więc w ostatni wtorek... – podpowiedziała Weronika. Naprawdę bardzo chciała się dowiedzieć, co też takiego zobaczyły i usłyszały te dwie kobiety.

– No tak, no tak. Więc wracając do rzeczy – podjęła kioskarka. – Mówiłam o tej wichurze. Kable pozrywało, drzewa powaliło. Chciałam tu nawet przyjść i przytrzymać kiosk. Nie tak, Idka? Tak się denerwowałam, że nawet do syna zadzwoniłam. Ale on mnie wyśmiał i powiedział, że się martwię na zapas, jak to zwykle ja. Ach, te moje dzieci. Kto by pomyślał, że już mają prawie trzydziestkę! Dorośli ludzie. Kiedy to minęło!

Idka znowu przewróciła oczami, jakby słyszała te słowa nieskończoną ilość razy. Weronika postanowiła przyjść jej z pomocą. Czas już był najwyższy przejść do rzeczy. Trzeba było przypomnieć pani Honoracie o przerwany wątku.

– To co panie słyszały?

– Ano właśnie! Sędzia Jaworski! – zawołała kioskarka entuzjastycznie. – No więc to było w ostatni wtorek. Konkretniej rano. Pamiętasz, Idka? Jechałam do lekarza, a ty mnie miałaś zastąpić w kiosku.

Dziewczyna pokiwała głową.

– Teraz też jadę. Problemy skórne, widzi pani, pani Weroniczko. No ale nic... Przedtem wyszłam tu na papierosa – kontynuowała pani Honorata zadowolona. – Jeszcze wtedy popadywało i musiałam wziąć parasol, żeby mi nie zepsuło fryzury. Jak jest wilgotno, to mam problem! Cała robota z lokówką na nic! Do tego cały dzień było błoto. Zniszczyłam sobie te sandaalki, które wyciągnęłam na lato. Wiesz, o których mówię, Idka, co?

Idka nie należała do zbyt rozmownych osób. Znowu zrobiła zbolaną minę. Weronika odkaslnęła cichutko. Miała nadzieję, że to odniesie skutek i pani Honorata nie rozpocznie kolejnej dygresji.

– Nie ma lekko. Sandaalki całe rozmiękły – perorowała dalej kioskarka. – Myślę, że będą do wyrzucenia. Niby nie były jakieś drogie, ale...

– Ale co z tą budką? – Weronika postanowiła nie przejmować się kurtuazją i po prostu jej przerwać. Wyglądało bowiem na to, że nie ma innej rady.

– Ano faktycznie! – wykrzyknęła pani Honorata. Spojrzała przy tym porozumiewawczo na Weronikę. – No więc sędzia Jaworski przyszedł tu do mnie w zeszły wtorek rano do kiosku i kupił kartę telefoniczną. Miałam ostatnią. Całą zakurzoną, bo nikt nie kupował od miesięcy. Co ja mówię, od lat! Miał facet szczęście, że w ogóle znalazłam jedną zapomnianą. Nie zamawiam ich, bo nikt tego nie kupuje. Teraz to wszyscy mają telefony komórkowe. Nawet mało kto używa teraz stacjonarnych. Chociaż chyba jeszcze mają, co, Idka? Ale jak dzwonię, to jednak zawsze wybieram komórkę. Bo zdecydowanie wygodniejsza. A do syna na przykład to w ogóle nigdy nie mogę się dodzwonić. Tylko te SMS-y! Inne pokolenie! Chociaż ja wcale nie jestem taka stara. Bez przesady. Dzieci miałam dość wcześnie, więc ledwo pięćdziesiątkę przekroczyłam. Pięćdziesiąt dwa skończę w tym roku. Ale dopiero w październiku. Mam nadzieję, że nie widać? Moja matka całe życie świetnie się trzymała. Babka też. Ojciec trochę gorzej. Wyłysiał w wieku trzydziestu lat!

Monolog kioskarki zdawał się ciągnąć bez końca. Weronika odwołała się do najgłębszych pokładów swojej cierpliwości. Trudno było się dziwić Idce, że ciągle przewracała oczami. Jej matka zdecydowanie miała słabość do stanowczo przydługich dygresji.

– Mamo, pani Weronika chyba się tym nie interesuje.

Kioskarka spojrzała na córkę urażoną.

– Czyli Jaworski korzystał z budki telefonicznej w zeszły wtorek – podsunęła Weronika gładko. Musiała działać, zanim pani Honorata opowie jej historię swojej rodziny do piątego pokolenia. Albo i trzydziestego piątego.

– No przecież właśnie o tym mówię.

Wiatr zerwał się nie wiadomo skąd. Silne porywy rozgoniły wreszcie stęchliznę unoszącą się nad stawem. Na zapleczu zrobiło się przyjemniej. Nieoczekiwanie kolejny podmuch otworzył tylne drzwi kiosku. Zawias naderwał się z głośnym skrzypnięciem. Pani Honorata załamała rękę.

– Wszystko zepsute! – lamentowała. – Muszę poprosić starego, żeby mi to naprawił. W końcu się na takich rzeczach rozeznaje. Chociaż pewnie będą z tego nici. Prosi się go i prosi, a on zawsze, że jutro. I tak się może ciągnąć miesiącami. Poprosiłam go kiedyś, żeby mi drzwi w szafce w kuchni wymienił. Zgadnie pani co? Nadal leżą!

– Sędzia Jaworski! – krzyknęła niemal Weronika. Idka uśmiechnęła się pod nosem. Jej twarz wydawała się teraz znacznie przyjemniejsza. – Przepraszam...

Kioskarka wyglądała na zdziwioną tym wybuchem.

– To może ja powiem, co słyszałam – zaproponowała Idka ku uldze Weroniki.

– Gdyby pani mogła.

– Nie żeby córka podsłuchiwała. Nic z tych rzeczy! – uściśliła natychmiast matka. – Po prostu jak się jest w kiosku, to słychać. Budka jest tuż przy okienku. No nie da rady nie usłyszeć. Gdybym była w środku, też bym słyszała.

Weronika westchnęła.

– Nie wiem, czy to ma w ogóle jakieś znaczenie – powiedziała Idka.

– Czy ma znaczenie! – zawołała niemal kioskarka. – Oczywiście, że ma! Ten cały Jaworski z kimś się kłócił przez telefon. Teraz nie żyje! Jak to może nie być ważne!

Weronika odwróciła się do Idki.

– Udało się pani usłyszeć, z kim się kłócił?

– Nie, ale...

– Ale powiedział coś takiego – przerwała jej natychmiast kioskarka. – Powiedział tak: „Po moim trupie!”. Prawda, Idka?

– Tak.

Pani Honorata uśmiechnęła się z satysfakcją.

– I to, zważy pani, kilkakrotnie powiedział! Nie tylko raz! Po moim trupie! Chciałam o tym opowiedzieć reporterom, co się do nas zjechało, ale wszyscy odchodzili, zanim zdążyłam dojść do sedna. Zupełnie tego nie rozumiem. Na moje rozeznanie to jest istotna rzecz. Powiedziałam staremu, co Idka usłyszała, ale on chyba nie jest zainteresowany. Tak po prawdzie to go głównie interesuje teraz, żeby jakąś robotę dobrą znaleźć. Na razie złapał jakąś fuchę. Może do Niemiec by pojechał na zarobek. Jego znajomy tam w budowlance robi...

Weronika poczuła, że naprawdę dłużej nie zniesie tych opowieści. Ruszyła więc do budki telefonicznej. Idka i pani Honorata poszły za nią. Kioskarka już zaczęła otwierać usta, żeby podjąć swoją opowieść.

– Ciekawe, czy jest tu przycisk ponownego wybierania połączenia – powiedziała szybko Weronika i zaczęła uważnie przyglądać się mocno zużytej tarczy telefonu. Większość przycisków była zupełnie starta, tak że trudno było odczytać ich przeznaczenie. – Ktoś dzwonił z tej budki po Jaworskim?

– Chyba nie, ale kto tam wie. Czasem to przychodzą dzieciaki i się zabawiają. To znaczy jak już zamknę kiosk. Nie wcześniej. Nie uwierzycie, co znalazłam nie dalej niż przedwczoraj tu na zapleczu!

Weronika nie chciała słuchać o kłopotach pani Honoraty. Zbyt była zaabsorbowana tym, co usłyszała. A właściwie co wyłuskała z gadania kioskarki i niechętnych półsłówek jej córki. Klótnia!

Dlaczego sędzia Jaworski przyszedł aż do Lipowa, aby

porozmawiać z budki telefonicznej? Przecież ze Szramowa było tu kilka kilometrów, a z tego, co Weronika wiedziała, rzadko wychodził z domu. No i ważniejsze: dlaczego się z kimś sprzeczał? A jeszcze ważniejsze: z kim i o co? Czy ta kłótnia miała jakiś związek z jego śmiercią?

Weronika nacisnęła kilka klawiszy w nadziei, że trafi na *redial*. Niestety nic to nie dało. Być może stary aparat nie był wyposażony w taką funkcję. Co teraz? Policjanci mogliby na pewno w kilka minut skontaktować się z operatorem i sprawdzić połączenia. Dawniej zadzwoniłaby z tym do Daniela, ale teraz to nie wchodziło w grę. Może więc do Marka Zaręby? Na pewno nie do Emilii. Ciekawość ma swoje granice.

ROZDZIAŁ 21

Gospodarstwo sędziego Jaworskiego. Poniedziałek, 8 czerwca 2015. Aleksander Ziółkowski

Szef techników kryminalnych uważał się za człowieka dokładnego. Za perfekcjonistę. Dobrze mu z tym było i nie przejmował się, że nie wszyscy darzyli go sympatią. Nie po to przecież był w komendzie, żeby ze wszystkimi się przyjaźnić.

Wzdrygnął się. Większość osób pewnie nawet nie wiedziała, jak się nazywa. Wszyscy mówili o nim „szef techników”. Jakby to było cholerne imię i nazwisko. Ziółkowski czasem miał tego dosyć. Chociaż nie zamierzał oczywiście nikomu o tym mówić. Ani tym bardziej tego okazać. To były jego prywatne sprawy.

Najbardziej przeszkadzała mu Klementyna Kopp. Całe szczęście po aferze z listopada była zupełnie unieszkodliwiona. Przynajmniej do dziś, bo po komendzie krążyły plotki, że wraca do miasta już jutro.

Ziółkowski uważał, że to niedorzeczność. Jak zwykle tej wariatce się upiekło. Mimo tego, co mu zrobiła. Pocieszał go jedynie fakt, że Kopp podobno nie będzie mogła wrócić do noszenia odznaki. Tego nawet Cybulski nie mógł jej załatwić. Chociaż tyle satysfakcji.

Technik uśmiechnął się pod nosem. Dla tej upartej suki to mogła być gorsza kara niż pobyt w szpitalu psychiatrycznym, uznał zadowolony. Odetchnął głębiej, zdejmując lateksowe rękawiczki. Sytuacja, w jakiej znalazł się Podgórski, też dawała pewną satysfakcję. W końcu policjant był pupilkiem Kopp. Niech ta dwójka ma, na co zasłużyła.

Scyzoryk z odciskami palców Daniela właściwie przesądzał sprawę. A dodatkowo przed chwilą Ziółkowski dostał informację z komendy, że Podgórski uciekł. Czyż to bezspornie

nie świadczyło o jego winie? Taki sam szajbus jak ta Kopp!

Mimo satysfakcji, jaką Ziółkowski odczuwał, wrodzony perfekcjonizm trochę się w nim buntował. Na terenie gospodarstwa sędziego Jaworskiego było kilka rzeczy, które budziły jego wątpliwości. Zaczęło się od noża w zlewie.

Później jeden z jego podwładnych zauważył, że za rozpadającym się płotem znajdowała się ścieżka. Dróżka była właściwie prawie niewidoczna. Młody technik zwrócił na nią uwagę tylko dlatego, że prowadziło do niej kilka śladów wąskich opon. W pierwszym momencie można by pomyśleć, że rowerowych. Chłopak szybko jednak zlokalizował na terenie gospodarstwa stary wózek na drewno. Rozstaw kół i szerokość opony pasowały idealnie.

Młody technik chciał chyba być dokładny, bo poszedł dalej ścieżką i trafił na szerszą, chociaż także zarośniętą drogę. Odkrył tam kilka kolejnych śladów opon. Wezwał Ziółkowskiego. Innego dnia Aleksander byłby zadowolony z sumienności chłopaka, ale dziś nie miał ochoty na żadne komplikacje.

Bardzo, ale to bardzo nie chciał, żeby cokolwiek odwróciło uwagę od scyzoryka, który jednoznacznie wskazywał na winę Daniela. To może i było małostkowe zachowanie, ale każdy ma prawo do odwzięczenia się za doznane krzywdy, prawda? Winnym musiał okazać się Podgórski i tyle. Ziółkowski po raz pierwszy w swojej karierze tak bardzo czegoś pragnął.

– To być może nic ważnego – powiedział, siłac się na lekki ton. – Jaworski pewnie podjeżdżał tym wózkiem do lasu, zbierał drewno i ładował, a potem wioził do domu, żeby nie nieść. Nie wyglądał na siłacza.

– A te ślady tu? – zapytał młody technik.

Stali we dwóch na zarośniętej drodze. Ziółkowski bardzo się cieszył, że są sami. Łatwiej będzie to załatwić.

– Wygląda to na opony małej terenówki. Być może leśnik albo rybacy podjeżdżają tędy do jeziora i wodują łodzie. Sprawdzaleś, dokąd prowadzi ta droga?

Ziółkowski bardzo się postarał, żeby pytanie zabrzmiało ostro. Jakby chciał zganić tego młodzika. Chyba się udało, bo chłopak

jakby skulił się w sobie. Z tego, co Ziółkowski pamiętał, pracował tu niecały miesiąc. Doskonale się składało. Na pewno nie starczy mu odwagi, żeby podważyć opinię szefa.

– Rzeczywiście dalej jest Jezioro Szramowskie, ale...

– No właśnie.

– A nie zabezpieczymy śladów tych butów?

Podwładny wskazał nieśmiało niewyraźny odcisk buta na skraju zapuszczonej drogi. Na oko męska czterdziestkadwójka. Może trójka. Ziółkowski westchnął. Walczył ze sobą. Wiedział, że nie powinien niczego zaniedbywać, ale tym razem bardzo go korciło. W innej sytuacji już by analizował te odciski. Dziś to wydawało się bez znaczenia. Sądząc po wzroście, Daniel musiał nosić zdecydowanie większy rozmiar buta.

Po raz pierwszy w swojej karierze Ziółkowski zamierzał zignorować potencjalny trop. To wcale nie było takie łatwe, jak się wydawało. Ślady na drodze nie mają żadnego związku ze sprawą, powtórzył w myślach, żeby dodać sobie odwagi. Zresztą teraz nie ma czasu, żeby wszystko tak drobiazgowo analizować. Prokurator prosił, żeby jak najszybciej wrócić do komendy i ustalić, kto wysłał Danielowi SMS-a z ostrzeżeniem. Ziółkowski musiał wracać do komendy. Tak. To było cholernie dobre usprawiedliwienie.

– Szefie?

Przez krzaki nadszedł kolejny młodzieniaszek, który niedawno dołączył do zespołu. No i dobrze. Przy odrobinie szczęścia sprawa tych śladów być może rozejdzie się po kościach. Dla uspokojenia wyrzutów sumienia Ziółkowski pstryknął kilka zdjęć. Daniel był winien, więc to wystarczy.

– Tak? – zapytał zniecierpliwiony.

– Jesteśmy po luminolu – oznajmił młodzik.

Mimo swoich wad luminol nadal często sprawdzał się w śledztwach kryminalnych. Miesza się go z roztworem nadtlenku wodoru i rozpyła w miejscach, gdzie może znajdować się krew. Żelazo z hemoglobiny działa jako katalizator. W wyniku reakcji chemicznej powstaje tak zwana chemiluminescencja. Miejsca, gdzie jest krew, delikatnie się świecą. Wystarczy śladowe ilości żelaza, żeby uruchomić ten

proces. Krew można więc wykryć nawet tam, gdzie nie widać jej gołym okiem. Jak w domu sędziego Jaworskiego, pomyślał Ziółkowski. Pozornie wszędzie było czysto, ale Podgórski musiał gdzieś rozczłonkować ciała.

– I?

Młodzieniaszek przełknął ślinę. Wyglądał blado.

– I co? – powtórzył Ziółkowski.

– Wszystko się świeci.

ROZDZIAŁ 22

Brodnica.

Poniedziałek, 8 czerwca 2015.

Natalia „Twiggy” Jaworska

Twiggy nakarmiła Kacpra, ale papuga nadal wyglądała na niezadowoloną.

– Ty chuju! Ty chuju! – skrzeczała w nieskończoność. Druga porcja karmy nie pomogła. – Ty chuju! Ty chuju!

Twiggy westchnęła. Miała już dosyć przeklinania Kacpra, ale nie potrafiła go tego oduczyć. Niepotrzebnie zabrała go do Gwiazdozbioru. Chłopaki oczywiście mieli niezły ubaw, że Kacper tak szybko załapuje. Dobrze, że nie mieli czasu na więcej.

– Ty chuju! Ty chuju!

Odłożyła pudełko z karmą i spojrzała na ptaka spod oka.

– Wiesz co, Kacperek? Już byś przestał!

Twiggy nasypała mu trzecią porcję karmy.

– Ty chuju! Ty chuju!

Taaa, jasne. Wyszła z pokoju i ze złością trzasnęła drzwiami. Niech Kacper siedzi sam! Zresztą i tak musiała się pospieszyć, jeżeli chce zdążyć na próbę przed wieczornymi występami. Włożyła luźne dresowe spodnie i oversizową bluzkę. Przebierze się w klubie.

Zerknęła na siebie w lustrze. Twarz miała ściągniętą. Przed momentem zadzwonił Krzywy i powiedział, że Mary nie żyje. Podobno po klubie kręciła się policja. Twiggy zakłęła pod nosem dosadniej niż przed chwilą Kacper. Liczyła na to, że nikt nie słyszał jej piątkowej kłótni z Marilyn. No ale chyba nie ma czym się martwić, prawda? Były same w garderobie. Kto mógł je słyszeć?

ROZDZIAŁ 23

Komenda Powiatowa Policji w Brodnicy. Poniedziałek, 8 czerwca 2015. Starszy sierżant Marek Zaręba

Marek zupełnie nie mógł uwierzyć w to, co się dzisiaj wydarzyło. To było tak, jakby brał udział w kręceniu filmu albo lepiej... jakby stał się ofiarą bardzo brzydkiego żartu. Z samego rana makabryczne odkrycie w domu sędziego Jaworskiego. Później przesłuchania, odwiezienie Lwa Sokołowa do domu dziecka... Potem było już tylko gorzej. Pogoń za Danielem. Przeszukanie domu jego matki, jakby zdruzgotana pani Maria mogła coś ukrywać albo cokolwiek wiedzieć.

A teraz Marek siedział w sali konferencyjnej Komendy Powiatowej Policji w Brodnicy i słuchał dyskusji na temat ucieczki Daniela. Ucieczki Daniela! Winy Daniela! To się zupełnie nie mieściło w głowie. Mimo wszystko.

– Ten SMS został wysłany z telefonu na kartę – oznajmił szef techników.

– Czyli nie da się sprawdzić, kto ostrzegł Podgórskiego? – zapytał oficjalnym tonem prokurator Gawroński.

– Niestety.

Marek poczuł, że koledzy przyglądają mu się znacząco. Cybulski, Małecki, Gawroński i szef techników. Cztery pary oczu skupione na nim. Jedyne Emilia uparcie wpatrywała się w blat stołu. Zrobił się już późny wieczór i nic dziwnego, że zdawała się wykończona. Zbladła, a pod oczami pojawiły się niepokojąco ciemne worki.

– Uważacie, że ja go ostrzegłem? Niby jak? – Marek starał się mówić spokojnie, ale odpowiedź zabrzmiała jak warknięcie przerażonego psa. – Jak przyjechaliśmy, wy już po niego wychodziliście. Nawet nie wiedziałem, co się dzieje! Po prostu

dołączyłem do was. Jak mógłbym pobiec do kiosku po starter, włożyć go do telefonu i wysłać SMS-a? Bzdura!

– Było kilka sytuacji, kiedy mogłeś mocniej Daniela przycisnąć – stwierdził tonem pogawędki Małecki. – Może byśmy go złapali i nie byłoby teraz kłopotów!

Marek i Emilia przyjechali do komendy chwilę przed Danielem. W korytarzu natknęli się na Cybulskiego, Małeckiego i Gawrońskiego. Wszyscy trzej mieli posępne miny. To i wcześniejszy telefon komisarza nie wróżyły nic dobrego. Tym bardziej że otaczała ich grupka równie chmurnych mundurowych.

Ktoś rzucił krótkie hasło: „Przyjechał”. Nietrudno było zorientować się, że chodzi o Podgórskiego. Marek ruszył więc za posępnymi stróżami prawa. Chciał się dowiedzieć, co się dzieje. Wyszedł z budynku niemal ostatni, ale widział, jak przyjaciel rzuca na ziemię telefon i wskakuje do swojego subaru.

Mundurowi rzucili się do samochodów. Marek też, popychany przez Małeckiego. Wskoczyli do radiowozu i ruszyli za Danielem, ale Podgórski zniknął już daleko za światłami. Był dobrym kierowcą i miał sportowy samochód. Dbał o niego. Przynajmniej kiedyś. Marek z goryczą pomyślał o czasach, kiedy nocami ścigali się z Danielem po lesie. Lipowo zdawało się wtedy beztrudne, a on bezgranicznie ufał przyjacielowi.

Co teraz? Znowu pomyślał o weekendowym wybryku Daniela. O tym, że przyjaciel coraz częściej spędzał wieczory, opróżniając kolejne butelki z ponurym wyrazem na coraz bardziej ściągniętej twarzy. Po wizycie u Twiggy można było odnieść wrażenie, że szukał zapomnienia nie tylko w alkoholu. Przez te miesiące przyjaciel zmienił się nie do poznania. Kim teraz był? Mordercą?

– Daniel był szybszy! Nie mieliśmy szansy go dogonić – bronił się Marek, chociaż wcale nie był pewien, czy faktycznie podświadomie nie pozwolił Podgórskiemu uciec.

– Zostawmy to. Wszystko jedno, kto go ostrzegł i czy mogliście go dogonić... Jest, jak jest, i musimy się zmierzyć z zaistniałą sytuacją – odezwał się Cybulski. Mimo tych słów

komendant wyglądał na równie zafrasowanego jak pozostali. – Najgorsze, że Podgórski wyjechał z miasta i monitoring nam nie pomoże. Teraz może być właściwie wszędzie.

– Możemy wykorzystać zainteresowanie mediów – uznał Małecki.

Zdjęcie Daniela zostało pokazane w lokalnej telewizji i w ogólnokrajowej. To sprawiało, że surrealistyczna sytuacja wydawała się niepokojąco rzeczywista.

Szef techników odchrząknął cicho.

– Jeżeli mogę się wtrącić – zaczął swoim ugrzeczniwym tonem. Marek nie należał do osób, które łatwo się irytują, ale teraz był na granicy wytrzymałości. – Sprawdziliśmy, gdzie logował się ten numer na kartę. Ten, z którego wysłano ostrzeżenie.

– Gdzie? – zapytał ostro prokurator Gawroński.

– Na pana wniosek skontaktowaliśmy się z operatorem. Chętnie z nami współpracował. Dzięki triangulacji ustaliliśmy, że telefon logował się tu.

Tu. Szef techników stuknął palcem w blat stołu, jakby chciał podkreślić znaczenie tego słowa. W jego głosie pojawił się dziwny spokój.

– W komendzie? – zapytał zaskoczony Cybulski. – Jesteś pewien?

– Tak. W obrębie miasta nie ma z lokalizacją telefonu szczególnych problemów.

Wszyscy znowu spojrzeli na Marka podejrzliwie. Zaręba miał tego dosyć.

– Naprawdę nie miałem bladego pojęcia, że coś na Daniela macie! – zapewnił raz jeszcze. – Zadzwoił pan do mnie, komisarzu, i powiedział, że mamy przyjechać. Tylko tyle!

– Poza tym Daniel jest niewinny – stwierdziła Emilia twardo.

Marek spojrzął na nią zaskoczony. W ostatnich miesiącach wypowiadała się o Podgórskim albo wyłącznie źle, albo wcale nie mówiła. Zdawało się, że Strzałkowska jest nawet bardziej cięta na Daniela niż Weronika, która była w tej zawikłanej relacji chyba najbardziej poszkodowana. A teraz policjantka z jakiegoś powodu stanęła natychmiast w obronie

Podgórskiego.

– To na pewno nie jest łatwe. Dla nikogo z nas – zapewnił prokurator z naciskiem. Marek nawet nie spojrział w jego stronę. Wbrew tym zapewnieniom Gawroński na pewno był zachwycony całą sytuacją. Pozbycie się Daniela byłoby mu na rękę. – Niestety wiele wskazuje na winę Podgórskiego. Pamiętajcie, że ludzie z Gwiazdozbioru zeznali, że on ostatni był widziany ze Swietlaną Sokołową. W jej telefonie mamy zdjęcia, które robili sobie tamtej nocy. Nie zapominajmy też oczywiście o scyzoryku.

Scyzoryk, wielkie odkrycie techników. Brzmiało to trochę śmiesznie. Niestety Marek naprawdę nie potrafił wyjaśnić, skąd na scyzoryku wzięły się odciski palców Daniela. Marek sam przecież widział, że Podgórski niczego w pokoju na piętrze nie dotykał. Przez cały czas, kiedy oglądali makabryczną figurę leżącą na łóżku, Daniel stał trochę z tyłu. Nie podchodził do szafki nocnej, gdzie leżał nożyk, ani na chwilę. Czy to oznaczało, że był już tam wcześniej?

– Skąd wzięliście odciski Daniela do porównania? – zapytała rzeczowo Strzałkowska. Spojrzała przy tym prokuratorowi prosto w oczy.

Gawroński wymienił spojrzenia z komisarzem Małeckim.

– Tak się złożyło, że akurat ostatnio byliśmy z Danielem z wizytą w jednej ze szkół tu w Brodnicy – wyjaśnił Małecki. Zniknął gdzieś jego nieodłączny papieros. Bez dymka wyglądał tak jakoś obco. – Pokazywaliśmy dzieciakom, jak pracuje policja kryminalna. Razem z grupą techników zdejmowaliśmy na przykład odciski palców i tak dalej. Najpierw sobie nawzajem. Dzięki temu mieliśmy materiał porównawczy.

– Idealnie się złożyło – rzuciła Emilia cierpko.

Marek pokiwał głową, żeby pokazać, że stoi po jej stronie. Nie był pewien, o co chodziło, ale zupełnie mu się to nie podobało. Takie zbiegi okoliczności szczególnie.

– Uważacie, że go wrabiamy? – odezwał się prokurator Gawroński.

Strzałkowska wzruszyła ramionami.

– Emilia, proszę cię, nie szukaj spisków tam, gdzie ich nie ma.

Wszystko wskazuje na Daniela. Bardzo mi przykro. Nie tylko scyzoryk i zeznania świadków. Pomyślcie o tej postaci na łóżku.

– To znaczy?

– Ruda peruka, biała sukienka, jak do ślubu. No i książka. Przecież to podręcznik do psychologii – przypomniał prokurator Gawroński. – Weronika jest psychologiem, ma rude włosy i rozstała się z Podgórskim, bo zdradził ją tuż przed ślubem. Uważacie, że to przypadek?

Nikt nie odpowiedział. Strzałkowska poruszyła się niespokojnie.

– Moim zdaniem to może oznaczać, że Daniel... że on tworzył tam sobie nową Weronikę – podsumował Gawroński. Nie wydawał się wcale zawstydzony, że zabrzmiało to dość pretensjonalnie.

– Tworzył? Może to nieco za daleko posunięte... – zaczął Cybulski.

Poprawił przy tym swoje drogie okulary. Ubierał się równie elegancko jak Gawroński. Marek nie mógł oprzeć się wrażeniu, że komendant i prokurator pochodzili z zupełnie innego świata niż reszta śledczych zebranych w sali.

– Zdecydowanie za daleko posunięte – oznajmił Marek odważnie. – Tworzył sobie Weronikę? Niby dlaczego miał w tym celu zabijać sędziego i Swietlanę Sokołową? Po co zrobiły z nich tego... frankensteina? To nijak nie przypomina Weroniki.

– No właśnie. Jeżeli chodziło mu o Weronikę, to dlaczego jej nie zabił? – włączyła się Emilia. – Dlaczego po nią nie poszedł, tylko zadał sobie tyle trudu? To chore.

– No nie wiem, czy to jest zbyt daleko posunięte – odparł spokojnie Gawroński. – Przypominacie sobie przypadek Jeffreya Dahmera? Też rozczłonkowywał zwłoki. Niektóre części zjadał, inne wyrzucał. O ile dobrze sobie przypominam, z jednego ciała chciał zrobić zombi. Wywiercił w czaszce otwory i wlewał do środka jakieś specyfiki, które miały zwłoki ożywić. Uważał, że to będzie kochanek idealny. A Ed Gein? Ten robił sobie ubranie z ludzkiej skóry. Już nie mówiąc o innych trofeach, które zbierał. Prawdziwe *Milczenie owiec*.

– Porównujesz Daniela do amerykańskich seryjnych zabójców? – przerwała mu Emilia, unosząc się lekko na krześle. – Leon, daj spokój. To nie Hollywood.

– W Polsce też takich mamy. A Bogdan Arnold? Zdzisław Marchwicki? Władysław Mazurkiewicz? Karl Denke? – wymieniał Gawroński niewzruszony. – Oni może nie przypominają naszego sprawcy, ale...

– Przestań już – przerwała mu znowu Strzałkowska. – To niedorzeczne. Zresztą tak czy inaczej nie Daniel to zrobił.

Prokurator wzruszył ramionami.

– Trudno zrozumieć chory umysł – odparł tylko. – Dahmer podobno masturbował się, trzymając w rękach odciętą głowę. Tu też mamy odciętą głowę, więc...

Gawroński nie dokończył. Strzałkowska prychnęła wściekle, ale nic nie powiedziała. Zamiast tego rozprostowała plecy i pogładziła się po brzuchu. Marek bardzo chciał wierzyć w niewinność Daniela, ale znowu ogarnęły go wątpliwości. Emilia nie wiedziała przecież, jak Podgórski zachowywał się wobec Weroniki w weekend.

– Przypominam, że odciski opon subaru idealnie pasowałyby do tych z podjazdu w gospodarstwie sędziego Jaworskiego – włączył się szef techników. – Szerokość zgadza się niemal co do joty.

Zapadła pełna napięcia cisza.

– No dobrze. Po kolei – poprosił Cybulski. Komendant starał się chyba za wszelką cenę załagodzić sytuację. – Podsumujmy, co jeszcze znaleźliście w domu Jaworskiego. Przecież scyzoryk to nie wszystko.

Technik potwierdził.

– Jeden z chłopaków znalazł ładowarkę do laptopa.

– Co w tym dziwnego? – wypaliła Emilia.

– Komputera nie było.

– Podobnie jak telewizora i radia – przypomniał Małecki, jakby nieoczekiwanie stanął po ich stronie. – Ładowarka nie ma wielkiego znaczenia. Co jeszcze macie?

– Oprócz odcisków Podgórskiego na scyzoryku? – zapytał retorycznie szef techników. – Prawie nic. I to też jest

interesujące. W końcu brak śladów to też ślad. Dom jest naprawdę idealnie wysprzątnany.

– Rozumiem, że nie znaleźliście nigdzie brakujących fragmentów ciała? – chciał wiedzieć Cybulski.

Szef techników pokręcił głową.

– A co z luminolem? – zapytał Małecki. – Sprawca gdzieś przecież musiał pociąć ciała. Czy jakieś miejsca się świeciły?

Marek zauważył, że Emilia uśmiecha się do komisarza z wdzięcznością. To, że nie wymienił imienia Daniela, budziło nadzieję.

– Właśnie w tym problem, że w całym domu wszystko się świeciło – oznajmił technik.

Przez chwilę panowała cisza.

– Czy to oznacza, że cały dom był wysmarowany krwią? – zapytał Marek powoli, przerywając milczenie.

– Niekoniecznie – przyznał technik. – Luminol może wchodzić w reakcję nie tylko z żelazem z krwi, ale także z innymi substancjami. Już mówiłem, że ktoś dokładnie wysprzątał dom. I to płynem z wybielaczem. Reaguje z luminolem podobnie jak krew i powoduje chemiluminescencję.

– Czyli nie da się stwierdzić, czy ciała zostały pocięte w domu Jaworskiego? – zapytał Małecki.

– Byłoby lepiej, gdyby użyto wybielacza chlorowego. On co prawda daje fałszywie pozytywne wyniki, ale przy dokładniejszej analizie można temu zapobiec – wyjaśnił technik. – Niestety w tym przypadku nie użyto wybielacza chlorowego, tylko tlenowego.

– To gorzej? – wyrwało się Markowi.

– Dla nas zdecydowanie gorzej. Przy użyciu tego typu wybielacza hemoglobina niemal zupełnie znika – podkreślił technik. – A tu nawet nie za bardzo wiemy, gdzie dokładniej szukać, bo świeci się wszędzie. Zwłaszcza łazienka na piętrze wygląda obiecująco, ale będziemy mieli trudności, żeby coś potwierdzić lub czemuś zaprzeczyć.

– Daniel... to znaczy sprawca... myślicie, że celowo użył tego konkretnego wybielacza? – zastanawiał się Cybulski.

– W domu sędziego znaleźliśmy kilka butelek. Były w łazience na górze i w kuchni – powiedział technik. – Podgórski mógł użyć tego, co było na miejscu, albo przynieść butelki ze sobą i zostawić je tam, kiedy nie były mu już potrzebne. Trudno mi powiedzieć, jak było.

Marek poczuł, że musi zabrać głos. Te dywagacje szły odrobinę za daleko. Podgórski zawsze mu powtarzał, że trzeba zachować postawę sceptyka. Bez względu na okoliczności. Ciekawe, czy sam to wymyślił? Może usłyszał od Klementyny? W każdym razie, mimo wątpliwości, Marek zamierzał stosować się do tej zasady.

– Załóżmy, że to Daniel – powiedział, ignorując niechętnie spojrzenie Emilii. – Wybaczenie, ale to się nie trzyma kupy. Skoro ułożył w domu Jaworskiego tę postać, to chyba byłoby mu wszystko jedno, czy dowiedzielibyśmy się, że to tam pociął ciała. Skoro znaleźliśmy trupa, gorzej już dla... sprawcy być nie może.

– Zależy, co chciał ukryć – mruknął prokurator Gawroński. – Nie wiemy jeszcze wszystkiego. Może nie chodziło tylko o zamaskowanie miejsca pokawałkowania ciała i usunięcie krwi ofiar. Może próbował ukryć co innego?

– Niby co? – warknęła Emilia.

– Mamy coś jeszcze – powiedział szef techników. Oczy zebranych skierowały się na niego. Przejechał ręką po rzadkich włosach. – W kuchni znaleźliśmy nóż. Zwykły stołowy. Leżał w zlewie.

– I co z tym nożem?

– Były na nim ślady krwi. Daliśmy je do analizy, żeby sprawdzić, czy należała do którejś z ofiar. Zobaczymy. Jutro z samego rana sprawdzimy też oczywiście mieszkanie Sokołowej. Może tam znajdziemy coś ciekawego. Dziś już nie było na to czasu, ale zabezpieczyliśmy lokal.

– To tylko poszlaki – nie dawała za wygraną Strzałkowska.

– Cholernie mocne poszlaki – skwitował prokurator, ale uśmiechnął się do niej przepraszająco. Marek wiedział, że od dłuższego czasu Gawroński próbował odnowić relacje z policjantką. Oskarżanie Daniela chyba nie było najlepszą

metoda, bo Emilia się skrzywiła.

– A klucz, który znalazłam? – zapytała. – Po co Daniel rzucił klucz od domu sędziego w krzaki?

– No właśnie – poparł ją Marek. – Przecież ten klucz musi tu grać jakąś rolę. Nie uważacie?

Nikt mu nie odpowiedział.

– Córnka i brat Jaworskiego też nie budzą zaufania – powiedziała Strzałkowska. – Przyznajcie, że relacje Rajmunda i tej Twiggy z sędzią są co najmniej dziwne. Nie muszę chyba przypominać, że najczęstszymi sprawcami morderstw są członkowie rodziny.

– No dobrze, ale dlaczego mieliby zabić Marilyn? – zapytał Małecki.

W jego głosie czaiło się autentyczne zainteresowanie. Mimo to Emilia nie spojrzała nawet w jego stronę. Skupiała się na Gawrońskim, jakby tylko jego musiała przekonać.

– Poza tym to może głupie, ale dlaczego sędzia nie zgłosił uszkodzenia linii telefonicznej? – wyliczała dalej. – Nie żył już we wtorek? Do tej pory nie udało się ustalić numeru jego komórki. Kto w tych czasach nie ma komórki? Czy nie powinniśmy sprawdzić billingów obu ofiar? Co to za biała sukienka, która leżała na korpucie kobiety? Miała metkę? Może trzeba by sprawdzić, kto i gdzie ją kupił...

Emilia umilkła zdyszana. Na jej bladej twarzy pojawił się rumieniec. Cybulski odchrząknął.

– Naszym priorytetem jest teraz złapanie Daniela. Potem na pewno wszystko to sprawdzimy, zobaczysz, Emilio – obiecał. – Czuję, że Podgórskiego szybko znajdziemy. Tylko musimy działać rozważnie. Centrala już patrzy mi na ręce. Wysyłają nam swoich ludzi z województwa...

– A niech wysyłają – mruknęła Strzałkowska gniewnie. – Moim zdaniem zajęcie się sukienką i tymi innymi sprawami byłoby właśnie rozważnym działaniem, ale być może się mylę. W końcu jestem tylko wiejską gliną. I do tego ciężarną. Hormony szaleją.

Słowa Emilii aż ociekały ironią. Cybulski spojrzał na nią uważnie.

– Chociaż mimo wszystko niepokoi mnie, że to właśnie Jaworski skazał męża Marilyn za zabójstwo Lecha Rakowskiego – przyznał komendant. – Nie twierdzą, że Daniel jest niewinny, ale wydaje mi się, że istnieje powiązanie pomiędzy ofiarami.

– Zgadza się – włączył się nieoczekiwanie Małecki.

– Skupmy się na jednym – mruknął prokurator Gawroński.

– Dalej będziemy rozpracowywać Daniela. Może łączyło go z sędzią coś, o czym nie wiemy? – odparł Małecki. – Może ja się tym zajmę, bo Marek i Emilia też mają trochę racji. Mogę zrozumieć, że Daniel zabił striptizerkę, która mu przypominała Weronikę. Ale po co robił tę wymyślną figurę z dwóch ciał? Do czego była mu potrzebna głowa sędziego? To do siebie nie pasuje. Zobaczę, co uda mi się znaleźć.

Cybulski pokiwał głową.

– Emilio, Marku, przeszukacie jutro mieszkanie Swietłany Sokołowej razem z technikami – poprosił komendant. – Potem chciałbym, żebyście podjechali do biblioteki w Lipowie – na to wskazuje stempel – i dowiedzieli się, czy podręcznik do psychologii z sypialni sędziego wypożyczył Daniel.

– A jak nie on wypożyczył tę książkę? – zapytała cierpko Strzałkowska.

– Liczę na to, że szybko go zlokalizujemy i sam nam wszystko wyjaśni – odparł Cybulski. Próbował chyba przybrać pocieszający ton. – Tak czy inaczej jutro wieczorem spotkamy się tu na kolejnej odprawie. Będą już wyniki sekcji zwłok. Mam nadzieję, że rzucą więcej światła na całą sprawę.

Komendant spojrział na Marka.

– Myślę, że powinniśmy ostrzec Weronikę Nowakowską – dodał. – Poinformujcie ją, że może grozić jej niebezpieczeństwo. Wyślę nieoznakowany radiowóz, który będzie obserwował jej dom na wypadek, gdyby Daniel się tam pojawił.

Marek skinął głową. Po tym, co się wydarzyło w weekend, i tak zamierzał spotkać się z Weroniką.

ROZDZIAŁ 24

Wysypisko.

Poniedziałek, 8 czerwca 2015.

Gienek

Gienek polerował maszynę z zapalą. Wiedział, że frotowa poszewka, którą znalazł wczesną wiosną, wreszcie się do czegoś przyda. Była w całkiem dobrym stanie. W przeciwieństwie do tego ustrojstwa. Rozpad! To prawda, ale mimo wszystko aparat nadal robił wrażenie.

– Skąd masz to cacko? – zapytał Mały z wyraźną zazdrością. Niecodziennie znajdowało się coś takiego. Nawet na wysypisku.

Gienek wzruszył ramionami. Cały czas miał przed oczami ten zabawny widok. Facecik w kolorowej marynarce i okularkach. Wyglądał trochę jak klaun! Tak też się zachowywał! Bo niby dlaczego próbował przeleźć przez płot, zamiast wejść normalnie przez bramę jak wszyscy?

Oczywiście! Ludzie czasem mieli lenia i nie chcieli im się okrażać płotu i iść do bramy. Tylko że wtedy wrzucali rzeczy przez płot prosto na hałdę śmieci! Oczywiście kierownictwo było wściekłe, ale zdaniem Gienka to i tak lepiej, niż gdyby mieli ten syf rozrzucać gdzieś po chodnikach. Przynajmniej wrzucali to tam, gdzie należało.

– Co to właściwie jest? – zainteresował się Mały. – Ta maszyna.

Gienek wzruszył znowu ramionami. Dawno, dawno temu, jeszcze w lepszym życiu, widział kiedyś taki jeden film. To było o szpitalu dla psychicznie chorych. Grał tam taki aktor z diabolicznym uśmiechem. Gienek nie umiał przypomnieć sobie jego nazwiska. To było naprawdę dawno. Zaraz... Już prawie miał, ale niestety nazwisko znowu uciekło. Nieważne.

– To wiesz czy nie? – dopytywał się kolega. Bo jak inaczej

Małego nazwać? Może Brat! Spędzili razem na tym wysypisku dużą część życia. Ot tak się różnie człowiekowi może ułożyć. Kierownictwo ich akceptowało, a ostatnio nawet dostawali pewną sumkę. Za stróżowanie!

– To maszyna do elektrowstrząsów – wyjaśnił Gienek z nabożnym skupieniem. – Oto co to jest. Jakiś dziwny facet ją wywalił, to wziąłem.

Mały spojrzął na ustrojstwo z nowym zainteresowaniem. Nasunął przy tym uszatką czapkę głębiej na głowę, jakby bał się, że maszyna ożyje i elektrody same wskoczą mu na głowę. Najwyraźniej widział kiedyś ten sam film!

– Myślisz, że działa? – zapytał z przejęciem.

Gienek znowu wzruszył ramionami. Próbował podłączyć aparaturę do prądu w kancelarii, ale nic z tego. Może ten facet w kolorowej marynarce uszkodził sprzęt, kiedy spadł z płotu po tej swojej niewprawnej wspinaczce? Przez płoty trzeba umieć przelazić! To przychodziło z doświadczeniem. Tamten nie wyglądał na takiego, który musiałby to robić kiedykolwiek wcześniej.

No ale miał facet szczęście początkującego, bo upadł prosto na stertę nowo przywiezionych toreb ze śmieciami. Niestety pakunek z aparaturą wypadł mu z rąk i potoczył się na ziemię. Może wtedy coś się zepsuło! A może od początku nie działała? Bo niby dlaczego ten kolorowy ptak chciałby pozbywać się takiego fantastycznego przedmiotu?

– Kiedyś pewnie spróbuję przy tym podłubać – powiedział Gienek.

Lubił majsterkować. Jak facetowi ten sprzęt niepotrzebny, to Gienek z chęcią się tym zajmie. Musi tylko znaleźć trochę czasu. Może za tydzień. Może za dwa.

ROZDZIAŁ 25

Lipowo.

Poniedziałek, 8 czerwca 2015.

Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska

Jestem pewna, że naprawdę nie mam się czego obawiać – powiedziała Weronika. W jej głosie pobrzmiwała jednak wyraźnie wyczuwalna nuta wahania, która przeczyła jej słowom.

Stali na ganku dworku Nowakowskiej. Od jakiegoś kwadransa Marek ostrzegał Weronikę przed potencjalnym niebezpieczeństwem, które może jej grozić ze strony Podgórskiego. Emilia pozwoliła mu mówić, bo czuła się niewyobrażalnie wręcz zmęczona.

Noc trwała już w najlepsze, a ostatnie kilkanaście godzin okazało się aż za obfite w wydarzenia. Zdecydowanie nie tego się Strzałkowska spodziewała, kiedy wychodziła rano do pracy. Myślała, że spędzi ten dzień nad papierami, których nie dokończyła wypełniać w piątek, a potem pokręca się z Markiem trochę po wsi, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku. Odpoczynek. Według zaleceń lekarza. Tylko że potem sprawy potoczyły się zgoła inaczej, a Emilia nie zamierzała wycofać się ze śledztwa, póki nie doprowadzi spraw do końca.

Wcale nie chodziło tu o nią. Dziecko znowu kopnęło. Dokazywało zdecydowanie bardziej niż Łukasz, ale może po prostu w drugiej ciąży była na to bardziej wyczulona. Pogładziła się po brzuchu uspokajająco. Nie chciała wierzyć w winę Daniela. Nie mogła. Pomijając uczucia, jakimi go darzyła, to by oznaczało, że ojciec jej dzieci jest mordercą. I to takim bez skrupułów. Najgorszym. Tak absolutnie nie mogło być! Jej dzieci nie będą miały ojca mordercy! Nie zamierzała na to pozwolić. Dlatego musiała dotrzeć do końca śledztwa i to

wszystko wyjaśnić.

– Mnie też trudno w to uwierzyć – powiedział Marek do Weroniki. – No ale w weekend... Sama wiesz, jak Daniel się zachowywał...

Emilia spojrzała na kolegę zaskoczona. Nie wiedziała, o czym Zaręba mówi. Policjant wskazał zbitą szybę w kuchennym oknie dworku. Była prowizorycznie zasłonięta deską. Weronika pokiwała powoli głową. Emilia poczuła się dziwnie wykluczona, ale nie miała siły wnikać w to, co znowu przeskrobał Podgórski. Postanowiła, że zbada to później. Na spokojnie. Jak troszeczkę odpocznie.

– Dostaniesz ochronę z komendy. Chcesz, żebyśmy zostali, aż przyjadą?

Weronika wyglądała na niezdecydowaną.

– Poradzę sobie – powiedziała w końcu. – Dzięki. Jedźcie do domu. Już późno.

– W razie czego dzwoń.

– Na pewno. Dobranoc.

Wsiadli do radiowozu i Marek wycofał ostrożnie szutrową drogą, prowadzącą do szosy. Strzałkowska oparła głowę o zagłówek i przyknęła oczy. Kiedy je otworzyła, byli już pod jej domem. Musiała przysnąć na kilka minut.

– Dzięki, że mnie podwiozłeś – powiedziała do Marka.

– Jasna sprawa. Nie ma problemu.

Emilia zerknęła na swój niezbyt urodziwy dom. Szczerze mówiąc, należał do najbrzydszych w całym Lipowie, ale zdążyła już się do niego przywiązać. W oknach paliły się światła, czyli Łukasz jeszcze się nie położył. Żadnego zaskoczenia. Syn miał piętnaście lat i od dawna kładł się w środku nocy. Emilia nie wiedziała, o której dokładnie, bo sama nigdy do tego momentu nie dotrwała.

– To ty wysłałeś tego SMS-a z ostrzeżeniem?

– Nie. A ty?

– Ja też nie.

Siedzieli przez chwilę w ciszy przerywanej jedynie delikatną pracą silnika na jałowym biegu. Te pytania nie miały sensu, bo przecież cały czas byli razem. Jedno nie mogło ostrzec

Podgórskiego bez wiedzy drugiego.

Zaręba przekreślił kluczyk w stacyjce i silnik zgasł. Wyglądało na to, że młody policjant ma ochotę porozmawiać. Strzałkowska wręcz przeciwnie. Westchnęła. Tak naprawdę chciała już tylko położyć się spać. Wysikać się i położyć spać. Nie zapominajmy o ciągle przepelnionym pęcherzu, pomyślała z lekką goryczą. Nie mogła się powstrzymać. Może naprawdę nadawała się już wyłącznie do papierkowej roboty?

Czy to błąd, że tu przyjechała? Znowu pogładziła się po brzuchu. Nawet gdyby chciała, nie potrafiła myśleć, że Dziecko jest błędem. Kochała je z całych sił, chociaż nie wiedziała nawet, jakiej jest płci. Wołała zaczekać z tym do porodu. Z Łukaszem też tak było. Żadnego wymyślania imion i kupowania ubranek.

– Nie sądzisz, że to dziwne, że nie wyłączyli nas ze śledztwa? – zagadnął Marek.

– Myślisz, że Daniel to zrobił? – szepnęła Emilia zamiast odpowiedzi. Nie miała zamiaru, ale jakoś samo tak wyszło. Co gorsza, w jej głosie zabrzmiała prośba. To było upokarzające. Mimo to czekała w napięciu na odpowiedź. Na zaprzeczenie.

Marek odwrócił wzrok. Zaniepokoiło ją to.

– Co? – zapytała. Tym razem ostrzej. – Uważasz, że to on?

– Sam już nie wiem... Chodzi o to, że...

Zaręba umilkł w pół słowa. Emilia czekała, aż dokończy, ale chyba nie zamierzał.

– Co? – szepnęła znowu.

– Chodzi o sobotę wieczorem.

Strzałkowska westchnęła. Wyglądało na to, że już dziś dowie się, co stało się w dworku.

– Możesz powiedzieć, o co chodzi? I co znaczy ta wybita szyba?

– Aż dziwne, że to się jeszcze nie rozeszło... Pewnie dlatego, że dworek Weroniki jest na uboczu.

Strzałkowska westchnęła głośno.

– Marek, nie owijaj w bawełnę. Mów wreszcie!

Zaręba spojrzał na nią, jakby ze sobą walczył.

– Daniel przyszedł do Weroniki. Był bardzo pijany –

powiedział w końcu. – Szczerze mówiąc, nigdy wcześniej nie widziałem go tak nawalonego. Chociaż w ostatnich miesiącach nie wylewa za kołnierz. Sama wiesz. Mówię ci, ledwie trzymał się na nogach. Nie wiem, jak w ogóle dotarł na miejsce. Naprawdę cud, że to się nie rozniosło po wsi.

Emilia potarła oczy. To było zupełnie nie w stylu Daniela, ale rzeczywiście w ostatnich miesiącach kilkakrotnie widywała go niezłe wstawionego. Nie była pewna, czy to nie jej wina. Kiedy powiedziała mu o ciąży, kilka razy przecież proponował coś w rodzaju wspólnego życia. Chyba chciał się zachować honorowo. Cokolwiek to by mogło oznaczać.

Nie mogła zdobyć się na to, żeby go przyjąć. Nie zamierzała być wiecznie tą drugą. O nie. A była pewna, że więcej od Daniela nie dostanie. Nie kochał jej. Kochał Weronikę. Strzałkowska z całą ponurą pewnością czuła, że dwójka wspólnych dzieci tego nie zmieni. Woląla wychowywać Łukasza i Dziecko sama niż mieć rodzinę, bo tak byłoby honorowo. Ona tak nie chciała. Poradzi sobie sama. Jak zawsze.

– Co się stało dalej? – mruknęła.

– Weronika nie chciała go wpuścić, a on nie chciał się odczepić.

– Co masz na myśli?

Marek znowu przekręcił kluczyk w stacyjce i silnik zawarczał. Wyglądało na to, że nie ma ochoty kontynuować.

– Próbował dostać się do dworku. Zbił szybę... Zachowywał się tak, że Weronika się przestraszyła i zadzwoniła do mnie. Przyjechałem natychmiast. On gadał takie rzeczy... groził jej...

– Zaręba przerwał. – To było przykre. Naprawdę smutno było patrzeć, co wóda robi z człowiekiem. Nieważne. Odstawiłem go do domu. Trzeba było widzieć minę pani Marii.

Emilia pokiwała głową. Dla matki Daniela to wszystko, co dotyczyło jej syna, na pewno nie było łatwe. Nie mieściło się w jej mocno tradycyjnym światopoglądzie.

– Teraz już sam nie wiem, czy to był wpływ alkoholu. Może Daniel naprawdę ma obsesję na punkcie Weroniki... – powiedział Marek po chwili. – Ta inscenizacja w domu Jaworskiego, ten makabryczny frankenstein. Może Gawroński

się nie myli i to miała być Weronika?

– Skoro był nawalony, to nie mógł zabić striptizerki.

Marek spojrzał na Emilię z westchnieniem. Strzałkowska miała wrażenie, że widzi w jego oczach współczucie. Odwróciła się.

– U Weroniki był w sobotę. Kto wie, co robił w piątek w nocy.

CZEŚĆ DRUGA

Wcześniej

1

Skoro już wyjaśniłam, jak to się wszystko zaczęło, to teraz chciałabym napisać o Nim.

Ja sama chciałabym to napisać... bo to jest akurat tylko moja historia. Proszę... Wiem, że Cię denerwuje, że piszę o nim wielką literą, ale pozwól mi tym razem... On tak wiele dla mnie znaczył! Chcę napisać o tym sama. Tym razem poradzę sobie sama...

Muszę przyznać, że On nie od początku mi się spodobał. Byłam do Niego raczej nastawiona sceptycznie. Ale może dopowiadam sobie to teraz, kiedy już wiem, jak to się skończyło i co mi zrobił? Co by było, gdybym Go nie spotkała?

Niezbyt często zdarza mi się tak gdybać. Życie mnie tego skutecznie oduczyło. Co by było gdyby... Te słowa są bez sensu, a jednak teraz z jakiegoś powodu trzymam się ich kurczowo. Jakby naprawdę mogły cokolwiek zmienić.

Co by było gdyby... Te słowa to trucizna nawet większa niż On...

Ach... Gdybym tylko od początku przewidziała, co będzie później, co On robi, jak się zachowa... Miałam przecież wiele możliwości, żeby się wycofać, póki nie było za późno, póki On

nie zawładnął moim życiem w całości. Dlaczego tego nie zrobiłam? Dlaczego tak bardzo chciałam się do Niego zbliżyć?

Proszę... Staram się powstrzymać łzy, które ciągle napływają mi do oczu. Muszę sobie sama z tym poradzić. Tym razem tu, na tych luźnych pogniecionych kartkach, w tym moim pamiętniku bez ładu i składu... Czuję, że muszę to opowiedzieć. Nawet sama sobie. Muszę sobie poradzić, proszę... Tym razem dam radę sama.

Tak więc ja i On.

Nie zostaliśmy oczywiście parą tak od razu. Po naszym pierwszym spotkaniu nie widziałam Go z tydzień, może nawet dwa. Przez ten czas trochę wracałam myślami do tamtego momentu, do rysów Jego twarzy i tonu Jego głosu, ale właściwie nic poza tym. Tylko tyle albo może aż tyle.

Drugi raz spotkaliśmy się przypadkiem gdzieś w Brodnicy. Zauważyłam Go w tłumie, jak niósł jakieś paczki. Wydawał się taki inny od mężczyzn, których dotychczas spotkałam. Może dlatego Mu zaufałam? Może dlatego tak bardzo mnie zwiódł?

Może dlatego to właśnie ja sama, głupia, zaproponowałam Mu kolejne spotkanie. Zrobiłam to odważnie, mimo że to zupełnie nie w moim stylu tak wychodzić przed szereg. Ale przy Nim stawałam się zupełnie inną osobą. Znikały lęki, niepewność. Może to za sprawą słodkich słów, którymi tak chętnie mnie raczył?

– Jesteśmy dla siebie stworzeni.

Powiedział to jakiś miesiąc po naszym pierwszym przypadkowym spotkaniu. Uwierzyłam Mu. Chyba dlatego, że gdzieś głęboko też tak czułam. Albo chciałam czuć. Przepraszam.

Widywaliśmy się już wtedy regularnie. Ja i On. Odbywało się to w tajemnicy. To oczywiście powinno dać mi do myślenia już

na samym początku. Powinnam była pytać, dlaczego na to nalega.

Gdybym tylko przewidziała, jak to się skończy. Gdybym tylko potrafiła odejść, zanim było za późno...

Trochę później zaprowadziłam Go na dach. Lubiłam stamtąd obserwować gwiazdy. Widok bezkresnego nieba przynosił ulgę, kiedy tylko tego potrzebowałam. Wiesz przecież, jak tam jest pięknie. Sekretne miejsce. Miałam wrażenie, że wpuszczam Go do najintymniejszych części mojego ja. Że wchodząc na dach, on jest bardziej we mnie niż podczas uprawiania cielesnej miłości.

Patrzyliśmy w gwiazdy, a ja opowiadałam Mu o nich tyle, ile dowiedziałam się kiedyś z książek i z internetu. Opowiedziałam mu też o zapiskach babci Augusty i o tym, że próbuję rozpracować jej recepturę. Nawet o tym Mu powiedziałam. Nawet o tym.

Zdawał się zainteresowany... A może tak wcale nie było? Może tylko udawał, żeby w ten sposób umocnić moje bezgraniczne zaufanie?

S.

2

W tamtym czasie spędzaliśmy ze sobą praktycznie każdą wolną chwilę. Wiesz przecież, że byłam bezgranicznie zakochana. Znasz mnie najlepiej. Nie docierało do mnie, że On stopniowo starał się odseparować mnie od świata zewnętrznego.

– Tak bardzo cię kocham. Już zawsze będziemy razem – obiecywał. – Nic nas nie rozdzieli.

Jego głos brzmiał słodko, kiedy szeptał te obietnice do mojego chętnego ucha. Miałam złudne wrażenie, że to prawdziwe uczucie. Przyznaję, że byłam go spragniona. Ja głupia... Gdybym tylko domyśliła się, że to tylko gra... Gdybym tylko przejrzała na oczy i zobaczyła, że pod tą fasadą kryje się ktoś zupełnie inny...

Gdybym tylko! Znowu te znienawidzone słowa pełne gorczy, bólu i strachu...

Ale poradzę sobie. Opowiem o tym sama. Proszę.

Nie jestem pewna, kiedy skończyły się słodkie przysięgi, a zamiast nich pojawił się chłód, obojętność, a może nawet coraz mniej skrywana niechęć. Może nie było wyraźnej granicy i to wszystko działo się stopniowo? Jakbyśmy każdego dnia oddalali się od siebie o pół milimetra albo i mniej. Aż w pewnym momencie nieubłaganie byliśmy kilometry od siebie.

Z całych sił próbowałam sobie wmówić, że milczenie, które pomiędzy nami coraz częściej zapadało, nie ma najmniejszego znaczenia. Z perspektywy czasu wydaje się to żałosne i głupie, ale co miałam zrobić, skoro wtedy nie widziałam świata poza Nim? Wydawało mi się, że nie potrafiłam już bez Niego żyć...

Jaka głupia byłam! Powinłam była uciekać już wtedy! Powinłam była Cię posłuchać! Ciągle miałam jeszcze wybór. On nie trzymał mnie przecież na uwięzi. Przynajmniej nie fizycznie. Gdybym tylko znalazła w sobie dość siły, żeby to zakończyć... Żałuję, że Ci nie zaufałam, że nie posłuchałam Ciebie, tylko Jego.

S.

CZEŚĆ TRZECIA

Wtorek, 9 czerwca 2015

ROZDZIAŁ 26

**Okolice Jabłonowa Pomorskiego.
Wtorek, 9 czerwca 2015.
Podinspektor Wiktor Cybulski**

Cybulski otulił się szczelniej marynarką. Po upale nie było śladu. Wychodząc z domu, sprawdził temperaturę. Było około piętnastu stopni. Teraz miał jednak wrażenie, że jest znacznie zimniej. Uparta mżawka przenikała przez ubranie z niespodziewaną łatwością. Cybulski żałował, że nie zabrał parasola, ale przecież nie planował siedzieć na dworze. Chciał zacząć dzień od rozmowy z wdową po Lechu Rakowskim i ustalić, czy śmierć Jaworskiego i Sokołowej nie łączy się z porachunkami między dawnymi właścicielami Gwiazdozbioru, Longinem Grzelakiem i Lechem Rakowskim.

Tymczasem jakąś godzinę temu jeden z patroli namierzył samochód Podgórskiego. Małecki zaproponował, że pojedzie sprawdzić to sam, ale Cybulski nie zamierzał rezygnować z prowadzenia śledztwa. Bardzo mu zależało na tym, żeby rozwiązać tę sprawę i, jeżeli byłoby to możliwe, oczyścić Podgórskiego z zarzutów. Nie chciał, by uznano, że obejmując nowe stanowisko komendanta, od razu popełnił tak wielki błąd personalny. Nie chodziło tylko o reputację. Po rozwodzie z Żanetą tylko praca mu pozostała. No może oprócz okazjonalnego kieliszka porto z niebieskim serem pleśniowym,

jak wczorajszego wieczora.

Bardzo liczył na Klementynę. Jeżeli pobyt w szpitalu jej nie zmienił, niemożliwym jest, żeby trzymała się od tej sprawy z daleka. To nie było w jej stylu. Oczywiście nie mogła wziąć udziału w formalnym śledztwie. Ale mogła dyskretnie się do niego włączyć. Cybulski zaś musiał przywdziać maskę chłodnego profesjonalizmu. Już na wczorajszej odprawie bardzo się starał, żeby nikt nie miał wątpliwości, iż poważnie traktuje oskarżenia wysunięte przeciwko Danielowi. Miał nadzieję, że mu się udało.

– Daleko nie odjechał – mruknął Małecki.

Błękitne subaru stało zaparkowane przed niewielkim, dość obskurnym motelem na obrzeżach Jabłonowa. Niecałe dwadzieścia kilometrów od Brodnicy. Właściciel przybytku wyglądał na zachwyconego tym, co się dzieje. Przechadzał się wokoło i pstrykał zdjęcia telefonem komórkowym. Trudno było powiedzieć, co zamierza z tym potem zrobić. Być może sprzedać mediom. Dziennikarze i tak na pewno zaraz się zjawia, więc nie było sensu mu tego zabraniać.

– Kiedy przywiozą psa?

– Lada chwila powinien tu być – poinformował Małecki, rzucając niedopałek papierosa na ziemię.

Stali przez chwilę w milczeniu, odwróteni tyłem do siąpiącego deszczu. Wiało z zachodu, więc twarze mieli skierowane na wschód. Cybulski bezskutecznie próbował dostrzec jakiegokolwiek ślady budzącego się słońca. Nic. Chmury zdawały się nieprzeniknione. – Myślisz, że to dobry pomysł pozwalać ludziom z Lipowa dalej uczestniczyć w śledztwie? – zapytał Małecki, przerywając milczenie. – Nie lepiej ich odsunąć?

Cybulski spodziewał się tego pytania. Miał więc już gotową odpowiedź.

– Myślę, że mogą być naszym koniem trojańskim – wyjaśnił. Nie mógł przecież powiedzieć, że chciał mieć kogoś, kto go będzie wspierał na wypadek, gdyby Klementyna zawiodła. – Doprowadzą nas do Daniela, jeżeli się z nimi skomunikuje.

– Skoro tak uważasz – odburknął komisarz. – A Klementyna Kopp? Co z nią? Nie uważasz, że Daniel może próbować

nawiązać z nią kontakt?

Cybulski westchnął. Miał nadzieję, że to pytanie nie padnie, ale i na nie miał gotową odpowiedź.

– Żartujesz, Nikodemie? Między innymi przez zeznania Emilii i Daniela Klementyna trafiła do szpitala na obserwację. Myślisz, że mu wybaczy coś takiego? Nie ona. Znasz ją przecież.

Małecki wzruszył ramionami i sięgnął po kolejnego papierosa.

– Znam ją i właśnie tego się boję – powiedział, zapalając. – Jest nieobliczalna. Tylko jej nam tu jeszcze brakuje... No już są.

Na parking przed motelem wjechał biały van. Wysiadł z niego aspirant sztabowy Adam Szablowski, a tuż za nim wyskoczył pies. Wilczyca nazywała się Jolka i nieraz korzystali z jej pomocy. Pomachała ogonem. Mimo groźnego wyglądu miała złote serce i była całkowicie posłuszna swojemu przewodnikowi.

– To co, zaczynamy? – zaproponował Szablowski, kiedy wymienili uściski rąk.

Był wysokim mężczyzną o ciemnych włosach i gładko ogolonej twarzy. Dobrze wrażeń psuła tylko blizna szpecąca lewy policzek. Pamiątka po jednej z ostrzejszych akcji prewencyjnych. Nikt w komendzie nie był dumny z tego, jak potoczyły się wtedy wypadki. A już na pewno nie Małecki, który wtedy dowodził. Jeden z funkcjonariuszy zginął, a Szablowski został mocno poturbowany. Po tym wydarzeniu Szablowski wycofał się. Zrobił kurs na przewodnika psa tropiącego i nie narzekał. Przynajmniej nie otwarcie.

– Podgórskiego trzeba znaleźć, jak najszybciej.

– Zdaję sobie sprawę – rzucił Szablowski. – Jolka jest najlepsza.

Policjant dał psu próbkę zapachu do nawąchania, a potem wydał sygnał do rozpoczęcia poszukiwań. Jolka węszyła przez chwilę, jakby od niechcienia. Potem ruszyła truchtem najpierw na zaplecze obskurnego motelu, a później dalej przez niewielkie zarośla. Szablowski podążał za nią mniej więcej w odległości jakichś dziesięciu metrów, pozwalając, by go prowadziła.

Cybulski i Małecki pospieszyli za nimi przez zarośla. W końcu wybiegli na gruntową ścieżkę, która stopniowo przechodziła w wyasfaltowaną wąską drogę. Prowadziła do luźno porozrzucanych zabudowań. Trudno było powiedzieć, czy to nadal peryferie Jabłonowa, czy już inna wieś.

Pies kręcił się przez chwilę niezdecydowany. W końcu stęknął głucho.

– Trop się tu urywa – oznajmił Szablowski.

– Cholera jasna. Przecież się stąd nie teleportował – sarknął Małecki z wyraźną irytacją. – Niech się bardziej postara.

– Mówię, że trop się urywa – powtórzył Szablowski i poklepał szerokie czoło Jolki z godnością. – Ona nigdy się nie myli. Pies ma około trzystu milionów receptorów węchowych. Wiecie, ile my mamy?

– Nie, nie wiemy – mruknął Małecki z irytacją.

– Marne sześć, więc może okażcie jej trochę szacunku. Zresztą wasz człowiek mógł wsiąść tu do samochodu. Ot i cała tajemnica.

– Niby jak, skoro jego fura stoi tam.

Małecki machnął ręką w stronę, skąd przyszli. Wyglądał na podenerwowanego. To było dziwne. Komisarz z reguły zachowywał zimną krew. Być może chodziło o obecność Szablowskiego, pomyślał komendant. Może Małecki nadal winił się za tamtą nieudaną akcję. Minęło już kilka lat, ale niektórych ran nigdy nie da się zaleczyć.

– Ktoś mógł go stąd odebrać – zastanawiał się głośno Cybulski.

– Wolę nie mówić, kto to mógł być – mruknął Małecki. – Popytajmy we wsi. Jak będziemy mieć szczęście, to może ktoś coś widział.

Przepytywanie mieszkańców niewielkiego skupiska domów poszło nadspodziewanie sprawnie. A co ważniejsze, szybko znaleźli człowieka, który mógł im pomóc. Mężczyzna z domu opatrzonego złotym numerem 5 przyjrzał się zdjęciu Daniela, po czym wykrzyknął:

– Wczoraj wieczorem zabrałem faceta, który tak wyglądał! Łapał tu u nas stopa.

– Gdzie pan go zawiózł? – zapytał Cybulski.

– Niedaleko. Tylko do Konojadów. Dalej nie jechałem, więc tam wysiadł. Jest niebezpieczny?

Już zwietrzył sensację. Cybulski nie rozumiał tej fascynacji złem, którą wykazywało wielu ludzi. Choć, jak mawiał Eurypides, „dobro i zło zawsze ze sobą graniczą”.

Podziękowali mężczyźnie. Wycofali się przez krzaki. Wsiedli do radiowozów i ruszyli do pobliskich Konojadów. Niewielka wieś przycupnęła wśród złotych pól. W oddali widać było ciemnozieloną ścianę lasu. Na widok policji kilku mieszkańców wyszło przed domy.

– Spójrz tu – mruknął Małecki, kiedy wysiedli, i podsunął Cybulskiemu swoją komórkę niemal pod sam nos. Na ekranie mieniła się mapa Google. – Byliśmy tu, a teraz jesteśmy tu. A dalej na wschód jest...?

– Zbiczno – odparł zgodnie z prawdą komendant.

Nie musiał patrzeć na mapę. Przed rozwodem mieszkał w tej okolicy razem z Żanetą. Mieli piękny dom. Z dużym ogrodem i stajnią, gdzie jego żona trzymała konie. Teraz pewnie przesiadywała na tarasie z młodym kochankiem. Zazdrość. Bronił się przed nią, ale nad wyraz bezskutecznie.

– A jeszcze dalej? – naciskał Małecki uparcie.

– Daj spokój. Wiem, że dalej jest Lipowo.

– Podgórski przemieszcza się w tamtą stronę – powiedział komisarz, kiwając głową. – Na pewno mamy tam wystarczająco dużo ludzi? Gdyby coś się stało Weronice, to by była medialna katastrofa.

– Nikodemie, zdaję sobie dobrze sprawę, że jesteśmy pod ostrzałem mediów – powiedział Cybulski łagodnie. – Panuje nad sytuacją.

– Doprawdy...

W głosie Małeckiego słychać było nieprzyjemną nutę. Cybulski znowu pomyślał o zazdrości. Jakże różne formy przyjmowała. Czy komisarz miał mu za złe, że przejął dowodzenie nad śledztwem, które przedtem jemu powierzył?

– Jolka znowu złapała trop! – krzyknął tymczasem Szablowski, wyrывая komendanta z zamyślenia.

ROZDZIAŁ 27

Rezydencja Rakowskich. Wtorek, 9 czerwca 2015. Jagoda Rakowska

Jagoda Rakowska chodziła po pokoju w tę i z powrotem. W tę i z powrotem. Kolejna nieprzespana noc upewniła ją, że plan jest już dopracowany w każdym szczególe. No i wreszcie pojawił się znak, na który tak czekała. Nie mogła się już teraz wycofać. Musi znaleźć w sobie odwagę. Tylko najsilniejsi pozostaną. Tak przecież powtarzał jej ukochany Lech!

Usiadła przy zdobionej toaletce i spojrzała sobie w oczy. Zemsta za śmierć męża. To jest to, na czym powinna się skupić i wreszcie wprowadzić w życie. Bała się, ale nie było już odwrotu.

Nie myliła się, że znak nadejdzie. Wczoraj późnym wieczorem dostała telefon, że przyjedzie do niej policja. Chcieli rozmawiać o Lechu. O jego śmierci. O tym zdrajcy Longinie Grzelaku i jego obleśnym kierowcy, Dymitrze Sokołowie, który ledwie dukał po polsku. Dziś komendant Cybulski zawiadomił ją, że przesuwa rozmowę. Nic nie szkodzi. Co się odwlecze, to nie uciecze.

Jagoda odwróciła się na wyściełanym stołeczku i uśmiechnęła się do syna. Michał patrzył na nią wielkimi niebieskimi oczami. Ogarnęło ją rozczulenie. Nie rozumiała, jak to możliwe, że urodziła tak pięknego człowieka. Sama była raczej brzydka. Lech też nie należał do klasycznych przystojniaków. Jednak życie, które razem stworzyli... to była perfekcja.

– Czyli już wiemy, jak to rozegramy? – upewniła się.

Michał skinął głową, chociaż po jego twarzy przebiegł wyraźny cień. Jagoda wiedziała, że jej plan nie do końca mu się podoba. Być może syn martwił się o nią. To jej schlebiało i dodawało jeszcze więcej woli działania. Plan może nie był

najlepszy, ale był jej. Sama go wymyśliła, chociaż nigdy nie uważała się za szczególnie lotną. Wymyśliła to sama. Dla Lecha.

Na myśl o mężu Jagoda poczuła, że całe jej ciało wypełnia się spokojem. Wiedziała, że dobrze robi. Nie mogła zostawić jego śmierci ot tak. Musiała działać.

ROZDZIAŁ 28

Lipowo.

Wtorek, 9 czerwca 2015.

Weronika Nowakowska

Weronika szła przez Lipowo szybkim krokiem. Dziennikarze ciągle się kręcili po okolicy, więc chciała dać do zrozumienia, że się spieszy i nie ma czasu na pogawędki. Igor biegał przed nią lekkim truchtem, machając ogonem. Sprawdzał wszystkie znajome miejsca. Jak zwykle nie zwracał najmniejszej uwagi na czekające zza płotów psy. Czasem Weronika podejrzewała, że specjalnie podchodził na tyle blisko, żeby zirytować gospodarskich stróżów. Osiągnąwszy cel, odchodził z niewinną miną na roześmianym goldenim pysku.

Samej Weronice nie było do śmiechu. Zdecydowanie. Wczoraj późnym wieczorem odwiedzili ją Marek i Emilia. Chcieli ostrzec ją przed Danielem. Nie wiedziała, co o tym myśleć. Mimo wszystko trudno jej było uwierzyć, że to Podgórski mógł zrobić coś takiego sędziemu Jaworskiemu i tej kobiecie. Nastraszył ją co prawda w weekend i był niewierny, ale to przecież nie oznaczało, że nagle stał się mordercą. Ludzie aż tak się nie zmieniają.

Chyba. Weronikę przeszedł nieprzyjemny dreszcz. Obejrzała się mimowolnie. W niewielkiej odległości za nią jechał samochód. Małżeństwo z Mariuszem nauczyło ją rozpoznawać nieoznakowane radiowozy. To był jeden z nich. Wyglądało na to, że komenda powiatowa naprawdę przydzieliła jej ochronę. To dodawało otuchy.

Wspięła się po schodach do sklepu Wiery. Dzwoneczki wiszące w progu zabrzączały głośno, kiedy otwierała drzwi. Otoczył ją aromatyczny zapach ziół. Odetchnęła głębiej, żeby przez chwilę się tą wonią rozkoszować. To nie był zwykły sklep.

Tak jak i Wiera nie była standardową wiejską sprzedawczynią.

– Cześć, dziewczyno! – zawołała sklepikarka.

Wyszła szybko zza lady na powitanie Weroniki. Igor skoczył do niej i złożył na pomarszczonej już nieco twarzy kilka mokrych pocałunków. Wiera poklepała go po głowie czule. Chętnie wpuszczała go do sklepu i szykowała dla niego jakiś kasek zza lady. Pewnie dlatego Igor szalał z radości za każdym razem, kiedy Weronika oznajmiała mu, że wybierają się na zakupy. Rozumiał to słowo doskonale.

– Cześć, Wiera. Muszę ci coś powiedzieć...

Weronika wprost nie mogła się doczekać, kiedy opowie przyjaciółce, czego dowiedziała się wczoraj od kioskarki i jej córki. Początkowo planowała, że poinformuje o tym Marka i poprosi go o sprawdzenie spisu połączeń w budce telefonicznej. Jednak wczoraj wieczorem nie było okazji. Na pewno nie kiedy Zaręba twierdził, że Daniel może być mordercą, a obok stała Strzałkowska z zaciętą miną.

Jakoś nie było okazji, powtórzyła sobie w duchu Weronika. Chyba tylko po to, żeby samą siebie ostatecznie przekonać, że postąpiła słusznie. Zresztą sama sobie poradzi. Potrzebuje tylko drobnej pomocy. Chociażby od Wiery.

– Słuchaj! – przerwała jej Wiera, zanim Weronika zdążyła wyjaśnić, z czym przyszła. – To ja muszę ci coś powiedzieć!

– To, co ja mam do powiedzenia, może być naprawdę ważne – upierała się Weronika. – Pani Honorata i Idka słyszały, jak weszły wtorek sędzieja Jaworski kłócił się z kimś przez telefon i...

Wiera machnęła ręką, jakby ją to zupełnie nie interesowało. Weronika spojrzała na przyjaciółkę zaskoczona. Nie takiej reakcji się spodziewała. Przecież obie lubiły Jaworskiego, mimo że był, jaki był, i tak właściwie, jak się zastanowić, zupełnie go nie znały.

Sklepikarka podeszła do drzwi i wyjrzała na zewnątrz. Zaczęła rozwijać przekrzywioną, pasiastą markizę, chociaż nie było słońca, a sądząc po szarej warstwie chmur na niebie, nie zapowiadało się na polepszenie pogody. Nieoznakowany radiowóz zaparkował kawałek dalej. Policjanci przyglądali się

działaniom Wiery bez szczególnego zainteresowania.

– Pomóż mi – poprosiła sklepikarka.

We dwie zamocowały markizę i wróciły do środka.

– O co chodzi? – zapytała Weronika z irytacją.

– Chciałam tylko sprawdzić, czy to policja – wyjaśniła Wiera konspiracyjnym szeptem.

– Wystarczyło, żebyś mnie zapytała. Powiedziałabym ci – odparła Nowakowska z wyrzutem. Czowała się urażona brakiem zainteresowania ze strony Wiery. – Wysłali ich z komendy. Mają mnie chronić przed Danielem.

– Weroniczko – szepnęła sklepikarka. Mówiła cicho, ale z dziwną mocą. – Jest sprawa...

Nowakowska spojrzała na nią zaskoczona. Przyjaciółka wyglądała na poruszoną. Podeszła do półki z ziołami i zaczęła je układać. Zerkała przy tym co rusz na radiowóz. Najwyraźniej obecność policji wyprowadzała ją z równowagi.

– Co się stało?

– Wiem, gdzie jest Daniel – szepnęła znowu Wiera.

– Co?!

Teraz to Weronika rozejrzała się wokół siebie nerwowo. Czy Podgórski był tu w sklepie? Wbrew sobie poczuła lęk.

– Wiem...

– Słyszałam – przerwała jej Weronika, również ścisząc głos do szeptu. – Ale skąd wiesz?

Wiera wzruszyła ramionami.

– I koniecznie chce się z tobą spotkać – poinformowała zamiast odpowiedzi. – Pójdiesz do niego?

ROZDZIAŁ 29

Dom dla Dzieci „Nowa Szansa” w Brodnicy.

Wtorek, 9 czerwca 2015.

Halina Michalik

Halina Michalik kierowała Domem dla Dzieci „Nowa Szansa” już dziesięć lat. Uwielbiała swoją pracę i wcale nie żałowała, że nie założyła tak zwanej „własnej rodziny”. Przecież to dzieci w tym domu były jej rodziną. Tak je traktowała i odkąd przejęła stery w tej placówce, z całych sił starała się, żeby jak najmniej odczuwały fakt, że nie mają prawdziwych rodziców. Chciała dać im nową szansę na szczęście. Stąd nazwa domu. Nowa szansa. Dawanie szczęścia... Halina miała wielką nadzieję, że jej się to udaje.

Nie oznaczało to bynajmniej wychowania bezstresowego. Co to, to nie. Halina miała zasady, a dzieci musiały je respektować. Bywała surowa. To prawda. Schlebiała sobie jednak, że zawsze postępowała sprawiedliwie. I to dawało efekty. Na przykład taki Konrad! Od dawna nie było już na niego żadnej skargi ze szkoły. Kilka ostrych słów najwyraźniej pomogło i trochę utemperowało niesfornego nastolatka.

Westchnęła i spojrzała na dokumenty, które leżały przed nią na biurku. Lew Sokołow. Przed oczami stanął jej grzeczny chłopiec o smutnej twarzy. W jej zawodzie papiery to nie były tylko kartki. Za każdą z nich stało dziecko. Mały Lew został wczoraj przyjęty w drodze wyjątku, bo jego sytuacja była zdecydowanie trudna i policja nie miała co z nim zrobić. Halina nie mogła odmówić, chociaż utrzymanie jeszcze jednego dziecka nie było tanie. A musiała liczyć się z tym, że Lew zostanie tu dłużej. To i fakt, że jutro mieli być gospodarzami Wojewódzkich Mistrzostw Placówek Opiekuńczo-Wychowawczych w Piłce Nożnej, oznaczało, że trzeba będzie

zaciśnięć pasa. Jeszcze bardziej.

Gdybym tylko miała więcej pieniędzy, myślała Halina, podchodząc do okna. Widziała stąd wartkie wody Drwęcy. Lubiła patrzeć na zwinną rzekę, torującą sobie drogę przez miasto. Czasem ten widok dodawał otuchy. Nie dziś. Gdyby tylko miała więcej pieniędzy... Oszczędności się kończyły i przyszłość jawiła się w coraz czarniejszych barwach.

Ach, gdyby tylko miała więcej pieniędzy. Westchnęła. Mogłaby dobudować kolejne skrzydło i przyjąć więcej dzieci. Nie musiałyby odmawiać potrzebującym. To by było cudownie. Mogłaby też zapewnić dzieciakom więcej materiałów do nauki. Rozkręcić koło plastyczne albo zabrać wychowanków na wycieczkę. Na razie musiały wystarczyć im zawody piłkarskie.

Halina wzdygnęła się. Ach te pieniądze... A raczej ich wieczny brak. W takich chwilach nieuchronnie nachodziły ją wyrzuty sumienia. Dotyczyły tego, co kiedyś zrobiła, by zdobyć finanse. Gdzieś głęboko wiedziała, że nie powinna była się zgodzić na coś takiego, ale to dla dobra dzieci, prawda? To ją usprawiedliwiało. Czasem cel uświęca środki, jeżeli jest naprawdę bardzo ważny. Jak te dzieci. Nie zrobiła tego dla siebie!

Mimo to tajemnica jej ciążyła. To, że napomknęła o tym Jaworskiemu, a potem tej kobiecie, trochę ulżyło, ale wyzwoliło też strach. Co będzie, jeżeli ktoś się dowie? Nie powiedziała niczego wprost. Nie była przecież głupia. To by było zbyt niebezpieczne. Jednak nawet sugestie, które rzucała tu i ówdzie w rozmowie, mogły zostać wykorzystane przeciwko niej.

To, co teraz pokazywali w telewizji, tym bardziej ją przerażało. Makabryczna śmierć sędziego Jaworskiego nie mogła mieć żadnego związku z nią, prawda? Ani z tym, co mu powiedziała...

Znowu spojrzała w bystre wody Drwęcy. Tak, pewnie przesadzała. Zwykła głupota tak się niepotrzebnie zamartwiać. Miała inne rzeczy na głowie. Musiała zająć się dziećmi. Nie miały nikogo oprócz niej.

ROZDZIAŁ 30

Brodnica.

Wtorek, 9 czerwca 2015.

Starszy sierżant Marek Zaręba

Mieszkanie Swietłany „Marilyn” Sokołowej było tak małe, że nie mogli tam wejść wszyscy naraz. Marek zastanawiał się, jak striptizerka dawała radę mieszkać w tej klitce. I to razem z synkiem. Kwatera składała się z maleńkiego pokoju i równie miniaturowej łazienki. Ciężkie meble potęgowały klaustrofobiczne wrażenie. Młody policjant oceniał całość na jakieś piętnaście metrów kwadratowych. Nie więcej.

Na ścianach wisiały wydrukowane na zwykłym papierze zdjęcia Sokołowej i jej synka Lwa. Swietłana i Lew na placu zabaw, nad jeziorem, na zakupach. Lew pośród zabawek na kraciastym dywanie, Lew wspinający się na niewielkie drzewko. Lew śpiący w błękitnej pościeli. Wszędzie Lew.

Przypominało to trochę obwieszony plakatami pokój nastolatki, a nie mieszkanie prawie trzydziestoletniej kobiety. Marek przyglądał się fotografiom uważnie. Starał się nie przeoczyć niczego, co mogłoby mieć jakiegokolwiek znaczenie.

Zajęcie było żmudne. Dość szybko ogarnęło go nieodparte wrażenie, że nic godnego uwagi tu nie znajdują. Zresztą gdyby ktokolwiek z komendy spodziewał się po tym mieszkaniu jakiegoś przełomu w śledztwie, na pewno nie wysłano by tu jego i Emilii. Marek był tego pewien. Ludzie z komendy podejrzewali przecież, że to on albo Strzałkowska ostrzegli Daniela.

Już miał wyjść, kiedy ogarnęło go dziwne wrażenie, że jednak znajduje się tu coś ważnego. Jakiś szczegół wart uwagi. Raz jeszcze przeszedł się po pokoju, który stanowił bezpieczną przystań Marilyn i jej synka. Nie udało mu się jednak

sprecyzować, co to mogło być. Czy to było coś, co zobaczył na jednym ze zdjęć? A może meble? Co?

– Możemy już wejść? – zapytał szef techników, zaglądając do środka. – Nie zmieścimy się wszyscy.

Ton mężczyzny jak zwykle był oschły, a mina ponura.

– Jasne, jasne – mruknął Marek, próbując zrozumieć, co go tak zaniepokoiło w mieszkaniu Sokołowej.

Kiedy mijali się w drzwiach, technik wręczył Markowi podręcznik do psychologii zapakowany w torebkę na dowody. Ten, który leżał na stoliku nocnym w sypialni sędziego.

– Sprawdziliśmy to rano – warknął mężczyzna.

– I co?

– Nie ma odcisków palców Podgórskiego.

Marek uśmiechnął się zadowolony. Zapomniał na chwilę o tym, że w mieszkaniu Marilyn coś go zaniepokoiło. Myśl gdzieś uleciała.

– To jeszcze niczego nie wyklucza – zastrzegł szef techników z kwaśną miną. – Prokurator i komendant chcą, żebyście popytali w bibliotece.

– Tak, tak. Wiem.

Marek wyszedł na klatkę schodową z podręcznikiem w ręce. Emilia przysiadła na schodku i wachlowała się jakąś ulotką.

– Wszystko okej?

Strzałkowska pokiwała głową. Bez słowa.

– Jak poszła wizyta kontrolna?

– Dobrze. Przecież mówiłam.

– Nie powinnaś już trochę zbastować? Zajmę się wszystkim. Obiecuję.

– Marek, daj spokój. Cięża to naprawdę nie choroba.

– Emilia, mam dwie córki. Wiem, co przechodziła Ewelina podczas ciąży, a też pracowała praktycznie do końca. Tylko że ona jest fryzjerką. To naprawdę nie jest wstyd, że...

Strzałkowska zmierzyła go takim spojrzeniem, że wolał nie kończyć. Zapadło ciężkie milczenie. Całe szczęście szef techników wychylił głowę przez drzwi, ratując Marka z opresji. W zabezpieczonej rękawiczką rękę trzymał leciwą motorolę.

– Kolejny telefon? – zapytał Zaręba szybko.

– Może to ten stary? – odpowiedziała Emilia.

Marek pokiwał głową. Komendant Cybulski wspominał, że ludzie z Gwiazdzbioru podarowali Marilyn na urodziny nowy telefon, bo ich zdaniem stary nie nadawał się już do użytku. Wyglądało na to, że nie kłamali. Komórka, którą technikzymał w dłoni, zdecydowanie pamiętała lepsze czasy.

– Działa?

Szef techników pokiwał głową.

– Bateria jest nawet bardziej naładowana niż w tym, który znaleźliśmy wczoraj w gospodarstwie sędziego Jaworskiego. Te stare motorole to jednak są niezawodne. Chce pan obejrzyć ten telefon, panie Zaręba, czy chowamy?

Ostatnie pytanie zabrzmiało nieco prześmiewczo.

– Jasne, że chcę obejrzyć.

Technik podał mu aparat z krzywym uśmiechem na wąskich ustach. Nie traktował młodego policjanta zbyt poważnie. Zaręba nie zamierzał się tym przejmować. Będzie robić swoje i tyle.

Włożył rękawiczki i wziął telefon od technika. Usiadł na schodkach obok Strzałkowskiej.

– Może zaczniemy od przejrzenia zdjęć? – zaproponował. – Wczoraj...

Nie musiał kończyć. *Selfie* Daniela i Swietłany Sokołowej zrobione w noc jej śmierci to był wymarzony dowód dla oskarżycieli.

– Dobra.

Strzałkowska patrzyła Markowi przez ramię, kiedy przeglądał galerię zdjęć. Nie była zbyt obszerna. Pamięć starego telefonu pewnie na to nie pozwalała. Tak jak w mieszkaniu większość fotografii przedstawiała małego Lwa. Samego albo w towarzystwie Sokołowej.

– Musiała bardzo kochać synka – podsumowała Emilia głucho, kiedy Marek naciskał strzałkę, ukazując kolejne zdjęcia.

Zabrzmiało to, jakby policjantka za wszelką cenę próbowała powstrzymać łzy. Zaręba też czuł, że narasta mu w gardle nieprzyjemna klucha. Znowu przypomniał sobie, jak odstawiali chłopca do domu dziecka.

– Poczekaj! – zawołała nagle Strzałkowska. – A to co?

– Coś zauważyłaś?

– Pokaż poprzednie.

Marek cofnął do wcześniejszego zdjęcia. Kolejne *selfie*. Przedstawiało Swietlanę Sokołową, małego Lewkę i jakąś drugą kobietę. Było źle wykadrowane, jak to często bywa na zdjęciach robionych z ręki telefonem bez kamerki z przodu. Głowy znajdowały się na dole, a większość kadru zajmowało tło. To była jakaś polana w lesie. Pośrodku znajdował się głaz o regularnym kształcie. Kamień przypominał Markowi obelisk z komiksów o Asteriksie i Obeliksie, którymi zaczytywał się w dzieciństwie.

– Coś cię tu niepokoi?

– Sama nie wiem... Chyba chodzi o to, że to jedyne zdjęcie w całej galerii, gdzie jest dorosła osoba. Nie licząc samej Marilyn oczywiście – uściśliła Emilia. – Na pozostałych był tylko Lew albo Sokołowa i Lew. A tu nagle ta kobieta. Jakoś tak mi się pomyślało, że to może być ważne, ale może się myłę.

Przeglądali się nieznaną kobiecie. Wyglądała jak podstarzała lalka Barbie. Miała tlenione na żółto włosy, ostry makijaż i wydatne usta.

– Jest dosyć charakterystyczna – stwierdziła krytycznie Strzałkowska. – Może to któraś ze striptizerek z klubu?

– Przecież one wszystkie się tam znały. To chyba nic dziwnego, że zrobiły zdjęcia. Naprawdę myślisz, że to ma jakieś znaczenie?

– Skąd mam wiedzieć? – sapnęła policjantka i pogładziła się po brzuchu.

Marek spojrział na nią pytająco.

– Dziecko jest ostatnio bardzo aktywne – wyjaśniła Strzałkowska. – Chyba rwie się do wyjścia. Tylko jeszcze troszeczkę za wcześnie, kochanie.

Ostatnie słowa powiedziała czule, głaszcząc się po brzuchu. Zaręba po raz pierwszy słyszał taki miękki, matczyzny ton w jej ustach. Z reguły Emilia była konkretna i niezbyt sentymentalna. A może tylko za taką chciała uchodzić?

– Zobaczmy połączenia – zaproponował Marek. Czuł się

trochę zakłopotany tą intymnością. – Potem przejrzymy billingi.

Wybrał odpowiedni folder. Jego spojrzenie z miejsca padło na znajome nazwisko. Teraz zrozumiał, co go zaniepokoiło, kiedy był w mikroskopijnym mieszkanku Swietłany Sokołowej. Znajoma faktura dywanu! To o to chodziło. To zauważył na jednym ze zdjęć. Niby nic wielkiego, ale wiedział już, gdzie tamta fotografia została zrobiona.

– Skąd ona ma jego numer? – wykrzyknęła niemal Emilia, która dopiero teraz zauważyła imię i nazwisko w spisie połączeń.

– Nie mam pojęcia, ale będziemy musieli to sprawdzić.

ROZDZIAŁ 31

Więzienie w Starych Świątkach.

Wtorek, 9 czerwca 2015.

Diana Grzelak

Sala widzeń w zakładzie karnym w Starych Świątkach była obskurna, ale Diana Grzelak zdążyła się już do tego przyzwyczaić. Nie miała innego wyjścia. Tylko tu mogła spędzić trochę czasu z mężem, odkąd sędzia Jaworski skazał go na dwadzieścia pięć długich lat w zamknięciu za zabicie Lecha Rakowskiego. Kto by przypuszczał? Dianie i Longinowi zdarzało się kiedyś jeździć na spontaniczne randki do Warszawy, Pragi, Sztokholmu albo nawet Paryża. Teraz pozostawało im to odrażające pomieszczenie tu w Starych Świątkach. Nie ma jednak co narzekać, skarciła się w duchu Diana. Ta sala i tak była o niebo lepsza niż widzenia przez pleksi, do których byli zmuszeni na początku odsiadki Longina.

Diana usiadła przy przyśrubowanym do podłogi stalowym stole po prawej stronie sali. Krzesło przyczepiono krótkim łańcuchem do nogi stołu. Najprawdopodobniej po to, żeby nie można było nim nikogo zaatakować. Odwiedzający wpuszczani byli do sali widzeń pierwsi, więc w pomieszczeniu panowała atmosfera wyczekiwania.

Rozejrzała się nieznacznie. Przy innych stolikach siedziały równie stęsknione kobiety. Wszystkie wpatrywały się w drugi koniec pomieszczenia, gdzie były Drzwi. Diana była pewna, że nie tylko ona myśli o nich, używając wielkiej litery na początku. To tamtędy mieli wejść ich mężczyźni, dlatego żadna nie spuszczała oka z Drzwi. Jakby bały się utracić chociaż sekundy z widzenia ze swoimi niesfornymi partnerami.

Kilka kobiet przyprowadziło dzieci, więc wokoło słychać było a to śmiech, a to płacz. Diana westchnęła. Żałowała, że nie

mieli z Longinem dzieci. Teraz nie byłaby przynajmniej taka samotna. Zwłaszcza tu przy tym bezosobowym, metalowym stole w zapyziałej sali widzeń.

W końcu Drzwi po drugiej stronie pomieszczenia uchyliły się. Skazani weszli do środka prowadzeni przez strażników. Diana poczuła, jak serce zaczyna jej mocniej bić. Widziała już Longina! Mąż był krępy męczyzną o żyłastych przedramionach. Bujne owłosienie i zrosnięte brwi sprawiały, że przypominał niedźwiedzia. Dzikiego niedźwiedzia, poprawiła się w duchu, bo jej Longin charakter miał gwałtowny. Nie żeby Diana narzekała. W końcu męczyzna powinien być męczyzną.

Strażnik popychał Longina przed sobą. Mąż nie zwracał już na to uwagi. Też ją zauważył. Uśmiechnął się szeroko. – Macie godzinę – warknął hycel do ludzi zgromadzonych w sali.

Jak na komendę pomieszczenie wypełniło się gwarem rozmów. Najpierw co nieco nieśmiałych, potem coraz odważniejszych. Część osób ustawiała się już w kolejce do kantyny, która znajdowała się po lewej stronie. Diana nie mogła oprzeć się wrażeniu, że przypomina ona szkolny sklepik. Tyle że z bardzo wygórowanymi cenami.

Pieniądze. O to Diana nie musiała się martwić, mimo to nie zamierzała tracić czasu widzenia na tłoczenie się przy ladzie. Tak, pieniędzy jej nie brakowało. A wkrótce będzie ich jeszcze więcej. Ludzie Wadima dali cynk, że już w tym tygodniu będzie nowa dostawa. Trochę ją martwiło, że mieli na karku Cybulskiego i śledztwo w sprawie śmierci Marilyn, ale Krzywy zapewniał, że sobie poradzą. Nie miała wyjścia. Musiała mu wierzyć.

– Cześć, kochanie – powiedział Longin, siadając obok niej przy stole.

Pocałowali się pod czujnym okiem strażnika, który stał w kącie i rozglądał się bacznie po wszystkich.

– Jakby ktokolwiek mógł coś tu przemyścić – zaśmiała się Diana nerwowo. – Po co on tak się gapił?

Zanim odwiedzający mogli wejść do sali widzeń, musieli przejść bardzo dokładną kontrolę. Wszystkie torby były

prześwietlane, a goście badani wykrywaczem metali. Rzeczy osobiste trzeba było zostawić w specjalnych szafkach przed wejściem do pomieszczenia.

– Nie przejmuj się nim, Dianka. Nie zwracam na nich uwagi. Jesteśmy tu pod ciągłą obserwacją. Sram nawet przed kamerą, więc człowieczeństwo mam już w dupie... No ale mów, co słychać? – poprosił. – Wszystko w porządku w Gwiazdozbiorze?

– Tak sobie...

Bardzo chciała Longinowi wszystko opowiedzieć, ale bała się rozmawiać otwarcie. Nie tutaj. Nie kiedy wokoło kręciły się psy. Nawet inni więźniowie i ich rodziny mogli stanowić zagrożenie. Nikomu nie wolno było ufać. Wadim by ich pozabijał, gdyby jego interesy wyszły na jaw.

– Mamy telewizor w świetlicy. Teraz mogę z niego korzystać, więc wiem, że sędzia Jaworski nie żyje – powiedział Longin. Na jego twarzy pojawił się uśmiech. – Należało się staremu chujowi za to, że mnie tu wpakował.

Diana spojrzała na męża przestraszona. Była praktycznie pewna, że tego tematu lepiej nie poruszać w sali widzeń. No ale może mąż wiedział lepiej.

– Nie żyje też Marilyn – poinformowała bardzo cicho.

Longin pokiwał głową.

– Wiem, wiem. Przyszli powiedzieć Dymitrowi. Z tego, co słyszałem, chłopak wpadł w szal. Nie dziwię mu się. W końcu to była jego kobieta. Mimo że niewierna. Też bym zrobił rozpiardol, gdyby ci chociaż włos z głowy spadł. Ciekawe, czy dadzą mu przepustkę na pogrzeb. Wiesz, kiedy to będzie?

Diana usłyszała w głosie męża nutkę zazdrości. Musiał bardzo tęsknić za światem zewnętrznym. Chociaż nigdy by się do tego nie przyznał.

– Nie mam pojęcia. Na razie nie znaleźli reszty jej ciała, a tułowia nie chcą nam jeszcze wydać. Patolog robi autopsję. Zobaczmy.

– Myślę, że powinnaś zapłacić za pogrzeb z klubowej forsy. Jesteśmy to winni Dymitrowi i Swietłanie. Zawsze byli lojalni.

Diana skinęła głową.

– Tak planowałam – skłamała.

– A co z dzieckiem? – zapytał Longin.

– Lew trafił do sierocińca.

Mąż spojrział na Dianę z pewnym wyrzutem, jakby uważał, że powinna zrobić coś więcej.

– Przecież klub to nie miejsce dla dzieci – broniła się.

– Szukasz już nowej tancerki? Jeśli nie, to zacznij, bo klienci będą niezadowoleni.

Diana pokiwała głową. Longin był przyzwyczajony do starych układów. Ona z chęcią by je zmieniła. Już nawet podjęła próbę. Nie było sensu teraz się sprzeczać.

– Jasne. Powiem Krzywemu, żeby się tym zajął. Słuchaj, ta nowa prawniczka od Wadima już przegląda twoje papiery...

Diana nie dokończyła. Starła się, żeby nadzieja w jej głosie nie była zbyt wyraźna. Nie przychodziło to jednak łatwo. Tak bardzo pragnęła, żeby znowu było jak dawniej, żeby byli razem. Longin zbył ją ręką. Nie była pewna, czy to gra, czy pogodził się już z tym, że zostanie w Starych Świątkach na długie lata. A może złościł się, że wymieniła imię Wadima, kiedy ktoś mógł ich usłyszeć?

Longin pochylił się do niej.

– Słuchaj, Dianka. Nie wiem, czy to takie tylko pierdolenie, ale tu się gada, że...

Nagle zrobiło się zamieszanie. Obok kantyny zaczęły się jakieś przepychanki. Zakupy dla więźniów mogli robić tylko odwiedzający, więc to musiał być ktoś z nich. Strażnicy skoczyli w tamtą stronę. Ktoś gwizdnął przeciągle.

– Że co? – zapytała Diana, ignorując zamieszanie.

Czuła, że mąż chciał jej przekazać coś ważnego. Niestety, zanim Longin zdążył cokolwiek powiedzieć, stanął obok nich strażnik. To nie był facet, którego znali. Jakiś inny. Nie mogli dokończyć rozmowy. Longin patrzył na Dianę uparcie. Jakby chciał ją ostrzec.

– Wracasz do celi – warknął hycel.

– Miej zawsze przy sobie to, co ci dałem – rzucił jeszcze Longin, kiedy odchodził w towarzystwie strażnika. Zabrzmiało to enigmatycznie. Diana podejrzewała jednak, że chodzi mu o mały damski rewolwer, który podarował jej kilka lat temu.

ROZDZIAŁ 32

Okolice Lipowa. Wtorek, 9 czerwca 2015. Weronika Nowakowska

Weronika kłusowała niespiesznie leśną ścieżką. Kopyta Lancelota wystukiwały równy rytm, a długa, czarna grzywa tańczyła w rytm końskiego chodu. Mimo chłodu i nieprzyjemnej mżawki w powietrzu czuć było zapowiedź lata. Weronika miała ochotę zanucić pod nosem z zadowolenia. I to wcale nie ze względu na przyjemność z przejażdżki.

Przed chwilą udało jej się zgubić pilnujący ją radiowóz. Poszło dość łatwo. Specjalnie wybierała leśne dukty, z których pokonaniem sedan miał największe problemy. Bez napędu na cztery koła po tych bezdrożach ani rusz. Chyba że konno lub na piechotę. Pilnujący ją policjanci szybko to zrozumieli. Wołali nawet, żeby na nich poczekała albo zawróciła, ale Weronika udawała, że nie słyszy. Skoro już się zdecydowała spotkać z Danielem, nie było odwrotu. Miała tylko wielką nadzieję, że nie popełniła właśnie najgorszego błędu w swoim życiu.

Na wszelki wypadek kluczyła jeszcze trochę, zanim dała Lancelotowi sygnał, żeby przeszli do stępa. Byli już niedaleko miejsca, które wskazała jej Wiera. Weronika skierowała konia na wąską ścieżkę. Igor pobiegł przodem zadowolony, że wreszcie wysforował się na prowadzenie. Nie miał zamiaru czekać na konia, który z racji swoich rozmiarów z trudnością przedzierał się teraz przez krzaki.

W końcu zrobiło się tak wąsko, że Weronika musiała zsiąść. Poprowadziła dalej Lancelota za wodze. Koń rozglądał się nieco zaniepokojony. To było dla niego zupełnie nowe miejsce i nie był chyba pewien, czy w zielonym gąszczu coś mu nie grozi.

Znajdowali się na pokrytym gęstym lasem cyplu, który wcinął się w wody jeziora Strażym. Gdzieś po lewej stronie płynęła wąska rzeka, połączenie z jeziorem Bachotek. Weronika słyszała teraz wyraźnie szum wody. Lancelot zarzął cicho, jakby prosił ją, żeby zawrócili. Poglaskała go delikatnie po szyi.

– Będzie dobrze – zapewniła, chociaż tu na odludziu dopadły ją wątpliwości.

A jeżeli policjanci mają rację i Daniel naprawdę chce ją zabić? Ukarać za to, że nie wybaczyła mu zdrady. Odrzuciła te myśli. To zbyt melodramatyczne, skarciła się w duchu i pociągnęła konia bardziej zdecydowanym ruchem.

Przed sobą widziała już chatę, o której opowiadała jej Wiera. Igor węszył tam intensywnie i rozkopywał ściółkę przy wejściu. Weronika przyjrzała się drewnianej konstrukcji krytycznie. Wiera chyba trochę przesadziła, mówiąc, że to jest chata. To był raczej spory szałas.

Sklepiarka używała tej chaty do suszenia ziół, które potem sprzedawała w Lipowie. Już z tej odległości Nowakowska czuła odurzający zapach różnorodnych roślin zebranych przez Wierę. Lancelot znowu zarzął. Nie podobało mu się tu wcale i najwyraźniej nie zamierzał przestać to okazywać.

– Już spokojnie.

Weronika znowu poklepała Lancelota po szyi. Poluźniła popręg i przywiązała konia do drzewa uwiązem. Nie było to idealne rozwiązanie, ale nie miała innego wyjścia. Do chaty go przecież nie wprowadzi.

Tymczasem Igor znalazł wreszcie wejście do szałasu i wskoczył do środka z radosnym poszczekiwaniem. Cóż, jeżeli pies ufa Danielowi, to i ona może powinna, uznała Weronika i wgramoliła się do środka.

Podgórski siedział na legowisku zrobionym z suchej trawy i liści. We włosach miał kilka suchych źdźbeł. Nowakowska nie mogła się powstrzymać, żeby się nie roześmiać.

– Co ona tu robi? – zapytał Daniel na jej widok.

Wiera, która siedziała przycupnięta w kąciку, wzruszyła ramionami. Podgórski odwrócił się do Weroniki.

– Czemu się śmiejesz? – zapytał ostro.

– Po prostu – odparła – do twarzy ci z tą fryzurą.

Podgórski sięgnął ręką i zrzucił liście i igły, które przyczepiły mu się do włosów.

– Co ty tu robisz? – warknął znowu.

Weronika dopiero teraz zwróciła uwagę na to, jak bardzo się w ostatnim czasie zmienił fizycznie. Miał podkrążone oczy, ziemistą cerę i zapadnięte policzki. Przez te kilka miesięcy schudł co najmniej kilkanaście kilo. Nie wyglądał już jak ten pulchny prowincjonalny stróż prawa, którego poznała dwa lata temu. Przypominał raczej dzikie zwierzę albo kogoś, kogo trawi jakaś choroba. Czemu nie zauważyła wcześniej tej zmiany? Weronika zadrżała znowu pełna niepokoju.

– Ale miłe przyjęcie – zaśmiała się, starając dodać sobie animuszu. – To chyba ja powinnam zapytać, co ty tu robisz? Podobno chciałeś się ze mną widzieć!

– Ja? – odpowiedział Daniel zaskoczony.

Oboje spojrzeli na Wierę. Sklepiarka uśmiechnęła się pod nosem i wzruszyła ramionami. Weronika przewróciła oczami jak córka pani Honoraty z kiosku. Można się było tego spodziewać. Wiera jak zwykle snuła drobne intrygi i najwyraźniej znowu próbowała doprowadzić do pojednania Weroniki z Danielem.

Odkąd Weronika zerwała zaręczyny z Podgórskim, przyjaciółka co jakiś czas namawiała ją do powrotu. Nowakowska nie miała na to najmniejszej ochoty. Kto raz zdradził, zrobi to ponownie. Już to przerabiała z byłym mężem aż nazbyt wiele razy. Nie chciała ponownie przechodzić przez taką traumę.

– Nieważne! – mruknęła i odwróciła się z powrotem do Daniela. – Powiesz, jeśli łaska, w co się wpakowałeś? Chyba że wolisz, żebym sobie poszła.

Podgórski westchnął cicho.

– Przepraszam. Nie powinienem był... – zaczął, ale urwał w pół zdania. Weronika nie była pewna, czy kajał się za nieprzyjemne przywitanie, za sobotnią awanturę czy może za zdradę. Wszystko jedno.

– Konkrety proszę – powiedziała twardo. Mimo że Daniel

wyglądał jak siedem nieszczęść, nie zasłużył na taryfę ulgową. – Marek mówił mi, że jesteś poszukiwany za zabójstwo i że prawdopodobnie chcesz zabić także mnie. To prawda?

– To bzdury – odpowiedział Podgórski szybko. Zabrzmiało to zdecydowanie wrogo.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Szałas był wystarczająco duży, żeby pomieścić trzy osoby i psa, ale teraz Weronika wiele by dała za dodatkowy metr przestrzeni. Poza tym zaczynało jej się kręcić w głowie od zapachu wiszących wokoło ziół.

– Mam taką nadzieję.

– Nikogo nie zabiłem. Ktoś usiłuje mnie zrobić.

– Niby kto?

Podgórski wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Prokurator Gawroński? Może szef techników? To może być ktokolwiek, kto miał dostęp do materiału dowodowego. Muszą mieć jakiś twardy dowód, w przeciwnym razie by mnie nie ścigali.

Weronika pokiwała głową.

– Marek mówił mi coś o jakimś scyzoryku. Podobno były na nim twoje odciski palców. Uważasz, że je sfalszowano? – przypomniała sobie. – Podobno robiliście akcję informacyjną w szkołach i ludzie z komendy mieli materiał porównawczy w ekspresowym tempie. O tym mówisz?

– Byliśmy z Małeckim w szkołach, to akurat prawda. Ten scyzoryk jest rzeczywiście mój – przyznał Daniel niespodziewanie.

Weronika przesunęła się bezwiednie w stronę wąskiego wyjścia. Gdyby Daniel chciał ją skrzywdzić, niewiele by to dało, ale przynajmniej czuła się trochę bezpieczniej.

– Twój?

– Tak. Rozpoznałem go, kiedy wszedłem na górę.

– Skąd się tam wziął? Byłeś tam kiedyś wcześniej?

Wydawało jej się, że Daniel się zawahał.

– Nie wiem, skąd się tam wziął – powiedział w końcu. – Nie pamiętam, kiedy mi zginął.

– Widzę, że coś kręcisz.

– Nie. Naprawdę nie wiem, skąd tam się wziął ten scyzoryk.

Tym razem zabrzmiało to szczerze, więc Weronika postanowiła zmienić temat.

– Marek mówił mi też, że byłeś ostatnią osobą, która widziała tę drugą ofiarę żywą. Podobno to striptizerka z jakiegoś klubu, gdzie jesteś częstym bywalcem. To prawda? – zapytała.

Weronika nie mogła powstrzymać tej drobnej uszczypliwości. Dawała jakąś ponurą satysfakcję w stylu „wiedziałam, że jesteś taki”.

– Tak, to prawda. To Swietłana Sokołowa, ale w Gwiazdozbiorze nazywają ją Marilyn – odparł Daniel nieoczekiwanie spokojnie. – I tak, byłem z nią w piątek. To znaczy tańczyła dla mnie, a potem uprawialiśmy seks.

Mówił bez ogródek. Weronikę to cieszyło, mimo że słowa raniły. Wreszcie trochę szczerości. Nienawidziła kłamstw.

– Płatny? – wyrwało się Weronice. Była na siebie z tego powodu zła. Wylewanie goryczy nie było w jej stylu, ale tym razem nie mogła się powstrzymać. – Trochę to żalosne. Nie stać cię na więcej?

Postukiwanie kamiennego tłuczka ustało. Teraz także Wiera przyglądała się Danielowi spod oka. Podgórski przejechał ręką po włosach.

– Tak, płaciłem jej. Nie jestem z tego dumny – powiedział spokojnie, jakby stwierdzał prosty fakt. – Ostatnie miesiące... Nie wiem. Miałem nadzieję, że wszystko jakoś się ułoży, ale tak się nie stało. Nie chcę dłużej się nad tym rozwodzić. Możesz mnie uważać, za kogo chcesz, Weronika, ale nie będę już dłużej przeproszał.

– Mogę cię uważać nawet za mordercę? – rzuciła Nowakowska zaczepnie. Nie mogła się powstrzymać przed kolejnymi uszczypliwościami. – I za długo się nie naprzeproszałeś.

Mierzyli się wzrokiem. Wiera znowu zajęła się aromatycznymi ziołami. Tylko stukanie jej narzędzi przerywało ciszę.

– Nawet za mordercę, jeżeli chcesz. Mogę jedynie powtórzyć, że tego nie zrobiłem – powiedział w końcu Podgórski twardo. – Nawet powiem więcej. Znałem nie tylko Marilyn, ale Jaworskiego też.

– Sędziego też? – zapytała Wiera ze swojego kącika.

– Tak, jego też.

Weronika i Wiera spojrzały na Daniela pytająco, ale nie wyglądało na to, żeby zamierzał cokolwiek w tej kwestii wyjaśniać.

– To nie ma związku ze sprawą – zapewnił, potwierdzając tym samym obawy Nowakowskiej. Postanowiła nie drażnić tematu. Miała przeczucie, że to droga donikąd.

– No dobrze. Zacznijmy po kolei – zaproponowała zamiast tego. – Jak tu trafiłeś? Ja nie miałam pojęcia, że w tym gąszczu jest szalas.

– Ja też nie – zapewnił Daniel. – To był przypadek.

– Wielu miejsc w tych lasach jeszcze nie znacie, dzieciaki – stwierdziła Wiera. – Oj, wielu.

Skończyła ugniatać zioła. Wyjęła z czarnej sakwy butelkę z wodą i wysypała proszek do środka. Płyn natychmiast zrobił się ciemnozielony. Sklepiarka potrząsnęła butelką kilka razy i podała Danielowi.

– Wypij.

Policjant przyjrzał się napojowi podejrzliwie.

– Co to jest?

– To na wzmocnienie. Nie wyglądasz najlepiej. Jak człowiek za dużo pije i pali, to potem trzeba odtruć organizm.

– Pani Wiero, daleko mi do alkoholika.

– Nie sądzę – odparła sklepiarka takim tonem, że nawet Weronika poczuła się skarcona, mimo że nic nie zawiniła.

Daniel najwyraźniej nie miał zamiaru tracić czasu na kłótnie, bo sięgnął po butelkę i opróżnił ją kilkoma długimi łykami.

– Trafiłem tu przypadkiem – podjął, oddając Wierze butelkę.

– Zaczęło się od tego, że ktoś wysłał mi SMS-a z ostrzeżeniem, kiedy przyjechałem na odprawę w komendzie. Zacząłem uciekać.

– Nie łatwiej było wszystko wyjaśnić?

Daniel spojrział na Weronikę spod oka i pokręcił głową.

– Komu miałem wyjaśniać? Może Gawrońskiemu, który mnie nienawidzi? Jak zostanie podjęta decyzja o aresztowaniu, machina idzie w ruch. Wtedy jest po sprawie. Mogłem siedzieć

w areszcie przez najbliższe miesiące, zanim ktokolwiek by cokolwiek zrobił.

– I to mówi stróż prawa z dziada pradziada? – zakpiła Weronika.

Daniel uniósł brwi i spojrzał na nią spod oka. Może tym razem rzeczywiście trochę przesadziła. Wiedziała, że policyjna tradycja w rodzinie Daniela to rzecz bardzo ważna. Znowu jednak nie mogła się powstrzymać.

– Żaden system nie jest idealny – mruknęła Wiera.

– Zadziałał instynkt – podjął Podgórski. – Udało mi się wyjechać z miasta. To było najważniejsze. Zostawiłem samochód pod Jabłonowem. Byłem pewien, że wszyscy już mnie szukają, więc dalsze podróżowanie subaru nie wchodziło w grę. A chciałem się jakoś dostać tu w okolice Lipowa.

– Nie lepiej było uciec gdzieś dalej?

– Niby gdzie? Tu jest moje miejsce. W Lipowie – powiedział Daniel. Znowu twardo, jakby składał przysięgę.

– No i co dalej?

– Zamierzam rozwiązać tę sprawę i udowodnić, że jestem niewinny.

Weronika miała wrażenie, że Daniel mówi teraz trochę niewyraźnie. Niewykluczone jednak, że to jej kręciło się w głowie od tych wszystkich ziół. Teraz musiała podjąć decyzję, czy zamierza mu pomóc. Westchnęła. Tak naprawdę klamka już zapadła.

– Skoro tak, to może zainteresuje cię, co usłyszałam wczoraj od kioskarki i jej córki.

– Mów.

Weronika opowiedziała Podgórskiemu i Wierze o tajemniczej kłótni telefonicznej sędziego Jaworskiego. Podgórski słuchał w napięciu, gładząc się po brodzie w zamyśleniu. Tylko zarost pozostał z dawnego Daniela, zauważyła z pewnym rozrzewnieniem.

– Chciałam z tym pójść do Marka – zakończyła swoją opowieść, starając się już o tym nie myśleć. Naprawdę nie lubiła melodramatów.

– Nie! – zaoponował natychmiast Podgórski. – Nikomu nie

możemy ufać.

– Nawet Markowi?

– Nawet jemu. – W głosie Daniela pobrzmiwał głęboki smutek. Weronika miała ochotę poklepać go po ramieniu, ale zrezygnowała. Sam się wpackował w tę kabałę. Zero taryfy ulgowej! – A zwłaszcza ludziom z komendy.

– Co teraz?

Policjant zrelacjonował pokrótce rozmowy z córką i bratem Jaworskiego, które zdążył odbyć, zanim rozpetęła się ta afera. O niektórych rzeczach Weronika wiedziała już od Marka.

– Muszę odkryć, kto chciał śmierci Marilyn, bo o Jaworskim już trochę wiem – zakończył. – Zamierzam dostać się do Gwiazdzbioru i pogadać z ludźmi stamtąd.

– Zwariowałeś? – zapytała Weronika sarkastycznie, kiedy skończył. – Nie możesz tak po prostu pojechać do klubu. Wszędzie kręci się policja. Musiałam nieźle pogłówkować, żeby zgubić ochronę, którą mi przydzielili. Nie mówiąc o mediach. Rozpetęła się burza! Nie zdajesz sobie nawet sprawy.

– Nie mam zamiaru tu siedzieć – powiedział Daniel i zerwał się z wyściełanego liśmi posłania.

– Poczekaj... – zaczęła Weronika. To zaszło za daleko. Nie mogła mu pozwolić na to szaleństwo.

W tym momencie zdarzyły się dwie rzeczy. Podgórski padł jak długi na posłanie, a Wiera zaśmiała się głośno. Weronika spojrzała na sklepikarkę zaskoczona.

– Byłam pewna, że będzie chciał zrobić coś głupiego – stwierdziła Wiera, nadal chichocząc.

– Co ty mu dałaś?

– Spokojnie, Weroniczka. To tylko zwykłe ziółka. Pośpi kilka godzin. No może kilkanaście, jak dobrze pójdzie. Zostawimy mu jedzenie i ubranie na zmianę. Przeżyje. Chodź.

Wiera wyslizgnęła się z szalasu niesłychanie zwinnie jak na swój wiek. Weronice poszło to znacznie gorzej, ale i ona w końcu znalazła się na świeżym powietrzu. Dobrze było wreszcie odetchnąć pełną piersią.

– Miał szczęście, że trafił akurat do mojej chaty – podsumowała Wiera. Już się nie śmiała. – Widocznie chciał tu

przeczekać noc, ale zasnął. Znalazłam go nad ranem, kiedy przyszedłam po zioła. Chcesz mu pomóc?

Weronika spojrzała w stronę szalasu. Miała wrażenie, że Daniel nie powiedział jej wszystkiego, ale klamka już zapadła. Nie zamierzała jednak radzić sobie z tym wszystkim sama. Potrzebowała pomocy. Przyszło jej nawet do głowy, do kogo najlepiej się zwrócić. To było szaleństwo, ale warto spróbować.

ROZDZIAŁ 33

Brodnica.

Wtorek, 9 czerwca 2015.

Edyta Sadowska

Edyta Sadowska miała dziś wolny dzień. To znaczy normalnie zajmowałaby się Lwem Sokołowem, ale skoro sprawy potoczyły się tak, jak się potoczyły, i dziecko trafiło do sierocińca, to właściwie nie było nic do roboty. Jak wszystko się uspokoi, będzie musiała znaleźć pracę na weekendy i wtorki albo porozmawiać...

Westchnęła. Nie ma co rozważać. Trzeba troszkę odczekać, bo atmosfera jest na razie napięta. Dlatego postanowiła pójść za radą przyjaciółki i wykorzystać ten nieplanowany wolny czas, żeby spotkać się z córką.

Zdawała sobie sprawę, że spotkanie dziś rano nie wypadło najlepiej, ale przynajmniej pierwsze koty za płoty. Pytanie tylko, czy miała ochotę na dalsze pogłębianie tej znajomości? Jeżeli miała być szczerą, to nie. Sadowska nigdy nie chciała być matką. Z biegiem lat to się nie zmieniło. Nie miała na to ochoty dwadzieścia dwa lata temu i teraz też nie. Koniec kropka.

Sadowska poszła do kuchni i zrobiła sobie herbatę. Córka córka. Prawdę mówiąc, to chyba był teraz jej najmniejszy problem. Gorzej z Jaworskim, pomyślała, odstawiając filiżankę. O tak. Zdecydowanie gorzej z nim i z tym, do czego doprowadził. Po co miał taki długi język? Po co ją trzął i siał fałszywą nadzieję?

Sadowska miała sobie za złe, że nie zadziałała w porę i pozwoliła mu zrobić swoje. Jakikolwiek miał w tym cel.

ROZDZIAŁ 34

Brodnica.

Wtorek, 9 czerwca 2015.

Klementyna Kopp

Już-nie-komisarz Klementyna Kopp siedziała w swoim mieszkanku przy zbiegu ulic Zamkowej, Świętego Jakuba i Przedzamcza. Głaskała Józka. Od wczoraj właściwie tylko to robiła. Kot mruczał głośno. Chyba wreszcie był zadowolony i wybaczył jej długą nieobecność. Jego sierść lśniła. Liliana o niego zadbała, kiedy Klementyna siedziała w wariatkowie. Psychiatryk to nie było miejsce dla kotów.

– Nie przyjęliby cię – mruknęła do Józka. – Jesteś całkiem normalny. Ot co.

Józek przyknął oczy, jakby było mu wszystko jedno, co ktokolwiek uważa o jego zdrowiu psychicznym. Klementyna mu zazdrościła. Kiedyś też się nie przejmowała opinią innych. Tylko że uzyskany kilka miesięcy temu status wariata sprawił, że nie miała już odznaki. Po raz pierwszy od dobrych kilkudziesięciu lat.

To było bardzo dziwne uczucie. Dopiero teraz w pełni zdała sobie sprawę, jak bardzo służbowa broń i blacha ją identyfikowały. Nie była już komisarzem, była cywilem. Czowała, że ręce zaczynają jej drżeć na samą myśl. Skupiła się więc na głaskaniu kota.

Cywil. Dziwne słowo. Dla jednych zupełnie bez znaczenia, a dla niej najgorsza tortura. Cywil. Niby małe słowo, a powodowało taką panikę. Położyła Józka obok siebie na kanapie i rozprostowała ramiona. Była w domu dopiero od rana, a już ogarnęła ją niezachwiana pewność, że tak dalej być nie może. Nie chce tu siedzieć w czterech ścianach jak jakaś emerytka.

– Tylko co teraz? – zapytała Józka. Kot nie zaproponował żadnych konstruktywnych rozwiązań. Zamruczał tylko z wyrzutem, że przestała go głaskać. – No proszę, jaki się zrobiłeś czaruś, co?

Przez chwilę rozkoszowała się ciszą pustego mieszkania. W psychiatryku nigdy nie było cicho. Nawet jeżeli jęki lub złorzeczenia pacjentów akurat cichły, zawsze był jeszcze telewizor w świetlicy. Włączony non stop na jakiś makabryczny kanał z teledakami i piosenkami disco. Od słuchania tego bełkotu można było naprawdę zwariować. Już lepiej było się skupić na śpiewach Bartusia, który chętnie się rozbierał ku uciesze pozostałych pacjentów i wściekłości pilnujących go pielęgniarzek.

Nagle Klementyna usłyszała, że ktoś puka do drzwi. Rozkoszowała się tym zwyczajnym dźwiękiem. Od dawna go nie słyszała, nie licząc uporczywego walenia Lewej Dagmary. Codziennie o piętnastej i dwudziestej czwartej. Jak w zegarku.

W wariatkowie wszyscy wchodzili do sal bez pytania. Co prawda nie wsadzili Klementyny w kaftan ani nie zamknęli w izolatce, ale co z tego, skoro na oddziale nie było ani odrobiny przestrzeni, w której można było poczuć się jak u siebie. No chyba że we własnej głowie, poprawiła się w duchu Klementyna. Wydawało się, że większość pacjentów opanowała tę sztukę do perfekcji.

Mała Stella na przykład. Na żadnym z przymusowych spotkań w świetlicy nie powiedziała ani słowa. Lekarz od wariatów mógł wypytywać, ile chciał, ale Stella milczała jak grób. Klementyna patrzyła na to z uznaniem. Podobała jej się ta strategia. Zwłaszcza kiedy zobaczyła, że Stella wcale nie jest w stanie katatonicznym, jak podejrzewali niektórzy. Kilka razy wyraźnie spojrzała na Klementynę. Porozumiewawczo.

Tak, Stella była właściwie jedynym promykiem nadziei w domu wariatów. Niestety wypuszczono ją w maju. Koniec turnusu leczenia uzależnień czy coś takiego. Klementyna została sama. Prawie dwa tygodnie bez jednej choćby odrobiny bratniej duszy. Tylko lamenty i krzyki z sąsiedniego pokoju, gdzie Wielka Pelagia regularnie dopatrywała się szatana

w odrapanym fragmencie sufitu nad swoją głową. Tylko smród moczu z łóżka obok, bo pielęgniarka znowu zapomniała zmienić pieluchę Malarce. Malarka! Ta to dopiero była...

Klementyna wyjrzała przez wizjer, porzucając wspomnienia. Lepiej do tego nie wracać. Zapomnieć i zupełnie się odciąć. Otworzyła drzwi z głośnym trzaskiem.

– Co ty tu robisz?

Na wycieraczce stała Weronika Nowakowska. Rude włosy związała w niedbały kok na czubku głowy, jak to miała w zwyczaju. Nic się nie zmieniła, odkąd Klementyna widziała ją ostatnio.

– Masz chwilę? – zapytała.

Klementyna spojrzała na nią z niedowierzaniem. To było nawet zabawne. Trzeba powiedzieć.

– Spoko. Nie ma problemu. Co prawda wysłałaś mnie do czubków. Ale! Nie ma sprawy. Wchodź na herbatkę! Jesteśmy w końcu najlepszymi kumpelami.

– Ja tylko przybiłam pieczętkę – powiedziała Weronika spokojnie. Sarkazm nie zrobił na niej zbyt dużego wrażenia.

Być może Klementyna wyszła z wprawy. Nieważne. Klementyna nie zamierzała się spierać. Zresztą to nie Nowakowska była głównym winowajcą w całej tej aferze. Gwoździem do trumny było zeznanie Daniela Podgórskiego i Emilii Strzałkowskiej.

Śledztwo BSW ciągnęło się jakiś czas. Potem jej dawny partner, Cybulski, który tymczasem został komendantem, pogadał, z kim trzeba, i zapadła decyzja, która podobno miała wszystkich zadowolić. Wszystkich. Tylko nie ją. Oddaje blachę i jedzie na obserwację do wariatkowa. Potem jest wolna i nie ma konsekwencji. Oprócz zostania cywilem.

– To było dla twojego dobra – dodała Weronika. – Naprawdę tak myślałam. Nie uważasz, że mogło być gorzej?

Klementyna zaśmiała się głośno. Ile razy to już słyszała? Podczas każdych odwiedzin Liliana też powtarzała uparcie, że jej zdaniem to świetne rozwiązanie. Mogła przecież pójść do więzienia albo coś. Tylko że żadna z nich nie oglądała przez ostatnie kilka miesięcy ludzkich wraków. Klementyna była

pewna, że jeżeli posiedzi w wariatkowie choć chwilę dłużej, sama zmieni się w warzywo.

– Spoko. Tu mnie masz. Dla mojego dobra... – zadrwiła. – Wy konowały od głów taką już macie stylówę, co? Kłamać ludziom w żywe oczy.

Weronika nie odpowiedziała. Czekala. To było irytujące.

– Po co tu przyszedł, co? – warknęła Klementyna, żeby podtrzymać rozmowę. Ostatecznie to przynajmniej była jakaś rozrywka. – Zdrayca też tu jest?

– Zdrayca jest poszukiwany za morderstwo – oznajmiła nieoczekiwanie Weronika. – Jeżeli oczywiście masz na myśli Daniela.

Klementyna przyjrzała się Weronice z nowym zainteresowaniem. Don José miauknął głośno z pokoju, jakby też był ciekawy, o co w tym wszystkim chodzi.

– Wchodź!

Nowakowska tylko na to czekała. Klementyna zamknęła za nią drzwi z głośnym trzaskiem.

– Daniel oskarżony o morderstwo, co? A to dobre!

– Wszędzie o tym mówią. Nie słyszałaś?

Usiadły w salonie i Weronika pokrótce opowiedziała o tym, czego zdążyła się do tej pory dowiedzieć. Klementyna słuchała bardzo uważnie, głaszcząc Józka po karku. Od rana nie włączyła ani komputera, ani radia, ani tym bardziej telewizora. Po przymusowych posiadówkach w szpitalnej świetlicy miała tego całkiem dosyć. Najwyraźniej wiele straciła.

– Mówiło się, że dziś wychodzisz, i pomyślałam, że może mi pomożesz – zakończyła swoją opowieść Weronika. – Dlatego przyszedłam.

Klementyna zaśmiała się głośno.

– Spoko. Ale! Nawet zakładając, że bym z jakiegoś szalonego powodu zechciała, jestem obecnie cywilem – podkreśliła to słowo z namaszczeniem. – Przez ciebie i twoją ekipę zabrano mi blachę. Jak to sobie wyobrażasz, co? Jak mam ci pomagać?

– Pomyślałam, że pewnie znasz kogoś, kto mógłby sprawdzić spis połączeń w tej budce telefonicznej w Lipowie – powiedziała Weronika. – Uważam, że dobrze byłoby wiedzieć,

z kim klócił się sędzia Jaworski. To mógłby być dobry punkt zaczepienia. Zrobisz to? Nie proszę o nic więcej.

– Przynajmniej na razie.

– To jak? Pomożesz?

Klementyna zmierzyła Weronikę wzrokiem. Zrobiło jej się żal dziewczyny. Była młoda i głupia.

– Kochasz się w nim jeszcze, co?

Nowakowska nie odpowiedziała.

– Powinnaś wiedzieć lepiej. Ale! To nie moja sprawa. Wchodzę w to, bo nie chce mi się siedzieć w domu. Za dużo tego było w wariatkowie. Przedzwonię, gdzie trzeba.

Weronika podziękowała. Klementyna sięgnęła po telefon. To nie powinno zająć zbyt wiele czasu. Nie myliła się. Wystarczyło kilka minut. Długo była policjantką i wiele osób miało wobec niej zobowiązania. Tak ten świat stał.

– Zaraz będę miała to w mailu – poinformowała Weronikę, rozłączając się.

Poszła po komputer. Laptop miał i miał, jakby przez te miesiące zupełnie zardzewiał.

– Możesz zalogować się przez mój telefon.

– Spoko. Mam swój.

Z jakiegoś powodu Klementyna bardzo chciała dać komputerowi szansę. Józek włożył na klawiaturę. Zobaczył, że nie jest jeszcze rozgrzana, i zlął ze zdegustowaną miną.

W końcu ekran się rozświecił i pokazała się tapeta Windowsa. Kiedyś Klementyna miała tam zdjęcie Teresy. Usunęła je tuż przed pobytem w wariatkowie. To był pierwszy krok w stronę nowego życia. Nie zapominać. Ale! Iść do przodu. Taki był jej plan.

Zalogowała się do swojej poczty i ściągnęła załącznik z listą połączeń wychodzących i przychodzących do budki telefonicznej w Lipowie.

– Same numery – powiedziała Weronika zawiedziona. – Bez właścicieli.

Klementyna skinęła głową. Człowiek, z którym gadała, nie

zamierzał robić więcej, niż musiał.

– Dobrze i to. Facet i tak poszedł mi na rękę. Dzięki zdrajcy, Emilii i tobie prawdziwa ze mnie persona non grata.

Klementyna pochyliła się nad listą połączeń. „Lista” to było zdecydowanie za duże słowo. Szczęście im sprzyjało. Budka telefoniczna w Lipowie nie należała do obleganych. W interesującym ich dniu wykonano z niej tylko dwa połączenia.

– Jedno po drugim – powiedziała. – Obie rozmowy musiał przeprowadzić ten wasz Jaworski.

– Czyli nie możemy wykluczyć żadnego z rozmówców. Ale jak sprawdzimy, z kim się połączył, skoro mamy tylko numery?

Klementyna spojrzała na Weronikę z rozbawieniem.

– Nic prostszego. Zadzwonimy.

– Myślisz, że tak po prostu się przedstawią? Najlepiej byłoby chyba porozmawiać z nimi twarzą w twarz. Przez telefon to nie jest to samo.

– Spoko. Poradzimy sobie – zapewniła Klementyna i zaśmiała się pod nosem. – Mam już pewien plan, jak to przeprowadzić.

To przyszło jej do głowy właściwie natychmiast. Kiedy była w wariatkowie, Liliana zносиła jej tony książek. Głównie kryminały. Myślała chyba, że w ten sposób zapewni Klementynie rozrywkę. A może liczyła na to, że wypełni pustkę, którą czuła była policjantka.

Zabiegi i starania Liliany były w jakimś stopniu rozczulające, chociaż nie przyniosły oczekiwanych rezultatów. Po pierwsze dlatego, że kryminały wydawały się Klementynie raczej zabawne, a po drugie dlatego, że w domu wariatów trudno było czytać.

Jeżeli się nawet próbowało, natychmiast zjawiała się Duża Aneta i wyrywała książkę. Gromadziła je potem u siebie pod łóżkiem i nie dopuszczała do nich nikogo. Pielęgniarki nie zwracały na to uwagi. Były nawet zadowolone, bo przedtem Aneta chowała pod łóżkiem resztki jedzenia. Książki zdecydowanie mniej śmierdziały.

W rezultacie Klementyna zdołała przeczytać w całości tylko jedną książkę od Liliany. Podobno bardzo znaną. Tak

zachwalała siostra przełożona. To był chyba jedyny raz, kiedy nawiązała z Klementyną jakikolwiek kontakt. Nie żeby Klementyna miała na niego wielką ochotę.

Tak czy inaczej główny bohater, jakiś dziennikarzyna, Blomkvist, zdaje się, podszedł niechętnego do rozmowy świadka metodą, którą Klementyna nazwała w duchu „na loterię”. Polegało to na tym, że zadzwonił do faceta z informacją, że tamten wygrał telefon. Gratulacje i te sprawy. Potem: Kiedy mogę przywieźć panu nagrodę? Każdy lubi wygrywać, więc facet złapał się na haczyk i podał swój adres.

– Teraz sprawdzimy, ile w literaturze prawdy – zaśmiała się, kończąc streszczenie swojego planu.

– To ze Stiega Larssona – stwierdziła Weronika. – *Millennium*. Lubię...

– Spoko. Ale! Nieważne, skąd to jest – przerwała jej była policjantka. Wzięła telefon i wykręciła pierwszy numer. Czekwała przez chwilę. – Cholera. Nie odpowiada.

– Spróbuj zadzwonić na drugi.

– Co ty nie powiesz, detektywie, co?

Weronika przewróciła oczami. Klementyna nie skomentowała tego, bo wykręcała już drugi numer. Sukces był niemal natychmiastowy, przyłożyła więc palec do ust, żeby dać Weronice znać, że teraz ma być cicho.

– Halo? – rozległo się w słuchawce. Głos był zdecydowanie męski. Klementyna oceniła go jako dojrzały. Facet musiał być co najmniej w jej wieku.

– Dzień dobry. Jestem z loterii Mądre Głowy – oznajmiła.

Zakłęła w duchu. Mądre Głowy? Nazwa była wyjątkowo idiotyczna. To było jednak pierwsze, co przyszło jej na myśl. Całe szczęście facet nie wydawał się zaskoczony tą bzdurą.

– Dzień dobry – odpowiedział jakby nigdy nic.

– Dzwonię do pana z doskonałymi wiadomościami.

– Tak?

– Siedzi pan?

Klementyna zaczynała naprawdę dobrze się bawić. Weronika też uśmiechnęła się szeroko. Dobrze im szło.

– Nie, właśnie szedłem...

– Nieważne! Wygrał pan telefon! Gratulujemy!

– Ale ja nie brałem udziału...

– Losujemy spośród wszystkich abonentów – wyjaśniła Klementyna gładko. – Proszę podać mi swój adres, wyślemy kuriera z nagrodą.

Po drugiej stronie zapadła cisza. Już-nie-komisarz Kopp bała się, że facet zaraz odłoży słuchawkę. Weronika spojrzała na nią pytająco. Klementyna wzruszyła ramionami. Czekala.

– Ale nie będę musiał nic dopłacić? – zapytał w końcu mężczyzna. W jego głosie pobrzmiwała podejrzliwość. – Bo gdzieś tam druczkiem są jakieś punkty. Nie chciałbym się w nic wplątać.

Klementyna uśmiechnęła się do siebie.

– Nawet nie będzie pan potrzebował okularów – zapewniła beztrasko. – Po prostu przywieziemy telefon. Żadnych ceregieli.

– No dobrze.

Klementyna zanotowała adres na kartce z listą połączeń. Czula się świetnie.

ROZDZIAŁ 35

Centrum Terapii doktora Witkowskiego w Brodnicy. Wtorek, 9 czerwca 2015. Doktor Dorian Witkowski

Dorian Witkowski raz jeszcze próbował przypomnieć sobie wieczór w zeszły wtorek. Minął tydzień i niektóre szczegóły zatarły mu się już w pamięci. A może chciał je stamtąd wyprzeć?

Wyparcie. Kolejny termin, którego zawsze starał się unikać.

A przecież jeżeli nie będzie myślał o Jaworskim i Swietłanie, to temat nie zniknie. No więc trzeba się skupić. Witkowski poprawił szmaragdowy krawat w kanarkowe cętki. Czy wszystko zrobił tak, jak powinien? Czy nie popełnił jakiegoś błędu? Cholera, nie był pewien! Przecież żaden z niego kryminalista.

Westchnął. Gdyby chodziło o umysły, to pewnie by sobie poradził, ale działanie? Zwykle chamskie działanie? To nie dla niego. Równie dobrze mógł zostawić w domu Jaworskiego tysiące mikrośladów czy jak oni to tam nazywali.

Witkowskiego ogarnął lęk. To było bardziej niż pewne, że coś zrobił nie tak... Policja mogła zjawić się w każdej chwili. Wkroczyć do gabinetu i go aresztować. A przecież tyle jeszcze przed nim! Tyle jeszcze ma do zrobienia!

– No i wtedy on powiedział, że nie powinnam była tego od niego żądać – wydusiła pacjentka, która siedziała przed Witkowskim na fotelu. – Żądać! Rozumie pan? Takiego słowa użył. A to miało być nasze wspólne dziecko. Nasze szczęście. A on mi mówi o żądaniach. O tym, że mam postawę roszczeniową!

Pacjentka zamilkła i wytarła zapłakane oczy. Witkowski pokiwał głową i przywołał na usta uśmiech. Od dawna już jej nie słuchał. Właściwie to prawie od początku dzisiejszej sesji.

Ale ona chyba niczego nie zauważyła. Istniała taka szansa, bo jak zwykle była skupiona na sobie.

Znowu wyrwało mu się ciche westchnienie. Był zły na siebie. Jak mógł tak traktować pacjentkę? Jak mógł jej nie słuchać, skoro mówiła o swoich największych problemach? Nie otworzyła się przed nim w ten sposób od bardzo dawna. To był wielki postęp, a on myślał o gospodarstwie sędziego Jaworskiego.

Witkowski zaczynał sam siebie nienawidzić. Przecież kochał ten zawód, bycie terapeutą, pomaganie ludziom. A teraz nie słuchał pacjentki. Do czego to doszło? To wszystko ich wina... Sokołowej i Jaworskiego! Gdyby nie oni... A właściwie gdyby nie idiotyczne żądania sędziego, Witkowski mógłby skupić się na swoim życiu i na swoich pacjentach.

– Proszę mówić dalej – powiedział, udając, że zapisuje coś w notesie. To zawsze sprawiało profesjonalne wrażenie i pozwalało zyskać na czasie w sytuacjach krytycznych.

– Mówiłam, że on mnie zawiódł – stwierdziła kobieta z wyrzutem. – Nie sądzi pan, że tak nie wolno robić?

Witkowski przejechał ręką po twarzy i przetaił oczy. Miał mętne pojęcie, o co pacjentce chodziło. Domyślał się raczej, pamiętając poprzednie sesje. Musiał się skupić. Chociaż do końca tej sesji. Musiało się udać.

– Oczywiście, że nie – wydusił, próbując opanować wyrzuty sumienia. Wprawdzie nie powinien wypowiadać takich sądów, ale nic innego nie przyszło mu do głowy. Ta sesja była chyba i tak najgorsza w jego karierze. Jeden błąd więcej czy mniej... jakie to ma teraz znaczenie?

Witkowski zadrzał. Czyżby był skończony jako terapeuta? Nie chciał nawet o tym myśleć. Od tygodnia żył w stresie, przekonany, że wszystko szło na opak. Popęłnił błąd. Powinien był zachować się zupełnie inaczej! Nie tylko we wtorek, przyszło mu na myśl, to wszystko zaczęło się przecież już w kwietniu. Gdyby nie...

Gdyby! Gdybanie jeszcze nikogo do niczego nie doprowadziło. Ruminacja zresztą też nie. Powinien wziąć się w garść i działać dalej.

ROZDZIAŁ 36

Dom Rajmunda Jaworskiego w Strzemiuszczku. Wtorek, 9 czerwca 2015. Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska

Emilia zapukała do drzwi Rajmunda Jaworskiego. Mocno. Tak, żeby nie było żadnych wątpliwości. Już kiedy byli tu wczoraj, nie mogła oprzeć się wrażeniu, że brat sędziego coś ukrywa. Po pierwsze, miał zgrabny motyw, żeby pozbyć się sędziego. Jaworski chciał mu przecież odebrać dom odziedziczony po zmarłym ojcu. Po drugie, okazało się, że niepozorny emeryt znalazł też drugą z ofiar.

Emilia i Marek ze zdziwieniem odkryli w starym telefonie Swietłany „Marilyn” Sokołowej kilka połączeń z numerem wpisanym do kontaktów jako „Rajmund Jaworski”. To nie mógł być zbieg okoliczności. Ileż osób o takim imieniu i nazwisku mogło mieszkać w okolicy? Albo nawet i w całej Polsce? Emilia była pewna, że niewiele. Rajmund to nie jest zbyt popularne imię.

I tak jechali do biblioteki w Lipowie, żeby wyjaśnić sprawę podręcznika do psychologii. Strzemiuszczek był po drodze. Mniej więcej. Emilia i Marek postanowili więc zajrzeć tu, na razie nie informując o tym ludzi z komendy, i popytała o Swietłaną.

Drzwi uchyliły się odrobinę. Na ich widok na twarzy Rajmunda ukazał się wyraz rozczarowania.

– A to państwo – powiedział swoim przeprasającym tonem.

– A niby kto? – zapytała Emilia szybko. Nie chciała być nieuprzejma, ale czuła, że pęcherz jej zaraz pęknie. To było frustrujące i, co tu dużo mówić, dość upokarzające. Nie o takim wejściu smoka marzyła. – Mogę skorzystać z łazienki?

– Ależ oczywiście – zapewnił Rajmund i przepuścił ją

w drzwiach.

Policjantka pobiegła do toalety ile sił w nogach. Przez drzwi słyszała, jak brat sędziego tłumaczy Markowi, że czeka właśnie na jakiegoś człowieka z loterii.

– Z loterii? – zdziwił się młody policjant.

– Podobno wygrałem telefon!

Po raz pierwszy w głosie Rajmunda dało się słyszeć ekscytację. Strzałkowska wciągnęła ciężowe spodnie. W te od munduru już dawno się nie mieściła. Poprawiła koszulę. W małej toalecie to nie było wcale łatwe. Dziecko poruszyło się delikatnie. Poglądziła się po brzuchu uspokajająco i wyszła z powrotem na korytarz.

Rajmund akurat kolejny raz nerwowo poprawiał okulary. Marek spojrział na policjantkę pytająco. Skinęła głową. Czas zacząć.

– Skąd znał pan Swietlanę Sokołową? – zapytał Zaręba tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– Ja? Swietlanę Sokołową? – zająknął się Rajmund. – Ja... Ja nie znałem nikogo takiego. Kto to jest? Nie wiem, o czym pan mówi.

– Jest pan pewien? – zapytała Emilia zamiast odpowiedzi.

– Tak, tak.

– To dziwne.

– Dlaczego?

– Bo Swietłana najwyraźniej znała pana.

– Nie rozumiem – upierał się Rajmund, ale brzmiało to nieprzekonująco.

– W jej telefonie był pański numer – wyjaśnił Marek.

– To chyba jakiś przypadek. Nie przypominam sobie...

– Rozmawialiście kilka razy w ostatnim tygodniu – przerwała mu Emilia.

Rajmund zakrył ręką usta.

– Chyba nie ma sensu dłużej zaprzeczać – wyszeptał ledwie dosłyszalnie.

– Zdecydowanie nie ma sensu.

Brat sędziego pokiwał głową z wyraźną rezygnacją.

– Opiekowałem się jej synem. Chłopiec nazywa się Lew, ale

wszyscy mówią na niego Lewka. To chyba jakieś zdrobnienie ze Wschodu. Nie wiem. Nigdy nie nauczyłem się rosyjskiego, mimo że mi go wpajali w szkole. I batem, i marchewką. Nie nadawałem się do tego.

– Czemu pan wcześniej o tym nie powiedział?

– Nie pytaście.

– Nie mówię o wczorajszym przesłuchaniu. Mówię o dzisiejszym.

– Przestraszyliście mnie państwo – odparł defensywnie Rajmund. – Zresztą powiedziałem prawie od razu. Zajmowałem się Lwem w poniedziałki, środy i czwartki. W weekendy i we wtorki był u jakiejś opiekunki, ale nie wiem, kto to. Swietłana nie powiedziała mi, jak ta kobieta się nazywa. Lew też nie. Chyba niezbyt ją lubił, ale jest nieśmiały i trudno nawiązuje kontakty.

Strzałkowska pokiwała głową. To trzymało się kupy, jak lubił mówić jej syn. Policjantka miała jednak nieodparte wrażenie, że Rajmund nadal coś przed nimi ukrywa. Być może nie zadali mu odpowiedniego pytania. Właściwe pytanie jest najważniejsze.

ROZDZIAŁ 37

Okolice Jabłonowa Pomorskiego. Wtorek, 9 czerwca 2015. Podinspektor Wiktor Cybulski

Cybulski otrzepał marynarkę z liści i mokrej trawy. Wybitnie czuły nos Jolki zaprowadzi ich do kolejnej wsi, gdzie prawdopodobnie mógł pojawić się Daniel. Kierunek marszu się nie zmienił i Podgórski najwyraźniej zmierzał prosto do Lipowa. To nie wróżyło najlepiej. Cybulski postanowił zwiększyć liczbę radiowozów w okolicy. Nie tylko tych pilnujących Weroniki. To będzie odpowiednio wyglądało.

– Nic tu nie wskóramy – stwierdził Małecki.

Komisarz palił kolejnego papierosa. Najwyraźniej nie zamierzał zerwać z nałogiem. Cybulski chętnie by to skomentował. Powstrzymał się jednak. Nie chciał zaostrzać sytuacji. Przez mżawkę i bieganie po krzakach wszyscy byli rozdrażnieni.

Kiedy pies po raz kolejny zasygnalizował, że trop się urywa, przepytali mieszkańców wsi, gdzie dotarli. Nazywała się chyba Tomki. Liczyli na to, że kolejny raz im się poszczęści i jak wcześniej znajdą kogoś, kto widział tu Podgórskiego. Niestety. Nie można było zbyt wiele od losu żądać. Wrócili więc do Konojadów, gdzie zostawili samochody.

– Daniel też tu pewnie wsiadł do jakiejś fury – powiedział Małecki, wydmuchując dym. – To logiczne. Może podwiózł go ktoś zupełnie obcy, a może udało mu się zadzwonić do kogoś. Telefon stracił podczas ucieczki, ale to przecież niczego nie wyklucza.

– Chyba masz rację.

Małecki pokiwał głową z zadowoleniem.

– Wracamy w takim razie na komendę?

Na te słowa Cybulskiemu stanęły przed oczami góry dokumentów, przez które będzie musiał przebrnąć, i rozmowy, które będzie musiał odbyć. Ludzie z wojewódzkiej pewnie już przyjechali.

– Rozejrzę się jeszcze po okolicznych wsiach – powiedział. – Popytam. Może znajdę jakiś trop. Ty jedź i sprawdź, czy są jakieś mocne powiązania między Jaworskim a Podgórskim. Jeżeli to Daniel zabił obie ofiary, to prawdopodobnie są na to dowody. W przeciwnym razie to oskarżenie zupełnie nie ma sensu. Sugestia prokuratora, że Podgórski tworzył sobie Weronikę... no nie wiem. Brzmi to chwytnie, ale mam wrażenie, że zbyt przesadnie. Z całym szacunkiem dla Gawrońskiego.

Małecki pokiwał głową i rzucił niedopałek na ziemię.

– W porządku. Bierzesz mondeo, tak? To pojedę z Szablowskim i Jolką.

Cybulski patrzył, jak odjeżdżają w stronę Brodnicy. Został sam. Przyszło mu do głowy, że dawniej towarzyszyłaby mu Klementyna Kopp. Miał wielką nadzieję, że jest już w domu i dowiedziała się o sprawie z mediów. Było absolutnie niemożliwym, żeby chciała się trzymać od niej z daleka. Komendant znał ją wystarczająco dobrze.

Cybulski poprawił garnitur i wszedł do srebrnego mondeo. Przejechał przez Tomki. Zabawne, jak blisko było wszędzie, kiedy jechało się samochodem, a nie przedzierało na piechotę przez zarośla za psem tropiącym. Pokręcił się chwilę, a potem ruszył do kolejnej wsi.

Okolice były coraz bardziej znajome. Cybulski już dojeżdżał do Zbiczna. Serce zabiło mu mocniej. Tyle wspomnień związanych z Żanetą. Musiał przyznać, że bywał dla niej chłodny, ale przecież nie każdy musi być jak emocjonujący się wszystkim rozpalony południowiec. Warto chyba docenić ludzi o bardziej stonowanej naturze. Takich jak on. Może nie był temperamentny, ale jak mało kto umiał łączyć chardonnay viognier ze słodkim maki z awokado czy chablis z opiekany na ostro łososem.

Cybulski nacisnął pedał hamulca. Zerknął w lusterko

i upewniwszy się, że nic za nim nie jedzie, cofnął się kawałek. Zupełnie nie pamiętał budynku, który właśnie minął. Pewnie został wybudowany już po tym, jak rozwiódł się z Żanetą i przeprowadził do Brodnicy. Przyjrzał się staromodnej witrynie.

– Bardzo ciekawe... – mruknął pod nosem.

Doprawdy interesujące. Zaparkował samochód na poboczu przy zaroślach po drugiej stronie drogi. Trzeba to sprawdzić.

ROZDZIAŁ 38

Strzemiuszczek.

Wtorek, 9 czerwca 2015.

Klementyna Kopp

Klementyna zakłęła pod nosem i mocniej zacisnęła ręce na kierownicy. Pod domem Rajmunda Jaworskiego stał radiowóz. Z miejsca, gdzie zaparkowała swoją małą czarną skodę, widziały, jak do domu brata sędziego wchodzi młody Zaręba i ta mysia Strzałkowska. Policjantka była w wyraźnej ciąży. Kolejna rzecz, o której Klementyna nie wiedziała. Wyglądało na to, że za murami wariatkowa sprawa trochę się pokomplikowały.

– Cholera! – sapnęła Weronika. Była wyraźnie zawiedziona. – Czekamy i wchodzimy, jak Marek i Emilia odjadą?

Klementyna pokręciła głową. Zacisnęła dłonie na kierownicy. Dobrze było znowu móc prowadzić samochód. Jeszcze jedna rzecz, którą odebrali jej w psychiatryku. Samochód oznaczał wolność.

– Nie. Skoro już się nim interesują. Pozwólmy im działać.

– Jeśli uważasz, że powinniśmy odpuścić... – mruknęła Weronika zabawnie naburmuszona.

Niech się przyzwyczajają. Jeżeli oczekuje pomocy od Klementyny, będzie grała według jej zasad.

– Czekaj. Stop! Niczego nie odpuszczamy, ruda, co? Właśnie zabieramy się do tego na całego. Gdzie tu jest najbliższy kiosk?

– Po co ci kiosk?

Klementyna nie odpowiedziała, wycofała skodę i ruszyły leśną drogą z powrotem w kierunku szosy. W prawo do Zbiczna, w lewo do Lipowa. Zerknęła w lusterko wsteczne. Trochę dalej widziała nieoznakowaną astrę, która jechała za nimi z Brodnicy. Pewnie obstawa Weroniki. Ludzie z komendy byli

więc świadomi, że się spotkały. Wiedzieli też, że pojechały pod dom Rajmunda. To oczywiście nie było zabronione. Jednak nie byli na tyle głupi, żeby nie domyślić się, że Klementyna i Weronika nie jeżdżą sobie ot tak bez celu.

– To gdzie jest ten kiosk, co?

– W Zbicznie albo w Lipowie – odparła Nowakowska. – Tylko że w Lipowie wszędzie jest policja i dziennikarze.

Kopp włączyła kierunkowskaz i skręciła w prawo. Nieoznakowana astra zrobiła to samo. Mogła ich oczywiście zgubić już w drodze z Brodnicy. To, że zazwyczaj jeździła spokojnie, nie oznaczało, że nie potrafiła tego i owego. Uznała jednak, że to nie ma sensu. Niech sobie pośledzą. Przynajmniej na razie. To nie policja stanowiła problem. Klementyna nie zamierzała pakować się w paszczę dziennikarskiego lwa.

– Na pismaków zawsze reaguję alergicznie. Jedziemy do Zbiczna.

Przejechały przez most nad rzeką łączącą jeziora Strażym i Zbiczno. Tuż obok znajdował się bunkier, gdzie kiedyś znaleziono ciało młodej dziewczyny. Sprawa Mordercy Dziewic to już zamierzchłe dzieje. A przecież to było ledwie dwa lata temu. Ile się przez ten czas może zmienić!

Wjechały do Zbiczna i Weronika pokierowała ją do kiosku.

– Teraz wyskakuj i kup kilka starterów – rozkazała Klementyna, kiedy zaparkowała na poboczu.

– Po co?

Kopp spojrzała na Weronikę z rozbawieniem.

– Po co i po co. Dobrze byłoby porozumiewać się bez gumowego ucha, co?

– Uważasz, że mój telefon jest na podsłuchu?

Klementyna wzruszyła ramionami.

– Pewnie jeszcze nie. Ale! Ludzie z komendy nie są idiotami.

– Wskazała nieoznakowany radiowóz, który zaparkował kawałek dalej. – Domyślasz się, że ci zaci panowie są tu nie tylko po to, żeby cię chronić, co?

– Nie jestem głupia – zachnęła się Weronika.

– To idź wreszcie po te startery, pani mądralińska – odparła Klementyna. – Tylko dyskretnie, co?

Weronika wróciła po chwili z kilkoma gazetami w rękach. Wśród nich poutykała opakowania z kartami SIM różnych operatorów. Kopp nie mogła powstrzymać uśmiechu. Nowakowska spozrzała na nią spod oka.

– Co? Kazałaś zrobić to dyskretnie!

– Jasne, detektywie.

Nowakowska przewróciła oczami wyraźnie zirytowana. Klementyna sięgnęła po leżący na tylnym siedzeniu czarny plecak, ignorując ją. Nie zamierzała tracić czasu. Wyciągnęła telefon i spis połączeń z budki w Lipowie. Wyjęła z telefonu kartę SIM i włożyła w jej miejsce świeżutki starter. Do Rajmunda zadzwoniła co prawda z własnej komórki. Jeżeli zdrajca miał rację i ktoś go wrobił, nie było powodu, żeby dalej ryzykować.

– Chcesz znowu zadzwonić na ten drugi numer? To znaczy na pierwszy na liście – poprawiła się Weronika.

Klementyna nie zamierzała odpowiadać. To było oczywiste. Może teraz się im poszczęści i dowiedzą się, kto był drugą osobą, z którą sędzia Jaworski rozmawiał w dzień swojej śmierci z budki telefonicznej obok kiosku.

Przez chwilę słuchała sygnału. W końcu ktoś odebrał.

– Halo? – odezwał się delikatny kobiecy głos.

Bingo!

– Dzień dobry – zaczęła Klementyna, przybierając słodki ton telemarketerki. – Mam dla pani doprawdy świetną wiadomość!

ROZDZIAŁ 39

Komenda Powiatowa Policji w Brodnicy.

Wtorek, 9 czerwca 2015.

Nina Chrzanowska

Czy nadal nic nie wiadomo o Sabince? – zapytała Chrzanowska.

– Niestety, proszę pani – przyznał funkcjonariusz.

To był ten sam mężczyzna, z którym rozmawiała wczoraj. Teraz zdawał się bardziej zniecierpliwiony. Ciekawe, ile przyjmował takich zgłoszeń o zaginięciach? Tak naprawdę to nieważne. Chrzanowska nie zamierzała się poddać i pozwolić, żeby akta jej córki zostały rzucone gdzieś w kąt i leżały tam zakurzone przez najbliższe miesiące.

– A czy w ogóle podjęli panowie jakieś działania w sprawie Sabinki?

Funkcjonariusz nie odpowiedział.

– Mam chyba prawo wiedzieć – nie ustępowała Chrzanowska.

– Proszę pani, robimy, co możemy – zapewnił mężczyzna, ale w jego głosie zabrzmiała lekko defensywna nuta. To mogło oznaczać tylko jedno. Jeszcze nie zaczęli szukać Sabinki! – Już wspominałem, że musi się pani uzbroić w cierpliwość.

Starał się być uprzejmy, ale jego spojrzenie mówiło ni mniej, ni więcej, tylko: czy zamierzasz tu codziennie przychodzić, irytująca babo? Chrzanowska wyraźnie to wyczuwała.

– Czy mogę porozmawiać z pańskim przełożonym? Nie podoba mi się, że nic nie jest robione w sprawie mojej córki. Nie ma jej od piątku! Mam wrażenie, że ignoruje pan...

– Chciałaby pani wniesić na mnie skargę? Pani córka... – przerwał Chrzanowskiej z jawną wrogością i zerknął do wczorajszych zapisków, żeby przypomnieć sobie imię jej córki.

– ...Sabina ma dwadzieścia jeden lat. Jest pełnoletnia

i niepozbawiona praw obywatelskich. Równie dobrze mogła wyjechać. Szczerze mówiąc, sama pani powiedziała, że nic nie wskazuje na to, żeby było inaczej.

– Ale Sabinka nic mi nie wspominała o wyjeździe. Wręcz przeciwnie. Miałymy rozmawiać następnego dnia... Gdyby córka planowała wyjazd, na pewno by mi o tym powiedziała!

– Nie miała takiego obowiązku – odparł. – Czyli co, chce pani wnieść skargę czy nie?

Funkcjonariusz patrzył na Chrzanowską wyczekująco. Nie wyglądało na to, żeby się przejął jej groźbą. Był bardziej zirytowany niż zaniepokojony.

– Nie wiem, co chcę zrobić, szczerze mówiąc – odpowiedziała Chrzanowska słabo. Wcześniejsza pewność siebie gdzieś zniknęła. Kobieta była zupełnie załamana. Łzy same płynęły po policzkach. – Chcę tylko, żebyście znaleźli moją córkę.

Mężczyzna położył rękę na jej ramieniu. Zdawało jej się, że trochę zmiękł. Płacz... Może to nie była zła taktyka, pomyślała.

– Naprawdę robimy, co możemy, ale teraz mam bardzo mało ludzi – wyjaśnił. – Większość kolegów pracuje nad sprawą morderstwa, o którym pani na pewno słyszała. Trwa pościg za mordercą.

– Czyli moja córka musi poczekać? – krzyknęła niemal Chrzanowska. – Sabina nie jest wystarczającym priorytetem?

Funkcjonariusz westchnął głośno. Rozejrzał się po gabinecie, jakby szukał wsparcia, mimo że byli tu tylko we dwoje.

– Obawiam się, że mniej więcej tak – przyznał z irytującym spokojem. Jakby to było coś zupełnie normalnego. – Wiem, że brzmi to nieprzyjemnie...

– Przecież tym zabitym już się nie da pomóc! – krzyknęła znowu Chrzanowska. – A tymczasem mojej Sabine może grozić niebezpieczeństwo!

– Ma pani jakiegokolwiek przesłanki, żeby tak uważać? – zapytał. W jego głosie dało się słyszeć zmęczenie.

– Mogła wrócić do nałogu!

– Proszę pani, niestety musi się pani pogodzić z tym, że to życie Sabiny i jej wybory... Równie dobrze może być na wycieczce z koleżankami.

Funkcjonariusz zapisał coś w notesie, a potem zamknął go z trzaskiem, nie patrząc już na kobietę. Chrzanowska wiedziała, że popełniła błąd. Powinna była kłamać. Powinna była powiedzieć, że Sabinie ktoś groził. Może trzeba było nawet powiedzieć, że to ten człowiek, którego szukają. Ten Podgórski, o którym wszędzie trąbiono. Powinna była powiedzieć, że to on! Wtedy na pewno by się zainteresowali zniknięciem Sabiny! Dlaczego zawsze była aż nazbyt szczerą? Teraz było już za późno. Pozostawało tylko czekać. Tyle że Chrzanowska nie chciała czekać. Córka była dla niej zbyt ważna.

ROZDZIAŁ 40

Gwiazdozbiór.

Wtorek, 9 czerwca 2015.

Grzegorz „Krzywy” Zakrzewski

Krzywy przysiadł przy barze i popatrzył na Żabę z zadowoleniem. Nareszcie nowa dostawa kurary. Brakowało mu jej już od pewnego czasu. Irytowało go to, bo jako człowiek nadzwyczaj zapobiegliwy, lubił być zabezpieczony na wszelkie okoliczności.

Małe brązowe buteleczki z trucizną pobrzękiwały przyjemnie. Trochę podniosło go to na duchu po wizycie w kostnicy i identyfikowaniu korpusu Marilyn. Krzywy nie zamierzał nikomu się do tego przyznać, ale to okazało się bardzo trudnym zadaniem.

Zdarzało mu się oczywiście widywać trupy. Najpierw w woju, a potem na ulicy. No ale to przecież była Swietłana. Rozstali się, ale przez jakiś czas była jego kobietą. I mogła nią pozostać, skoro Dymitr gnił za kratkami. Gdyby Krzywy miał trochę czasu, na pewno by ją odzyskał i odpowiednio urobił.

– Dobrze się spisałeś – pochwalił barmana, porzucając te myśli. Marilyn nie żyła. Skończony temat. – Tylko dlaczego jest mniej, niż zamówiłem?

– Skąd mam wiedzieć, ja tylko odebrałem tę pieprzoną przesyłkę. Nie chcę mieć z tym głównym nic wspólnego.

Krzywy wziął jedną z brązowych buteleczek i pomachał Żabie przed nosem. Barman odsunął się natychmiast.

– Spokojnie, Żaba. Mógłbyś się tego nawet napić i nic by się nie stało. Musi się do krwi dostać, żeby działać.

Barman nie wyglądał na przekonanego, ale starał się przybrać hardą minę. Krzywy zaśmiał się. Żaba mógł się dwoić i troić. Z takim pseudo raczej wiele nie działa. I co śmieszniejsze, to

ksywka wymyślona podobno przez mamę. No naprawdę? Krzywego zawsze to bawiło. Pieprzona 8. *Mila*. Dobrze! Tam chyba też była taka opcja.

– Dawaj kasę za fatywę i zabieraj mi z baru to świństwo. Przecież wiesz, że tu jest pełno psów. Nie chcę mieć kłopotów, dlatego że ty lubisz egzotykę. Ja tylko rozlewam drinki.

Krzywy znowu się zaśmiał i podał mu pieniądze. Zresztą to i tak na koszt klubu. Ochroniarz był teraz w doskonałym nastroju, więc dołożył jeszcze trochę.

– Masz i się ciesz. Idę do siebie. Jeżeli przyjdą jakieś babeczki na przesłuchanie, to mnie zawołaj.

– Diana chce zatrudnić jakąś nową dziewczynę?

– Tak.

– Przecież chciała...

– A teraz chce inaczej – przerwał mu Krzywy. – Była u szefa w Świątkach. Pewnie jej tak poradził. Ja nie dyskutuję, tylko robię swoje. Tobie też radzę, jak chcesz zachować robotę.

Żaba zrobił do niego minę niezbyt przejęty. Wiedział, że Diana go lubi, więc pewnie niezbyt się obawiał. Krzywy machnął na to ręką. Był w dobrym humorze. Kurara. Naprawdę chętnie korzystał z tej egzotycznej trucizny. Zwłaszcza przy specjalnych okazjach. Bawiło go to. Była odskocznią od zwykłych narzędzi. Namiastką podróży, o których kiedyś zawsze marzył. Być może nigdy nie pojedzie do Ameryki Łacińskiej, ale Ameryka przyjeżdżała do niego w tych małych brązowych buteleczkach.

ROZDZIAŁ 41

Biblioteka w Lipowie.

Wtorek, 9 czerwca 2015.

Starszy sierżant Marek Zaręba

Marek i Emilia przyjechali do biblioteki w Lipowie zaraz po wizycie u Rajmunda Jaworskiego. Brat sędziego przyznał co prawda, że znał Swietlanę Sokołową, bo opiekował się małym Lwem na zmianę z Edytą Sadowską, ale dwójka policjantów uważała, że Rajmund nadal coś ukrywał. Nie wiedzieli jednak, jak go nakłonić do mówienia. Żeby zadać mu odpowiednie pytania, potrzebowali więcej danych. Dlatego postanowili dać Jaworskiemu na razie spokój i pojechać do biblioteki w Lipowie na polecenie Cybulskiego, Małeckiego i prokuratora Gawrońskiego.

Zaręba rozejrzał się po pomieszczeniu. Odkąd był tu ostatni raz, biblioteka bardzo się zmieniła. Trzeba uczciwie przyznać, że nie zaglądał zbyt często. Ostatnio chyba podczas śledztwa zeszłej zimy. Nie należał do zapalonych czytelników. Wolną chwilę wolał poświęcić córkom albo pójść na trening.

– Tę książkę jako ostatni wypożyczył pan Jakub Jaworski – poinformowała z wielką powagą Konstancja, kiedy skończyła przeglądać dokumentację.

Marek pokiwał głową. Nie mógł oprzeć się wrażeniu, że zmieniła się również atmosfera w bibliotece. Głównie za sprawą nowej bibliotekarki. Konstancja była, jak by to powiedzieć... Bardzo zaangażowana? Z wielkim zapalem przedstawiała, katalogowała i sprzątała. Chodziła nawet po domach, żeby zrobić listę książek, o którą zamierzała poszerzyć lipowskie zbiory. Wszystko po to, żeby „niczym nieustępliwy Don Kichot walczyć z wiatrakami pogarszających się statystyk czytelnictwa”. Sama tak to określiła.

Większość mieszkańców wsi traktowała Konstancję jak nieszkodliwą dziwaczkę. Ale z pewną domieszką lęku i nieśmiałego respektu. Chyba z powodu wydarzeń, które miały tu miejsce dwa lata temu, kiedy wsią wstrząsnęła sprawa Trzydziestej Pierwszej. Na wszelki więc wypadek nikt, wliczając w to Marka, nie odmówił wypełnienia podsuwanej przez nową bibliotekarkę ankiety życzeń. Zaręba z pewnym zawstydzeniem wpisał na nią tylko *Alicję w Krainie Czarów*. To był jedyny tytuł, który przyszedł mu w tamtej chwili do głowy, bo kilka dni wcześniej ściągnął sobie z internetu film o tym tytule. Przynajmniej Andżelika sobie poczyta.

– Jest pani na sto procent pewna, że to sędzia wypożyczył ten podręcznik? – zapytała Strzałkowska.

Nie można było nie zauważyć, że na twarzy Emilii pokazało się wyraźne zadowolenie. A więc to nie Daniel wypożyczył podręcznik do psychologii, który znajdował się na miejscu zbrodni!

Marek też się uśmiechnął. To oczywiście nie wykluczało winy Podgórskiego, ale stanowiło już pewien postęp. Informacja, że książkę wypożyczyła sama ofiara, stawiała jednak przed nimi kolejne pytania, na które trzeba będzie znaleźć odpowiedź.

– Oczywiście. Tak mam wpisane tu w karcie, a jestem bardzo skrupulatna – zapewniła ich Konstancja. – Pan sędzia Jaworski wypożyczył podręcznik dwudziestego ósmego maja. Powinien był go oddać już w poprzednim tygodniu. Takie ustaliłam zasady, żeby ludzie nie przetrzymywali zbyt długo książek. Jak ktoś przetrzyma, to z reguły wysyłam ponaglenie.

– Sędziemu Jaworskiemu też pani wysłała? – chciała wiedzieć Emilia.

Konstancja pokręciła głową i lekko się zaczerwieniła.

– Nie miałam numeru jego komórki. Zresztą postanowiłam mu darować – przyznała z pewnym zawstydzeniem.

– Z jakiegoś konkretnego powodu? – zainteresował się Marek. Trudno było uwierzyć, że bibliotekarka mogła zrezygnować ze swoich zasad.

– Nie chciałam go zniechęcać do wizyt w bibliotece, a ta książka nie jest zbyt rozchwytywana... Nie wiem, czy wiele osób

interesuje się tu taką tematyką, ale ktoś wpisał na listę życzeń „coś z psychologią”, więc nie chciałam, żeby były braki. Udało mi się sprowadzić ten używany podręcznik i...

Nie dokończyła.

– Wcześniej też się zdarzało, że sędzia Jaworski przetrzymywał książki? – zapytał Marek. Nie był pewien, czy ten szczegół był ważny, ale nie chciał niczego zaniedbać. Wszelkie odstępstwa od normalnego zachowania mogły mieć znaczenie.

– Nie. Nigdy tu nie wypożyczał.

– Nigdy? – podchwyciła Strzałkowska.

Bibliotekarka pokręciła głową. Znowu zdawała się zawstydzona, jakby kogoś zawiodła.

– Nigdy. Specjalnie założył kartę, żeby wypożyczyć tę książkę. Był spoza Lipowa, więc nie byłam pewna, czy tak można. No ale skoro tak się interesował psychologią, to pomyślałam, że go zapiszę i pozwolę mu potrzymać tę książkę dłużej.

Marek i Emilia spojrzeli na Konstancję z zaciekawieniem.

– No dobrze. A wspominał może, po co mu ten podręcznik?

Bibliotekarka pokręciła głową.

– Pamiętam tylko, że zależało mu na czymś z psychologii. Pomyślałam, że może to jego hobby. Pokazałam mu kilka książek popularnonaukowych, ale nie przypadły mu do gustu. Chciał czegoś bardziej naukowego. No więc dałam mu ten podręcznik.

Zaręba pokiwał głową i położył zabezpieczony przez techników tom na biurku Konstancji. Uderzył o blat z głośnym hukiem. Był cięższy, niż się Markowi wydawało. A może zwyczajnie pozwolił, żeby wypadł mu z ręki? Czuł do tej książki dziwny, irracjonalny wstręt. Jakby te zaczytane kartki były czemuś winne.

– Chciałbym, żeby pani dokładnie przejrzała tę książkę – poprosił.

Nie chciał niczego sugerować. Podręcznik pełen był rysunków, podkreśleń i komentarzy, które powstawały zapewne latami, kiedy kolejne pokolenia studentów uczyły się do egzaminów. Nie można było jednak wykluczyć, że któreś z tych bazgrołów

mogły mieć znaczenie dla sprawy. Przy odrobinie szczęścia Konstancja może zauważy coś, co oni przeoczyli. Jej skrupulatność działała tu zdecydowanie na korzyść, uznał Marek. Nie dlatego, że zgadzał się ze śledczymi z Brodnicy, że książka, razem z rudą peruką i ślubną sukienką, stanowi koronny dowód przeciwko Danielowi. Raczej dlatego, że młody policjant miał nadzieję na jakiś przełom, który oczyściłby przyjaciela z zarzutów.

– Czy w środku jest coś niepokojącego? – zapytała Konstancja, akcentując ostatnie słowo. Patrzyła przy tym na książkę z coraz większą rezerwą.

– Bez obaw! Nie ma tam nic takiego – dodała jej otuchy Emilia.

– Proszę nam tylko powiedzieć, czy coś się pani rzuci w oczy.

Konstancja włożyła rękawiczki, które podał jej Marek, i zaczęła metodycznie przeglądać książkę. Trwało to długo i młody policjant zdążył już zwątpić, że cokolwiek z tego wyniknie. Trudno oczekiwać, że bibliotekarka pamięta każde słówko dopisane ołówkiem na marginesie...

– A to co?! – krzyknęła ze zgrozą Konstancja. – Tego tu wcześniej nie było!

– Czego?

Bibliotekarka pokazała palcem fragment, o który jej chodziło.

– Jest pani pewna?

Konstancja wyciągnęła z szuflady gruby brulion wypełniony odręcznymi notatkami. Kartkowała go, aż znalazła odpowiednią stronę.

– O tu – powiedziała podekscytowana. – Zapisuję sobie szkody wyrządzone książkom przez czytelników! Bardzo na przykład nie lubię, kiedy ktoś je zaplami. Nie powinno się czytać przy jedzeniu! Ten podręcznik dostaliśmy w prezencie jako używany, więc jak sami państwo widzą, nie jest w najlepszym stanie, ale i tak zanotowałam sobie wszystko po kolei. Dlatego wiem, że ten fragment na pewno nie był podkreślony, zanim nie wypożyczył tej książki pan sędzia Jaworski.

Marek i Emilia wymienili się spojrzeniami. Cuda się jednak zdarzają!

ROZDZIAŁ 42

Brodnica.

Wtorek, 9 czerwca 2015.

Łukasz Strzałkowski

Łukasz wyszedł ze szkoły i ruszył na przystanek. Konrad jak zwykle szedł koło niego, bo do autobusu i do bidula prowadziła ta sama droga. Żaden się nie odezwał. Na skrzyżowaniu zatrzymali się chyba tylko siłą przyzwyczajenia. Skończyły się czasy, kiedy po szkole dyskutowali żywo o ceesie albo o Diabło, tworząc rozbudowane strategie gry i po prostu dobrze się bawiąc rozmową.

– No to do jutra – rzucił Konrad zdawkowo.

– Do jutra – odparł Łukasz równie zwięźle.

To by było na tyle. Dawni przyjaciele rozstali się bez patrzenia sobie w oczy. Łukasz ruszył szybkim krokiem. Jeżeli się pospieszy, to zdąży na wcześniejszy autobus. Tyle z tego dobrego. Niestety, kiedy minął zakręt, pekaes właśnie odjeżdżał. Łukasz próbował podbiec, ale kierowca nie zamierzał na niego zaczekać. Chłopak zaklął pod nosem i kopnął jakiś kamień ze złością. To oznaczało co najmniej pół godziny czekania. Nie miał na to ochoty.

Ruszył wzdłuż ulicy. Od biedy mógł przejść całą trasę na piechotę. Do Lipowa było niecałe piętnaście kilometrów szosą, a na skróty przez las i pola to nawet mniej. Może z jedenaście. Pogoda nie była najlepsza, ale szybki marsz mógł mu dobrze zrobić. Byłoby trochę czasu, żeby przemyśleć kilka kwestii.

A jest o czym rozmyślać. Ojciec, mama, Konrad, szkoła. Te sprawy zaczynały Łukasza przerastać. W końcu miał piętnaście lat, nie trzydzieści. Nie był nawet pełnoletni, a to, co mu się zwaliło na głowę, dobiłoby nawet tak zwanych dorosłych.

Szedł równym, szybkim krokiem. Jeżeli się spręży, to będzie

w domu za niecałe dwie godziny. To i tak wcześniej niż w ostatnich tygodniach, kiedy co wtorek po szkole musiał jeszcze łączyć na te nieszczęsne uzewnętrznianie się. Całe szczęście dziś dyrektorka szkoły go z tego zwolniła.

Łukasz uśmiechnął się pod nosem. Chyba profesorka i inni nauczyciele woleliby, żeby wcale nie przyszedł dziś na zajęcia. Policja szukała przecież jego ojca. Podgórski podejrzany był o morderstwo. Dyrektorka zasugerowała Łukaszowi, że zwolnienie z dzisiejszych zajęć nie będzie żadnym problemem. Była milutka. Kiedy chłopak odmówił, zdawała się zawiedziona. Nie powiedziała tego wprost. Może bała się, że Daniel pojawi się na progu szkoły i wymorduje uczniów, jeżeli tylko jego syn będzie niezadowolony.

Łukasz westchnął i przyspieszył kroku. Tak naprawdę wcale nie chciał być w szkole, ale siedzenie w domu wydawało się jeszcze gorsze. Prawie całą noc czytał wpisy na stronach internetowych. Informacje o ojcu przedostały się nawet do prasy ogólnokrajowej. Hannibal Lecter z Lipowa to jeden z łagodniejszych przydomków, które Danielowi nadano. No ale dzień jeszcze młody i nie wiadomo, jak to wszystko się rozwinie.

Hannibal Lecter z Lipowa. Miało to swoje plusy. W szkole nikt już raczej Łukasza nie tknie. Zyskał zupełnie nowy status. Ojciec morderca zobowiązuje.

Nagle Łukasz zorientował się, że mijający go samochód zwalnia. To była znajoma niewielka terenówka. Szyba się uchyliła.

- O cześć!
- Cześć.
- Wracasz do domu?
- Tak. Autobus mi uciekł.
- Podrzucić cię?

Łukasz zastanawiał się. Właściwie stracił już ochotę na dalszy marsz. Było mu zimno, a rozmyślenia do niczego konkretnego nie prowadziły. Równie dobrze mógł się przejechać i szybciej wrócić do pustego domu. Wychodziło na to samo. Wsiadł więc do samochodu i ostrożnie zatrzasnął za sobą drzwi. Z miejsca

zrobiło się ciepłej i mógł rozluźnić napięte mięśnie.

Jechali przez chwilę w milczeniu.

– Ej, co ty taki markotny?

Łukasz nie odpowiedział. Wzruszył tylko ramionami.

– Kurczę, chodzi pewnie o twojego ojca, co?

– Nie tylko – mruknął chłopak cicho. Nie miał ochoty na pogawędki. Może nie trzeba było decydować się na podwózkę.

– Wiesz co? Może skręcimy tu i pojedziemy nad jezioro? Przekapiemy się.

– Żartujesz? – zaśmiał się chłopak. – Zamarznąć dziś można!

– Nie przesadzaj! Mnie to nie powstrzyma! Jutro jadę na nurkowanie. Mam nadzieję, że będzie super!

Łukasz pokręcił głową. Też chciałby ponurkować. Tym bardziej że nie robił tego od dawna.

– Zazdroszczę – przyznał. – Jak mieszkaliśmy z mamą w Warszawie, to byłem na kilku lekcjach. Podobało mi się!

– Nic dziwnego. To superjazda! Bez trzymanki. To znaczy zależy, gdzie nurkujesz. Ja najbardziej lubię w morzu. Tu w jeziorach właściwie nic ciekawego.

– Byłem tylko raz. Na Helu.

– Widziałeś zatopione statki?

Łukasz pokiwał głową.

– Zajebista akcja – powiedział. Czuł, że humor mu się poprawia. – Moja babcia kupiła mi nawet zegarek. Taki specjalny do nurkowania.

Pokazał z dumą cacko na nadgarstku. Babcia powiedziała, że to inwestycja w przyszłość. Łukasz nie był pewien, co dokładnie miała na myśli, ale był jej wdzięczny. Zegarek był naprawdę super. W szkole mu go nie zabrali chyba tylko dzięki Konradowi.

– No, no! Do ilu metrów można w nim zejść?

– Podobno do dwustu! Oczywiście ja nigdy nie zszedłem na taką głębokość, ale tak było napisane na opakowaniu.

– Imponujące! Nie pożyczylbyś?

Łukasz poruszył się niechętnie. Zegarek był cenny. Nie wiedział, ile babcia za niego dała, ale kiedy go dostał, mama strasznie się zdenerwowała, więc pewnie sporo. Dla niego nie

to było najważniejsze. Liczył się sentyment. Odkąd mieszkali z mamą w Lipowie, nie widywał się z babcią prawie wcale. Może kiedy urodzi się dziecko, pojedą na trochę do Warszawy? To by było świetnie.

– A może coś za coś! Pożyczysz mi zegarek na jutro. Ja podjadę po ciebie w czwartek rano i ci go oddam. Potem podrzucę cię do szkoły. Co ty na to? Każdy zadowolony. Ja ponurkuję z zegarkiem, a ty nie będziesz musiał tłuc się pekaesem.

– Okej. Niech będzie. O ile w ogóle będę szedł w czwartek do szkoły. – To przecież nie było takie pewne, skoro tata był ścigany. Może dyrektorka szkoły zdobędzie się jednak na odwagę i zamknie Łukaszowi drzwi szkoły przed nosem. Kto wie, co przyniesie czwartek. – Ale tak czy inaczej masz mi go oddać.

– Jasne. Nie martw się.

ROZDZIAŁ 43

Atelier Michała Rakowskiego. Wtorek, 9 czerwca 2015. Podinspektor Wiktor Cybulski

Cybulski przyjrzał się zdobionej, staromodnej witrynie pracowni krawieckiej. Nad wejściem wisiał artystycznie wykonany szyld „Atelier Michała Rakowskiego”. Komendant znalazł to miejsce przypadkiem po tym, jak policyjny pies stracił trop Daniela.

Wszedł do środka witany brzękiem dzwoneczków. W pracowni panowała atmosfera okresu międzywojennego. Poczynając od stylizowanej wystawy, przez powleczone lnianym materiałem zdobione torsy manekinów, szkatuły i lampy w stylu art déco.

No i oczywiście sukienki. Cybulski podszedł do manekina i przejechał dłonią po delikatnym materiale. Piękne wykonanie, pomyślał z uznaniem. Precyzja, jakiej trudno szukać w ubraniach wytwarzanych seryjnie.

Komendant rozejrzał się po pomieszczeniu. Na manekinach wisiało co najmniej kilkanaście takich samych sukienek. Wyglądały dokładnie jak ta, która okrywała tułów Swietłany Sokołowej w domu sędziego Jaworskiego. Nie mogło być mowy o pomyłce. Wbrew obawom Emilii Cybulski wcale nie zamierzał porzucić tropu sukienki. Planował po prostu skupić się na nim trochę później. Los zdecydował za niego i teraz zamierzał dowiedzieć się więcej.

– Dzień dobry! – zawołał.

Nie otrzymał odpowiedzi, ruszył więc w głąb pracowni. Wszędzie białe sukienki. Dopiero teraz Cybulski zauważył, że nie były identyczne. Różniły się szczegółami, które początkowo trudno było zauważyć.

Cybulski szedł dalej coraz bardziej zafascynowany tym dziwnym miejscem.

– Co to ma być... – wyrwało mu się, kiedy zrobił jeszcze kilka kroków.

Trafił na zaplecze ukryte za zdobionym parawanem. Prezentowało się zgoła inaczej niż główna część pracowni. Wszędzie leżały bele materiału i nierozpakowane jeszcze pudła. Nie to jednak przykuło uwagę komendanta.

Cybulski podszedł do półek na przeciwległej ścianie. Równymi rzędami poukładano tam lalki. Wziął jedną z nich do ręki. Nic tu do siebie nie pasowało. Za mała noga, jakby należała do innego kompletu niż tułów. Wielka plastikowa dłoń wystająca z korpusu pochodziła chyba z manekina i zupełnie nie współgrała z tułowiem szmacianej lalki. Nie wspominając już o główce Kena, która dopełniała cudacznej całości. Wyglądało to, jakby ktoś grzebał w śmietniku i połączył te elementy zupełnie przypadkiem.

Komendant odłożył lalkę ostrożnie z powrotem na półkę. Pozostałe wyglądały podobnie. Przypomniał sobie postać, którą sprawca stworzył na piętrze w domu sędziego Jaworskiego. Męska głowa i damski tułów...

Nagle Cybulski usłyszał za sobą ruch. Nie był pewien, czy skrzypnęła podłoga, czy może poczuł na szyi delikatne muśnięcie czyjegoś oddechu, ale odwrócił się natychmiast. Niecały metr od niego stał długowłosego chłopak o niemal dziewczęcej twarzy. Przyglądał się Cybulskiemu intensywnie wielkimi błękitnymi oczami. Razem z okropnymi lalkami i niepokojąco pięknymi sukniami z głównej części pracowni robiło to dość upiorne wrażenie.

– Przepraszam pana – wykrztusił komendant. – Było otwarte, więc pozwoliłem sobie wejść. Czy mógłbym panu zadać kilka pytań?

Młody mężczyzna nie odpowiedział. Nie spuszczał wzroku z Cybulskiego. Komendant nigdy nie widział, żeby ktoś miał tak szafirowe spojrzenie. Stali przez moment bez słowa. Cybulskiego opanowało nagle niejasne uczucie, że zna skądś niebieskookiego. No i ten szylid nad wejściem. Powinien był od

razu skojarzyć nazwisko.

– Czy pan nie jest przypadkiem synem...

Cybulski nie dokończył, bo młody mężczyzna zaczął powoli otwierać usta. Komendant z trudem stłumił krzyk.

ROZDZIAŁ 44

Gwiazdozbiór.

Wtorek, 9 czerwca 2015.

Natalia „Twiggy” Jaworska

Twiggy patrzyła w lustro. Jej oczy z natury były wielkie, ale do występów w klubie starała się jeszcze podkreślić je odpowiednim makijażem. Miała wyglądać nie tylko jak modelka, od której pożyczyła artystyczny pseudonim, ale przede wszystkim przypominać nastolatkę. Tak chciała Diana, bo była cała grupa klientów, których to podniecało.

Szefowa wymagała bezwzględnej perfekcji, więc Twiggy ćwiczyła i ćwiczyła, aż doszła do takiej wprawy, że właściwie mogłaby malować się po ciemku i bez lusterka. Podobało jej się to. Pociągnięcia pędzelka, tusz do rzęs, pomadka lub szminka, a najlepiej błyszczak, jak u młodych dziewczyn. Robienie makijażu stanowiło najlepszy element tej pracy.

Znacznie gorzej było z tańcem. Twiggy nie chodziło wcale o sam występ. Bardziej o publikę. Faceci wpatrzeni błędnym wzrokiem w prawie nagie ciała. Nie zawsze jej to przeszkadzało. Na początku Twiggy była tym światem wręcz zafascynowana. Uwielbienie, jakie budziła wśród widzów, sprawiało, że czuła się lepiej sama ze sobą. Coś znaczyła, komuś się podobała. Tak naprawdę. Niektórzy przecież przychodzili do klubu specjalnie na jej występy. Zostawiali żonę czy dziewczynę i jechali do Gwiazdozbióru. Wiedziała o tym. To jej schlebiali. Dopiero w ostatnim roku zrozumiała, że sama siebie oszukuje. Uwielbienie tych napaleńców to zwykła ułuda. Jej życie na scenie to iluzja! Co zostawało, jeżeli porzuciło się te miraży? Co Twiggy miała tak naprawdę? Chyba tylko przeklinającą papugę, bo jak się okazało, nawet na wuja Rajmunda nie mogła liczyć.

Odłożyła pędzel i puder. Spojrzała na lustro, przy którym zazwyczaj przygotowywała się Marilyn. Wstała i podeszła tam ostrożnie. Z miejsca ożyły wspomnienia piątkowej nocy. Rozmowy, która zmieniła się w ostrą kłótnię.

Znowu przeszedł ją dreszcz niepokoju. Odetchnęła głębiej, żeby się uspokoić. Zabrzmiało to zatrważająco głośno. Twiggy miała teraz wrażenie, że w garderobie panuje całkowita cisza, którą burzy jedynie ona sama. A jeżeli tak, to przecież ktoś mógł słyszeć jej kłótnię z Marilyn w zeszły piątek. Twiggy zadrżała. Miała wielką nadzieję, że nie. Ktoś mógłby błędnie to zinterpretować i problemy gotowe. A przecież to nie jej wina!

Zastygła w bezruchu. Z Czarnej Sali dochodziły odległe dźwięki powolnej muzyki. Pewnie Pamela zaczęła już próbę przed wieczornymi występami. Albo Krzywy i Diana robili przesłuchania nowej dziewczyny? Podobno mieli jednak szukać kogoś na miejsce Marilyn. To zupełnie nie zgadzało się z wcześniejszymi planami szefowej, ale kto tam Dianę zrozumie.

Twiggy nasłuchiwała. Trudno było rozpoznać piosenkę. To podniosło ją trochę na duchu. Poczula, że stopniowo lęk ustępuje i ogarnia ją ostrożna ulga. Muzyka dolatywała do garderoby niewyraźnie, więc chyba nikt nie miał prawa słyszeć, co działo się tu pomiędzy nią a Mary, prawda? Garderoba była na uboczu. Wstała i w nieco lepszym nastroju ruszyła do drzwi. Ktokolwiek tańczył teraz w Czarnej Sali, ona rozpocznie próbę za kilka minut. Twiggy nie zamierzała się spóźnić. Diana tego nie tolerowała.

Tylko tego brakowało, żeby wywalila ją na bruk. Twiggy nienawidziła tej roboty, ale na pewno nie chciała jej stracić. Za coś trzeba żyć, a żadnej pomocy od wuja Rajmunda już nie chciała. Brzydziła się nim. Jeszcze większym wstrętem napawał ją dom ojca.

Jak się okazało, była też... Twiggy trzasnęła drzwiami, nie kończąc myśli. Nie! Kolejna ułuda! Poranne spotkanie potwierdziło, że jej żalosna egzystencja jest do dupy. Jediną pozytywną odmianą był fakt, że po raz pierwszy w życiu coś wygrała. Chyba że ci ludzie z loterii też zrobią ją w bambuko.

ROZDZIAŁ 45

Komenda Powiatowa Policji w Brodnicy.

Wtorek, 9 czerwca 2015.

Komisarz Nikodem Małecki

Małecki zamknął segregator z trzaskiem. Zabrzmiało to strasznie głośno, ponieważ w archiwum panowała bezwzględna cisza. Jak w jakiejś pieprzonej bibliotece, przeszło mu przez myśl. Maksymilian Kania z obyczajówki, który pracował przy sąsiednim stole, spojrzał na komisarza z lekką przyganą. Małecki uśmiechnął się przepraszająco, chociaż tak naprawdę miał wielką ochotę kląć ile wlezie. Kurwa! Kurwa! Kurwa! Potwierdziło się to, co i tak wiedział.

Przyjechał do archiwum po zakończonych niepowodzeniem poszukiwaniach Podgórskiego. Początkowo szło nieźle i Jolka złapała trop, ale potem niestety okazało się, że Daniel wsiadł do jakiegoś samochodu.

Cybulski postanowił rozejrzeć się jeszcze po okolicy, a Małecki miał pojechać do komendy i szukać powiązań pomiędzy Podgórskim a sędzią Jaworskim, których tak bardzo oczekiwał prokurator Gawroński.

Małecki sam się zgłosił do tego zadania na wczorajszej odprawie. Głównie dlatego, że bardzo nie chciał, żeby ktoś zaczął grzebać w sprawach Jaworskiego. A właściwie w tej konkretnej sprawie. Lepiej, żeby on to sam ogarnął.

Małecki wrócił do Brodnicy z Adamem Szablowskim. Rozmawiali, ale dawny podwładny przez całą drogę był wyraźnie spięty. Nigdy nie powiedział, że ma komisarzowi za złe nieudaną akcję prewencyjną sprzed kilku lat. Przynajmniej nie na głos. To dało się jednak wyczuć. Nic dziwnego. Zostało mu tylko przechadzanie się z psem.

Kurwa! Kurwa! Kurwa!

Małecki pożegnał się z Szablowskim zdawkowo i ruszył do archiwum, starając się nie myśleć o bliznach na twarzy przewodnika psa. Nie czas na rozpamiętywanie tamtej cholernej akcji. To była przeszłość, a teraz komisarz musiał ogarnąć bieżące kwestie!

Poprosił Tereskę o segregatory kilku spraw, które sądził Jaworski. Bardziej dla niepoznaki niż z faktycznej potrzeby. Zajął miejsce przy stole w odosobnionej części archiwum i z bijącym sercem sięgnął po odpowiednie akta. Ku swojemu niezadowoleniu zobaczył, że miał rację. Czy cholerny Podgórski musiał dowozić pieprzone dowody w sprawie Lecha Rakowskiego?! W żadnej innej tylko w tej, wokół której Małecki nie życzył sobie niepotrzebnego węszenia. Kurwa! Kurwa! Kurwa!

Niby drobnostka, ale była. Małecki rozważał, co powinien zrobić. Opowiedzieć o tym na odprawie jakby nigdy nic? Cholera. To chyba nie był najlepszy pomysł. Cybulski i tak przyczepił się do tego tematu jak rzep do pieprzonego psiego ogona. Będzie węszył pod byle pretekstem.

Może to lepiej przemilczeć? Przecież Podgórski nie robił nic ważnego. Dowoził tylko dowody do laboratorium. Błahostka. Prawdopodobnie nie spotkał nawet sędziego Jaworskiego. Bo niby dlaczego? Tak. Chyba najlepiej po prostu o tym drobnym powiązaniu nie wspominać.

Małecki rozważał przez chwilę, czyby nie zabrać kilku kartek z segregatora i w ten sposób przypieczętować sprawę. Uznał jednak, że to może przynieść więcej szkody niż pożytku. Tereska wpisała do rejestru wszystkie materiały, które wypożyczył, więc gdyby ktoś kiedyś zauważył brak, komisarz znalazłby się pośród potencjalnych winowajców. Musiałby wtedy odpowiadać na zdecydowanie niewygodne pytania. Dużo bezpieczniej było nie demonizować sprawy i liczyć na to, że nikt z grupy śledczej nie będzie tu zaglądał, skoro to jemu powierzono to zadanie.

Małecki podszedł do kontuaru i oddał Teresce materiały. Uśmiechnęła się do niego miło, ale nic nie powiedziała. Zawsze była małomówna i lepiej czuła się w archiwum niż w patrolu

drogówki, gdzie przedtem pracowała.

Komisarz otworzył drzwi na korytarz i wpadł niemal na szefa techników, który najwyraźniej zmierzał do archiwum.

– Szedłem właśnie do pana, panie Małecki – powiedział. – Byłem w biurze u komendanta Cybulskiego, ale powiedziano mi, że jeszcze nie wrócił z terenu, postanowiłem więc odszukać pana.

– Co jest?

– Pamięta pan, że ja i moi współpracownicy znaleźliśmy w kuchni sędziego Jaworskiego nóż, na którym była krew?

– Wspominał pan o tym na wczorajszej odprawie. Coś interesującego?

Technik kiwnął głową.

ROZDZIAŁ 46

Dom rodzinny Jaworskich w Strzemiuszcuku.

Wtorek, 9 czerwca 2015.

Rajmund Jaworski

Rajmund stał w domu ojca już dłuższą chwilę. Otaczał go nieprzyjemny zapach stęchlizny pomieszany z drażniącym nos smrodem farby i rozpuszczalnika, których używał przy remoncie. Nieprzyjemnie kręciło się od tego w głowie.

Rajmund się bał. Zwyczajnie się bał. Bo co będzie, jeżeli policja zechce tu zajrzeć? Że też dopiero teraz przyszło mu to do głowy. Wypytywali, czemu brat tak bardzo walczył o tę rudere. To tylko kwestia czasu, kiedy tu przyjdą.

Rajmund miał ochotę się rozplakać. A przecież tak sobie to świetnie przygotował... Rozum mówił, że powinien wszystko zniszczyć, ale serce nie pozwalało. Jeszcze jeden dzień. Jutro się tym zajmie. Nawet jeżeli tu przyjdą, nie będą chyba zaglądać do piwnicy. Po co?

Serce biło zdecydowanie za szybko. Powinien wyjść na zewnątrz albo przynajmniej otworzyć okno i odetchnąć świeżym powietrzem. W przeciwnym razie chyba dostanie zawału. Zawsze martwił się na zapas. Potem połowa z tych lęków nigdy się nie spełniała. Może tak będzie i tym razem?

Rajmund ruszył do wyjścia, starając się uspokoić. Deski starej podłogi skrzypiały pod jego ciężarem. Podłogę też trzeba będzie wymienić. No i posprzątać rzeczy ojca. Nie licząc porozpoczynanych w kilku miejscach napraw, od jego śmierci w marcu wszystko leżało prawie nieruszone, bo Rajmund pracował głównie na dole w piwnicy.

Wyszedł na dwór i odetchnął świeżym powietrzem. Tu świat jawił się w bardziej pozytywnych barwach. Nic mu nie grozi. Gdyby ta rudera naprawdę ich interesowała, to ta dwójka

policjantów zażądałaby już do niej dostępu. Ten młody osiłek i ciężarna kobieta byli u Rajmunda już dwa razy i nic. Wszystko będzie dobrze! Musi być! Rajmund zbyt wiele włożył w to pracy, żeby teraz to niszczyć. Już prawie okiełznał przeszłość i stworzył swoje miejsce na ziemi. Będzie dobrze. Na pewno.

ROZDZIAŁ 47

Gwiazdozbiór.

Wtorek, 9 czerwca 2015.

Weronika Nowakowska

Kiedy Weronika podjechała pod Gwiazdozbiór, parking przed budynkiem był zapełniony. Miała trochę kłopotów, żeby tu trafić. To, że знаła adres, niewiele pomogło. Miejsce zdecydowanie zapewniało intymność osobom, które nie chciały się afiszować ze słabością do tańca egzotycznego.

Weronika przyjechała do klubu, żeby porozmawiać z córką sędziego Jaworskiego. Dzięki fortelowi Klementyny dowiedziały się, że sędzia rozmawiał w dzień śmierci nie tylko z bratem, ale także z Twiggy. Nie mogły przesłuchać Rajmunda, bo kiedy przyjechały pod jego dom, byli tam Emilia i Marek. Córce sędziego nie zamierzały jednak odpuścić.

Weronika przypomniała sobie teraz, że Jaworski wspominał o Twiggy kilkakrotnie podczas niedzielnych wizyt w sklepie Wiery. Jego relacje z córką nie były najlepsze. To stawiało Twiggy w złym świetle i razem z faktem, że być może to ona kłóciła się z ojcem przez telefon w dzień jego śmierci, czyniło ją jedną z podejrzanych. Przynajmniej w oczach Nowakowskiej.

Twiggy złapała się na haczyk loterii i podała swój adres domowy. Jednak kiedy Klementyna oznajmiła, że zamierza przywieźć telefon jeszcze dziś, córka sędziego skierowała ją do Gwiazdozbioru.

W ten sposób miały dwa adresy. Klementyna zamierzała to wykorzystać. Weronikę wysłała do klubu. Sama planowała włamać się do mieszkania Twiggy. Plan raczej szalony, ale Nowakowska nawet nie próbowała wybić go byleją policjantce z głowy. Daremny trud, skoro tamta się uparła.

Weronika spojrzała w lusterko i poprawiła włosy. Szczerze

mówiąc, chciała opóźnić moment wejścia do Gwiazdozbioru. Czowała się niezręcznie i trochę się bała. Wcześniejsza chęć wzięcia śledztwa w swoje ręce zmaląła, kiedy przyszło już co do czego. Tym bardziej że w przeszłości takie pomysły nie zawsze dobrze się kończyły. Weronika zadrżała na wspomnienie swoich przygód dwa lata temu, kiedy ledwie uszła z życiem.

Tymczasem z jednego z samochodów wysiadła sztywnie ubrana para. Jej obecność dodała Weronice nieco odwagi. Może nie będzie tak źle. Wszędzie tu są ludzie. Nic złego nie może się stać. Nawet jeżeli Twiggy, albo ktoś inny z Gwiazdozbioru, zamordowała sędziego Jaworskiego i Swietlanę Sokołową, nie zaatakuje jej wśród klubowych gości.

Zresztą był też przecież nieoznakowany radiowóz, który tu za nią przyjechał! Tajniacy z jakiegoś powodu nie wjechali na parking klubu, tylko zaparkowali za bramą. Nie szkodzi. Najważniejsze, że byli w pobliżu.

Weronika zamknęła samochód i ruszyła przez parking. Starła się rozluźnić palce zaciśnięte kurczowo na pasku torebki. Nie chciała wyglądać na przerażoną. Raczej na pewną siebie. Odetchnęła głębiej, żeby dodać sobie otuchy. W biały dzień nikt jej nic nie zrobi! Będzie dobrze.

Dotarła do wejścia i ostatni raz się rozejrzała. Musiała przyznać, że to miejsce nie przypominało jej wyobrażeń o klubach ze striptizem. Sądziła, że ujrzy obskurny budynek z różowym neonem. A tu wszystko było wysmakowane i dopracowane w każdym stylowym szczególe. Weszła do środka. Wnętrze było równie gustowne. Drewniane stoliki z eleganckimi nakryciami i nieco w głębi wielkie okno na jezioro. Żadnej sceny z rurą i nagich kobiet.

Wytworna para, którą Weronika widziała na parkingu, zajęła miejsce przy jednym ze stolików. Ubrana w schludny czarny mundurek kelnerka natychmiast podeszła do nich, żeby przyjąć zamówienie. Potem skierowała się do Nowakowskiej, która ciągle stała w drzwiach niezdecydowana, co dalej.

– Mogę w czymś pomóc? – zapytała uprzejmie.

– Szukam Twiggy – wyjaśniła Weronika. Pamiętała, że takiego pseudonimu użył Daniel, kiedy streszczał im

przesłuchania z poniedziałku.

Wyraz twarzy kelnerki natychmiast się zmienił. Zniknęła dystyngowana usłużność, a zamiast niej pojawiła się pewnego rodzaju wyższość. Zlustrowała Weronikę od stóp do głów i rzuciła od niechcenia:

– Ty w sprawie pracy, tak?

– Niezupełnie – odparła Nowakowska enigmatycznie. Nie bardzo wiedziała, jak wyjaśnić cel swojej wizyty. Liczyła, że kelnerka nie będzie drążyć tematu.

– Twiggy właśnie ma próbę w Czarnej Sali.

– Gdzie to jest?

Kobieta spojrzała na Weronikę spod oka. Uznała chyba, że Nowakowska jest znajomą Twiggy i powinna dobrze wiedzieć, gdzie iść. Na jej twarzy pojawiła się czujność.

– Jestem tu pierwszy raz – dodała Nowakowska szybko. Miała nadzieję, że wyszło to naturalnie.

Kelnerka zerknęła w stronę eleganckiej pary przy stole. Mężczyzna wyglądał na zniecierpliwionego, że jego zamówienie się opóźnia.

– Zaprowadzę cię – mruknęła. – To i tak po drodze do kuchni. Chodź.

Ruszyły szerokim korytarzem. Nieco w głębi po prawej stronie znajdowały się zdobione drzwi w hebanowym odcieniu. Kelnerka pokazała je bez słowa. Zza drzwi dochodziła nieco przytłumiona muzyka. Weronika pchnęła jedno skrzydło i melodia buchnęła z pełną siłą. Ściany musiały być wygłuszone, bo w wykwintnej sali przy wejściu nie było jej zupełnie słychać.

Weronika wślizgnęła się do środka. Rozejrzała się po pomieszczeniu. Ściany pomalowano na czarno. W oknach wisały grube kotary, które nie przepuszczały popołudniowego światła. W sali panował mrok rozpraszany jedynie przez żarówki ukryte za bordowymi kloszami.

W centrum pomieszczenia znajdowała się scena z kilkoma rurami do tańca. Na jednej z nich widać było drobniutką krótkowłosa kobieta. Miała na sobie tylko różowe bawełniane majtki, reszta ubrania leżała porzucona nieco z tyłu. Weronika

odwróciła wzrok zawstydzona.

Pod przeciwległą ścianą stał wysoki umięśniony mężczyzna. Przyglądał się wyczynom striptizerki bez szczególnego zainteresowania. Obok niego na jednym ze stolików przysiadł chudzielec z pomalowanymi na czarno paznokciami i ostrym makijażem oczu w rockowym stylu.

– Jeszcze raz – rzucił szczupły. Wyjął z kieszeni pilota i puścił piosenkę od nowa. Striptizerka ubrała się szybko i zaczęła występ od początku.

Wyglądało na to, że żaden z mężczyzn nie zwrócił uwagi na przyjście Weroniki. Nowakowska rozejrzała się. Oprócz nich w sali była jeszcze platynowa blondyna, która przysiadła przy barze po drugiej stronie. Wyglądało na to, że siedzi tam bez celu, więc Weronika uznała, że najbezpieczniej będzie zacząć od niej.

– Dzień dobry – powiedziała, podchodząc do kobiety.

Blondynka spojrzała na Weronikę całkiem życzliwie.

– Gumę? – zaproponowała, wyciągając z kieszeni obcisłych spodni nieco pomiętą paczkę. Trudno było nie patrzeć na monstrialnie wielkie silikonowe implanty, które wyraźnie odznaczały się pod skórą na dekolcie.

– Nie, dzięki.

– Ty jesteś ta nowa?

Weronika poczuła, że się rumieni.

– Ja? Nie, po prostu chciałam porozmawiać z Twiggy.

– Jak widzisz, jest zajęta, ale możesz porozmawiać ze mną – zaśmiała się striptizerka i dotknęła delikatnie włosów Weroniki, jakby coś sprawdzała. – Co masz do powiedzenia, rudzielcu?

Nowakowska już miała bąknąć cokolwiek na odczepnego, kiedy przyszło jej do głowy, że szczerą rozmowa z tą kobietą to nie jest zły pomysł. Pracuje tu, musiała znać Marilyn. No i na pewno zna Twiggy. Wydaje się gadatliwa, więc może być cennym źródłem informacji, jeżeli Weronika odpowiednio to rozegra.

– Chodzi mi o Swietlanę – wyjaśniła. Szczerość wydawała się najlepszą taktyką, mimo że być może trochę ryzykowną. –

Znałaś ją?

Blondyna spojrzała na nią spod oka.

– Ja pieprzę, ty naprawdę jesteś Weronika! Tak sobie od razu pomyślałam, kiedy zobaczyłam te rude pukle.

Nowakowska poczuła, że tężeją jej mięśnie. Może jednak popełniła błąd.

– Ja...

– Nie martw się – nie pozwoliła jej dokończyć blondynka. – Jak zapytałaś o Mary, to cię skojarzyłam z tym całym Danielem. Te rude włosy. Gadał o tobie jak najęty. Kochana, prawdziwa obsesja. Uważaj na tego faceta. Tacy maniacy są najgorsi. Wiem, bo swoje w życiu przeszłam.

Słowa striptizerki zabrzmiały szczerze. Nowakowska poczuła, że przechodzi ją dreszcz. Powróciły wcześniejsze wątpliwości co do niewinności Podgórskiego. Może z powodu poważnego tonu blondyny.

– Jestem Pamela – przedstawiła się kobieta. – Ten twój gach, jak popije, to wszystkie nas obmacuje, ale najbardziej mu się podobała Marilyn. Uważaj, kochana. Ciocia Pamela ci to mówi. Niebezpieczny typ. No ale nie ty pierwsza i nie ty jedyna myślisz, że miłością coś zdziałasz.

– Możesz mi coś powiedzieć o Swietłanie? – poprosiła Weronika, żeby zmienić temat. Kwestii swoich relacji z Danielem kategorycznie nie chciała drażnić.

Pamela pochyliła się do przodu. Jedna z jej wielkich piersi spoczęła na kontuarze. Weronika znowu starała się nie patrzeć w tamtą stronę.

– Makabryczna historia z tą Mary – powiedziała striptizerka. – Słyszałam, że jej synek trafił do bidula. Masakrejszyn. Sama się wychowałam w bidulu, wiem, jak to jest. No, ale co zrobić? Ja go na pewno nie adoptuję. Zresztą kto by mi pozwolił? Stałe dochody niby mam. Tylko nie wiadomo, jak długo jeszcze będę mogła to ciągnąć. Te cacuszka nie wystarczą, kiedy człowiek przekroczy czterdziestkę.

Pamela zaśmiała się gorzko i pogładziła się po wielkich piersiach. Weronika przełknęła ślinę i odwróciła wzrok. Twiggy trenowała chyba kolejny układ. Wydawał się bardziej

skomplikowany niż ten pierwszy.

– A ojciec Lwa? Dlaczego nie mógł się nim zająć?

– Siedzi oczywiście – zaśmiała się Pamela. Znowu była w tym wyraźna gorycz. – Takie środowisko. Dymitr był kierowcą naszego szefa. Do spółki z Longinem Grzelakiem wykończyli Lecha Rakowskiego. Ten Rakowski to był współwłaściciel klubu. Obaj poszli za to garować. A Marilyn została bez gacha. Za to z dzieciakiem. Biedaczka nigdy nie miała szczęścia do mężczyzn.

– Co masz na myśli? – podchwyciła Weronika. Zamierzała wykorzystać gadatliwość rozmówczyni do maksimum.

– No najpierw Dymitr, potem Krzywy...

– Krzywy?

– To ten tam. – Pamela skinęła w stronę wielkiego mięśniaka. Odwrócił się, jakby wyczuł, że o nim mówią. – Od sterydów jaja ma małe jak orzeszki, ale tych łapsk lepiej nie lekceważyć.

Weronika przyjrzała się olbrzymowi. Musiał mieć dużo powyżej dwóch metrów wzrostu. Nie należał do osób, które ktokolwiek mógłby zlekceważyć.

– Jest agresywny?

– Bywa. Podobno koks tak czasem na ludzi działa.

Przez chwilę żadna z nich się nie odzywała.

– Nie był zazdrosny, że Marilyn... tańczy? – zapytała w końcu Weronika.

– I to jak! Ale bał się pani Diany, to nasza szefowa – uściśliła Pamela. – Więc nie zakazał Mary występów. Inaczej pewnie z domu by wyjść nie mogła. Gdyby to tylko od niego zależało.

Weronika znowu spojrzała na Krzywego. Mężczyzna odwzajemnił jej spojrzenie.

– Myślisz, że on mógł zabić Marilyn?

– Kochana, jestem z tobą szczerą, ale nie przesadzajmy z tym, dobrze? – zaśmiała się Pamela i wyjęła gumę z ust. Bawiła się nią palcami przez chwilę.

Weronika uznała, że tamta ma rację. To było dość niefortunne pytanie. Zwłaszcza tu w klubie.

– A może ktoś inny mógłby chcieć śmierci Marilyn?

Pamela przyglądała się Nowakowskiej.

– Kochana, już mówiłam, żebyś uważała na tego swojego gacha, tak czy nie? Cicha woda z tego Podgórskiego. Całe życie milutki, układny, a w pewnym momencie odkrywa, co może. Mówię ci. Tacy są najgorsi. Jak ktoś jest zbirem od małego, to wie, jak sobie z tym radzić. Te maminsynki to zupełnie co innego. Myśli taki, że świat na nowo odkrywa.

Weronika nie zdążyła nic odpowiedzieć, bo muzyka nagle ucichła. Ktoś zapalił górne światło i w sali zrobiło się jasno. Nowakowska natychmiast poczuła się bezbronna. Jakby wcześniejsza czerwonawa ciemność ją chroniła. Co gorsza, wielki osiłek ruszył do baru powolnym krokiem. Weronika niemal wstrzymała oddech, kiedy Krzywy niespodziewanie zmienił zdanie i zatrzymał się przy scenie, żeby udzielić Twiggy jakichś wskazówek. Co jakiś czas zerkał jednak na Weronikę.

– Szkoda mi ciebie, kochana, więc ci trochę pomogę – mruknęła Pamela. – Chodź, zaprowadzę cię do garderoby. Twiggy niedługo tam przyjdzie poprawić makijaż i będziecie mogły spokojnie pogadać. Niedobrze, że Krzywy się tobą zainteresował. Nie masz wiele czasu. Wykorzystaj go dobrze.

ROZDZIAŁ 48

Okolice Lipowa.

Wtorek, 9 czerwca 2015.

Aspirant Daniel Podgórski

Gdzieś na obrzeżach świadomości Danielowi wydawało się, że widzi Wierę. Jej czarne, wiecznie splątane włosy tańczyły wokół twarzy. Wyglądały teraz jak macki ośmiornicy. Wzdrygnął się. Jej oczy były pozbawione białek, jakby składały się tylko z wielkich źrenic.

– Wypij, wypij – mówiła. – Tylko duszkiem, bo gorzkie.

Daniel pił brunatny wywar tak, jak kazała. Miał przy tym wrażenie, że jego ciało jest bezwolne i ciężkie, jakby składał się nie z kości i mięśni, ale z kamienia i stali. W końcu z trudem mógł utrzymać prawie pustą butelkę z resztką napoju.

– Pomogę ci – zaproponowała Wiera. Teraz przypominała wielkiego kota. Może czarną panterę. Tylko skąd w Lipowie pantery? Daniel zaczynał gubić się we własnych myślach. – Pij, pij. To już ostatnia porcja. Potem będzie już tylko lepiej.

Świat wokoło tańczył. Przez moment policjant miał wrażenie, że widzi Marilyn i Jaworskiego. A może naprawdę byli tu w szalasio? Czyż nie siedzieli tam w kacie? Jak się tu zmieścili? Daniel czuł, że cały zlewa się potem.

– A teraz zaśniesz – powiedziała Wiera i pstryknęła palcami.

– Jutro będzie już tylko lepiej.

ROZDZIAŁ 49

Atelier Michała Rakowskiego. Wtorek, 9 czerwca 2015. Podinspektor Wiktor Cybulski

Cybulski upił łyk aromatycznej kawy. Musiał przyznać, że to była najlepsza mała czarna, jaką miał okazję kiedykolwiek spróbować. Dzięki niej powoli dochodził do siebie po dość niecodziennym przywitaniu, jakie zgotował mu właściciel pracowni. Komendant nie był pewien, czy młody mężczyzna planował go przestraszyć, czy tak po prostu wyszło. Nadal jednak czuł, że całe ciało ma napięte.

Jak się okazało, stylowe atelier należało do Michała Rakowskiego. Cybulski nigdy z nim wcześniej nie rozmawiał, ale widział go kilkakrotnie w mediach, kiedy jego ojciec poniósł śmierć z rąk Longina Grzelaka i jego kierowcy, Dymitra Sokołowa.

Fakty zaczynały się zazębiać. Już rano Cybulski chciał porozmawiać z wdową po Lechu Rakowskim w związku z tym, że to sędzia Jaworski przewodniczył rozprawom dotyczącym Grzelaka i Sokołowa. Spotkanie trzeba było przełożyć ze względu na odnalezienie samochodu Daniela. Potem Cybulski krążył po okolicy i ostatecznie trafił do atelier młodego Rakowskiego.

– Dobra? – zapytała kobieta, mając zapewne na myśli kawę.

Nazywała się Iga Bogusz i, jak się okazało, była gospodynią w atelier. We wtorki i w weekendy, jak sprecyzowała, bo w inne dni pracowała tu niejaka Edyta.

– Bardzo dobra – zapewnił Cybulski.

– Cieszę się.

– Co to za gatunek? Kopi luwak? – Cybulski nie mógł się powstrzymać, żeby nie zapytać. Był koneserem dobrego wina

i jedzenia. Na kawie nie znał się aż tak dobrze, ale z radością poznawał nowe smaki.

Kopi luwak to jeden z najdroższych gatunków kawy na świecie. Komendant jeszcze nie miał okazji go spróbować, chociaż chętnie by to zrobił. Nie odstraszał go nawet fakt, że ziarna użyte do parzenia tego napoju wydobywane są z odchodów azjatyckiego zwierzęcia zwanego łaskunem. Zwierzę to żywi się owocami kawowca, ale nie trawi ziaren. Są one później zbierane, czyszczone i odpowiednio przygotowywane. Wokół sposobu produkcji tego gatunku kawy narosły z czasem kontrowersje, ale podobno jej smak jest niezapomniany.

Pani Bogusz pokręciła głową z uśmiechem na ustach.

– Tego zdradzić nie mogę. Rodzinna tajemnica – wyjaśniła. – Matka nauczyła mnie parzyć kawę, jak byłem jeszcze małą dziewczynką. Kultuwuję tradycję. Chętnie bym poszła do jakiejś kawiarni pracować, ale cóż... Na razie mam pracę tu.

Zabrzmiało to gorzko.

– Nie podoba się tu pani?

Kobieta rozejrzała się znacząco. Siedzieli na zapleczu atelier otoczeni półkami z odrażającymi lalkami.

– Zwariował pan czy co? – pani Bogusz zniżyła głos do nieco teatralnego szeptu. – Siedzieć tu przez całe dni. I to z nim?

Skinęła głową w kierunku Michała Rakowskiego. Młodzieniec pracował przy czymś w rodzaju stołu kreślarskiego. Rysował coś na wielkim arkuszu białego brystolu. Z tego, co komendant widział, był to projekt sukienki. Na twarzy krawca malowało się skupienie. Błękitne oczy ani razu nie oderwały się od kartki, jakby nie był świadomy, że Cybulski i pani Bogusz siedzą kilka metrów od niego.

– Co mu się stało? – zapytał komendant, dotykając delikatnie ust.

Michał przywitał go dosyć nietypowo. Kiedy przyłapał komendanta na oglądaniu sukienek i lalek na zapleczu pracowni, po prostu otworzył usta. Postrzępiona resztką języka wyglądała makabrycznie. Cybulski zupełnie się tego nie spodziewał. Nie przypominał sobie, żeby w informacjach

o śmierci jego ojca w mediach pojawiła się wiadomość o tym specyficznym defekcie.

Cybulski był tak zaskoczony, że w pierwszej chwili trudno było mu dobrać słowa i się przedstawić. Kiedy wreszcie wyjaśnił, że jest tu w sprawie służbowej, Michał nie wykazał zbyt wielkiego zainteresowania. Wolał wrócić do swoich zajęć. Wyciągnął z kieszeni notes w zdobionej oprawie i napisał, że zawoła swoją gospodynię. Niech ona odpowiada na pytania.

– Czy ja tam wiem? – odparła gospodyni. – Tylko tu pracuję. Ta druga gospodyni, ta Edyta, może wie, bo to chyba znajoma pani Rakowskiej. No ale trochę głupio byłoby mi wypytywać. Nie znam dobrze ani jednej, ani drugiej. Dziwny z niego człowiek, ale jego matka dobrze mi płaci, to tu siedzę.

Pani Bogusz nadal szeptała. Z tonu jej głosu można było jednak wyczytać, że jest równie ciekawa, co się stało z językiem młodego krawca, jak komendant. Oczywiście zainteresowanie Cybulskiego wynikało zapewne z nieco innych powodów. Policjantowi nie chodziło o smakowitą ploteczkę, ale o fakt, że Michał Rakowski zdawał się tkwić pośrodku śledztwa.

Po pierwsze, był synem zabitego współwłaściciela Gwiazdozbioru, Lecha Rakowskiego. Po drugie, na miejscu zbrodni znaleziono jedną z uszytych przez niego sukienek. Po trzecie, postać stworzona przez mordercę w sypialni Jaworskiego w Szramowie przypominała upiorne lalki, które tkwiły równo poukładane na półkach zaplecza pracowni krawieckiej.

Daniel nadal był podejrzanym, ale na pewno nikt nie będzie miał do Cybulskiego pretensji, jeśli sprawdzi też krawca. Jeżeli Michał nie ma alibi, może stać się naprawdę mocnym kandydatem na sprawcę. Komendant nie zamierzał oczywiście wypytywać o nic teraz. Trzeba to było zrobić oficjalnie, żeby potem nikt nie zgłosił żadnych wątpliwości.

Popijali kawę w ciszy, spoglądając w stronę pracującego w skupieniu młodego mężczyzny.

– A ludzie gadają, że on złe moce ma – odezwała się nieco trwożnie Iga Bogusz i odłożyła filizankę na spodeczek.

– Złe moce? – zapytał Cybulski. – Co ma pani na myśli?

Kobieta pochyliła się w stronę komendanta.

– Podobno jak podaruje komuś taką sukienkę albo taką lalkę, ta osoba wkrótce umiera – wyjaśniła. – To mówią ludzie u nas we wsi.

Cybulski spojrział na panią Bogusz z powątpiewaniem. Poprzedni komendant stracił pracę, bo dał się ponieść zabobonom. On na to nie pozwoli. Plotki rozpuszczała pewnie jakaś zawistna baba, która ma pretensje do Rakowskich. Może nawet sama Iga Bogusz.

– Rozumiem.

Gospodyni wyczuła chyba niedowierzanie w jego głosie.

– A ten człowiek, co o nim w telewizji mówili, to niby co? – zapytała zaczepnie. – Co pan na to? Może nie mam racji!

Cybulski spojrział na nią z nowym zainteresowaniem. Zapomniał niemal o obecności Michała. Krawiec nie przerywał pracy na projektem, ale wydawał się teraz nieco spięty. Widać słuchał ich rozmowy, mimo pozorów skupiania się na projekcie.

– Kogo ma pani na myśli?

– No tego, co go zabili i poćwiartowali, czy coś takiego. Nie dlatego pan tu przyszedł? – zdziwiła się gospodyni. – Pan z policji i w ogóle. Myślałam, że właśnie dlatego pan tu trafił.

– Proszę mówić dalej – zachęcił Cybulski. – Ma pani na myśli sędziego Jakuba Jaworskiego?

– Nie wiem, jak się nazywał. Nie mam pamięci do nazwisk, ale chodzi o tego, co to głowę ma odciętą. Widziałam go tu we wsi w środę dwa tygodnie temu. Akurat szłam do sklepu. On szedł na przystanek pekaesu.

– Znała go pani?

– Nie. Dlaczego?

– Zwróciła pani na niego uwagę.

– No przecież właśnie do tego zmierzam – pani Bogusz znowu zniżyła głos do szeptu. – On niósł sukienkę pana Michała. Miał też lalkę pod pachą. Musiał dostać od pana Michała, bo niby jak inaczej? No a teraz wszędzie gadają, że nie żyje. Jeżeli to nie jest dowód na złe moce, to ja już nie wiem co.

Cybulski spojrział na nią jeszcze uważniej.

– Sędzia Jaworski był tu w pracowni dwa tygodnie temu?
– Nie wiem, czy był w pracowni – uściśliła pani Bogusz. – Widziałam tylko, że miał sukienkę i lalkę. Pana Michała musi pan o to spytać, nie mnie.

Oboje spojrzeli na Michała Jaworskiego. Krawiec powoli odłożył ołówek, ale nie odwrócił się w ich stronę.

– Dlaczego nie zgłosiła się pani na policję? – zapytał Cybulski.

– A uwierzył mi pan, jak mówiłam o złych mocach?

Komendant pokręcił delikatnie głową.

– No właśnie – dodała pani Bogusz z satysfakcją. – Po co miałam sobie język strzępić.

ROZDZIAŁ 50

Garaż Braci Maciejewskich.

Wtorek, 9 czerwca 2015.

Piotr Maciejewski

Maciejewski otworzył butelkę piwa o kant kontuaru. Wypił duszkiem prawie pół butelki. Nie było gorąco, jak w ostatnich dniach, ale i tak bardzo chciało mu się pić. Może dlatego, że pracowali z chłopakami przy szczególnie wymagającym samochodzie. No ale takie lubił najbardziej.

Jeden ze stałych klientów przywiózł do renowacji forda thunderbirda z końca lat sześćdziesiątych. Piękne niebieskie coupé pyszniło się teraz pośrodku garażu. Aż przyjemnie było pomyśleć o wielkim silniku, który krył się pod solidną maską tego potwora. Siedmiolitrowa „fał ósemka”. Ponad trzysta koni mocy. Jak się postarają, jeszcze będzie dumnie śmigał po szosach.

Praca przy takim aucie to była sama przyjemność, ale teraz Maciejewski czuł, że ciało ma lepkie od potu. Zdjął czarną koszulkę z logo Black Sabbath. Rzucił ją na podłogę, gdzie zbierali wszystkie brudy. Był zmęczony, ale to było dobre zmęczenie. Przynoszące satysfakcję.

Usiadł na długiej, czarnej kanapie. Ustawili ją tu z chłopakami już jakiś czas temu. Była z demobilu. Tak mówił o wszystkich rzeczach z drugiej ręki. Nawet jeżeli w rzeczywistości nie należały nigdy do wojska. Sofa była mocno sfatygowana, ale zająbiście wygodna i superciesząca oko. Zwłaszcza po wymianie zniszczonego starego obicia na skórzaną tapicerkę.

Maciejewski włączył telewizor wiszący nad prowizorycznym barem. Stopniowo z pokoju socjalnego zrobili sobie niezły pub. Chłopaki się napracowali, żeby atmosfera była jak najbardziej sprzyjająca relaksowi.

– Jakieś nowe wieści? – Zychu wszedł do pokoju, popalając papierosa. Wytarł ręce w spodnie i usiadł obok Maciejewskiego na kanapie. – O naszych sprawach?

– W telewizorni tylko o morderstwach trąbią. Media mają używanie. Jeszcze większe niż wtedy, kiedy władowaliśmy nasze nowe logo nad bramę.

– Twoja panna się pojawiła, szefie?

Maciejewski nie zrozumiał, kogo Zychu miał na myśli. Pewnie przez to zamieszanie w telewizji.

– Cały czas czekam na telefon od niej – powiedział, kiedy wreszcie dotarło do niego, o co chodzi mechanikowi. – Nie bądźmy zbyt niecierpliwi. To pierwszy stopień do piekła.

– Ciekawość, szefie – parsknął Zychu. – Ciekawość to pierwszy stopień do piekła.

– Kurwa, stary, przecież wiem!

Maciejewski również zaśmiał się serdecznie. Lubił Zycha. Równy był z niego gość, chociaż przekroczył siedemdziesiątkę. Maciejewski miał nadzieję, że w jego wieku nadal będzie jeździł na harleyu i nie zdziecinnieje. Chociaż kto tam wie. Nie wybiegajmy do przodu.

Sam nie miał jeszcze czterdziestki. Jego córka była w takim wieku, że ciągle jeszcze go podziwiała. Słowa *ex-wife* nic tu nie zmieniały. Maciejewski dokończył piwo i z hukiem odstawił butelkę na stół. Rozwód z Agnieszką to była jego największa życiowa porażka. Wychował się w sierocińcu. Już wtedy marzył o tym, że kiedyś będzie miał pełną rodzinę i dużo dzieci. Trochę śmieszne, bo przecież cudów nie ma. Tak powiedziała mu kiedyś Agnieszka. Może miała rację.

Maciejewski usiadł wygodniej na sofie. Tak naprawdę on i była żona robili chyba postępy. Agnieszka była zazdrosna o Swietlanę, a to już coś oznaczało. Teraz trzeba było zrobić kolejny krok.

Aga twardo stąpała po ziemi i nie chciała mieć w domu wielkiego brodatego dzieciaka, jak czasem o Maciejewskim mówiła. Chciała mężczyzny. A wiadomo, że podstawową rolę faceta jest zapewnić kobiecie byt. Dlatego właśnie to zamierzał teraz zrobić. I to w wielkim stylu.

Zainteresowanie mediów garażem to był pierwszy krok. Następny, bardziej dyskretny, Maciejewski też już zaplanował. Potem przyjdzie do Agnieszki jako zwycięzca i być może była żona zmieni o nim zdanie. Może jednak cuda są? Kto tam, kurwa, wie!

ROZDZIAŁ 51

Gwiazdozbiór.

Wtorek, 9 czerwca 2015.

Weronika Nowakowska

Pam powiedziała, że chcesz rozmawiać o Mary i tym twoim Danielu – zagadała Twiggy. – To pytaj wreszcie! Nie mamy zbyt dużo czasu.

Skończyła właśnie nakładać na rzęsy grubą warstwę maskary. Sięgnęła teraz po buteleczkę z podkładem w płynie i pędzel. Z każdym ruchem ręki wyglądała coraz bardziej jak porcelanowa laleczka. Weronika podejrzewała, że w tym właśnie miał tkwić jej urok.

Garderoba striptizerek znajdowała się na tyłach klubu. Pełno tu było kusych scenicznych strojów. Przy ścianach przygotowano stanowiska z lustrami. Niektóre blaty zasypane były kosmetykami, inne pięknie uporządkowane. Na jednym z nich stała plastikowa główka. Najwyraźniej był to stojak na perukę. Stanowisko musiało więc należeć kiedyś do Marilyn.

Weronika zadrzała. Natychmiast stanęła jej przed oczami głowa sędziego Jaworskiego z groteskowym makijażem na gnijącej skórze i rude pukle peruki skrywające puste oczodoły. Kto mógł zrobić coś tak okropnego? Przecież to zupełnie niemożliwe, że Daniel! Mimo wszystkich jego przewin.

– To może ja ci coś powiem – odezwała się Twiggy miło. Najwyraźniej uznała, że w przeciwnym razie nigdy nie przejdą do rzeczy. A może zrobiło jej się żal Weroniki. – Mary wyszła z tym twoim Danielem w piątek wieczorem.

– To już wiem – burknęła Nowakowska. Sama była zaskoczona swoim tonem. Musiała wziąć się w garść. Te kobiety były bardzo pomocne. Nie powinna ich zniechęcać. – Przepraszam. Jestem trochę zestresowana.

Twiggy zbyła jej przeprosiny nieznacznym ruchem ręki.

– Widziałam, jak ona tu potem wróciła – wyznała.

– Marilyn?

– Tak.

– Jak to? Swietłana wróciła tu do klubu już po wyjściu z Danielem? Cała i zdrowa?

Twiggy pokiwała głową i uśmiechnęła się na ten grad gorączkowych pytań, którym zasypała ją Weronika.

– Tak. Mary szła o własnych siłach. Ja właśnie wychodziłam do domu. Też skończyłam dosyć wcześnie. Pamela miała zostać do zamknięcia klubu.

– Jak myślisz, po co Marilyn tu wróciła?

Weronika nie mogła powstrzymać ekscytacji. Właśnie dowiedziała się czegoś bardzo istotnego. Marilyn jeszcze żyła po spotkaniu z Danielem! Nowakowska poczuła, że wraca jej energia. To mógł być idealny punkt zaczepienia.

Twiggy spojrzała na Weronikę i zawahała się. W jej oczach wyraźnie czaiło się współczucie. Jak wcześniej u Pameli. Weronika miała tego dosyć. Nie chciała być traktowana jak ofiara. Z drugiej strony na razie dobrze na tym wychodziła. Obie striptizerki były z nią nieoczekiwanie szczerze.

– Myślę, że przyniosła pieniądze z zarobku – powiedziała Twiggy w końcu. – Podgórski zawsze płacił. Nigdy nie było, że na krechę, bo jest z policji. Widać, że nie jest zbyt doświadczony, jeżeli o to chodzi. Trochę był przy tym rozczulający, przyznam szczerze. To nie jest miejsce dla niego. Nieważne. W każdym razie jak ją widziałam, to Mary jeszcze miała się dobrze.

– Powiedziałaś o tym policji?

– No co ty! Zresztą tobie też nie mówię oficjalnie! Nie naciągniesz mnie na żadne zeznania – zastrzegła się Twiggy. – Był tu już kiedyś w okolicy taki interes jak nasz. Zlikwidowali go. Tak że wiesz, jeden nieostrożny krok i lądujesz na bruku. Dosłownie. Nie mam zamiaru szukać innej roboty. Dobrze mi tu. I tak ryzykuję, że Krzywy i Diana się wkurzą, że z tobą gadam. To, co mam, wystarczy mi do szczęścia.

– Jest tu ktoś jeszcze, kto mógłby potwierdzić, że Marilyn

wróciła do klubu po seksie z Danielem? Może Pamela. Mówiłaś, że miała występy do późna.

Twiggy zaśmiała się chrapliwie.

– Dziewczyno, czy to ma jakieś znaczenie? Równie dobrze twój gach mógł załatwić Mary później. W środku nocy. Mógł ją dopaść, jak wracała do domu po oddaniu pieniędzy do kasy. To nic nie da. Przestań się łudzić. Zresztą nie radzę ci dalej tu u nas wypytywać. Możesz mieć kłopoty. Krzywy nie jest milutkim misiaczkiem.

– Potrzebuję potwierdzenia, że Marilyn tu wróciła – nie ustępowała Weronika. – Proszę!

Sama była zdziwiona, jak błagalnie zabrzmiał jej głos. Twiggy westchnęła.

– Będiesz miała przez tego faceta same kłopoty, ale to już twoja sprawa... Może się nagrał na monitoringu.

– Na monitoringu? – podchwyciła Nowakowska.

Twiggy wskazała kąt pomieszczenia. Dopiero teraz Weronika zauważyła tam ciekawskie oko kamery.

– Widzisz? Mamy tu pełno kamer. Część to atrapy, tak jak ta tu, ale większość działa. Moglibyście ukraść nagranie. Jak na filmie.

– Gdzie są te nagrania?

– Musielibyście się dostać do gabinetu Krzywego i zgrać je sobie z głównego komputera. Jest w podziemiach niedaleko magazynu i spiżarni. Tam musielibyście dotrzeć.

– Zartujesz?

Twiggy uśmiechnęła się lekko.

– Sama zdecyduj, czego chcesz. To ty mnie wypytywałaś. Poza tym...

Zanim striptizerka zdążyła dokończyć, drzwi garderoby otworzyły się z hukiem. Stanął w nich osilek, którego Weronika widziała wcześniej w Czarnej Sali.

– Co ty tu, kurwa, jeszcze robisz?! – ryknął Krzywy do Nowakowskiej.

ROZDZIAŁ 52

Rezydencja Rakowskich. Wtorek, 9 czerwca 2015. Michał Rakowski

Michał Rakowski naprawdę bał się o Mamę. Miał wrażenie, że Jagoda jest kompletnie owładnięta chęcią pomśczenia śmierci ojca. Ta chęć przerodziła się w jakąś obsesję, której nie da się już kontrolować. Bał się, do czego to może doprowadzić.

Krawiec nie rozumiał, czemu właściwie ten nieszczęsny Jaworski powiedział Jagodzie prawdę. Musiał przecież wiedzieć, jak to na nią wpłynie. Jaki sędzia miał w tym cel? Nie mógł trzymać tego cholernego języka za zębami i zostawić ich w świętym spokoju?

– I co jeszcze mówił Cybulski? – zapytała Jagoda gorączkowo.

– Powiedz jeszcze raz, Michał. No powiedz.

Matka była wyraźnie podekscytowana dzisiejszą wizytą komendanta Cybulskiego w atelier. Na jej twarzy malowały się niezdrowe rumieńce. Spojrzenie szaroniebieskich oczu było nieobecne, jakby powoli traciła kontakt z rzeczywistością. Michał widywał już takie rzeczy.

Obawiał się o Jagodę, ale i tak jej pomagał, kiedy w zeszłym tygodniu chciała sprawdzić, czy sędzia Jaworski powiedział prawdę. W końcu była jego Mamą. Teraz Michał nie był pewien, czy dobrze zrobił. Tym bardziej że gdzieś tam wyczuwał, że Jagoda nie jest z nim szczerą. Na pewno nie podzieliła się z nim całością swojego planu.

Nic więcej nie mówił – napisał w odpowiedzi na jej pytanie.

Notes był teraz jego jedynym sposobem porozumiewania się z ludźmi. Nie dlatego, że Michał nie miał innych opcji. Wręcz przeciwnie. Nie brakowało im pieniędzy, więc mógłby używać chociażby najprostszego tabletu, syntetyzatora mowy albo

wybrać się na terapię do tego słynnego logopedy. Facet obiecywał cuda.

Mógłby. Tylko że Michał nie chciał nic z tych rzeczy. Nawet cudów nowoczesnej terapii. Głównie dlatego, że to by było niczym przyznanie się, że z tym językiem to tak już na zawsze, że nie ma odwrotu. Notes natomiast wydawał się rozwiązaniem tymczasowym. Jakby szczyłek języka mógł w każdej chwili stać się językiem.

Michał odwrócił kartkę i pokazał matce fragment, który zapisał już wcześniej:

Komendant Cybulski powiedział, że przyjdzie mnie oficjalnie przesłuchać razem z komisarzem Maleckim. Do tego czasu mam nigdzie nie wyjeżdżać. Uważają, że sukienka, którą znaleźli obok ciała, to jedna z moich. Nie widziałem sensu zaprzeczać. To i tak widać gołym okiem. Przy okazji chcę porozmawiać z Tobą o Tacie.

Począł, aż matka przeczyta, i zamknął notatnik. To był chyba jedyny plus porozumiewania się poprzez zapisywanie swoich wypowiedzi. Zawsze mógł przewrócić kartkę i wskazać wcześniejszy wpis. Powtarzanie nie było potrzebne.

– Spotkasz się z nimi tu u mnie w rezydencji – powiedziała Jagoda. – Dobrze? Nie chcę, żeby oni mieli przewagę. Wiesz, jak bywa z policją. Chcę cię wspierać. Przecież to nie twoja wina, że sukienka leżała obok trupa. Rezydencja to idealne miejsce na przesłuchanie. Lepsze niż atelier.

Michał skinął głową z westchnieniem. Przerabiali to już od jakiejś godziny. Otworzył notes na czystej kartce.

Jak chcesz, to zadzwoń do tego Cybulskiego i sama to zaproponuj, Mamo – napisał. Przecież ja i tak tego nie zrobię.

Jagoda pokiwała głową zadowolona.

– To dobry pomysł. I będzie wyglądało całkiem naturalnie w naszych okolicznościach.

„W naszych okolicznościach”. Zawsze tak mówiła o języku. Michała bardzo to irytowało, ale doceniał, że Mama nie robiła mu żadnych wymówek. Dlatego mimo własnych, dość

przytłaczających problemów gotów był Jagodzie pomóc. Nawet jeżeli jej plan był szalony. Zresztą była dorosłą kobietą. Nie dzieckiem. Wiedziała chyba, co robi. On nie może niańczyć własnej matki. A już zwłaszcza nie teraz.

ROZDZIAŁ 53

Komenda Powiatowa Policji w Brodnicy. Wtorek, 9 czerwca 2015. Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska

Grupa śledcza zebrała się na wieczornej odprawie w komendzie powiatowej. W oczekiwaniu na pojawienie się lekarza sądowego podsumowywali wydarzenia dzisiejszego dnia. Mimo zmęczenia i nieodpartej ochoty na filet z łososia polany czekoladą Emilia odczuwała pewną satysfakcję. Właśnie opowiedzieli z Markiem o Rajmundzie Jaworskim. Jak się okazało, brat sędziego znał także drugą ofiarę, Swietlanę Sokołową, ponieważ na przemian z Edytą Sadowską opiekował się jej synkiem.

– Jestem w stanie zrozumieć motyw zabicia brata. Walka o schedę po ojcu – powiedział prokurator Gawroński, uśmiechając się do Strzałkowskiej. – Ale dlaczego Rajmund miałby zabić Sokołową?

– Nie wiem – przyznała Emilia. – Ale to nie znaczy, że tego nie zrobił, prawda?

– Sprawdziliście podręcznik do psychologii? – zapytał prokurator zamiast odpowiedzi.

Strzałkowska położyła gruby tom na stole. Z hukiem.

– Książkę wypożyczył nie Daniel, ale sam sędzia Jaworski – wyjaśniła, uderzając otwartą dłonią o podręcznik. Znowu znajdował się w torebce na dowody.

– To jeszcze nic nie znaczy – stwierdził Gawroński nieco kpiarskim tonem, powtarzając jej wcześniejsza słowa.

Nawet ją tym rozbawił. Odkąd Emilia zerwała z nim jesienią, Gawroński nie ustawał w próbach zdobycia jej na nowo. Trzeba przyznać, że prokurator nie był nachalny. Po prostu co jakiś czas przypominał o sobie telefonem albo krótką wiadomością.

Najczęściej nie odbierała ani nie odpisywała. Mimo to się nie zrażała. Nie przeszkadzał mu nawet fakt, że nosi pod sercem dziecko Daniela.

– Znaczy albo i nie – rzuciła policjantka. – Nie to jest jednak najciekawsze.

– Co jeszcze macie? – włączył się komendant Cybulski.

– Bibliotekarka zauważyła, że pewien fragment został podkreślony. Skopiowałam go dla was. – Strzałkowska skinęła głową do Marka, żeby rozdał kopie. – Przeczytajcie to sobie.

– Ta kobieta jest pewna, że nie podkreślono tego wcześniej? – odezwał się komisarz Małecki. – Przecież ta książka jest cała porysowana.

– Nie sędzę, żeby się myliła – powiedział Marek. – Nasza nowa bibliotekarka jest niezwykle skrupulatna.

Emilia pokiwała głową.

– Powinniście zobaczyć jej zapiski. Nie ma mowy, żeby się myliła. To zostało podkreślone w czasie, kiedy książka była wypożyczona przez sędziego Jaworskiego – powiedziała i poczekała, żeby przeczytali skopiowany akapit. – Jak widzicie, ten ustęp dotyczy etyki zawodu psychologa i psychiatry.

Sędzia podkreślił fragment mówiący o relacjach terapeuty i pacjenta. A konkretnie o tym, że należy unikać budowania więzi o niejednoznacznym charakterze. Zdanie dotyczące absolutnego zakazu utrzymywania kontaktów seksualnych z klientami zostało podkreślone aż dwa razy.

– Do czego zmierzasz, Emilio? – zapytał Cybulski.

Emilia nie знаła dobrze nowego komendanta. Nie pracowała w Lipowie, kiedy Daniel współpracował z nim przy sprawie Mordercy Dziewic. Przyjechała do wsi kilka miesięcy później. Zdążyła już jednak polubić Cybulskiego. Wydawał się porządnym człowiekiem. Chociaż niemal przedwojenną elegancją niebezpiecznie przypominał jej Gawrońskiego. A ten miał swoje na sumieniu, co stało się głównym powodem ich rozstania jesienią. Nigdy nie wiadomo, co oni skrywają za piękną powierzchownością.

– Dowiedziałam się, że sędzia Jaworski korzystał z porad psychiatry. Niejakiego Dorian Witkowskiego – powiedziała

Strzałkowska. Zdążyła już sprawdzić to nazwisko w internecie, bo nie ufała zapiskom, które zrobiła podczas rozmowy z Weroniką. – Bibliotekarka zeznała, że Jaworski zapisał się do biblioteki specjalnie, żeby wypożyczyć podręcznik do psychologii. Potem podkreślił ten fragment.

Policjantka uniosła kartkę ze skopiowanym akapitem.

– Tego nie możemy być pewni – wtrącił się Gawroński. – Mógł to zrobić ktoś inny.

– Oczywiście. Nie można tego wykluczyć – zgodziła się Emilia. – Pozostaje pytanie: kto? Przecież Jaworski z nikim się nie widywał. Był samotnikiem. To już ustaliliśmy. Jeżeli fragment podkreślił ktoś inny, to też może być istotny trop. Uważam, że powinniśmy dokładniej przyjrzeć się terapii.

– Sugerujesz, że ten Witkowski, czy jak on się nazywa, uprawiał seks z sędzią?

Emilia szukała w głosie prokuratora kpiny, ale wyglądało na to, że pytał poważnie.

– Zdanie dotyczące relacji seksualnych jest podkreślone dwa razy – przypomniała. – Ale trudno powiedzieć, czy chodzi o to, że razem sypiali. Niczego nie możemy wykluczyć. W każdym razie musicie się chyba ze mną zgodzić, że to może mieć znaczenie?

– Tylko ten fragment został podkreślony? – zapytał komisarz Małecki. Wyglądał na zamyślonego. – Nic innego?

Strzałkowska zawahała się. Przed odprawą zastanawiali się z Markiem, czy powinni wspominać o tym, że Konstancja zauważyła coś jeszcze. To mogło umniejszyć wagę akapitu dotyczącego psychiatry. Wymieniła spojrzenie z Markiem. Zaręba skinął głową.

– Sędzia podkreślił też kilka fragmentów w rozdziale dotyczącym leczenia depresji – przyznała Strzałkowska. – Weronika sugerowała, że cierpiał na tę chorobę, więc to nic dziwnego.

– Wygląda na to, że interesowały go dość kontrowersyjne metody – podjął Zaręba.

– Co masz na myśli, Marku? – zapytał Cybulski.

– Na przykład elektrowstrząsy.

– Kwestia psychiatrii jest oczywiście interesująca, ale może to jedynie zbieg okoliczności – powiedział Gawroński, tak jak się tego Emilia obawiała. – Skoro podkreślił więcej różnych fragmentów, być może po prostu interesował się tą tematyką, a nie jest to związane z naszą sprawą i... z Danielem Podgórskim.

– Leon...

– Jak chcesz, Emilia. – Gawroński skinął powoli głową. – Sprawdźcie tego Witkowskiego.

– Dzięki.

– A jak twoje poszukiwania? – zapytał prokurator, odwracając się do komisarza Małeckiego. – Znalazłeś coś, co łączy Daniela i sędziego?

Małecki pokręcił głową.

– Zupełnie nic. A szukałem dokładnie. W sprawach zawodowych na pewno się nie zetknęli. Myślę, że to obcy sobie ludzie.

– Czyli zero motywu, dla którego Podgórski mógłby chcieć się pozbyć Jaworskiego?

– Przynajmniej na razie – odparł Małecki. – Natomiast mamy ciekawą ekspertyzę z laboratorium. Chodzi o nóż z kuchni Jaworskiego, który znaleźli technicy podczas przeszukania. A właściwie o krew na nim.

– Chyba nie ma jeszcze wyników porównania DNA? – zdziwił się Gawroński.

– Jasne, że nie. Ale w laboratorium sprawdzili, że krew jest ludzka, i wyodrębnili grupę. To może być przydatna informacja. Grupa krwi na nożu to AB Rh–.

– Rozumiem, że jest rzadka?

Małecki pokiwał głową.

– To podobno najrzadsza grupa krwi wśród Polaków, ale mogę się mylić.

– Nieźle – wyrwało się Emilii. – Czy to krew jednej z ofiar?

– To jest właśnie najważniejsze – podkreślił komisarz. – Nie ma ani zgodności z krwią sędziego, ani z krwią Swietłany Sokołowej. Krew na nożu musiała należeć do kogoś innego.

– Trudno powiedzieć, czy to wiąże się ze sprawą – odezwał się

Gawroński, grając rolę adwokata diabła. – Może Jaworski miał gości i ktoś się skaleczył.

– Gości raczej nie miał – powiedziała Emilia. – Większość świadków potwierdza, że sędzia był odludkiem.

– To jeszcze niczego nie wyklucza.

Gawroński znowu naśladował jej głos. Strzałkowska zaśmiała się pod nosem.

– A jaką grupę krwi ma Daniel? – zapytał komendant Cybulski ostrożnie.

Małecki energicznie pokręcił głową.

– Sprawdziłem. Ma zero, więc on też odpada.

– Może to jest krew zabójcy – wtrącił się Marek. – Prawdziwego zabójcy, a nie Daniela.

– Dlaczego zranił się nożem i go tam zostawił? – zapytał Małecki. Nie wyglądał na przekonanego.

– Nie wiem. Głośno myślę. Może sędzia próbował się bronić i go zranił.

– A potem odłożył nóż do zlewu i przepłukał go wodą?

– Zabójca mógł to zrobić.

– I zostawić ślad swojej obecności? Przecież cała reszta domu była wyszorowana na błysk.

– Tu z kolei nie wiemy, czy zrobił to sprawca – włączył się Gawroński. Chyba dziś postawił sobie za cel podważanie wszystkich propozycji.

Przez chwilę nikt nic nie mówił.

– Mnie zastanawia to, co ja odkryłem – odezwał się Cybulski, przerywając ciszę.

Komendant opowiedział im o pracowni krawieckiej Michała Rakowskiego i co tam odkrył. Emilia kiwała głową, słuchając o białych sukienkach. Czuła satysfakcję, przecież od razu mówiła, że trzeba to sprawdzić.

– Zastanawiam się, czy nie trzeba odświeżyć sprawy śmierci Lecha Rakowskiego – zakończył swoją opowieść Cybulski. – Ona ciągle wraca. Pamiętajcie, że to sędzia Jaworski skazał Dymitra Sokołowa i jego mocodawcę Longina Grzelaka za zabójstwo Lecha Rakowskiego. Teraz nie żyje on sam i Marilyn, która była żoną Dymitra. Do tego te sukienki i lalki...

– Wiktor, skupmy się może na jednej rzeczy – odezwał się Małecki. – Najpierw znajźmy Daniela, a potem będziemy kombinować.

Emilia nie mogła oprzeć się wrażeniu, że Małecki i Cybulski nagle zamienili się rolami. Wczoraj to komendant nalegał, żeby skupić się tylko na Danielu.

– Nie twierdzę, że Podgórski jest niewinny – zapewnił sucho Cybulski. – Mimo to planuję jutro oficjalnie przesłuchać młodego Rakowskiego i jego matkę. Pojedziesz tam ze mną. Już się z nimi umówiłem.

Małecki wzruszył ramionami.

– Jak chcesz, Wiktor, ale moim zdaniem to strata czasu. Nie zapominaj, że mamy na głowie województwo i centralę. Widziałeś, co gadają w telewizji?

– Oczywiście. Przypominam ci też, że na razie to ja jestem tu komendantem, więc...

Cybulski nie dokończył. Emilia po raz pierwszy widziała, że jest wyprowadzony z równowagi. Najwyraźniej nie spodobało mu się, że Małecki na powrót chce kierować śledztwem.

– Słuchajcie, może to mimo wszystko ma sens – odezwał się Gawroński. – Sprawdźcie, czy Daniel jest powiązany z Michałem Rakowskim. Może wzorował się na tych jego lalkach. No i sukienka. Musiał ją zabrać z pracowni.

– Sukienkę akurat miał sam sędzia Jaworski – wyjaśnił Cybulski.

– Jak to?

– Gospodyni krawca widziała, jak Jaworski wychodził z pracowni z lalką i sukienką. Jutro zamierzam wyjaśnić tę kwestię na przesłuchaniu.

– I sam wypożyczył książkę – mruknęła Emilia.

– Co mówiłaś? – zapytał Gawroński.

– Chodzi mi o to, że sędzia sam wypożyczył książkę z biblioteki i sam zabrał albo kupił sukienkę od Michała Rakowskiego. Obie te rzeczy znaleźliśmy na miejscu zbrodni. Ciekawe...

Strzałkowska nie dokończyła, bo drzwi sali konferencyjnej otworzyły się nagle. Doktor Koterski wszedł do środka

z wyrazem skrajnego zmęczenia na rumianej twarzy. Kasztanowe włosy sterczały mu na wszystkie strony.

– Przepraszam za spóźnienie – rzucił patolog. – Mamy straszne obłożenie. Dosłownie nie mogłem się wyrwać, żeby tu przyjść.

Usiadł ciężko na krześle. Jakby dla potwierdzenia swoich słów nadal był ubrany w biały kitel. Emilia miała nieprzyjemne wrażenie, że czuje zapach kostnicy. Może nawet tak było. Od początku ciąży wszystkie zapachy docierały do niej ze zwielokrotnioną siłą. Myślała, że to przejdzie po pierwszym trymestrze, ale nic z tego.

– Co pan ma dla nas? Niech pan mówi, a wybaczymy wszystko, co po drodze – zażartował Gawroński.

Doktor Koterski uśmiechnął się nieznacznie. Mimo wyraźnego zmęczenia jego dobry humor chyba powracał. Emilia trochę mu zazdrościła. Ona sama czuła, że resztki energii zaczynają ją opuszczać.

– Po pierwsze, jak wicie, był u nas niejaki Grzegorz Zakrzewski – zaczął patolog. – Zdaje się, że to partner ofiary?

– Tak. Były partner – uściślił komendant Cybulski. – W Gwiazdozbiorze nazywają go Krzywym. Dokonał już rozpoznania na podstawie zdjęcia. Potwierdził, że tułów należał do Sokołowej?

Doktor Koterski pokiwał głową.

– Tak. Poza tym mamy jeszcze jeden punkt zaczepienia. Ta kobieta miała implanty piersi. Każdy implant ma swój numer seryjny i tak zwany paszport. Są w nim wszystkie informacje na temat wszczepionych pacjentce implantów.

– W domu Swietłany Sokołowej nic takiego nie było – powiedział Marek.

– Cóż, nie każda pacjentka przejmuje się takimi rzeczami. Teoretycznie powinna nosić taki paszport przy sobie – wyjaśnił patolog. – Ale w praktyce pacjentki rzadko to robią. Zwłaszcza jeżeli mają implanty od dłuższego czasu i zaczynają traktować je jako część swojego ciała. Tak czy inaczej nam paszport nie był potrzebny, bo producent wytłoczył numer seryjny na implantach. Jeżeli pan prokurator zapewni nam odpowiednie

papiery, będziemy mogli ustalić, gdzie i komu zostały wszczępione. Wtedy będziemy mieli ostateczne i bezsprzeczne potwierdzenie, że to jest Swietłana Sokołowa.

– Oczywiście – zapewnił Gawroński. – Kiedy ona umarła?

– Sekcja potwierdziła to, co mówiłem wcześniej. Marilyn umarła w piątek wieczorem.

– Co z sędzią? – zapytała Emilia. – Nie zgłosił awarii linii telefonicznej po poniedziałkowej burzy. Już wtedy nie żył?

– W tym przypadku niestety trudniej określić datę śmierci, bo upłynęło sporo czasu.

– Głowa wyglądała odrażająco – powiedział Małecki.

Strzałkowska zadrzała. Starła się odegnąć od siebie wspomnienia z domu sędziego. Bezskutecznie. Znowu zrobiło jej się słabo, więc odetchnęła głębiej. Sprawy nie ułatwiał fakt, że Dziecko zaczęło intensywnie kopać. Nie teraz, powtarzała sobie, próbując opanować zawroty głowy.

– W tym cały szkopuł – wyjaśnił tymczasem patolog. – Tego, co widzieliście, nie spowodowały wyłącznie procesy gnilne. Rozkład rozkładem, ale moim zdaniem do głowy miały dostęp zwierzęta.

Doktor Koterski wydobyl z teczki plik zdjęć i położył je na środku stołu. Emilia widziała ze swojego miejsca, że jest to dokumentacja z sekcji zwłok. Nikt jakoś nie miał ochoty po nie sięgnąć. Wyłupione oczy i poodgryzane fragmenty mięśni na twarzy Jaworskiego do tego nie zachęcały.

– Uważam, że głowa znajdowała się przez jakiś czas na dworze – zakończył doktor Koterski. – We włosach znalazłem trochę runa i innej drobnicy.

– Czy można w związku z tym ustalić, gdzie dokładnie głowa się znajdowała? – zapytał prokurator Gawroński.

– Niestety nie znaleźliśmy nic szczególnego, co mogłoby stanowić punkt zaczepienia.

– Powinniśmy chyba przeszukać lasy – powiedział Cybulski. – Przecież reszta ciała Jaworskiego musi gdzieś być. Głowa i kończyń Swietłany Sokołowej także.

– Nie traciłbym na to czasu – poradził patolog. – Tu jest tyle hektarów lasów, że ciała mogą znajdować się właściwie

wszędzie. Zbierzcie najpierw więcej konkretnów.

– A tułów striptizerki też znajdował się na dworze, zanim trafił do sypialni w domu Jaworskiego? – chciał wiedzieć Małecki.

Koterski pokręcił głową.

– Może źle się wyraziłem. Jej tułów jest czysty. Nie ma śladów żadnego działania zwierząt. Uważam więc, że nie.

– Czy amputacji kończyn dokonano za życia czy już po śmierci? – zapytała Emilia ostrożnie. Dziecko trochę się uspokoiło, postanowiła więc wykorzystać ten moment na konstruktywny udział w dyskusji.

– Całe szczęście zarówno amputacji, jak i dekapitacji dokonano po śmierci ofiar.

Zebrani odetchnęli z ulgą. Myśl, że ktoś obcinał Swietłanie Sokołowej ręce i nogi albo że Jaworskiego dekapitowano żywcem... Policjantka wolała sobie tego nawet nie wyobrażać. Zrobiło jej się niedobrze. Cholera jasna. Starła się oddychać głęboko. Da sobie radę. A jak skończą odprawę, musi się porządnie najeść.

– Czy użyto tego samego narzędzia? – zapytał Małecki.

– Głowę sędziego Jaworskiego odcięto na wysokości kręgów C4 i C5. Brzegi rany niewiele mogą pomóc w ustalaniu, czym tego dokonano. Ze względu na działanie zwierząt, o którym już mówiłem. Natomiast kości są bardziej rozmowne – zaśmiał się patolog. – Uważam, że dekapitacji Jaworskiego dokonano piłą mechaniczną. Cięcie jest czyste i szybkie. Pojedyncze.

– A w przypadku Sokołowej było inaczej?

– Zdecydowanie. Badania mikroskopowe kikutów kończyn i miejsca, gdzie odcięto jej głowę, pokazały liczne nacięcia próbne. Sprawca przykładał piłę wielokrotnie, zanim mu się udało dokonać dzieła.

– Dlaczego? – zapytał Marek. – Nie mógł się zdecydować: ciąć czy nie?

– Nie mogę nic powiedzieć na temat jego motywacji. Na tym się nie znam. Natomiast to może być po prostu kwestia narzędzia.

Wszyscy spojrzeli na doktora Koterskiego pytająco.

– Amputacji i dekapitacji Sokołowej dokonano piłą ręczną, a nie tak jak u Jaworskiego mechaniczną. Na pewno praca piłą ręczną jest trudniejsza niż mechaniczną. Być może stąd te nacięcia próbne i trudności. Tym bardziej że kończyny nie zostały rozłączone w stawach. Sprawca musiał przepiłować kości długie.

– Co z penetracją? Marilyn została zgwałcona? – zapytał Gawroński.

Na pewno miał na myśli wcześniejsze ustalenia, że striptizerka spędziła ostatni wieczór w towarzystwie Daniela. Emilia spojrzała na prokuratora spod oka. Wcześniejsza nic porozumienia przysła.

– Motywacja seksualna nasuwa się sama – stwierdził prokurator, wzruszając ramionami. Chyba zauważył jej karcące spojrzenie. – Bez względu na to, kto ostatecznie okaże się sprawcą.

Patolog potwierdził.

– Niedługo przed śmiercią Swietłana Sokołowa odbyła stosunek płciowy, ale nie wygląda mi to na gwałt.

A więc jednak. Emilia przyglądała się intensywnie blatowi stołu. Nie miała ochoty patrzeć nikomu w oczy. Z jakiegoś powodu cały czas wierzyła, że Daniel nie spał z tą kobietą. Nie chodziło nawet o zazdrość. Raczej o to, za kogo go uważała.

– Nawet jeżeli Daniel uprawiał seks z tą striptizerką, nie oznacza to, że ją zabił – wtrącił się Marek, który najwyraźniej pomyślał o tym samym.

– Ale stawia go w nie najlepszym świetle, czyż nie? – odparł Gawroński. Równie spokojnie jak przedtem. Emilii trudno było ocenić, czy chodzi mu o podejrzenie o morderstwo, czy o kwestie czysto moralne.

– A co ze zszywkami, którymi połączono głowę Jaworskiego z tułowiem Sokołowej? – chciał wiedzieć Małcki.

– Zwyczajny zszywacz tapicerski. Nic oryginalnego – poinformował doktor Koterski. – W raporcie zapisałem szczegóły, ale nie sądzę, żeby poszukiwanie zszywacza wiele dało. Można takie kupić w wielu sklepach.

– A makijaż? – zapytała Emilia. Zniszczenia i rozkład głowy

sędziego Jaworskiego podkreślał makabrycznie przerysowany makijaż, który sprawca nałożył mu na twarz. Być może po to, żeby upodobnić go do panny młodej, szykującej się do ślubu.

– Kosmetyki też pochodzą ze zwykłej drogerii. Myślę, że użyto tych z torebki Świetłany Sokołowej.

– Czyli sprawca znowu wykorzystał to, co było na miejscu – zastanawiała się głośno Emilia. – Przedtem wyszorował dom Jaworskiego detergentami, które tam były. Sukienka należała do sędziego. Sędzia wypożyczył podręcznik do psychologii.

– Wykorzystywanie rzeczy dostępnych na miejscu sugerowałoby zbrodnie w afekcie – powiedział powoli komendant Cybulski. – Tylko że z kolei klóci nam się to z inscenizacją, którą stworzył morderca.

– Niekoniecznie – odezwał się Gawroński. – Czytałem kiedyś opracowanie o seryjnych mordercach i o takiej właśnie sytuacji.

– Znowu wracasz do seryjnych? – zapytała Emilia. – Zmieniłeś zawód na profilerą?

Prokurator uśmiechnął się pod nosem.

– Sprawca zorganizowany może pozostawić miejsce zdarzenie niezorganizowane z różnych powodów – kontynuował niezrażony. – To może być regres modus operandi spowodowany zażywaniem różnych substancji albo alkoholem. Może wystąpić nieprzewidziany czynnik, który go zmusił do zmiany planów. A wreszcie może być świadome zniekształcenie w próbie zmylenia nas.

Strzałkowska pokiwała głową zamyślona.

– Wróćmy może do sedna. Psychologiczne czary-mary zostawmy sobie na potem, kiedy wyczerpiemy inne możliwości – zaproponował Małecki. – Skoro nie pokrojono ich za życia, to jaka była właściwa przyczyna śmierci? Udało się to stwierdzić?

– No i tu, panowie... i panie – poprawił się Koterski szybko, zerkając przepaszająco w stronę Emilii. – Mamy coś, czego moim zdaniem możecie się uchwycić. Zdecydowanie nie spotykam się z czymś takim na co dzień. Bezpośrednią przyczyną śmierci obu ofiar była kurara.

ROZDZIAŁ 54

Gwiazdozbiór.

Wtorek, 9 czerwca 2015.

Pamela

Pamela wykonywała właśnie swój popisowy numer z dziesięcioma kieliszkami szampana. Podpatrzyła go kiedyś u Dity von Teese. To znaczy tamta miała numer z jednym wielkim kieliszkiem martini. To chyba było martini.

Przed rozpoczęciem pracy w Gwiazdozbiórze Pamela interesowała się burleską. Sądziła, że to jej się przyda. Wyglądało jednak na to, że zarówno klienci, jak i właściciele klubu zadowalali się zwykłym striptizem i wielkimi piersiami. Pamela nie żałowała więc, że zdecydowała się na taką ingerencję w swoje ciało. Dzięki temu dostała się do klubu bez problemu, a o to głównie chodziło.

Zawsze starała się nieco urozmaicić swoje show. Właściwie głównie dla siebie, żeby nie umrzeć z nudów. Ostatnio też dla Diany. Szefowa, w przeciwieństwie do swojego męża, Longina Grzelaka, i jego dawnego partnera biznesowego, Lecha Rakowskiego, szukała czegoś więcej niż duży biust.

Pamela cały czas miała w głowie słowa Diany: albo ty, albo ona. Tak właśnie powiedziała. Albo ty, albo ona. Takie ultimatum było doprawdy niebezpieczne. Pamela nie mogła stąd wylecieć. Jeszcze nie teraz.

Tylko że mogło się tak stać. Marilyn miała nad nią zdecydowaną przewagę. Wiek. Pamela boleśnie zdawała sobie sprawę, że jest już za stara na striptiz. Rok temu skończyła czterdzieści lat. Diana kazała Krzywemu szukać nowej dziewczyny na miejsce Marilyn. To źle wróżyło.

Wykonała kolejny obsceniczny gest, używając butelki od szampana. Publika zawyla radośnie. Minęła dwudziesta trzecia.

O tej porze duża część klientów była już co najmniej wstawiona i nie trzeba się było zbyt wysilać, żeby ich oczarować.

Pamela zerknęła w lewo. Widziała tam Krzywego, który trwał na swoim posterunku w kącie Czarnej Sali. Obok niego Twiggy popijała wodę z wysokiej szklanki. Czekala na swoją kolej. Diana stała z nimi, więc Pamela włożyła całe serce w swój taniec. Nie mogła dopuścić, żeby szefowa ją wyrzuciła. Nie teraz. To naprawdę była ostatnia prosta.

ROZDZIAŁ 55

Mieszkanie Twiggy. Wtorek, 9 czerwca 2015. Klementyna Kopp

Ty chuju! Ty chuju!

Klementyna przyglądała się kolorowej papudze zafascynowana. Ptak był zdecydowanie wyszczekany. Podobało jej się to. Jego głos był może trochę mechaniczny, ale słowa zdecydowanie dało się rozróżnić.

– Umiesz powiedzieć coś jeszcze, co?

– Ty chuju! Ty chuju!

– Spoko. I tak jest nieźle, przyjacielu. Całkiem nieźle.

Klementyna uśmiechnęła się do papugi i wyszła z saloniku. Włamała się do mieszkania Twiggy niemal bez problemu. Co prawda nie było to zbyt wielkie wyzwanie. Domofon na dole nie działał, do klatki mógł wejść każdy. Zamek w drzwiach należał do zdecydowanie przestarzałych. Mimo to Klementyna czuła się mile usatysfakcjonowana, że nie wyszła z wprawy. Mogła być cywilem. Ale! Niektórych rzeczy się nie zapomina.

Ruszyła do kolejnego pokoju. Telefon zawibrował jej w kieszeni. To nie był ten na kartę, za pomocą którego miała porozumiewać się z Weroniką, to był jej własny aparat. Nie musiała wyciągać go z kieszeni bojówek, żeby domyślić się, że to Liliana jej szuka. Pewnie wróciła z pracy i martwiła się, gdzie Klementyna się podziała.

Telefon znowu zawibrował. Kopp postanowiła nie odbierać. Nie miała ochoty wracać do domu. Całkiem dobrze się bawiła. Łaźnienie po cudzych domach to była przyjemna odmiana po zamknięciu w wariatkowie.

A fakt, że jest cywilem, tym razem działa tylko na jej korzyść, zaśmiała się pod nosem. Nareszcie nie musiała się obawiać

żadnych konsekwencji. Już ją przecież wykopali z policji i wpakowali do wariatkowa. Co jeszcze mogli zrobić? Do więzienia na pewno nie da się wsadzić. Cywilom więcej wolno, czyż nie? Na przykład takie włamanie. Gdyby była w policji, już mogłaby mieć problemy. A cywil? Cywil tak naprawdę może robić, co mu się żywnie podoba.

Telefon zadzwonił po raz trzeci. Klementyna znowu go zignorowała. Chciała wykorzystać moment, gdy córki sędziego nie było w domu. Niestety na razie nie znalazła nic szczególnie ciekawego. Została jej tylko sypialnia.

Klementyna weszła do pokoju i rozejrzała się od niechcienia.

– Czeka! Stop! A to co ciekawego? – mruknęła pod nosem.

– Ty chuju! Ty chuju! – odpowiedziała papuga niemal natychmiast. Głos był całkiem wyraźny, mimo że dochodził zza ściany.

Klementyna podeszła do niewielkiej komody stojącej w rogu pomieszczenia. Przyglądała się leżącemu na niej przedmiotowi z zainteresowaniem. To musiało być związane ze sprawą, uznała w końcu. Inscenizację z domu sędziego Jaworskiego znała co prawda tylko z opowieści Weroniki i z kilku zdjęć, które w tym czasie wyciekły do internetu, jednak nie mogło być mowy o pomyłce.

Najlepiej byłoby to ze sobą zabrać. Tylko że to nie był najlepszy pomysł. Twiggy na pewno zauważyłaby, że przedmiot zniknął. Klementyna wyciągnęła telefon i zrobiła kilka ujęć przedmiotu. To na razie musi wystarczyć.

CZĘŚĆ CZWARTA

Wcześniej

3

Tak więc piszę tu głównie o Nim. O tym, jak byliśmy razem...

W pewnym momencie wszystko się znowu zmieniło. I to o sto osiemdziesiąt stopni. Nie wiem, czy ten przełom był spowodowany smutnymi wydarzeniami w Jego życiu rodzinnym, czy też taki właśnie miał od początku wobec mnie plan. W każdym razie było zupełnie jak dawniej. Wróciły czułe słowa i gesty.

Złapałam się na ten haczyk. Chwyciłam się go ochoczo, spragniona całym sercem Jego miłości. Skąd mogłam wiedzieć, że pozory znowu mnie zwiodyły?

Może w takim razie to wszystko moja wina, a nie Jego? Na pewno wiem, że nie Twoja.

Tak czy inaczej kiedy nagle zaczął traktować mnie lepiej, uwierzyłam Mu całym sercem, zostawiając za sobą wątpliwości z poprzednich miesięcy.

Pewnie dlatego pomysł ślubu wydał mi się taki dobry.

Przepraszam!

Zawsze bałam się nawet marzyć o rodzinnym szczęściu,

gromadce dzieci, mężu. To nie było dla mnie. A teraz to miało się stać rzeczywistością. Z Nim. Nasz ślub był jednym z najpiękniejszych dni mojego życia. Może właśnie tym najpiękniejszym.

Przepraszam... ale tak to wtedy czułam. Bardzo chcę napisać, jak było.

Miałam cudowne wrażenie, że miłość po prostu mnie wypełnia. To było tak błogie uczucie, że nadal do niego tęsknię całą sobą. Mimo tego, co nastąpiło później...

Tak, On umiał sprawić, że zupełnie odlatywałam, traciłam czujność. Był w tym niezrównany. Z perspektywy czasu już to wiem. Ja naiwna, ja głupia, ja wieczna ofiara. Gdybym tylko wtedy wiedziała, co On mi zrobi... Gdybym tylko...

S.

Niedługo po naszym ślubie wypadły Jego urodziny.

Ponieważ podarował mi piękny prezent z okazji naszych zaślubin, bardzo pragnęłam odwdziaczyć się Mu tym samym. To chyba nic zdrożnego... Długo zastanawiałam się, co sprawi Mu największą radość, na czym Mu najbardziej zależy.

Na odpowiedź wpadłam pewnej nocy, kiedy leżałam samotnie na tarasiku na dachu i patrzyłam na rozgwieżdżone niebo. Żeby zrealizować mój plan, musiałam tylko zatelefonować. Zadzwoiłam do pewnego mężczyzny z Warszawy. Poznałam go, bo kiedyś był moim klientem. Na pewno pamiętasz.

– Mój mąż ma urodziny – wyjaśniłam szybko, kiedy mój dawny klient odebrał.

Mąż. Głos drżał mi z emocji, ponieważ po raz pierwszy nazwałam Go w ten sposób otwarcie. Odetchnęłam głębiej, żeby się uspokoić, i wyjaśniłam, na czym polega moja prośba. Uczucia, które mną targaly, sprawiały, że trochę się plątałam, ale wreszcie zdołałam przekazać, o co mi chodziło.

Po drugiej stronie linii panowała przez chwilę cisza. Tak bardzo bałam się, że nic z tego nie wyjdzie, że mój dawny klient odmówi.

– Nie ma problemu – powiedział jednak ku mojej radości. – A skoro chodzi o twójgo męża, tym bardziej ci pomogę.

– Dziękuję!

– Dla mnie to nic takiego. Tylko wyjdźcie przed porankiem – zażartował wymownie. – W drzwiach jest krata, więc musisz najpierw ją otworzyć. Klucze zostawię w skrytce na dworcu. Kod wyślę ci SMS-em.

– Dziękuję, dziękuję, dziękuję – powtarzałam.

– Już mówiłem, nie ma problemu. Jestem bardzo zadowolony z tego, co dla mnie wtedy przygotowałaś, z chęcią się odwdzięczę. Przekaż swojemu mężowi najlepsze życzenia.

Gdy przyszedł dzień Jego urodzin, pojechaliśmy do Warszawy pociągiem. Przez całą drogę się denerwowałam. Chciałam jak najszybciej dostać się do skrytki na dworcu i sprawdzić, czy klucz naprawdę tam jest.

Kiedy wysiedliśmy, On szarpnął mnie za rękę. Jakbym była rzeczą. Widziałam, że jest nadal pod wpływem. Nikt z pozostałych pasażerów nie zwrócił na to uwagi, więc i ja starałam się to ignorować.

Cały czas był tuż obok mnie, a ja gorączkowo zastanawiałam się, jak dyskretnie pójść do skrytek, żeby wyciągnąć stamtąd klucz i nie zepsuć niespodzianki.

Sprawa rozwiązała się sama, ponieważ w pewnym momencie On bez słowa odszedł w kierunku toalet. Pobiegłam do wskazanej skrytki. Drzwiczki odskoczyły z trzaskiem, kiedy wpisałam kod przesłany mi przez dawnego klienta. Pęk kluczy leżał niemal idealnie pośrodku. Chwyciłam go i szybko włożyłam do kieszeni. Udało się.

Kiedy wróciłam pod toalety, On już tam czekał. Niezadowolony, że gdzieś zniknęłam, malowało się na Jego twarzy.

– Gdzie byłaś? – to było niemal warknięcie.

Tłumiłam łzy, które cisnęły mi się do oczu. Nagle opanował mnie strach, że cały prezent jest bez sensu, że przyjazd do Warszawy to błąd. Że mój związek z Nim to błąd. Szkoda, że wtedy się nie wycofałam. Przecież mogłam.

– Też poszłam za potrzebą – skłamałam.

Klucze ukryte w mojej kieszeni zdawały się ciężkie, jakby ważyły kilka ton. Miałam ochotę wyrzucić je, ale to przecież było bez sensu. Musiałam brnąć dalej. Cokolwiek się stanie. Tak czułam.

– Skoro tak mówisz...

– Chodźmy na dwór – poprosiłam. Bardzo chciałam go udobruchać.

Przyjemnie było wyjść z dusznego budynku dworca i usiąść pod Pałacem Kultury. Jemu też się chyba podobało. Kilka razy nawet się do mnie uśmiechnął. Ja naiwna znowu uwierzyłam,

że jest jak dawniej. Że naprawdę Mu zależy.

Trzeba było poczekać do wieczora, więc kilka godzin patrzyliśmy na ludzi spieszących gdzieś, nie wiadomo gdzie. Opowiadałam o moich postępach w rozpracowywaniu przepisu babci Augusty. On przytakiwał, ale niewiele się odzywał. Bałam się, że czas będzie się dłużył niemilościwie, ale siedzieliśmy przytuleni do siebie i ani się obejrzałam, kiedy zaczął zapadać zmrok.

– Chodźmy, już czas – powiedziałam.

Dałam mu Jego tabletki. Z tego chyba był najbardziej zadowolony. Miałam jednak nadzieję, że moja niespodzianka to przebije. Rozpierała mnie radość, kiedy prowadziłam Go ulicami śródmieścia na miejsce.

– To przecież... – wykrztusił.

Uwierz mi, słyszałam w Jego głosie autentyczną radość. A więc trafiłam i prezent się udał!

Zabrałam się do otwierania kłódki. Szło to z oporami, ale w końcu weszliśmy do środka. Wokoło unosił się różany zapach. Patrzyłam, jak On przechadza się zadowolony dookoła. Wyraźnie promieniał, więc ja też czułam się bezgranicznie szczęśliwa.

Przynajmniej do czasu. Wiesz przecież, że w pewnej chwili wszystko się zmieniło i potoczyło zupełnie nie tak, jak sobie to zaplanowałam.

Nagle, zupełnie niespodziewanie, Jego twarz wykrzywił grymas. Zanim się obejrzałam, On zaczął dosłownie szaleć. Rzucał się, jakby chciał rozerwać wszystko na strzępy. Pomieszczenie zaczęło przypominać pobojuwisko.

Tak bardzo się bałam. Jego. Tamtej sierpniowej nocy po raz pierwszy widziałam, jak bardzo agresywny potrafi być. Chłód wcześniejszych miesięcy to było przy tym nic. On stał się nagle zupełnie inną osobą. Maską opadła.

CZEŚĆ PIĄTA

Środa, 10 czerwca 2015

ROZDZIAŁ 56

Lasy w okolicach Lipowa.

Środa, 10 czerwca 2015.

Aspirant Daniel Podgórski

Daniel obudził się nagle. Przez moment nie widział, gdzie się znajduje. Przed oczami ciągle miał dziwne obrazy. Koszmary senne. Zamrugał kilka razy, żeby się ich pozbyć. Znikały niechętnie. Uniósł się na ramieniu i rozejrzał się. Leżał w jakimś szałasie na legowisku z liści i siana. Nie czuł się najlepiej. Kręciło mu się w głowie, a całe ciało miał lepkie od potu.

Usiadł z pewnym trudem i odetchnął głębiej. Jego płuca wypełniły się zapachem ziół i lasu. Stopniowo zaczął przypominać sobie, co się wydarzyło. Oskarżenie o morderstwo, SMS z anonimowym ostrzeżeniem, ucieczka, nocleg w lesie w przypadku odkrytym szałasie Wiery, potem rozmowa z Weroniką i sklepikarką. Później pustka i senne koszmary.

– Wiera i jej ziółka... – mruknął. Po sklepikarce można się było wszystkiego spodziewać. Podgórski przypominał sobie teraz, że była tu kilka razy i poila go jakimś gorzkim, brunatnym płynem. Ciekawe, co takiego mu podała.

Rozejrzał się znowu po niewielkim szałasie. W kącie zauważył plastikową butelkę po wodzie, z której pił tę dziwną miksturę.

Leżała na równo złożonych ubraniach. Czarna bluza z kapturem, T-shirt i ciemnozielone bojówki. Należały do niego, więc Wiera musiała je wziąć od Marii. Westchnął. Wolał nie myśleć, co przeżywa teraz matka.

Obok ubrań Wiera zostawiła plastikową torebkę ozdobioną bilecikami z napisem „Zjedz mnie”. Daniel uśmiechnął się pod nosem. Jak na wiedźmę przystało, Wiera lubowała się w bajkach. Zaczął odwijać sreberko. Niezbyt zręcznie, bo ręce miał zdrętwiałe. W środku znalazł nieco zeschniętą kanapkę z żółtym serem. Nie wyglądała zbyt apetycznie. Nie miał ochoty na posiłek. Gdzieś głęboko czuł jednak, że kilka kęsów postawi go na nogi. Nie jadł od dłuższego czasu.

A właściwie od kiedy? Na to pytanie Daniel nie umiał sobie odpowiedzieć. Jak długo przebywał w tym szalasie? Był wczesny ranek, więc przespał co najmniej jedną noc, bo z Weroniką i Wierą spotkał się koło południa. Poza tym niczego nie mógł być pewien. Napar Wiery sprawił, że Podgórski zupełnie stracił poczucie czasu. Równie dobrze mógł minąć jeden dzień, dwa, trzy.

Odgryzł kawałek kanapki. Nie była zła. Właściwie z każdym kęsem smakowała lepiej i była dziwnie sycąca. Ciekawe, czy do niej Wiera też coś dodała. Skończył jeść i schował sreberko z powrotem do torebki.

Przez chwilę rozważał, czy od razu przebrać się w ubrania przygotowane przez sklepikarkę. W końcu uznał, że najlepiej byłoby najpierw splukać z siebie pot i koszmarne sny, które mieszanica Wiery mu zafundowała.

Wiedział, że ryzykuje, wychodząc z gęstwiny nad wodę. Ludzie z komendy na pewno go szukali. Kto wie, może dołączyli też funkcjonariusze z komendy wojewódzkiej. Być może okolice przeczesywały grupy z psami tropiącymi. Daniel czuł jednak, że musi choć na krótko oddalić się od szalasu. Zresztą jeżeli zorganizowano obławę z psami, to ściany z gałązek go nie ochronią.

Wziął ubrania przygotowane przez Wierę i wydostał się na zewnątrz. Odetchnął głęboko leśnym powietrzem. Słońce świeciło wesoło, a ptaki śpiewały w koronach drzew. Otaczała

go świeża zieleń. Zdawała się bezkresna. Trudno było uwierzyć, że poza tym miejscem coś jeszcze istnieje. Daniel zamknął oczy i rozkoszował się otaczającą go przyrodą.

Nagle bardziej wyczuł, niż usłyszał, delikatny ruch. Otworzył oczy i rozejrzał się. Niedaleko na gałązce przysiadł niewielki szarobury strzyżyk. Przyglądali się sobie. Ptaszek zaćwierkał donośnie. Ostrzegał pewnie okolicę przed człowiekiem. Przed intruzem.

Daniel poczuł irracjonalną chęć, żeby strzyżyka do siebie przekonać. Niestety ptaszek zerwał się do lotu i zniknął wśród leśnych ostępów. Policjant poczuł, że jego dobry nastrój pryska jak bańka mydlana. Był poszukiwany. Uciekł, ale co dalej? Przecież nie będzie całe życie siedział w tych krzakach.

Ruszył w kierunku, który wydawał się prowadzić w stronę rzeczki łączącej jeziora Bachotek i Strażym. Brzeg był tam bardziej zarośnięty niż od strony jeziora, istniało więc mniejsze ryzyko, że go ktoś zauważy. Przynajmniej tyle.

Po chwili dotarł do gęstych szuwarów. Trzciny szeleściły na delikatnym wietrze. Promienie słońca tańczyły na przejrzystej czystej wodzie. Pogoda była o niebo lepsza niż wczoraj.

– O ile dziś jest jutro – powiedział do siebie w namiastce rozmowy. Jego głos brzmiał dziwnie chropowato i nieprzyjemnie. Zawsze taki był? Daniel nie mógł sobie przypomnieć.

Zdjął ubranie i wszedł do wody. Nie przejmował się, że ktoś mógłby go zobaczyć bez ubrania. Jeżeli tak by się stało, to obraza moralności będzie jego ostatnim problemem.

Dno rzeczki było muliste. Pod stopami czuł kamienie i niezliczone muszelki. Z przyjemnością zanurzył się w wodzie, chociaż była lodowata. Upały jeszcze nie nadeszły. Nie zdążyła się jeszcze nagrzać. Ale to dobrze. Policjant miał wrażenie, że chłód zmywa z niego to, co działo się w ostatnich miesiącach. Wszystkie błędy i wybory, których teraz się wstydził.

Kiedyś nigdy nie przyszłoby mu do głowy, żeby sypiać z prostytutkami, upijać się co wieczór, słuchając rzewnych rockowych ballad. Wydawało mu się, że to desperackie i całkowite odrzucenie dawnego siebie pozwoli mu odnaleźć się

w nowej sytuacji. Co za tchórzliwe, żalosne pieprzenie. Chciało mu się śmiać z samego siebie.

Pływał w tę i z powrotem, próbując przywrócić życie zdrętwiałym kończynom. Potem wyszedł na brzeg i przysiadł na pieńku. Słońce przyjemnie ogrzewało mokrą skórę. Rozglądał się po okolicy, chłonąc zapachy i kolory. Po raz pierwszy od jesieni poczuł się lekko.

Słońce było coraz wyżej i w końcu Daniel uznał, że nie powinien dłużej pozostawać na brzegu. Za duże ryzyko. Lepiej wycofać się z powrotem w gęstwinę. Ubrał się, mimo że skórę wciąż miał wilgotną. Zacisnął mocniej pasek. Dużo papierosów i mało jedzenia sprawiło, że dawne ubrania okazały się za luźne. Wydało mu się to teraz upokarzające. Kiedy to wszystko się skończy, jakkolwiek się skończy, trzeba będzie wziąć się w garść i przestać zachowywać jak obrażony na życie niedojrzały nastolatek.

Już miał ruszyć z powrotem w stronę szalasu, kiedy zauważył niewielką ścieżką prowadzącą w lewo, na cypel. Wydała mu się wyjątkowo kusząca. Może dlatego, że był w chacie Wiery aż za długo i tak naprawdę nie miał wcale ochoty tam wracać.

Ruszył nieznaną dróżką, roztrącając krzaki rękoma. Zieleń aż buchała. Młode liście smagały go po twarzy. To było dziwnie przyjemne, jakby Podgórski obudził się nagle z kilkumiesięcznego letargu. Może rzeczywiście ziółka Wiery dobrze mu zrobiły.

W końcu wyszedł na niewielką polanę. Pośrodku stał spory głaz. Kształtem przypominał równo wyciosany obelisk. Podgórski był zupełnie zaskoczony. Całe życie mieszkał niedaleko stąd, a nie wiedział, że coś takiego się tu znajduje. Najwyraźniej Wiera miała rację i wcale nie znał tych lasów tak dobrze, jak mu się wydawało. Wystarczyło, że zboczył ze szlaku, i nagle okazało się, że trafił na coś zupełnie niesamowitego.

Daniel zrobił kilka kroków w stronę głazu i nagle coś zauważył.

– Niemożliwe...

ROZDZIAŁ 57

Poczta.

Środa, 10 czerwca 2015.

Łaskun

Czyli jeżeli teraz nadam tę paczkę, to na pewno dojdzie jutro? Jutro?

Łaskun. Stara się. Ekscytację. Powstrzymać. Stara się. Ale. Trudno. Pyta. Ciągłe pyta. O to samo. Pyta. Ciągłe. Kobieta w okienku. Kiwa. Głową. Po raz setny. Kiwa. Ludzie w kolejce niecierpliwi. Trochę. Nie szkodzi. Łaskun musi. Wiedzieć. Musi.

– Oczywiście – zapewnia. Kobieta. – Jak się nadaje przed dwunastą, to tak, jak już wspomniałam, w tej usłudze paczka powinna być u adresata już jutro rano. Proszę się o nic nie martwić. Na pewno dotrze.

Łaskun zadowolony.

– Świetnie. Po prostu ktoś bardzo czeka na tę przesyłkę.

Gładkie kłamstwo. Gładkie, ale. Kobieta z okienka. Kiwa. Głową. Uwierzyła. Łaskunowi. Bo czemu nie. Właściwie. Czemu. Nie.

– Rozumiem i raz jeszcze zapewniam, że paczka dojdzie bez problemów.

Urzędniczka gładzi. Paczkę. Opakowaną szczelnie. W środku lodówka. Jest. A w lodówce coś specjalnego. Zabawne. Uważa Łaskun, że. To zabawne. Jest. Gdyby ta kobieta. Wiedziała. Gdyby. Wiedziała. Na czym. Trzyma dłoń. Pewnie nie byłaby. Cała w uśmiechach. Nie. Byłaby. Kobieta. W uśmiechach. Cała.

– Raz jeszcze bardzo dziękuję! – mówi. Łaskun. Mówi. – Do widzenia pani.

– Do widzenia – urzędniczka. Mówi. Urzędniczka. Odkłada

paczkę. Na ziemię. Z niejakim. Trudem. Odkłada.

*Łaskun. Zadowolony. Czyli to. Już załatwione. Łaskun
zadowolony. Teraz pozostało. Czekać. Do jutra. Na. Finał.
A właściwie. Najpierw. Dokończyć przygotowania.
Dokończyć. Potem. Czekać. Do jutra. Jutro wielki finał. Do.
Jutra.*

ROZDZIAŁ 58

Centrum Terapii doktora Witkowskiego.

Środa, 10 czerwca 2015.

Starszy sierżant Marek Zaręba

Marek zatrzymał radiowóz przed przychodnią doktora Doriana Witkowskiego. Przez całą drogę z Lipowa Emilia spała, młody policjant miał więc sporo czasu, żeby przemyśleć to, czego dowiedzieli się od patologa wczoraj na odprawie. Przyczyną zgonu obu ofiar było otrucie kurarą.

Kurarą... To wydawało się zupełnie nierealne. Kojarzyła się Markowi tylko z zatrutymi strzałkami Indian z filmów przygodowych. Dlaczego sprawca wybrał akurat taką metodę pozbawienia ofiar życia? To nie jest zbyt częsty sposób mordowania.

Emilia otworzyła oczy i przeciągnęła się.

– Zasnęłam? Przepraszam! Po prostu jakoś tak...

– Nic się nie stało – zapewnił ją Marek. – Sam bym chętnie pospał. Jakiś taki senny dzień.

To było kłamstwo, ale wołał nic już nie mówić na temat ciąży. Emilia zawsze była kobietą niezależną. A teraz na wszelkie słowa wsparcia reagowała wręcz alergicznie. Nie chciał się kłócić.

– Zobacz tam – rzuciła policjantka.

Przed budynkiem przychodni stało srebrne subaru. Na oko dokładnie ten sam model, co błękitna impreza Daniela. Wymienili spojrzenia.

– Też myślisz o śladach opon na podjeździe domu sędziego Jaworskiego?

– Tak. Ten psychiatra mi się nie podoba!

– Przecież jeszcze nawet go nie poznaliśmy – zaśmiał się Marek.

Strzałkowska machnęła ręką.

– Nieważne – odparła z uśmiechem. Wyglądało na to, że jest jednak w lepszym humorze, niż Marek przypuszczał. – Chodźmy do środka.

Weszli do poczekalni. Przy niewysokim kontuarze siedziała rumiana dziewczyna. Plakietka postawiona na blacie informowała, że mają do czynienia z Bogną Szczygieł.

– Dzień dobry państwu – przywitała ich Bogna cała w uśmiechach. Marek musiał przyznać, że jej sympatyczna twarz robiła pozytywne wrażenie. – W czym mogę pomóc?

– Przyszliśmy porozmawiać z doktorem Witkowskim – poinformowała Emilia. Uśmiechy recepcjonistki chyba nie robiły na niej większego wrażenia.

Bogna Szczygieł jakby dopiero teraz zwróciła uwagę na ich mundury.

– Czy chodzi o terapię? – zapytała z lekkim powątpiewaniem.

– Chodzi o pacjenta. O Jakuba Jaworskiego – sprecyzował Marek. – Nie żyje. Chcemy zadać panu doktorowi kilka pytań.

– Doktor Witkowski ma teraz sesję z pacjentką. Dziś zaczął wcześniej.

– To bardzo ważne.

– No dobrze. Pójdę i zapytam, czy państwa teraz przyjmie.

Recepcjonistka wyszła zza kontuaru i ruszyła korytarzem. Miała kwiecistą obcisłą spódnicę, która podkreślała szerokie biodra. Na pośladkach malował się wyraźnie obrys majtek. Marek nie mógł oderwać od nich oczu.

– Cholera, plecy mi zaraz chyba pękną – mruknęła Emilia, sprowadzając Marka z powrotem na ziemię. – Nie pamiętam, żebym przy Łukaszu tak to przechodziła. Może jestem po prostu za stara na dziecko...

– Żartujesz? – zaśmiał się młody policjant. – Masz trzydzieści pięć lat. Kobieto! Całe życie przed tobą. Jeszcze możesz się dorobić całej gromadki.

Emilia zmierzyła go kpiarskim spojrzeniem.

– Tak, jasne – zaśmiała się. – Jak ostatnio byłam w ciąży, to miałam dwadzieścia. Wspominam to dużo lepiej.

Tymczasem Bogna Szczygieł wróciła. Znowu kręciła zalotnie

krągłymi biodrami.

– Mogą państwo chwileczkę poczekać? Jeżeli to nie byłby problem, bo nie chcielibyśmy przerywać sesji. Pacjentka jest w trakcie... – nie dokończyła. – W każdym razie niedługo pan doktor kończy. Może ja w tym czasie mogłabym państwu jakoś pomóc?

– Oczywiście. Czy może nam pani zapisać numer telefonu Jakuba Jaworskiego? – poprosił Marek.

Dotąd trudno było mu uwierzyć, że sędzia nie miał komórki. Zdążyli już sprawdzić, że żaden telefon na abonament nie był zarejestrowany na jego nazwisko, ale mógł mieć telefon na kartę.

– Jasne, zaraz sprawdzę.

Marek pokiwał głową zadowolony. Liczył na to, że billingi z komórki sędziego powiedzą im coś o sprawcy, bo sprawdzenie połączeń telefonu stacjonarnego niestety niewiele dało. Były tam głównie telefony do Rajmunda, ale w nich nie było nic nowego. O nagabywaniu o dom po ojcu już wiedzieli. Może komórka nareszcie przyniesie nowe informacje.

Recepcjonistka podała Markowi karteczkę z numerem.

– Ale to telefon stacjonarny – powiedział zawiedziony. – Tylko ten pani ma?

– Tak.

– Nie podał numeru komórki?

– Z tego, co wiem, sędzia Jaworski nie miał komórki. Uważał, że są szkodliwe. Chodziło mu o jakieś fale magnetyczne. Wspominał coś o tym, kiedy go rejestrowałam po raz pierwszy – przyznała Bogna Szczygieł. – Ale mogę dać jeszcze jego adres mailowy.

– Bardzo bym prosił.

Marek i Emilia wymienili spojrzenia, kiedy Bogna Szczygieł zapisywała na karteczce adres poczty elektronicznej sędziego. Wreszcie coś. Informatycy z komendy będą mogli sprawdzić skrzynkę i może w niej znajdą coś ciekawego.

– Może wie pani, czy pan Jaworski miał laptopa?

Recepcjonistka spojrzała na Marka zdziwiona.

– Tu nigdy nie przynosił.

Zaręba pokiwał głową. Skoro był adres mailowy, to powinien być komputer, tablet albo chociaż telefon komórkowy. W domu Jaworskiego żadnego takiego sprzętu nie znaleziono. Była za to ładowarka do laptopa. Co to mogło oznaczać? Czy morderca zabrał komputer sędziego? A może Jaworski nie miał laptopa? To też było możliwe. Mógł oczywiście korzystać z kawiarenek internetowych, żeby sprawdzić pocztę. Ale do czego mu była potrzebna ładowarka?

– Dane kontaktowe pani Swietłany Sokołowej też są potrzebne? – zapytała Bogna Szczygieł, wyrrywając Zarębę z zamyślenia.

– Tak, oczywiście. Bardzo proszę – powiedział lekko.

Starał się nie okazać zaskoczenia tym, że Sokołowa też była pacjentką doktora Witkowskiego. Wygląda na to, że Emilia miała rację i rzeczywiście powinni bardzo dokładnie przyjrzeć się psychiatrze.

Recepcjonistka podała Markowi drugą karteczkę. Tak naprawdę numery kontaktowe Marilyn nie były im potrzebne, bo już znaleźli jej telefony. Udawanie, że policja doskonale wiedziała o tym, że Sokołowa przychodziła tu na terapię, wydawało mu się najlepszą strategią. Mogło sprawić, że recepcjonistka nie będzie miała oporów, żeby powiedzieć im więcej.

– Taka straszna tragedia! Słyszałam o tym w telewizji – podjęła Szczygieł ku zadowoleniu Marka. – I to akurat dwójka naszych pacjentów! Aż trudno uwierzyć, że coś takiego może się w ogóle zdarzyć. W telewizji mówili, że w domu pana Jaworskiego była tylko głowa i tułów, to prawda?

– Tak – przyznała Strzałkowska.

Marek skinął głową. Nie było powodu tego ukrywać, skoro i tak wszystkie stacje telewizyjne o tym trąbiły. Hannibal Lecter z Lipowa.

– Strach wyjść na ulicę, póki nie złapią tego Hannibala! – powiedziała Bogna Szczygieł, jakby słyszała myśli policjanta.

– Proszę się nie martwić. Zarówno policja powiatowa, jak i wojewódzka są postawione na nogi – powiedział Marek. Był nawet zadowolony, że rozmowa przybrała taki obrót, mimo że

porównanie Podgórskiego do Lectera było wręcz śmieszne. Teraz mógł jednak sondować dalej bez wzbudzania podejrzeń, że chce dowiedzieć się czegoś więcej o pracodawcy pani Szczygieł. – Od jak dawna Swietłana Sokołowa i sędzia Jaworski byli tu pacjentami?

– Musiałabym zajrzeć do karty – zawahała się recepcjonistka.
– Nie wiem, czy powinnam. To tajemnica.

Zaręba uśmiechnął się do niej miło.

– Przecież jesteśmy z policji.

Na wszelki wypadek wyciągnął odznakę. Miał nadzieję, że zrobi to na Szczygieł odpowiednie wrażenie. Recepcjonistka studiowała blachę z dużym zainteresowaniem. Jakby pierwszy raz coś takiego widziała. Może naprawdę tak było.

– Sama nie wiem...

– Prowadzimy dochodzenie, może nam pani to wszystko ujawnić.

Twarz recepcjonistki rozpromieniła się na te słowa, więc najwyraźniej ją przekonał.

– Tak naprawdę pamiętam dobrze, kiedy zaczęli przychodzić. Nie muszę nawet patrzeć do kart – przyznała, oddając mu odznakę. – A to dlatego, że pan sędzia i pani Sokołowa zaczęli terapię tego samego dnia! To był siedemnasty marca tego roku. Imieniny mojego Patryka.

– I przychodzili regularnie?

– Tak. Pan Jaworski na godzinę piętnastą, a pani Sokołowa wcześniej. Na czternastą. Co wtorek...

Zanim Szczygieł zdążyła powiedzieć coś więcej, z gabinetu wyłonił się ubrany w kolorowy garnitur mężczyzna. Miał kręcone siwiejące włosy i okrągłe staromodne okulary. Nie wyglądał jak lekarz. Zdaniem Marka przypominał raczej klauna.

– Zapraszam obok, bo pacjentka potrzebuje jeszcze chwili prywatności – oznajmił psychiatra przyciszonym głosem i wskazał sąsiednie drzwi.

Przepuścił ich przodem. Z okna gabinetu widać było bok budynku i srebrne subaru, na które zwróciła uwagę Emilia, kiedy tu przyjechali.

– To pański samochód? – zapytała Strzałkowska tonem pogawędki.

– Tak. To moja miłość i słabość – przyznał doktor Witkowski z szerokim uśmiechem. Na jego twarzy malowała się błogość. – Coś tam sobie hobbystycznie przy nim dłużej od czasu do czasu. Nic wielkiego, ale pozwala się zresetować i zrelaksować w wolnym czasie. Zastanawiam się nawet, czy nie wstawić go do Garażu Braci Maciejewskich. Wszystkie te afery z logo i satanizmem to raczej bzdura moim zdaniem. Podobno potrafią tam zrobić niezły tuning i to w dobrym guście. No ale proszę, zechcą państwo usiąść.

Wskazał dwa wielkie fotele ustawione przy drewnianym stoliczku. Były tak głębokie, że Marek miał wrażenie, że zupełnie się w swoim zapadł. To było całkiem przyjemne.

– Podać coś do picia?

– Nie, nie. Dziękujemy.

– O co chcą państwo zapytać? Postaram się odpowiedzieć najlepiej, jak umiem, ale ostrzegam, że nie powiem zbyt wiele, jeżeli uznam, że pytania nie są związane ze sprawą. Prokuratorzy i sąd mogą mówić, co chcą, ale ja uważam, że obowiązuje tajemnica lekarska. Tak to czuję. Etyka mojego zawodu jest dla mnie bardzo ważna.

Emilia odchrząknęła. Marek był pewien, że pomyślała o tym samym co on. Podręcznik do psychologii z podkreśleniami fragmentów dotyczących etyki związków psychoterapeutów z pacjentami.

– Rozumiem to, rzecz jasna, ale proszę też pamiętać, że mamy do czynienia z podwójnym morderstwem.

– Oczywiście, że pamiętam. A jakże! Niech państwo pytają.

– Czy według pana był ktoś, kto mógł źle życzyć sędziemu Jaworskiemu? – zaczął Marek ostrożnie. – Wspominał może o kimś takim podczas sesji?

Doktor Witkowski otarł czoło rękawem kolorowej marynarki. Nie było gorąco, ale i tak się pocił. Może się denerwował? Zaręba uznał to za obiecujący sygnał.

– Może powinienem na początku zastrzec, że pan Jaworski przez cały okres trwania naszej terapii nie otworzył się zbyt wiele.

To był taki pacjent, który potrzebuje na to więcej czasu.

– Wspominał o kimkolwiek?

– Na pewno miał trudne relacje z bratem i z córką. Trochę o tym mówił. Nie za wiele, ale czułem, że te problemy miały głębsze podłoże. Może w dzieciństwie? Teraz już się tego nie dowiemy. – Witkowski zamilkł, jakby się nad czymś zastanawiał. – To na pewno nie był łatwy pacjent. Zdecydowanie.

– Jeden ze świadków powiedział nam, że sędzia cierpiał na depresję.

– Tak. Niektóre epizody były bardzo ciężkie. Ponieważ psychoterapia nie przynosiła pożądanych skutków, zaproponowałem leki. Odmówił.

– Dlaczego?

– Chyba się ich bał.

– Interesowały go jakieś inne metody leczenia? – zapytała Emilia.

– Inne metody?

Marek podejrzewał, że Strzałkowskiej chodzi o elektrowstrząsy, o których sędzia najwyraźniej przeczytał w podręczniku. Zaręba na samą myśl o takiej metodzie leczenia poczuł nieprzyjemne dławienie w gardle. Od razu stanął mu przed oczami kadr z filmu *Lot nad kukułczym gniazdem*, gdzie pacjenci zmieniali się w chodzące warzywa pod wpływem zabiegów tego typu.

– Elektrowstrząsy na przykład – uściślił Marek. – Nadal się je stosuje?

Witkowski spojrział na policjanta spod oka.

– Czasami.

– Kiedy?

– Najczęściej przy ciężkiej depresji.

– Nie jest to zbyt drastyczna metoda? – zapytała Emilia.

– Ja nie należę do jej zwolenników, ale ma ona entuzjastów wśród niektórych badaczy. W bardzo skrajnych przypadkach niekiedy to jedyne wyjście. Zwłaszcza kiedy z różnych względów nie możemy podać leków psychotropowych, a psychoterapia nie przynosi rezultatów. Na przykład kiedy

pacjentka jest w ciąży.

Witkowski spojrział na Emilię. Policjantka wzdrygnęła się nieznacznie.

– Dziękuję bardzo za takie leczenie!

– Oczywiście tylko w silnej depresji – zapewnił ją Witkowski z uśmiechem.

– A Swietłana Sokołowa – zagadnął Marek. – Podobno też była pańską pacjentką. Też cierpiała na depresję?

Psychiatra przytaknął głową.

– Swietłana była w zdecydowanie lepszej kondycji niż Jaworski. Nastąpił spory progres podczas naszej terapii. A przecież również nie miała łatwego życia.

– Chodzi panu o... charakter jej pracy?

– O to też. Ale także o tęsknotę za ojczyzną. O męża w więzieniu i samotne wychowywanie dziecka. No i o tego agresywnego mężczyznę, z którym się spotykała.

– Jak się nazywał? – podchwycił Marek. Chciał się upewnić, że chodzi o ochroniarza z Gwiazdozbioru.

– Mówiła na niego Krzywy – wyjaśnił Witkowski, potwierdzając przypuszczenia Zaręby. – Nie podała mi nigdy jego imienia ani nazwiska.

– Mówi pan, że ten Krzywy był wobec Swietłany agresywny. Czyli uważa pan, że mógł ją zabić?

– Nie wiem. Naprawdę. Mówiła, że potrafił ją szarpnąć, ale nie bił. Dużo krzyczał i podobno był chorobliwie zazdrosny. Czasem się go bała. Ale czy zabił? Nie wiem. Nigdy nie widziałem tego człowieka.

– Czy przychodzi panu do głowy ktoś jeszcze, kto by jej źle życzył?

Psychiatra podwinął rękawy kolorowej marynarki i potarł palcami gładko ogolony podbródek, jakby usilnie się zastanawiał.

– No jest jeszcze kwestia klubu, gdzie Swietłana pracowała, i jej koleżanek stamtąd – powiedział w końcu.

Marek i Emilia wymienili spojrzenia. To było coś zupełnie nowego.

– Co ma pan na myśli, doktorze?

– Właściwie chodziło o jedną dziewczynę. Swietłana nazywała ją Pamelą. Przyjaźniły się, ale potem ich relacje się pogorszyły.

Marek nie był jeszcze w Gwiazdzbiorze, ale Cybulski i Małecki zidentyfikowali Pamelę na zdjęciu, które Zareba i Strzałkowska znaleźli w starym telefonie Sokołowej. To było *selfie* obok głazu w kształcie obelisku, na które policjanci zwrócili uwagę, przeglądając galerię zdjęć. Pamela, Marilyn i jej syn Lew.

– Dlaczego ich relacje się pogorszyły? – zapytała Emilia.

– Chodziło o ultimatum, które postawiła im właścicielka klubu. Wydaje mi się, że nazywa się Diana. Wszystkie mają tam pseudonimy zapożyczone od znanych kobiet.

– O jakie ultimatum chodzi?

– Według słów Swietłany szefowa uznała, że potrzebuje tylko jednej. Swietłana odgrywała tam rolę Marilyn Monroe. Jak państwo wiedzą, nadawała się do tego jak nikt inny. Była blondynką ze sporym biustem. Tamta druga jest ponoć podobna. Nigdy jej nie widziałem, ale tak twierdziła Swietłana. Właścicielka klubu nie chciała mieć dwóch hojnie obdarzonych przez naturę blondynek. Twierdziła, że wystarczy jej jedna. W związku z tym jedna z nich miała odejść. Same powinny zdecydować, która odchodzi, która zostaje.

– Kiedy to się stało?

– Z tego, co pamiętam, Swietłana po raz pierwszy wspomniała mi o tym jakoś tak na początku maja. Może w końcu kwietnia. Potem mówiła o tym jeszcze kilka razy, bo bardzo się tym przejmowała.

– Na początku maja? – zdziwił się Marek. – Ale z tego, co wiem, żadna z nich nie odeszła.

– Szefowa dała im miesiąc na dogadanie się, która z nich zostaje, a która odchodzi – wyjaśnił psychiatra. – Jeżeli już państwo pytają, to wydaje mi się, że dla tej całej Pameli dogodnie się stało, że nie ma już konkurentki.

– To znaczy?

– Swietłana mówiła mi, że Pamela panicznie boi się utraty tej pracy. Ma koło czterdziestki i praktycznie żadnych szans, żeby ją gdziekolwiek przyjęto. Swietłana bardzo jej żałowała, ale też

nie chciała odejść. Nie mogła zrezygnować z zarobku. Miała na utrzymaniu synka. Poza tym zbierała fundusze na powrót do swojego kraju. Gdybyście wiedzieli, jak ona tęskniła za *mateczką Rasiją*.

Ostatnie słowa Witkowski wypowiedział z rosyjskim zaśpiewem.

– Czyli decyzję, która z nich odejdzie, powinny podjąć na początku czerwca, tak? – upewniła się Emilia. – Co zdecydowały?

– Właśnie nic. Ze względu na przyjaźń nie mogły. Decyzję pozostawiły szefowej. Zgaduję, że gdyby Swietłana żyła, Diana wyrzuciłaby Pamelę. Swietłana była przed trzydziestką. Chociażby z tego powodu. To przecież ciężki biznes. Naprawdę dogodnie się stało dla Pamelii, że Swietłana umarła.

Ostatnie słowa Witkowski wypowiedział w zamyśleniu. Wydawał się nieobecny. Marek pokiwał głową. Z pewnością trzeba będzie przesłuchać Pamelę, ale nie można też zapomnieć o podejrzeniach dotyczących samego psychiatry. Mimo swojej dziwnej aparycji mężczyzna miał ujmujący sposób bycia i w rozmowie mógł być bardzo interesujący.

– Pańska recepcjonistka wspomniała, że Jaworski i Sokołowa zaczęli terapię tego samego dnia.

– Możliwe. Nie pamiętam, ale jeżeli Bogna tak mówi, to tak na pewno jest. W każdym razie na pewno oboje przychodzili we wtorki.

– Znali się?

– Nic na ten temat nie wiem. Z widzenia pewnie tak, bo mieli sesję jedno po drugim. U mnie sesja trwa czterdzieści pięć minut. Mam więc kwadrans pomiędzy spotkaniami, żeby się wyciszyć. Czasem jednak sesja się przedłuża. Mogli się minąć kilka razy.

– A we wtorek tydzień temu byli na swoich sesjach? – odezwała się Strzałkowska.

Marek pokiwał głową. Wiele wskazywało na to, że sędzia Jaworski umarł właśnie we wtorek.

– Nie – przyznał psychiatra. – Jaworskiego nie było.

– A Sokołowa?

Witkowski pokręcił głową zamiast odpowiedzi.

– Nie zdziwiło pana, że żadne z nich nie przyszło?

– Z perspektywy czasu, jak już wiem, co się wydarzyło, to wydaje się dziwne, ale wtedy wydawało się normalne – odparł gładko. – Pacjentom zdarza się odwoływać sesje, a nawet nie przychodzić bez żadnego zawiadomienia. To nic nadzwyczajnego. Zwłaszcza kiedy wydaje im się, że już sporo osiągnęli, albo są w epizodzie manii. Czasem chodzi o koszty terapii.

– Proszę mnie poprawić, jeśli się mylę, ale z tego, co wiemy od innych świadków, wyłania mi się obraz sędziego Jaworskiego – zaczęła rzeczowo Emilia. – Jest to obraz osoby, która zawsze ściśle trzyma się planu i obsesyjnie przestrzega godzin i dni, kiedy wykonuje pewne czynności. Na przykład co niedziela rano odwiedza miejscowy sklep. Bez wyjątku.

Witkowski pokiwał głową.

– Tak. Oprócz depresji miał też zaburzenia obsesyjno-kompulsywne. Zdarza się, że te choroby współwystępują i...

– No właśnie – przerwała mu policjantka. – Czy zdarzało mu się przedtem odwołać sesję albo nie przyjść?

Psychiatra zawahał się, robiąc nieco kwaśną minę.

– Jeżeli pan nie pamięta, to mogę zapytać urocą recepcjonistkę – zaproponowała Strzałkowska spokojnie.

– To nie będzie konieczne – odparł Witkowski cierpko. – Pamiętam, że Jaworski nigdy wcześniej nie odwołał żadnej sesji. Swietłanie to się zdarzało, ale jemu nie. Przychodził bardzo regularnie.

– I nic pan nie zrobił, kiedy Jaworski nie zjawił się we wtorek?

– Droga pani, skąd mogłem wiedzieć, że coś takiego mu się stało? Gdybym miał sprawdzać każdego pacjenta...

– Ale przecież sam pan powiedział, że Jaworski cierpiał na głęboką depresję. Nie podejrzewał pan na przykład samobójstwa?

Marek spojrział na Emilię z uznaniem. Podobało mu się, jak przejęła inicjatywę i w jakim kierunku poprowadziła rozmowę. Teraz pora była na jego atak.

– Gdzie pan był w ostatni piątek wieczorem?

Nie mogli sprawdzić, czy Witkowski ma alibi na czas śmierci sędziego, bo patologowi trudno było określić, kiedy dokładnie nastąpił zgon. Jednak przy założeniu, że obie ofiary zostały zabite przez tego samego sprawcę, sprawdzenie, czy ma alibi na czas śmierci Marilyn, w zupełności wystarczyło.

– Czyli to jednak przesłuchanie? – rzucił oskarżycielsko psychiatrę. – Bardzo mi się nie podoba, że zostałem tak wprowadzony w błąd. Starłem się państwu pomóc, jak umiem!

– Bardzo to doceniamy – zapewnił Marek lekko. – Proszę w takim razie odpowiedzieć na pytanie i damy panu spokój. Gdzie pan był w piątek?

– Byłem w domu – odparł lekarz. Wyglądał teraz jak obrażone dziecko. Cały jego urok zniknął. – I nie! Nikt tego nie potwierdzi, bo moja żona jest w delegacji. Pańskie insynuacje są naprawdę śmieszne. Czy nie powinniście szukać Podgórskiego? Hannibal Lecter i te sprawy?

– Podgórskiego? – zapytał Marek. Media trąbiły o Danielu, to prawda, ale słowa psychiatry zabrzmiały, jakby Witkowski znał policjanta osobiście.

– Jego, jego. Słyszałem w radiu, że to on ostatni widział się ze Swietlaną.

– Ale nie miał żadnych powiązań z Jaworskim! – zaatakowała Emilia, chociaż dyskusja z psychiatrą na ten temat nie miała sensu.

– Jest pani pewna, że nie miał? – zapytał doktor Witkowski spokojnie. – Bo ja uważam zgoła inaczej.

ROZDZIAŁ 59

Dom dla Dzieci „Nowa Szansa” w Brodnicy.

Środa, 10 czerwca 2015.

Halina Michalik

Halina Michalik przebrała się w strój sportowy. Była bardzo dumna, że przyjedzie dziś do nich tak wiele osób. Jej dzieciaki były zachwycone, że tym razem Wojewódzkie Mistrzostwa Placówek Opiekuńczo-Wychowawczych w Piłce Nożnej odbywają się właśnie u nich. To była wielka nobilitacja, ale przede wszystkim powód do dumy i atrakcja dla jej podopiecznych.

Długo wspólnie przygotowywali boisko. Oczywiście pochłaniało to nie tylko czas, ale i fundusze. Pieniądze. Halina wolała o nich nie myśleć. Dziś jednak zaczęli się zjeżdżać goście i wszystko jej o nich przypominało.

Wyjrzała przez okno. Autokary innych ośrodków już podjeżdżały i robił się coraz większy radosny rozgardiasz. Dziś nie wolno jej się martwić. To będzie prawdziwe święto. Tym bardziej że nie zdarza się codziennie. Powinna się cieszyć.

Westchnęła. Tylko że ilekroć patrzyła na to cudowne boisko urządzone na tyłach budynku, przypominała sobie, co zrobiła. To się stało niecałe dwa lata temu. Niedługo po tym, jak dostała informację, że kolejne mistrzostwa odbędą się u nich. Nie powinna była brać tych pieniędzy! Nie za coś takiego! Radość dzieci oczywiście równoważyła wątpliwości, ale czy naprawdę cel uświęcał środki? Halina nie była już tego pewna.

Cóż... nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem. Zrobiła, co zrobiła. I zrobiła to dla dzieci. Chciała dobrze, a to chyba jest najważniejsze. Na pewno byłoby jej łatwiej, gdyby miała pewność, że nikt już się o tym nie dowie. Tylko że...

Ktoś zapukał do drzwi gabinetu, przerywając jej myśl.

– Pani dyrektor?

– Tak?

Do pokoju wszedł Konrad. Za nim Klara. Ta dwójka nastolatków doskonale się rozumiała. Spędzali ze sobą ostatnio sporo czasu i pani Michalik podejrzewała, że mają się ku sobie. Powinna z nimi o tym porozmawiać. Przecież w tym wieku to może mieć już swoje konsekwencje.

– Wszyscy już są – powiedziała Klara z uśmiechem. Była naprawdę ładną dziewczyną. Nic dziwnego, że podobała się chłopcom.

– Zajrzę jeszcze do bawialni do maluchów i już idę – obiecała Halina. Raz jeszcze wyjrzała przez okno i spojrzała na boisko. Najważniejsza jest radość dzieci.

ROZDZIAŁ 6o

Lasy w okolicy Lipowa. Środa, 10 czerwca 2015. Klementyna Kopp

Klementyna przedzierała się przez krzaki już dobre piętnaście minut. Przynajmniej tak jej się wydawało. W tym gąszczu trudno było nawet unieść rękę, żeby zerknąć na zegarek i sprawdzić.

Weronika zadzwoniła do niej rano na jeden ze starterów. Józek nie był zadowolony, bo właśnie byli w trakcie szczotkowania. Prychnął tylko i zeskoczył ze stołu, demonstrując, co o tym myśli. Liliana też nie wyglądała na zachwyconą, bo miały razem zjeść śniadanie.

Mimo to Klementyna odebrała. Wczoraj ustaliły z Weroniką, że spotkają się z samego rana, żeby podsumować dotychczasowe działania. Chciały to zrobić w chacie, gdzie ukrywał się zdrajca, żeby on również wziął w tym udział. Jeżeli Nowakowska dzwoniła, musiało coś się wydarzyć.

Okazało się, że obok dworku Weroniki stoją dziś dwa nieoznakowane radiowozy. Nowakowska nie chciała ryzykować wymykania się z domu, żeby nie naprowadzić mundurowych na Daniela. Rozwiązanie było proste. Kopp pojedzie do szafasu i omówią wszystko przez telefon, używając jednego z nowych starterów.

Bardzo proste. Tyle że Klementyna zgubiła się w cholernym zielonym gąszczu. Zaparkowała skodę w miejscu, które opisała jej Weronika. Potem poszła kawałek leśną drogą, aż znalazła charakterystyczny omszały głąz. Początkowo czuła się jak mała dziewczynka w środku jakiejś bajki. To było nawet przyjemne.

Weszła pomiędzy gęste zarośla. Według słów Weroniki miała się tam kryć wąska ścieżka. I była. Niestety Klementyna szybko

przestała rozróżniać, czy dalej nią podąża, czy może już się zupełnie zagubiła. Pewniej to drugie, bo znalazła się w tonących w zieleni krzakach i o żadnych ścieżkach nie mogło być tu mowy.

To było jakieś piętnaście minut temu. Sytuacja nie zmieniła się przez ten czas. Klementyna nadal parla przez chaszczę i miała już tego dosyć. Przystanąła niezadowolona i rozejrzała się, próbując znaleźć jakiś charakterystyczny punkt. *Null*. Bardzo prawdopodobne, że kręciła się w kółko. Kategorycznie nie była stworzona do leśnych wędrówek.

Dobrze by było wrócić i zacząć od nowa. Niestety nie wchodziło to w grę. Głównie dlatego, że Klementyna nie bardzo wiedziała, z której strony nadeszła.

– Spoko – mruknęła do siebie. To i tak było lepsze niż wariatkowo.

Nagle zauważyła kilka złamanych gałązek i lekki prześwit. W leśnym runie odznaczał się dość wyraźny ślad kopyta. Być może właśnie tędy Weronika przyjechała konno, kiedy była tu ostatnio. Nareszcie.

Klementyna ruszyła tym tropem i rzeczywiście wkrótce zobaczyła szaląs przycupnięty pośród drzew. Obok niego stał nie kto inny tylko zdrajca we własnej osobie. Daniel ubrany był w bojówki i czarną bluzę z kapturem. Wyglądał jakoś inaczej. Pod krótką brodą twarz miał jakby wychudzoną, a oczy wydawały się za głęboko osadzone. Wyglądał dziko.

– Klementyna?

Głos też miał jakiś inny. Obcy. Kopp zastanawiała się, czy ona też wygląda inaczej po przymusowym zamknięciu.

– A kto niby, co?

– Miałem nadzieję, że ktoś w końcu przyjdzie, ale spodziewałem się raczej Weroniki albo Wiery.

– Myślałeś, że zostanę w domu wariatów? Liczyłeś na to, co?

Zapadło krępujące milczenie.

– Klementyna, zrobiłem to, co wydawało mi się wtedy słuszne. Myślałem, że robię to dla twojego dobra.

– Taaa. Jasne. Dobrymi chęciami brukowano już kilka dróg.

– To czemu tu jesteś? – zaatakował niespodziewanie. To też

nie przypominało dawnego Daniela. Ani trochę.

Klementyna oparła dłonie na biodrach i stanęła na lekko rozstawionych nogach.

– Potrzebuję rozrywki.

– Spoko – rzucił.

Miała dziwne wrażenie, że ten nowy Daniel sobie z niej kpi.

– Na pewno nie po to, żeby pomagać tobie. Masz – Klementyna rzuciła mu telefon z jednym ze starterów w środku. Specjalnie wybrała najstarszy aparat, jaki zachował się w jej domu. Niech zdrajca ma, na co zasłużył. Żadnych nowinek technicznych. – Wpisałam tam numer mój i Weroniki. Przynajmniej będzie z tobą jakiś kontakt.

Nie podziękował. To też nie było w jego stylu. Klementyna czuła się nieco zdezorientowana tym, że Podgórski przestał zachowywać się jak uroczy maminsynek. Człowieka nie ma kilka miesięcy i co? Cały świat się zmienia.

– Twoja ruda gwiazda nie mogła się wyrwać, bo ma za dużo wielbicieli. Musimy sobie zrobić konferencję telefoniczną, bo nie zamierzam wszystkiego powtarzać dwa razy. Wejźmy do środka, co?

Klementyna weszła do szalasu i szybko zajęła miejsce na posłaniu z liści. Była za stara, żeby kucać. Niech zdrajca cierpi, skoro z niego teraz taki zuch. Chociażby klęczał na grochu przez najbliższy rok i tak nie zrozumie, co przechodziła w ostatnich miesiącach. Nie widział tych pustych twarzy i nieobecnych spojrzeń. Nie słyszał nocnych krzyków i nie budził się z wychudzoną staruszką wpatrującą się w jego twarz. Niech kuca.

Wybrała numer Weroniki i włączyła tryb głośnomówiący. Sygnał rozległ się głośno i zaskakująco wyraźnie. Dopóki nie zaczęły przerywać go trzaski. Widocznie w tej gęstwinie brakowało momentami zasięgu. Westchnęła i położyła telefon przed sobą na ziemi. Oby dało się jakoś porozmawiać.

Tymczasem Daniel wgramolił się za nią do szalasu i usiadł obok. Bez pytania.

– Ty na pewno jesteś tą osobą, którą myślę, że jesteś, co? Może cię podmienili?

– Klementyna, daj spokój.

– Halo? – odezwała się Weronika. Jej głos był zniekształcony przez głośnik, a niektóre dźwięki zupełnie zanikały. To jednak musiało na razie wystarczyć. – Jesteście tam?

– Czemu tak długo nie odbierasz, co? – mruknęła Klementyna.

Podgórski rozsiadł się wygodnie, zajmując większą część posłania. Miała ochotę odwrócić się i zrobić równie obrażoną minę jak wcześniej Józek. Zapewne nie wyszłoby to najlepiej, bo przecież nie była kotem. Koty mają to we krwi.

– Poszłam na górę. Tu chyba mnie nie podsłuchają!

– Nie przesadzałabym z tą techniką. Ale! Nieważne. Przejdźmy...

– Słuchajcie, muszę wam coś powiedzieć – przerwał jej Daniel. – To ważne!

– Spoko. Ale! Poczekaś sobie grzecznie. Panie przodem. Ty będziesz mówił ostatni.

Daniel przyglądał się Klementynie. Miał chyba ochotę coś powiedzieć. Ostatecznie jednak posłusznie wysłuchał opowieści Weroniki o tym, że Twiggy widziała Marilyn wieczorem w Gwiazdozbiorze.

– Twiggy była miła. Wyjaśniła, gdzie są kamery. Nie wiem, czy wymieniła wszystkie, bo wkroczył taki wielki dryblas i mnie stamtąd wyrzucił. Nie było czasu na więcej i to będzie musiało wystarczyć – podsumowała Nowakowska. – Trzeba się tam włamać i spróbować wyciągnąć nagranie. Wiem, że to jest szalony pomysł, ale...

– Słuchajcie... – spróbował dojść do głosu Daniel.

Klementyna podniosła palec ostrzegawczo.

– Kobiety przodem. Bądź dżentelmenem, co? Weronika, mówisz, że ta Twiggy była taka milutka, co?

– Tak. Wydawała się pomocna. Zresztą ta druga striptizerka też była ze mną całkiem szczerą. Nazywają ją Pamela.

– Spoko. Ale! Posłuchaj, co ja znalazłam u córki sędziego.

– Co?

– W jej mieszkaniu była całkiem interesująca papuga z dość niewybrednym słownictwem. Ale! Nie to jest najważniejsze.

W sypialni miała uroczą laleczkę. Męska główka dużo za duża w stosunku do tułowia, jedna ręka mała, druga średnia. Przypomina wam to coś?

– Inscenizacja w domu Jaworskiego... – mruknął Daniel. Na chwilę chyba zapomniał o tym, co tak koniecznie chciał im przekazać.

– To samo pomyślałam – odparła Klementyna, kiwając głową. – Ciekawe, skąd córka Jaworskiego ma to świństwo, co? To sprawia, że mam jeszcze większą chęć sprawdzić, co znajdę u braciszka sędziego.

– Do Rajmunda też zamierzasz się włamać?! – zawołała Weronika.

Klementyna uśmiechnęła się pod nosem. A jakże!

– Te gierki z loterią już mnie znudziły. Stare dobre metody są znacznie lepsze. Trzeba...

– No to słuchajcie – przerwał jej Daniel. Na jego twarzy tym razem malowała się jakaś szczególna powaga. – Może wreszcie ja powiem...

– Miałeś poczekać – upomniała go Klementyna z przekąsem. Nie upierała się jednak. Czuła, że już wystarczy tych żartów.

– Znalazłem ciała – powiedział Podgórski, ignorując jej słowa. – To znaczy brakujące części ciał. Głowę, kończyny... wszystko. Są na polanie niedaleko stąd.

Przez chwilę w szalasię panowało milczenie. Słyszeć było tylko zaskakująco intensywne odgłosy lasu dookoła.

– Oczywiście nie możemy tego tak zostawić – podjął Daniel. – To miejsce musi zostać zbadane przez techników, a ciała przez patologa. Sami przecież nie przeprowadzimy wszystkich testów.

– Co proponujesz? Chcesz się ujawnić, co?

– Mam już pewien plan, ale musicie mi pomóc.

ROZDZIAŁ 61

Garaż Braci Maciejewskich.

Środa, 10 czerwca 2015.

Piotr Maciejewski

Maciejewski otarł pot z czoła. Przytwierdził zszywaczem płat tłoczony skóry do siedzenia. Na razie tylko prowizorycznie, żeby zobaczyć, jak to wyjdzie. Przyjrzał się rezultatowi krytycznie. Efekt był całkiem ciekawy. Seledynowy pasował do zielonkawego błękitu karoserii thunderbirda, chociaż początkowo wydawało mu się, że się gryzą.

Powinien zająć się tą tapicerką na całego, ale dziś nie był w humorze. Myślał o tym, co ma się wydarzyć wieczorem. Cieszył się, że to już. Naprawdę potrzebował pieniędzy, żeby udowodnić Agnieszce, że jest odpowiedzialnym facetem. Takim, który zapewni byt i jej, i ich córce. Tak. Potrzebował pieniędzy i zdobędzie je.

– Szefie, przyszły części do tej dwieście pięćdziesiątki. Kiedy Gawroński ma zostawić furę?

Maciejewski prawie nie słyszał, co mówi Zychu. Renowacja auta prokuratora wydawała mu się teraz sprawą drugorzędną.

– Szefie?

– Tak, tak.

– Słuchasz mnie w ogóle?

Głos Zycha był teraz tak świdrujący, że wyrwał Maciejewskiego z zamyślenia.

– Tak. Nie wiem, co z Gawrońskim. Olewamy na razie.

– Zadzwoiła znowu?

Maciejewski pokiwał głową. Cieszył się, że on i Zychu rozumieją się bez zbędnych słów.

– Tak. To wszystko będzie dzisiaj.

Przedtem jednak Maciejewski zamierzał jeszcze coś załatwić. To było głupie, ale czuł, że powinien. Że nie odpuści.

ROZDZIAŁ 62

Rezydencja Rakowskich. Środa, 10 czerwca 2015. Podinspektor Wiktor Cybulski

Cybulski skręcił i niepotrzebnie zredukował bieg. Silnik mondeo zawarczał nieprzyjemnie.

– Nie sądzisz, że tracimy czas? – zapytał Małecki z fotela pasażera. – Nadal nie mamy Daniela. Włączyli się ludzie z wojewódzkiej i...

Komisarz nie dokończył. Pewnie uważał, że cisza jest wystarczająco znacząca. Cybulski pokiwał głową, skupiając się na drodze. Nie chciał dać po sobie poznać, że wie o tym, czego dopuścił się Małecki. Naprawdę się cieszył. Oznaczało to, że nie on jeden uważa Podgórskiego za niewinnego.

– Mogę zapalić? – mruknął komisarz.

Cybulski nie miał ochoty wdychać papierosowego dymu, ale uznał, że w zaistniałej sytuacji może zastosować wobec Małeckiego taryfę ulgową.

– Nie ma problemu.

Komisarz uchylił okno i wyciągnął zapalniczkę z kieszeni dżinsów.

– Uważam, że powinniśmy skupić się na poszukiwaniu Daniela – powiedział.

– Skupiamy się – zapewnił Cybulski. Jeżeli Małecki chciał z nim grać, niech gra. – Na początek zwiększyłem obstawę Weroniki. Wczoraj kręciła się w Gwiazdozbiorze, a przedtem pojechała z Klementyną pod dom Rajmunda Jaworskiego do Strzemiuszczka. To może oznaczać, że prowadzi prywatne śledztwo.

– A Kopp nie dałeś ogona?

Cybulski pokręcił głową. Nie miał najmniejszego zamiaru.

Cieszył się, że Klementyna zaangażowała się w sprawę, i nie chciał jej rozsierdzić. Żeby utrzymać grę pozorów, przydzielił drugi radiowóz Weronice. Chciał dać Klementynie możliwość działania. Kopp zazwyczaj wcześniej czy później rozwiązywała każdą zagadkę.

– Dlaczego? – nie dawał za wygraną Małecki. Wydmuchnął przy tym kłęb dymu przez okno. – Góra się nie sprzeciwia?

Cybulski wzruszył ramionami. Nawet jeżeli ludzie z komendy wojewódzkiej włączyli się w śledztwo, on na razie nadal był tu szefem. I na pewno nie musiał się tłumaczyć swojemu podwładnemu. Póki nikt z góry nie zadaje pytań, jest dobrze. Jak zaczną, spróbuje coś wymyślić.

– Słuchaj – zaczął. Miał o tym nie mówić, ale Małecki go zdenerwował. – Skoro jedziemy do wdowy po Lechu Rakowskim, pomyślałem, że przypomnę sobie tę sprawę sprzed dwóch lat. Przeglądałem segregatory z aktami sprawy Dymitra Sokołowa i Longina Grzelaka. I wiesz, co znalazłem?

Małecki nie odpowiedział. Wypuścił przed siebie kółko z dymu.

– Możliwe, że dobrze wiesz. Przeglądałeś wczoraj te segregatory, kiedy byłeś w archiwum?

– Oczywiście. Przecież to była jedna ze spraw, którą sądził Jaworski.

Cybulski trochę żałował, że poruszył ten temat. Lepiej było chyba nie mówić niczego wprost. Teraz nie było już odwrotu.

– Wspominałeś wczoraj na odprawie, że nie znalazłeś żadnych powiązań pomiędzy Danielem a sędzią.

– Bo nie znalazłem – mruknął Małecki.

– A ja znalazłem – poinformował go Cybulski. – To była mała rzecz, ale jednak. Daniel dowoził jakąś próbkę osmologiczną do laboratorium. Była na ten temat krótka notatka w raporcie.

– To szczegół. Musiałem przeoczyć.

Cybulski pokiwał głową.

– Tak, to pewnie nic ważnego – zawahał się komendant – ... no ale ktoś musiał Danielowi pomóc. Ktoś musiał wysłać tego SMS-a z ostrzeżeniem.

Małecki zaśmiał się serdecznie.

– Sądziś, że to ja wysłałem? Nie żartuj! No jesteśmy – mruknął Małecki.

Komisarz wyglądał na zadowolonego, że nareszcie dojechali do rezydencji Rakowskich i nie będzie musiał kontynuować tego tematu. Cybulski postanowił nie naciskać. To i tak nic nie zmieni. Jeżeli Małecki chciał pomóc Danielowi i woli się do tego nie przyznawać, to dobrze. Jego sprawa.

Komendant zaparkował przed bramą rezydencji. Wdowa po byłym współwłaścicielu Gwiazdozbioru zadzwoniła i zaproponowała, żeby przesłuchanie odbyło się u niej w domu, a nie w pracowni krawieckiej. Cybulski się ucieszył. Szczerze mówiąc, nie miał ochoty oglądać znowu tych okropnych lalek.

Wysiedli i podeszli do furtki. Była zamknięta, więc Cybulski przycisnął kilkakrotnie dzwonek. Rozległo się pojedyncze piknięcie i furtka odskoczyła. Weszli do ogrodu i ruszyli wyłożonym kostką chodniczkiem.

Ogród Rakowskich był wyjątkowo zadbany. Trawa została równo przycięta. Na wielkich klombach kwitły jaśminowce i wczesne róże. W drzwiach do rezydencji czekała Jagoda Rakowska. Żona zamordowanego biznesmena miała niezbyt urodziwą twarz i spłowiałe blond włosy. Trudno było uwierzyć, że była matką posągowo pięknego Michała.

– Zapraszam. Niech panowie wejdą – powiedziała, spoglądając to na Cybulskiego, to na Małeckiego. Miała ujmujący głos o nieco śpiewnym brzmieniu. Przyjemnie się go słuchało. Można było wtedy zapomnieć o niedostatkach jej urody. – Przygotowałam herbatę w salonie. Syn już czeka.

Weszli za nią do rezydencji. Była urządzona ze smakiem. Bez nadmiernego przepychu, chociaż z dbałością o każdy szczegół. Cybulski od razu pomyślał o domu, w którym kiedyś mieszkał z Żanetą. Znowu opanowała go zniechęcająca zazdrość. Nie mógł wprost znieść myśli, że młody kochanek żony traktuje ich dom jak swój.

Przestronny salon znajdował się na tyłach domu. Wielkie drzwi balkonowe otwarto na oścież. Stał w nich Michał Rakowski. Kiedy weszli, odwrócił się w ich stronę. Długie włosy miał rozpuszczone jak wczoraj. Proste ciemne pasma sięgały

mu do łopatek.

– Dzień dobry – powiedział Cybulski.

– Dobry... – mruknął Małecki.

Michał przyglądał się im niebieskimi oczami, ale nie odwzajemnił ukłonu.

– Przygotowałam kartki, żeby syn mógł panom odpowiadać – wyjaśniła Jagoda.

Rzeczywiście obok porcelanowego dzbanka do herbaty zobaczył plik kartek i staromodne pióro z kałamarzem. Wygląda na to, że ta dwójka miała słabość do staroci, uznał Cybulski, przypominając sobie, jak gustownie urządzona była pracownia krawiecka młodego Rakowskiego.

Wdowa nalala herbatę do filiżanek. Przez chwilę popijali w milczeniu. Choć wyglądało to tak, jakby raczyli się smakiem naparu, nie miało to jednak nic wspólnego z atmosferą spokoju i skupienia, której uczyli mistrzowie *chanoyu*.

Cybulski był niedawno w Japonii, gdzie uczestniczył w tradycyjnej ceremonii picia herbaty. To było naprawdę mistyczne przeżycie, więc teraz ta cisza podszyta niepokojem bardzo go drażniła. Nie tak powinno się delektować herbatą. Komendant uznał więc, że najwyższy czas zacząć przesłuchanie. Nie mógł dłużej znosić kalandria *chadō*, drogi herbaty.

Wyciągnął zdjęcia zrobione przez techników. Chciał raz jeszcze, oficjalnie, pokazać Michałowi sukienkę odnalezioną na miejscu zbrodni. Podał fotografie Rakowskiemu. Młody mężczyzna przeglądał je z kamiennym wyrazem na pięknej twarzy.

– Czy ta sukienka wyszła spod pańskiej ręki? – zapytał komendant.

Michał oddał mu zdjęcia i skinął głową jak wcześniej w pracowni.

– Wiemy, że sędzia był w posiadaniu jednej sukienki i jednej lalki z pańskiej kolekcji. To prawda?

Kolejne beznamietne kiwnięcie głową.

– Jak to się stało, że je miał?

Michał sięgnął po kartkę.

Dalem mu – napisał.

– Jak do tego doszło? – zapytał Cybulski, odstawiając filiżankę.

Michał Rakowski spojrział na niego, ale tym razem nie sięgnął po kartkę. Przyglądał się tylko komendantowi spod błękitnego oka. Jagoda westchnęła cicho.

– Mój syn nie lubi obcych – wyjaśniła, spoglądając na Michała czule. – To może ja opowiem za niego.

– Będziemy bardzo wdzięczni – zapewnił Cybulski. Nie było to idealne rozwiązanie, ale był zadowolony, że może jednak czegoś się dowiedzą.

– Od czasu skazania zabójców mojego męża utrzymywałam kontakty z sędzią Jaworskim – oznajmiła Jagoda swoim zmysłowym głosem.

Cybulski i Małecki spojrzeli na nią pytająco. Rakowska zaśmiała się nieco zakłopotana. Jej końska twarz wyglądała teraz całkiem ładnie.

– Nie w sensie seksualnym – dodała nadal zakłopotana. – Sędzia Jaworski odwiedzał mnie regularnie w każdą ostatnią środę miesiąca. Miał swoje przyzwyczajenia. Zdążyłam się o tym przekonać.

– Na czym dokładnie polegały te relacje? – zapytał Małecki.

Jagoda zerknęła na niego i upiła maleńki łyk herbaty.

– Zazwyczaj po prostu rozmawialiśmy – wyjaśniła po chwili. – Byłam mu wdzięczna, że pomścił śmierć mojego Lecha. To on skazał Longina i Dymitra na więzienie. Dzięki niemu dostali to, na co zasługiwali.

Na te słowa Michał Rakowski lekko przewrócił oczami. Wyglądało na to, że krawiec słyszał te słowa nie pierwszy raz.

– Przyznam też, że odkąd Jaworski odszedł z sądu – podjęła Jagoda – wspieram go finansowo. To znaczy wspierałam... zanim to wszystko się wydarzyło...

Cybulski spojrział na Jagodę z zainteresowaniem. Czyżby Rakowska utrzymywała Jaworskiego? Czy to mogło mieć jakiś związek ze śmiercią sędziego? Może nie chciała już sięgać do portfela? Czemu w takim razie zabiła Swietlanę Sokołową? Nie, to do siebie wcale nie pasowało.

– I właśnie podczas jednej z takich wizyt pani syn podarował sędziemu Jaworskiemu sukienkę i lalkę?

Jagoda spojrzała na Michała, jakby chciała się upewnić, że może o tym mówić. Krawiec nie zareagował.

– Tak – przyznała więc. – To było podczas ostatniej wizyty. Dwudziestego siódmego maja. Ostatnia środa miesiąca.

– Czy sędzia zachowywał się wtedy jak zazwyczaj? – zapytał Cybulski.

– Tak – odparła kobieta. Może trochę za szybko.

Komendant sięgnął do kieszeni i wyciągnął zdjęcie Swietłany Sokołowej. To nie była fotografia z miejsca zbrodni, ale jedno ze zdjęć, które śledczy znaleźli w jej domu. Zwyczajna, niepozowana fotografia. Podał ją Michałowi.

– A tę kobietę pan znał?

Krawiec wzdygnął się i podszedł z powrotem do okna, jakby tam czuł się bezpieczniej. Jagoda zerwała się natychmiast z sofy i podeszła do syna. Objęła go opiekuńczym gestem i szepnęła mu coś pocieszającego do ucha. Stali niestety za daleko, żeby Cybulski mógł coś dosłyszeć. Zerknął na Małeckiego, ale komisarz pokręcił przecząco głową.

– Oczywiście, że mój syn ją znał. Ja też ją znałam – powiedziała Jagoda jadowicie. Jej głos stracił cały swój urok. – Przecież mój Lech był jednym z właścicieli Gwiazdozbioru... Póki mąż Diany go nie wykończył, żeby przejąć całość.

– Gdzie państwo byli w piątek wieczorem? – zapytał Cybulski. Jagoda spojrzała na niego ze złością.

– Pyta pan o alibi?

– Nie mam innego wyjścia.

– Oboje z synem byliśmy we Wrocławiu – oznajmiła Rakowska z satysfakcją.

– Ktoś może to potwierdzić?

– Oczywiście. Pojechaliśmy do moich przyjaciół. Wieczorem poszliśmy do opery na *Latającego Holendra*. Rozmawialiśmy nawet z reżyserem. To było niesamowite widowisko.

Cybulski pokiwał głową. Czytał w jednym z dodatków kulturalnych, że Opera Wroclawska zorganizowała w ramach letniego festiwalu prawdziwe „megawidowisko operowe na

wodzie”. Brzmiało to intrygująco. Nie był co prawda wielkim miłośnikiem opery. Tu zawsze była go na głowę Klementyna. Wagnera jednak cenił. *Latający Holender* zawsze wydawał mu się najciekawszym dziełem kompozytora, chociaż niektórzy pewnie powiedzieliby, że dopiero zapowiada przyszłe dzieła mistrza.

– O której rozpoczęło się widowisko?

– O dziesiątej wieczorem, ale we Wrocławiu byliśmy oczywiście wcześniej.

– A kiedy państwo wrócili? – odezwał się Małecki mrukliwie.

– W sobotę rano. Na pewno wszyscy potwierdzą naszą wersję! Cybulski westchnął cicho. Wyglądało na to, że jego idealny kandydat na zabójcę miał równie idealne alibi. To z kolei oznaczało, że musi zadać pytanie o oficjalnego podejrzanego, o Daniela. Trzeba było znaleźć ewentualny związek Daniela z lalkami i sukienką. Nie było innego wyjścia. Nawet jeżeli to Małecki wysłał Podgórkowskiemu SMS-a z ostrzeżeniem i był po jego stronie, Cybulski nie mógł otwarcie zlekceważyć głównego tropu w śledztwie.

Wyciągnął zdjęcie Podgórkowskiego.

– A jego pan zna?

Michał wziął zdjęcie i przyjrzał mu się uważnie. Niespodziewanie jego twarz się wykrzywiła. Rakowski osunął się na ziemię, a jego ciałem zaczęły wstrząsać drgawki. Jagoda rzuciła się do syna i błyskawicznie ułożyła go na boku. Cybulski i Małecki też zerwali się na równe nogi. Atak wyglądał groźnie. Gorączkowo próbował przypomnieć sobie, jak udzielić pierwszej pomocy w tej sytuacji.

– Spokojnie. To się czasem zdarza – zapewniła ich Rakowska, ale sama wyglądała na przestraszoną. – Wszystko będzie dobrze.

– Na pewno nie trzeba wezwać karetki? – zapytał Cybulski.

– Nie trzeba. Mamy lekarstwa – zapewniła Jagoda i odwróciła się do Małeckiego, który stał bliżej. – Niech pan mi pomoże zanieść go do pokoju.

Komisarz wyglądał, jakby miał wątpliwości, czy chodzi o niego. Jednak schylił się i pomógł Michałowi wstać.

Konwulsje nieco zelżały, więc Cybulski odetchnął z ulgą i postanowił się nie wtrącać. Na pewno teraz krawiec nie pragnął wzbudzać zainteresowania wszystkich wokoło.

Komendant usiadł na kanapie w oczekiwaniu na powrót Małeckiego. Wyciągnął z powrotem zdjęcie Daniela i spojrzał na twarz policjanta w zamyśleniu. Atak Michała rozpoczął się zaraz po tym, jak Cybulski pokazał mu fotografię. Może naprawdę istniał jakiś związek między młodym Rakowskim a Danielem? Czy to widok Podgórskiego wywołał tak silną reakcję u krawca? A jeżeli tak, to dlaczego? Może krawiec się bał? Przecież napady padaczki często są wyzwalane przez skrajnie silne emocje.

Zanim komendant zdążył dojść do jakichkolwiek wniosków, zadzwoniła jego komórka.

– Mamy resztę ciała – oznajmiła dyspozytorka bez zbędnych wstępów.

– Jadę – zapewnił Cybulski. – Zaraz będę.

Uznał, że po Małeckiego przyśle kogoś z drogówki. Nie było czasu do stracenia.

ROZDZIAŁ 63

Mieszkanie Sabiny Chrzanowskiej.

Środa, 10 czerwca 2015.

Nina Chrzanowska

Nina Chrzanowska rozejrzała się po pokoju w rozpacz. Wróciła do mieszkania Sabinki w nadziei, że sama zdoła ustalić przyczynę zniknięcia córki. Na policję już nie liczyła. Byli zajęci sprawą podwójnego zabójstwa. Nie mogła się łudzić, że ktokolwiek zajmie się szukaniem Sabiny. Widziała to w oczach funkcjonariusza, który przyjmował zgłoszenie o zaginięciu.

Chrzanowska powstrzymała szloch. Wiedziała, że to nie wynika ze złej woli policji, ale i tak czuła narastającą wściekłość. Jak mogli zupełnie nic nie robić? Zupełnie nic! Nie byli jeszcze nawet tu w mieszkaniu Sabiny.

Ona za to przychodziła już kolejny raz. Jakby mogła na tych pięćdziesięciu metrach kwadratowych znaleźć jakąś wskazówkę. Szukała igieł, szukała sreberka, czegokolwiek, co kojarzyło jej się z tym, przez co przechodziła jej córka kiedyś. Piekło uzależnienia od narkotyków. Nic takiego nie znalazła. Były tylko sterty ubrań. Nowa pasja Sabiny. Tylko tyle! Wyglądało na to, że jej córka naprawdę od miesiąca jest czysta.

Chrzanowska rozmasowała skronie. Ból głowy narastał, a przecież musiała się skupić. Jeżeli Sabinka była czysta, to jej zniknięcie być może wcale nie wiązało się z narkotykami. Co się w takim razie stało? Gdzie jest jej córka?

Zamknęła drzwi i wyszła na klatkę schodową. W ramach własnych desperackich poszukiwań rozmawiała już chyba ze wszystkimi mieszkańcami bloku. Oczywiście nikt nic nie widział i nikt nic nie słyszał. Jak zwykle.

Ta obojętność wyprowadzała Chrzanowską z równowagi. Przecież ktoś musiał coś... Stłumiła przekleństwo. Ściany w tym

budynku były tak cienkie, że miało się wrażenie, że bierze się udział w kłótni sąsiadów. Wiedziała, bo sama kiedyś tu mieszkała. Zanim nie wyprowadziła się na obrzeża miasta po drugim ślubie. Jak to możliwe, że nikt nic nie słyszał?

– Gdzie jest Sabina? – powiedziała na głos.

Od razu się zawstydziła, mimo że na klatce schodowej nie było nikogo. Odchrząknęła. Z drugiej strony, czy tak naprawdę ma się czego wstydzić? Próbuje tylko odnaleźć córkę.

Przez chwilę rozważała, czy nie pójść raz jeszcze do wszystkich sąsiadów i nie popytać ich nieco ostrzej. Powołać się na matczyne uczucia. Uznała jednak, że to bezcelowe. Musiała wymyślić coś innego.

Wyszła przed budynek i znowu zaczęła rozmasowywać skronie. Świeże powietrze. Tego jej było trzeba na początek. Trzeba zacząć od tego, co wiem, zdecydowała w końcu. Od ostatniego kontaktu z córką.

Próbowała odtworzyć w głowie wydarzenia z tamtego piątku. Rozmawiały przez telefon po powrocie Sabiny z Warszawy. Córka była taka radosna, chociaż zmęczona podróżą... Zaraz... Która to mogła być? Może koło siedemnastej.

Chrzanowska odetchnęła głębiej. Tak. Musiała postępować metodycznie. Przypominać sobie tamten dzień krok po kroku. Sabina mówiła chyba, że zaraz wejdzie do domu. Obiecywała, że zadzwoni w sobotę, bo cały wieczór będzie porządkować notatki, które zrobiła podczas kursu. Tak. Coś takiego mówiła. Tylko że w sobotę nie zadzwoniła...

Chrzanowska rozejrzała się dookoła. Chodnik wyłożony był starymi popękаныmi płytami. Nie doszły tu jeszcze zmiany. Nie było nowoczesnej kostki. Sabinka musiała tędy iść, kiedy rozmawiała z nią wtedy w piątek. Chrzanowska niemal słyszała, jak kółeczka walizki córki stukają po chodniku.

Słumiła kolejne przekleństwo. Szkoda, że nie może cofnąć się w czasie. Jak w jednym z tych niegdyś popularnych filmów, które razem oglądały, kiedy Sabina była jeszcze mała.

– To by wiele ułatwiło – mruknęła Chrzanowska.

Przeszła chodnikiem w tę i z powrotem. Zatrzymała się i spojrzała na dom córki. Tak, tędy szła Sabina. Tylko co się

stało potem? Córka musiała wejść do środka i zostawić rzeczy, bo nierozpakowana walizka była przecież na górze. Nawet telefon komórkowy leżał na stole.

Chrzanowska znowu rozmasowała skronie. To był kolejny konkret. Sabina nigdy nie wychodziła bez telefonu. A zwłaszcza gdy wybierała się gdzieś na dłużej. Z tego wynikało, że miała zamiar wyskoczyć z domu tylko na chwilę. Gdzie?

Chrzanowska rozejrzała się. Jej wzrok padł na niewielki sklepik z warzywami po drugiej stronie ulicy. Uderzyła się w czoło. Oczywiście! To miało sens. Sabina weszła do domu, zostawiła rzeczy i wyszła po coś do jedzenia. Ostatnio kupowała tylko zdrowe przekąski, więc warzywniak pasował idealnie. Tak to musiało się odbyć.

Chrzanowska ruszyła do sklepiku. Kilka kobiet stało w kolejce, ale nie przejmowała się tym. Była zbyt podekscytowana. Podeszła do sprzedawcy.

– Szukam mojej córki – rzuciła rozpaczliwie.

Jedna z kobiet fuknęła coś pod nosem, rzucając jej wrogie spojrzenie.

– Co pani powiedziała? – zaatakowała Chrzanowska.

– To ta ćpunka spod piętnastki, prawda? – odparła kobieta z satysfakcją.

Dopiero teraz ją rozpoznała. To była Luiza. Dawno temu chodziły razem do podstawówki. Wszyscy się za nią oglądali. Teraz babsko miało trzy podbródki.

– Sabinka już nie jest taka...

– Już ja ją znam! Ile to razy do niej policja przyjeżdżała. Co za sąsiedztwo!

– Córki nie potrafi wychować! – dodała druga z klientek.

Chrzanowska czuła na sobie karcące spojrzenia kobiet i wiedziała, że mają rację. Nie potrafiła już dłużej powstrzymać łez. Spłynęły po policzkach. Nawet ich nie ocierała. Miały rację. Te cholerne baby miały rację. Nie potrafiła nawet wychować własnej córki. Nie potrafiła nawet jej odnaleźć. Była do niczego.

– Ale co też panie gadają? – zachnął się sprzedawca. Miał rumianą twarz poprzecinaną siecią popękanych naczynek. Jego palce były zgrubiałe od pracy na roli. – Co się stało z pani

córką?

Chrzanowska spojrzała na mężczyznę z wdzięcznością. Wyciągnęła telefon i pokazała mu zdjęcie córki. Sabina jak zwykle miała włosy związane w dwa rude warkoczki. Dawno już wyrosła z tej dziecięcej fryzury, ale nie przejmowała się tym zbyt. Zbyt.

– Mojej Sabiny nie ma od piątku – wyjaśniła. – Zastanawiałam się, czy po siedemnastej w piątek nie wstąpiła tu do pana do sklepu. Była po podróży. Może głodna...

– U dilerów byś jej poszukała – warknęła Luiza. Jej głos aż ociekał satysfakcją. – Teraz moja kolejka. Nie mam całego dnia.

Sprzedawca spojrział na rozgniewaną kobietę i skrzyżował ręce na piersiach.

– Ale ja mam – mruknął.

– Co za chamstwo. Ostatni raz mnie pan tu widzi!

– I bardzo dobrze.

Kobieta fuknęła z wściekłością i odeszła, kołysząc szerokimi biodrami.

– Nie trzeba było – wydukała Chrzanowska. Łzy znowu cisnęły jej się do oczu na tę zwykłą ludzką życzliwość.

– I tak baby nie lubiłem. Ktoś jeszcze ma coś do powiedzenia?

Sprzedawca rozejrzał się po kobietach. Żadna nie odpowiedziała, jakby bały się konsekwencji. Mężczyzna pokiwał głową z aprobatą i odwrócił się z powrotem do Chrzanowskiej.

– Wie pani co? Do mnie to nie przychodziła, ale wydaje mi się, że ją widziałem.

– Naprawdę?

– Chyba wsiadała do samochodu.

Chrzanowska poczuła, że serce bije jej szybciej. Może wreszcie trafiła na jakiś trop. Jeżeli zbierze więcej danych, będzie mogła przedstawić je policji. Tym razem nie będą mogli jej zignorować.

– Do samochodu? Jest pan pewien?

– Nie. Ale tak mi się wydaje. Znam ją z widzenia. Te rude warkoczki... Jak z tej książki dla dzieci... jak to było?

– Pippi? – odważyła się powiedzieć któraś z kobiet stojących w kolejce.

Sprzedawca pokiwał głową.

– Może. To było o takiej dziewczynce, co była strasznie silna. Czytałem to mojej wnuczce jakoś ostatnio. Córka kupuje całe tony tych książeczek, jakby to się do czego przydawało... Wnusia i tak wołałaby lalkę.

– Ale jak to było? – przerwała mu Chrzanowska. Musiała mieć jak najwięcej konkretów. – Co to za samochód?

– Nie pamiętam zbyt dokładnie. Taki mały terenowy.

– Rejestracji pan nie pamięta?

Sprzedawca uśmiechnął się do niej dobrotliwie.

– Proszę pani, ja nie prowadzę obserwacji aut, które tu parkują. Nie jestem strażą miejską.

Chrzanowska pokiwała gorączkowo głową. Nie szkodzi. Może uda się znaleźć jakieś nagrania z monitoringu miejskiego. Trzeba było pytać dalej. Dowiedzieć się jak najwięcej.

– Wsiadła i co?

– Ten samochód chyba tu na nią czekał, bo stał na chodniku i kiedy nadeszła, to zjechał z chodnika i podjechał do niej. Wsiadła i odjechała...

– A walizka?

Mężczyzna patrzył na nią zdezorientowany.

– To znaczy?

– No bo Sabinka wracała z Warszawy. Miała ze sobą walizkę. Jest w jej mieszkaniu, więc musiała wejść...

– Nie wiem... Może. Chyba tak. Chyba poszła najpierw do bloku. Potem wróciła i wsiadła do tego samochodu. Chyba знаła kierowcę.

– Widział go pan?

– Nie. Ale widziałem, że rozmawiała z nim przez szybę.

– Może go pan chociaż opisać?

– Przykro mi. Nawet sylwetki nie widziałem. Tylko tyle, że pani córka przystanęła i gawędziła wesoło.

Chrzanowska odetchnęła. Być może policjant miał jednak rację. Wyglądało na to, że Sabina oddaliła się z własnej woli z kimś znajomym. Ulga była tak wielka, że prawie

niewyobrażalna. Jeżeli to ktoś z jej przyjaciół, to nie było chyba powodu się bać! A przecież Chrzanowska przez chwilę myślała już o najgorszym.

– Dziękuję – powiedziała do sprzedawcy.

– Nie ma za co. A to na drogę.

Mężczyzna rzucił jej wielkie zielone jabłko Granny Smith. Chrzanowska złapała je nieco niezręcznie. Myślami była już gdzie indziej. Trzeba podzwonić. Już raz to zrobiła. Nikt z przyjaciół Sabiny nie wiedział, gdzie jest. Może ją kryli? Ulgę zastąpił żal, że Sabina najwyraźniej jej nie ufała.

ROZDZIAŁ 64

Okolice Domu dla Dzieci „Nowa Szansa” w Brodnicy. Środa, 10 czerwca 2015. Lew Sokołow

Lewka Sokołow patrzył na tego pana przestraszony. Nie był pewien, co robić. Pan położył palec na ustach. O tak. Ciii. Mama często tak robiła. Ciiiiiii. Tak wtedy mówiła.

– Teraz musisz być bardzo, bardzo cichutko, rozumiesz? – szepnął pan, pociągając Lwa za rękę.

Chłopiec spojrział na niego. Potem na dom, w którym miał teraz mieszkać. Tak mówiła tamta pani. Była miła, miłsza od Edyty, ale Lewka i tak zastanawiał się, co z mamą. Gdzie jest i kiedy po niego wreszcie przyjedzie?

– Chodź z tatusiem – przekonywał pan.

Chłopiec skinął w końcu głową. Mama chyba lubiła tego pana, ale nigdy nie kazała nazywać go tatusiem. Tatuś był w więzieniu.

– Masz tu forszę i gęba na kłódkę, dobra? – rzucił pan do starszego chłopaka, który przyprowadził tu Lwa.

Chłopiec spojrział ostatni raz w stronę wielkiego budynku, który wcale nie wyglądał jak dom. Ciekawe, gdzie jest mama? Lewka miał ochotę zapytać o to tego pana. Jest dorosły, może coś wie. Zauważył jednak jego minę. Lepiej nie pytać. Lewka dobrze znał miny różnych panów. Ta wskazywała na to, że nie czas na żarty.

ROZDZIAŁ 65

Polana na cyplu.

Środa, 10 czerwca 2015.

Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska

Emilia starała się oddychać spokojnie, ale niezbyt głęboko. Charakterystyczny odór, który roztaczał się wokół, skutecznie do tego zniechęcał. Starła się o nim nie myśleć i skupić na intensywnej woni lasu zmierzającego ku latu i zapachu wody, dochodzącym od jeziora Strażym.

– Wszystko w porządku? – upewniła się Weronika.

– No właśnie? – poparła ją Wiera. – Wyglądasz naprawdę bledziutko, kochanieńka.

Emilia spojrzała na nie spod oka. Znowu te dwie! Najpierw odnalazły ciała w zamkniętym domu sędziego Jaworskiego, a teraz ludzkie szczątki na ukrytej polanie. I to tej z obeliskiem pośrodku.

Strzałkowska była pewna, że na zdjęciu w telefonie Swietłany Sokołowej było to samo miejsce. Nie mogło być mowy o pomyłce. W końcu ile takich obelisków może być w tych lasach. Rozejrzała się. Ta polana była naprawdę dobrze ukryta. Zdecydowanie łatwiej było się tu dostać łodzią, tak jak zrobili to śledczy, niż przedzierać przez krzaki łądem. Gęstwina, która otaczała cypel, stanowczo zniechęcała do pieszych wędrówek. Idealna lokalizacja, żeby ukryć kawałki ciała. Tylko skąd sprawca znał to miejsce?

– Czyli zbierała pani zioła i tak po prostu trafiła na tę polanę?

– upewniła się Emilia, przyjmując odpowiednio podejrzliwy ton. Wydawało się to dziwne, więc przyszło jej to z dużą łatwością.

– Nie tak znowu po prostu, kochanieńka. Sama chyba widzisz, że nie jest to uczęszczane miejsce, ale ja znam tę

polanę! Na początku lata często zbieram w okolicy kosztywał. Ta roślina lubi obrzeża jezior – wyjaśniła Wiera. – Kiedy przyszedłam dziś w południe, zastałam tu te torby.

Wszystkie spojrzały w kierunku worków. Leżały obok wielkiego głazu stojącego dokładnie na środku polany. Patolog właśnie przy nich pracował. Komendant Cybulski, prokurator Gawroński i Marek Zaręba przyglądali się temu w skupieniu. Emilia została oddelegowana do przesłuchania Weroniki i Wiery. Ktoś przecież musiał to zrobić, prawda? Nikt nie wspomniał o prawdziwym powodzie. O tym, że Strzałkowska ostatnio naprawdę źle znosiła widok trupów.

– To jest wersja dla nich? – zapytała bardzo cicho, kiwając głową w stronę śledczych.

– Oczywiście, że tak. Dla nich i dla wszystkich innych też, bo tak właśnie było – zapewniła Wiera bez zająknięcia. – No więc znalazłam te worki, ale nie miałam ze sobą telefonu. Wróciłam więc do Lipowa. Dworek Weroniki leży na skraju lasu, pomyślałam, że im szybciej zawiadomię policję, tym lepiej. Razem powiedziałyśmy tym ludziom z radiowozu. Resztę znasz.

Emilia westchnęła. Trudno było powiedzieć, czy sklepikarka mówi prawdę. Ludzie z nieoznakowanego radiowozu, którzy obserwowali dom Weroniki, rzeczywiście widzieli, jak Wiera wychodzi z lasu i wchodzi do dworku Weroniki. Nie mogli jednak wiedzieć, skąd przyszła. A już tym bardziej, co robiła wcześniej. Wiery przecież nikt nie obserwował. Interesowali się raczej Nowakowską.

– Dajcie spokój – szepnęła Emilia. – Powiedzcie mi prawdę...

Weronika i Wiera zdawały się zaskoczone proszącym tonem policjantki. Strzałkowska sama nie mogła uwierzyć, że te błagalne słowa wyszły z jej ust. Czyżby znowu hormony? A może to wszystko, co teraz się działo, było ponad jej siły? Podejrzenia wobec Daniela to jedno. Teraz doszło kolejne zmartwienie. To, co powiedział jej ten psychiatra, doktor Witkowski. O powiązaniu pomiędzy Podgórskim a sędzią Jaworskim.

Witkowskim zainteresowali się, kiedy przeczytali fragmenty

dotyczące etyki zawodu psychologa i psychiatry podkreślone przez Jaworskiego w podręczniku wypożyczonym z biblioteki. Podczas wizyty w Centrum Terapii wyszło na jaw, że nie tylko sędzia Jaworski był tam pacjentem, ale Swietłana Sokołowa także. Emilia i Marek uznali to za bardzo obiecujący dowód na to, że Witkowski był w tę sprawę zamieszany. Tym bardziej że jeździł identycznym subaru jak Daniel i to jego samochód mógł zostawić ślady opon na podjeździe domu Jaworskiego w Szramowie.

Wszystko świetnie... tylko że dowiedzieli się czegoś jeszcze. Na samą myśl Emilia znowu zaczęła oddychać zbyt szybko. Miała nadzieję, że rozmówczynie tego nie zauważyły. Jak się okazało, jej syn, Łukasz, także uczęszczał we wtorki na sesje terapeutyczne u doktora Witkowskiego. Co więcej, syna odbierał z terapii Daniel we własnej cholernej osobie. Jakoś żaden z nich nie uważał za stosowne wspomnieć jej o tym, mimo że Łukasz leczył się od połowy maja!

Co więcej, miał terapię tuż po Sokołowej i Jaworskim. Doktor Witkowski twierdził, że sędzia czekał czasem, aż Daniel przyjedzie po Łukasza, bo wtedy policjant podwoził go w okolice Lipowa. Odkąd Jaworskiemu zepsuł się samochód, skazany był na nieregularnie kursujące pekaesy. Najwyraźniej wolał poczekać dwie godziny na podwózkę niż tłuc się autobusem.

Emilia poczuła, jak serce bije jej szybciej. Dziecko poruszyło się niespokojnie. Przełknęła ślinę i pogłaskała się po brzuchu. Była zupełnie wytrącona z równowagi. Jako matka powinna pierwsza wiedzieć o tym, co dzieje się z jej synem! Skoro Łukasz miał problemy, dlaczego nie przyszedł z tym do niej? Dlaczego poszedł do tego cholernego Daniela?! Wolał wечно nieobecne go ojca od niej? To po pierwsze. A po drugie. Co z Danielem? Dlaczego nie powiedział, że zna sędziego? Powinien był, skoro nic nie ma na sumieniu! Cholera!

– Mówimy prawdę – powiedziała Wiera, chociaż Strzałkowska zdążyła już zapomnieć, jakie zadała jej pytanie.

– Czyli nie wiecie, gdzie jest Daniel? – Emilia odwróciła się do Nowakowskiej i wycelowała w nią oskarżycielsko palec. –

Weronika, komendant Cybulski mówił, że byłaś wczoraj w Gwiazdozbiorze. Prowadzisz prywatne śledztwo? Wiecie, gdzie on jest, do cholery?!

Strzałkowska chciała, żeby pytanie zabrzmiało neutralnie, ale niezbyt to się udało. Nie była wcale zadowolona, że tak się uniosła. Niestety panowanie nad emocjami przychodziło jej teraz z dużym trudem. Daniel absolutnie nie mógł być mordercą! Nie ojciec jej dzieci. Była gotowa udowodnić to za wszelką cenę. Właśnie dla nich! Cholerny Podgórski!

– Emilia! – zawołał Marek, wyrывая Strzałkowską z zamyślenia.

Policjantka spojrzała w jego stronę. Zaręba zrobił przyzywający ruch ręką i skinął głową w kierunku jeziora. Na polanę dotarł właśnie komisarz Małecki. Zapewne przyplłynął motorówką policji wodnej, jak oni wcześniej.

– Wiecie, czy Daniel to zrobił, czy nie? – szepnęła Emilia. Musiała coś wydobyć z Weroniki i Wiery. Musiała! – Powiedzcie cokolwiek!

Nowakowska otworzyła usta, jakby zdecydowała się mówić, jednak się nie odezwała. Wiera też spuściła oczy i intensywnie przyglądała się leśnemu poszyciu.

– A pieprzyć tego cholernego Daniela! – warknęła Strzałkowska i ruszyła do obelisku, zostawiając Weronikę i Wierę na skraju polany.

Podeszła do głazu, starając się oddychać przez usta, żeby trupi odór znowu jej nie zemdlil. Nie miała ochoty zostać pośmiewiskiem całej komendy. I tak na pewno już z niej żartowano po tym, co się stało na posesji Jaworskiego. To ją rozwścieczyło. W tym zawodzie kobieta musiała pracować dwa razy ciężiej, żeby wzbudzić respekt kolegów. Potem wystarczył jeden błąd i znowu była szufladkowana jako ta słabsza.

– Kurwa, spotkanie z tym całym Michałem Rakowskim trwało znacznie dłużej, niż można się było spodziewać – powiedział właśnie Małecki. Spojrzał przy tym z wyrzutem na Cybulskiego, jakby to była wina komendanta.

– Doszedł do siebie? – zapytał komendant.

– Tak. Atak minął. Przyjął jakieś leki. Pospieszmy się. Trzeba

nadrobić czas.

– Jak powiedział kiedyś kardynał Wyszyński, „zagadnienia braku czasu nie rozwiąże się przez pośpiech, ale przez spokój”. Najważniejsze, że już jesteś i możemy przejść do działania – podsumował Cybulski. – Marek uważa, że ta polana może grać istotną rolę w naszej sprawie.

Zaręba pokiwał z entuzjazmem głową.

– Tak. W starym telefonie Marilyn było *selfie* jej i Pameli z Gwiazdzbioru. Zostało zrobione właśnie tu. Jakiś rok temu.

Emilia pokiwała głową, żeby poprzeć kolegę. Myślała przecież o tym samym. Skupiła się na twarzy Marka, żeby nie patrzeć na worki z częściami ciał.

– Z tego, co mówił nam dziś psychiatra, Pamela mogła mieć motyw, żeby zabić Marilyn – powiedziała. – Mogła bać się, że straci pracę.

– Będziemy musieli sobie z tą Pamelą porozmawiać. Chyba się zgadzacie? – rzucił Marek w stronę Cybulskiego, Gawrońskiego i Małeckiego. Zabrzmiało to nieco zaczepnie. – Zobaczymy, co powie. Trzeba ją wypytać, dlaczego były tu z Marilyn i skąd znały to miejsce. Ja mieszkam całe życie w Lipowie i nie wiedziałem, że coś takiego się tu ukryło.

Prokurator Gawroński spojrział na Emilię.

– Warto zamienić z nią kilka słów – powiedział, uśmiechając się. – Nawet jeżeli to nam niewiele da.

Na te słowa komisarz Małecki westchnął głośno, jakby był bardzo zmęczony. Włożył papierosa do ust i zapalił. Strzałkowska nie lubiła zapachu dymu, ale tym razem bardzo się z tego ucieszyła. Dym sprawiał, że fetor rozkładających się zwłok był mniej wyczuwalny.

– A co my tu mamy? – zapytał komisarz, kiwając głową w stronę obelisku.

Pakunków było około dziesięciu, bo każda część z maltretowanych ciał została zapakowana oddzielnie. Wyglądało na to, że zrobiono to z dużym pietyzmem. Kończyny nadal były szczelnie owinięte. Tylko folia na tułowiu została porozrywana. Być może przez jakieś zwierzęta, które zapewne liczyły na niezłą wyżerkę. Pakunek leżał kilka metrów od

obelisku. Pewnie został przeciągnięty. Doktor Koterski właśnie przy nim pracował.

Mniej więcej w połowie drogi pomiędzy folią z tułowiem a kończynami przy obelisku leżała czarna torba na śmieci. Okrągły kształt wyraźnie sugerował jej zawartość. Strzałkowska starała się powstrzymać zbliżające się torsje.

– Głowa, tułów, cztery ręce i cztery nogi – podsumował spokojnie Małecki, jakby właśnie sporządzał listę zakupów. – Czyli wygląda na to, że mamy to, czego nam brakowało. Głowa należy do Swietłany Sokołowej? Zagląдалиście już do tej torby?

– Tak – powiedział Cybulski. – To ona.

Emilia nie zajrzała do czarnego worka na śmieci, ale nawet z tej odległości widziała wystające z niego blond kosmyki, które musiały należeć do Marilyn. Starła się nie zastanawiać, jak wygląda teraz twarz striptizerki.

Tymczasem patolog przy pomocy ludzi z zakładu medycyny sądowej przełożył męski tułów na plecy.

– No proszę – zawołał doktor Koterski. – Zapraszam do mnie!

Śledczy zbliżyli się ostrożnie. Folia na brzuchu denata była poszarpana tak jak na plecach. Pod skrawkami folii Emilia wyraźnie widziała kształt wycięty na brzuchu. Poczowała, że serce bije jej szybciej. Jak zwykle w takiej sytuacji Dziecko zaczęło kopać ze zdwojoną siłą. Poglaskała się po brzuchu uspokajająco. Jak to wszystko się skończy, pójdzie na urlop, zdecydowała. Dziecko nie powinno w tym wszystkim uczestniczyć.

– Nie zrobiły tego zwierzęta – powiedział Małecki.

Patolog pokiwał głową.

– Wygląda na to, że sprawca najpierw owinął ciało folią, a potem zdecydował się wyciąć ten pentagram.

– Może odbywały się tu jakieś rytuały satanistyczne? – powiedział Marek i zatoczył ręką dookoła, a w końcu wskazał z triumfem tkwiący na środku polany obelisk. – Naprawdę musimy porozmawiać z tą Pamelą!

– Poczekajcie! – zawołał Małecki. Wszyscy odwrócili się w jego stronę. Komisarz zmarszczył się zabawnie, jakby

o czymś intensywnie myślał. Wyjął papierosa z ust i zgasił go o obcas kowbojki. – Przecież ostatnio w gazetach rozpisywano się o satanizmie. W kontekście Garażu Braci Maciejewskich.

Emilia się zamyśliła. Rzeczywiście niedawno w Brodnicy wybuchł skandal. Nawet któryś z przesłuchiowanych o tym wspomniał. Czy to był psychiatra? Nieważne, uznała w duchu. W każdym razie Piotr Maciejewski ze swoimi ludźmi, których nazywał braćmi, prowadził zakład naprawy samochodów niedaleko dawnego dworca. Właściwie zajmowali się szeroko pojętym tuningiem i renowacją pojazdów. Nikt się nimi nie interesował do momentu, kiedy zdecydowali się zawiesić nowe logo nad zakładem.

Szybko wybuchł skandal, bo niektórzy dopatrzyli się tam trzech szóstek, a te musiały oznaczać kontakty z siłami nieczystymi. Atmosferę podgrzewał niewątpliwie fakt, że Maciejewski i jego współpracownicy ubierali się na czarno, nosili długie brody, skórzane kamizelki i bandany, a kiedy ruszali w trasę na harleyach, słychać było ich niemal w Lipowie. Nastroje zdążyły się ostatnio uspokoić, ale bywało, że nie można było otworzyć lokalnej prasy, żeby nie natknąć się na jakiegoś polityka głoszącego słowa przestrogi przed plagą satanizmu.

– Myślisz, że to ich sprawka? – zapytał Cybulski.

Małecki wzruszył ramionami.

– Nie brałbym tego satanizmu poważnie – wtrącił się prokurator Gawroński. – Czasem poprawiają mi to i owo przy samochodzie. Wydają się w porządku. Zresztą burza w gazetach to była raczej przynęta medialna przed wyborami.

– Wydają się w porządku? – powtórzyła za prokuratorem Emilia. – Leon, chyba żartujesz. Musimy ich sprawdzić.

Gawroński spojrział na nią z przelotnym uśmiechem. Jego przystojna twarz się rozjaśniła.

– Nie powiedziałem, że tego nie zrobimy, Miła.

Strzałkowska wzdrygnęła się na to poufale określenie. Ostatnio coraz lepiej się dogadywali, ale nie była gotowa na powrót. Nie zamierzała jednak niczego prostować. Miała przecież zadanie do spełnienia. Jej dzieci nie będą żyły

z piętnem nie do starcia. Jeżeli to oznaczało, że Emilia ma się uśmiechać do Gawrońskiego, a nawet udawać nawrót uczuć, to była gotowa to zrobić.

Tymczasem Małecki wyjął telefon i zrobił kilka zbliżeń pentagramu na brzuchu sędziego Jaworskiego. Strzałkowska zdążyła już zauważyć, że komisarz lubi wszystko dokumentować po swojemu.

– A to? – zapytał nagle Marek. Przykucnął przy ciele i pokazał miejsce tuż przy obojczyku. – Czy to nie jest smar samochodowy?

– Jeżeli tak, to ludzie z garażu jak najbardziej pasują – podchwyciła Emilia natychmiast. Tak naprawdę każdy podejrzany był dobry. Byle nie ten cholerny Daniel.

Doktor Koterski pochylił się nad ciemną smugą. Znajdowała się nieco powyżej obojczyka. Dalej powinna być głowa. Pozostał tylko okręcony przezroczystą folią kikut szyi. Policjantka odwróciła wzrok.

– Trudno orzec, co to jest – powiedział patolog cicho. – Jak rozetnę worek podczas sekcji, to się przekonamy.

Nagle od strony jeziora dobiegł odgłos pracy silnika. Zbliżała się kolejna motorówka.

– Kto to? – zdziwił się komendant Cybulski.

– Wezwałem psa tropiącego – wyjaśnił Małecki spokojnie.

Emilia miała wrażenie, że wzrok Cybulskiego mógłby teraz zabijać. Chyba nie spodobała mu się inicjatywa komisarza.

– Wezwałeś? – zapytał tylko.

Małecki znowu wzruszył ramionami.

– Pomyślałem, że trzeba sprawdzić, czy nie wytropimy Daniela stąd. Jeżeli podrzucił tu ciała, to może w ten sposób szybciej go znajdziemy. Tak jakbyśmy przechodzili labirynt od końca.

Cybulski skinął głową. Na jego twarzy nadal malował się jednak wyraz niezadowolenia.

– Sprawdź tę smugę, Zbigniewie – rzucił jeszcze do patologa.

W tej chwili na polanę wkroczył policjant ze sporym owczarkiem niemieckim na smyczy. Pies machał radośnie ogonem, jakby cieszył się z czekającej go pracy. Przewodnik

wyjął z saszetki przy pasku niewielki smakołyk. Wilczur zajął miejsce u jego boku i usiadł. Mężczyzna podał mu przekąskę i szepnął coś miłego. Uśmiechnął się do zwierzaka, ale blizna, która biegła przez lewą stronę jego twarzy, sprawiła, że wyglądało to jak grymas.

– Jolka denerwowała się trochę przy brzegu – oznajmił po przywitaniu i wskazał miejsce, gdzie przycumowano motorówki. – Zacząć tam?

Szablowski nie patrzył na nich, tylko gładził wilczura po głowie. Emilia miała wrażenie, że mężczyzna woli spędzać czas ze swoim psem niż z ludźmi. Chyba miał rację. To było zdecydowanie bezpieczniejsze!

– Zacznij, gdzie potrzebujesz – mruknął Małecki. – Nadal szukamy Podgórskiego. Im szybciej go znajdziemy, tym lepiej. Nie muszę chyba tego mówić.

Szablowski wyciągnął z plecaka próbkę zapachu i dał psu czas na zapoznanie się z nią. Wilczur nawęsział przez chwilę, a potem ruszył w kierunku gąszczu na południu polany. Śledczy natychmiast poszli za nim szybkim krokiem. Emilia starała się dotrzymać im kroku, ale sprawiało jej to sporo trudności. Ledwie dobiegła do skraju polany. Nadal czekały tam Weronika i Wiera.

Strzałkowska zatrzymała się i oparła dłonie na kolanach, oddychając ciężko. Kobiety popatrzyły na nią z troską. Znowu. To było bardziej niż irytujące.

– Możecie na razie iść do domu – oznajmiła im oschle. Starła się sprawiać wrażenie, jakby specjalnie się tu zatrzymała, żeby im to powiedzieć. – Ale będziemy z wami w kontakcie.

– Emilia, na pewno dobrze się czujesz?

– Tak, tak – zapewniła Strzałkowska natychmiast. – Wszystko w porządku. Jak powiedziałam, wracajcie do siebie. Ja idę za resztą. Pies złapał trop Daniela.

Weronika spojrzała na Wierę. Sklepiarka pokiwała głową.

– Nie idź za nimi – powiedziała cicho. – Tam nie ma Daniela. Poczekaj tu z nami, aż reszta wróci. To nie wstyd, że czasem musisz odpocząć, kochanieńka. Każdy tego potrzebuje. Cięża to

co prawda nie choroba, ale trzeba słuchać swojego ciała. Ono daje nam sygnały, których nie wolno ignorować. Pamiętaj o tym!

Słowa zabrzmiały jak przestroga. Ciało Emilii znowu przeszedł dreszcz. Czy Wiera domyślała się, że w piątek lekarz zasugerował jej odpoczynek? Skąd sklepikarka mogła wiedzieć? Zresztą co to znaczy odpoczynek? Spacery po lesie to synonim odpoczynku...

Nagle policjantka poczuła, że coś jest nie tak. Skurcz? Już? Przecież jeszcze dwa miesiące. Nie. To niemożliwe... To chyba nie był skurcz... Inaczej to pamiętała. Zastygła w bezruchu, ale cokolwiek to było, nie powtórzyło się. Odetchnęła głębiej, aż zakręciło się jej w głowie.

– Chodź, pomogę ci usiąść – zaproponowała Weronika. Chyba zauważyła strach na twarzy Emilii.

Policjantka pozwoliła zaprowadzić się do sporego pieńka, który leżał przewrócony na skraju polany. Usiadła ciężko i oparła twarz na dłoniach. Nie była pewna, jak długo tak siedziała, ale w końcu usłyszała, że śledczy wracają na polanę. Trzeba wstać i wyglądać normalnie. Profesjonalnie.

Nowakowska wyciągnęła do Emilii rękę, jakby czytała w jej myślach. Strzałkowska przyjęła pomoc, chociaż bała się spojrzeć Weronice w oczy.

– Wracajcie do domu – powtórzyła, przyjmując oficjalny ton.

Zanim którakolwiek z kobiet zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, Emilia ruszyła do grupy śledczej.

– Jolka znalazła jakąś chatę. Wygląda na to, że Daniel się tam ukrywał – zaczął referować Marek. Był tak podekscytowany, że chyba nie zorientował się, że Strzałkowska źle się czuje. – Teraz go tam nie ma. Pies zaprowadził nas przez krzaki aż do drogi. Tej na Żabie Doły. Tam trop się urwał. Prawdopodobnie ktoś go stamtąd zabrał samochodem.

– Czy ona naprawdę jest pod dokładną obserwacją?

Komisarz Małecki wskazał głową Weronikę. Nowakowska i Wiera powoli wchodziły w gęstwinę zielonych krzewów odesłane do Lipowa przez Emilię.

– Oczywiście – zapewnił Cybulski. – Mówiłem już, że

przydzielę Weronice ogon.

Telefon komendanta zadzwonił kilka razy. Cybulski odebrał natychmiast.

– Jak to nie ma Lwa Sokołowa? – rzucił do słuchawki. Głos miał pełen napięcia. – Jak mógł zniknąć?

ROZDZIAŁ 66

W drodze z Brodnicy do Lipowa.

Środa, 10 czerwca 2015.

Łukasz Strzałkowski

Łukasz wracał właśnie ze szkoły pekaesem. Jeszcze w Brodnicy usiadł obok niego jakiś chłopak z tabletem i zaczął przeglądać strony z informacjami. Łukasz zerkał mu przez ramię, żeby zająć czymś myśli. To był błąd.

Oczywiście wszystkie nagłówki trąbiły o tym, że Hannibal Lecter z Lipowa jest nadal na wolności. Pojawilo się też coraz więcej szczegółów. Wyciekła na przykład informacja o scyzoryku. Według „dobrze poinformowanego źródła” przedmiot znajdował się na miejscu zdarzenia i były na nim odciski Daniela.

Łukasz przeczytał to zdanie dwukrotnie. Chętnie zrobiłby to kolejny raz, ale nieznajomy chłopak zamknął stronę i włożył tablet do plecaka. Wsiadł na przystanku koło ośrodka UMK, zerkając na Łukasza niechętnie.

Scyzoryk... Czyżby oskarżenia wobec ojca to była wszystko wina Łukasza? Chłopak doskonale pamiętał sytuację ze scyzorykiem. To było na stacji benzynowej, kiedy Daniel poszedł zapłacić za paliwo. Sędzia kolejny raz zabrał się z nimi w drogę powrotną. Kiedy czekali na powrót Podgórskiego, Jaworski opowiadał Łukaszowi o tym, jak sam próbuje naprawiać swoją alfę. Brakowało mu jakiegoś małego klucza i nie miał od kogo pożyczyć. Wtedy Łukaszowi przyszedł do głowy scyzoryk. Daniel wozil go w subaru, bo czasem się przydawał. Chłopak znalazł go w schowku i podał Jaworskiemu. Sędzia przyjął przedmiot z dużą wdzięcznością. Łukasz podejrzewał, że docenił sam gest, a nie to, że scyzoryk naprawdę nada się do naprawy samochodu.

Łukasz zapomniał już o tym zdarzeniu. Aż do teraz. A więc to była jego wina, że tata uważany jest za mordercę. Prosta sprawa. Uderzył pięścią w poplamiony fotel przed sobą.

– O co chodzi? – zapytał mężczyzna, który tam siedział.

– Przepraszam – mruknął chłopak.

– Co za ludzie!

Łukasz zignorował ten komentarz. Facet miał rację. Strzałkowski wyjrzał przez okno, próbując zebrać myśli. Ojca oskarżają przez niego. Najgorsze, że nie mógł spokojnie porozmawiać o tym z mamą, bo Emilia cały czas zajęta była śledztwem i prawie się nie widywali.

Poza tym co właściwie mógł powiedzieć? Obiecał Konradowi, że zachowa całą sprawę w tajemnicy, a mama na pewno zaczęłaby wypytywać, dlaczego Łukasz chodzi do doktora Witkowskiego.

Wyciągnął telefon i wybrał numer Konrada. Może przynajmniej z nim uda się porozmawiać.

– Nie mogę teraz gadać – powiedział Konrad zamiast przywitania.

– Daj już spokój z tą piłką nożną. Muszę...

– Stary, nie chodzi o to – przerwał mu Konrad. – Tu jest niezły sajgon.

Kolega rozłączył się, zanim Łukasz zdążył cokolwiek powiedzieć. Świetnie. Po prostu świetnie.

ROZDZIAŁ 67

Brodnica.

Środa, 10 czerwca 2015.

Waldemar Brzeski

Waldemar Brzeski był taksówkarzem od dobrych dwudziestu pięciu lat. Najpierw długie lata jeździł w dużej korporacji w Warszawie, aż poznał stolicę jak własną kieszeń. Potem z małżonką przenieśli się do Gdańska, bo zachciało im się morza. Wytrwali tam tylko dwa lata. Nie dlatego, że im się nie podobało. Córka przeniosła się do Szczecina i potrzebowała pomocy przy dzieciach.

Dwa lata później pojechała z mężem za pracą do Norwegii i kontakt się właściwie urwał. Wtedy Waldemar i jego żona postanowili wrócić tam, skąd pochodziła rodzina Brzeskiego. Do Brodnicy.

Mieszkali tu od jakichś ośmiu miesięcy i czuli się w Brodnicy całkiem nieźle. Małe, przytulne miasto. Nikt tu tak nie pędził, jak w metropoliach. Waldemar musiał jednak przywyknąć do nowego stylu pracy, bo tu każdy taksówkarz praktycznie robił na własny rachunek. Tak Brzeski to odczuwał, ale dawał radę.

Położył dłonie na kierownicy saaba. Dwadzieścia pięć lat. W tym czasie nasłuchiwał się tyle historii, że człowiek nie zliczy. Lubił tę część swojej pracy – rozmowy. Czuł się wtedy jak lekarz od głów. Ludzie zdradzali mu swoje sekrety, opowiadali życiorysy. Smutne historie, wesołe historie. Obmawianie polityków, szefów, sąsiadów, a nawet małżonków. Słowem wszystko, co ludzi tak naprawdę interesuje albo boli.

Tak. To było dobre, bogate dwadzieścia pięć lat. To znaczy bogate w doświadczenia, bo przecież fortuny się nie dorobił. Ale też nigdy nie narzekał. Starczało od pierwszego do pierwszego. To najważniejsze.

A jak trochę poodkładał, to nawet mogli pojechać teraz z małżonką na wakacje do Grecji. Króciusieńkie, bo króciusieńkie, ale jednak. Należały jej się te cztery dni. Od dziesięciu lat przecież nie wyjeżdżała. Nie licząc przeprowadzek.

Wyjechali w sobotę z samego rana, a wrócili wczoraj wieczorem. Grecja całkiem im się spodobała. Naokoło słyhać, że ten kraj bankrutuje, ale Brzeskiemu wydawało się, że są w raju. Może dlatego, że dla odmiany to mnie wożono, zaśmiał się w duchu, rozbawiony własnym żartem.

Włączył radio w oczekiwaniu na kolejnego klienta. Chciał usłyszeć, co się działo w ciągu tych czterech dni. Nagle zamarł. Podkreślił głośność i uważnie słuchał spikerki. Niemożliwe... Swietłana Sokołowa nie żyje? I ten jej znajomy?

– ...osoby, które mogą udzielić informacji o miejscu pobytu poszukiwanego Daniela Podgórskiego lub cokolwiek wiedzą o całym zdarzeniu – zakończyła reporterka – policja prosi o kontakt osobisty lub telefoniczny.

Zaczęła się prognoza pogody. Brzeski ściszył radio. Znał Swietlanę dosyć dobrze. Co jakiś czas zamawiała jego taksówkę, kiedy kończyła pracę bardzo późno i nie chciała wracać sama. Zawsze dzwoniła z telefonu w klubie. Brzeski wiedział, czym się zajmowała, ale nie przeszkadzało mu to. Zawód jak każdy inny, a dziewczyna zdawała się porządna.

W piątek też ją wiozł. Czy powinien komuś o tym powiedzieć? W radiu proszono, żeby zgłosił się każdy, kto ma jakiegokolwiek informacje. Brzeski chętnie zadzwoniłby do małżonki, ale nie chciał jej niepokoić. Przecież dopiero co wrócili z urlopu i była taka szczęśliwa.

Ktoś zapukał w szybę. Brzeski uchylił okno.

– Jest pan wolny?

– Tak. Zapraszam – powiedział do klienta.

Najlepiej chyba nie wychodzić przed szereg, bo potem człowiek ma same kłopoty, uznał taksówkarz. Jeden kolega stracił tak dobre dwa miesiące na łażenie po sądach. Że niby obowiązek stawiennictwa czy coś takiego. Człowiek chce pomóc, a potem sam ma kłopoty. Zobaczymy, jak sprawy się rozwiną. Najwyżej zgłosi się za kilka dni.

ROZDZIAŁ 68

Dom dla Dzieci „Nowa Szansa” w Brodnicy. Środa, 10 czerwca 2015. Starszy sierżant Marek Zaręba

Dyrektorka domu dziecka wyglądała na kompletnie zdruzgotaną. Marek miał ochotę poklepać ją po ramieniu, ale się powstrzymał. Nie był pewien, czy zupełnie nie pograżyłaby się w rozpacz, a musieli przecież działać jak najbardziej efektywnie. Cybulski wysłał ich tu, żeby zbadali sprawę nagłego zaginięcia Lwa Sokołowa. Reszta śledczych miała kontynuować poszukiwania Daniela i zbadać trop związany z satanizmem.

– Naprawdę nie rozumiem, jak mogło do tego dojść – lamentowała Halina Michalik. – Może to przez te dzisiejsze mistrzostwa w piłce nożnej! Przyjechali do nas goście z ośrodków z całego powiatu. Czekaliśmy na to wydarzenie tak długo. Dwa lata! Dla moich dzieci to strasznie ważne. Byliśmy zajęci organizacją i... ale nic nas nie usprawiedliwia! Do czegoś takiego nie powinno było dojść...

Głos dyrektorki załamał się. Marek znowu stłumił chęć poklepania jej po ramieniu. Pani Michalik naprawdę przejmowała się swoimi wychowankami. Już w poniedziałek, kiedy przywieźli tu z Emilią Lwa Sokołowa, policjant odniósł takie wrażenie.

- Kiedy widziano chłopca ostatni raz?
- Ja widziałam go około dziesiątej. Był w bawialni. Zajrzałam tam przed rozpoczęciem meczu.
- A inni opiekunowie?
- Trudno powiedzieć. Przyjazd tylu osób wywołał niezłe zamieszanie...
- Kiedy zauważyli państwo, że Lwa nie ma?
- Niedawno. Początkowo myśleliśmy, że gdzieś się schował,

więc najpierw sami szukaliśmy. Dlatego zawiadomiłam państwa dopiero teraz. No i jeszcze ten list...

Pani Michalik otarła łzy z oczu.

– Proszę go pokazać – poprosiła Emilia.

Dyrektorka podała Strzałkowskiej kartkę. Ręka jej drżała. Emilia włożyła list do torebki na dowody i przyjrzała mu się przez folię.

– „Znam Lewkę i obiecuję, że dobrze się nim zajmę! Po moim trupie będzie siedział w bidulu. Proszę uprzejmie, zostawcie nas w spokoju” – przeczytała na głos. – Znalazła to pani w skrzynce na listy, tak?

Halina Michalik pokiwała głową.

– Tak. Kartka była tam po prostu wrzucona. Jak pani widzi, nie było koperty, znaczków czy czegokolwiek. Ktoś po prostu wrzucił kartkę do skrzynki. Pewnie wtedy, kiedy zabierał Lwa. To straszne...

– A skąd przyszło pani do głowy, żeby zajrzeć do skrzynki? – zapytał Marek.

– Ktoś zauważył, że kawałek kartki wystaje. Nie wiem...

Pani Michalik znowu urwała w pół zdania. Marek po raz kolejny miał ochotę wstać i ją pocieszyć. Uznał jednak, że nie powinien chyba żałować tej kobiety. Skoro tak bardzo zależy jej na losie powierzonych jej dzieci, nie powinna była dopuścić do czegoś takiego. Powinna się nimi zajmować i je chronić. Tymczasem Lew Sokołow zniknął. Biorąc pod uwagę to, co stało się z jego matką...

– Nie zakładajmy od razu najgorszego – powiedział nieco oschle. – Najpierw porozmawiamy z osobami, które znały chłopca. Może naprawdę zabrał go ktoś, kto ma dobre intencje. Tylko nie do końca wie, że takie porwanie może zaszkodzić Lwu.

Gdyby ojciec chłopca nie odsiadywał wyroku, pojechaliby najpierw do niego, ale przecież nie uciekł z więzienia i nie przyszedł tu po syna. Pozostawała opiekunka Lwa. Trudno było jednak wyobrazić sobie, żeby antypatyczna Edyta Sadowska pragnęła pomagać sierocie. Przecież w poniedziałek chciała się chłopca jak najszybciej pozbyć. No i jest jeszcze Rajmund

Jaworski, przypomniał sobie Marek. Przecież on też zajmował się Lwem.

A jeżeli chłopca nie będzie u żadnej z tych osób? Marek zacisnął pięści. Ciągle pamiętał poważne pytanie Lwa: „Czy tu jest mama?”, kiedy dojechali do domu dziecka w poniedziałek. Nie, uznał Zaręba, temu chłopcu nic więcej nie może się stać. Nie dopuści do tego.

ROZDZIAŁ 69

**Okolice Strzemiuszczka.
Środa, 10 czerwca 2015.
Klementyna Kopp**

Klementyna zaparkowała na poboczu szosy i wyciągnęła z czarnego plecaka butelkę coca-coli. Kupiła ją jakieś pół godziny temu na stacji benzynowej po tym, jak zawiozła zdrajcę pod Brodnicę. Daniel miał się przedostać w okolice Gwiazdozbioru na piechotę i wykraść z klubu nagranie monitoringu.

Klementyna nie wnikała w możliwości powodzenia tego planu. To nie jej sprawa. Niech zdrajca i Weronika robią, co chcą. Ona zamierzała po prostu dobrze się bawić w przerwach między głaskaniem Józka. Co się stanie z Danielem, jej nie dotyczy. Na pewno nie od momentu, kiedy ją zdradził i wysłał do wariatkowa. O nie! Wtedy ich drogi definitywnie się rozeszły.

Wypiła kilka łyków ciemnego, słodkiego napoju. Miała wrażenie, że płyn pali ją w gardle jak silny alkohol. Właściwie nic dziwnego. Przez kilka miesięcy pobytu w psychiatryku piła tylko przegotowaną wodę z kranu i rozcieńczone herbatki robione przez siostrę przełożoną. No i jeszcze pozbawiony smaku kompot. Nie zapominajmy o nim! Przywożono go na skrzypiących, metalowych wózkach razem z równie kleistymi i rozwodnionymi posiłkami. Pierwszy o wpół do ósmej rano, drugi o piętnastej, a trzeci o siedemnastej. A nawet o szesnastej trzydzięści, jeżeli pracownicy kuchni wyjątkowo spieszyli się do domów.

Kto słyszał, żeby jeść kolację o piątej po południu, co? Na pewno nie Klementyna. Nigdy nie odżywiała się zbyt zdrowo. Nawet kiedy Teresa żyła, ostatni posiłek zdarzało jej

się jeść grubo po północy. Ale! Co było, to było. Teraz nowy rozdział, rozkazała sobie.

Klementyna rozkoszowała się jeszcze przez chwilę coca-colą. Potem zgmiotła butelkę i rzuciła pod siedzenie pasażera. Pora działać. Odpaliła silnik skody i włączyła się do ruchu na szosie. Miała zamiar pojechać do Strzemiuszczka porozmawiać sobie z Rajmundem Jaworskim. Przecież brat sędziego czekał na tę swoją wygraną na loterii. Biedaczek, zaśmiała się policjantka pod nosem.

Jechała wzdłuż jeziora Strażym. Jego głęboko butelkowa toń lśniła w słońcu. Ostre promienie zapowiadały rychłe nadejście długo oczekiwanych upałów. Minęła smażalnię ryb po prawej stronie i nieczynny już młyn wodny nad Skarlanką. Kawałek dalej trzeba będzie skręcić z szosy w prawo. Potem jechać jakiś kilometr leśną drogą i znowu skręcić w prawo. Kilometr dalej na niewielkiej polanie znajdował się Strzemiuszczek.

Tak. Klementyna zdecydowanie chciała zadać temu całemu Rajmundowi kilka odpowiednich pytań. Szczególnie interesowało ją, dlaczego sędzia tak kłócił się z bratem o dom po ojcu. Wszyscy twierdzili, że to zupełna ruina.

Przyhamowała. Była już prawie w Strzemiuszczku. Wszyscy twierdzili. Odkąd to słuchała wypowiedzi innych, co? Zawsze warto przekonać się na własne oczy. Daniel wspominał, że dom rodzinny Jaworskich znajdował się blisko Strzemiuszczka. Trzeba było skręcić nieco wcześniej. Chyba przed chwilą mijala jakąś dróżkę. To musiało być tam.

Klementyna wycofała samochód i rzeczywiście jakieś pięćset metrów dalej znajdowała się droga prowadząca na obrzeża lasu. Gospodarstwo rodzinne Jaworskich leżało tuż nad rzeczką. Wody Skarlanki szemrały przyjemnie w drodze do jeziora.

Zatrzymała samochód na podwórzu. Nie było tu szczególnie ładnie. Trawa była jednak równo wystrzyżona, a podjazd zamieciony. Sam dom przypominał ruinę. Wszyscy mieli rację.

Wysiadła z samochodu i podeszła do budynku. Wrażenie kompletnego upadku potęgowały rozpoczęte w kilku miejscach naprawy. Tu pomalowano okna, tam otynkowano kawałek

ściany albo przyczepiono odpadające dachówki, gdzieś podparto ścianę drewnianą belką, gdzie indziej przykręcono równo okiennice. Nigdzie jednak remont nie był skończony. Całość sprawiała wrażenie, jakby starego wojownika oklejono niepasującymi do siebie plastrami. Klementyna uśmiechnęła się w duchu na to komiczne poetyckie porównanie, które przyszło jej do głowy.

Rozejrzała się wokół. Tak naprawdę żaden generalny remont chyba nie był tu potrzebny. Trzeba było raczej zrównać tę ruderę z ziemią i wybudować tu coś nowego. A jednak sędzia Jaworski uparcie chciał odebrać ten dom Rajmundowi. Sentyment, zaciekość, a może coś jeszcze? Co takiego było w tym miejscu? No co takiego?

Klementyna wspięła się na ganek i podeszła do drzwi. Zamki musiały niedawno zostać zmienione na nowe. Być może Rajmund bał się, że sędzia Jaworski się tu zakradnie. Sięgnęła do plecaka po rękawiczki i narzędzia. Zamki może i były nowe, jej jednak nie powstrzymają. Rozejrzała się, żeby sprawdzić, czy na pewno nikogo tu nie ma. Może i jest teraz cywilem. Ale! Mimo wszystko lepiej nie zostać przyłapanym na włamaniu.

Doprawdy komiczne. Poradziła sobie z zamkiem w jakąś minutę. Zadowolona z siebie weszła do środka i zamknęła za sobą drzwi. Na zewnątrz stał co prawda jej samochód. Nie chciała jednak dodatkowo nikogo alarmować, że udało jej się wejść do środka. Wnętrze tonęło w mroku, bo większość okien była pozasłaniana ciężkimi kotarami.

Zaczęła chodzić od pokoju do pokoju. Przeszukanie utrudniał fakt, że właściwie nie wiedziała, czego powinna wypatrywać. W kilku miejscach zauważyła skrzynki z narzędziami. Zajrzała do pierwszej. Serce zabiło jej szybciej, kiedy zauważyła spory zszywacz tapicerski. Z tego, co mówili Daniel i Weronika, głowa sędziego została przytwierdzona do tułowia Swietłany Sokołowej narzędziem tego typu. Klementyna zastanawiała się, czy go nie zabrać. W końcu jednak uznała, że zostawi to policji. Wcześniej czy później będą musieli się tu zjawić. Niech się cieszą.

Ruszyła dalej i potknęła się niemal o puszkę z farbą. Wszędzie

kolejne porozpoczynane naprawy. Zupełnie jak na zewnątrz. W kuchni na przykład zdjęto kilka kafelków, a na ziemi poustawiano pudełka z nowymi. W salonie część ściany pomalowana była na żółto, a reszta nadal straszyla przybrudzoną bielą. Wyglądało to tak, jakby Rajmund cierpiał na wyjątkowo ciężką odmianę słomianego zapachu. Patologicznie nie kończył niczego, za co się brał. Zaczynał remont jednej części domu, a potem przenosił się gdzie indziej.

To oczywiście nie czyni z niego mordercy, pomyślała Klementyna zawiedziona, że poszukiwania nie przyniosły żadnych odpowiedzi. Weszła do każdego z pomieszczeń, nawet do obskurnej łazienki, i nie znalazła nic godnego uwagi. Nie było tu kompletnie nic, o co warto było walczyć. Dla pewności weszła do wszystkich pokoi raz jeszcze i na koniec wróciła do kuchni. *Null!*

– No i wielkie mi rzeczy – mruknęła do siebie.

Po co się kłócili o tę ruinę? Naprawdę tego nie rozumiała. Znowu poczuła rozdrażnienie. Bardzo nie lubiła nie rozumieć. Sędzia Jaworski nękał Rajmunda, a każde zachowanie ma swój powód. To przecież podstawa kryminologii. Postanowiła wyjść z domu i przyjrzeć się reszcie posesji. Może nie chodziło o budynek, ale o coś, co znajdowało się na zewnątrz.

Zamknęła za sobą drzwi, ale tylko na klamkę. Nie zamierzała tracić czasu na bzdety. Dla wprawnego oka ślady włamania i tak będą widoczne. Zaczęła iść wzdłuż ściany domu. Z tyłu rosły krzaki bzu. Za nimi ciągnęła się rozległa łąka, gdzie porozrzucane były domostwa Strzemiuszczka. Najbliższy dom był jakieś pół kilometra stąd, oceniła Kopp. Nikt więc raczej jej nie zauważy.

Prawie okrążyła dom, kiedy zauważyła kwadratową klapę w ziemi. Wyglądało to na wejście do piwnicy. Pokrywa zabezpieczona była nieco przerdzewiałą kłódką. Bliższa inspekcja pokazała, że kłódka nie jest nawet zamknięta, jakby stanowiła jedynie atrapę.

Klementyna odpięła ją i położyła obok na ziemi. Spróbowała uchylić klapę. Nie było to wcale takie łatwe, bo pokrywa okazała się cięższa, niż na to wyglądała. W końcu jednak się

udało i oczom Klementyny ukazały się schody prowadzące do piwnicy. W takich sytuacjach zawsze nasuwało się dość oczywiste pytanie: wchodzić czy nie?

Według Klementyny odpowiedź była równie oczywista jak pytanie. Wyciągnęła telefon i włączyła aplikację latarki. Zaczęła ostrożnie schodzić po wąskich betonowych schodach. Na samym dole natrafiła na włącznik światła. Nacisnęła go i rozbłysła naga żarówka, rozjaśniając ciemność. Wisiała przy suficie na poskręcany za długim kablem. Piwniczny korytarz był bardzo wąski. Dwóm osobom trudno byłoby się tu minąć. To wydawało się niezbyt praktyczne w piwnicy. Ciężko byłoby tu wnieść większe przedmioty.

Klementyna ruszyła niespiesznym krokiem wzdłuż nieotynkowanej ściany. Żarówka migiała teraz, jakby niezdecydowana. Korytarz ciągnął się jakieś dziesięć metrów w głąb domu i zakręcał pod kątem dziewięćdziesięciu stopni. Wbrew sobie Klementyna poczuła pewien niepokój. To miejsce miało w sobie coś złowieszczonego.

Wzruszyła ramionami i swoim zwyczajem potarła szczęśliwy tatuaż. Nagle przeszedł ją dreszcz. Zaraz! Czy zrobiła to wcześniej? To był rytuał, który musiała wykonać przed rozpoczęciem każdego dochodzenia. Nie zrobiła tego tylko raz i wszystko bardzo źle się skończyło. To, czym się teraz zajmowała, trudno nazwać śledztwem, a ona nie była już nawet policjantką... Ale! Czy to zrobiła?

Klementyna zaklęła pod nosem. Bzdury i przesady, uznała. Była pewna, że kiedy pracowała przy sprawie w Utopcach, potarła tatuaż, no i jak to się skończyło, co? Wylądowała w wariatkowie. Przesady!

Mimo wszystko z lekkim zawstydzeniem powtórzyła rytuał i ruszyła dalej wąskim korytarzem. Za zakrętem znajdowało się dwoje drzwi. Klementyna czuła się teraz niemal jak Alicja w Krainie Czarów. Brakowało tylko stoliczka z magicznym ciasteczkiem.

Podeszła do pierwszych drzwi. Nacisnęła klamkę i jej oczom ukazał się skład na drewno i węgiel. Wszystko było tu umazane sadzą. W ciemności, nieco u góry, widziała kwadratowy zarys

klapy do wsypywania opału. Widocznie musiała znajdować się po tej stronie domu, której jeszcze nie obejrzała.

Klementyna wróciła na korytarz i spróbowała otworzyć drugie drzwi. Były zamknięte na klucz. Przykucnęła i przyjrzała się zamkowi. Był niepozorny, ale lepszej jakości niż ten na górze, który strzegł wejścia do domu. To z miejsca rozbudziło jej ciekawość. Poczula, że wreszcie trafiła na coś ważnego. Za tymi drzwiami było coś, co Rajmund lub jego zmarły ojciec uważali za godne zabezpieczenia. Coś, o co być może walczył sędzia Jaworski. Zamierzała się przekonać, co to jest.

ROZDZIAŁ 70

Okolice Gwiazdozbioru.

Środa, 10 czerwca 2015.

Aspirant Daniel Podgórski

Daniel szedł ostrożnie przez las obok Niskiego Brodna. Zamierzał dostać się do Gwiazdozbioru zgodnie ze wskazówkami, których udzieliła Weronice Twiggy. Musiał nadłożyć trochę drogi, ale podobno od północy było znacznie mniej kamer niż z innych stron. Daniel zauważył kilka. Miał jednak nadzieję, że udało mu się trzymać poza ich zasięgiem.

Zaklął w duchu, kiedy jakaś gałązka trzasnęła pod jego stopą. Prawdę mówiąc, plan był szalony i Podgórski dobrze o tym wiedział. Jakie miał szanse, żeby wejść niezauważony do klubu, potem przemknąć do pokoju ochrony, włamać się do komputera, zgrać odpowiednie nagranie na pendrive'a i wyjść niezauważonym? Tak działo się tylko w filmach. Na pewno nie w życiu.

Mimo to stał właśnie kilkanaście metrów od klubu. Szaleństwo. Ale co innego mógł robić? Gdzie pójść? Przecież po tym, jak Weronika i Wiera zawiadomiły śledczych z komendy o ciałach na polanie, pozostawanie w szalasiu byłoby głupotą. Z miejsca zostałyby złapany. Zanim, i o ile w ogóle, udowodniłby swoją niewinność, prawdziwy sprawca zdążyłby zatrzeć ślady i dobrze się ukryć. Nie. Do tego nie można było dopuścić. Śledztwo musiało trwać dalej.

Daniel wyciągnął z kieszeni telefon ze starterem, który dostał od Klementyny. Był wyciszony, ale chciał się upewnić. Co by było, gdyby w środku tej wariackiej akcji nagle zadzwonił? Przy okazji Podgórski sprawdził, czy nie było nowych wiadomości, ale ani Klementyna, ani Weronika się z nim nie komunikowały.

Włożył telefon z powrotem do kieszeni i zrobił kilka

ostrożnych kroków. Był już prawie przy budynku. Mógł zajrzeć przez wielkie okna do sali restauracyjnej.

Zauważył kolejną kamerę. Jej czujne oko poruszało się co jakiś czas miarowo. Daniel przyłgnął do pnia rosnącego drzewa i czekał, aż kamera skieruje się w inną stronę. Została ostatnia prosta, bo w rogu budynku widział już drzwi do pokoju gospodarczego i spiżarni, przez które Twiggy radziła wejść do środka. Podobno zazwyczaj były otwarte. Jednej z kucharek nie chciało się ich zamykać, bo często wymykała się, żeby zapalić, stojąc we wnęce. Tak to właśnie bywało, że nawet najlepsze zabezpieczenia przegrywały z czynnikiem ludzkim.

Nagle Podgórski usłyszał za sobą szybkie kroki. Odwrócił się gwałtownie, ale było już za późno. Napastnik zdążył wymierzyć mu silny cios. Wokół zapadła ciemność.

ROZDZIAŁ 71

Komenda Powiatowa Policji w Brodnicy.

Środa, 10 czerwca 2015.

Marian Ludek

Marian był informatykiem z zawodu i hakerem z powołania. Kochał dźwięk klawiatury pod palcami i migoczące światło monitora przed sobą. Najbardziej w nocy, kiedy zapadła już ciemność. Czuł się wtedy, jakby cały świat stał przed nim otworem. Poniekąd tak właśnie było. Internet nie dyskryminuje. Jeżeli jesteś dobry w te klocki, oczywiście.

Spojrzał na kartkę, którą mu dostarczono. To był adres mailowy jednej z ofiar. Tego sędziego. Facet nie użył imienia i nazwiska, ale jakiejś wymyślnej ksywki. Informatyk zaśmiał się pod nosem. Von Rothbart?

Z ciekawości wpisał to do Google'a. No i proszę. Czarnoksiężnik Rotbart. Czarny charakter w *Jeziorku łabędzim*. Nie sądził, żeby to miało znaczenie dla sprawy, ale i tak postanowił dopisać tę informację do raportu.

Zamknął okienko i zajął się włamaniem do skrzynki Jaworskiego. Włamanie to oczywiście za wielkie słowo. Marian nie musiał nawet zbytnio się wysilać. Zalogował się do skrzynki w ciągu kilku minut. Najwyraźniej sędzia niezbyt się przejmował zabezpieczeniem swojej poczty. Hasło mogło odgadnąć nawet dziecko.

Marian zrobił już właściwie swoją część roboty. Czytanie rozlicznych maili powinien zostawić śledczym z grupy operacyjnej. Mimo to zaczął je pobieżnie przeglądać. Zaraz kończył zmianę i nie chciało mu się zaczynać nowego zadania. Wolałby już być w domu. Przed własnym sprzętem. We własnym świetle.

Skrolował ekran bez większego zainteresowania, klikając to

tu, to tam. Nie wyglądało na to, żeby...

– A to ciekawe – powiedział do siebie po otwarciu jednego z maili w skrzynce z wiadomościami roboczymi.

Marian sięgnął po telefon i wybrał numer komisarza Małeckiego, który prowadził to śledztwo. Chyba powinni szybko się dowiedzieć, co znalazł.

ROZDZIAŁ 72

Atelier Michała Rakowskiego.

Środa, 10 czerwca 2015.

Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska

Emilia i Marek postanowili zacząć od sprawdzenia optymistycznej wersji zaginięcia Lwa Sokołowa. Na dobry początek założyli, że list zostawiony przez porywacza mówił prawdę i osoba ta naprawdę dobrze chłopcu życzyła. Brali pod uwagę Edytę Sadowską i Rajmunda Jaworskiego, bo ta dwójka zajmowała się Lwem.

Zdecydowali, że na pierwszy ogień pójdzie Sadowska, bo u niej chłopiec był ostatnio. Nie można było jej wykluczyć, chociaż nie wyglądało na to, żeby darzyła Lwa szczególnie ciepłymi uczuciami.

Dobijali się kilka minut do drzwi mieszkania Sadowskiej, ale nikt nie otworzył.

– Zadzwoń do niej – zdecydowała w końcu Emilia. Tak naprawdę mogli to zrobić od razu. Liczyli jednak na element zaskoczenia i przy okazji możliwość przeszukania mieszkania.

– Pewnie jest w drugiej pracy. Tej, o której ciągle mówiła.

Strzałkowska miała rację – Sadowska była w pracy. Czekają ich jednak niezłe zaskoczenie. Opiekunka Lwa była drugą gospodynią w pracowni Michała Rakowskiego! Emilia i Marek przez całą drogę zastanawiali się, czy to przypadek, czy kolejny ważny trop w śledztwie.

– Sadowska znała Swietlanę Sokołową – powiedziała Strzałkowska, kiedy podjeżdżali już na miejsce. – Skoro tu pracuje, ma nieograniczony dostęp do sukienek. Z łatwością mogła zabrać jedną z nich i potem zostawić na miejscu zbrodni.

– No dobrze. Tylko z jakiego powodu by ich zabiła?

Marek zaparkował na poboczu drogi przed pracownią. Emilia

spojrzała na niego spod oka.

– No co? Próbuję tylko zachować sceptycyzm – bronił się Zaręba, wyjmując kluczyki ze stacyjki.

Strzałkowska pokiwała głową. Sama nie wiedziała, co o tym myśleć. Cieszyła się, że mają kolejną podejrzaną, bo to zwiększało szansę na niewinność Daniela. Dawało jakąś nadzieję.

– Nie wiem... Może te makabryczne lalki Michała Rakowskiego ją zainspirowały?

– Myślisz, że chodziło tylko o stworzenie inscenizacji? O przyjemność z zabijania?

– Nie wiem – przyznała Emilia. – Sprawdźmy, co ma do powiedzenia.

– Przede wszystkim musimy znaleźć chłopca.

– Tak.

Nie mogli dopuścić, żeby coś złego stało się Lwu. O ile do tego już nie doszło, przebiegło Emilii przez myśl. Zadrżała. Dziecko poruszyło się delikatnie, więc pogładziła się po brzuchu uspokajająco.

Weszli do pracowni krawieckiej przy akompaniamencie dzwonek zawieszonych przy drzwiach. Wewnątrz unosił się zapach kwiatowych pachnideł. Prawdopodobnie był delikatny, ale Strzałkowska miała wrażenie, że czuje go każdym porem skóry. Nadwrażliwość na zapachy była coraz bardziej irytująca.

Emilia rozejrzała się dookoła. Wszędzie wisały piękne białe sukienki. Nie było najmniejszych wątpliwości, że ta znaleziona w domu Jaworskiego pochodziła stąd. Nagle opanowała ją przemożna chęć dotknięcia jednej z nich. Chciała koniecznie poczuć fakturę materiału. Musnęła go palcem ostrożnie. Zdawał się nieskończenie delikatny. Jak pajęczka sieć.

– A to państwo...

Sadowska wmaszerowała do pracowni szybkim krokiem. Miała na sobie fartuch, jakby zajęta była gotowaniem. Na ich widok na jej twarzy odmalowało się ledwie uchwytnie niezadowolenie.

– Czy jest tu Lew? – zapytała Emilia ostro. Nie lubiła tej kobiety. Jej wystudiowany chłód działał na nią jak

przysłowiowa czerwona płachta na byka.

– Co miałby tu robić? Już mówiłam przez telefon, że go nie zabrałam z tego sierocińca.

– Gdzie pani była dziś od rana do teraz?

Strzałkowska nie chciała precyzować godziny, żeby nic nie sugerować. W domu dziecka ustalili co prawda, że Lew ostatni raz widziany był przez opiekunów około dziesiątej rano. Jego zniknięcie zauważono jednak dopiero około trzynastej. W tym czasie ktoś uprowadził chłopca.

Sadowska zmierzyła ją nieprzychylnym wzrokiem.

– Już mówiłam przez telefon.

– Proszę odpowiedzieć – włączył się Marek.

– Cały dzień byłam tu – oznajmiła opiekunka zimno. – Naprawdę uważacie, że porwałam Lwa z domu dziecka? Szczerze mówiąc, to śmieszne. Jestem ostatnią osobą...

– Ktoś może potwierdzić, że pani tu była? – przerwała jej Emilia.

– Po co mi to dziecko? – syknęła kobieta.

Strzałkowska zadrżała na te słowa. W głosie Sadowskiej było tyle chłodu, że było to aż przerażające. Jakby dziecko zupełnie nic dla niej nie znaczyło. Jakby było tylko rzeczą, której można się zwyczajnie pozbyć. Emilia była pewna, że to nie jest dobry znak.

ROZDZIAŁ 73

Dom rodzinny Jaworskich w okolicach Strzemiuszczka.

Środa, 10 czerwca 2015.

Klementyna Kopp

Rozpracowanie zamka przy drugich drzwiach na końcu piwnicznego korytarza zajęło Klementynie więcej czasu, niż myślała. Czula, że po czole spływają jej strużki potu. Był zdecydowanie większym wyzwaniem niż ten na górze i ten w mieszkaniu Twiggy. Kilka razy pomyślała, że łatwiej będzie chyba wyważyć te drzwi kopniakiem. W końcu jednak się udało.

Za drzwiami zobaczyła kolejne schody. Prowadziły w dół, na jeszcze niższy poziom piwnicy. Tym razem włącznik światła był tuż za drzwiami, więc Klementyna nawet nie musiała zapalać latarki. Zaczęła ostrożnie schodzić. Stopień po stopniu.

Na dole znajdował się dość duży pokój. Jego ściany odmalowano na biało, a całość urządzono nowymi meblami. Wyglądało na to, że Rajmund miał jednak zapał do skończenia przynajmniej części remontu. Pomieszczenie przypominało miły salonik z miękką sofą, regałami na książki i wydzielonym miejscem do pracy, gdzie stało biurko. Brakowało tylko okna. Powietrze okazało się jednak nadspodziewanie świeże. Gdzieś musiał być zainstalowany jakiś system wentylacji.

Klementyna rozglądała się przez chwilę bez wyraźnego celu. Przejrzała pobieżnie książki na półkach. Od klasyki po tanie kryminały z lat siedemdziesiątych. Podeszła do biurka. Leżał tam plik papierów. Zamierzała go przejrzeć.

– Nieładnie, bardzo nieładnie! – syknęła z wściekłością, kiedy zobaczyła wydruki. Zdecydowanie nie zamierzała tego tak zostawić! O nie!

Nagle usłyszała jakiś dźwięk. Zastygła nieruchomo. Zakłęła w duchu. Zapomniała zamknąć za sobą klapę do piwnicy! Co za idiotyczny błąd! Godny nowicjuszki, którą już od co najmniej trzydziestu kilku lat nie była.

Klementyna czekała, wyżejając słuch. Czy tylko jej się wydawało, czy ktoś schodził właśnie po schodach na pierwszy poziom piwnicy? Chyba nawet nie zgasiła światła w tym cholernym korytarzu! Błąd za błędem!

Odłożyła kartki na stół i odwróciła się w stronę schodów prowadzących do ukrytego saloniku. Teraz już bardzo wyraźnie słyszała kroki. Ktoś nadchodził. Prawdopodobnie Rajmund, bo kto inny, co? Przynajmniej to stanowiło pociechę. Facet podobno był emerytem. Klementyna sama w zeszłym roku skończyła sześćdziesiąt lat. Nadal jednak czuła, że jej ciało wiele zniesie. Służbowej broni już nie ma. Ale! I bez niej poradzi sobie z jakimś seniorem. Była tego pewna.

Mimo to lepiej skończyć ze zbędnym ryzykiem, uznała Klementyna i rozejrzała się po pomieszczeniu w poszukiwaniu ewentualnej kryjówki. A przynajmniej miejsca, które byłoby trochę lepsze strategicznie niż stanie na środku pokoju i gapienie się na schody.

Schody! To był całkiem obiecujący pomysł. Wąskie stopnie stanowiły jedyne wejście do tego pomieszczenia. Ustawiała się tuż przy nich, plecami do ściany. Teraz nie była widoczna z góry i mogła wykorzystać element zaskoczenia.

Znowu kroki. Teraz wydawały się ostrożne i niepewne. Sondujące. Rajmund musiał być zaskoczony, że ktoś ośmielił się tu wejść. Nagle wszystko ucichło. Dziwne zawieszenie musiało trwać co najmniej kilka minut.

Klementyna czekała, starając się oddychać jak najciszej. Jej serce biło bardzo powoli, jakby zapadła w stan hibernacji. Wydawało się, że Rajmund nigdy się nie zdecyduje. W końcu znowu rozległy się ciche kroki. Mięśnie Klementyny napięły się. Była gotowa do ataku. Czasem to naprawdę najlepsza obrona. Myśl o tym, co znalazła na biurku, dodawała jej sił. Nie zostawi tego tak! O nie.

Rzuciła się na mężczyznę, kiedy tylko postawił stopę na

ostatnim schodku. Przez chwilę Rajmund wierzgał zaskoczony jej atakiem. Wkrótce jednak odzyskał pewność siebie i zaczął odpowiadać niepokojąco precyzyjnymi ciosami. Może i był drobnym, łysiejącym człowieczkiem. Ale wiedział, jak się bić.

– Ty pieprzony kutasie! – wrzeszczała Klementyna, uderzając niemal na oślep. Szczerze mówiąc, tylko to jej pozostawało. Brat sędziego może i był emerytem. Ale! Zdecydowanie nie niedołężnym.

Rajmund z przerażającą łatwością zaczynał uzyskiwać przewagę. Klementyna zdążyła tylko pomyśleć, że chyba naprawdę wyszła z wprawy, kiedy brat sędziego zacisnął jej ręce na szyi.

ROZDZIAŁ 74

Więzienie w Starych Świątkach.

Środa, 10 czerwca 2015.

Longin Grzelak

Longin był w Starych Świątkach wystarczająco długo, żeby zorientować się, że coś jest nie tak. Zaczęło się od tego, że jeden z klawiszy spoglądał na niego tak gdzieś od południa. Spojrzenia były odrobinę za długie, chociaż facet nie gapił się nachalnie, raczej nieświadomie. Oznaczało to jednak, że z jakiegoś powodu myślał o Longinie. To z kolei nie zwiastowało nic dobrego. Grzelak starał się więc mieć oczy dookoła głowy.

Dlatego od razu zobaczył, że się zbliżają. Trzech roślących chłopca. To były zakapiory, które spędziły w Świątkach całe lata i prawdopodobnie równie długo musiały tu jeszcze siedzieć. Co dla nich znaczył dodatkowy piątek? Jeżeli byli wysłani przez hycła, może nawet nie dostaną izolatki.

Longin podwinął rękawy i spojrzał na klawisza. Facet odwrócił się przezornie. Zachowywał się, jakby zauważył coś ciekawego po drugiej stronie szerokiego spacerniaka. Grzelak odetchnął głębiej, przygotowując się do nieuniknionego. To nie był karcer w krajach Trzeciego Świata. Pewnie ktoś się w końcu ruszy, żeby rozdzielić towarzystwo i mu pomóc. Trzeba było wytrzymać kilka minut. Powinien dać sobie radę.

Chłopaki, które spacerowały obok Longina, zaczęły się odsuwać. Albo zwietrzyli, co tu się będzie działo, albo skądś wiedzieli, że jest na niego wyrok.

– No co tam? – rzucił zaczepnie, kiedy karki były już tuż obok. Jak upadać, to przynajmniej z klasą.

Kiedy dostał pierwszy cios, wiedział, że ta bójka nie skończy się najlepiej. A szkoda, bo wreszcie zaczynał mieć nadzieję, że

stąd wyjdzie i wróci do Gwiazdozbioru. Nowa prawniczka, którą dzięki Wadimowi zatrudniła Diana, mówiła coś o apelacjach, odwołaniach czy jak to się tam zwało. Nigdy nie łapał tego prawniczego bełkotu...

Kolejny cios. Longinowi zrobiło się czarno przed oczami. Tak, to nie skończy się najlepiej. Żałował tylko, że nie zdążył pożegnać się z Dianką. Miał tylko wielką nadzieję, że żona posłuchała jego rady i włożyła pistolet do torebki.

ROZDZIAŁ 75

Garaż Braci Maciejewskich. Środa, 10 czerwca 2015. Podinspektor Wiktor Cybulski

To logo rzeczywiście przypomina trzy szóstki – mruknął Małecki, kiedy Cybulski wjechał przez bramę zakładu mechanicznego braci Maciejewskich.

Komendant skinął głową. To była prawda. Trzy szóstki były wyraźnie widoczne mimo otaczających je licznych ozdobnych zawijasów. Trop satanistyczny wydawał się więc obiecujący i zdecydowanie godny sprawdzenia.

Oczywiście istniały pewne niejasności, których w całej tej euforii nie można było nie zauważyć. Po pierwsze, dlaczego pentagram znalazł się na tułowie sędziego, ale w inscenizacji przygotowanej w domu Jaworskiego nie było niczego, co by na satanizm wskazywało? Czy chodziło o polanę? Czy to tam odbywały się jakieś rytuały? A jeżeli tak, to dlaczego tej makabrycznej figury nie stworzono właśnie obok obelisku, tylko w domu sędziego w Szramowie?

Przecież na polanie byłoby to znacznie łatwiejsze. I nie trzeba było obawiać się świadków. Jaworski mieszkał co prawda poza wsią, na odludziu, ale zawsze istniało ryzyko, że ktoś jednak się tam zjawi.

To wszystko nie układa się w spójną całość, pomyślał Cybulski, wysiadając z mondeo. W powietrzu unosił się charakterystyczny zapach benzyny, smarów i czegoś tam jeszcze. Komendant nigdy szczególnie nie interesował się samochodami, a już na pewno nie ich naprawą i konserwacją. Zawsze jeździł nieoznakowanym radiowozem z floty komendy. Oddawał samochód sumiennie do przeglądu. To by było na tyle.

Na teren garażu wjechał prokurator Gawroński i zaparkował swojego bordowego mercedesa obok mondeo. Cybulski spojrzął na niego. Prokurator sam się przyznał, że wykonuje prace konserwacyjne swojego samochodu właśnie u Maciejewskich. Komendant miał nadzieję, że media tego nie zwęszą. Chociaż może to odwróciłoby uwagę od Podgórskiego?

Na powitanie wyszedł rosy mężczyzna. Miał długą niemal do pasa brodę, jasne włosy związał w niski kucyk na karku. Ubrany był w czarną bluzkę z logo jakiegoś zespołu heavymetalowego i robocze spodnie przybrudzone smarem.

– Witam! Piotr Maciejewski, właściciel tego przybytku. Czym mogę służyć? – powiedział. – Ano i jest też pan prokurator! Jak tam się merolek sprawuje?

– Świetnie – przyznał Gawroński, kiwając uprzejmie głową na powitanie. – Sprowadziliście już dla mnie te części?

– Jasne. Oryginałki. Bez obaw. Będzie do żółtych blach. Może pan przyjechać, kiedy tam dusza zapagnie. Chociaż nie! Chyba teraz Zychu prowadzi jakąś księgę gości – zaśmiał się Maciejewski. – Od afery z satanizmem mamy klientów w bród. Wygląda na to, że wyszliśmy na tym lepiej, niż ktokolwiek się spodziewał, malując te zawijasy.

Mężczyzna zaśmiał się raz jeszcze głośno i wskazał tablicę wiszącą nad wjazdem. Przeczesał brodę palcami i rozejrzał się po gościach.

– Podinspektor Wiktor Cybulski – przedstawił się komendant. – Uprzedzę od razu pańskie pytanie. Nie jestem niestety spokrewniony z tym Cybulskim. Chociaż byłyby to wielki honor.

– Komisarz Nikodem Małecki. Policja kryminalna.

Maciejewski zagwizdał przeciągle.

– No, no, no. Zacne grono. Zgaduję, że wizyta prokuratora i dwójki z całym szacunkiem szpiclów nie jest spowodowana chęcią pogawędki o samochodach. O co chodzi?

– Chętnie obejrzymy sobie pański garaż – powiedział Małecki, nie wdając się w wyjaśnienia.

– A nakaz macie? – zaśmiał się mechanik.

– Piotrze, nakaz stoi tu przed tobą – odparł prokurator

Gawroński spokojnie. Z jego głosu zniknął ton przyjacielskiej serdeczności.

Maciejewski uniósł obie ręce do góry, jakby się poddawał.

– Jasne. Nie ma problemu. Żartowałem przecież tylko. Oglądajcie, co tam chcecie. Ten vanik też od was, tak?

Mechanik wskazał na ciężarówkę techników kryminalnych, która czekała przed terenem zakładu.

– Mogą wjechać?

Maciejewski spojrział na niego z dziwnym półuśmiechem, ale być może Cybulskiemu tylko tak się wydawało.

– Jasne. Przecież mówię, że to nie problem – zapewnił. – Róbcie, co macie robić. Dam chłopakom z godzinę wolnego. Tyle gdzieś zejdzie, co? Czy potrzebujecie więcej czasu?

– Zobaczymy – odpowiedział Cybulski.

Nie podobała mu się ta chęć współpracy ze strony mechanika. Zaczynał się obawiać, że mogła oznaczać tylko jedno. Jeżeli nawet ludzie z garażu byli wmieszani w zabójstwo, technicy nic ciekawego tu nie znajdą.

– Zapraszam w tym czasie do socjalnego – zaproponował Maciejewski. – Napijcie się kawy czy co wy tam pijacie na służbie. Napojów mamy do wyboru, do koloru.

Ruszył w stronę wejścia do garażu, robiąc przy tym zapraszający gest ręką. Śledczy poszli za nim. W hali stało kilka samochodów.

– Widziałeś ten spoiler – zaśmiał się cicho Małecki. Cybulski spojrział w tamtą stronę. W rogu stał mały niebieski peugeot. – Wygląda, jakby ta dwieścieczóstką miała się pod nim zawalić. Po co to komu, skoro i tak furka ma napęd na przód.

Komendant wzruszył ramionami. Nie wiedział, że Małecki interesuje się samochodami. A może każdy mężczyzna powinien, przyszło Cybulskiemu do głowy. Z jakiegoś powodu znowu pomyślał o Żanecie i jej młodym kochanku.

– Jeszcze kawałek dalej – mówił tymczasem Maciejewski. – Proszę za mną.

Bocznym wejściem przeszli do drugiego hangaru. Stały tam zaparkowane potężne motocykle. Kilku długowłosych mechaników kręciło się przy nich bez celu. Obrzucili

policjantów nieprzychylnymi spojrzeniami, kiedy ci weszli do ich królestwa. Jeden z mężczyzn wsiadł na swoją maszynę i zapuścił silnik. Warkot wydawał się niewyobrażalnie głośny. Cybulski wzdrygnął się nieznacznie. Długowłosej jeszcze przez chwilę się popisował, a potem wyjechał z garażu. Pewnie chciał skorzystać z przymusowej przerwy spowodowanej wizytą policji.

– Zapraszam tu.

Maciejewski otworzył drzwi na zaplecze. Pomieszczenie wyglądało jak zadymiona speluna dla harleyowców, w której Cybulski był podczas swojej pierwszej lub drugiej wizyty w Stanach Zjednoczonych. Jeszcze w latach dziewięćdziesiątych. To było chyba gdzieś w okolicach Route 66. Po lewej stronie było coś w rodzaju kontuaru. Za nim znajdowały się półki z napojami alkoholowymi. Wśród nich królowała whisky.

Cybulski zdecydowanie wolał dobre wina, ale ten trunek też miał swoje atuty. Podczas ostatniego pobytu w Szkocji ze zdziwieniem odkrył, jak wspaniale whisky podkreśla aromat świeżego łososia. Nie mówiąc już o pieczonym na ruszcie okoniu.

Komendant poczuł się głodny, więc odwrócił się szybko od kontuaru. Z drugiej strony pokoju ustawiono czarną, obitą skórą kanapę. Była tak długa, że zajmowała dużą część pomieszczenia. Na ścianach nad nią wisiały plakaty oprawione w antyramy i zdjęcia długowłosych brodatych mężczyzn na złotach czy koncertach.

– Całkiem przyjemnie, co? – zaśmiał się Małecki, szturchając Cybulskiego w bok.

Zachowanie komisarza zaczynało komendanta naprawdę irytować. Mimo to starał się nie ulec pokusie zaznaczenia swoich uprawnień dowódcy.

– No to czego się napijemy, czekając, aż wasi ludzie przekopią się przez cały nasz złom? – zapytał Maciejewski.

Mrugnął przy tym porozumiewawczo. W jego nieco prześmiewczym zachowaniu czaiła się pewność, że jest bezpieczny, skonstatował znowu Cybulski. Był już całkowicie

pewny, że nic tu nie znajdują.

– Ja poproszę szklanę wody, jeżeli można – odparł uprzejmie prokurator Gawroński. Najwyraźniej czuł się tu dobrze, mimo że w eleganckim garniturze zupełnie nie przystawał do tego wnętrza.

– Już się robi.

Harleyowiec postawił przed Gawrońskim wysoką szklanę, a potem spojrzął pytająco na Małeckiego i Cybulskiego. Obaj odmówili.

– Czy mogę chociaż wiedzieć, czemu zawdzięczam to przeszukanie? – zapytał Maciejewski. – Zwykła ciekawość.

Małecki podszedł do mechanika i wyjął telefon. Zanim Cybulski zdążył cokolwiek powiedzieć, komisarz pokazał Maciejewskiemu zdjęcie, które zrobił, kiedy byli na polanie. Czyżby Małecki znowu zapomniał, że to Cybulski przejął dowodzenie nad sprawą?

Maciejewski gwizdnął przeciągle na widok wyciętego na brzuchu sędziego Jaworskiego pentagramu.

– Nieprzyjemna sprawa – mruknął. – A co ma z tym wspólnego mój garaż?

– Pentagram – odparł ostro Małecki. – Mogę zapalić?

Mechanik zaśmiał się głośno.

– Nie ma problemu.

Komisarz wyciągnął papierosa z za ucha. Maciejewski podał mu ogień.

– Tylko nadal nie rozumiem, co my z tym mamy wspólnego.

– Piotr, nie żartuj. Porozmawiajmy jak dorośli, to szybciej będzie po wszystkim – poprosił prokurator Gawroński. – W prasie ciągle była o was mowa w tym kontekście. Sam przed chwilą o tym wspomniałeś.

– Zwykła nagonka medialna – skwitował mechanik z kolejnym uśmiechem.

– Rozumiem, że to satanistyczne logo miało na celu zwrócenie uwagi mediów, ale...

– Gawron, daj już spokój. Powinieneś dobrze wiedzieć, że nikogo tu nie zabijamy. Nie, nie poświęcamy też nikogo w ofierze przy świetle księżycy w pełni. Nie odgryzamy głów

ptakom i nie palimy Biblii. To są bzdury. Ludzie nie rozumieją, że człowiek może lubić czarny kolor i słuchać nieco cięższych brzmień? To dopiero jest dziecinada.

Maciejewski zaśmiał się znowu głośno, ale tym razem tak sztywno. Zapadła cisza.

– Zresztą to, co tu macie, to nawet nie jest pentagram satanistyczny – dodał mechanik, przerywając milczenie. – Ale co ja będę gadał po próżnicy.

Cybulski spojrział na niego z nowym zainteresowaniem. Dopiero teraz zauważył, że mężczyzna miał rację. Komendant był na siebie zły, że to przeoczył. Zawsze interesowały go zagadnienia związane z religią. Uważał się za agnostyka i ciągle poszukiwał. Przeczytał większość wielkich ksiąg, od Biblii przez Koran czy Torę. Sięgnął też oczywiście po twórczość LaVeya i jemu podobnych, żeby zapoznać się z odmiennym podejściem do tych spraw. Sam powinien był zauważyć!

– Jeżeli nie satanistyczny, to jaki? – zapytał Gawroński.

– On ma rację – wtrącił się Cybulski. – To jest biały pentagram.

Maciejewski spojrział na komendanta z nieco większym niż początkowo uznaniem.

– Oczywiście jeżeli założymy, że góra jest tam, gdzie była głowa... – uzupełnił.

– Biały pentagram? – zapytał Gawroński. – Nie słyszałem o niczym takim.

– Pentagram to pięcioramienna gwiazda – powiedział Cybulski z rosnącą ekscytacją. – W czarnym pentagramie, który uznawany jest za satanistyczny, dwa jej ramiona uniesione są do góry. W ten sposób, że można w niego wpisać głowę kozła z rogami u góry. W białym pentagramie, czyli takim jak ten, jest odwrotnie. Czyli u góry znajduje się tylko jedno ramię, a dwa stanowią podstawę figury.

– Sprawca się pomylił? – zastanawiał się prokurator. Na jego przystojnej twarzy pojawił się wyraz zaskoczenia. – Czy przeciwnie, wyciął tę figurę w ten sposób celowo?

– Zależy, gdzie znajdowało się ciało, kiedy wycinał pentagram – wtrącił się mechanik, jakby nagle dołączył do ich zespołu. –

Pewnie nie powinienem tego mówić, bo znowu będziecie się nas czepiać, ale jeżeli morderca powiesił ofiarę do góry nogami, to macie tu pentagram satanistyczny.

Śledczy wymienili spojrzenia. To chyba nie wchodziło w grę. Patolog nic o tym nie wspominał, a plamy opadowe na to nie wskazywały.

Zanim ktokolwiek zdążył coś powiedzieć, do pomieszczenia wszedł szef techników kryminalnych. Uniósł rękę, żeby pokazać im spory zszywacz tapicerski. Na jego twarzy malował się wyraz triumfu. Nie musiał nic tłumaczyć. Wszyscy pamiętali przyszytą do ciała Swietłany Sokołowej głowę sędziego Jaworskiego.

– Sprawdzimy w laboratorium, ale rozmiar pasuje – zapewnił technik. – Zabieramy to.

– A bierzcie sobie na zdrowie – mruknął Maciejewski. – Zmienialiśmy obicie kanapy i tyle. To chyba nic zdrożnego.

Cybulski spojrzął na mechanika. Gdyby na tym zszywaczu można by znaleźć jakieś ślady, Maciejewski na pewno nie stałby tu teraz taki spokojny. To był ślepy zaulek.

Zanim zdążył powiedzieć coś więcej, telefon komisarza Małeckiego zadzwonił donośnie. Komisarz odszedł kawałek, żeby odebrać. Zamienił kilka słów z rozmówcą i odwrócił się do komendanta.

– Informatycy mają coś dla nas. Marian Ludek wszedł na maila sędziego Jaworskiego.

Wyszli pospiesznie z pomieszczenia. Żaden z nich nie zauważył, że wśród zdjęć na ścianie jedno przedstawiało Daniela Podgórskiego.

ROZDZIAŁ 76

Strzemiuszczek.

Środa, 10 czerwca 2015.

Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska

Miejmy nadzieję, że tu będziemy mieli więcej szczęścia – powiedziała Emilia do Marka. – Lew musi gdzieś być.

Byli przed domem Rajmunda Jaworskiego w Strzemiuszczku. Wizyta w atelier Michała Rakowskiego, gdzie pracowała Edyta Sadowska, niewiele dała. Dawna opiekunka Lwa co prawda nie zrobiła na Emilii najlepszego wrażenia, ale niemy krawiec potwierdził jej alibi. Według niego Sadowska nie wychodziła z pracowni od rana. Oznaczało to ni mniej, nie więcej, tylko że nie mogła zjawić się w domu dziecka w Brodnicy i porwać Lwa.

Trzeba było szukać dalej. Tak trafili do Rajmunda Jaworskiego. Był numerem dwa na krótkiej liście osób, które mogły zabrać chłopca. Strzałkowska zapukała do drzwi. Modliła się w duchu, żeby wszystko dobrze się skończyło. Niech Rajmund otworzy teraz i z tym swoim przepraszającym wyrazem twarzy oznajmi, że chciał dobrze dla Lwa. Niech Lew wyjdzie uśmiechnięty z korytarza i pomacha do nich po dziecięcemu. Niech...

– Mundka nie ma! – krzyknęła do nich sąsiadka, wrywając Emilię z zamyślenia.

Strzałkowska spojrzała w jej stronę. Do tej pory kobieta zajęta była pieleniem grządek. Teraz odłożyła narzędzia i podeszła do płotu. Policjanci zeszli z ganku i zrobili to samo. Emilia czuła, że znowu zaczyna jej się kręcić w głowie. Odetchnęła głębiej.

– A wie pani, gdzie jest pan Rajmund? – zapytał Marek.

– Pewnie poszedł remontować dom ojca. Ciągle tam pracuje.

Emilia podążyła wzrokiem we wskazanym przez kobietę kierunku. Przed nią ciągnęła się wielka łąka porośnięta wysoką,

falującą na wietrze trawą. W oddali widać było krzewy bzu. Za nimi rysowały się kontury jakiegoś domu. Tak naprawdę chyba powinni byli zajrzeć tam już wcześniej. No nic. Lepiej późno niż wcale, pocieszyła się w duchu.

– Żeby tam dojechać, musimy się cofnąć i skręcić w tę boczną drogę? – upewnił się Marek.

– No chyba że pójdziecie tędy na piechotę przez łąkę. Mundek zawsze tak chodzi. To całkiem blisko. Tylko na otwartej przestrzeni zdaje się daleko.

Na piechotę? Na samą myśl Emilia poczuła jeszcze większe zmęczenie.

– Podjedziemy tam – rzuciła szybko. – Bardzo dziękujemy.

– Kiedy pan Rajmund wyszedł z domu? – zapytał jeszcze Zaręba.

Emilia pokiwała głową. To było dobre pytanie. Trzeba było przecież ustalić, czy mógł wykraść Lwa.

– Całkiem niedawno.

– A wcześniej był w domu? – zapytała Strzałkowska.

– Nie wiem. Nie widziałam go rano. Byłam u siebie. Nie czułam się dziś najlepiej. Dopiero niedawno wyszłam, żeby trochę podłubać w ogródku. Człowiek ani się obejrzy, a chwasty już się plenią.

– Dziękujemy pani – rzuciła Emilia, wsiadając do radiowozu.

– Może ukrywa Lwa w domu ojca? – zastanawiał się Marek, kiedy skręcali w boczną drogę prowadzącą do starego gospodarstwa rodziny Jaworskich. – Zaraz... czy to nie skoda Klementyny?

Rzeczywiście z boku podwórza stała czarna fabia.

– Co ona tu robi? – mruknęła Emilia.

Szczerze mówiąc, nie miała ochoty spotykać się z komisarz Kopp. To znaczy byłą komisarz, poprawiła się w duchu Strzałkowska. Jej zeznania w dużej mierze przyczyniły się do tego, że Klementynie odebrano odznakę. Na samą myśl Emilia poczuła się jak zdrajczyni. Nic nie mogła na to poradzić. Co prawda nigdy szczególnie nie lubiła Klementyny, ale może jednak źle zrobiła, zeznając przeciwko niej? Nie przeciwko niej, tylko zgodnie z prawdą, pocieszyła się w duchu.

– Nie wiem – odparł Marek, przyglądając się szkodzi z zainteresowaniem. – Chodźmy.

Zapukali do drzwi domu Jaworskich. Nikt nie odpowiedział. Emilia nacisnęła klamkę. Skoro Rajmund tu był, może zostawił drzwi otwarte. Miała rację. W środku powietrze było nieprzyjemnie zatechłe. Wyczuła też delikatną nutę jakiegoś dziwnego odoru. Stare, długo nieprane ubrania? Może gnijące jedzenie? Odchody? Na razie trudno było orzec, ale wyczulony na zapachy nos wariował.

Emilia sięgnęła automatycznie do kabury służbowej broni. Rzadko to robiła, ale teraz opanowało ją dziwne wrażenie, że coś tu jest nie w porządku.

– Co jest? – szepnął Marek.

Strzałkowska nie potrafiła ubrać swojego wrażenia w słowa. Kiedyś pracowała w wydziale prewencji. Jeszcze w Warszawie. Wtedy nauczyła się ufać instynktowi. Zmysły czasem wychwytywały istotne szczegóły szybciej niż umysł. Czy to był ten kręcący w nosie zapach? Czy może jakiś ulotny dźwięk, który przed chwilą otarł się o granice jej świadomości? W każdym razie coś sprawiło, że ciało napięło się gotowe do działania.

– Coś jest nie tak – powiedziała tylko, żeby nie tracić czasu na tłumaczenia.

Zaręba też sięgnął po broń, nie pytając o nic więcej. Szli od pokoju do pokoju. Wszędzie panował rozgardiasz typowy dla rozpoczętego remontu. Poza tym dom wydawał się pusty. Trzeba by go na spokojnie przeszukać, ale na pierwszy rzut oka nie było tu nic nadzwyczajnego. Być może przez ciężę nadinterpretowała sygnały wysyłane przez ciało.

– Słyszałaś to? – szepnął nagle Zaręba.

Emilia zatrzymała się w pół kroku i zaczęła nasłuchiwać. Rzeczywiście spod podłogi zdawało się dochodzić jakieś chrobotanie. A może nie spod podłogi? Rozejrzała się po pomieszczeniu.

– Wentylacja? – zapytała najciszej, jak umiała.

Marek skinął głową. Na ścianie po prawej stronie była spora kratka wentylacyjna. Ledwie trzymała się na zawiasach. Im

bliżej podchodzili, tym dziwne odgłosy stawały się wyraźniejsze. Coraz bardziej przypominały szamotaninę.

– Ktoś tam jest – powiedział Marek prawie bezgłośnie.

Emilia skinęła głową. Tylko gdzie jest to „tam”?

– Piwnica? – szepnęła.

Zaręba potaknął głową.

– Tylko gdzie?

Nigdzie w domu nie zauważyli zejścia do podziemi. Musiało być gdzieś na zewnątrz. Wyszli przed dom i zaczęli posuwać się wzdłuż jego ściany. Niemal od razu natrafili na dużą klapę w ziemi. Była otwarta.

– Zostań tu – rozkazał Marek. – Ja pójdę sprawdzić, o co chodzi.

– Nie ma mowy. Idę z tobą. Będę cię ubezpieczać.

Zaręba spojrział na nią z wściekłością.

– Emilia, cholera jasna! Jesteś w ciąży! Przestań zgrywać supermankę. Poradzę sobie. Zresztą może tam po prostu jest jakieś zwierzę.

– Jasne. Zwierzę – rzuciła Strzałkowska ironicznie. Widziała wystarczająco dużo bójek, żeby rozpoznać odgłosy dochodzące z dołu. – Schodź pierwszy. Będę szła za tobą.

Zaręba nie wyglądał na przekonanego, ale zaczął szybko schodzić po schodach. Mruczał coś przy tym pod nosem. Emilia nie słuchała. Starła się dotrzymać mu kroku, ale ciężowy brzuch zdecydowanie w tym nie pomógł.

Na dole schodów znajdował się wąski korytarzyk. Emilia miała wrażenie, że ściany niemal się ze sobą stykają. Z miejsca poczuła, że się poci. Nienawidziła ciasnych, zamkniętych pomieszczeń. Po co się tak upierała, żeby tu włączyć? Z wielką chęcią wróciłaby teraz na zewnątrz.

Było jednak za późno. Marek zniknął już za zakrętem korytarza. Emilia nie zamierzała pozwolić, żeby jej partnerowi coś się stało. Policjanci muszą się nawzajem ubezpieczać. Z tą myślą zrobiła kilka kroków, walcząc z narastającą klaustrofobią. Przecież Marek też ma dwójkę dzieci, powtarzała sobie w duchu. W domu czekała na niego żona. Gdyby mu się coś stało, Strzałkowska by sobie nie wybaczyła. Jak mogłaby

spojrzeć w oczy Ewelinie, Andżelice i Zuzi?

Ruszyła szybciej gnana poczuciem obowiązku. Oddychała płytko. Całe ciało pokrył zimny pot. Dotarła do zakrętu i zobaczyła otwarte drzwi prowadzące na niższy poziom. Teraz odgłosy szamotaniny były tak wyraźne, że nie było najmniejszych wątpliwości, co się dzieje na dole.

– Policja – usłyszała z dołu ostrzeżenie Marka. – Zostaw ją, bo strzelę! Zostaw ją, mówię.

Strzałkowska przysunęła się do wejścia, żeby zajrzeć do środka. Przed oczami miała dziwne mroczki, ale zeszła kilka stopni, celując ze służbowej broni. Miała wielką nadzieję, że przynajmniej w odpowiednim kierunku. Ciekawe, co by powiedział lekarz, gdyby ją teraz widział, przyszło jej do głowy. Szybko odegnała tę myśl. To nie był odpowiedni moment na wyrzuty sumienia.

Nagle rozległ się strzał. Emilia przyłgnęła do ściany. Serce biło jej szybko.

– Już, już – usłyszała głos Rajmunda.

– Emilia? Już dobrze! – zawołał z dołu Marek. – Zejdź tu.

Strzałkowska otarła pot z czoła i pokonała ostatnie stopnie. Znalazła się w przytulnym saloniku, który nijak nie pasował do jej wyobrażenia o piwnicy.

– Strzelałem ostrzegawczo – powiedział Marek. – Ale radzę współpracować.

– Przecież ją puściłem.

Zaręba przygniótł Rajmunda Jaworskiego do ziemi i założył mu kajdanki. Obok na podłodze leżała Klementyna. Charczała, jakby nie mogła złapać oddechu. Trzymała się jedną ręką za szyję. Strzałkowska podeszła do niej najszybciej, jak mogła.

– Żyjesz?

– Nie. Umarłam, co? – wydusiła Klementyna. Swoim zwyczajem nie mogła chyba powstrzymać się przed sarkastycznym komentarzem. – Jebany popapraniec... Zobacz tam.

Klementyna wskazała kąt pokoju. Dopiero teraz Emilia rozejrzała się dookoła w większym skupieniu. Pomieszczenie musiało zostać niedawno wyremontowane. Mimo dość dobrej

wentylacji czuła ostry zapach świeżej farby. W rogu stała wygodna kanapa. Były też półki z książkami i stolik z jakimiś papierami. Właśnie to pokazywała chyba Klementyna.

Emilia ruszyła w tę stronę. Pot spływał jej po czole. Ściany piwnicy, nawet tak eleganckiej, nadal ją przytłaczały. Mimo to szła do przodu. W goście komisarz Kopp było tyle żaru, że nie mogła zrezygnować.

W końcu dotarła do stołu, mimo że atak klaustrofobii był coraz silniejszy. Wzięła do ręki plik kartek. To były zdjęcia wydrukowane na zwykłym papierze. Na ich widok Emilia poczuła palącą wściekłość. Z miejsca zapomniała, że jest kilka metrów pod ziemią w jakiejś klitce. Odwróciła się na pięcie, ściskając wydruki fotografii w spoconej dłoni.

– Gdzie jest Lew?! – wrzasnęła z całych sił. Rajmund Jaworski skulił się przerażony jej gniewem. Marek spojrział na Emilię zaskoczony, ale nie zwracała już na niego uwagi. – Gdzie jest Lew?!

ROZDZIAŁ 77

Gwiazdozbiór.

Środa, 10 czerwca 2015.

Aspirant Daniel Podgórski

Daniel poczuł, że ktoś uderza go w twarz. Mocno. Miał wrażenie, że wylania się z bezdennej studni. Przez moment krążył gdzieś na obrzeżach świadomości. Dopiero po chwili udało mu się powoli otworzyć oczy. A przynajmniej jedno. Druga powieka ani drgnęła. Lewe oko było spuchnięte i obolałe.

Daniel próbował skupić wzrok. Nie było to jednak łatwe. Wszystko wydawało się niewyraźne. Jak za mgłą. Dopiero po chwili zaczęły docierać do niego sygnały od reszty ciała. Nie wydawały się optymistyczne.

W ustach czuł metaliczny smak krwi, a wargi zaklejono mu taśmą. Siedział w jakimś fotelu, a na nadgarstkach i kostkach miał mocne pęta. Najpewniej coś w rodzaju skórzanych pasów. Siedzisko niepokojąco przywodziło na myśl krzesło elektryczne z dawnych filmów. Stłumił chęć szarpania rękami i nogami. Był pewien, że to nic nie da. Zamiast tego ponowił próbę skupienia zdrowego oka na czymkolwiek, żeby wreszcie odzyskać ostrość widzenia i zorientować się w sytuacji.

Tymczasem ktoś się nad nim pochylił. Oko zaczynało powoli działać. Widział twarz właścicielki Gwiazdozbioru wystarczająco wyraźnie, żeby ją rozpoznać. Za jej plecami stał Krzywy. Jego olbrzymia postać zdawała się zapełniać całą przestrzeń.

– Myślałeś, kurwa jego mać, że tak po prostu sobie tu wejdiesz? – wrzasnął. – Nie rozśmieszaj mnie! Kropnąłeś Marilyn, ale więcej zabójstw nie będzie. Obiecuję ci to, gnoju. Mary była moja i będzie pomszczona! Ja nie wybaczam,

rozumiesz to, chuju jebany?

Podgórski próbował wykrztusić, że nie ma z zabójstwami nic wspólnego, ale taśma na ustach skutecznie to uniemożliwiła.

– Jest twój – powiedziała spokojnie Diana i pokiwała głową jakby z aprobatą.

– Odpowiesz za śmierć Mary! – wrzasnął raz jeszcze Krzywy.

Daniel nie mógł oprzeć się wrażeniu, że w oczach ochroniarza czaiło się szaleństwo. Znowu chciał zapewnić, że nie ma nic wspólnego ze śmiercią Swietłany, ale z jego ust wyszedł tylko bełkot. Udało mu się za to otworzyć drugie oko.

Dopiero teraz spod przymkniętej powieki Podgórski dostrzegł ułożone po swojej lewej stronie niewielkie pakunki. Przypominały zapakowane w przezroczystą folię białe cegielki. Nie mogło być wątpliwości, co znajduje się w środku. Na górze klienci raczyli się striptizem, a w podziemiach przechowywano narkotyki.

Nagle dał się słyszeć skrzypiący dźwięk. Daniel obrócił z trudem głowę w tamtą stronę. Były tam ciężkie drzwi przesuwne na szynach. Za nimi znajdował się pokój z dużą konsolą kontrolną i kilkoma komputerami. Na monitorach widać było rozmaite części klubu i jego otoczenia. Tu musiało być centrum dowodzenia Krzywego, które według słów Twiggy znajdowało się za spiżarnią.

No i udało się, Daniel zaśmiał się w duchu z pewną dozą wisielczego humoru. Tak naprawdę od początku chciał tu przecież trafić. Oczywiście planował się tu zjawić w zupełnie innym charakterze niż jako więzień.

Drzwi do ukrytego za dyżurką Krzywego magazynu rozsunęły się do końca i stanął w nich Żaba. Barman miał jak zwykle ostry makijaż oczu i nieco butne spojrzenie, które nie pasowało do jego drobnego ciała. Podgórski próbował nawiązać z nim kontakt wzrokowy. Chłopak pochodził przecież z Lipowa. Może patriotyzm lokalny sprawi, że zechce mu pomóc.

– O co chodzi? – warknął Krzywy.

– Mogę przy nim? – Żaba wskazał na Daniela. Nie wyglądało niestety na to, żeby fakt pochodzenia z tej samej wsi jakkolwiek działał na korzyść Podgórskiego.

Diana Grzelak machnęła lekceważąco ręką. Daniel zadrzał wbrew sobie. To nie był dobry znak. Jeżeli nie ma tajemnic, oznacza to ni mniej, ni więcej, tylko że wkrótce nie będzie tego, kto może je zdradzić. Jego przyszłość nie jawiła się w najjaśniejszych barwach.

– Przyjechał Małecki – oznajmił barman. – Chce z tobą gadać. Przyrowadzić go tu czy wyjdiesz do niego na górę?

– Niech przyjdzie tu – zdecydowała Diana. Jej głos brzmiał teraz całkiem miło. – Jak widzisz, jesteśmy teraz zajęci. Nie chcę tracić czasu.

Co to wszystko znaczyło? Komisarz Małecki ma zejść tu na dół? Kiedy on jest przywiązany do tego krzesła, a w kącie pokoju leżą narkotyki? Daniel miał wrażenie, że się przesłyszał. Po chwili nie było już żadnych wątpliwości. Dało się słyszeć charakterystyczne stukanie podkutyh obcasów kowbojek.

Małecki zatrzymał się w dyżurce i klikał coś w komputerze. Potem zajrzał przez otwarte drzwi do ukrytego za dyżurką magazynku. Na widok przywiązanego do krzesła Daniela na jego twarzy pojawił się wyraźny grymas.

– Co tu się dzieje?

– Zajebię skurwysyna – oznajmił Krzywy z pewnym namaszczeniem.

Jakby dla zilustrowania swoich słów uderzył Daniela swoją wielką pięścią prosto w brzuch. Podgórski poczuł, że jego ciałem wstrząsnął niewyobrażalny ból. Próbował złapać oddech, ale zakrztusił się krwią. Miał nadzieję, że pochodziła z rozciętej wargi albo krwawiącego dziąsła, a nie gdzieś z wnętrza ciała. Krwawienie wewnętrzne mogło oznaczać duże kłopoty. Mimo dziwnego otepienia, w którym Daniel się teraz znajdował, dobrze to rozumiał.

Małecki pokręcił głową. Podgórski próbował nawiązać kontakt wzrokowy z komisarzem. Ten jednak, jak wcześniej Żaba, ignorował te próby. Wyglądał raczej na zirytowanego niż przejętego losem Podgórskiego.

– Zabijesz go, tak? – zapytał, mierząc Krzywego ostrym spojrzeniem. – Z chuja spadłeś? On jest z firmy. Chcecie mieć kłopoty? I to jeszcze dziś, kiedy mamy towar Wadima u siebie?

Kurwa jego mać. Ja nie mam zamiaru za to cierpieć. Chujem myślisz czy dupą, Krzywy?

Osilek napiął wszystkie mięśnie w demonstracji siły.

– Zabił Mary i za to odpowie – stwierdził, zniżając głos do basowego tonu. – Mary była moja!

– Ochujaleś zupełnie, Krzywy! Jeżeli już, to była Dymitra, o ile dobrze pamiętam. – Małecki odwrócił się w stronę Diany. – Pozwoliłaś na to?

Grzelak pokiwała głową spokojnie. Poprawiła elegancką sukienkę i skrzyżowała ręce na piersi. Nie wyglądało na to, że coś odpowie.

– Pozwoliłaś na to? – warknął więc znowu Małecki.

– Jasne, że tak – odparła w końcu szefowa Gwiazdozbioru. – Krzywy ma prawo pomścić kobietę, którą kochał.

– Bardzo, kurwa, romantycznie. Cała komenda szuka tego typu. – Małecki pokazał palcem Daniela. – Wojewódzka też. Chcesz mieć tu na głowie całą psiarnię? Nie mogliście z tym poczekać, aż towar pojedzie dalej?

Teraz Daniel obserwował tę kłótnię z pewną dozą irracjonalnego spokoju. Miał surrealistyczne wrażenie, że znajduje się obok własnego ciała, a ostra wymiana zdań nie dotyczy jego samego, ale kogoś zupełnie innego.

– Daj już spokój, Mały – odparowała Diana. – Dobrze wiesz, że tak czy inaczej musimy dać nauczkę wszystkim tym, którzy zamierzają podnieść rękę na moje dziewczyny.

– A towar Wadima? Pomyśleliście o tym chociaż przez chwilę? – zapytał Małecki, wskazując pakunki po lewej stronie.

– Ja pierdołę! Pojebało was kompletnie! W dzień przerzutu robicie takie cyrki! Nie mogłaś poczekać, aż to od nas zabiorą?

– Możemy go oczywiście wypuścić – wysyczał Krzywy i szturchnął Podgórskiego w głowę. – Proszę bardzo. Gdzie mam go zostawić? Może podwiozę go pod komendę z wizytówką od ciebie. Jak ci się, kurwa, podoba taki pomysł?

– Daj już spokój. Myślmy logicznie – odpowiedział nieco łagodniej komisarz Małecki. – Potrzymacie go tu kilka dni. Nikt tu przecież nie schodzi. Przekażemy towar, a potem...

– Potem? – przeliterował niemal ochroniarz. – Nie

zamierzam, kurwa, czekać ani pierdolonego dnia dłużej! Powiedziałem, że dziś go zajebię, to zrobię to dziś. Zresztą szefowa się zgadza, więc nic ci do tego.

Przez chwilę Małecki i Krzywy mierzyli się wzrokiem.

– Mnie nic do tego? – powiedział w końcu komisarz. Głos mu nieco drżał. Chyba z tłumionego gniewu. – Ciekawe, gdzie byście byli beze mnie? Ale zostawmy to już. Mam dość tego pieprzenia. Macie się pozbyć ciała tak, żebym nie miał przez was, kurwa, kłopotów. I tak balansujemy cały czas na cienkiej linii.

– O czym ty mówisz? – zapytała Diana ostro.

Małecki podszedł bliżej i pochylił się nad nią. Ich twarze dzieliło teraz najwyżej kilka centymetrów.

– Dianka? – zapytał Krzywy, oczekując na rozkazy.

Diana machnęła ręką. Nie odsunęła się od Małeckiego ani o krok.

– O czym ty mówisz? – powtórzyła spokojnie, nie odrywając wzroku od komisarza.

– Wydaje mi się, że Cybulski o coś mnie podejrzewa. Na razie wydaje mu się, że to ja pomagam temu tu. – Małecki wskazał Daniela. – Ale kto wie, co będzie dalej? Ziarno niepokoju to zawsze ziarno niepokoju. Sama dobrze wiesz... Nieważne. Liczę, że nie ochujaliście zupełnie i poradzicie sobie z ciałem. Tylko poczekajcie, aż koks oddamy komu trzeba. Jeszcze tylko wkurwionego Wadima nam brakowało. No ale zostawmy to już. Przychodzę w innej sprawie. Oficjalnie.

Daniel miał wrażenie, że twarz Małeckiego stężała, kiedy wypowiedział ostatnie słowo.

– Oficjalnie? – powtórzyła Diana.

Komisarz pokiwał głową. Wyjął z kieszeni paczkę papierosów i zapalił jednego. Wypuścił kłęb dymu. Daniel poczuł nieprzyjemnie znajomy zapach marlboro. Ile razy przez te ostatnie miesiące stali we dwóch na tyłach komendy, racząc się zastrzykiem nikotyny? Nie pracowali razem długo, ale Podgórski zdążył komisarza polubić i nadal nie mógł uwierzyć, że Małecki jest zdrajcą. Sądząc jednak z przebiegu rozmowy, nie można było mieć żadnych wątpliwości.

– Oficjalnie, czyli jako glina.

– Rozumiem, wyobraź sobie – odparła Diana sarkastycznie. – Powiesz wreszcie, o co chodzi, glino?

Małecki mierzył ją przez chwilę nieco zatroskanym spojrzeniem.

– Twój mąż nie żyje – oznajmił w końcu krótko.

Właścicielka Gwiazdozbioru patrzyła na komisarza, jakby nie rozumiała, co właśnie powiedział.

– Longin nie żyje? – warknął zamiast niej Krzywy.

– Była bójka w więzieniu. Zakatowali go – wyjaśnił Małecki powoli. – To znaczy właściwie to Longin jeszcze żyje, ale lekarze nie dają mu większych szans. Przewieźli go do szpitala. Jest w śpiączce. Pewnie trzeba go będzie odłączyć od aparatury. Wysłali mnie, żebym cię...

Małecki nie dokończył. W pomieszczeniu zapanowała martwa cisza. Słysząc było tylko pracę komputerów w pokoju obok i chrapliwy oddech Daniela.

– Co ty pierdolisz, Mały? – wykrztusiła w końcu Diana. Przekleństwo zabrzmiało dziwnie w jej delikatnych ustach.

– Zostałem przysłany z komendy, żeby cię poinformować o tym, co stało się z twoim mężem – oznajmił Małecki. Teraz jego głos brzmiał naprawdę oficjalnie. – Możesz pojechać do Longina do szpitala. Jak już powiedziałem, pewnie trzeba go będzie odłączyć...

Komisarz nie dokończył, bo Diana zaczęła krzyczeć. To nie były słowa, ale raczej wyraz niesamowitego bólu. Krzywy chwycił ją wpół i bez pardonu zatkał jej usta swoją wielką dłonią.

– Spokojnie, Dianka – powiedział przy tym niemal z czułością. – Już dobrze. Jeszcze nas ludzie na górze usłyszą i wtedy nawet cyce Pameli nie pomogą. Za dużo tam psiarni. Spokojnie. Ciii. Już spokojnie, Dianka.

Właścicielka klubu powoli odzyskiwała panowanie nad sobą, ale po jej policzkach nadal płynęły łzy. Elegancki makijaż się rozmazał. Ochroniarz powoli zdjął dłoń z jej ust.

– Małecki, mamy ludzi w więzieniu, tak? – powiedziała od razu. Komisarz przytaknął, ale na jego twarzy malowało się

zdziwienie, jakby nie wiedział, do czego Diana zmierza. – Chcę, żeby ktoś załatwił tych gnoi, którzy to zrobili! Zajmij się tym!

– Zajmę się tym jutro – obiecał komisarz.

– Dziś!

– Diana, dziś nie dam rady. Trwa dochodzenie w sprawie podwójnego morderstwa i poszukiwanie tego tu. – Małecki znowu wskazał Daniela niebłałym gestem. – Do tego wszystkiego zniknął dzieciak Mary. Nikt nie lubi, kiedy takie rzeczy się dzieją. Nie mogę nagle zająć się zlecaniem zabójstwa w Starych Świątkach. Bądź poważna. Trzeba działać delikatnie. Podejźmy do tego na spokojnie.

– Na spokojnie?

Przez chwilę wydawało się, że Diana znowu zacznie krzyczeć. Krzywy zrobił nawet krok w jej stronę. W końcu kobieta powiedziała tylko zniechęcona, jakby zupełnie straciła siłę do działania:

– Niech będzie jutro. Ale dopilnuj, żeby spotkał ich ten sam los co Longina. Jadę do szpitala. Zamykamy na dzisiaj.

– A ten?

Daniel nie zdążył usłyszeć odpowiedzi, co go czeka, bo Krzywy znowu uderzył go z wielką siłą. Wokół zapadła ciemność.

ROZDZIAŁ 78

Dom doktora Doriana Witkowskiego.

Środa, 10 czerwca 2015.

Podinspektor Wiktor Cybulski

Cybulski i prokurator Gawroński popijali kawę z plastikowych kubków. Komendant kupił ją w niewielkim barze niedaleko domu psychiatry Doriana Witkowskiego. Nie był to napar tej klasy co ten, który komendant miał okazję pić w pracowni Michała Rakowskiego wczoraj. Zrobiło się już jednak późno i naprawdę potrzebowali chociaż trochę kofeiny, żeby umysł mógł pracować na pełnych obrotach.

O tej porze Cybulski zdecydowanie wolałby raczyć się kieliszkiem dobrego czerwonego wina. Na przykład chateau clerc milon pauillac, które kupił ostatnio. Niestety nie było jeszcze mowy o odpoczynku. Po tym, co odkrył informatyk, przyjechali tu razem z prokuratorem i grupą techników. Małeckiego komendant wysłał do Gwiazdozbioru, żeby poinformował Dianę Grzelak o tym, co stało się w Starych Świątkach. Uznał, że sam telefon nie wystarczy w sytuacji, kiedy jej mąż walczy o życie. Nawet jeżeli Longin jest mordercą.

– Znowu wracamy do zabójstwa Lecha Rakowskiego – powiedział do prokuratora.

Czekali, aż technicy skończą przeszukanie domu psychiatry. Później będą musieli sprawdzić Centrum Terapii, gdzie pracował doktor Witkowski.

– Myślisz, że atak na Grzelaka nie był przypadkowy?

– Trudno powiedzieć. Z tego, co mówił dyrektor placówki, Grzelakowi już wcześniej zdarzało się wszczynać bójki, ale...

– Ale teraz, kiedy umarła Swietłana Sokołowa i sędzia Jaworski, wątpliwości nasuwają się same – dokończył za niego

Gawroński.

– Zastanawiam się, czego nie widzimy – powiedział cicho Cybulski. – Sprawa śmierci Lecha Rakowskiego wydaje się tkwić pośrodku tych zdarzeń. Zginął Jaworski, który wtedy sądził. Zginęła Swietłana Sokołowa, żona jednego z zabójców. Teraz został zaatakowany Longin Grzelak, skazany za zabójstwo Rakowskiego. Do tego mamy jeszcze sukienkę i postać przypominającą lalki z pracowni Michała Rakowskiego, który jest synem Lecha. Cały czas wracamy do śmierci Lecha Rakowskiego. Cały czas.

– To przypomina zemstę – zgodził się Gawroński. – Tylko właściwie za co? Jeżeli za śmierć Lecha Rakowskiego, to dlaczego umiera sędzia Jaworski? Bez sensu.

Przez chwilę żaden z nich nic nie mówił.

– Jeżeli te dwie sprawy się łączą, to modus operandi się nie zgadza – podjął prokurator. – Lech Rakowski zginął dwa lata temu postrzelony, prawda?

– Tak.

– No właśnie. Sokołowa i Jaworski zostali otruci kurarą. Potem ich ciała pocięto i stworzono z nich tę postać. Longina Grzelaka pobito niemal na śmierć za murami więzienia.

– I jeszcze Lew Sokołow – dodał Cybulski.

Emilia i Marek odkryli u Rajmunda Jaworskiego sekretne pomieszczenie. Chłopca w nim nie było, ale brat sędziego przechowywał tam materiały pedofilskie przedstawiające Lwa. Zdjęcia nagiego chłopca miały być chyba artystyczne. Cybulski dawno nie widział jednak czegoś tak odrażającego. Czy Swietłana dowiedziała się o tym i dlatego musiała zginąć? Komendant próbował znaleźć jakiś klucz, ale czuł, że cały czas coś mu umyka. Czego nie widzę, powtarzał sobie. Czego nie widzę?

– I co z Dorianem Witkowskim? – zastanawiał się Gawroński. O dziwo, prokurator nie wspomniał o Podgórskim. Czyżby zaczął brać pod uwagę możliwość, że policjant jest jednak niewinny?

Obaj spojrzeli w stronę psychiatry. Witkowski siedział na schodach swojego domu i płakał cichutko. Kiwał się przy tym

w przód i w tył jak przerażone dziecko. Cybulski i Gawroński chcieli go przed chwilą przesłuchać, ale terapeuta wpadł w stan bliski hysterii i było to, przynajmniej na razie, zupełnie niemożliwe.

Szczerze mówiąc, Witkowski wyglądał teraz, jakby sam potrzebował pomocy psychologa. Komendant zastanawiał się nawet, czy nie wezwać tu Weroniki Nowakowskiej, która w takich sytuacjach od czasu do czasu im pomagała. Uznał jednak, że lepiej jej w to nie mieszać. Przynajmniej do momentu, kiedy Daniel nie zostanie oczyszczony z zarzutów.

– Ludzie z Lipowa mieli jednak nosa – powiedział Cybulski neutralnym tonem.

Prokurator Gawroński zgodził się z nim. Musiał przyznać, że to Marek Zaręba i Emilia Strzałkowska zdobyli i dostarczyli informatykom z komendy adres mailowy sędziego Jaworskiego. To oni upierali się, żeby nie odpuszczać Witkowskiemu i nie zamykać wątku podręcznika do psychologii.

Podkreślone fragmenty na temat etyki zawodowej terapeuty nabrały sensu po przejrzeniu skrzynki pocztowej sędziego. Kluczowy mail informatycy odkryli w folderze z wiadomościami roboczymi. Z jakiegoś powodu sędziego Jaworski nigdy nie wysłał go do adresatów. Być może powstrzymała go śmierć, pomyślał Cybulski.

Z wiadomości roboczych wynikało, że doktor Witkowski pozostawał ze Swietlaną Sokołową w związku o charakterze seksualnym. Jaworski zakończył list kategorycznym twierdzeniem, że psychiatra nie powinien dalej wykonywać swojego zawodu, gdyż naruszył zasady etyki terapeuty. Powołał się przy tym na ustępy i regulaminy, które odnalazł w podręczniku wypożyczonym z biblioteki w Lipowie.

Wiadomość została zaadresowana do kilku przedstawicieli mediów, ale także do przewodniczącej Polskiego Towarzystwa Psychologicznego, do przewodniczącej sądu koleżeńskiego Polskiego Towarzystwa Psychologicznego, do przewodniczącego oddziału kujawsko-pomorskiego Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego, do rzecznika dyscyplinarnego

Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego... Lista adresatów była długa.

– Zdaje się, że Witkowski rzeczywiście miał motyw, żeby pozbyć się sędziego i być może także Marilyn – podsumował komendant, jakby prokurator mógł słyszeć jego myśli. – Trudno powiedzieć, czy ten mail odniósłby skutek, jakiego oczekiwał Jaworski, ale być może psychiatra się tego obawiał.

– Tak czy inaczej straciłby reputację – powiedział prokurator Gawroński. – Może chodziło o pozbycie się szantażysty.

Spojrzeni znowu na psychiatrę. Chyba zaczynał się powoli uspokajać. Być może przesłuchanie w komendzie będzie bardziej owocne. Na razie zdołali wyciągnąć z niego jedynie, że nikt nie może zapewnić mu alibi na czas śmierci Marilyn. Był sam w domu. Jego żona wyjechała w delegację w zeszły poniedziałek. Zakładając, że Jaworski zmarł we wtorek, psychiatra mógł zamordować także sędziego.

– Być może Daniel jest jednak niewinny...

Cybulski rzucił to zdanie na próbę. Chciał wysondować, czy Gawroński rzeczywiście zaczyna dopuszczać taką możliwość. Prokurator upił kolejny łyk lurowatej kawy. Komendant spróbował dopić swoją, ale okazało się to absolutnie niemożliwe. Wylał napój na ziemię i zgniótł kubeczek.

– Być może – odparł Gawroński spokojnie. Trudno było wyczytać cokolwiek z przystojnej twarzy prokuratora.

– Zdjąłem ogon Weronice – oznajmił Cybulski. – Ludzie bardziej przydadzą się w domu i piwnicy Rajmunda Jaworskiego i do szukania małego Lwa Sokołowa.

Cybulski rzadko kłął, ale teraz bardzo miał na to ochotę. Podejrzani mnożyli się niemal w nieskończoność i powiązania pomiędzy nimi a ofiarami również. Sprawa zabójstwa Lecha Rakowskiego, sprawa doktora Dorian Witkowskiego, sprawa pedofilii Rajmunda Jaworskiego. Jaki był prawdziwy motyw? I gdzie był chłopiec?

– Co zrobimy z Klementyną Kopp? – zapytał Gawroński.

Właściwie to nie Marek i Emilia pierwsi weszli do ukrytej piwnicy. To Klementyna po raz kolejny dowiodła, że mimo wszelkich przywar nie ma sobie równych. Cybulski cieszył się,

że się nie pomylił co do niej. Musiał teraz przedstawić sprawę tak, żeby nie uniemożliwić jej dalszych nieformalnych działań, a być może coś z tego jeszcze wyniknie.

Zanim zdążył cokolwiek odpowiedzieć, z domu doktora Witkowskiego wyszedł szef techników. Niósł laptop w torbie na dowody. Bardzo dobrze się złożyło. Cybulski będzie miał więcej czasu, żeby wymyślić odpowiednią strategię względem Klementyny.

– Macie coś? – zapytał Gawroński.

– Pamiętają panowie ładowarkę, którą moi ludzie znaleźli w domu sędziego?

– Tak. Oczywiście.

Technik uniósł komputer.

– Ta sama firma.

Cybulski odwrócił się do doktora Dorian Witkowskiego.

– Czyj to laptop, panie Witkowski?

Psychiatra nie odpowiedział.

– Słyszysz mnie pan?!

Doktor Witkowski zaszlochał głośno.

ROZDZIAŁ 79

Gwiazdozbiór.

Środa, 10 czerwca 2015.

Grzegorz „Krzywy” Zakrzewski

Krzywy szedł wielkimi krokami przez opustoszały klub. Diana kazała zamknąć wszystkie drzwi, wyrzucić klientów, a pracowników posłać do domu. W środku miał zostać tylko on, a na zewnątrz do pomocy jak zwykle kilku chłopaków.

Zamknięcie Gwiazdozbioru to był niezły pomysł. Nie tyle ze względu na to, co spotkało szefa. To, że Longin został pobity, było oczywiście mniej lub bardziej niefortunne, ale takie rzeczy się w kiciu zdarzały. Krzywy był pewien, że szef się z tego wyliże. Bądź co bądź Grzelak był twardym zawodnikiem.

Bardziej chodziło o tego pierdolonego Daniela. Na samą myśl o uwięzionym w magazynie policjancie Krzywemu stężały mięśnie. Nie, tego rozkazu akurat nie zamierzał wypełnić. Nie będzie czekał do jutra. Nie będzie czekał ani na Dianę, ani na Małeckiego. Pozbędzie się tej psiej gnidy już dziś. Sam. Im szybciej, tym lepiej. W końcu Swietłana była jego kobietą. Nie szkodzi, że się rozstali. O nie. Nie zostawia się takich spraw niezalatwionych. Nie wśród dżentelmenów.

Krzywy raz jeszcze sprawdził okna i drzwi na dole. Potem zrobił obchód. Dawno temu ustalili z szefem, że trzeba to zrobić co najmniej trzy razy. Kiedyś to było tak naprawdę zbędne, bo system alarmowy sprawował się idealnie. Ostatnio niestety zdarzyło się kilka awarii, tym bardziej więc warto było trzymać się procedur. Ale szczerze? Dziś Krzywy miał to wszystko głęboko w dupie. Myślami był już w magazynie ukrytym za dyżurką. Myślami był już przy Danielu. Strzykawka w jednej ręce, brązowa buteleczka w drugiej.

Zszedł na dół, odpuszczając sobie sprawdzanie zaplecza,

Czarnej Sali i gabinetu Diany. Za dużo miał na głowie, żeby łączyć w kółko. Wszedł do dyżurki i zamknął drzwi. Przyłożył rękę do panelu i aktywował alarm.

Z przyzwyczajenia zerknął jeszcze na monitory. Kamery pokazywały różne części klubu i terenu dookoła. Wydawało się, że panuje spokój. Chłopaki na dworze przechadzali się znużeni. Krzywy zaśmiał się pod nosem, kiedy zobaczył, że Gruby znowu podrapał się po dupie, a potem wystawił rowa w kierunku kamery. *Private joke*. Sytuacja może i była niecodzienna, ale właściwie wszystko toczyło się niezmiennym rytmem.

Ochroniarz zatarł ręce i strzelił kostkami palców.

– Śpiąca królewna się obudziła? – zapytał, wchodząc do magazynu ukrytego za dyżurką.

Pora rozliczyć się z Podgórskim. Oj tak, uznał Krzywy w duchu. Najwyższa pora. Ta myśl tak go zajęła, że nie widział już, jak obraz na jednej z kamer pokazujących wewnątrz klubu poruszył się. Ktoś wyszedł z ukrycia.

ROZDZIAŁ 80

Lipowo.

Środa, 10 czerwca 2015.

Weronika Nowakowska

Weronika wyjrzała przez okno w kuchni dworku i poprawiła deskę, która nadal tkwiła w miejscu, gdzie szyba popękała. W ciemności nie widziała ściany lasu ani padoków. Czerń rozświetlała pojedyncza lampa wisząca nad wejściem do stajni. Latało wokół niej kilka sporych ciem.

– Dlaczego Daniel nie odbiera? – powiedziała do Igora. Pies przekrzywił głowę, jakby próbował zrozumieć jej słowa. – Powinno już być po wszystkim.

Weronika raz jeszcze spróbowała zadzwonić na numer startera, który Klementyna dała Podgórskiemu. Zero reakcji. Wyglądało na to, że policjant ma wyłączony telefon albo jest poza zasięgiem. Nie wiedziała, co to może oznaczać. Czy udało mu się dostać na zaplecze klubu drogą wskazaną przez Twiggy? Czy był jeszcze w Gwiazdozbiorze? A jeżeli coś poszło nie tak?, przeszło Weronice przez myśl. Zadrzała. Próbowwała odpędzić złe przeczucia, ale ciągle wracały. No i miała wyrzuty sumienia. Przecież kradzież nagrania z monitoringu to był jej pomysł! To ona podsunęła go Danielowi. Teraz uznała, że to zupełne szaleństwo. Od początku do końca.

– Idiotka ze mnie. Igor, twoja pani to zupełna idiotka! – powiedziała do psa. – Nie powinnam była tego proponować! Nawet jeżeli będziemy mieć to nagranie, to co? Marilyn wróciła do klubu po... spotkaniu z Danielem. I tak nie wiemy, co było później. Cholera, nic nam to nie da!

Igor znowu spojrzął na Weronikę zdziwiony jej zdenerwowaniem. On sam był chyba głównie zaniepokojony faktem, że nie dała mu jeszcze kolacji. Pogłaskała go po głowie

i wsyłała trochę karmy do miski. Uśmiechnęła się pod nosem, kiedy jak zwykle rzucił się na jedzenie.

– Jakbyś nie jadł od co najmniej miesiąca – strofowała go zartobliwie. Nie zwracał uwagi, zajęty pałaszowaniem karmy.

Weronika rozważała, czy nie zrobić sobie kanapek, ale mimo późnej pory nie była głodna. Chodziła po kuchni w tę i z powrotem z telefonem w dłoni. Miała ochotę znowu wykłębnić numer Daniela, ale się powstrzymała. To nie miało sensu. Czowała jednak, że musi coś zrobić, bo inaczej zwariuje.

Zadzwoiła do Klementyny na jeden z numerów na kartę, który kupiły. Nie odebrała. Weronika przeklęła pod nosem i wystukała oficjalny numer byłej policjantki. Wszystko jedno, przecież ludzie z komendy i tak widzieli je razem. Co to mogło zaszkodzić? Znowu nic.

Weronika wyszła na ganek w nadziei, że świeże powietrze przyniesie ukojenie. W ciągu dnia było około dwudziestu stopni, ale teraz zrobiło się chłodniej. Zadrżała w cienkiej bluzce. Zastanawiała się nad telefonem do Marka, jednak uznała, że to nie najlepszy pomysł. Daniel mówił przecież, że nikomu w policji nie mogą ufać. Prawdopodobnie ktoś go wrobił. Musiała poradzić sobie sama. Jakoś.

Spojrzała na szutrową drogę, która prowadziła od szosy do jej dworku. Nieoznakowanego radiowozu nie było widać. Wyteńczyła wzrok, próbując dostrzec coś w całkowitej ciemności. Czyżby go nie było? Ruszyła niespiesznym krokiem w tym kierunku, żeby się przekonać. Igor biegł przodem zadowolony z nieoczekiwanego spaceru.

Doszli aż do głównej drogi. Pusto. Ogon, który jej towarzyszył, został zdjęty. Co to mogło oznaczać?

– Złapali Daniela – szepnęła Weronika. Ludzie z komendy złapali Daniela. Tak musiało być. Dlatego nie odbierał i dlatego nie pilnował jej już radiowóz.

Ruszyła z powrotem do domu. Poczwała w pewnym sensie ulgę. W areszcie Danielowi nic nie grozi. Jeżeli jest niewinny, to szybko go wypuszczą. Nie mogą przetrzymywać niewinnego w nieskończoność, prawda? Właściwie od początku nie powinni bawić się w prywatne śledztwa.

– Kto jak kto, ale ja powinnam wiedzieć, że to do niczego dobrego nie prowadzi – podsumowała głośniejszym głosem i przywołała Igora.

Weszła z powrotem do hallu. Uśmiechnęła się na wspomnienie pierwszych dni, które spędziła w dworku. To było ponad dwa lata temu. Nierozpakowane pudła, meble przykryte prześcieradłami dla ochrony przed kurzem. Potem pierwsze chwile z Danielem. Tu w przedpokoju też... Myślała wtedy, że już zawsze będą razem. Cóż, życie.

Stała, nie wiedząc, co robić. Daniel prawdopodobnie był w areszcie. Czy ona może tam pojechać? Tak po prostu? Czy ktoś nie powinien jej zawiadomić? Tylko że nie jestem członkiem rodziny, pomyślała Weronika z goryczą.

– Cholerny Daniel – mruknęła. – Właściwie to powinnam była go olać i tyle.

Z tym postanowieniem Weronika weszła do kuchni. Zrobi sobie kanapki. Niech Daniel posiedzi w areszcie i przemyśli niektóre sprawy. Ot co. Jasne...

Otworzyła lodówkę i zaczęła wyciągać produkty na kuchenny blat. Pokroiła chleb w grube pajdy. Nałożyła na niego ser i nierówno pokrojone plasterki pomidora. Kanapki nie prezentowały się najlepiej, ale na pewno będą pyszne. Naje się i spędzi spokojny wieczór. Nie będzie myślała o Podgórskim.

– Ciekawe, kogo oszukuję – powiedziała znowu do siebie.

Odłożyła kanapkę na kuchenny blat. Igor pisnął i znacząco spojrzął w tamtą stronę. Rzuciła mu całą kromkę, mimo że zazwyczaj nie pozwalała mu dopraszać się jedzenia. Sięgnęła po telefon. Nie wytrzyma niepewności. Zadzwoi do Marii. Jeżeli Daniela aresztowano, Maria musi o tym wiedzieć. Matkę zatrzymanego chyba zawiadomili. Marek na pewno by to zrobił.

Znowu ogarnął ją niepokój. Przecież Zaręba do niej też by zadzwonił, gdyby Daniela aresztowano. Był dobrym człowiekiem i przyjacielem. Naprawdę trudno było jej uwierzyć, że Młody byłby w stanie wrabiać Podgórskiego w cokolwiek. Zadzwoiłby, podsumowała w duchu raz jeszcze.

Sprawdziła nieodebrane połączenia, mimo że doskonale wiedziała, że nikt nie dzwonił. Trzeba działać.

– Igor, będziesz teraz pilnował domu, dobrze?

Golden usiadł w kącie niezadowolony. Przyglądał się, jak Weronika wkłada letnią kurtkę i bierze kluczyki od samochodu. Dobrze, że nie wie, jaki jego pani ma plan, pomyślała przelotnie Nowakowska, idąc w kierunku stajni. Za budynkiem stał jej stary džip. Dawno go nie uruchamiała, bo nie było takiej potrzeby. Miała jednak nadzieję, że samochód odpali bez większych problemów.

Całe szczęście niezawodny silnik zaskoczył już przy pierwszej próbie. Opony chrzęściły na kamienistej drodze, kiedy jechała w kierunku szosy. Włączyła radio, żeby posłuchać wiadomości. Nie powiedziano nic nowego, co tylko utwierdziło Weronikę w przekonaniu, że Podgórski nadal był na wolności.

Jechała szosą, podśpiewując puszczone w radiu piosenki. W końcu skręciła w leśną drogę, wtórując Stevenowi Tylerowi z Aerosmith. Uwielbiała *Dream On*. Normalnie mogła słuchać tej piosenki na okrągło. Teraz wyłączyła radio już po pierwszej zwrotce. Uznała, że czas skupić się na czekającym ją zadaniu.

Postanowiła pojechać do Gwiazdozbioru na skróty przez kolonię Żabie Doły. Trzeba było co prawda jechać nieco wolniej w obawie przed zwierzyną, która lubiła przechadzać się po lesie nocną porą. Tędy było jednak bliżej niż szosą na Olsztyn.

Weronika starała się nie myśleć o niczym konkretnym. A już zwłaszcza o tym, że jej obecny plan wydawał się równie szalony jak wysyłanie Podgórskiego po nagranie z monitoringu. A może nie? Zamierzała pojechać pod Gwiazdozbiór i rozeznać się w sytuacji. Przecież nic nie powinno się stać, jeśli po prostu wejdzie tam jak zwykła klientka.

Wyjechała z lasu i przemknęła przez uśpione o tej porze Żabie Doły. Rozważała, czy nie zadzwonić do Wiery, żeby chociaż ją zawiadomić, gdzie jedzie. W końcu uznała, że nie będzie martwić sklepikarki. Tym bardziej że nie ma czym, prawda?

– Byłam już raz w klubie i nikt mi nic nie zrobił – powiedziała Weronika do siebie. – Będzie dobrze.

Skręciła z Wczasowej w ulicę Niskie Brodno. Alejka zawdzięczała oczywiście nazwę jezioru, wzdłuż którego biegła. Właściwie znajdowała się w obrębie Brodnicy, ale stały tu tylko

nieliczne, oddalone od siebie domki jednorodzinne. O tej porze okolica zdawała się zupełnie wymarła.

Jedyną żywą istotą był samotny motocyklista, który jechał w niewielkiej odległości za Nowakowską.

– Szkoda, że nie wzięłam Igora – powiedziała do siebie Weronika. Głównie po to, żeby usłyszeć własny głos. – Długie światła ma czy co?

Minęła ostatnie domy i jechała dalej wzdłuż jeziora. Motocyklista trzymał się blisko niej. Światło reflektorów odbijało się w lusterku wstecznym i raziło Weronikę w oczy. Przystawiała je, żeby nie łapało aż tyle światła.

– Niech mnie wyprzedzi – mruknęła i zwolniła nieco, żeby go przepuścić.

Nie pomogło. Motocykl nadal jechał za nią. Nie było to przyjemne. Weronika miała nadzieję, że kiedy skręci w boczną drogę prowadzącą przez las do klubu, mężczyzna się odczepi i pojedzie dalej prosto.

Widziała już zarys skrętu, mimo że światła starego dzipa z trudem rozjaśniały ciemność, która tu teraz zapadła. Motocykl nadal był niepokojąco blisko.

– Niech on pojedzie prosto – powtórzyła, jakby mogła w ten sposób zaklinać rzeczywistość.

Nietypowe zachowanie samotnego harleyowca napawało ją lękiem. Podskoczyła więc niemal, kiedy rozdzwoniła się jej komórka. Zignorowała połączenie. Musiała się teraz skupić. Jeszcze kilka metrów i skręci. Motocyklista na pewno pojedzie prosto i będzie po strachu. Teraz nawet wizyta w Gwiazdozbiorze wydawała jej się co najmniej kusząca. Przynajmniej pozbędzie się tego typu. Chyba że on też tam jedzie, przebiegło jej przez myśl.

Włączyła kierunkowskaz i zjechała na boczną drogę. I wszystko potoczyło się błyskawicznie...

Zobaczyła przed sobą kilka pojazdów.

Zahamowała gwałtownie. Koła straciły niemal przyczepność na piaskowej drodze, ale w końcu samochód się zatrzymał. Serce biło jej szybko, jakby zaraz miało wyskoczyć z piersi. Telefon nadal dzwonił, kiedy Weronika uniosła ręce do góry.

ROZDZIAŁ 81

Gwiazdozbiór.

Środa, 10 czerwca 2015.

Aspirant Daniel Podgórski

Daniel odzyskał przytomność kilka minut wcześniej, ale nie otwierał oczu. Nadal siedział przywiązany do złowieszczonego fotela. Słyszał, że ktoś krząta się po dyżurce obok. Sądząc po gniewnych pomrukach, był to Krzywy.

Podgórski starał się oddychać miarowo i nie zdradzić, że się ocknął. Chciał zyskać chociaż chwilę, żeby przeanalizować sytuację, w której się znalazł. Najwyraźniej klub ze striptizem i restauracja były przykrywką nie tylko dla drobnej prostytucji, ale także dla handlu narkotykami. Towaru było sporo. Podgórski nie sądził, żeby ludzie z klubu chcieli puścić go w obrót w Brodnicy. Ze strzępków rozmowy między komisarzem Małeckim a ludźmi z klubu można było wywnioskować, że narkotyki miały zostać przerzucone gdzieś dalej.

Cokolwiek się tu działo, Małecki bez wątpienia maczał w tym palce. Skorumpowany glina zawsze się w takich sytuacjach przydaje, pomyślał Podgórski z goryczą. Ale żeby Małecki? To było dla Podgórskiego zupełne zaskoczenie. Myślał, że zdążył już poznać komisarza w miarę dobrze. Czy to, co się tu działo, miało jakiś związek z zabójstwami?

– Śpiąca królewna się obudziła? – zakpił Krzywy, wchodząc do ukrytego magazynu.

Daniel nie był pewien, co go zdradziło. Może oddech albo mimowolny skurcz twarzy. Nie było już sensu udawać, że nadal jest nieprzytomny. Otworzył więc oczy i spojrzał na wielkiego osiłka. Krzywy przyglądał mu się z pewnej odległości. Na jego twarzy nie malowała się ani odrobina satysfakcji. Był tam raczej smutek.

– Diana kazała zamknąć klub i poczekać z załatwieniem

ciebie do jutra – oznajmił. – Tylko że ja nie zamierzam czekać. Nie po tym, co zrobiłeś Marilyn, kutasie.

Krzywy zerwał Podgórskiemu taśmę z ust, jakby nagle nabral ochoty na pogawędkę.

– Nie zabiłem jej – wykrztusił Daniel. Słowa zabrzmiały całkiem wyraźnie, ale i tak trudno było sądzić, że ochroniarz zmieni zdanie. Podgórski boleśnie zdawał sobie z tego sprawę.

– Dobrze! – zaśmiał się Krzywy. Wyciągnął niewielką ciemnobrązową buteleczkę i strzykawkę. – Naprawdę dobre. Prawie mnie przekonałeś, stary.

– Co zamierzasz?

Daniel sam się zdziwił, jak rzeczowy stał się teraz jego ton. Znowu miał irracjonalne poczucie, że znajduje się poza swoim ciałem i dyskutuje o kimś zupełnie innym. Krzywy uniósł brązową buteleczkę.

– Co to jest?

– Kurara – poinformował Krzywy, napełniając strzykawkę płynem. – Oto co zamierzam. Muszę ci powiedzieć, że ta kurara to świetna rzecz. Opowiem ci może, co się stanie, kiedy ci to wstrzyknę. Chcesz?

Podgórski nie odpowiedział. Cały wcześniejszy spokój minął, jakby jego ciało nareszcie rozumiało, że jest zagrożone.

– Otóż kurara działa porażająco na mięśnie szkieletowe – oznajmił ochroniarz. – Patrz, jakie znam mądre słowa! Wiesz, co się stanie, kiedy ci to wstrzyknę? Najpierw sparaliżuje ci twarz i szyję. Nie będziesz mógł przełykać. O nie. Nie będziesz mógł nawet poruszyć głową. Wiesz, co dalej? Nie? A ja myślę, że już się domyślasz. Udusisz się, morderco jebany! Ale wiesz, co jest najlepsze?

Daniel znowu nie odpowiedział, więc Krzywy odłożył buteleczkę i strzykawkę na ułożone równo paczki z narkotykami. Podszedł do fotela i chwycił Podgórskiego gwałtownie za szyję. Uniósł policjanta bez większego trudu, jakby ten nie był roslym mężczyzną, ale szmacianą lalką. Ręce i nogi Daniela nadal przytwierdzone były do fotela. Policjant czuł bolesny ucisk w miejscach, gdzie taśmy wbijały mu się w ciało. Stawy paliły, jakby kości miały zaraz zostać powyry-

wane.

– Wiesz czy kurwa nie wiesz?

– Nie wiem – wydusił Daniel, bo wyglądało na to, że Krzywy naprawdę oczekuje jakiejś odpowiedzi.

Strategia okazała się słuszną, bo osilek zwolnił uścisk, pozwalając, żeby ciało Podgórskiego opadło.

– Cały czas będziesz przytomny, posrańcu. Do samego końca! I nie będziesz mógł nic zrobić. Kompletnie nic. Świetna rzecz dla takich jak ty popieprzonych zbrojców. Trzeba było zostawić Marilyn w spokoju!

– Krzywy, ja naprawdę jej nie zabiłem.

Nagle rozległo się pukanie do drzwi dyżurki. Daniel spojrzał w tamtą stronę z nadzieją na ratunek.

– Kogo tu niesie? Wszyscy mieli wyjść.

Krzywy przeszedł do pomieszczenia obok rozeźlony. Daniel przekręcił głowę w prawo, najbardziej jak mógł, żeby widzieć, co się dzieje w dyżurce. Ze zdziwieniem zauważył, że obrazy na monitorach ustawionych na panelu kontrolnym zaczęły znikać.

– Kurwa! – warknął ochroniarz. – Akurat dziś się zawiesiło?

Pukanie do drzwi się powtórzyło.

– Ej, Krzywy, to ja – dało się usłyszeć przytłumiony głos. Daniel był pewien, że go rozpoznaje. – Otwórz mi.

Osilek westchnął i zniknął z pola widzenia Daniela. Zapewne podszedł do drzwi. Wkrótce rozległo się szczęknięcie otwieranych zamków.

– Co ty tu jeszcze robisz? – zapytał Krzywy. – Myślałem, że wszyscy poszli do domu i są tylko chłopaki na zewnątrz. Czego chcesz?

– Nie mogę wyjść, bo załadowałeś alarm.

Krzywy westchnął głośno.

– Trzeba było mówić, że tu jesteś, a nie robić mi kłopoty. Idź do drzwi, to otworzę... Zaraz, a jak to się stało, że alarm się nie włączył, kiedy...

Krzywy nie dokończył. Daniel usłyszał charakterystyczny dźwięk wystrzału z pistoletu z tłumikiem. Wielkie ciało ochroniarza upadło na ziemię z głuchym łoskotem. Strzał się powtórzył. Potem znowu. I znowu. I znowu.

ROZDZIAŁ 82

Komenda Powiatowa Policji w Brodnicy. Środa, 10 czerwca 2015. Starszy sierżant Marek Zaręba

Komisarz Małecki, który pojechał do Gwiazdozbioru poinformować Dianę Grzelak o ataku na jej męża, dał znać, że niedługo będzie w komendzie. Prokurator Gawroński zajął już miejsce w sali przesłuchań. Komendant Cybulski poszedł zaś na chwilę do siebie. Chciał skomunikować się z technikami, którzy w tym czasie przeszukiwali Centrum Terapii doktora Witkowskiego.

Korzystając z wolniejszej chwili, Zaręba postanowił zadzwonić do Weroniki, ale nie odbierała. Miał zamiar powiedzieć jej o postępach w śledztwie. Daniel nadal był poszukiwany, ale znaleźli się nowi podejrzani. W związku z tym zarówno w komendzie, jak i wśród przedstawicieli województwa nastroje nieco się zmieniły. Coraz częściej pojawiały się wątpliwości co do winy Podgórskiego. Zaręba czuł, że powinien opowiedzieć o tym Nowakowskiej. Może nie byli już z Danielem parą, ale skoro weszła z Klementyną, najwyraźniej nadal interesowała się jego losem.

Marek zerknął na Klementynę. Stała tu z nim i z Emilią, jakby korytarz komendy to było jej naturalne środowisko. Zupełnie nie przejmowała się tym, że komendant Cybulski kazał jej stąd wyjść. I to od razu po tym, jak została przesłuchana w sprawie zdarzenia w domu ojca Jaworskich pod Strzemiuszczkiem.

Podczas krótkiego przesłuchania Klementyna oczywiście nie powiedziała zbyt wiele. Masowała się po obolałej po podduszeniu szyi i z uporem powtarzała, że Rajmund wygrał telefon na loterii, a ona jedynie dowoziła przesyłkę. Miała przy tym tak nieprzenikniony wyraz twarzy, że Cybulski dał sobie

spokój z naciskaniem. Przynajmniej na dziś. Było już bardzo późno i każdy chyba chciał jak najszybciej pójść do domu. Zdecydowali się pracować dalej tylko dlatego, że chodziło o bezpieczeństwo dziecka. Lwa Sokołowa nadal nie udało się przecież odnaleźć.

Nie tylko Klementyna milczała. Przesłuchanie Rajmunda też niewiele dało. Brat sędziego uparcie twierdził, że nie zabił ani Jaworskiego, ani Swietłany Sokołowej, nie porwał także Lwa z domu dziecka. Materiały pedofilskie, które znaleziono w piwnicy domu jego ojca, wystarczyły jednak, żeby zatrzymać go w areszcie. Przynajmniej na czterdzieści osiem godzin.

– Znowu nic – bardziej stwierdziła, niż zapytała, Emilia. Wskazała telefon, który Zaręba nadal trzymał w dłoni. – Nie odbiera.

Marek pokręcił głową. Strzałkowska wyglądała na bardzo zmęczoną. Cienie pod jej oczami znowu zrobiły się niemal czarne, ale może to biel policzków potęgowała to wrażenie.

– Jesteś pewna, że chcesz zostać?

– Tak, oczywiście.

Zaręba już kilka razy próbował namówić Emilię do powrotu do Lipowa. Strzałkowska jednak upierała się, że da radę i chce zostać na nocnym przesłuchaniu Doriana Witkowskiego. Marek ją rozumiał. Przecież to właśnie dzięki jej uporowi odkryli machlojki psychiatry. Poza tym zostawała jeszcze kwestia Łukasza. Widać było, że Emilię bardzo zraniło to, że nie wiedziała o wizytach syna w gabinecie psychologa.

Marek odwrócił się do Klementyny, bo nie widział sensu w dalszym przekonywaniu Emilii do odpoczynku.

– Wy naprawdę nie wiecie, gdzie jest Daniel?

– Niby skąd, Młody, co? – odparła Klementyna.

– Nie mów mi, że nie prowadziłyście śledztwa z Weroniką. Ludzie komendanta was widzieli.

Na twarzy Klementyny pojawił się wyraz całkowitej niewinności.

– Śledztwo, co? Nic z tego. Jestem cywilem. Nie prowadzę już żadnych śledztw. – Kiwnęła głową w stronę Strzałkowskiej. – Ta tu matka Polka o to zadbała jesienią.

– To co robiłaś u Rajmunda? – zapytała cierpko Emilia.

– Już mówiłam na przesłuchaniu. Wygrał na loterii. Dowoziłam mu telefon. Cywile mają się różnych zajęć.

– Klementyna, co ty tu jeszcze robisz?

Korytarzem nadchodził właśnie komendant Cybulski w towarzystwie komisarza Małeckiego. Klementyna wzruszyła ramionami i sięgnęła po telefon. Musiała go wyłączyć podczas przesłuchania, bo najpierw rozległa się głośna melodyjka powitania, a potem kilka piknięć powiadomień.

– Ups, chyba nie wyszłam z komendy po twojej pogadance – mruknęła od niechcienia, bardziej zajęta tym, co widzi na ekranie, niż zebranymi wokół niej osobami.

– Przestań się wygłupiać, bardzo cię proszę. Chcesz mieć kłopoty? Mało ci siedzenia w szpitalu? – zapytał Cybulski z westchnieniem i spojrzał na Klementynę prosząco. – W budynku są ludzie z województwa. Będę musiał kazać cię wyprowadzić. Nie róbmy farsy, i tak jesteśmy na językach wszystkich. To jak?

Niespodziewanie Klementyna skinęła głową.

– Okej. No dobra. Już idę – odparła, wrzucając telefon do czarnego plecaka. – Powodzenia w waszym śledztwie.

Odwróciła się i ruszyła korytarzem, nie oglądając się za siebie. Patrzyli za nią zaskoczeni tą nagłą uległością. Zupełnie nie w jej stylu. Cybulski pokręcił głową, jakby był naprawdę zniecierpliwiony. Marek zauważył jednak błakający się po twarzy komendanta delikatny uśmiech.

– Są nowe wieści – oznajmił, kiedy policjantka już się oddaliła. – Technicy przeglądają właśnie karty w Centrum Terapii Witkowskiego.

W głosie Cybulskiego pobrzmiwała pewna ekscytacja.

– Co znaleźli? – zapytał Małecki.

– Otóż okazało się, że ten krawiec Michał Rakowski też był pacjentem Witkowskiego.

– Kiedy?

– Na początku tego roku.

– To by wyjaśniało, skąd pomysł na tę makabryczną inscenizację! – wtrąciła się Emilia.

– Co masz na myśli?

– Witkowski być może napatrzył się na te lalki i chciał zrzucić winę na krawca.

Zaręba przypomniał sobie, że przedtem Emilia mówiła to samo o Edycie Sadowskiej.

– Mogło tak być – zgodził się Cybulski. – Tylko że nie wiedział, że jego dawny pacjent będzie miał na ten czas żelazne alibi. Z opery we Wrocławiu raczej nie teleportował się w okolice Lipowa.

– Nie gdybajmy, tylko zabierzmy się za tego psychiatrę – powiedział Małecki. – Są już w pokoju przesłuchań?

– Tak, czekaliśmy tylko na was – poinformowała Emilia, jakby to ona przejęła dowodzenie.

Cybulski zerknął na nią przelotnie. Zatrzymał wzrok na jej brzuchu.

– Nie powinnaś wracać do domu, Emilio?

– Chcę chociaż zobaczyć to przesłuchanie.

– Nie powinnaś już przejść na...

– Jak na razie czuję się doskonale – przerwała mu Strzałkowska. – Dotąd lekarz nie widział żadnych przeciwwskazań, żebym pracowała, więc proszę się nie martwić, komendancie. O nic pana nie oskarżam.

W głosie policjantki pojawiła się gorycz. Emilia naprawdę zdawała się zdeterminowana, żeby tu zostać. Cybulski i Małecki wymienili spojrzenia.

– Możecie obserwować przesłuchanie z pokoju obok – powiedział w końcu komendant do Marka i Emilii.

Strzałkowska podziękowała i natychmiast ruszyła do pomieszczenia, jakby obawiała się, że Cybulski zmieni zdanie. Marek poszedł za nią. Pokój nie był zbyt przestronny, kiedy więc dołączył do nich komendant, zrobiło się naprawdę tłoczno.

Przez lustro weneckie widzieli, jak Małecki wchodzi do sali przesłuchań i zajmuje miejsce obok prokuratora Gawrońskiego. Przez chwilę wymieniali cicho jakieś uwagi. Pewnie komisarz informował prokuratora o najnowszych odkryciach techników.

Po drugiej stronie stołu siedział doktor Dorian Witkowski. Twarz miał czerwoną i spuchniętą od płaczu. Była prawie w takim samym odcieniu jak pstrokaty krawat, który miał na szyi.

– Nie chciał adwokata? – zdziwił się Marek.

Cybulski pokręcił głową nadal wpatrzony w lustro weneckie.

– Wiemy już, że nie ma pan alibi na czas żadnego z morderstw, doktorze Witkowski – zaczął Gawroński. Jego głos płynął z głośników zawieszonych przy suficie i brzmiał nieco metalicznie. – A gdzie pan był dziś od rana do powiedzmy szesnastej?

Prokurator mówił lekkim tonem, jakby godziny nie miały znaczenia. Oczywiście na początek chciał sprawdzić, czy Witkowski mógł porwać Lwa Sokołowa.

– W Centrum Terapii! Byłem w gabinecie z pacjentami! – zawołał psychiatra. Z jego głosu bił teraz wyraźny entuzjazm. – Byłem wtedy w gabinecie! Moja recepcjonistka to potwierdzi! I pacjenci! Jestem niewinny. Sam pan widzi. Tak się cieszę!

Witkowski otarł łzy z twarzy. Uśmiechnął się, jakby wszystko zostało już załatwione i wyjaśnione, a on sam właściwie mógł już wyjść z komendy, żeby dalej wieść normalne życie. Markowi było go niemal szkoda. Niemal.

– Nie tak szybko – upomniał psychiatrę Małecki. – Skoro o pacjentach mowa, czy potwierdza pan, że leczył niejakiego Michała Rakowskiego?

– Ja... takie rzeczy to tajemnica...

– Już nie – przerwał mu komisarz. – Nasi ludzie przejrzeni właśnie karty w pańskim Centrum Terapii.

– To po co pan pyta? – zapytał psychiatrę sucho. W kolorowym garniturze wyglądał teraz jak urażone dziecko przebrane za klauna na jakiś bal.

– Spodobały się panu lalki, które robi krawiec, prawda? – odezwał się Gawroński powoli.

Marek zauważył, że Emilia uśmiechnęła się pod nosem na te słowa. Pewnie dlatego, że prokurator wpadł na ten sam pomysł co ona przed chwilą. A może dlatego, że nadal coś do niego czuła. Ich rozstanie ostatniej jesieni było dosyć nagłe

i tajemnicze. Tym bardziej że wydawali się zgraną parą. Marek próbował dowiedzieć się, o co poszło, ale Emilia uparcie milczała. To tylko pobudzało ciekawość.

– Lalki? Jakie lalki? Nic nie wiem o żadnych lalkach.

Małecki westchnął teatralnie i wymienił spojrzenia z Gawrońskim. Potem pochylił się przez stół do Witkowskiego.

– Zostawmy to na razie – powiedział do niego ugodowo. – Tak czy inaczej musimy jeszcze wyjaśnić kilka szczegółów związanych z pańskim udziałem w morderstwach.

Z twarzy psychiatry zniknął uśmiech. Na jego miejsce pojawiło się przerażenie. Najwyraźniej przyjacielski ton komisarza zupełnie go nie zwiódł.

– Moim udziałem w czym? Nie zabiłem sędziego Jaworskiego!

– A Swietlanę Sokołową pan zabił? – zainteresował się prokurator.

– Niech pan mnie nie łapie za słowa!

Gawroński poprawił krawat i pochylił się lekko w stronę przesłuchiwanego.

– Widzieliśmy wiadomości mailowe sędziego – wyjaśnił spokojnie. – Były gotowe do wysłania.

Witkowski skrzywił się nieznacznie.

– Na pewno było panu bardzo na rękę, że oboje zginęli – dodał Małecki. Wyjął papierosa zza ucha i wsadził go do ust. – Ma pan może ochotę zapalić?

Psychiatra rozejrzał się po pokoju, jakby szukał pomocy. Jego wzrok spoczął w końcu na tafli lustra weneckiego i Marek miał wrażenie, że Witkowski patrzy teraz prosto na niego. W jego oczach czaiła się prośba. Zaręba odwrócił wzrok, mimo że terapeuta nie mógł go widzieć.

– To jak? – naciskał Małecki.

– To jakieś żarty! – krzyknął przesłuchiwany. – Te maile to nic... Jaworski nie mógł mi nic zrobić!

– Mógł pan utracić prawo wykonywania zawodu.

– Nic takiego by się nie stało – mruknął doktor Witkowski. Odwrócił wzrok od lustra i skupił się na blacie metalowego stołu przed sobą.

– Czyżby? Że już nawet nie wspomnę o nagonce medialnej – podchwycił teraz Gawroński. – Widziałem, że wiadomość mailowa była również zaadresowana do kilku tabloidów.

– Na pewno miałyby używanie – zgodził się Małecki nieco zbolalym tonem, jakby nagle bardzo zależało mu na losie Witkowskiego. – Mogę powiedzieć coś szczerze?

– Proszę – powiedział słabo psychiatra. Jego głos ledwie było słyhać w starych głośnikach.

– Nie sądzę, żeby po takiej aferze mógł pan liczyć na pacjentów. Gdyby sprawa została odpowiednio naświetlona, a Swietłana dała sobie zrobić kilka zapłakanych zdjęć. Wtedy miałyby pan problem, doktorze.

– To bzdura.

– Pańska praktyka jest prywatna, prawda? – podjął prokurator Gawroński.

Witkowski skinął powoli głową.

– Chyba trudno byłoby powiązać koniec z końcem, gdyby pacjenci przestali przychodzić – włączył się Małecki.

Marek był pod wrażeniem, jak dobrze Gawroński i Małecki się uzupełniają podczas przesłuchania. Byli jak dwójka tancerzy, która idealnie dopasowuje się do ruchu partnera.

– Przedstawiacie Swietlanę, jakby była ofiarą! – zawołał Witkowski.

Nagle jego głos zupełnie się zmienił. Pobrzmiewała w nim teraz wyraźna gorycz. Psychiatra pozwolił sobie nawet na pełen rozżalenia uśmiech.

– A kim według pana jest Swietłana Sokołowa, jeżeli nie ofiarą? – zapytał prokurator.

– Omotała mnie! Myślałem, że ją leczę, ale ona mnie uwiodła! Od początku tego chciała! – wołał psychiatra, z trudem łapiąc oddech. Jego twarz przybrała rozgorączkowany wyraz. – Od początku wiedziała, że skończymy w łóżku! Dążyła do tego!

– Chciałby się pan napić wody? – zaproponował Małecki.

Psychiatra uderzył dłonią w metalowy blat stołu.

– Pan nie rozumie! Nie widział pan jej oczu. Wypełniały się łzami, kiedy tak patrzyła. Była świetną aktorką. Nie łudzę się, że byłem jedyny.

– I bardzo dobrze – powiedział Małecki. – Przecież miała męża w więzieniu.

Witkowski machnął ręką.

– Nie o niego chodzi. Nie jestem głupi! Kiedy romansowała ze mną, spotykała się też z innym! To chcę powiedzieć.

Marek widział, że Gawroński i Małecki wymieniają spojrzenia, jakby chcieli uzgodnić, czy warto podążać tym tropem.

– Ma pan na myśli tego człowieka z klubu? – zapytał komisarz. – Nie pamiętam dokładnie jego nazwiska. Ten ochroniarz.

– Grzegorz „Krzywy” Zakrzewski – przyszedł mu z pomocą prokurator, zaglądając do papierów.

Małecki skinął głową w podziękowaniu.

– No właśnie. Grzegorz „Krzywy” Zakrzewski. Czy o niego panu chodzi, doktorze?

– Nie. Z nim już wcześniej zerwała. Zresztą to ja namówiłem ją do tego podczas terapii – wyjaśnił Witkowski. W jego tonie znowu pojawił się ostrożny entuzjazm. – Spotykała się z kimś innym. Być może to ten trzeci ją zabił?

– Ten trzeci?

Marek pochylił się w stronę lustra weneckiego zaciekawiony. Miał teraz wrażenie, że również uczestniczy w przesłuchaniu, a nie tylko je obserwuje. Czy naprawdę był jeszcze jeden mężczyzna w życiu Marilyn? Jeżeli tak, to kto? Słyszał, jak Emilia odetchnęła głębiej. Być może bała się, że Witkowski wskaże Daniela.

– Tak.

– Wie pan, kto to był?

– Nie wiem.

– Skąd pewność, że był taki mężczyzna?

– Sokołowa zasugerowała mi to kilkakrotnie. Biedna pokrzywdzona Swietłana, dobre sobie! Igrała z mężczyznami, jak chciała.

– Zostawmy na razie domysły... – zaczął Gawroński.

– To nie są domysły! – zachnął się Witkowski. – To fakty!

– Świetnie. Wróćmy w takim razie do faktów – powiedział

prokurator spokojnie. – Jak wyjaśni pan fakt, że w pańskim domu znaleźliśmy laptopa należącego do sędziego Jaworskiego?

Marek pokiwał głową. To było bardzo dobre pytanie i jeden z powodów, dla których on i Emilia tak bardzo chcieli zobaczyć to przesłuchanie. Mimo późnej pory specjalista od komputerów popracował trochę nad laptopem znalezionym w domu psychiatry.

Komputer nie tylko pasował do ładowarki z domu sędziego, ale po złamaniu dość łatwego hasła okazało się, że był własnością Jaworskiego. Do tego dochodziły ślady opon subaru na podjeździe domu sędziego i motyw. W tej chwili doktor Witkowski był zdecydowanie bardziej podejrzany od Daniela, a oto przecież ze Strzałkowską walczyli.

– Mogę to wyjaśnić – zapewnił psychiatra gorąco. – Chociaż... może powiem po kolei.

– Czekamy – mruknął komisarz Małecki. Na jego twarzy malowało się lekkie rozbawienie, ale może Markowi tylko się wydawało.

– W poniedziałek tydzień temu sędzia Jaworski przyszedł do mnie do przychodni. Całe szczęście Bogny już nie było.

– Kto to?

– To moja recepcjonistka. Jest strasznie gadatliwa. Wszystko by się rozniosło!

Marek uśmiechnął się na wspomnienie uroczej recepcjonistki w gabinecie psychiatry. Dochowywanie tajemnicy rzeczywiście nie było jej najmocniejszą stroną.

– Co było dalej? – zapytał prokurator Gawroński.

– Byłem zaskoczony, że Jaworski się zjawił – podjął podejrzany. – Sesje miał we wtorki, więc to była zupełna niespodzianka. Tym bardziej że on zawsze trzymał się wszelkich ustaleń... Tak czy inaczej zaprosiłem go do gabinetu. Jaworski z miejsca oznajmił mi, że wie o mojej relacji ze Swietlaną.

– Skąd?

– Opowiedziała mu o tym. Podejrzewam, że i jego Swietłana omotała. Kolejny facet do kolekcji. W każdym razie powiedział

mi o mailach, które przygotował. Zagroził, że je roześle, jeżeli z nią nie zerwę. Tu się nie pomyliliście. Oczywiście zamierzałem spełnić jego żądania.

– Co było dalej? – powtórzył Gawroński.

– Obiecałem sędziemu, że zerwę ze Swietlaną na wtorkowej sesji. Nie chciałem tego załatwiać przez telefon. Uznałem, że to byłoby nieeleganckie.

– Jak zareagował Jaworski?

– Zgodził się i wyglądał na udobruchanego.

Witkowski zamilkł. Oddychał ciężko.

– Na pewno nie chce się pan czegoś napić? – zaproponował znowu Małecki.

Psychiatra pokręcił głową.

– Miejsmy to już za sobą... Tak jak powiedziałem... naprawdę miałem zamiar zerwać ze Swietlaną. Naprawdę! I tak już jakiś czas temu uznałem, że to było bardzo nie w porządku wobec mojej żony. Moje relacje ze Swietlaną... Żona... ona często wyjeżdża i... Nieważne. W każdym razie plan legł w gruzach, bo Swietlana nie przyszła na wtorkową sesję. Nie wiedziałem, co robić. Próbowałem zadzwonić do Jaworskiego, żeby wyjaśnić sytuację, ale jego telefon stacjonarny był głuchy. Komórki nie posiadał. Miał na tym punkcie fobię, której niestety nie mogliśmy pokonać podczas sesji. Ja...

Marek pokiwał głową. To by się zgadzało. Linia telefoniczna w gospodarstwie Jaworskiego była przecież zerwana.

– A nie próbował się pan skontaktować z Sokołową?

Marek znowu pokiwał głową. To także było dobre pytanie. Wstał i podszedł do lustra weneckiego. Sprawdzili billingi Marilyn i wiedzieli, że Witkowski do niej nie zadzwonił. Dlaczego?

– Nie rozumiem.

– Mówi pan, że dzwonił do sędziego, ale ten nie odbierał – uściślił Małecki. – Kiedy Sokołowa nie zjawiała się na wtorkowej sesji, nie próbował się pan z nią skontaktować? Przecież miał pan wiele do stracenia.

– Nie wiem... Sam nie wiem. Jakoś nie przyszło mi to do głowy. Byłem zupełnie rozbity. Nie mogłem się skupić, bo

myślałem, że będę miał to już za sobą. Może mi pan nie wierzyć, ale naprawdę nie pomyślałem.

Według Marka zabrzmiało to szczerze, ale Gawroński i Małecki nie wyglądali na przekonanych.

– Co było dalej?

– Ponieważ Jaworski nie odbierał, postanowiłem pojechać do niego do domu i powiedzieć mu o tym osobiście.

– Naprawdę nie łatwiej było przedzwonić do Sokołowej?

– Już mówiłem, że mi to nie przyszło do głowy! Nie myślałem logicznie! Nie byłem też pewien, czy sędzia myśli logicznie. Jeżeli go omotała, to na pewno nie.

– Prawdziwa modliszka – zaśmiał się cicho Małecki.

Doktor Witkowski otarł pot z czoła.

– Żeby pan wiedział.

– No i podjechał pan pod dom Jaworskiego, tak? – podjął temat prokurator.

– Tak. Zatrzymałem się na podjeździe.

Marek pomyślał, że to by z kolei wyjaśniało ślady opon subaru przed domem Jaworskiego w Szramowie. Jak na razie wszystko się zgadzało.

– Pukałem, ale nikt nie odpowiadał – kontynuował opowieść psychiatra. – Byłem jednak pewien, że Jaworski jest w domu.

– Dlaczego? – zapytał Małecki.

– A gdzie miał być? Był takim samotnikiem. Nie utrzymywał kontaktów z rodziną, nie miał przyjaciół. Zresztą widziałem światło w oknach. Na piętrze ktoś na pewno był.

– Skąd ta pewność?

– Wydawało mi się, że widziałem jakiś ruch. Nacisnąłem klamkę, drzwi nie były zamknięte, wszedłem do środka...

Głos Witkowskiego stopniowo cichł, aż psychiatra zupełnie zamilkł. Na jego twarzy malowało się autentyczne przerażenie.

– Co było dalej? – powtórzył po raz kolejny Gawroński.

– Sędzia... leżał na kanapie... A może na ziemi... już teraz nie wiem. W każdym razie na pewno nie żył... Obok był sprzęt do elektrowstrząsów...

Psychiatra pokiwał głową, ocierając łzy. Marek poczuł, że serce zaczyna bić mu szybciej. Przypomniawszy sobie podkreślone

w podręczniku do psychologii fragmenty dotyczące tej kontrowersyjnej metody leczenia depresji.

– Sprzęt do elektrowstrząsów? – wtrącił się Małecki. – Niczego takiego tam nie znaleźliśmy.

– Bo zabrałem – wyznał Witkowski bardzo cicho.

Gawroński i Małecki wymienili spojrzenia.

– Zabrał pan? Dlaczego?

– Bałem się...

– Że?

– Bałem się, że Jaworski sam próbował to przeprowadzić i coś poszło nie tak... Cholera, takich rzeczy nikt nie robi sam w domu! Bałem się, że to wszystko mnie obciąży. Że ktoś pomyśli, że to ja go do tego namówiłem.

– Dlaczego przyszło panu do głowy, że sędzia próbowałby zaaplikować sobie elektrowstrząsy na własną rękę?

– To jedna z metod leczenia depresji. Jaworski ciągle o niej mówił! Jak opętany! Gdzieś to wyczytał...

– Miał elektrody przypięte do głowy, kiedy go pan znalazł?

– Jak to?

– Jeżeli próbowałby przeprowadzić zabieg sam i zginąłby przy tym, elektrody nadal musiałyby być przyczepione do jego głowy. Czy się mylę?

– Nie... nie wiem.

– Dlaczego nie zawiadomił pan nikogo o śmierci Jaworskiego?

– Przecież przed chwilą powiedziałem! Bałem się jak cholera! Że wszyscy pomyślą, że to ja zrobiłem... Że go namówiłem i potem włączyłem za dużą dawkę. Cokolwiek... Zwłaszcza jeżeli rozesłał maile, którymi mnie straszył. Działąłem impulsywnie! Już mówiłem, że byłem roztrzęsiony! Chciałem to wszystko naprawić... Zabrałem sprzęt. Zauważyłem też laptopa na stoliku. Nie mogłem uwierzyć we własne szczęście. Może jeszcze wszystko da się odwrócić. Tak wtedy pomyślałem. Idiota – zakończył gorzko Witkowski. – To wszystko, co zrobiłem. Nie zabiłem nikogo!

– Proszę mi wybaczyć, ale to wszystko wydaje się grubymi nićmi szyte.

– Ale tak właśnie było!

– Co pan zrobił ze sprzętem, który pan zabrał?

– Wyrzuciłem na wysypisko. Bardzo uważałem, żeby ktoś mnie nie widział. Myślałem, że to zakończy sprawę... Laptopa nie zniszczyłem, bo chciałem sprawdzić maile. Tylko nie umiałem złamać hasła.

– Naprawdę nie lepiej było zadzwonić na policję po odkryciu ciała? – zapytał Małecki, bawiąc się papierosem. – Albo wezwać karetkę?

– Głuchy pan czy co? – zawołał Witkowski. – Bałem się, że to mnie obwinia! Poza tym jak miałem wytłumaczyć, że tam pojechałem?

– Tak jak nam teraz – odparł spokojnie prokurator Gawroński.

– Lepiej chyba być podejrzanym o złamanie etyki zawodowej niż o podwójne morderstwo, prawda? – dodał Małecki.

– Skąd mogłem wiedzieć, że będę podejrzanym o morderstwo? Myślałem, że udało mi się to wszystko... cholera! Teraz jestem pewien, jak o tym myślę! To poruszenie na górze! Tam wtedy u Jaworskiego naprawdę ktoś był... kiedy zabierałem sprzęt! Przysięgam! To musi być ten trzeci! To jego szukacie! Miałem szczęście, że mnie też nie zabił!

Marek wpatrywał się w doktora Witkowskiego przez lustro weneckie. Czy psychiatra mówił prawdę?

ROZDZIAŁ 83

Gwiazdozbiór.

Środa, 10 czerwca 2015.

Aspirant Daniel Podgórski

Daniel nasłuchiwał, ale strzały się nie powtórzyły. Zastanawiał się, co powinien zrobić. W jednej chwili miał umrzeć od zastrzyku kurary, a w drugiej jego oprawca leżał martwy w dyżurce obok. Kłopot w tym, że Podgórski wcale nie był pewien, czy jego własna sytuacja w jakikolwiek sposób się przez to poprawiła.

Usłyszał, że ktoś mocuje się z ciałem Krzywego. Próbował bardziej się wychylić, żeby zobaczyć, co się dzieje w dyżurce. Poobijane ciało zaprotestowało, a więzy na nadgarstkach i kostkach mocno trzymały. Nie mógł ruszyć się ani o centymetr.

Westchnął. Krzywy zdjął mu wcześniej taśmę z ust, więc najlepiej chyba było po prostu się odezwać i zobaczyć, co z tego wyniknie. Daniel nie widział sensu ukrywać swoją tu obecność, skoro i tak był przywiązany do fotela i o samodzielnej ucieczce nie mogło być mowy.

– Pamela? – powiedział ostrożnie.

Był przekonany, że to głos blondwłosej striptizerki rozpoznał, kiedy nieoczekiwanie rozległo się pukanie do drzwi dyżurki. Trudno było powiedzieć, dlaczego zabiła Krzywego i czy to ona popełniła pozostałe morderstwa. Co tu się, cholera jasna, dzieje?

Szuranie w dyżurce ustało. Na moment zapadła kompletna cisza.

– Pamela? – spróbował Podgórski raz jeszcze.

Blondynka weszła do magazynu. Ubrana była w czarne spodnie i golf. Na rękach miała rękawiczki, a włosy ukryła pod

czapką. W jej ruchach czaiło się coś niepokojącego. Doskonale wiedziała, co robi. Wprawnym ruchem wycelowała pistolet prosto w twarz Podgórskiego. O ile Daniel dobrze widział, to był glock 17. Policjant słyszał, jak wystrzeliła do Krzywego pięć razy. Jeżeli w broni znajdował się standardowy magazynek, zostało jej jeszcze dwanaście naboii. Aż nadto, żeby posłać kogoś na tamten świat. Zwłaszcza gdy był związany i nie mógł się bronić.

– Co ty tu, kurwa, robisz? – warknęła, jakby to wszystko była wina Daniela.

– Wpadłem w odwiedziny. A ty?

Pytanie było może trochę ryzykowne, ale inne nie przyszło mu do głowy. Mimo niejasnej sytuacji Podgórski nie mógł się powstrzymać przed odrobiną sarkazmu.

– Rozwiążę cię teraz – oznajmiła Pamela zamiast odpowiedzi. Nie spuszczała go przy tym z celownika. – Pomożesz mi z tym monstrum. Tylko ostrzegam! Jeżeli przyjdzie ci do głowy coś głupiego, to...

Nie dokończyła, tylko poruszyła lekko ręką, w której trzymała glocka. Daniel skinął głową na znak, że się zgadza. Striptizerka zaczęła ostrożnie rozpinąć taśmy, którymi przytwierdzono jego ręce i nogi do krzesła. Czuć powoli wracało do zdrętwiałych kończyn.

Pamela zostawiła ostatnią klamrę zapiętą, żeby Daniel musiał poradzić sobie z nią sam, i odsunęła się na bezpieczną odległość. Prawdopodobnie obawiała się próby ataku. To zupełnie nie wchodziło w grę. Przynajmniej na razie, bo nadal każdy ruch wydawał się niemożliwością. Podgórski z trudem odczepił zamknięcie. Palce miał zdrętwiałe, a każdy skrawek ciała wysyłał rozpaczliwe sygnały.

– Idziemy – rozkazała Pamela, kiedy wreszcie udało mu się wstać z krzesła. – I pamiętaj, nie próbuj nic głupiego. Ostrzegam!

Daniel z trudem zrobił kilka kroków. Miał wrażenie, że Krzywy połamał mu wszystkie żebra. Każdy ruch sprawiał ból. Pamela trzymała się w pewnej odległości, cały czas mierząc do niego z pistoletu. Najwyraźniej mu nie ufała. Podgórski

uśmiechnął się pod nosem. Nawet gdyby spróbował odebrać jej glocka, nie skończyłoby się to najlepiej.

Weszli do dyżurki. Ciało Krzywego leżało na podłodze dokładnie na środku. Twarz ochroniarza przypominała krwawą miazgę. Pamela oddała pięć strzałów dokładnie w sam jej środek. Daniel poruszył się niespokojnie. Na pewno zabiła Krzywego już pierwszym strzałem. Cztery kule mogły nadal tkwić bezpiecznie w magazynku. Była w tym jakaś furia.

– Bierz go i dotknij jego ręką tu – rozkazała Pamela, wskazując panel dotykowy z boku blatu.

Daniel pochylił się i wziął ochroniarza pod ramiona. Zaczął powoli odzyskiwać kontrolę nad swoim poobijanym ciałem, ale to i tak nie było proste. Olbrzymi mężczyzna mógł równie dobrze ważyć powyżej stu trzydziestu kilo, więc nawet w innych okolicznościach przenoszenie go gdziekolwiek mogło być utrudnione. W końcu jednak policjantowi udało się przetransportować ciało w stronę panelu.

– Dobrze. Teraz przyłóż tam jego dłoń.

Kiedy Podgórski to zrobił, ekran jednego z komputerów rozbłysnął. Pamela szybko tam podeszła. Wpisała kilka komend i rozległ się krótki sygnał dźwiękowy. Sięgnęła do kieszeni. Wyjęła telefon i wybrała jakiś numer. Cały czas przyglądała się Danielowi, mierząc do niego z glocka.

– Alarm zewnętrzny dezaktywowany – oznajmiła bez wstępów. Słuchała przez chwilę, co mówi osoba po drugiej stronie linii. – Jak to nieprzewidziane?... Unieruchomiliście ją? Przynajmniej tyle. Ja też mam drobne kłopoty. W magazynie był Podgórski... Tak. Dokładnie... Mam go zastrzelić? Jak chcesz, tylko że to zaczyna się komplikować. Dobra. Wchodźcie. Potem ustalimy...

– Mogę go położyć? – zapytał Daniel, wskazując głową ciało Krzywego, które ciągle podtrzymywał.

Przez myśl przebiegła mu irracjonalna myśl, że niosąc ciało, na pewno zostawił mnóstwo śladów, które ktoś zechce wykorzystać. Na ciele Krzywego były ślady biologiczne Podgórskiego, a to świadczy o winie! Już słyszał pełne satysfakcji głosy.

Mogą mówić, co chcą, Podgórski zaśmiał się w duchu. Sądząc po wydarzeniach tego wieczora, co ktokolwiek będzie mówić potem, to chyba teraz jego najmniejszy problem. Bardzo możliwe, że w ogóle nie doczeka tego potem. Trudno było powiedzieć, na czym polegał plan Pameli. Biorąc pod uwagę, jak potraktowała Krzywego, pewne było natomiast, że nie liczyła się z ludzkim życiem.

– Połóż go, ale stój tam, gdzie stoisz – powiedziała ostro.

Podgórski ułożył ciało ochroniarza na ziemi.

– Co teraz?

– Teraz to nie gadaj tyle – mruknęła Pamela. Z jej głosu nie zniknęło napięcie. – Trochę cierpliwości.

Wkrótce dały się słyszeć kroki i do dyżurki weszło kilku ubranych na czarno mężczyzn. Na głowach mieli kominiarki zasłaniające twarze. Bez słowa ruszyli do ukrytego magazynu i zaczęli sprawnie wnosić paczki z narkotykami.

Jeden z nich stanął obok Pameli. Prawdopodobnie szef, który nadzorował całą akcję. Mężczyzna zerkał na Daniela, ale się nie odzywał. Mimo to Podgórski miał wrażenie, że jest w nim coś znajomego.

– Ręce – mruknął mężczyzna, kiedy jego ludzie skończyli wnosić towar. Zabezpieczył dłonie Daniela opaską zaciskową. Plastik boleśnie wbijał się w skórę Podgórskiego. – Wychodzimy.

Głos zamaskowanego też wydawał się znajomy. Daniel był zaskoczony. Czy to możliwe, że miał przed sobą Piotra Maciejewskiego? W młodości się przyjaźnili. Słuchali podobnej muzyki i często jeździli razem na koncerty. Chyba to ich do siebie najbardziej zbliżyło. Od dobrych kilku lat nie utrzymywali regularnego kontaktu, ale Daniel wiedział, że Maciejewski prowadził zakład samochodowy. Zrobiło się o nim głośno z powodu logo wiszącego nad wjazdem.

– Piotr?

Mężczyzna spojrzął na Daniela zza kominiarki.

– Idziemy stąd – rozkazał raz jeszcze. – Pamela, zrób, co trzeba, i pędzimy. Nie chcę tu być dłużej, niż trzeba.

Striptizerka pochyliła się znowu nad klawiaturą komputera,

gdzie w systemie nadal był zalogowany Krzywy. Maciejewski pchnął Podgórskiego przed sobą, wbijając mu lufę pistoletu w plecy. Wyszli z podziemi i przeszli przez pusty klub. Było prawie ciemno. Z boku głównej sali restauracyjnej paliła się tylko jedna lampka.

Maciejewski wypchnął Daniela na zewnątrz. Nocne powietrze było chłodne i przyjemnie orzeźwiało po zaduchu podziemi.

– Dalej – rozkazał znowu mężczyzna.

Przed wejściem do budynku leżał martwy ochroniarz z grupy Krzywego. W świetle gwiazd Podgórski widział ciało następnego. Daniel patrzył z niedowierzaniem. Naprawdę trudno było pojąć, że dawny znajomy zajmował się teraz zabijaniem.

Maciejewski pchnął Daniela jeszcze mocniej. Prowadził go do niewielkiego vana, stojącego na podjeździe. Pozostali mężczyźni kończyli właśnie pakować do niego skradzione narkotyki. Obok stały gotowe do drogi motocykle. Cała akcja nie trwała dłużej niż kilka minut i była zaskakująco dobrze zorganizowana.

– Wsiadaj – rozkazał mechanik.

Daniel pochylił się i zajrzał do przestronnego bagażnika vana.

– Weronika?

ROZDZIAŁ 84

Szpital.

Środa, 10 czerwca 2015.

Diana Grzelak

Diana Grzelak patrzyła na Longina z przerażeniem. To wszystko zdawało się zupełnie nierealne. Jakby nagle znalazła się na planie jakiegoś serialu medycznego. Przydałby się teraz co najmniej doktor House, pomyślała z goryczą. Chociaż nie była pewna, czy nawet on by tu pomógł.

Starła się powstrzymać łzy. To było jednak niemożliwe, kiedy patrzyła na męża podłączonego do tych wszystkich rurek i aparatów. Twarzy Longina prawie nie dało się rozpoznać pod opuchlizną. Tylko zrosnione brwi upewniały ją, że to jej mąż. Diana miała ochotę krzyczeć. Z całych sił. Albo po dziecięcemu zamknąć oczy i modlić się, żeby to był tylko zły sen.

To, co czuła, kiedy dwa lata temu zapadł wyrok skazujący, było niczym wobec rozpacz, która była jej udziałem teraz. Wtedy dwadzieścia pięć lat więzienia, które zasądził sędzia Jaworski dla Longina, zdawało się wiecznością, a rozłąka końcem świata. Co mogła powiedzieć teraz, kiedy żądano od niej decyzji, której żadna żona nie powinna podejmować? Rozstać się na zawsze? Zakończyć jego życie?

Diana załkała i pogładziła Longina czule po ręce. Widzieli się tak niedawno. Rozmawiali w tej obskurnej sali widzeń w Starych Świątkach. Jak mogła wtedy narzekać na tę wstrętną salę widzeń? Teraz zrobiłaby wszystko, żeby znowu się tam znaleźć. Z nim. Nie tu. Nie w szpitalu. Nie z aparatami, które podobno oddychały za jej męża.

Nie była głupia. Nie wierzyła, że to była zwykła więzienna utarczka. To pobicie musiało być sprawnie przeprowadzoną egzekucją. Inaczej to się nie mogło odbyć. Za dużo w życiu

widziała, żeby dać się zwieść.

Wiedziała też, że jest to możliwe. Nawet za murami więzienia. Jutro, kiedy dojdzie już trochę do siebie, będzie musiała omówić to wszystko z Małeckim i z Krzywym. Trzeba będzie postawić na nogi wszystkich ludzi z Gwiazdozbioru, a Małecki niech wykorzysta fakt, że jest pieprzonym policjantem. Diana zemści się za atak na Longina.

Do salki zajrzał ubrany w biały kitel lekarz.

– Niech pani jedzie do domu i odpocznie.

– Wolałabym zostać – powiedziała Diana. – Jeszcze trochę.

– Dziś i tak nic więcej nie zrobimy – powiedział lekarz uspokajająco.

Był z gatunku dobrotliwych staruszków. Diana podejrzewała, że miał piątkę dzieci i wielką gromadę wnuków. Zupełnie nie pasował do Longina. Ani trochę. Longin był dziki i nieokiełznany. Zawsze.

– Niech pani odpocznie – powtórzył lekarz. – Jestem na dyżurze całą noc. Na pewno do pani zadzwonię, jeżeliby cokolwiek się zmieniło. Jutro ponownie przeprowadzimy testy. Zbierze się komisja, żeby ostatecznie potwierdzić diagnozę...

Diana skinęła głową. Starła się być silna. Wszystko wyjaśni się jutro, chociaż już dziś lekarze nie pozostawiali jej złudzeń. Nawet ten opiekuńczy dziadek w kitlu. Prawdopodobna śmierć mózgową, chyba takiego właśnie określenia użyli.

Uniosła rękę męża i pocałowała ją delikatnie na pożegnanie.

– Do jutra – powiedziała cicho, mimo że dobrze wiedziała, że Longin nie może jej usłyszeć. Jego dusza była już daleko stąd. Może w niebie? Chociaż mąż zawsze wolał piekło. Przynajmniej tak żartował za życia.

Diana wyszła z pokoju. Przed drzwiami siedział umundurowany policjant. Prychnęła na jego widok gniewnie. Czyżby psiarnia podejrzewała, że Longin wstanie nagle z łóżka i zacznie mordować? W tym stanie? Śmierć mózgową, do kurwy nędzy. Jak mógłby teraz zabijać?

Zdusiła gorzki śmiech. Wątpiła nawet, że to Longin zamordował tego nieszczęsnego Lecha Rakowskiego. Gdyby jej mąż chciał zabić swojego partnera biznesowego, zrobiłby to

sam, a nie dawał broń Dymitrowi Sokołowowi. Longin nigdy się nikim nie wyręczał. W żadnej dziedzinie. Zawsze wszystko robił sam.

– Dajesz radę, Diana? – zapytał Żaba delikatnie.

Spojrzała na barmana. Taktownie spuścił oczy i nie skomentował jej rozmazanego od płaczu makijażu. Przywiózł ją tu z klubu, ponieważ nie była w stanie prowadzić samochodu. Nie teraz. Nie w takiej chwili.

– Jedziemy do domu – odparła cicho.

Naprawdę potrzebowała odpoczynku. Gwiazdozbiór został zamknięty. Była spokojna, że Krzywy wszystkiego dopilnuje. Od zawsze był prawą ręką Longina. Sam jeden mógł obsługiwać i dbać o zabezpieczenia klubu, ale dla pewności zostawiła mu jeszcze dwóch ludzi na zewnątrz. Lepiej dmuchać na zimne. Zwłaszcza teraz, kiedy w budynku był towar Wadima. Najchętniej postawiłaby tam całą armię, ale nie chciała prowokować podejrzeń.

Skarciła się w duchu. Myśli o sprawach służbowych, kiedy jej mąż umiera w sali obok. Poczula, że łzy znowu napływają jej do oczu. Barman ujął ją pod ramię i poprowadził łagodnie w kierunku wyjścia. Była mu za to wdzięczna.

Kiedy wyszli już ze szpitala, rozdzwoniła się komórka Diany. Sięgnęła do torebki i zaczęła jej szukać. Zazwyczaj wszystko miała starannie poukładane. Nie lubiła bałaganu. Telefon miał swoją specjalną przegródkę, żeby móc go bez trudu znaleźć. Zawsze po skończeniu rozmowy go tam wkładała. Nie dziś. Dziś po prostu wrzuciła go do środka, nie zastanawiając się nawet, czy zablokowała ekran.

Komórka dzwoniła uparcie, a Diana szukała jej drżącą ręką. Dźwięk zdawał się zapowiadać tragedię. Czyżby to ten dobrotliwy lekarz? Czy coś się stało Longinowi przez te kilka minut? Przecież lekarz obiecywał, że noc będzie spokojna!

Wreszcie trafiła palcami na białego iPhone'a. Spojrzała na identyfikator dzwoniącego i poczuła, że mięśnie jej tężeją.

Jagoda Rakowska.

Nie rozmawiały od czasu rozprawy. A może nawet wtedy nie zamieniły ani słowa. Rakowska siedziała z zaciętym wyrazem

na tej swojej końskiej twarzy. Dlaczego żona Lecha dzwoni akurat dziś? Czy to możliwe, że już się dowiedziała, że Longin został pobity na śmierć? Jak to możliwe? Skąd mogła wiedzieć? Przecież policja chyba tego nie ujawniła. Ludzie z Gwiazdozbioru tym bardziej.

Nagle Diana zrozumiała. Zemsta! Nie mogło być inaczej. Jagoda to wszystko zorganizowała. Załatwiła ludzi, którzy pobili Longina w więzieniu. To była zemsta za Lecha!

– To ty! – powiedziała Diana, odbierając połączenie. Żadnego słowa przywitania. Niby po co. – To ty! Zabiłaś Longina!

– Wiem, co myślisz – odpowiedziała Jagoda Rakowska. – Ale proponuję, żebyś mnie wysłuchała.

– To ty!

– Możesz mnie wysłuchać?! To wszystko jest nie tak, jak myślisz!

– Niby czego mam słuchać! Co jest nie tak, jak myślę?!

Żaba spojrział na Dianę zaniepokojony. Machnęła ręką, żeby barman poszedł już do samochodu. Sama też wsiadła i automatycznym ruchem zapięła pas.

– To delikatna sprawa – powiedziała Jagoda.

– Lepiej przejdź do konkretów! Inaczej się rozłączę.

Rakowska westchnęła głośno po drugiej stronie linii.

– Wiem, że to nie twój Longin zamordował mojego Lecha – oznajmiła niespodziewanie. – A nawet nie ten wasz obleśny Dymitr.

– A to nowość w twoich ustach. O ile dobrze pamiętam, byłaś pierwsza do rzucania oskarżeń na Longina i Sokołowa.

– Dowiedziałam się. Zresztą przyjeżdż do mnie do rezydencji, to ci wszystko opowiem. Tak będzie łatwiej niż przez telefon.

Diana zaśmiała się głośno.

– Tak będzie łatwiej? Chyba sobie żartujesz. Myślisz, że przyjadę do ciebie do domu? Żebyś mnie też wykończyła? Ty i ten twój szalony syn?

Jagoda Rakowska znowu westchnęła.

– Wszystko mi jedno. Mogę przyjechać, gdzie chcesz – oznajmiła. – Bylebyś tylko mnie wysłuchała. Nie żywię już do ciebie żadnej urazy. Wiem, kto za tym wszystkim stoi. Obie

zostałyśmy oszukane!

Diana zastanawiała się. Nie wiedziała, co zrobić. Gdyby nie to, że zaledwie przed chwilą jej samej przysłała do głowy myśl, że Longin nie zabił Rakowskiego, pewnie już odłożyłaby słuchawkę. Co zrobić? Dać szansę Jagodzie, żeby się wytłumaczyła?

– Spotkajmy się w klubie – oznajmiła w końcu Diana. Na swoim terenie będzie bezpieczna. To ona będzie rozdawała karty. – Bądź w Gwiazdozbiorze, jak najszybciej.

ROZDZIAŁ 85

Brodnica.

Środa, 10 czerwca 2015.

Klementyna Kopp

Klementyna schowała telefon do kieszeni. Weronika dzwoniła do niej zarówno na numer oficjalny, jak i na ten ze startera, którym się porozumiewały od chwili, kiedy rozpoczęły swoje prywatne śledztwo. Kopp próbowała oddzwonić, ale Nowakowska nie odbierała. Zdrajca też nie. Dziwne, uznała Klementyna. Ale! Niech Weronika i Daniel robią, jak chcą.

Szła ulicą Zamkową do swojego mieszkania. Ileż to razy przemierzyła ten krótki szlak. Do komendy i z powrotem. Do komendy i z powrotem. Do komendy i z powrotem. Każdego dnia. Przez długie lata. Znała każdy fragment chodnika, każde drzewo w niewielkim parku pod krzyżacką wieżą. Mogłaby tędy iść z zamkniętymi oczami. Niecałe trzysta metrów. Tylko tyle.

Widziała już szarą kamieniczkę, w której mieszkała, odkąd przeprowadziła się do Brodnicy z Gdańska. W oknach jej żałośnie małej kawalerki paliły się światła. Widocznie przyszła Liliana. Klementyna dała jej klucze, żeby zajmowała się Józkiem na czas jej pobytu w wariatkowie. Potem nie było jakoś okazji ich odebrać. Przecież minęło zaledwie kilka dni.

Kopp westchnęła. Nie miała teraz ochoty rozmawiać z Lilianą. Nie chciała wracać do domu i prowadzić tak zwanego normalnego życia. Dom to nie jest miejsce dla niej. A już zwłaszcza nie po miesiącach zamknięcia. Chciała działać. Za wszelką cenę zmyć z siebie beznadzieję i apatię domu wariatów, gdzie spędziła tyle czasu.

Zawróciła. Weronika i Daniel nie odbierają. Ona jednak zamierzała doprowadzić tę sprawę do końca. Bez względu na

nich i bez względu na to, że jest środek nocy. Miała wrażenie, że coś przeoczyła. Dotknęła delikatnie obolałej szyi. Rajmund był pedofilem, to prawda. O mało jej nie udusił, to też fakt. Z jakiegoś powodu Klementyna nie była jednak przekonana, że zabił Jaworskiego i Sokołową.

Postanowiła, że zacznie od początku. Od tego, z czym zgłosiła się do niej Weronika. Od kłótni w budce telefonicznej. Sędzia mógł sprzeczać się z bratem, to prawda. W spisie połączeń z budki był numer Rajmunda. Zostawała jednak jeszcze Twiggy. Do niej także dzwonił Jaworski w dzień swojej śmierci. O czym rozmawiali? Może to z córką się ściał?

Klementyna ruszyła szybkim krokiem. Porozmawia z Twiggy. Jeżeli dziewczyna nie wróciła jeszcze z występów w klubie, poczeka pod drzwiami albo znowu włamie się do środka.

Dotarcie pod blok, gdzie mieszkała striptizerka, zajęło Klementynie niecałe pół godziny. Nocny spacer był przyjemny. Odświeżał. Czuli się maksymalnie gotowa do działania. Weszła do klatki bez problemu, bo domofon nadal nie działał, i wspięła się po schodach. Dzwonek nadal zaklejony był kolorowym, dziecięcym plasterkiem. Zapukała więc mocno do drzwi.

Przez dłuższą chwilę nic się nie działo. Klementyna zapukała raz jeszcze. Tym razem trochę delikatniej. Jeżeli ma się włamywać, to lepiej nie pobudzić sąsiadów. O dziwo, po drugiej stronie rozległo się teraz delikatne szuranie. Wizjer rozblysnął na chwilę, kiedy Twiggy odsunęła zabezpieczającą go kłapkę. Potem zasłonił go jej cień, kiedy wypatrywała, kto stoi za drzwiami. Klementyna przestępowała z nogi na nogę zniecierpliwiona.

– Ileż to może trwać, co?

– Kim pani jest? – usłyszała zza drzwi. Głos Twiggy był słodki i dziewczęcy.

Klementyna westchnęła. Miała nadzieję, że striptizerka otworzy, nie pytając, i wtedy Kopp będzie mogła po prostu wejść. Bez tłumaczeń.

– Ciotka Klementyna – rzuciła.

Sama nie wiedziała, skąd jej to przyszło do głowy. Może dlatego, że w wariatkowie ktoś ją tak kiedyś nazwał. Czy to była

Stella? Raczej nie. Przecież ona nie odezwała się ani razu. Tylko patrzyła porozumiewawczo. To musiał być ktoś inny.

Twiggy uchyliła drzwi. Klementyna tylko na to czekała. Przyciągnęła je do siebie i weszła do mieszkania, odpychając dziewczynę na bok. Skoro jest już w środku, nie będzie łatwo się jej pozbyć.

– Wiem, że pani jest z policji – oznajmiła Twiggy triumfalnie. Nie wyglądało na to, żeby zbyt przejęła się wtargnięciem.

– Z policji? – prychnęła Klementyna. – Mylisz się, dziewczyno. Sam komendant podkreśla, że jestem cywilem. Może usiądziemy w saloniku, co?

– Zwariowałaś – zaśmiała się Twiggy, owijając się frotowym szlafrocikiem. Zaskakująco bezproblemowo przeszła na ty. To się Klementynie spodobało. Nie cierpiała zbędnych formalności. Nawet kiedy rozmawiała z potencjalnymi podejrzanymi.

– Bardzo możliwe. Nawet mam na to papiery.

– Czego chcesz? Chodzi o pobicie szefa w więzieniu?

Klementyna machnęła ręką. Pobicie Grzelaka na razie jej nie interesowało. Niech grzebią w tym ludzie z komendy.

– Idziemy usiąść – zarządziła.

– O nie. Jeżeli już, to tu porozmawiamy – oznajmiła Twiggy, splatając ramiona w dziwny węzeł.

– Spoko. Ale! Ja nie zamierzam tu stać. Jestem na nogach cały dzień. Idę sobie usiąść.

Klementyna ruszyła do pokoju, w którym urzędowała kolorowa papuga.

– Ty chuju! – rozległo się, kiedy tylko uchyliła drzwi. No proszę. Stara miłość nie rdzewieje.

Usiadła na kanapie i rozprostowała nogi.

– Od razu lepiej – mruknęła, przymykając powieki.

Twiggy weszła do salonu i przewróciła oczami.

– Ty naprawdę zwariowałaś. Wyłaż stąd. Bo wezwę policję!

– Taaa. Jasne – odparła Klementyna. Miała wrażenie, że mówi jeszcze bardziej niewyraźnie niż zawsze. Szyja nadal ją bolała w miejscu, w którym Rajmund zacisnął swoje drobne dłonie.

– Czego chcesz? Nie mam tu pieniędzy.

– Daj spokój. Nie chcę twojej forsy.

Przez chwilę trwały w milczeniu.

– Co ci się stało? – zapytała w końcu Twiggy, wskazując pręgę na szyi Klementyny.

– Wypadek przy pracy – odparła Kopp. – Skąd masz tę uroczą lalczkę w sypialni, co?

Nie zamierzała nawet pytać o ewentualną kłótnię Twiggy z ojcem podczas rozmowy z budki telefonicznej. Jeżeli to striptizerka klóciła się z Jaworskim, to na pewno się do tego nie przyzna. Nie w świetle wydarzeń, które nastąpiły potem. W tej sytuacji trzeba się skupić na lalce, którą Klementyna znalazła w tym mieszkaniu podczas ostatniej wizyty. Lalce, która najprawdopodobniej powstała w pracowni Michała Rakowskiego i złożona z niepasujących do siebie elementów niebezpiecznie przypominała inscenizację w domu sędziego Jaworskiego w Szramowie.

Twiggy otworzyła szeroko swoje i tak wielkie oczy. Wyglądała przy tym jak małe dziecko. Albo jak postać z tych komiksów, które były teraz takie popularne wśród młodzieży. Manga czy jakoś tak.

– Skąd wiesz o lalce? – wykrztusiła.

– Skąd ją masz, co? – zapytała Klementyna zamiast odpowiedzi i zaśmiała się głośno. Nie zamierzała tracić czasu na tłumaczenie, że zamki w drzwiach powinny być nieco trudniejsze do sforsowania, jeżeli nie chce się mieć nieproszonych gości.

– Tylko po to tu przyszedł w środku nocy, żeby mnie wypytywać o to szkaradztwo?

– Na to wygląda.

Oczy Twiggy rozblęły.

– Chwileczkę! To okropieństwo jest cenne czy coś?

– A niby skąd mam wiedzieć, co? Mów lepiej, skąd to masz! – upierała się Klementyna. To nie mógł być przypadek, że córka sędziego miała w domu tę lalkę. Nie kiedy jej ojciec został pokrojony i zmieniony w żywą interpretację Frankensteina.

– Dostałam od matki – odparła Twiggy. Jej głos brzmiał teraz

niespodziewanie gorzko.

Kopp spojrzała na dziewczynę z nowym zainteresowaniem. Była pewna, że Daniel albo Weronika mówili, że Twiggy została przez Jaworskiego adoptowana, a sędzia nigdy nie miał żony.

– Nie jesteś przypadkiem niewinną sierotką, co?

– Tak. – Gorycz w głosie Twiggy stała się jeszcze wyraźniejsza. – Całe życie myślałam, że jestem podrzutkiem pod dom ojca, a tu się okazuje, że jednak mam matkę.

– Jak każdy – mruknęła Klementyna sentencjonalnie.

Wyglądało jednak na to, że Twiggy jej nie słucha.

– Tylko czy w ogóle mogę ją tak nazwać? Podrzuciła mnie pod dom ojca i tam zostawiła. Czy tak robi matka?

W wielkich oczach striptizerki pojawiły się łzy. Klementyna sama nie wiedziała, kiedy wstała i objęła dziewczynę. Twiggy przylgnęła do niej, jakby tylko czekała na jakąkolwiek bliskość.

– Co lepsze, Jaworski naprawdę jest moim biologicznym ojcem – wyszeptwała. – To znaczy był. Nigdy się do tego nie przyznał. Nawet nie musiał mnie adoptować. Byłam jego.

– Czekaj. Stop. Kto? Sędzia Jaworski?

– Przynajmniej moja nowa matka tak twierdzi – odparła Twiggy. Dopiero teraz wyswobodziła się z objęć Klementyny. Nie patrzyły sobie w oczy.

– Czyli dostałaś lalkę od matki – rzuciła Klementyna. Najlepiej było wrócić do przerwanej wątku i zapomnieć o tym drobnym incydencie. Okazywanie uczuć nigdy nie wychodziło jej na dobre. – Ale! Skąd ona ją miała w takim razie, co?

Twiggy wzruszyła gniewnie drobnymi ramionami. Chyba też nie była zadowolona, że okazała słabość. Klementyna coraz bardziej ją lubiła. Gdzieś tam były do siebie podobne.

– Nie znałam jej w ogóle – oznajmiła. Trudno było powiedzieć, czy celowo unikała odpowiedzi na pytanie, czy miała nagłą potrzebę mówienia o matce. Klementyna uznała, że da jej chwilę, zanim wróci do tego pytania. – Zjawia się po raz pierwszy od mojego urodzenia i przychodzi z tym gównem. Jakby jej się wydawało, że wszystko naprawi, bo przyniesie mi jakąś ohydłą lalę. Właściwie powinnam była się tego badziewia pozbyć.

– Kiedy tu przyszła?

– Wczoraj rano. Naprawdę miłutka osoba – zakpiła Twiggy. – Zupełnie jak mój świętej pamięci ojciec. Nic dziwnego, że wyrosłam na ludzi.

Striptizerka poprawiła krótkie włosy nerwowym ruchem.

– Kim jest twoja mamuśka, jeżeli mogę wiedzieć, co? Chętnie sobie z nią pogadam.

ROZDZIAŁ 86

Lipowo.

Środa, 10 czerwca 2015.

Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska

Marek podwiózł Emilię pod dom. Strzałkowska z trudem przeszła ten kawałek od radiowozu do drzwi. Wydawało jej się, że każdy krok ciągnie się latami. W końcu dotarła do drzwi i odwróciła się, żeby pomachać Markowi. Zaręba wyglądał na zaniepokojonego, więc przywołała na usta uśmiech. Wszystko okej! Miała nadzieję, że tak to wyszło, bo szczerze mówiąc, była bardzo zmęczona. Może rzeczywiście doktor Ziemiński miał rację i powinna już spasować?

Zamknęła drzwi z kolejnym mocnym postanowieniem, że jak tylko sprawa z Danielem się wyjaśni, pójdzie za radą lekarza i resztę ciąży spędzi w domu albo na niezbyt forsownej robocie papierkowej.

Weszła do przedpokoju i powiesiła klucze na gwoźdźniku koło drzwi. Przybicie tego gwoźdźnika to była pierwsza rzecz, którą zrobiła, kiedy się tu wprowadziła. Sprawilo, że poczuła się jak u siebie.

– Łukasz! – krzyknęła. Mogła być śmiertelnie zmęczona, ale nie zamierzała odkładać rozmowy z synem na jutro. Chciała się dowiedzieć, co się stało i dlaczego Daniel przemilczał fakt, że jej syn chodził do psychiatry. – Łukasz!

Syn wyszedł ze swojego pokoju i spojrzał na nią spod długiej grzywki. Wpadała mu do oczu, ale najwyraźniej była obecnie modna.

– Mamo, gram teraz.

– To pograsz kiedy indziej – oznajmiła ostro. – Mamy kilka spraw do omówienia.

Nie czekając na odpowiedź, ruszyła do kuchni. Ogarnęła ją

wielka ochota na szklanke ciepłej bawarki, ale nie miała siły na żadne przygotowania. Wyciągnęła więc szklanke z szafki i nalala sobie wody z kranu. To będzie musiało wystarczyć. Usiadła ciężko na krześle i rozprostowała nogi. Bolały ją plecy, kostki i właściwie całe ciało. Wszystko!

Łukasz usiadł przy stole. Spojrzała na niego z rozrzewnieniem. Miał piętnaście lat i coraz bardziej zaczynał przypominać młodego mężczyznę, a nie małego chłopca. Dawno już ją przerósł, a na jego twarzy pojawiła się zapowiedź przyszłego zarostu. Coraz bardziej przypominał Daniela, a coraz mniej ją samą. To niesprawiedliwe, pomyślała irracjonalnie.

– Dlaczego nikt mi nie powiedział, że chodzisz do psychologa? Syn wzruszył ramionami.

– Dlaczego nic mi nie powiedziałeś?! – naciskała.

Kolejne wzruszenie ramion.

– Możesz chociaż powiedzieć, co się stało? Dlaczego potrzebowałeś pomocy psychiatry? Masz jakiś problem? Mogliśmy razem...

– Przyłapano mnie z narkotykami w szkole – przerwał jej Łukasz. – Dyrektorka skierowała mnie do przychodni. Powiedziała, że ze względu na ciebie i tatę nie chce robić więcej problemów.

Emilia poczuła, że nie może oddychać. Wypiła długi łyk wody.

– Z narkotykami? – wydusiła przez ściśnięte gardło.

Łukasz znowu wzruszył ramionami. Nie mogła w to uwierzyć. Jej syn? Jej Łukasz? Była pewna, że nigdy nie będą tego przerabiali. Miała nadzieję, że wychowała go na odpowiedzialnego młodego człowieka.

– Masz coś do powiedzenia?

– Raczej nic.

Strzałkowska poczuła, że ogarnia ją złość.

– Raczej nic? Cholera jasna, Łuki! Bierzesz narkotyki?

– To była tylko trawka i trochę innych rzeczy...

Znowu zupełnie ją zatkało. Upiła kolejny łyk wody.

– Tylko trawka? I trochę innych rzeczy? Czego konkretnie, jeżeli mogę wiedzieć oczywiście?

– Nie wiem. Speed... takie tam. Mamo, daj już spokój. Nie jestem narkomanem.

Strzałkowska starała się oddychać głęboko. Musiała się uspokoić.

– Dlaczego powiedziałaś o tym Danielowi, a nie mnie? Dlaczego to on cię woził do psychiatry, a nie ja?

– A więc o to ci chodzi – rzucił zaczepnie Łukasz. – Jesteś zazdrosna o tatę!

Emilia poczuła, że rośnie jej gula w gardle. Wiedziała, że nie powinna brnąć w ten temat, ale nie mogła się powstrzymać. Miała wrażenie, że to dzieje się samo.

– Zazdrosna o tatę? – powiedziała bardzo wyraźnie, akcentując każdą literę z osobna.

– Daj spokój, matka. Nic się wielkiego nie stało. To był pierwszy raz, kiedy wpadłem, więc dyrektorka nie robiła zbyt wielkich kłopotów. Kazała tylko pójść na psychoterapię. Powiedziała, że może moja trudna sytuacja rodzinna tak na mnie wpływa. I tak dalej. Poprosiłem, żeby zawiadomiła tatę, więc do ciebie już nie dzwoniła.

Emilia nie mogła oderwać wzroku od syna.

– Matka? – wykrztusiła. – Trudna sytuacja rodzinna?

Słowa zdawały się wylatywać z jej ust zupełnie bez sensu. Czowała, że dłużej nie powstrzyma nadchodzącego płaczu. Wstała więc i podeszła do zlewu. Nalała sobie kolejną szklankę wody odwrócona do Łukasza plecami, żeby nie widział jej łez.

– Ustaliliśmy z tatą, że nie będziemy cię martwić. Nie w twoim stanie.

Emilia postawiła szklankę na blacie. Z trzaskiem. Czowała, że jeżeli jeszcze raz usłyszy słowo „tata”, to zwariuje. Daniel to tatuś, ten cudowny, ten fajny. A ona to matka, najgorsza z najgorszych. Nieważne już, że wychowywała Łukasza przez piętnaście lat, a Daniel spędził z nim tylko ostatni rok. Nie, to zupełnie nie jest ważne, prawda? Tata i matka.

– Zawiodłeś mnie – powiedziała, zanim zdążyła to dobrze przemyśleć. Kiedy wybrzmiała ostatnia głoska, już żałowała swoich słów. Było jednak za późno, żeby się wycofać. – Myślałam, że wychowałam cię na odpowiedzialnego

mężczyznę. Narkotyki? Co ci przyszło do głowy?!

Łukasz wstał od stołu i powoli wsunął krzesło.

– Wiesz co? – powiedział. – Może nie będziemy się licytować, kto tu kogo zawiódł, bo coś czuję, że to ja bym wygrał.

– O czym ty mówisz?

– Nigdy cię nie ma! Całe dni siedzisz w pracy. Jak mieszkaliśmy w Warszawie, to przesiadywałem u babci. Teraz siedzę tu sam! Winisz mnie, że spotykam się z tatą? Ups! Zapomniałem, że przez całe moje życie ukrywałaś przede mną, kto nim jest! Aż taka jesteś zachłanna, że chciałaś mieć mnie tylko dla siebie?

– Łukasz, to nie takie proste...

– Super, tylko dlaczego zawsze wolałaś tę swoją pieprzoną pracę niż mnie?

– Musiałam nas utrzymać! Myślisz, że łatwo jest być kobietą w tym zawodzie? Musiałam robić za dwoje, żeby pokazać im wszystkim, że jestem warta tyle samo, ile ktoś, kto ma kutasa między nogami! Mnie też nie jest łatwo! Nie rozumiesz tego?!

– Taaa... słyszałem tę gadkę jakiś milion razy. To już nie działa.

Emilia nie mogła już powstrzymać łez. Usiadła przy stole i schowała twarz w dłoniach. W świecie idealnym jej syn podszedłby teraz skruszony i objął ją w ramach pocieszenia. Pogodziliby się i może obejrzeliby jakiś film, mimo że jest środek nocy. Oboje zasnęliby na kanapie przed telewizorem, ale wcale by się tym nie przejmowali.

W świecie idealnym. Bo w świecie rzeczywistym Łukasz wyszedł z kuchni bez słowa. Po jego obecności pozostało tylko echo zatraskiwanych drzwi. Płakała, aż w końcu zabrakło jej łez. Wstała z trudem z krzesła i podeszła do kranu, żeby umyć twarz.

Skrzypnęły drzwi kuchni.

– Do ciebie – usłyszała za plecami głos syna.

Odwróciła się. Łukasz nie patrzył jej w oczy. Wyciągał za to do niej rękę. W wielkiej ni to dziecięcej, ni to męskiej dłoni trzymał swój telefon.

– Do mnie? – zapytała zdziwiona. Zapomniała na chwilę

o płaczu.

Łukasz nie odpowiedział. Wzięła aparat i przyłożyła do ucha.

– Emilia Strzałkowska.

– Jestem Konrad – usłyszała.

Spojrzała pytająco na Łukasza, ale syn się odwrócił.

– Dobry wieczór, Konradzie. Znam cię?

– Była pani dziś u nas w bidulu. To znaczy w domu dziecka.

Razem z drugim policjantem. Takim szerokim w barach.

Pytaliście o tego ruskiego chłopaczka, który zaginął.

Emilia poprawiła włosy. Serce zabiło jej szybciej. Czy ten cały Konrad wiedział, gdzie jest synek Marilyn?

– Tak, o Lwa Sokołowa. Wiesz coś na jego temat?

– Łukasz mówi, że można pani ufać, mimo że jest pani gliną.

Emilia spojrzała na syna z wdzięcznością. Syn nadal jednak stał odwrócony do niej plecami. Może mimo wszystko nie było między nimi tak źle i kłótnię da się jakoś zażegnać.

– Jasne, że można mi ufać.

– Nie chcę mieć kłopotów – zastrzegł Konrad.

Głos miał znacznie niższy niż jej syn. Łukasz mimo coraz bardziej męskiego wyglądu nie miał jeszcze głębokiego tembru głosu Daniela.

– Nie będziesz miał. A teraz wyjaśnij mi, proszę, o co chodzi.

– Kiedy nas przepytawaliście, to wołałem nic nie mówić – powiedział chłopak. – Nie chciałem mieć kłopotów!

– Nie będziesz miał – obiecała raz jeszcze. – Jeżeli powiesz teraz wszystko, co wiesz.

– Oby. Nie chcę się przenosić do kolejnego ośrodka. Tu mi dobrze.

– Słuchaj, Konrad. Przestańmy się w to bawić – powiedziała Emilia, siłąc się na rzeczowy ton. Adrenalina sprawiała, że była coraz bardziej pobudzona, a zmęczenie powoli odpływało. – Jeżeli to jest ważne, to lepiej powiedz od razu. Nadal nie znaleźliśmy chłopca. On może być w niebezpieczeństwie.

Po drugiej stronie linii panowała cisza. Policjantka już myślała, że Konrad się rozmyślił i zaraz się rozłączy. Zastanawiała się gorączkowo, co wtedy pocznie.

– To ja wyprowadziłem tego dzieciaka z budynku – oznajmił

w końcu.

– Dlaczego?

Strzałkowska była zupełnie zaskoczona. Starła się jednak, żeby jej głos zabrzmiał rzeczowo. Bez oceniania. Nie chciała go teraz spłoszyć.

– Ten facet mówił, że go zna – szepnął Konrad. – Uwierzyłem mu. Chciałem dobrze. Wiem, jak to jest wychowywać się bez rodziców. Ten bidul jest w porzo, ale to zawsze bidul. Naprawdę chciałem dobrze dla dzieciaka.

Emilia nie zamierzała go strofować i mówić, że dobrymi chęciami to jest droga do piekła wybrukowana. Nie czas było na prawienie banalnych morałów.

– Kim był ten mężczyzna?

Strzałkowska słuchała uważnie. To będzie długa noc, uznała w duchu. Musiała jak najszybciej zadzwonić do komendanta Cybulskiego.

ROZDZIAŁ 87

Brodnica.

Środa, 10 czerwca 2015.

Klementyna Kopp

Wybierałaś się gdzieś, co?

– Niby gdzie? – odparła defensywnie Edyta Sadowska. – Jest środek nocy. Spałam w najlepsze, kiedy pani zaczęła walić do drzwi.

– Spoko. Rozumiem. Ale! Po co ci w takim razie te spodnie pod koszuliną, co?

Klementyna wskazała dzinsy, które wystawały spod długiej koszuli nocnej. Sadowska najwyraźniej narzuciła ją na ubranie, zanim otworzyła drzwi i wpuściła byłą policjantkę do domu.

– Tak sypiam.

Kłamstwo było tak oczywiste, że aż bolało. Klementyna przyjrzała się kobiecie krytycznie. Przyjechała do mieszkania Sadowskiej, kiedy tylko Twiggy zdradziła tożsamość swojej nowo odkrytej matki.

– Doprawdy.

Nie można było oprzeć się wrażeniu, że Sadowska tkwi w centrum sprawy. Była opiekunką małego Lwa Sokołowa i jedną z gospodyń w pracowni krawieckiej Michała Rakowskiego. Miała więc dostęp zarówno do sukienek, jak i do makabrycznych lalek. Co więcej, okazała się dawną kochanką sędziego Jaworskiego i matką jego jedynej córki. Motyw podwójnego zabójstwa i ewentualnego porwania Lwa nie był co prawda jasny. Klementyna była jednak zdeterminowana, żeby się do niego dogrzebać.

– Zresztą nie pani sprawa, w czym sypiam – warknęła Sadowska. – O co chodzi? Mówiła pani, że przysłała panią moja córka.

Klementyna skinęła głową. To poniekąd prawda. Przecież Twiggy nie mówiła, że Klementyna ma nie odwiedzać jej matki. Nie mówiła nic takiego, co? No więc właśnie. A to już prawie oznaczało, że ją tu wysłała.

– Te odwiedziny u Twiggy. Zateśkniłaś za rodziną po latach, co?

– Niepotrzebnie się z nią spotkałam. Kim pani w ogóle jest?

– Ciotka Klementyna – odparła Kopp.

Z jakiegoś powodu to określenie wydawało jej się szalenie zabawne. Teraz była już prawie pewna, że to Stella ją tak nazwała. Odezwała się ten jeden jedyny raz. To było przy którymś z posiłków. Usadzono je przy jednym stoliku. Stella spojrzała na policjantkę spod oka. Mrugnęła. „Niech ciotka Klementyna poda mi kompot”. To właśnie powiedziała.

– Nie wiedziałam, że Jakub miał siostrę. – Sadowska najwyraźniej potraktowała słowa Klementyny poważnie. – Myślałam, że tylko brata. Jak on się nazywał? Jakieś staroświeckie imię.

– Rajmund – syknęła Klementyna. Irytowało ją samo wspomnienie tego człowieka.

– Może i tak.

– No więc co? Zateśkniłaś nagle za córeczką?

– Nie będę jej już nachodzić, jeżeli tego nie chce. Mogła mi sama to powiedzieć, zamiast przysyłać ciotkę w środku nocy.

Klementyna przewróciła oczami. Czy ludzie wierzą we wszystko, co im się mówi? Znudzilo jej się to.

– Jestem z policji – oznajmiła. To też była poniekąd prawda.

– Z policji? Już przecież ktoś od was u mnie był.

– Spoko. Ale! Przejdźmy do rzeczy. Jest późno.

– Zauważyłam – rzuciła Sadowska cierpko. – Może wróci pani jutro.

– Czemu akurat wczoraj zjawiałaś się u Twiggy, co? – zapytała Klementyna, ignorując jej propozycję. – I to z lalką.

Sadowska westchnęła cicho. Przez chwilę przyglądała się Klementynie. Nagle jej spojrzenie stało się zaczepne. Jakby wszystkie maski spadły.

– Jagoda Rakowska mnie namówiła.

– Rakowska?

– Tak.

– Skąd się znacie, co?

– Kiedyś się przyjaźniłyśmy. Jeszcze w Warszawie, kiedy obie pracowałyśmy na ulicy. Potem ona szybko spotkała księcia z bajki i przeniosła się z nim tu. Był współwłaścicielem klubu ze striptizem. Nazywał się Lech.

Sadowska umilkła, jakby pogрузzyła się we wspomnieniach dawnych dziejów.

– Spoko. Prawdziwa *pretty woman*. I co dalej?

– Ja zostałam na ulicy. Potem przydarzyła mi się przygoda z Jakubem Jaworskim. Był dobrym klientem. Płacił i tak dalej. Niestety zaszłam. Nie byłam zdecydowanie gotowa na dziecko, ale też nie chciałam usuwać. Mój opiekun miał zasady, jak cięża była zaawansowana, to nie zmuszał. Ukrywałam się, jak długo mogłam.

– Alfons z zasadami, kto by pomyślał – stwierdziła Klementyna sarkastycznie.

Sadowska zerknęła na nią spod oka. Była całkiem ładna, chociaż jej twarz zdradzała zmęczenie życiem.

– Urodziłam córkę w domu. Koleżanki mi pomogły. Potem podrzuciłam dziecko Jaworskiemu pod drzwi. Wiedziałam, że się nim zaopiekuje. Był sumienny. Zresztą córka była jego. Zostawiłam mu liścik w tej sprawie. Nie pomyliłam się – zakończyła Sadowska. – Jakiś czas później dowiedziałam się, że zaadoptował naszą córkę jako podrzutka. Z tego, co mówiła mi Natalia, nigdy nie przyznał się, że to jego biologiczne dziecko.

– Utrzymywaliście kontakt?

– Z Jaworskim?

– Tak.

– Nie.

– To jak to się stało, że wylądowałaś tu?

Przez chwilę siedziały w ciszy. Sadowska wyglądała na zamyśloną. Tym razem Klementyna postanowiła dać jej trochę czasu i nie naciskać.

– Kiedy zrobiłam się za stara na robotę na ulicy, skontaktowałam się z Jagodą Rakowską – wyjaśniła w końcu

Sadowska. – Kiedyś dała mi swoją wizytówkę, a ja ją zachowałam. Powiedziałam jej o swojej sytuacji. Zapytałam, czy nie znalazłoby się dla mnie miejsce w klubie jej męża. Wahała się. Minęło wiele lat. Postanowiłam zagrać na uczuciach. Powiedziałam jej, że Jaworski mieszka w okolicy. Z moją córką. Byłabym blisko i tak dalej. Jagoda zgodziła się, żebym przyjechała. Myślałam, że dadzą mnie do Gwiazdozbioru, ale Jagoda nie chciała o tym słyszeć. Powiedziała, żebym pomagała w rezydencji. Szczerze mówiąc, było mi wszystko jedno. Ważne, że miałam jakiś zarobek i dach nad głową na start. Z czasem okazałam się na tyle godna zaufania, że Jagoda polecała mnie różnym osobom.

– To znaczy?

– Podejmowałam się różnych dodatkowych fuch. To Jagoda dała mój namiar Swietłanie, żebym zajęła się Lwem. Nienawidzę dzieci, ale każdy zarobek jest dobry. Nadal pomagałam też w rezydencji Rakowskich. Po śmierci Lecha zostałam gospodynią w pracowni Michała. Wszystko dobrze się układało. Jedynym problemem było to, że Jaworski odwiedzał rezydencję co miesiąc. Całe...

– Czekaj. Stop. Sędzia odwiedzał Jagodę, co? – przerwała jej Klementyna. Była bardzo ciekawa, czy ludzie z komendy o tym wiedzą. Głównym problemem zostania cywilem był brak należytego przepływu informacji.

– Tak. W każdą ostatnią środę miesiąca.

– Po co?

– Nie wiem – odpowiedziała szybko Sadowska. – Chyba Jagoda tego potrzebowała. Pielęgnowała pamięć o Lechu. Tak czy inaczej była dla mnie wyrozumiała i zawsze pozwalała mi się na czas jego wizyt ulotnić. Dzięki temu nie było niezręcznych sytuacji. On chyba nawet nie wiedział, że przeprowadziłam się w te strony. Bardzo mnie to cieszyło. Nie jestem typem zbyt emocjonalnym.

– Spoko. Ale! Skąd w takim razie nagle zainteresowanie córką, co?

– Już mówiłam, że to Jagoda namówiła mnie do wznowienia kontaktów z Twiggy – przypomniała Sadowska. – Przekonywa-

ła mnie, że po śmierci Jaworskiego Twiggy tak naprawdę nikogo już nie ma. Tylko mnie. W końcu dałam się namówić, chociaż wcale nie miałam na to ochoty. Uznałam, że jedno spotkanie po latach nie zaszkodzi. Może byłam też trochę ciekawa.

– I zjawiłaś się z tą... – Klementyna szukała dobrego słowa – ...lalką w prezencie?

Zjawić się u córki, którą kiedyś się porzuciło, z makabrycznym plastikowym frankensteinem w prezencie? Nawet Klementynie wydawało się to co najmniej dziwne. Sadowska poruszyła się niespokojnie. Czują chyba, że jest oceniana.

– Wydawało mi się, że nie wypada pójść z gołymi rękami... a wiedziałam, że Michał się nie pogniewa, jak wezmę jedną z lalek. To raczej nie są dzieła sztuki.

Z tym nie dało się polemizować.

– Rakowscy są dla mnie tacy dobrzy – zakończyła nerwowo Sadowska. – A teraz boję się, że Jagoda wpadła na bardzo głupi pomysł.

Po raz pierwszy w głosie opiekunki Lwa pojawiły się jakieś emocje. Klementyna pochyliła się w jej stronę zaciekawiona.

– Czekaj. Stop. Co masz na myśli?

Sadowska westchnęła głośno.

– Sędzia Jaworski zawsze przychodził w odwiedziny w ostatnią środę miesiąca.

– Spoko. Ale! To już wiemy. Co dalej?

– Podczas ostatniej wizyty w maju powiedział Jagodzie o pewnych nieprawidłowościach podczas rozprawy w sprawie zabójstwa Lecha.

– Nieprawidłowościach? – powtórzyła za nią Klementyna.

Sadowska pokiwała głową.

– O co chodziło konkretniej, co?

– Jaworski twierdził, że dostał łapówkę, żeby jak najszybciej skazać Longina Grzelaka i jego kierowcę za zabójstwo Lecha.

– Czekaj. Stop. Sędzia dostał łapówkę, co? Nie zajmowałam się tamtą sprawą. Ale! Pamiętam, że były dowody przeciwko Grzelakowi i Sokołowowi. Chyba jakiś naoczny świadek. Tożsamości zdaje się nie podano.

Nie było w tym nic dziwnego. Artykuł sto osiemdziesiąt cztery

kodeksu postępowania karnego stwierdzał, że jeżeli zachodzi uzasadniona obawa o bezpieczeństwo świadka, jego tożsamość może zostać utajniona. Zwłaszcza jeżeli nie ma ona znaczenia dla sprawy. Najwyraźniej w tym przypadku sąd lub prokurator tak właśnie uznali.

Sadowska pokiwała głową.

– Właśnie. I w tym cała rzecz.

– Co masz na myśli?

– Świadek był anonimowy, ale Jaworski zdradził Jagodzie jego tożsamość. A właściwie jej tożsamość. Bo to była kobieta. Sugerował, że być może warto pogadać także z nią.

– Kto był świadkiem?

– Halina Michalik. To dyrektorka domu dziecka – wyjaśniła Sadowska. – Jagoda z Michałem pojechali ją przepytać.

– Dlaczego sędzia kazał gadać ze świadkiem, co? Tę Michalik też przekupiono?

– Chyba tak zasugerował. Nie wiem. Wiem tylko, że od tamtego momentu Jagoda była jak opętana. Mówiła tylko o tym. Tak długo nachodziła tę Michalik, że tamta w końcu przyznała, że ktoś na nią nieco wpłynął. Tylko tyle. Nie powiedziała wprost, że jej zapłacono.

– Dlaczego Jagoda tak się przejęła, że Longina Grzelaka niesłusznie skazano, co?

– Zdaje się, że chciała wymierzyć sprawiedliwość. To znaczy nadal chce – poprawiła się Sadowska gorączkowo. – I w tym problem. Naprawdę boję się, że coś może się jej stać. Jej i Michałowi, bo pomaga matce. To właśnie do nich chciałam teraz pojechać. Trzeba ich powstrzymać. Jagoda nie myśli teraz racjonalnie! Chce się zemścić, ale nie wiem, czy wybrała najmądrzejszą metodę!

– Ciekawe określenie – zakpiła Klementyna.

– Nie rozumiesz. To nie są żarty! To się ma stać tej nocy. Teraz. Dostałam od niej SMS-a, że zaraz jedzie... Mamy niewiele czasu!

– Lepiej powiedz najpierw, kto zapłacił, żeby Grzelaka i Sokołowa skazano, co?

Klementyna nie mogła uwierzyć, kiedy usłyszała nazwisko.

ROZDZIAŁ 88

Melina braci Maciejewskich.

Środa, 10 czerwca 2015.

Aspirant Daniel Podgórski

Daniel z trudem przełknął zupę, którą mu podano. Bolała go twarz. Cała reszta ciała też. Z tego, co widział przed chwilą w lustrze, wyglądał jak po ciężkiej walce bokserskiej. Świętej pamięci Krzywy zdecydowanie wiedział, jak się zabrać do rzeczy.

– Smakuje wam? – zapytała Pamela tonem pogawędki.

– Bardzo dobra zupa – pochwaliła Weronika. W jej głosie słychać było jednak nutę niepewności.

Nic dziwnego. Daniel też czuł się co najmniej zdezorientowany. Maciejewski ze swoimi ludźmi włamał się do Gwiazdozbioru i ukradł ukryte w magazynie za dyżurką narkotyki. Pomagała mu Pamela. Wyglądało na to, że tę akcję dokładnie zaplanowano i dość precyzyjnie przeprowadzono.

Potem Podgórskiemu związano ręce i kazano wsiąść do bagażnika vana. Ku jego zaskoczeniu była tam przerażona Weronika. W drodze na miejsce, gdziekolwiek się obecnie znajdowali, Nowakowska wyjaśniła mu, jak znalazła się w okolicach Gwiazdozbioru. Najpierw jechał za nią mężczyzna na harleyu, a potem natknęła się na zaczajoną w ciemnościach grupę pozostałych motocyklistów. Ludzie Maciejewskiego czekali na drodze, aż alarm w klubie zostanie zdezaktywowany, żeby rozpocząć atak. Weronika trafiła na nich przypadkiem. Potem mężczyźni kazali jej zostawić samochód na bocznej drodze i wsadzili ją do bagażnika vana, gdzie była zamknięta do momentu, aż zaczęli pakować do środka narkotyki. Później przyszedł Daniel.

Ludzie Maciejewskiego zabrali ich do jakiegoś stojącego na

uboczu domu. W nocy trudno było oceniać, ale budynek zdawał się stać w jakimś zagajniku pośród pól. Ciemności nie rozpraszały światła żadnych innych domostw. Daniel zupełnie nie wiedział, gdzie są. Próbował oszacować czas jazdy, ale zebranie myśli przychodziło mu z trudem. Poturbowane ciało protestowało na wszystkich nierównościach.

Kiedy wysiedli, nastroje zupełnie się zmieniły. Mechanicy pozdejmowali kominiarki, a Pamela śmiała się głośno. Najwyraźniej na własnym terenie nie obawiali się już niczego. Nieoczekiwanie Danielowi i Weronice przecięto opaski uciskowe na nadgarstkach i zaproszono do domu, jakby przyjechali tu w gości.

Mimo późnej pory Pamela uznała, że powinni coś zjeść, i zaproponowała, że przygotuje zupę. Dała Podgórskiemu czas, żeby obmył twarz z krwi. Nikt go nie pilnował, kiedy zamknął za sobą drzwi łazienki. Paradoksalnie to tylko potęgowało jego niepokój. Z drugiej strony czego mogli się obawiać ludzie Maciejewskiego? Podgórski nie miał nawet telefonu. Odebrał mu go Krzywy w Gwiazdozbiorze. Nie wspominając już o jakiegokolwiek broni.

– Chcecie dolewkę? – zaproponowała Pamela. – Co prawda to gotowiec, ale chyba całkiem niezła, prawda?

Daniel i Weronika wymienili spojrzenia. Siedzieli na przeciwległych krańcach stołu, jak honorowi goście. Od czasu przyjazdu do domu nie pilnowano ich co prawda otwarcie, ale ani przez chwilę nie zostali sami.

– Zawsze trzymam tu na melinie jedzenie – wyjaśnił Maciejewski. – Teraz jak znalazł. Ja pierdole, to była naprawdę udana akcja! Nie sądziłem, że tak dobrze pójdzie. Opchniemy towar i jesteśmy ustawieni na jakiś czas.

W jego głosie słychać było wyraźne zadowolenie.

– Nie wystarczy wam garaż? – zapytał Daniel powoli. – Po co się pchasz w narkotyki?

Maciejewski spojrzał na Podgórskiego z uśmiechem i klepnął go w ramię. Daniel poczuł ból w całym ciele. Starał się jednak, żeby grymas na twarzy nie był zbyt wyraźny.

– Człowieku, przychodzi taki czas, że mężczyzna nie ma

wyboru – oznajmił mechanik. – I z reguły jest to przez baby. Nie powiem.

– Romantyk – zaśmiała się Pamela i dołała sobie zupy.

Maciejewski skinął głową.

– Nie zaprzeczę. Zamierzam ratować rodzinę – powiedział do Daniela już nieco poważniejszym tonem. – Te drągi zapewnią nam byt. Z garażem raz jest lepiej, raz gorzej. Teraz jesteśmy na fali, ale przez całe lata tak nie było. Szybko mogą o nas zapomnieć i nic z tego nie będziemy mieli. Jak opchniemy narkotyki, będzie zupełnie inaczej. Ten towar jest wart kupę pieniędzy.

– Peter, ty zwariowałeś zupełnie – mruknął Daniel. – Wiesz, co sobie bierzesz na głowę?

– No co takiego? – zapytał Maciejewski ostrzej. – Tych twoich? Psiarnia nawet nie będzie wiedziała, że tam byliśmy. Nieraz się sprzedawało trawę. No co, już nie pamiętasz?

Podgórski niemal uśmiechnął się w duchu na wspomnienie starych czasów. Teraz to wszystko zdawało się odległe o całe wieki. Tak naprawdę gdyby nie śmierć ojca podczas pewnej akcji, być może wcale nie zostałby policjantem. Może byłby teraz w zupełnie innym miejscu. To wydarzenie sprawiło, że przewartościował swoje życie i postanowił kontynuować rodzinne tradycje policyjne, o które tak dbali rodzice. Przez kilkanaście lat prowadził się nad wyraz wzorowo. Aż do tamtej nocy z Emilią. Wtedy znowu wszystko wywróciło się do góry nogami, a życie zatoczyło koło.

– Nie sądzisz, że to trochę wyższa liga niż palenie trawki?

– Poradzimy sobie – dodał Maciejewski z uśmiechem.

– Szczerze mówiąc, to raczej pobożne życzenia. Technika poszła naprzód, stary. Mamy coraz więcej możliwości, żeby takie sprawy namierzyć i rozwiązać. Tak czy inaczej na twoim miejscu martwiłbym się, co będzie z ludźmi z Gwiazdozbioru albo z tymi, od których oni dostali te prochy. Przecież oni nawet tym nie handlują. Ten towar miał pójść gdzieś dalej.

– Nie jestem idiotą, Daniel. Zabezpieczyliśmy się.

Przez chwilę nikt nic nie mówił.

– Tylko nie bardzo rozumiem, co tu robi Lew – powiedział

Podgórski.

Kiedy Daniel wracał z łazienki, zobaczył chłopca śpiącego w jednym z pokoi. Drzwi nie były zamknięte, a przy łóżku paliło się światło. Nie miał wątpliwości, że to syn Swietłany. Podgórski nie widział chłopca nigdy na żywo, ale striptizerka pokazywała mu zdjęcia synka. Kiedy się spotykali, za każdym razem miała jakieś nowe. Marilyn uwielbiała fotografować. Nie tylko synka.

Podgórski nawet kilka razy zgodził się na wspólne zdjęcie. Szczerze mówiąc, najczęściej był już wtedy nieźle wstawiony i było mu wszystko jedno, co się dzieje. Nie bał się, że ktoś się dowie, jak spędza czas. Wszyscy i tak o tym wiedzieli. Może nawet podświadomie chciał, żeby tak się stało. Teraz wydawało się to zupełną głupotą.

– Fajkę? – zapytał Maciejewski zamiast odpowiedzi.

Daniel skinął głową i sięgnął po papierosa. W głowie czuł coraz większy zamęt, a ciało powoli odmawiało posłuszeństwa. A przecież musiał skupić się teraz na tym, co się dzieje.

– Nie wyglądasz najlepiej – powiedziała Pamela, przyglądając mu się uważnie. – Prawda, Weronika? Coś z nim chyba nie tak?

Podgórski pokręcił głową.

– Skąd się tu wziął Lew? – zapytał, zaciągając się głęboko. Nikotyna przyjemnie uspokajała. – Dlaczego nie jest w domu dziecka?

– To już zasługa Pamelki – zaśmiał się Maciejewski.

– Oj tam, oj tam – kokietowała striptizerka. Odstawiła talerz z zupą i wyjęła paczkę gumy do żucia. – Już nie przesadzaj.

– Pamela opowiedziała mi, że Lew trafił do bidula – wyjaśnił Maciejewski.

– To było po twojej wizycie – uściśliła Pamela, kiwając ręką w stronę Weroniki. – Pamiętasz? Rozmawialiśmy o tym nawet.

Nowakowska skinęła głową.

– No więc po tej twojej opowieści uznałem, że powinienem mu pomóc – podjął Maciejewski.

– Skąd ta nagła dobroć? – zapytała Weronika nieco ironicznie.

– Spotykałem się z Marilyn.

– Spotykałeś się z Marilyn? – zdziwił się Daniel. – Ty?

Maciejewski zaśmiał się głośno.

– A co, zazdrosny?

– Nie żartuj.

– Nie bądź taki spięty, Daniel. To trwało dość krótko. Nie nazwałbym tego stałym związkiem. Spotykaliśmy się raczej sporadycznie.

– Przychodziłeś do Gwiazdozbioru?

Maciejewski puścił oko do Daniela.

– Ja nie muszę płacić za seks – stwierdził, zapalając drugiego papierosa. – Napijemy się za powodzenie dzisiejszej akcji?

– Jasne – ucieszyła się Pamela.

Maciejewski wstał i podszedł do meblościanki. Otworzył jedną z szafek i wyciągnął butelkę wódki i cztery kieliszki. Postawił je na stole.

– Ja dziękuję – mruknęła Weronika.

– Jak chcesz. Daniel na pewno nie odmówi i wypije za ciebie, co?

Podgórski nie mógł oprzeć się wrażeniu, że w głosie kolegi czaiła się groźba. Nie mógł przewidzieć, do czego zmierza Maciejewski, więc nie miał ochoty na alkohol. Zmaltretowane przez Krzywego ciało i bez tego odmawiało już posłuszeństwa.

– Kiedy indziej.

Maciejewski zignorował słowa Daniela i podsunął mu dwa wypełnione po brzegi kieliszki.

– To za powodzenie akcji – powiedział i wychylił swój.

Pamela zrobiła to samo. Danielowi nie pozostało nic innego, jak tylko pójść za ich przykładem.

– No i pięknie! – pochwalił mechanik.

– To co robi tu Lew? – podjął Podgórski.

– Jeszcze kieliszeczek za Weronikę – przypomniał Maciejewski z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

Daniel wypił drugą porcję wódki i odstawił kieliszek na stół z głośnym stuknięciem. Mechanik poklepał go po ramieniu.

– Świetnie.

– Odpowiesz wreszcie? Co tu robi Lew?!

– Chciałem mu pomóc. Bidul to nie jest miejsce, gdzie człowiek chce spędzać dzieciństwo. Czuję, że jestem to winien Swietłanie, mimo że nie znaleźliśmy się aż tak dobrze.

– Czyli skąd ją znałeś?

– Poznałem ją jakoś w połowie maja. To była całkiem zabawna historia. Opowiem wam zaraz, tylko pójdę po piwko. Wódeczka jakoś mi dziś nie leży. Za dużo wrażeń chyba. Macie ochotę? Weroniczka? Coś wypić musisz, bo nam tu Daniela wykończysz. Chłopina i tak się ledwie trzyma.

– Nie, dzięki – odparła Weronika zimno.

– Jak chcesz, jak chcesz, ale Daniel za ciebie popije.

Maciejewski mówił ze śmiechem, ale znowu dało się słyszeć groźbę w jego głosie. Danielowi coraz mniej się podobała ta sytuacja. Chwilowe rozluźnienie zdawało się tylko pozorne. Widział przecież, co Pamela zrobiła z Krzywym, a ludzie Maciejewskiego z ochroniarzami na zewnątrz klubu. To nie była niewinna zabawa, jak Maciejewski próbował to przedstawić.

Mechanik wstał od stołu i wyszedł z pokoju. Wrócił po chwili ze zgrzewką mocnego piwa. Postawił dwie butelki przed Danielem z wyrazem triumfu na twarzy.

– Naprawdę wyborny gatunek – zaśmiał się. – O czym to ja... Aha. Ja i Marilyn! No więc to było jakoś w połowie maja. Już wtedy mieliśmy pomysł, żeby wykraść z Gwiazdozbioru trochę towaru.

– Skąd wiedziałeś, że mają narkotyki?

– Zgadaliśmy się z Pamelką.

– Znaleźliśmy się, bo oboje byliśmy w domu dziecka – wyjaśniła striptizerka. – Potem ja poszłam w swoją stronę, a Piotrek w swoją.

– Ja to miałem rodziców, ale sam pamiętasz, jacy byli – powiedział Maciejewski. – Ciągłe mnie pakowali do zakładów, że niby tam lepiej niż z nimi. Tak czy inaczej już dużo wcześniej zgadaliśmy się z Pamelką, jak się okazało, że ona tam tańczy. Doszliśmy do wniosku, że oboje możemy na tym zyskać. Umówiliśmy się, że jak przyjdzie towar, to da mi znać. My z chłopakami przyjedziemy, a ona wyłączy od środka ten ich

superalarm. To tak w skrócie. Ten nieszczęsny alarm to był nasz największy kłopot. Zrobili sobie z tego Gwiazdozbioru pieprzoną twierdzą.

– Podchodziłam do tematu kilka razy od początku roku, ale nic z tego – przyznała striptizerka. – Dopiero teraz mi się udało!

Maciejewski pokiwał głową.

– No więc w maju... Jakoś piętnastego... Kiedy to było?

– Dwudziestego – poprawiła go Pamela.

– Tak. Dwudziestego, to była środa. Teraz pamiętam. No więc Pamelka zadzwoniła, że Grzelakowa wysłała gdzieś Marilyn. Samochodem.

– Nie wiedziałam, po co. Już od jakiegoś czasu mówiło się, że przyjedzie towar. Nie byłam pewna, czy Mary po coś nie jedzie.

– Sama miała jechać po tyle paczek? – zapytał Daniel z niedowierzaniem.

– Zdziwiłbyś się, jak to czasem działa. W każdym razie jak Pam dała mi cynk, to pojechałem za Swietlaną. Szybko się zorientowałem, że ona po prostu po nowe kiecki dla dziewczyn z klubu jechała. Nic specjalnego. No i potem, słuchajcie, głupia sprawa. Dziewczyna złapała gumę. Nie pijesz, Daniel?

Podgórski niechętnie sięgnął po piwo i otworzył butelkę. Upił niewielki łyk.

– Byli jak Romeo i Julia – zaśmiała się Pamela. – Mówiłam, że z Petera jest romantyk.

– Daniel, pij duszkiem na zdrowie i nie spinaj się tak – powiedział Maciejewski. – Nie zabiłem Marilyn! Powiem więcej. Ten ostatni weekend miała spędzić ze mną. Mówię szczerze. Dostała wolne od Grzelakowej na urodziny. Dziecko oddała do jakiejś opiekunki. Planowaliśmy we dwoje skoczyć gdzieś w Polskę.

– Przed chwilą mówiłeś coś o odzyskiwaniu rodziny – wtrąciła się Weronika. – A spędzałeś czas z prostytutką?

– Pyskata babka, lubię takie – zaśmiał się mechanik, ale brzmiał w tym pewien smutek. – Ale masz rację, Weronika. Rodzina jest dla mnie najważniejsza, więc może i dobrze się stało, że Marilyn już nie ma. To znaczy nie to, że uważam, że powinna była zginąć. I to w taki sposób.

– Mówiłeś, że planowaliście spędzić razem weekend – przypomniał Daniel.

– Tak, Marilyn miała wpaść do mnie po pracy w piątek, ale się nie zjawiała. Wtedy myślałem, że mnie wystawiła. Trochę mnie to wkurzyło, nie powiem. Nie wiedziałem, że ona już wtedy nie żyła. – Maciejewski spojrział na Weronikę, a potem na Daniela i znowu uśmiechnął się smutno. – Sędzięgo tym bardziej nie kropnąłem. Zero motywu. Ten pentagram, z którym psy przyjechały do nas do garażu, to jakaś kpina. Jakaś wicca czy coś innego. Zastanawiam się tylko, kto na nas zwała te morderstwa. No jeszcze łyczek, żebym się nie obraził.

Maciejewski spojrział na Daniela wyczekująco. Tym razem Podgórski nie sięgnął po butelkę.

– Masz kogoś konkretnego na myśli? – zapytał.

Dawny znajomy mierzył go rozbawionym wzrokiem.

– Nie, tylko tak mówię. No, ale nic. Już po sprawie – podsumował Maciejewski wesoło i pociągnął długi łyk piwa z butelki. – Stary, cały czas się tak zastanawiam. Mogę zapytać wprost?

– Wal – odparł Daniel chłodno.

– Po co ty się, chłopie, pchałeś w paszczę lwa? Przecież w Gwiazdozborze była cena za twoją łepetynę! Pamela mówiła mi, że Krzywy szalał.

– Obawiam się, że to moja wina – włączyła się Weronika. – Rozmawiałam z Twiggy. Ona powiedziała mi, że Marilyn wróciła do klubu po... obsłudzeniu Daniela w piątek. Chcieliśmy zdobyć nagranie z monitoringu, żeby mieć dowód.

Pamela zacmokała głośno.

– Twiggy widziała, jak Mary wróciła do klubu? – zapytała zaskoczona. – Przecież to jakieś bzdury.

Weronika spojrzała na blondynkę zdziwiona. Daniel też odwrócił się w jej stronę. Czyżby Twiggy kłamała? Tylko dlaczego?

– Jak to? – zapytała Nowakowska.

– Mary na pewno nie wróciła tamtego wieczora. Słuchajcie. W sobotę Diana gadała, że zabije Mary, jak wróci w poniedziałek, bo nie przyniosła pieniędzy po numerku –

wyjaśniła striptizerka. – Nie wiedziałyśmy oczywiście, że Marilyn już nie żyła.

– Takiego słowa użyła? – podchwyciła Weronika z nagłym ożywieniem, jakby zapomniała o niepokoju. – Że ją zabije?

Pamela zaśmiała się głośno.

– Coś takiego. Ale nie sądzę, żeby naprawdę ją zabiła. W każdym razie Twiggy na pewno nie mogła widzieć Mary! Mary nie wróciła w piątek do klubu. Mówię wam. Niepotrzebnie się pchałeś po te nagrania, Daniel.

– Po co Twiggy miałyby kłamać? – zastanawiała się głośno Weronika. – Myślicie, że to ona zabiła?

Pamela wyjęła gumę z ust i położyła ją na talerzu z resztką zupy.

– Oczywiście nie mówiłam tego policji, ale słyszałam, jak one się w piątek wieczorem kłóciły.

– Twiggy i Marilyn? – zapytał Daniel.

Pamela pokiwała głową.

– Tak. Szłam do garderoby. Usłyszałam ostrzejszą wymianę zdań, więc się wycofałam. Chciałam im dać chwilę prywatności.

– Jesteś pewna, że to były one dwie? – chciał wiedzieć Podgórski.

– Tak. W piątek. Przed występem Mary dla ciebie.

– Musimy jeszcze raz porozmawiać z Twiggy – powiedziała poruszona Weronika.

Zapanowała cisza. Pamela i Maciejewski wymienili spojrzenia.

– Obawiam się, że to nie będzie możliwe – powiedział powoli mechanik. – Nie spodziewaliśmy się was w Gwiazdozbiorze. Zabrałem was tu przez wzgląd na stare czasy, ale chłopakom to się nie podoba. Za dużo wiecie. Obawiam się, że dopiero jutro zdecydujemy, co z wami będzie.

Na twarzy Maciejewskiego odmalowało się zmartwienie, jakby naprawdę było mu przykro. Daniel zaśmiał się w duchu. Tak, jasne.

– A co, jeżeli teraz stąd wyjdziemy? – zapytał powoli.

Mechanik wyjął zza paska niewielki pistolet i położył go na stole.

– To nie byłby dobry pomysł.

ROZDZIAŁ 89

W drodze do rezydencji Rakowskich.

Środa, 10 czerwca 2015.

Klementyna Kopp

Klementyna pędziła swoją małą czarną skodą przez noc. Nie lubiła szybko jeździć. Teraz musiały jednak jak najszybciej dotrzeć do pracowni krawieckiej, a potem do rezydencji Rakowskich. Sadowska dzwoniła i wysyłała SMS-y. Niestety ani Michał, ani Jagoda nie odbierali.

– W życiu nie słyszałam bardziej kretyńskiego planu zemsty – mruknęła Klementyna pod nosem.

Była zirytowana, że musi ratować kompletną idiotkę. Jednocześnie czuła wewnętrzny przymus, żeby kontynuować to, co zaczęła. Może dlatego, że to było zdecydowanie lepsze niż siedzenie w domu. Pobyt w psychiatryku skutecznie zniechęcił ją do siedzenia gdziekolwiek dłużej niż dwie minuty.

A może chodziło raczej o spojrzenie Edyty Sadowskiej, kiedy opowiadała o Jagodzie Rakowskiej? Klementyna miała wrażenie, że rozumie tę kobietę. Jej tęsknotę i ból. Jej miłość, z której Sadowska być może nawet nie zdawała sobie sprawy. Albo nie chciała zaakceptować... Równie prawdopodobne.

– Już mówiłam, że Jagoda nie myśli teraz racjonalnie! – wydusiła gospodyni krawca. Trzymała się uchwyty nad drzwiami i wpatrywała w pogrążoną w ciemności drogę. Zrezygnowała już chyba z prób dodzwonienia się do przyjaciółki.

Kopp zaśmiała się pod nosem, biorąc ostry zakręt.

– Nie myśli racjonalnie, co? Powiedziałabym, że to raczej spore niedopowiedzenie.

– Ona zawsze była głupiutka... – szepnęła Sadowska z czułością. – Nie znała życia. Nawet jeszcze na ulicy

w Warszawie... Małżeństwo dziwki i bogatego biznesmena? Kto by pomyślał, że coś takiego może się udać... Ale jej tak. Jej zawsze te głupie projekty uchodziły na sucho... Oby teraz też...

Klementyna szczerze wątpiła, żeby tak stało się tym razem. Jagoda chciała zemścić się na Małeckim, bo według słów sędziego to komisarz przekupił zarówno samego Jaworskiego, jak i naocznego świadka w sprawie zabójstwa Lecha Rakowskiego. Jagoda uważała więc, że to właśnie policjant, a nie Longin Grzelak i Dymitr Sokołow, stał za śmiercią jej ukochanego męża.

Małecki... Klementyna знаła komisarza od dawna. Jego zdrada wydawała się czymś zupełnie surrealistycznym. Nie było jednak czasu, żeby się teraz nad tym zastanawiać. Trzeba było działać, a nie dywagować.

Sadowska opowiedziała Klementynie w skrócie, o co chodzi. Zemsta to było to, o czym Jagoda Rakowska marzyła. Tylko nie chciała brudzić sobie rąk. Jej plan zakładał, że Małeckiego zabiją za nią ludzie z Gwiazdozbioru. Musiała tylko sprawić, żeby zechcieli to zrobić.

Żeby to osiągnąć, Jagoda potrzebowała naprawdę mocnego bodźca. W końcu uznała, że gdyby na przykład Małecki zabił Longina, Diana i ludzie z Gwiazdozbioru na pewno szybko by go załatwili, żeby pomścić szefa. Do tego zamierzała doprowadzić. To był jej plan.

– Myślałam, że się na to nie zdecyduje – zakończyła Sadowska płaczliwie. – Jagoda dużo mi o tym mówiła, ale cały czas bała się skontaktować z Małeckim. Miałam nadzieję, że ten jej idiotyczny pomysł rozejdzie się po kościach. Bo niby jak miała go przekonać, żeby zabił Longina? Ale jej się udało...

Klementyna pokręciła głową z niedowierzaniem. Gdyby nie to, że Longin leżał teraz podłączony do aparatury podtrzymującej życie, nie uwierzyłaby, że coś takiego mogło się powieść. Przez chwilę jechały w milczeniu. Silnik skody pracował głośno katowany wysokimi obrotami.

– Gdyby nie to, że Małecki sam do niej przyszedł, by poprowadzić z komendantem przesłuchanie, może nic by się nie stało – powiedziała w końcu Sadowska głucho. – Bo nie

sądzę, żeby Jagoda sama odważyła się z nim skontaktować. Przez dwa tygodnie tylko snuła ten swój plan i snuła. No i nic. Gdyby tylko nie przyszedł do niej dziś rano...

Według słów Sadowskiej Jagoda potraktowała zapowiedź uczestnictwa Małeckiego w przesłuchaniu jako długo oczekiwany znak. To był jej zdaniem idealny moment, żeby wreszcie go podejść. W tym celu musiała zostać z nim na chwilę sama. Z pomocą przyszedł Michał. Na prośbę matki krawiec sfingował atak drgawek. Wtedy Jagoda poprosiła Małeckiego o pomoc w przeniesieniu syna do sypialni.

Kiedy byli poza zasięgiem uszu Cybulskiego, Jagoda zaszantażowała komisarza. Powiedziała, że opowie policji o jego współpracy z Gwiazdozbiorem, jeżeli Małecki jej nie pomoże zemścić się na Longinie Grzelaku. Cały czas udawała, że jej głównym celem jest śmierć Longina. Jakby nie podejrzewała o nic samego Małeckiego.

– Małecki zgodził się na to bez większego oporu, co?

– Z tego, co mówiła Jagoda, to tak.

Klementyna uznała to za bardzo dziwne. Małecki nie należał do ludzi uległych. Mógł być zdrajcą na wszystkich frontach. Nie sądziła jednak, żeby ugiął się przed takim szantażem. Podejrzewała, że miał w tym jakiś własny cel. Być może sam chciał pozbyć się Longina?

– Jagoda nagrała Małeckiego na komórkę, żeby mieć dowód, i teraz jedzie z tym do Diany – powiedziała Sadowska. Jej głos znowu drżał. – Musimy jej przeszkodzić. To nie może się dobrze skończyć!

– Spoko. Już mówiłaś. Jedziemy tam przecież.

Klementyna starała się mówić delikatnie i uspokajająco. Nie wiedziała, skąd Jagodzie Rakowskiej przyszedł do głowy tak wydumany i bezsensowny plan. Ale! Nie powinni cierpieć z tego powodu inni.

– Wiem. Dziękuję – wydusiła Edyta Sadowska.

Ostatnie słowo było ledwie słyszalne. Kopp doskonale to rozumiała. Czasem dziękowanie było niewyobrażalnie trudne. Zrobiło jej się jeszcze bardziej żal Sadowskiej. Nie chciała mówić, że Jagoda Rakowska i tak miała szczęście. Gdyby nie to,

że Cybulski był w rezydencji, Małecki zapewne szybko i skutecznie pozbyłby się szantażystki. Nawet jeżeli miała do pomocy syna.

Zatrzymały się przed pracownią Michała Rakowskiego. Sadowska wyskoczyła z samochodu. Nie było jej kilka sekund. Wróciła sama. Najwyraźniej krawiec już wyszedł. Klementyna nie czekała, aż gospodyni zamknie drzwi skody. Ruszyła z piskiem opon.

Do rezydencji Rakowskich dojechały po kilku minutach. Sadowska otworzyła furtkę drżącymi rękami i pobiegła do domu. Klementyna siedziała w samochodzie. Jeżeli Jagoda była jeszcze w środku, chciała dać im chwilę prywatności. Jeżeli wyszła, trzeba będzie jak najszybciej wyruszyć.

Drzwi rezydencji otworzyły się.

ROZDZIAŁ 90

Gwiazdozbiór.

Środa, 10 czerwca 2015.

Diana Grzelak

Mały rewolwer idealnie pasował do jej dłoni. Przydał się. Zupełnie tak, jak sugerował Longin, kiedy odwiedziła go w Starych Świątkach. Ciekawe, czy miał wtedy na myśli coś konkretnego? Czy wiedział, co się tu wydarzy i co go spotka? Raczej nie, uznała Diana. Bo niby skąd? Po prostu od dawna nalegał, żeby nosiła pistolecik ze sobą.

Diana dostała go od męża kilka lat wcześniej, ale nie miała jeszcze okazji go użyć. To znaczy ćwiczyła oczywiście na strzelnicy, żeby umieć strzelać, ale do faktycznej obrony miała zawsze Longina. Kiedy mąż trafił do więzienia, funkcję tę przejęli Małecki i Krzywy. No i oczywiście byli też inni ochroniarze z klubu. Tak. Tylko że ten dzień zakończył się zupełną katastrofą i tak naprawdę Diana została chyba z tym wszystkim sama.

Rozejrzała się dookoła. Może powinna się domyślić, że coś jest nie tak, jak trzeba, już kiedy zobaczyli z Żabą ślady ostrego hamowania na zjeździe w stronę klubu? A może tego po prostu nie dało się przewidzieć?

Drzwi do Gwiazdozbioru były otwarte, a dwaj ochroniarze leżeli zabici na ziemi. Żaba wszedł do środka, żeby sprawdzić, co się stało. Ona nie odważyła się wejść. Nie chciała na to patrzeć.

Barman wrócił po kilku minutach.

– Towaru nie ma – poinformował szeptem.

Diana poczuła, że ogarnia ją przerażenie. Woląла nawet nie wyobrazić sobie gniewu Wadima.

– Kurwa! – przeklęła cicho, chociaż rzadko jej się to zdarzało.

Stali w milczeniu, wsłuchując się w odgłosy lasu. Wyglądało

na to, że ktokolwiek to zrobił, już się ulotnił.

– Co z Krzywym? – zapytała w końcu Diana.

– Zabity.

Znowu miała ochotę przeklinać. Najpierw jej mąż, potem to wszystko. Katastrofa. Zupełna katastrofa.

– Jak to się mogło stać? – wydusiła. – Co z alarmem?

– Był wyłączony.

– Wyłączony? Cholera! Co Krzywemu przyszło do tej pieprzonej łepetyny? Po co go wyłączył?

– Może to Rosjanie? – zastanawiał się Żaba.

Diana rozważała tę możliwość. Współpracowali z Wadimem od ładnych paru lat i nic takiego wcześniej się nie zdarzyło. Wypracowali sobie dobry model współpracy. Tak jej się przynajmniej wydawało. Szczerze mówiąc, dla Wadima byli tylko niewielką płótką, punktem w drodze na zachód. Wątpiła, żeby włamał się tu, aby zabrać to, co dopiero od niego dostali. To byłoby zupełnie bez sensu.

– Zadzwonię do Małeckiego. Trzeba się poradzić.

Sięgnęła po telefon, ale w tym samym momencie usłyszeli zbliżający się samochód. W nocnej ciszy dźwięk zdawał się głośny i dudniący. A może to serce jej tak biło? Kiedy samochód wjechał na podjazd, od razu go rozpoznała.

– To tylko ta pieprzona Jagoda!

Diana patrzyła, jak żona Lecha wysiada z lexusa. Przez chwilę zastanawiała się, czy to nie Jagoda zleciła atak na klub, ale to wydawało się absurdalne. Mogła zlecić zabójstwo Longina w więzieniu, ale nie dałaby rady włamać się do Gwiazdozbioru. Nie sama. Nawet jeżeli jakimś sposobem zabiłaby karków przed wejściem, nie udałoby jej się sforsować drzwi do klubu. Po włączeniu alarmu i zabezpieczeniu systemu można je było otworzyć jedynie od środka. A przecież Krzywy nigdy nie wpuściłby Rakowskiej.

Problem w tym, że nikogo by nie wpuścił, myślała gorączkowo Diana. A jednak drzwi były otwarte. Komuś musiał otworzyć. To musiał być ktoś, komu Krzywy ufał. Tylko kto? Cholera jasna, kto?

– Co tu się dzieje? – wykrztusiła Jagoda, patrząc

z przerażeniem na martwych mężczyzn leżących przed wejściem do budynku. Wyglądała na mocno przestraszona.

– Jesteś sama? – warknęła Diana, mierząc do niej z małego rewolweru. Nie zamierzała dopuścić do dalszych katastrof, ale najpierw trzeba się było zająć Jagodą.

– Tak.

– Zabiłaś mojego męża, cipo!

Rakowska uniosła ręce do góry. W lewej dłoni ścisnęła telefon. Drżała z przerażenia. I dobrze.

– Nie! Nic nie rozumiesz!

– Wszystko mi jedno. To koniec.

– Poczekaj! Pozwól mi powiedzieć! Myliłam się, oskarżając twojego Longina! – wykrzyknęła Jagoda. – Wiem, że to nie on zabił Lecha!

– A kto? No słucham.

– To Małecki! – zawołała Jagoda. – To Małecki zabił mojego męża! Wysłuchaj mnie, proszę.

– Oddaj telefon i kluczyki od samochodu – rozkazała Diana. Nie była jeszcze pewna, co ma zrobić. Zabić Jagodę od razu czy jednak posłuchać jej gadania. – Żaba, weź to od niej.

Barman podszedł do Rakowskiej i zabrał rzeczy.

– Co to za pieprzenie? Małecki jest z nami.

– Małecki zlecił też zabicie Longina! – zawołała znowu Jagoda.

– Co?

– Mam dowody!

Diana miała wrażenie, że w jej żyłach buzuje nie krew, tylko czysta adrenalina. Próbowała oddychać spokojniej, żeby choć trochę się wyciszyć. Musiała myśleć trzeźwo.

– Jakie dowody?

– Tam w telefonie... – wydukała Jagoda. – Mam nagranie. Sama zobaczysz.

Jak na zawołanie komórka Jagody Rakowskiej rozdzwoniła się. Żaba odrzucił połączenie od niechcienia i spojrzał na Dianę pytająco. Skinęła głową. Nic nie zaszkodzi wysłuchać tego nagrania. Co więcej może się stać.

– Gdzie jest plik? – warknął Żaba w stronę Rakowskiej.

Kobieta wyjaśniła drżącym głosem, w którym folderze jest

nagranie. Żaba podszedł do Diany i pogłośnił.

– *Nie martw się, załatwię to* – głos Małeckiego zdawał się mechaniczny. Dochodził też jakby z daleka. Nie było jednak wątpliwości, że to on. – *Do wieczora Longin umrze. Znam odpowiednich ludzi w Starych Świątkach. Załatwię to.*

Diana czuła, że ręka z rewolwerem drży, jakby mały pistolecik zaczął teraz ważyć tonę. Przeknęła ślinę. Nie wątpiła, że Małecki zna odpowiednie osoby w Starych Świątkach. Sama przecież kazała mu skontaktować się z tym i owym, żeby pomścić pobicie Longina. Z tym że teraz wyglądało na to, że on sam je najpierw zlecił.

– Sama widzisz – powiedziała z triumfem Rakowska. Na jej końskiej twarzy pojawił się uśmiech, który bardziej przypominał grymas. – Małecki jest odpowiedzialny za śmierć twojego męża! Ale też i mojego.

– O czym ty do cholery mówisz?

– Małecki zapłacił! Przekupił wszystkich!

– Zaraz stracę cierpliwość.

– Pamiętasz, że był naoczny świadek, który podobno widział morderstwo?

Diana pokiwała głową.

– Nie ujawnili tożsamości, ale ja wiem, że to była dyrektorka tego nowego domu dziecka. Michalik czy jakoś tak – mówiła dalej Jagoda. – Nieważne! Małecki zapłacił jej za zeznania. Dlatego powiedziała, że widziała, jak Longin i Dymitr zabijają mojego Lecha. Potem Małecki zapłacił sędziemu Jaworskiemu, żeby jak najszybciej zamknął sprawę. To on. To Małecki! Rozumiesz? Obie zostałyśmy oszukane! Pieprzony pies chciał od początku przejąć Gwiazdozbiór! Pewnie chciał zarobić na współpracy z Wadimem.

Diana starała się zapanować nad gonitwą myśli. Czy to możliwe, że Małecki, któremu ufał nawet Longin, zdradził nie tylko policję, ale także ich? Może dogadał się z Wadimem, a oni stali się pionkami do wyeliminowania? Co tu się działo?

Spojrzała na Rakowską. Jagoda cała drżała. Trudno było powiedzieć: z emocji czy z przerażenia. Diana pokiwała głową. Nie była pewna, komu może zaufać, i nie chciała podejmować

pochopnych decyzji.

– Ciekawi mnie tylko niezmiernie, skąd masz to nagranie – powiedziała bardzo, bardzo powoli.

Jagoda spojrzała jej prosto w oczy. Diana widziała w nich strach. Lęk w czystej postaci.

– To była prowokacja...

– Co ona pieprzy, Diana? – wtrącił się Żaba.

Pani Grzelak uciszyła barmana gestem dłoni i zrobiła kilka kroków w stronę Rakowskiej.

– No właśnie, Jagoda, co ty do cholery jasnej pieprzysz? Jaka prowokacja?

Żona Lecha znowu zadrżała.

– Zleciłam Małeckiemu to zabójstwo pod pozorem zemsty na twoim mężu. Łyknął haczyk – powiedziała. – Nie sądziłam, że naprawdę spowoduje śmierć Longina.

– Nie sądziłaś...

– Nie w jeden dzień – zapewniła gorąco Jagoda. – To było dziś rano. Myślałam, że przyjdę z tym nagraniem wieczorem do ciebie i wszystko będzie dobrze...

– To ma być jakaś kurwa pierdolona bajeczka? – Diana nie poznawała własnego głosu. Rzadko przeklinała, mimo że otaczali ją ludzie nieprzebierający w słowach. – Tylko że nie ma jebanego „i żyli długo i szczęśliwie” na koniec. Wiesz?

Diana nawet nie poczuła, kiedy jej palec nacisnął spust. Jakby żył własnym życiem. Gdzieś na obrzeżach świadomości opuściła rękę. Jagoda upadła na ziemię, z jej piersi płynęła krew. Krztusiła się.

Diana patrzyła na nią z miejsca, w którym stała, z pewnym zdziwieniem. Nie zamierzała podchodzić. Odetchnęła. To było bardzo nierealne uczucie móc pozbawić kogoś życia. Tak po prostu, w mgnieniu oka. Jakby nigdy nic. Bez żadnego kłopotu.

– Diana? – zapytał ostrożnie Żaba.

Znowu machnęła ręką.

– Cokolwiek się tu dzieje, Jagoda nie jest nam już potrzebna – powiedziała. Jej głos nadal brzmiał obco.

– Jakaś głupia czy co? – zapytał barman.

Jego czarny eyeliner był teraz rozmazany, jakby i on uronił

kilka łez, kiedy byli u Longina w szpitalu. Diana dopiero teraz to zauważyła. Wszystkie szczegóły zdawały się nagle wyraźne, a jej własne możliwości nieskończone.

A więc tak to jest, pomyślała. Spojrzała z niedowierzaniem na niewielki rewolwer, który dostała od męża. A więc tak to jest kogoś zabić. Żałowała, że nie może przekazać choć odrobiny tej energii Longinowi. Może to by go uratowało. Może dałoby się odłączyć te wszystkie rurki. Bez konsekwencji.

– Nawet jeżeli zrobiła tak, jak mówi, nie powinna przychodzić do ciebie z tym nagraniem – paplał dalej Żaba, który najwyraźniej nie zauważył podniosłego nastroju, jaki Dianę ogarnął. – To jakaś kpina.

Barman zaśmiał się w najlepsze, jakby to był najzwyczajniejszy dzień. Diana odwróciła się do niego powoli. Do pewnego stopnia rozumiała determinację Jagody. Zwłaszcza teraz, kiedy jej mąż był na granicy życia i śmierci. Zemsta. Za wszelką cenę. Taka była taksza miłości.

– Sprawdź, czy ona żyje.

Żaba podszedł do Jagody i pochylił się nad nią. Dianie przez chwilę wydawało się, że w nocnej ciszy słyszy w oddali dźwięk silnika. Barman też uniósł głowę zaniepokojony. Dianie było wszystko jedno. Patrzyła na plującą krwią Jagodę.

– I co? – zapytała. – Żyje czy nie?

– Ktoś tu chyba jedzie.

Diana machnęła ręką. Było jej kompletnie wszystko jedno, kto nadjeżdża. – Żyje czy nie?!

– Jeszcze żyje – oznajmił Żaba, rzucając od niechcienia telefon i kluczyki samochodowe Jagody na ciało. – Chcesz to dokończyć? Czy co robimy?

Diana nie odpowiedziała.

– Naprawdę myślisz, że to Małecki stoi za tym wszystkim? – zapytał barman wobec braku reakcji z jej strony. Machnął ręką w stronę zabitych ochroniarzy i otwartych drzwi klubu.

– Najprościej chyba zapytać go osobiście? – usłyszeli głos Małeckiego. Dochodził od strony krzaków. Komisarz musiał zostawić samochód trochę dalej i resztę trasy pokonać na piechotę.

ROZDZIAŁ 91

Melina braci Maciejewskich.

Środa, 10 czerwca 2015.

Weronika Nowakowska

Weronika oparła czoło o okno. Za szybą były kraty. Nic więcej nie widziała. Ciemność na zewnątrz zdawała się wszechogarniająca. W pokoju, gdzie ich zamknięto, też nie świeciła się żadna lampa. Trochę światła dochodziło ze szpary pod drzwiami. Potęgowało to tylko nieprzyjemne wrażenie. Bała się.

– Jak myślisz, jak długo już tu jesteśmy? – zapytała Daniela.

Weronika myślała o zamkniętym w domu Igorze. To było zupełnie irracjonalne w tej sytuacji, ale bała się też o niego. Kto wyprowadzi go na spacer? Jak długo będzie siedział sam? Powinna była zadzwonić do Wiery z informacją, że wychodzi. Dlaczego tego nie zrobiła? Sklepiarka mogłaby wyprowadzić psa albo, co chyba lepsze w tej sytuacji, zawiadomić Marka.

– Trudno powiedzieć. Straciłem poczucie czasu.

Głos Podgórskiego brzmiał słabo i niewyraźnie. Jakby Daniel z całych sił starał się być tu z nią, ale ciało odmawiało mu już posłuszeństwa. Krzywy nieźle go załatwił.

– Jak się czujesz? – zapytała Weronika, chociaż wiedziała, że policjant nie ma pewnie siły na rozmowy. Nie dbała o to. Nie chciała siedzieć w ciszy. Nie w tej ciemności.

– Bywało lepiej – zaśmiał się Daniel.

Maciejewski i jego ludzie zamknęli ich w pokoju na tyłach domu od razu po posiłku. Motocyklista okazał się dawnym znajomym Daniela, ale Weronika mu nie ufała. Nie po tym, jak związał ją i zamknął w bagażniku vana. A już na pewno nie po tym, jak Daniel opowiedział jej, co się wydarzyło w Gwiazdozbiorze.

Weronika rozejrzała się po ciemnym pokoju, który był teraz ich więzieniem. Odkąd zostali tu zamknięci, przejrżeli już chyba każdy centymetr celi w poszukiwaniu czegoś, co dałoby szansę na ucieczkę. Nie było tu nic takiego. Pozostawało tylko czekać.

Od jakichś dziesięciu minut Podgórski siedział na podłodze, starając się zebrać siły. Weronika zajęła miejsce przy oknie. Miała nadzieję, że księżyc wyjdzie wreszcie zza chmur i chociaż trochę rozświetli czern. Może wtedy zobaczy coś, co pozwoli zorientować się lepiej w sytuacji.

– Dobrze znasz tego Maciejewskiego? – zapytała. Znowu głównie po to, żeby coś powiedzieć. Wałkowali ten temat już kilkakrotnie.

– Kiedyś byliśmy całkiem dobrymi znajomymi. Jeździliśmy na koncerty i tak dalej. Ale...

– Co to jest? – przerwała Danielowi. Przez moment wydawało jej się, że dostrzegła coś w ciemności.

– Co?

– Jeszcze raz! – zawołała gorączkowo Weronika.

Daniel wstał i z trudem podszedł do okna. W ciemności po raz kolejny błysnęło czerwone punktowe światelko.

– Zobacz tam!

– Celownik laserowy – powiedział zaskoczony Podgórski.

CZEŚĆ SZÓSTA

Czwartek, 11 czerwca 2015

ROZDZIAŁ 92

**Zakład medycyny sądowej.
Czwartek, 11 czerwca 2015.
Doktor Zbigniew Koterski**

Koterski lubił zaczynać pracę z samego rana. Wtedy jeszcze zakład medycyny sądowej świecił pustkami i o wiele łatwiej mógł się skupić. Nie było wiszących nad głową śledczych, którzy oczekiwali od ręki odpowiedzi na wszystkie pytania. Tak, kiedy w budynku był tylko on i jego asystentka, najlepiej zbierało mu się myśli. Niestety tej chwili nie dało się przeciągać w nieskończoność. Już słyszał kroki na korytarzu. Potem kolejne.

Przygotował dwa stoły w sali sekcyjnej i zaczął układać na nich ciała Swietłany Sokołowej i sędziego Jaworskiego. A raczej ich fragmenty – te, które znaleziono w poniedziałek w domu sędziego, i te, które odkryto wczoraj na polanie. Kawalek po kawałku Koterski kompletował dwa ciała. Tułów, ręce, nogi, głowa. Przypominało to układanie puzzli. Z tym że te nie były przeznaczone dla dzieci.

– Szczęście w nieszczęściu, że rozkawałkowanie było pośmiertne, a nie życzliwe – powiedział do asystentki.

– Tak. A przy okazji... dostałam potwierdzenie z kliniki w Moskwie, że Swietłanie Sokołowej wszczepiono implanty piersi.

– Świetnie. Dopisz to do raportu. Niech mundurowi się cieszą, że mamy stuprocentową identyfikację.

Malwina Lewandowska pokiwała głową i uśmiechnęła się miło. Współpracowała z doktorem Koterskim już od kilku dobrych lat. Miała czekoladowobrązowe włosy i przyjemną aparycję. Kto wie, gdyby nie był żonaty, może i coś tam by z tego wynikło. Patolog uśmiechnął się pod nosem i wrócił do pracy.

– Co pan sądzi o tym pentagramie? – zapytała, kiedy ułożyli tułów sędziego na stole sekcyjnym.

– Prawdopodobnie wycięty nożem. Zajmiemy się tym za chwilę. Najpierw ich złożymy.

Puzzle musiały trafić na swoje miejsce. Od tego zaczynało się pracę z każdym rozkawałkowanym ciałem. Nie było to oczywiście zbyt przyjemne zajęcie, ale tym razem szło szybko, bo zwłoki zostały pocięte na duże kawałki. A nie zawsze tak było. Niektórzy sprawcy cięli swoje ofiary na drobne fragmenciki. Najczęściej, żeby łatwiej pozbyć się ciała. Nie mówiąc już o ofiarach wybuchów.

Nie, z Jaworskim i Sokołową nie powinno być takich problemów. Mimo to patologa opanowało nagle bardzo nieprzyjemne uczucie.

– Zauważył pan coś, doktorze?

Koterski pochylił się, żeby lepiej zobaczyć. Chociaż kiedy zdjął folię, w którą morderca zapakował kawałki ciała, wszystko było widoczne jak na dłoni.

– Niedobrze – mruknął pod nosem.

Przywołał Malwinę ręką. Miał wielką nadzieję, że chyba dwoi mu się w oczach. Inaczej wiadomości zdecydowanie nie były dobre.

ROZDZIAŁ 93

Lipowo.

Czwartek, 11 czerwca 2015.

Łaskun

Łaskun zadowolony. Idzie. Łukasz. Jak. Zaplanowane. Gotowe. Wszystko. Łaskun. Zadowolony.

– Cześć! – Łukasz. Mówi. – Super, że mnie podwieziesz.

Siada. Ciężko na. Pasażera. Fotelu. Siada. Ciężko. Siada.

– Jak było na nurkowaniu? – pyta. Łukasz. Kiedy już. Jada.

– Dobrze – Łaskun. Odpowiada.

– A jak mój zegarek?

W głosie. Łukasza. Pewną obawę. Słysząc. W. Głosie. Łukasza. Obawę. Łaskun rozbawiony. Niemal. Chłopak o zegarek. Się. Boi. Powinien. O siebie. Powinien. Się bać.

– Świetnie. Dzięki, że mi pożyczyłeś.

– Jasna sprawa – odpowiada. Łukasz. Ale widać. Że chciałby. Już z powrotem. Zegarek.

Łaskun. Się. Śmieje.

– Co? – pyta. Łukasz. Podejrzliwie. Pyta.

– Nic takiego. Nic. Takiego.

Łaskun ręka. Do kieszeni. Uklucie. Krótkie. Szybkie.

– Au! Co ty robisz?

Łukasz patrzy. Ze zgrozą na. Strzykawkę. W rękach. Łaskuna. Łaskun śmiech.

– Nic. Takiego. Nic. Takiego.

– Co ty...

Głos chłopaka. Powoli. Milknie. Idealnie. Łaskun zadowolony. Idealnie. Wszystko idzie. Według. Planu. Zadławi się. O tak. Niech. Zemsta. Łaskun pomoże. Zawsze.

Tylko. Jedno. Mąci spokój. Łaskun nie chce. Żeby to. Był koniec. Nie chce. Chciałby. Ją powstrzymać. Ale wie. Że się.

Nie uda. To jej. Decyzja.

Łukasz bełkocze. Coś. Bez sensu. Ale świadomy. Mniej lub bardziej. I dobrze. O. To. Chodzi. Kawalek. Będzie. Do przejścia. Przez las.

Dopiero. Na miejscu więcej. Ukłuć. Dopiero na. Miejscu. Potem więcej. Jest więcej strzykawek. Więcej brązowych buteleczek. W każdej co innego. Potem. Na potem.

Zemsta

ROZDZIAŁ 94

Komenda Powiatowa Policji w Brodnicy. Czwartek, 11 czerwca 2015. Podinspektor Wiktor Cybulski

Cybulski rozmasował delikatnie skronie. Był niewyspany. To była długa noc, a po niej bardzo aktywny poranek. W sumie komendant spał może trzy godziny. Laboratorium, technicy i informatycy pracowali prawie bez przerwy. Wszyscy byli zdeterminowani, żeby się wykazać, bo w komendzie byli ludzie z województwa. Mówiło się też o interwencji centrali. Po ostatnim śledztwie BSW w sprawie Klementyny nikt nie chciał powtórki z rozrywki. Trzeba było pokazać, że sobie poradzą.

Pierwszych wieści dziś rano dostarczyli specjaliści od komputerów. Laptop znaleziony w domu psychiatry należał do sędziego Jaworskiego. Doktor Witkowski sam to przyznał podczas przesłuchania, więc to nie stanowiło szczególnej niespodzianki. Informatykom udało się natomiast ustalić, że to Jaworski zamówił przez internet odplamiacz tlenowy, którego później użyto do sprzątnięcia śladów krwi w jego domu. Wyglądało na to, że sprawca skorzystał z materiałów, które znalazł na miejscu.

W laptopie sędziego wyśledzono także transakcję kupna starego sprzętu do elektrowstrząsów. Doktor Witkowski nie kłamał i mogli odłożyć wizytę na wysypisku w poszukiwaniu porzuconej przez niego maszyny. Czy sędzia był aż tak rozgoryczony nieustającą walką z depresją, że naprawdę zamierzał sam podłączyć sobie elektrody do głowy? Były w tym szaleństwo i desperacja, które Cybulskiemu trudno było zrozumieć. Czy to możliwe, że eksperyment zakończył się śmiercią, tak jak sugerował psychiatra podczas przesłuchania?

Komendant odgonił od siebie te nedorzeczne pomysły.

Sędzia nie pociął przecież sam swojego ciała i nie połączył go zszywaczem tapicerskim z tułowiem Swietłany Sokołowej. Więc kto? Na zszywaczu tapicerskim znalezionym w Garażu Braci Maciejewskich nie stwierdzono śladów krwi. Na tym, który podczas swojej samowolnej akcji w domu rodzinnym Jaworskich znalazła Klementyna, także nie. W domu psychiatry żadnego zszywacza nie było, ale to przecież niczego nie przesądzało.

Cybulski spojrzął na dwie odznaki leżące przed nim na stole. Jedna należała do komisarza Małeckiego, a druga do podinspektora Klaudii Głowackiej. Komendant westchnął. Tak naprawdę najwięcej niespodzianek dostarczyła wczorajsza noc. Zdecydowanie trzeba będzie wyjaśnić kilka kwestii. Potem niech policjanci z Bydgoszczy i Warszawy robią z Małeckim i Głowacką, co chcą.

– Rozumiem, że pani podinspektor działa na zlecenie komendy wojewódzkiej – powiedział powoli – ale dlaczego nikt nie poinformował nas o tym, co się dzieje? A przynajmniej mnie, jako komendanta.

Cybulski spojrzął na siedzącą przed nim kobietę. Znał ją jako Pamelę z Gwiazdozbioru. Tymczasem okazało się, że była funkcjonariuszką działającą pod przykryciem. Mimo że teraz ubrała się w czarny golf, włosy związała w luźny kucyk, a na twarzy nie miała mocnego makijażu, silikonowe usta i piersi nadal sprawiały, że trudno było uwierzyć, że jest policjantką.

– To była tajna operacja – powiedziała Pamela vel Klaudia Głowacka. – Z całym szacunkiem, ale nie mogłam być pewna, czy ktoś od was nie współpracuje z klubem.

Nawet jej głos zdawał się brzmieć zupełnie inaczej niż w poniedziałek, kiedy Cybulski słyszał ją w Gwiazdozbiorze. Zniknęła też gdzieś nonszalancka poza żucia gumy. Kobieta zdawała się maksymalnie skupiona i rzeczowa.

– Walka z Gwiazdozbiorem wymagała aż takiej oprawy? – zapytał komendant, werbalizując swoje wcześniejsze wątpliwości. Naprawdę czuł, że coś jest tu mocno nie w porządku. – Nie wydaje mi się, żeby to był wielki gracz.

– Nie jest – przyznała Głowacka. – Chodzi o rozpracowanie znacznie większego gracza, który zorganizował tu coś w rodzaju punktu przerzutowego na zachód. Niestety nie mogę więcej powiedzieć, żeby nie zdekonspirować całej akcji. Przykro mi.

– A jaka była w tym twoja rola?

Cybulski spojrzał pytająco na Małeckiego. Prokurator Gawroński, Marek Zaręba i Emilia Strzałkowska też odwrócili się w stronę komisarza ciekawi jego reakcji. Komendant zaprosił policjantów z Lipowa na poranną odprawę, bo wydawało mu się, że jest im to winien. Oni także powinni uzyskać wyjaśnienia. Zwłaszcza że brali udział w obu akcjach z poprzedniego wieczora.

– Głowacka zwerbowała mnie jakieś dwa, trzy lata temu – powiedział komisarz.

– Potrzebowałam kogoś, kto zagrałby przekupnego glinę. Kogoś, kto będzie stał wyżej w hierarchii klubu. Ja byłam tylko striptizerką. Nie informowano mnie o wszystkim.

– A skąd się wziął Maciejewski i jego motocykliści? – wtrąciła się Emilia.

– Kiedy zaczęłam pracować w Gwiazdozbiorze, natknęłam się na Maciejewskiego. Znaliśmy się z czasów domu dziecka. Później kontakt się urwał, bo ja zostałam adoptowana i przeniosłam się do innego miasta. Mimo to mnie rozpoznał i zagadał. Wiedział o narkotykach w klubie.

– Skąd?

– Nie wiem, nie powiedział mi. Oczekiwał ode mnie pomocy.

– Jakiego rodzaju?

– Chciał, żebym informowała go, kiedy towar jest dostarczany do klubu, bo sam bywał tam tylko od czasu do czasu. Bardzo naciskał. Bałam się, że jak odmówię, to będzie mnie nękał i niechcący zostanę zdemaskowana. Co w konsekwencji mogło doprowadzić do dekonspiracji szerszej zakrojonej akcji. Uznałam, że lepiej udawać, że mu pomagam.

– Wszystko zdawało się iść dobrze aż do wczoraj – włączył się Małecki.

– No właśnie. Co właściwie wydarzyło się wczoraj? – zapytał prokurator Gawroński. – Nie wiem, jak dla reszty, ale to

wszystko wydaje mi się niejasne.

Cybulski zgadzał się z prokuratorem. Wczoraj późnym wieczorem skończyli przesłuchiwać doktora Witkowskiego i zmęczeni zaczęli rozchodzić się do domów. Komendant planował przyrządzić prowansalską *soupe au pistou* i raczyć się nią z białym lub różowym winem. Nie zdecydował jeszcze jakim, bo dobór wina do zup był dla niego przyjemną nowością. Może nawet spróbowałby różnych możliwości, a dopiero potem położył się spać.

Niestety wszystko potoczyło się inaczej. Nieoczekiwanie dostał telefon od Małeckiego. Komisarz poinformował go krótko o napadzie na Gwiazdozbiór. Mówił, że jest już na miejscu. Pojechał, jak tylko dostał od swojej współpracownicy cynk o rozpoczęciu akcji. Zamierzał tam wkroczyć, bo wyglądało na to, że Jagoda Rakowska jest w niebezpieczeństwie. Komisarz poprosił o wsparcie. Nie tłumaczył wiele, bo też i nie było na to czasu.

Chwilę później do komendanta zadzwoniła Emilia Strzałkowska. Poinformowała, że jakiś nastolatek z domu dziecka powiedział jej, że Lew Sokołow znajduje się u Maciejewskiego. Komendant szybko uformował dwie grupy operacyjne. Jedna pojechała do Gwiazdozbioru wesprzeć Małeckiego, druga zaś do meliny Maciejewskiego. Miejsce było ukryte, ale tu z pomocą przyszedł Małecki, który zdradził, gdzie się znajduje. Wiedział to od Pameli.

Cybulski był zadowolony. Zarówno przybycie do Gwiazdozbioru, jak i odbicie Lwa Sokołowa, a także Daniela i Weroniki z rąk motocyklistów poszło sprawnie. Funkcjonariusze z komendy spisali się doskonale.

– Od Głowackiej wiedzieliśmy, że Maciejewski i jego ludzie będą próbowali wkroczyć do klubu tej nocy – odparł Małecki. Bawił się papierosem, tocząc go to w jedną, to w drugą stronę po stole. – Zginęli ludzie. Tego było za wiele.

– Powiedziała pani Maciejewskiemu i jego ludziom o dostawie, tak? – zapytał Cybulski. – Dobrze zrozumiałem?

Pamela skinęła głową.

– Musiałam. Bałam się, że w przeciwnym razie Maciejewski

będzie mi robił problemy. Moim głównym celem było nie zostać zdekonspirowaną jako policjantka.

– Maciejewski i jego ludzie wiedzieli, że tej nocy w klubie nie ma pełnej mobilizacji? – zapytał Cybulski i spojrzał na dwójkę konspiratorów w zamyśleniu. Tak naprawdę wczorajsza noc była idealna na atak. Pobicie Longina Grzelaka w Starych Świątkach sprawiło, że w Gwiazdozborze zapanował chaos. Trudno było o lepszy moment na atak.

Cybulski był bardzo tym zaniepokojony. A jeszcze bardziej zeznaniami Daniela Podgórskiego, nagłym pojawieniem się Klementyny oraz tym, co krzyczała Diana Grzelak, kiedy aresztowali ją wczoraj przed klubem.

– Jak tylko się dowiedziałam, dałam im znać. Ale napad na Gwiazdozbiór i tak by się odbył. Planowany był od dawna.

– A Longina Grzelaka pobito przypadkiem akurat tej właśnie nocy?

Małecki zaśmiał się cicho.

– Chodzi ci o te brednie, które wygadywała Diana? – zapytał, jakby słyszał myśli komendanta.

– Dokładnie o to.

Wczorajszej nocy Diana Grzelak obrzuciła obelgami Małeckiego. Twierdziła, że to komisarz zlecił pobicie Longina. Mówiła też, że to Małecki jest winien śmierci Lecha Rakowskiego, a nie Grzelak i jego kierowca. Podobno dowiedziała się tego od Jagody Rakowskiej, zanim w afekcie ją postrzeliła. Nagranie miało znajdować się w komórce Rakowskiej. Kłopot w tym, że telefonu nie było przy ciele postrzelonej kobiety.

Cybulski spojrzał na siedzącego przed nim Małeckiego. Tak, telefonu przy ciele nie było. Był tam natomiast komisarz. Sprawdzał puls, a nawet udzielił Jagodzie pierwszej pomocy, kiedy oczekiwali na karetkę pogotowia. Czy to możliwe, że zabrał komórkę, żeby pozbyć się dowodu?

Jagodę na pewno trzeba przesłuchać. To będzie możliwe dopiero, jak dojdzie do siebie po postrzale i lekarz prowadzący na to pozwoli. Niestety w tej sytuacji nawet jeżeli Rakowska potwierdzi słowa Diany, nie będzie można ich udowodnić.

– Oskarżenia Diany to desperacka próba zrzucenia winy na mnie – zachnął się Małecki. – Znasz mnie, Wiktor. Wiesz, jakim jestem funkcjonariuszem. Grzelak zginął w więziennej bójce. Ja nie mam z tym nic wspólnego.

Cybulski podrapał się po brodzie. Nie zdążył się tego ranka ogolić i twarz pokrywał mu teraz sztywny zarost. To było nieprzyjemne. Miał przez to wrażenie, że jest brudny. Zupełnie nie rozumiał mężczyzn, którzy nie golili się gładko.

– A co z oskarżeniami o łapówki, które podobno miałeś dać sędziemu Jaworskiemu i Halinie Michalik?

Małecki westchnął głośno. Cybulski spojrział na niego spod oka. Przypomniał sobie, jak odkrył, że komisarz przemilczał drobny wkład Daniela w śledztwo w sprawie morderstwa Lecha Rakowskiego. Komendant sądził wtedy, że komisarz chce Podgórkowskiemu pomóc. Teraz pojawiła się nieprzyjemna myśl, że Małecki mógł mieć zupełnie inny cel.

I jeszcze jedno, zastanawiał się Cybulski. Czy na pierwszej odprawie Małecki aż za bardzo ochoczo nie podjął się szukania powiązań między Danielem a sędzią Jaworskim? Prawdopodobnie doskonale wiedział, co można znaleźć w aktach. Wolał jednak, żeby nikt inny tam nie grzebał. Chciał kontrolować przepływ informacji na temat tamtej sprawy i nie dopuścić do ewentualnego odkrycia swojego w niej udziału.

Komendant spojrział na podwładnego uważniej. Zawsze wydawało mu się, że zna tego człowieka. Kiedyś takie oskarżenia uznalby za niedorzeczne. Ale teraz? Teraz trudno było powiedzieć, w co i komu można wierzyć.

– Muszę przyznać, że w tej kwestii rzeczywiście wziąłem prawo w swoje ręce – przyznał Małecki po chwili.

– Co masz na myśli? – zainteresował się Gawroński. Mimo nieprzespanej nocy prokurator nadal wyglądał zaskakująco elegancko. Cybulski trochę mu zazdrościł, choć to uczucie zdecydowanie nie przystoi dżentelmenom.

– Udało mi się zostać dość wpływowym człowiekiem w klubie – powiedział Małecki. – Nie zapominajcie o tym. Dwa lata temu, kiedy trwało śledztwo w sprawie śmierci Lecha Rakowskiego, usłyszałem kiedyś ich rozmowę na ten temat.

Longin i Dymitr to zrobili. Wybrali takie miejsce, że świadków być nie mogło. To miało szansę rozejść się po kościach. Dochodzenie by się ciągnęło. Dowodów by nie było. Koniec. Wyłgaliby się. Nie chciałem do tego dopuścić.

– Więc wzięłeś prawo w swoje ręce – Gawroński powtórzył słowa komisarza.

– Wiem, jak to brzmi. Jestem w fabryce od dawna – mruknął Małecki. – Wiedziałem, że powinniście zgarnąć Longina i Dymitra. Jakiś czas wcześniej poznałem dyrektorkę domu dziecka. Przy okazji innej sprawy. Wiedziałem, że brakuje im pieniędzy w ośrodku. Halinie Michalik naprawdę zależy na tych dzieciach. Jest im w pełni oddana. To rzadko się zdarza. Przyznaję, że to wykorzystałem. Dałem jej pieniądze, żeby zeznała, że widziała, jak Grzelak i Sokołow zabili Lecha Rakowskiego. To prawda.

– Nie bał się pan, że naraża ją na niebezpieczeństwo? – zapytała Strzałkowska. – Że ludzie z klubu będą się chcieli zemścić za jej zeznania?

Cybulski spojrział na Emilię. Wyglądała na zmęczoną, chociaż w jej głosie nadal pobrzmiwało zdecydowanie i typowa dla niej niezłomność. Mimo to wolał unikać ewentualnych problemów. Kłopot w tym, że Emilia była uparta. Sama się nie wycofa.

Zastanawiał się, czy jako zwierzchnik nie powinien jej po prostu wysłać do domu na urlop macierzyński. Albo zażądać zaświadczenia od lekarza, że może nadal pracować. W ten sposób przynajmniej komenda byłaby kryta. Czy w ogóle mógł coś takiego zrobić? Będzie musiał zapytać kadrowej.

Cybulski zganił się za takie myśli. Dawniej szukanie podkładki i dbanie o bezpieczeństwo własnych czterech liter nie przyszkoloby mu do głowy. Odkąd został komendantem, chyba się zmienił. A może powodem był rozwód?

Odpędził od siebie myśli o Żanecie. Nie pora na to. Tak czy inaczej trzeba będzie z Emilią porozmawiać, a nawet jeżeli śledztwo szybko się nie skończy, to odsunąć ją od działań operacyjnych. Dla jej własnego dobra.

– Tożsamość Haliny Michalik była utajniona podczas procesu

– przypomniał Małecki. – Poza tym miałem w klubie silną pozycję. Przyrzekłem sobie, że w razie czego będę ją chronił.

Cybulski dziwił się, że komisarz mówi o tym tak otwarcie. Tak naprawdę sam przecież się obciążał. Czy był aż tak pewny swego, że tego nie widział? Komendant czuł, że ogarnia go coraz większy niepokój. Takie zachowanie nie pasowało do Małeckiego.

– Po co dałeś łapówkę Jaworskiemu?

– Dla pewności. Świadek to była mocna rzecz, ale chciałem, żeby na pewno zapadł wyrok skazujący. Mam nadzieję, że mnie zrozumiecie? Weźcie pod uwagę, czym zajmowali się ci ludzie. Longin Grzelak i Dymitr Sokołow i tak powinni byli trafić za kratki już dawno temu. Ja tylko upewniłem się, że tak się stanie.

– Jesteśmy stróżami prawa – odezwał się prokurator Gawroński. – Tu nie ma miejsca na samosąd.

– Zdaję sobie z tego sprawę, ale mam nadzieję, że przemyślicie to i zrozumiecie, że sytuacja była wyjątkowa.

Cybulski nie był pewien, co o tym sądzić. Raz jeszcze przyjrzał się Małeckiemu i siedzącej obok niego podinspektor Głowackiej. Długo działali pod przykryciem. Znaleźli się po drugiej stronie. Musieli wejść w ten świat. Czy to człowieka nie zmienia? To oczywiście żadne wytłumaczenie. Wątpliwości pozostały.

– Wróćmy jeszcze do wczorajszej nocy – poprosił. – Mówiliście, że ochroniarzy przed budynkiem zabili ludzie Maciejewskiego.

– Tak.

– Jak dostali się do środka?

– Ja dezaktywowałem alarm, ale to już na pewno wiecie. Widziałem, że komputerowcy przeglądali wczoraj w nocy panele kontrolne w dyżurce – odparł Małecki.

– Maciejewski chciał, żebym ja to zrobiła, ale nie miałam do tego uprawnień – powiedziała Pamela. – Próbowałam unieszkodliwić system alarmowy. Ludzie z Gwiazdozbioru myśleli, że to awarie. Tak czy inaczej nic z tego nie wychodziło. W ten sposób alarm wyłączał się tylko na kilka minut. To

zdecydowanie za krótko.

– Dlatego ja pomogłem. Program daje możliwość ustawienia automatycznego włączenia i wyłączenia systemu o pewnych godzinach. Idealne rozwiązanie. Niestety trzeba się przy tym zalogować i zostaje po człowieku ślad. No ale nie było wyjścia. Ustawiłem to ze swojego konta, żeby Maciejewscy mogli wejść i nie narazili na kłopoty Pameli.

– Wydawało nam się, że mniej ryzykujemy, jeżeli tam po prostu wejdą i wykradną narkotyki – potwierdziła Głowacka. – A kto wie, to mogło nawet sprowokować tego, o kogo nam chodziło od początku.

– Dużego gracza – powiedział Cybulski kwaśno.

Pamela skinęła głową niezrażona.

– Tak. Dużego gracza.

– Tylko że zaczęli ginąć ludzie – włączył się Małecki. – Wtedy zdecydowałem, że cię zawiadomię, Wiktor. Bo są przecież granice. Resztę już znasz.

Cybulski skinął głową. Wszystko wydawało się mieć sens. Tyle że ciągle coś mu nie grało. Po wkroczeniu do Gwiazdozbioru przyjrzeni się oczywiście zamontowanym tam zabezpieczeniom. W historii logowań rzeczywiście można było wyczytać, że Małecki wszedł do systemu o godzinie osiemnastej zero pięć.

– Rozbroiłeś alarm, kiedy pojechałeś do klubu poinformować Dianę Grzelak o ataku na Longina? – zapytał komisarza.

– Tak.

– Wiedziałeś, że w pomieszczeniu obok przetrzymywany jest Daniel?

– Tak – przyznał komisarz.

– Wiedziałeś, że oni go tam torturują? – zapytała Emilia ostro.

– Musiałem nadal grać swoją rolę. Nie rozumiesz?

– Przyjechałeś na przesłuchanie doktora Witkowskiego i nawet się nie zająknałeś, że w Gwiazdozbiorze mogą zabić Daniela?

Małecki spojrział na Strzałkowską spod oka. Policjantka była cała czerwona na twarzy z tłumionych emocji.

– Nie dramatyzujemy.

– Nie nazwałbym tego dramatyzowaniem – odparł prokurator Gawroński, popierając Strzałkowską.

– Przecież nieco później dałem znać, co się dzieje, prawda?

– Nie spodziewaliśmy się, że w klubie będzie Daniel – włączyła się Głowacka vel Pamela. – Myślałam, że Maciejewski zabierze towar po cichu, a potem damy wam znać i się zdekonspirujemy.

– Nie psuło to wielkiego tajnego planu rozpracowywania szajki? – Cybulski nie mógł powstrzymać się przed odrobiną ironii.

Głowacka zerknęła na niego spod oka.

– Oczywiście, że tak. Ale już mówiliśmy, sprawy zaszły za daleko, żebyśmy mogła temu zapobiec.

– Doprawdy?

– Tak – odparła Głowacka spokojnie. – Myślę, że i tak udało mi się zrobić bardzo wiele.

– Kto zabił Krzywego? – zapytał Gawroński.

– Maciejewscy.

– O to też ich zapytamy – zapewnił prokurator z uśmiechem.

– Wielka szkoda, że nie tylko system alarmowy się wyłączył, ale zostały też wykasowane wszelkie nagrania z monitoringu klubu.

– Na pewno Maciejewski i jego ludzie chcieli pozbyć się dowodów – powiedziała Głowacka. – Wystarczyło przytknąć dłoń Krzywego do panelu. W ten sposób można się było zalogować. No i z tego powodu nie macie czarno na białym na filmie, jak to się potoczyło. Chronili siebie.

Udało im się ustalić, że system zabezpieczeń wyłączył się na pewien czas. Uruchomił go z powrotem Krzywy. On także wykasował wszystkie nagrania z tego dnia. Tylko że wtedy już nie żył. Przynajmniej według Daniela. Komendant miał wczoraj późną nocą okazję krótko porozmawiać z nim i z Weroniką. Znał więc ich wersję wydarzeń. Dalsze przesłuchania przewidziane były na dziś lub jutro.

Podgórski trafił na razie do aresztu na czterdzieści osiem godzin. Prokurator nalegał na to, mimo że Cybulski uważał, że to zbędne, a Gawroński prowadzi osobiste rozgrywki. Nie

oponował jednak. Nie było sensu. Podgórski jakoś zniesie krótkie zamknięcie, a nikt już nie wierzył, że to on jest mordercą.

– Rzeczywiście dla Maciejewskiego i jego ludzi sytuacja ułożyła się bardzo korzystnie – powiedział Cybulski. – Muszę jednak powiedzieć, że niezmiernie dziwi mnie jeszcze jedno. Nie przeprowadziliśmy jak dotąd oficjalnego przesłuchania Podgórskiego, ale wczoraj w nocy rozmawiałem z nim i z Weroniką Nowakowską. Oboje zgodnie twierdzą, że uczestniczyła pani w ataku na klub. Mimo pani wyjaśnień nie do końca jest dla mnie jasne dlaczego. Co więcej, Daniel twierdzi, że to właśnie pani zabiła szefa ochrony.

– Może i Daniel tak twierdzi – odpowiedziała Pamela. – Tyle że macie słowo przeciwko słowu. Chciałabym przypomnieć, że Podgórski nadal jest podejrzanym. W klubie też wszyscy byli pewni, że to on zabił Marilyn. Nie ufałabym mu na waszym miejscu.

– Zwłaszcza że zeznaje przeciwko pani – mruknęła Emilia.

– A kurara? – zapytał Cybulski, zmieniając temat.

Ta trucizna była bezpośrednią przyczyną śmierci Swietłany Sokołowej i sędziego Jaworskiego. Podczas wczorajszego nocnego przeszukania klubu znaleziono kilka brązowych buteleczek. Były w magazynie, gdzie więziono Daniela. Analiza toksykologiczna potwierdziła, że zawierają kurarę.

– Należała do Krzywego – powiedział Małecki. – Lubił egzotykę.

– Przez cały czas wiedziałeś, że ochroniarz z Gwiazdozbioru ma tę truciznę? Przecież to niezmiernie istotna informacja.

Cybulski mówił powoli, starając się powściągnąć gniew. Tracenie panowania nad sobą do niczego dobrego nie prowadziło. Czuł jednak, że ma już nerwy w strzępach. Dysponowali całym stosem rozmaitych dowodów, informacji, podejrzanych, a mimo to wiele kwestii pozostało nadal zupełnie niezrozumiałych.

Na przykład pentagram wycięty na brzuchu sędziego Jaworskiego. Dlaczego sprawca, kimkolwiek był, to zrobił? Czy miało znaczenie, że najprawdopodobniej był to biały

pentagram, a nie ten używany przez satanistów? Co ze śladami krwi AB Rh– na nożu, który technicy znaleźli w poniedziałek w kuchni sędziego? Kto zranił się tym nożem? Jaki to ma związek ze sprawą?

Cybulski spojrzał na siedzących przed nim Małeckiego i podkomisarz Głowacką. No i teraz oni. Komendant uzyskał potwierdzenie w województwie i centrali, że policjantka naprawdę działała pod przykrywką. Jednak jej wersja zdarzeń z wczorajszej nocy nie do końca Cybulskiego przekonała. Cieszył się, że nie on będzie się tą dwójką dalej zajmować. Małecki i Głowacka zostaną przewiezieni najpierw do Bydgoszczy, a potem pewnie do Warszawy w celu złożenia szczegółowych wyjaśnień.

– Jak już zostało powiedziane, to była tajna operacja – wycedził Małecki. – Po prostu nie mogłem tego zrobić. Gdybym powiedział o kurarze, doszłoby do wpadki. Cała praca Głowackiej na nic.

– Słowo daję, jeżeli jeszcze raz usłyszę o tajnej operacji... – Strzałkowska nie dokończyła.

– Kto miał dostęp do tej trucizny? – zapytał prokurator Gawroński.

Cybulski uznał, że to bardzo dobre pytanie. Raczej mało prawdopodobne, żeby kilka osób korzystało z takiej samej trucizny. Znacznie bardziej logiczne wydawało się, że do zabicia ofiar użyto tej, która znajdowała się w dyżurce w Gwiazdozbiorze.

– Krzywy. Nikt inny nie śmiałby tego ruszyć. Traktował te buteleczki jak swój skarb – odparła Głowacka vel Pamela. – Nikt zresztą nie miał wstępu do dyżurki i magazynu. No oprócz Diany Grzelak.

– I waszej dwójki – zaatakowała znowu Strzałkowska.

Małecki i Głowacka wymienili spojrzenia, ale żadne z nich nie odpowiedziało.

– To już właściwie nie ma znaczenia – odezwał się Marek Zaręba, przerywając nieprzyjemne milczenie – ale bardzo interesuje mnie ta polana z obeliskiem. W telefonie Swietłany Sokołowej znaleźliśmy zdjęcie, na którym jest także pani.

Chcieliśmy panią w tej kwestii przesłuchiwać, kiedy jeszcze nie wiedzieliśmy, że jest pani policjantką. No ale potem dowiedzieliśmy się o porwaniu małego Lwa i o pedofilii Rajmunda Jaworskiego. Czy to miejsce miało jakieś szczególne znaczenie dla Marilyn? Co tam robiłyście?

– Zdjęcie?

Marek wyjął wydruk fotografii z telefonu Sokołowej i położył na stole. Głowacka nawet po niego nie sięgnęła.

– Chodzi pewnie o imprezę, którą tam zorganizowaliśmy.

– Dlaczego akurat tam? – nie ustępował Marek.

– Nie pamiętam. Chyba Żaba – uściśliła Głowacka – zaproponował to miejsce. Chodziło o coś ustronnego, żeby nikt nie przeszkadzał. Z tego, co pamiętam, Diana chciała świętować jakiś sukces klubu. Tylko tyle. To nie miało żadnego ukrytego znaczenia. Równie dobrze mogliśmy pójść gdziekolwiek.

Nagle ktoś zapukał do drzwi sali konferencyjnej.

– Proszę – powiedział Cybulski głośno.

Drzwi uchyliły się i do środka zajrzał doktor Koterski. Zdążył już przeprowadzić sekcję szczątków, które znaleźli na polanie z obeliskiem. Na twarzy patologa widać było cień niepokoju. Mężczyzna sprawiał wrażenie wyraźnie poruszonego.

ROZDZIAŁ 95

Atelier Michała Rakowskiego. Czwartek, 11 czerwca 2015. Bronisław Wójcik

Bronisław Wójcik zatrzymał furgonetkę pod drzwiami atelier młodego Rakowskiego. Nie za bardzo lubił to miejsce. Dziś jednak cieszył się, że ma tu do przywiezienia paczki. Liczył na to, że dowie się czegoś o wydarzeniach, które miały miejsce w nocy. Wszędzie o tym trąbili, ale wiadomości w radiu czy telewizorze to przecież nie to samo co informacje z pierwszej ręki.

Listonosz zatrąbił trzy razy. Najczęściej przyjeżdżał raz, czasem dwa razy w tygodniu, więc stało się to już świeżą tradycją. Najwyraźniej w środku praca wre, uznał, skoro składają tyle zamówień. Wójcik przygotował dokumenty do pokwitowania odbioru. Za chwilę ktoś na pewno wyjdzie odebrać paczki. Miał wielką nadzieję, że będzie to Rakowski, a nie któraś z jego gospodyń.

Drzwi pracowni otworzyły się. Stała w nich ta okropna Sadowska. Gorzej trafić nie mógł. Język niby miała na miejscu, ale nigdy nie powiedziała do listonosza ani jednego słowa więcej, niż było trzeba. Z dwojga złego lepiej by było, gdyby trafił na tę drugą. Tamta była bardziej skora do gadania.

Wysiadł z samochodu z westchnieniem i otworzył budę. Zaczął wyjmować paczki wysłane na adres pracowni. Właściwie nie musiał patrzeć na adresy, bo z reguły były w podobnych pudłach. Widocznie zamawiane ciągle z tego samego miejsca. Dziś była tylko jedna dodatkowa paczka, zauważył, zerkając na listę. Nadana z Brodnicy. Imię i nazwisko krawca zostały tak nabazgrane, że prawie nie dało się ich odczytać. Nie mówiąc już o nadawcy. Co to było? Łaskun? Listonosz pierwszy raz słyszał

take nazwisko.

– Dzień dobry – powiedział do Sadowskiej, która stanęła na chodniku obok samochodu.

– Dzień dobry – odparła.

Chłodniej się już właściwie nie dało. Przy tej kobiecie już w czerwcu człowiek miałby ochotę włożyć kożuch, zaśmiał się Wójcik w duchu. Dziwne, że to całe „atelier” nie jest zaszczone.

– Paczuski dla pana Rakowskiego.

– Odbiorę – odparła Sadowska sucho.

– To prawda, że pani Jagoda Rakowska została wczoraj postrzelona przed Gwiazdozbiorem? – zapytał listonosz, podając gospodyni kolejne pokwitowania. – Tak mówili w radiu, jak tu jechałem.

– Jagoda Rakowska jest w szpitalu – przyznała niechętnie Sadowska, oddając mu plik kartek.

– I co, była strzelanina i narkotyki?

– Ja nic na ten temat nie wiem.

– Tak w telewizji mówili.

– To niech ich pan pyta.

– Może pomogę wnieść paczuski do środka?

Wójcik wcale nie miał ochoty pomagać tej oślizgłej babie, ale liczył, że uda mu się zajrzeć do pracowni. Może w środku jest Michał Rakowski. Krawiec co prawda nie mógł mówić, ale skinąć głową dałby przecież radę. Może będzie bardziej skory do udzielenia jakichś informacji.

Niestety Sadowska stanęła w drzwiach, blokując przejście.

– Poradzę sobie – powiedziała i posłała mu lodowaty uśmiech.

– Pana Michała też postrzelili? – nie dawał za wygraną listonosz. – Człowiek ciekawy jest i tyle. No niechże pani coś powie.

– Ma pan za długi język – rzuciła Sadowska.

Wójcik miał przy tym wrażenie, że kobieta spojrzała na niego jakoś dziwnie. Poczul nagłą chęć odjechania stąd jak najszybciej. Za długi język? W tej pracowni słowa te brzmiały co najmniej złowieszczo.

ROZDZIAŁ 96

Komenda Powiatowa Policji w Brodnicy. Czwartek, 11 czerwca 2015. Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska

Doktor Zbigniew Koterski zdawał się poruszony. Wyglądało na to, że z trudem może się powstrzymać przed powiedzeniem, z czym przyszedł. Najpierw jednak salę konferencyjną musieli opuścić podinspektor Klaudia Głowacka i komisarz Małecki. Nie tylko nie uczestniczyli już w czynnościach śledczych, ale mieli zostać odesłani do komendy wojewódzkiej w celu złożenia dalszych wyjaśnień w sprawie swojego udziału we wczorajszych wydarzeniach.

– I co? To był smar? – zapytał Małecki, wychodząc.

Doktor Koterski zrobił minę, jakby nie zrozumiał.

– Co? A, tak, tak. Na tułowiu sędziogo. Tak, to był smar samochodowy.

– Pan komisarz nie uczestniczy już w śledztwie – poinformował oficjalnym tonem Cybulski.

Patolog zrobił ruch ręką, jakby chciał pokazać, że to wszystko nieważne. Nic jednak nie powiedział. Czekał, aż Małecki i Głowacka wyjdą.

– Jest kolejna ofiara – oznajmił, kiedy tylko drzwi się za nimi zamknęły.

– Co masz na myśli? – zdziwił się komendant Cybulski. – Nie dostałem żadnej informacji o nowych zwłokach. Kiedy je odkryto?

– Te „nowe” zwłoki – powiedział doktor Koterski, robiąc palcami znak cudzysłowu – mamy już od wczoraj. Tylko o tym nie wiedzieliśmy. Dlatego zawsze lubię wypowiadać się już po sekcji.

Wszyscy spojrzeli na rumianego mężczyznę zaskoczeni.

Emilia poczuła, że serce zaczyna bić jej szybciej. Zrobiło jej się jakoś słabo. Poglaskała się po brzuchu i starała się oddychać miarowo. Muszę wytrwać jeszcze trochę, potem zwolnienie albo robota papierkowa, obiecała sobie w duchu. Sobie i Dziecku.

Strzałkowska pragnęła, żeby śledztwo jak najszybciej dobiegło końca. Szczerze mówiąc, czuła, że jest u kresu sił. Nie tylko fizycznych. Gnębiło ją, że jej relacje z Łukaszem zaczynają się psuć. To sprawiało ból, który czuła w każdej komórce ciała. Po wczorajszej kłótni dziś rano syn nadal niezbyt chętnie chciał z nią rozmawiać. Rzucił tylko mrukliwie, że wychodzi później, bo ktoś podwiezie go do szkoły. Nie zapytałam nawet kto, skarciła się w duchu policjantka. Może Łukasz miał rację i naprawdę skupiała się tylko na pracy.

– Co masz na myśli? – zapytał prokurator Gawroński.

Albo Strzałkowskiej się zdawało, albo prokurator nie spuszczał z niej oka od dłuższego czasu. W jego spojrzeniu malowała się troska. Jakby dawny kochanek słyszał jej rozpaczliwe myśli.

– Zabrałem się do szczątków z polany z samego rana – wyjaśnił medyk sądowy. – Szybko potwierdziłem, że męski tułów i kończyny należą bez wątplenia do sędziego Jaworskiego. Schody zaczęły się potem. Zająłem się damskimi kończynami i okazało się, że nie należą wcale do Swietłany Sokołowej! Głowa jak najbardziej, ale ani ręce, ani nogi!

– Co?!

Pytanie śledczy zadali chórem. Chyba żadne z nich nie spodziewało się takich wiadomości. Kiedy Wiera odkryła na polanie męski tułów i kończyny oraz damską głowę i kończyny, wydawało się oczywiste, że będą one należeć do dwóch ofiar z domu Jaworskiego. Przecież razem z głową sędziego i tułowiem Sokołowej, z których sprawca stworzył makabryczną postać, stanowiły dwa kompletne ciała.

– Jest pan pewien? – wykrztusiła Emilia.

– Jak najbardziej. Ta nieznana kobieta była od Swietłany znacznie niższa. Jej parametry zupełnie się nie zgadzają z wymiarami Sokołowej, które można określić na podstawie

tułowia i informacji uzyskanych od osób, które ją znały.

Marek odchrząknął nieco zakłopotany.

– Kończyny nie mogły się... nie wiem... jakoś skurczyć?

– To nie jest pranie – zaśmiał się doktor Koterski. Nie było w tym ironii. Raczej rozbawienie. – Ciało po śmierci oczywiście się zmienia, ale nie do takiego stopnia. Poza tym nie tylko o to chodzi. Fragmenty głowy kości ramiennej w tułowiu i amputowanych rękach się powielają.

– Powielają?

– Tak – westchnął Koterski. – Maksymalnie upraszczając, to tak, jakby miała podwójny staw ramieniowo-łopatkowy w każdej z rąk. Coś takiego nie wchodzi w grę.

– Czyli mamy kolejną ofiarę – podsumował głucho prokurator Gawroński.

Patolog pokiwał głową.

– Oprócz wymiarów i kwestii kości ramiennych nie zgadza się coś jeszcze.

– Co?

– Grupa krwi w tych kończynach i w tułowiu jest inna. Ta grupa krwi prawdopodobnie was zainteresuje – doktor Koterski zawiesił głos, jakby chciał zbudować jeszcze większe napięcie. Zdaniem Emilii to było zupełnie niepotrzebne, bo chyba wszyscy zgromadzeni w sali i tak byli aż nadto podnieceni. – To AB Rh–.

– Zaraz, czy to nie taka grupa krwi była na nożu w kuchni sędziego Jaworskiego? – zapytał Cybulski poruszony. Na jego zazwyczaj gładko ogolonej twarzy widać było teraz cień zarostu. Nadawało mu to nieco dziki wygląd.

Doktor Koterski kiwnął głową.

– Tak.

– Co to może oznaczać? – zastanawiał się głośno Gawroński.

– Ta nieznaną kobietą była przed śmiercią w domu sędziego?

Dobre pytanie, uznała w duchu Emilia. Powinni sobie odpowiedzieć na jeszcze jedno. Skoro nogi i ręce z polany na cyplu należały do nieznannej kobiety, to gdzie do jasnej cholery były kończyny Swietłany Sokołowej? No i gdzie znajdowała się reszta ciała tej NN? Co zrobił z nimi sprawca? Dlaczego tak

brutalnie rozczłonkował zwłoki? Czy naprawdę zrobił to psychiatra? Strzałkowska miała nadzieję, że doktor Witkowski zostanie niezwłocznie przesłuchany. Z jakiegoś powodu nie mogła pozbyć się wrażenia, że on tkwi w centrum zdarzeń.

– Nie wiem. W każdym razie szacuję, że NN też zginęła w piątek. Prawdopodobnie nieco wcześniej niż Swietłana.

– Musimy jak najszybciej ustalić jej tożsamość – powiedział Cybulski. W jego głosie czaiło się wyraźne napięcie. – Jeżeli sprawca tworzy swoje figury za każdym razem z dwóch osób, to może oznaczać, że nie żyje ktoś jeszcze. Cholera, zupełnie nad tym nie panujemy!

Doktor Koterski odchrząknął. Na jego twarzy pojawił się delikatny uśmiech.

– Mamy szczęście w nieszczęściu – oświadczył. – Sprawca był naprawdę dokładny w pakowaniu kończyn. Zachowały się całkiem nieźle. Dzięki temu udało mi się zdjąć odciski palców z dłoni.

– Cuda jednak się zdarzają! – zawołał prokurator Gawroński. Zabrzmiało to niemal wesoło.

– Bardziej niesamowite rzeczy się zdarzają – zaśmiał się patolog. – Nie wiem, czy słyszeliście o bardzo ciekawej sprawie. Jeden z profesorów z Olsztyna mówił o niej w grudniu na konferencji w Szczytnie. Ciało mężczyzny leżało zakopane w ziemi przez prawie piętnaście lat. Pod warstwą wapnia. Zachowały się cztery palce lewej ręki. Kto by pomyślał! Bo reszta ciała uległa zeszkieletowaniu. Ekspertyza daktyloskopijna pozwoliła na dokonanie identyfikacji.

Prokurator machinalnie zabębnił palcami. Emilia uśmiechnęła się pod nosem. Znała go, wiedziała, że ta opowieść nie za bardzo go zainteresowała. Był skupiony na obecnej sprawie.

– Trzeba wprowadzić linie papilarne naszej NN do AFIS-u – powiedział. – Może los będzie nam dalej sprzyjał.

AFIS to Automatyczny System Identyfikacji Daktyloskopijnej. Jego głównym zadaniem jest gromadzenie i przeszukiwanie zebranych już obrazów linii papilarnych. Umieszczane są tam zarówno odciski palców osób podejrzanych, jak

i niezidentyfikowane ślady daktyloskopijne zabezpieczone na miejscu zdarzenia.

– Sprzyja, sprzyja – odparł doktor Koterski. – Już kazałem to zrobić.

Znowu zawiesił głos. Dziś miał chyba naprawdę ochotę zrobić na nich wrażenie.

– I? – nie wytrzymała Strzałkowska.

– Ta dziewczyna była daktyloskopowana przy okazji jakiejś drobnej sprawy – oznajmił. – Już wiem, kto to jest.

W jednej chwili atmosfera w sali konferencyjnej się zmieniła. Wszyscy patrzyli na Koterskiego wyczekująco.

– Co gorsza, w poniedziałek zgłoszono zaginięcie tej dziewczyny.

ROZDZIAŁ 97

Gdzieś pomiędzy jawą a snem.

Czwartek, 11 czerwca 2015.

Łukasz Strzałkowski

Obudził się. Z jednej strony to było nagłe, a z drugiej Łukasz miał wrażenie, że wygrzebuje się nieskończenie powoli z jakiegoś nierealnego, grząskiego bagna. To doznanie pewnie byłoby przerażające, gdyby mógł odczuwać jakiegokolwiek emocje.

Starał się zebrać myśli, ale wydawało mu się to nadludzkim wysiłkiem. Wątki uciekały, a głowa zdawała się puchnąć od nadmiaru czy też braku myśli. Co się stało? Gdzie był? Czy lubi tort malinowy? Odrobił już zadanie domowe z matmy?

Gdzieś w odmętach świadomości czuł, że zadaje zupełnie nieodpowiednie pytania. Skupienie! Tego Łukasz teraz potrzebował. Zacisnął powieki, bo nadal nie zdążył otworzyć oczu. Chyba.

Wydawało mu się teraz, że czuje wyraźny zapach lasu. Przynajmniej powonienie jakoś działało. Sosny. To od razu przywołało na myśl odległe wspomnienia. Wyjazdy na grzyby z babcią. Mama oczywiście nie miała na takie rzeczy czasu. Ciągle pracowała. Babcia zabierała Łukasza w okolice Wilgi. Zatrzymywali się w starym ośrodku wypoczynkowym położonym wśród kniei. Tak zawsze powtarzała babcia. Knieje. Igliwie i leśne runo. Charakterystyczny zapach.

Babcia. Babcia została w Warszawie. Nie przyjechała z nimi do Lipowa. Łukasz tęsknił za nią, bo przez długie lata była najbliższą mu osobą. Babcia. Zegarek. Wodoodporny zegarek! Tak!

Zjakiegoś powodu Łukasz miał pewność, że jego obecne położenie wiązało się z zegarkiem. Powinien się cieszyć, że do

czegoś wreszcie doszedł, ale było mu wszystko jedno. Trwał przez chwilę w stanie zupełnej apatii. Coś podpowiadało mu, że powinien się martwić, ale ciągle nic nie czuł. Tylko pustkę, która jednocześnie była gonitwą myśli. Nagle...

Czwartek! Dziś jest czwartek! Tego był coraz bardziej pewien. Tylko właściwie dlaczego?

Wodoodporny zegarek i czwartek? Co? Jak? Kiedy? Myśli znowu odpłynęły. Czwartek, czwartek, czwartek. Trzeba się skupić. Nie pozwalać sobie na to, żeby myśli uciekały tak frywolnie. Frywolnie. To chyba też było słowo, którego używała babcia.

Łukasz znowu zapadł w sen. Tak przynajmniej mu się wydawało. Dziś rano też spał głęboko, przyszło mu na myśl. Położył się wczoraj jeszcze później niż zazwyczaj. Dlaczego? Pokłócił się z mamą. To na pewno. Pamiętał teraz.

Potem zadzwonił Konrad! Kolega wiedział, gdzie jest zaginiony chłopiec. Mama wyszła mimo późnej pory. Pojechała chyba na komendę.

Konrad! On też był w jakiś sposób istotny. Łukasza ogarnęła prawie stuprocentowa pewność. Tylko dlaczego? Myśl! Sekrety. Sekrety. Sekrety.

ROZDZIAŁ 98

Atelier Michała Rakowskiego. Czwartek, 11 czerwca 2015. Klementyna Kopp

Kiedy tylko Edyta Sadowska uniosła wieko turystycznej lodówki, w pracowni zrobiło się bardziej niż duszno. Przynajmniej takie wrażenie miała Klementyna. Jakby przez te kilka miesięcy w psychiatriku odzwyczaiła się od takich widoków.

– To było w paczce, którą dostaliśmy rano – wyjaśniła Sadowska. – Wróciliśmy właśnie ze szpitala od Jagody i byłam... byliśmy z Michałem tacy zadowoleni, że jej stan jest coraz bardziej stabilny... Że z tego wyjdzie. A tu nagle to...

Michał Rakowski pokiwał głową. Wpatrywał się w Klementynę intensywnie niebieskimi oczami, jakby oczekiwał, że to ona udzieli mu jakichś odpowiedzi.

Kopp zajrzała raz jeszcze do lodówki. Nie było wątpliwości, że w środku znajdowała się ludzka głowa. Prawdziwa. Żaden tam filmowy rekwizyt. Piegi i rude włosy zaplecione w dwa warkoczyki przywodziły na myśl Pippi Pończoszanę.

– Dlaczego zadzwoniliście z tym do mnie, co? – warknęła. – To jest sprawa dla policji. Ja jestem cywilem.

– Ani ja, ani Michał – Sadowska wskazała Rakowskiego – nie ufamy policji. Za dużo się w życiu naoglądałam, żeby im ufać.

– Spoko. Ale! To naprawdę nie moja sprawa.

– Pomogłaś nam wczoraj... – zaczęła Sadowska.

– Tak – przerwała jej Klementyna. – Tylko co z tego, co? Nie jesteście od razu przyjaciółczkami od serca.

Wczorajsza wizyta u Edyty Sadowskiej zmieniła się w akcję ratunkową opętanej żądzą zemsty Jagody Rakowskiej. Nie do końca udaną akcją ratunkową, poprawiła się w duchu Kopp, bo

przecież nie zdążyły na czas.

W rezydencji zastały tylko Michała. Krawiec miał się tam spotkać z matką. Kiedy jednak dotarł na miejsce, już jej tam nie było. Chwilę później przyjechały Klementyna i Sadowska. Od razu pojechali do Gwiazdozbioru, bo młody Rakowski twierdził, że tam właśnie mieli się udać z matką na spotkanie z Dianą Grzelak. Klementyna robiła za szofera.

Kiedy zjawili się w klubie, było tam już pełno mundurowych. Wyglądało to na jakąś większą akcję. Klementyna próbowała się czegoś dowiedzieć od Cybulskiego. Bez skutku. Komendant zupełnie zasznurował usta.

Prawie zupełnie. Powtarzał jak katarynka, że to nie miejsce dla cywili. Zasugerował jednak, że Małecki działał pod przykrywką w klubie. Klementyna zaśmiała mu się tylko w twarz. Jeżeli Sadowska mówiła prawdę, to było mocno wątpliwe. Ciekawe, czy dziś rano Cybulski zdążył już ustalić nowe fakty?

– Myślałam, że znowu nam pomożesz. Proszę...

Sadowska nie dokończyła. Klementyna zatrzęsnęła wieko turystycznej lodówki. Żałowała teraz swojej wczorajszej słabości. Zamierzała jednak wysłuchać, co mają do powiedzenia. Potem zawiadomi komendanta i resztę. Powie o Małeckim, jeżeli sami jeszcze do tego nie doszli, i o głowie. Przesyłką jak najszybciej powinien zająć się patolog i technicy. Zginęła kolejna osoba i to zdecydowanie nie były przelewki. Ktokolwiek za tym stał, nie zamierzał najwyraźniej poprzestać na swoich dotychczasowych osiągnięciach. Być może gdzieś leżała kolejna makabryczna figura. Podobna do tej z domu sędziego Jaworskiego.

– Spoko. Ale! Teraz pora na całkowitą szczerość. – Klementyna popukała palcem w wieko lodówki turystycznej i odwróciła się do Michała Rakowskiego. – Paczka była zaadresowana na twoje nazwisko, co?

Krawiec skinął głową.

– Wiesz, kim jest ta ruda Pończoszanka?

Michał potwierdził kiwnięciem. Jego błękitne oczy wypełniły się łzami. Sięgnął po zapisany maczkiem plik kartek.

Klementyna westchnęła.

– To nie jest czas na czytanie powieści, tylko na działanie – mruknęła.

Krawiec potrząsał kartkami w napięciu. Najwyraźniej bardzo zależało mu na tym, żeby przeczytała, co tam nabazgrał.

ROZDZIAŁ 99

Gdzieś pomiędzy jawą a snem.

Czwartek, 11 czerwca 2015.

Łukasz Strzałkowski

Łukasz nadal nie otworzył jeszcze oczu. Powieki zdawały się ważyć tonę. Wysilek, który trzeba by w to włożyć, wydawał się niewspółmierny do ewentualnych korzyści. Myśli nadal wirowały nieokiełznane żadną logiką, ale był już pewien jednego. Konrad!

Konrad i narkotyki! Ta myśl pojawiła się nieoczekiwanie. Łukasz zyskiwał coraz większą pewność, mimo że umysł pracował na zwolnionych obrotach i grzął w bagnie kolejnych pytań. Myśl!

Konrad i narkotyki. Konrad i narkotyki, powtarzał sobie Łukasz w duchu. Nagle zrozumiał. Wszyscy musieli uwierzyć, że narkotyki znalezione w szkole należały do Łukasza, a nie do Konrada. O to chodziło. Łukasz wziął winę na siebie, żeby pomóc przyjacielowi. Sekrety. Im mniej osób o tym wiedziało, tym mniejsze prawdopodobieństwo, że sprawa się wyda.

Sekrety i tajemnice. Gdyby cokolwiek wyszło na jaw, Konrad miałby nie lada kłopoty! Dyrektorka domu dziecka, gdzie teraz mieszkał, nie akceptowała używek. Zawsze powtarzała, że ma swoje zasady. Gdyby wyszło na jaw, że Konrad próbuje narkotyków, a do tego przynosi je do szkoły, Halina Michalik wyrzuciłaby chłopaka z ośrodka w Brodnicy i Konrad zostałby wysłany do innego bidula. A przecież tu miał Klarę, tu mu się dobrze żyło. Nie chciał stąd odchodzić.

Łukasz też nie chciał, żeby Konrad odchodził. Straciłby wtedy jedyną pozytywnie nastawioną do siebie osobę w nowej szkole. Dlatego Łukasz chciał mu pomóc. Pamiętał to. Zresztą był to Konradowi winien. Myśli naprawdę zaczynały się układać.

Konrad też mu pomógł. Tak właśnie było.

Od dłuższego czasu Łukasz miał kłopoty ze szkolną bandą. Nie chciał nikomu o tym mówić. A już zwłaszcza rodzicom. Konrad wybawił go z niejednej opresji. Życie i pobyty w niezliczonych domach dziecka wiele go nauczyły. A już na pewno używania pięści. Gdyby nie Konrad, Łukasz na pewno skończyłby z głową w kiblu. Udawanie, że narkotyki należały do niego, było małą ceną za uniknięcie takiej katastrofy.

Czwartek. Zegarek wodoodporny. Konrad. Co dalej? Jak Łukasz się tu znalazł? Gdziekolwiek to teraz było. Czwartek. Zegarek wodoodporny. Konrad. Myśl!

Łukasz czuł, że myśli mu się coraz łatwiej, chociaż nadal nie miał ani siły, ani najmniejszej ochoty otwierać oczu. Pławienie się w bagnistych myślach gdzieś na obrzeżach świadomości było znacznie łatwiejsze. Tylko zapach lasu docierał do niego całkiem wyraźnie. Jakby od wężu wszystko się zaczynało.

Konrad. Narkotyki. Co dalej? Doktor Witkowski! Tak!

Łukasz wziął narkotyki na siebie. Dyrektorka szkoły złapała się na haczyk i uwierzyła. Miało to rzecz jasna swoje konsekwencje, mimo że przedtem Łukasz był właściwie wzorowym uczniem.

Dyrektorka oznajmiła, że musi wezwać jego rodziców. Łukasz poprosił, żeby zadzwoniła do Daniela. Nieobecny ojciec teraz mógł się przydać. Zwłaszcza że Łukasz nie chciał, żeby mama się martwiła. Może i czuł się przez nią odtrącony, ale wiedział, że Emilia ma teraz za dużo na głowie, żeby jeszcze ją obciążać tą historią.

Dyrektorce było wszystko jedno. Nie interesowało jej, które z rodziców przyjedzie, byleby przyjechało. Ojciec nadawał się równie dobrze jak matka do wysłuchania moralizatorskich pogadanek. Daniel poradził sobie z nią nadspodziewanie dobrze. Skończyło się na obietnicy, że incydent z narkotykami nigdy się nie powtórzy, i na tym, że Łukasz raz w tygodniu będzie chodzić na terapię do psychologa. Miało to zdaniem pani pedagoga zapobiec ewentualnym kłopotom w przyszłości.

Sekrety! Im mniej osób o tym wiedziało, tym mniejsze prawdopodobieństwo, że sprawa się wyda. Tak przynajmniej

się Łukaszowi wydawało. Wymógł więc na Danielu obietnicę, że ojciec nikomu nie powie ani o narkotykach, ani o sesjach u psychiatry. Łukasz wiedział dobrze, w jaką strunę uderzyć, żeby przekonać Daniela do milczenia. Nie był dumny z manipulowania uczuciami ojca, ale to wydawało się jedynym wyjściem w tamtym momencie.

A więc doktor Witkowski. I co dalej? Myśli pędziły i stawały w zupełnie nieodpowiednich momentach. Łukasz mocniej zacisnął powieki, jakby to mogło w czymkolwiek pomóc. Nieoczekiwanie chyba pomogło, bo nagle przyszło mu do głowy nowe nazwisko. Michał Rakowski!

Łukasz pamiętał teraz, jak doktor Witkowski powiedział podczas jednej z pierwszych sesji, że Michał był kiedyś narkomanem. Krawiec miał dzielić się z Łukaszem swoimi doświadczeniami z tamtego okresu. Terapia z psychiatrą odbywała się we wtorki. A z Michałem Łukasz spotykał się w czwartki.

Dziś jest czwartek, przypomniał sobie Łukasz mgliście. Tak! Dziś jest czwartek. To już zostało ustalone. Tylko co dalej? Myśl!

Łukasz przypomniał sobie, że dostał rano SMS-a od Michała. Rakowski odwoływał dzisiejsze spotkanie. Jego matka trafiła do szpitala po wczorajszej strzelaninie. Czwartek. Czwartek. Czwartek. Zawsze spotykali się w czwartki. Tak. Tylko co dalej? Czwartek. Zegarek wodoodporny. Michał Rakowski. To zdawało się najistotniejsze. Na tym Łukasz starał się skupić myśli.

Sekrety... Nikt nie wiedział, że Łukasz spotyka się z krawcem. Nawet Daniel. Doktor Witkowski wyjaśnił, że to stanowi część terapii i jako takie objęte jest tajemnicą tak długo, jak pozwalał na to wiek Łukasza. Chłopak wolał takie rozwiązanie, mimo że nie był wcale pewien, czy tak powinno być. Sekrety. Tajemnice. Były potrzebne, jeżeli chciał pomagać Konradowi.

Czwartek. Zegarek wodoodporny. Z jakiegoś powodu Łukasz był przekonany, że musi sobie przypomnieć, dlaczego to takie ważne. Znowu jednak zapadł się w grząskim bagnie nieświadomości.

ROZDZIAŁ 100

Mieszkanie Sabiny Chrzanowskiej. Czwartek, 11 czerwca 2015. Starszy sierżant Marek Zaręba

W środę tydzień temu córka pojechała do Warszawy na krótki kurs dla stylistek – wyjaśniła Nina Chrzanowska. – Sabinka bardzo interesowała się modą. Sam pan widzi, ile tu gazet o celebrytach i tak dalej... Opowiadała mi o tym wszystkim z entuzjazmem.

Marek położył rękę na jej ramieniu uspokajająco. Chrzanowska starała się mówić rzeczowo i nie płakać. W jej oczach widać było jednak cierpienie, a w głosie pobrzmiwały tłumione emocje. Przyjechali do mieszkania jej córki po tym, jak doktor Koterski odkrył, że damskie kończyny znalezione na polanie należały do Sabiny.

Chrzanowska zgłosiła zaginięcie córki już w poniedziałek. Nikt niestety nie powiązał tej informacji ze sprawą toczącego się śledztwa. Na swoje usprawiedliwienie mieli tylko to, że nikomu nie przyszło do głowy, że oprócz Sokołowej i Jaworskiego zginął ktoś jeszcze. Do dziś nie było przecież żadnych przesłanek, żeby tak sądzić, a zgłoszeń o zaginięciach jest naprawdę sporo.

– Sabinka wróciła do Brodnicy w piątek wczesnym południem – opowiadała Chrzanowska. – Wydawała się szczęśliwa. Była taka pogodna! Taka radosna. Niech sam pan zobaczy.

Matka zamordowanej wyciągnęła z kieszeni mały portfel ze sztucznej skóry i pokazała Markowi zdjęcie rudowłosej dziewczyny z dwoma warkoczykami. Sabina uśmiechała się szeroko. Piegi pokrywały całą jej twarz, co dodawało jej zawadiackiego szyku. Patrząc na tę fotografię, trudno było uwierzyć, że jest wychodzącą z nałogu narkomanką. Zupełnie

nie przypominała ćpunkki.

– Kiedy zorientowała się pani, że Sabina zniknęła? – zapytała Emilia.

Strzałkowska stała nieco z boku, oparta o ścianę. Wyglądała niepokojąco blado. Marek chciał odwiedzić ją do Lipowa, ale znowu się uparła. Za wszelką cenę chciała pojechać do mieszkania trzeciej ofiary razem z resztą ekipy śledczej.

– Zadzwoiłam do niej w sobotę, ale nie odbierała – wyjaśniła Chrzanowska.

Marek pokiwał głową ze zrozumieniem. Tak naprawdę już to wiedzieli. W poniedziałek Nina Chrzanowska zgłosiła zaginięcie córki i wszystkie te informacje znajdowały się już w protokole. Zaręba westchnął. Było mu głupio, że nikt nie przejął się zaginięciem Sabiny. W imieniu ich wszystkich.

– Zaniepokoiło to panią?

– Oczywiście! Rozmawialiśmy codziennie, odkąd zaczęła z tego wychodzić... z uzależnienia.

– Wcześniej nie zdarzało się, żeby córka nie odbierała?

– Nie. To znaczy zdarzało się oczywiście... Jak była w łazience albo wychodziła pobiegać, ale zawsze potem oddzwaniała. W piątek obiecała mi, że zadzwoni następnego dnia, więc tym bardziej się denerwowałam.

– Ponowiła pani próbę kontaktu? – zapytał Marek. Starał się ukryć zmieszanie i mówić profesjonalnym tonem.

Nina Chrzanowska pokręciła głową. Na jej twarzy ukazał się wyraz rozpacz.

– Nie chciałam wydać się nadopiekuńcza. W sobotę nic więcej nie zrobiłam. Och, gdybym tylko coś zrobiła od razu! To wszystko moja wina!

Dopiero teraz kobieta rozsłochała się na dobre. Fasada spokoju runęła.

– Nic już nie mogła pani zrobić. Córka zginęła w piątek wieczorem – powiedziała Emilia bardzo delikatnie. – To nie pani wina. Naprawdę...

– Koleżanka ma rację – potwierdził Zaręba. – To nie pani wina.

– Nie moja wina?! – zawołała matka Sabiny. – A dlaczego

dopuszczałam, żeby Sabinka ćpała? Dlaczego? Gdzie popełniłam błąd?

Emilia poruszyła się niespokojnie na te słowa.

– Te dwie sprawy nie mają ze sobą związku – zapewnił Marek.

Naprawdę tak uważał. Z drugiej strony, czy mogli być w tej sprawie czegokolwiek pewni? Teraz nie wiedzieli już chyba nic. Albo przeciwnie, zaśmiał się gorzko w duchu, mamy zbyt wiele danych, których nie umiemy wykorzystać.

– W niedzielę rano znowu zadzwoniłam. Sabinka nadal nie odbierała, więc wieczorem nie wytrzymałam i tu przyjechałam. Miałam w nosie, czy jestem nadopiekuńcza – podjęła Chrzanowska, ocierając łzy. – Pukałam, ale nikt nie otworzył. Przestraszyłam się, że Sabinka znowu wróciła do narkotyków. Otworzyłam sobie własnym kluczem, bo córka już dawno mi go dała. W pokoju stała jej walizka, a na szafce leżał telefon. Czyli dotarła do domu po naszej rozmowie. Tylko jej brakowało... W poniedziałek zgłosiłam zaginięcie córki. Ale to już pan wie.

Marek przytaknął.

– Nikt mnie nie traktował poważnie! – w głosie Chrzanowskiej po raz pierwszy pojawił się wyraźny wyrzut. – Mówili mi, że Sabinka jest pełnoletnia. Że może decydować o sobie. Że nie musi mnie o niczym informować. Odpowiadałam, że łączy nas silna więź i czuję, że coś jest nie tak. Matczyna intuicja mi to podpowiadała... chociaż w najgorszych snach nie przypuszczałam. Myślałam raczej, że znowu bierze. Ja mówiłam... Ale oni tylko kiwali głowami. W końcu sama postanowiłam wziąć sprawę w swoje ręce.

– To znaczy?

– Rozmawiałam kilka razy z sąsiadami.

– I? – Markowi znowu zrobiło się głupio, że musi zadawać takie pytania. To naprawdę było nie w porządku, że nikt nic nie zrobił. Być może był idealistą, ale tak to teraz czuł.

– Nikt nic nie wiedział. Dopiero sprzedawca w warzywniaku przypomniał sobie, że widział, jak córka wsiadła do samochodu kogoś znajomego. Pomyśleć, że wtedy w nią zwątpiłam. Że uwierzyłam, że naprawdę odeszła dobrowolnie... nie

informując mnie. Jak mogłam tak pomyśleć? Nigdy by mi tego nie zrobiła. Nie Sabinka.

– Jaki to był samochód? – zapytała Strzałkowska.

– Sprzedawca powiedział, że mała terenówka, ale nic więcej nie pamiętał. Może jest jakiś monitoring? Cokolwiek?

– Na pewno się tym zajmiemy – obiecał Marek. – To ważny trop.

– Nie miałam od policji żadnych wieści – zaszlochała Chrzanowska. – Aż do dzisiaj, kiedy państwo zadzwonili, że mam pokazać mieszkanie córki. Czy tak powinno być?

Zaręba znowu dotknął jej ramienia delikatnie.

– Przepraszam – powiedział cicho.

Może i nie miał za co przepraszać. Gdyby każde zaginięcie traktowali jak ewentualne zabójstwo, nie mieliby czasu na zajęcie się innymi sprawami. Wiele osób, zwłaszcza młodych, dobrowolnie opuszczało dom rodzinny, nie informując rodziców czy małżonków. Nie zawsze chodziło o makabryczne morderstwo. Mimo to Marek czuł, że powinien przeprosić. Tak po prostu, po ludzku.

– Marku, Emilio, proszę was tu na chwilę! – zawołał komendant Cybulski z drugiego pokoju.

Policjanci z Lipowa wymienili spojrzenia. W głosie komendanta słychać było dziwną nutę. Przeszli szybko do drugiego pomieszczenia. Sądząc po wielkich szafach i stertach ubrań na wieszakach, najwyraźniej służyło za garderobę. Wyglądało na to, że Sabina naprawdę interesowała się modą, bo można tu było znaleźć dosłownie wszystko. Na niektórych wieszakach wisiały gotowe fantazyjne zestawy. Większość była bardzo kolorowa.

– Co się stało? – zapytał Marek.

– Sami zobaczcie – powiedział prokurator Gawroński.

Marek zajrzał do szafy, którą wskazał Gawroński. Odetchnął głębiej. W środku wisiały cztery białe sukienki w stylu lat dwudziestych. Takie same jak te, które szył w swojej pracowni Michał Rakowski. Moda. Może od razu powinni byli to skojarzyć z krawcem.

Zaręba chciał coś powiedzieć, ale poczuł, że Emilia chwytą go

za rękę. Odwrócił się gwałtownie i złapał ją. W ostatniej chwili. W przeciwnym razie upadłaby na ziemię.

– Emilia! Emilia! – powtarzał gorączkowo. – Wezwijcie karetkę!

CZEŚĆ SIÓDMA

List Michała Rakowskiego do Klementyny Kopp

Pani Klementyno,

Teraz jest chyba najlepszy moment, żebym wszystko po kolei wyjaśnił. Mam nadzieję, że znajdzie Pani tyle cierpliwości, żeby przeczytać moją historię od początku do końca. Staralem się spisać wszystko rzetelnie. Czasu było jednak niewiele. A może lepiej powiedzieć: czasu nadal jest niewiele. Mimo to chciałbym zacząć od samego początku. Nie wiem, czy jest to potrzeba spowiedzi, czy zwyczajnego wyjaśnienia. Proszę mi wybaczyć. Na pewno jednak musimy coś zrobić. I to jak najszybciej!

*

Odkąd pamiętam, interesowały mnie materiały. Uwielbiałem dotykać sukienek Mamy. Przejeżdżałem po nich dłonią. Chłonałem ich fakturę i deseń. Dla mnie to było cudowne przeżycie. Mogłem godzinami siedzieć przed jej szafą. Patrzeć. Dotykać. Wąchać zapach jej perfum, który pozostał ukryty pomiędzy włóknami.

Całe szczęście Mamie absolutnie to nie przeszkadzało. Chyba się nawet cieszyła, bo dzięki temu dużo czasu spędzaliśmy razem. Pokazała mi, jak szyć. Sama nie była w tym zbyt dobra, ale bardzo się starała przekazać mi wszystko, co wie. Teraz śmieje się, że już w wieku kilku lat wyprzedziłem ją znacznie w umiejętnościach krawieckich.

Może zabrzmiało to nieskromnie, ale chyba rzeczywiście tak było. Do szycia trzeba mieć dryg. Nie wystarczy zwykła

praktyka (choć mówi się, że ona czyni mistrza). Jeżeli talentu zabraknie, to nic z tego nie będzie. Można się oczywiście wyuczyć kroju i szycia, ale spod naszej ręki nie wyjdą dzieła. Tylko zwykłe fatalaszki.

Powiem (bez fałszywej skromności), że ja zdecydowanie miałem predyspozycje do tego zawodu już od najmłodszych lat. Godziny poświęcone szyciu szybko więc procentowały. Siedziałem z igłą i nitką, kiedy moi koledzy ze szkoły bawili się samochodzikami. Potrafiłem ćwiczyć, aż łzawiły mi oczy i ledwie co widziałem. Zasypiałem z materiałem na kolanach. Zmęczony, ale absolutnie szczęśliwy. Kiedy budziłem się rano, byłem w łóżku. Najwidoczniej Mama przenosiła mnie delikatnie do mojego pokoju, kiedy spałem.

*

Momentem przełomowym stały się moje piętnaste urodziny. Był sierpień. Ósmy. Zgodnie z tradycją w moim pokoju przez noc zmaterializowała się góra prezentów. Kupował je głównie Tata (chyba w nadziei, że zainteresuje mnie wreszcie męskim światem).

Pamiętam, że właśnie w tamte urodziny Mama przyniosła dodatkowy pakunek. Papier był szary i niepozorny, ale z jakiegoś powodu czułem, że to ten podarek będzie najważniejszy.

Kiedy odpakowałem już wszystko, co nakupował mi Tata (głównie gry komputerowe, rękawice bokserskie i inne sprzęty „do sportu”, jak lubił mówić), nareszcie przysłała kolej na ten prezent.

Sięgnąłem po niego zachłannie. Mama uśmiechała się cały czas szeroko. Tata z kolei zdawał się nieco zaniepokojony. Pewnie dlatego, że nie wiedział, co jest w środku. Nagle zadzwoniła jego komórka. Dzwonili wspólnicy z Gwiazdzbioru i musiał wyjść. Kiedy patrzę na to z perspektywy czasu, muszę powiedzieć, że tak naprawdę to chyba miałem wtedy szczęście. Dało mi to kilka lat względnego spokoju.

Kiedy szary papier upadł na ziemię, zobaczyłem coś, o czym marzyłem od bardzo dawna. *Księga mody*. Dokładna analiza

trendów kolejnych epok w dziejach krawiectwa. Monumentalne dzieło! Prawie dwa tysiące stron tekstu z ilustracjami. Dla mnie to było niebo na ziemi.

*

Zacząłem jeszcze więcej ćwiczyć. Przez następne lata szylem, szylem, szylem. Mamie zdarzało się jeszcze siadywać obok, ale coraz rzadziej. Odkąd skończyłem piętnaście lat, nasze relacje trochę się oziębiły i spędzała czas głównie z Tata. To było, jakbym przekroczył jakąś granicę. Jakbym jej zdaniem po piętnastych urodzinach powinien się usamodzielnąć. Tak to wtedy odczytywałem. Album o modzie to było również symboliczne pożegnanie z dzieciństwem. I z nią. Mimo wszystko nie czułem się odrzucony. Raczej miałem wrażenie, że czas stanąć na własnych nogach. Chociaż ciągle jeszcze przecież pod dachem rodziców.

Wracając jednak do mojego albumu. Zawierał tyle wspaniałych projektów, że od nadmiaru aż w głowie się kręciło. Jednak dopiero na stronie tysiąc sto piętnastej natrafiłem na sukienkę, którą absolutnie pokochałem. Od pierwszego wejrzenia.

To była biała kreacja z lat dwudziestych. Z obniżonym stanem i przepięknymi, dyskretnymi zdobieniami. Cudowna! Absolutnie cudowna! Przez jakiś czas przestałem szyć i cały swój czas poświęcałem przyglądaniu się jej. Analizowaniu każdego szczegółu. W końcu miałem w pamięci najdrobniejszy nawet detal. Ta sukienka była idealna. Prawie.

Którejś nocy (bezsennej, bo prawdę powiedziawszy, suknia nie dawała mi spokoju!) wymyśliłem pierwszą poprawkę. Zerwałem się natychmiast z łóżka, mimo że było już po drugiej, i niezwłocznie zacząłem rysować swój projekt.

Nie wychodziło. Darłem kartki. To trwało i trwało. Tego dnia i następnego. I następnego. W końcu doszło do tego, że miesiącami prawie nic nie jadłem. Napędzała mnie tylko jedna myśl: chciałem zaprojektować i uszyć perfekcyjną sukienkę. Kłopot w tym, że nie potrafiłem przelać swojego pomysłu na papier. A przecież od tego powinienem zacząć.

*

Któregoś dnia opowiedziałem o moich kłopotach Mamie. Szykowała się akurat na jakieś wyjście z Tatą. Imprezę biznesową w Gwiazdozbiorze czy coś takiego. Może bardziej eleganckie przyjęcie.

– Tak pięknie opowiadasz, synku. Ach, gdybym tylko miała tak cudowną sukienkę, jak mówisz – rozmarzyła się Mama – wtedy mogłabym konkurować z tymi wszystkimi kobietami, z którymi obcuje na co dzień twój tata.

Mama od zawsze miała kompleksy dotyczące wyglądu. Zawsze mówiła, że twarz ma końską, a nogi krzywe. Rzeczywiście nie należała nigdy do kobiet pięknych, ale nadrabiała to urokiem, jakiego pozazdrościć jej mogła nawet dużo piękniejsza Diana Grzelak, żona współnika Taty. Poza tym zawsze miała piękny, zmysłowy głos.

– Uszyj dla mnie taką sukienkę – poprosiła Mama z uśmiechem.

Pokiwałem smutno głową.

– Tylko że nic z tego nie wychodzi.

Mama pogładziła mnie po twarzy. Miałem już wtedy osiemnaście lat, ten gest trochę mnie onieśmielił. Nie cofnąłem się jednak. Uśmiechnęła się i poklepała mnie po ramieniu.

– A gdybyś przestał planować, tylko po prostu zaczął szyć?

Spojrzałem na nią zupełnie osłupiały. To nie był dobry pomysł. Jak to? Szyć? Nie mając najpierw projektu? Mama poklepała mnie znowu po ramieniu. Posłała mi kolejny uśmiech i bez słowa wyszła z pokoju, roztaczając za sobą mocny zapach perfum (dostała je niedawno od Taty i ciągle ich używała).

*

Myślałem o jej słowach długo. Rozważałem ten pomysł na różne sposoby. Cały czas jednak bałem się spróbować. Mijały miesiące, a ja zwyczajnie lękałem się sięgnąć po igłę i skonfrontować projekt, który miałem w głowie, z rzeczywistością.

Odważyłem się dopiero rok później. Skończyłem właśnie dziewiętnaście lat. Z tej okazji dostałem od Taty plik banknotów.

– Masz i poszalej – powiedział rozbawiony. Na jego twarzy wykwił porozumiewawczy uśmieszek. Dobrze wiedziałem, co ma na myśli. Kobiety i alkohol. Jego zdaniem każdy prawdziwy mężczyzna powinien tego spróbować.

Przynajmniej w jego świecie. W świecie macho. W świecie Gwiazdozbioru. Ja wyrosłem na chuderlawego młodzieńca, który zupełnie tam nie pasował. Z każdym kolejnym rokiem widać było, że ja i ojciec krążymy po zupełnie innych orbitach. Orbitach, które nie miały punktów stycznych. Ani przez moment. On chyba jednak nie tracił nadziei, że coś ze mnie będzie.

Prezent od Taty przeznaczyłem na zakup materiałów (wbrew jego intencji, tego byłem pewien). Decyzja bowiem zapadła. Spróbuję uszyć moją idealną sukienkę bez projektu na papierze. Dłużej już nie będę zwlekać. Ten strach był dziecinny, a ja powoli stawałem się przecież mężczyzną. A może moja decyzja miała coś wspólnego z tym, że Mama coraz częściej martwiła się, że jest brzydka? Że nie jest wystarczająco dobra dla Taty?

Co śmieszniejsze, Tata (nawet jeżeli chociaż przez moment tak pomyślał) nigdy Mamie tego nie okazał. Z całym tym swoim kultem męskości uważał, że jako żonie jest jej winien szacunek. Nie sądzę, żeby ją kiedykolwiek zdradził. Mimo że przecież miał tyle okazji jako współwłaściciel Gwiazdozbioru (w końcu, bądź co bądź, był to klub ze striptizem).

Tak więc w wieku dziewiętnastu lat (bez względu na faktyczny powód) postanowiłem, że spróbuję skonfrontować marzenia z rzeczywistością. Uszycie pierwszej sukienki zajęło mi prawie trzy tygodnie. Zniszczyłem ją od razu, kiedy tylko skończyłem. Byłem zrozpaczony. Nie udało się! Zupełnie nie przypominała projektu, który miałem w głowie.

Mama pocieszała mnie, jakbym znowu był małym chłopcem. Kazała mi też obiecać, że nie przestanę próbować. Obiecałem. Tak minął kolejny rok. Szyłem i szyłem. Mogłem się temu

oddać bez reszty, bo nie musiałem studiować. Nie musiałem pracować. Tak naprawdę nie musiałem nic. W domu przecież pieniędzy nie brakowało. Tata już o to zadbał.

Tak więc cały swój czas poświęcałem szyciu. Mimo że kolejne sukienki nie wychodziły tak, jak bym tego chciał, byłem szczęśliwy. Nareszcie miałem bowiem poczucie, że idę w dobrym kierunku. Że przynajmniej niektóre z poprawek są takie, jakie sobie wymarzyłem.

Tak, byłem szczęśliwy. Aż do momentu, kiedy skończyłem dwadzieścia jeden lat i Tata zainteresował się, co właściwie porabiam w swoim pokoju.

*

Powiedzieć, że był zawiedziony, to za mało. Był wściekle rozczarowany. Sam chyba tak właśnie to ujął, kiedy wszedł do mnie do pokoju tamtego dnia. A może powiedział coś zupełnie innego? Może tylko ja tak pomyślałem?

Tak naprawdę to wydawało się w pewien sposób zabawne. Inni rodzice zapewne byliby zadowoleni, że mam porządne, bezpieczne hobby (zamiast oddawać się używkom czy bójkom). Nie mój Tata. On z chęcią widziałby mnie pół dnia na siłowni, a wieczorem z puszką piwa w ręce, atrakcyjną dziewczyną u boku i przekleństwem na ustach. W jego świecie męskość do tego właśnie się sprowadzała. Mięśnie, używki, bzykanie. Prosta, fizyczna siła. To było coś, co według niego budziło respekt. A tylko respekt mógł zapewnić przetrwanie. Nieskomplikowane podejście do życia. Atawistyczne niemal.

Tamtego dnia, kiedy skończyłem dwadzieścia jeden lat, Tata wszedł do mojego pokoju z uśmiechem na ustach. Pewnie zadowolony z czegoś, co udało mu się załatwić w Gwiazdozbiorze. Rozejrzał się dookoła i oniemiał. Ostatni raz zaglądał do mnie kilka miesięcy wcześniej. Teraz byłem akurat w fazie cięcia i przygotowywania materiału na moją sukienkę. Wszystko było porozkładane na podłodze i przygotowane do dalszych etapów pracy. Nie spodziewałem się wizyt, więc nie przejmowałem się bałaganem. To był twórczy chaos, z którego miał wyłonić się projekt.

Ten widok z miejsca Tatę rozsierdził.

– Jesteś pedałem czy co?!

Szczerze mówiąc, nie pamiętam, czy powiedział dokładnie to, bo kiedy rozbrzmiała ostatnia zgłoska, uderzył mnie z wielką siłą w twarz. Miałem wrażenie, że świat na moment się zatrzymał. Wydusiłem coś bardziej z zaskoczenia niż z bólu (choć rwało, i to bardzo mocno). Tata nigdy wcześniej nie podniósł na mnie ręki. Nawet kiedy byłem dzieckiem.

Przez chwilę zastygliśmy bez ruchu. Potem, jakby w nagłym przebudzeniu, skuliłem się na ziemi. Próbowałem osłonić materiały własnym ciałem. Myślałem bowiem, że to one staną się zaraz jego celem.

– Zawiodłeś mnie – oznajmił Tata.

Teraz wydawał się spokojny. Już nie krzyczał. Już nie bił. W ten sposób to pojedyncze uderzenie było tym gorsze (paliło potem przez wiele dni. Tak jak i jego milczenie, które nastąpiło później).

Już wcześniej Tata nie spędzał ze mną zbyt wiele czasu, ale od tamtego momentu właściwie mnie ignorował. W końcu któregoś wieczoru przysła do mnie Mama i poprosiła, żebym do niego poszedł. Przeprosić.

– Przeprosić?

– Tata czuje się zraniony – wyjaśniła. – Zrozum go, synku. Nie dodawaj mu ciężarów do niesienia.

Pokręciłem głową. Ciężarów? Jakich ciężarów!

– Nie za bardzo rozumiem, dlaczego właściwie to ja powinienem przepraszać, skoro to on podniósł na mnie rękę...

Mój głos brzmiał dziecinnie. Nie mogłem nic na to poradzić. Mama powiedziała:

– Michałku, masz dwadzieścia jeden lat, a mieszkasz pod jego dachem. Postaraj się żyć według jego zasad – prosiła. – Nie chcę, żeby Lech kazał ci stąd odejść, a jak tak dalej pójdzie, to może się tak stać. Znasz go przecież. Czasem jak się zaperzy, to nie potrafi ustąpić. Nie chcę, żebyś musiał stąd odchodzić, synku, rozumiesz?

Westchnąłem. Ja też nie chciałem się wyprowadzać. To by oznaczało, że musiałbym znaleźć jakąś pracę. Zarobić na

utrzymanie, prawdopodobnie wykonując coś, czego bym nienawidził. To wszystko nie mieściło mi się w głowie. Opóźniłoby to moje prace nad sukienką, myślałem gorączkowo. To byłaby katastrofa! Nie można było do tego dopuścić. Nie mogłem sobie na to pozwolić! W żadnym razie. Wiedziałem, że projekt, który noszę w głowie, jest idealny. Potrzebowałem jeszcze jednej, no może dwóch prób. W końcu sukienka, którą uszyję, będzie taka, jak sobie wymarzyłem. Musi być. Nie mogłem teraz ryzykować, że Tata wyrzuci mnie z domu. Nie teraz!

– Dobrze – zgodziłem się więc w końcu. – Pójdę z nim porozmawiać. Przepraszę, jeżeli trzeba.

Zapukałem do drzwi gabinetu Taty z zaciętym wyrazem twarzy. Był we mnie dziecinny bunt. Determinacja nie pozwalała się jednak wycofać. Kiedy wszedłem do pokoju, Tata siedział nad jakąś książką (zawsze lubił czytać, mimo że to akurat niezbyt przystawało do jego atawistycznej wizji męskości).

Najbardziej fascynowały go czasy prohibicji w Stanach Zjednoczonych. Łakomie sięgał po wszystko, co dotyczyło tego okresu. Fikcję, sztukę teatralną czy dokument (szkoda, że nie interesowała go moda, bo jak się nad tym zastanowić, to moja sukienka powinna mu się podobać. Wpisywała się przecież w ten czas).

Spojrzał na mnie znad książki. Nie odwrócił wzroku. To był dobry znak. Czekał na mój kolejny ruch.

– Przepraszam – powiedziałem tylko, bo nie wiedziałem, co jeszcze mógłbym dodać. Nie byłem nawet pewien, z jakiego powodu mam być skruszony.

Tata pokiwał głową z ukontentowaniem.

– No.

To było jedyne, co tamtego wieczora do mnie powiedział. Czekałem na więcej, ale już się nie odezwał. Wszedłem z gabinetu i zaszyłem się u siebie.

Tata zapukał do mnie dopiero następnego dnia.

– Proszę – powiedziałem.

Stał przez chwilę za drzwiami, jakby dawał mi czas, żebym sprzątnął materiały i żebyśmy mogli uniknąć kolejnej scysji. Pochowałem więc wszystko i raz jeszcze zaprosiłem go do środka.

– Nie zamierzam spisać mojego jedynaka na straty – oznajmił Tata w drzwiach. Na jego ustach malował się dobrotliwy uśmiech. – Mam coś dla ciebie, Michał.

Ta jowialność trochę mnie przerażała.

– Tak bez okazji? – zapytałem nieco sztywno.

– Tak bez okazji – powtórzył Tata zadowolony.

Podszedł do mnie i wyjął z kieszeni ozdobne pudełko. Otworzył je z namaszczeniem. W środku był niewielki nóż. Miał rzeźbioną rękojeść i skórzaną pochwę. Tata wyjął go z futerału i pokazał mi klingę. Wyglądała na świeżo naostrzoną. Na jego twarzy malowała się duma. Popatrzyłem na niego zdezorientowany, kiedy wręczył mi ten przedmiot z powagą.

– Niech to będzie znak nowego etapu w twoim życiu, Michał. Bo wiesz, od dziś wszystko się zmieni – poinformował mnie. Mówił spokojnie, ale w jego głosie słyszałem ostrzeżenie. Nie zamierzałem więc oponować. – Nie spisałem cię jeszcze na straty, synu. Osiągnąłeś wiek dojrzałości. I tak za długo ci pobłażałem. Na początek daję ci ten nóż. Nie jesteś jeszcze gotowy na broń palną, więc to na razie musi wystarczyć. Poza tym każdy mężczyzna powinien zacząć od noża. Jeżeli umiesz się nim dobrze posługiwać, poradzisz sobie w każdej sytuacji. Nóż to bliskość, kontakt z przeciwnikiem. Bezpośrednie starcie. To uczy pokory. To jest sztuka przetrwania. Tylko najsilniejsi pozostaną. Ty musisz być jednym z nich. Nie zapominaj. Tylko najsilniejsi pozostaną. Zrozumiałeś?

Pokiwałem głową posłusznie. Nie mogłem jednak wykrztusić ani słowa. Bałem się, co będzie dalej. Nie chciałem tego noża. Miałem ochotę oddać go Tacie natychmiast. To jednak nie wchodziło w grę. Wystarczyło jedno spojrzenie w jego twarz, żeby się o tym przekonać.

– Trzymasz ten nóż jak baba – zaśmiał się dobrodusznie. –

Ale zmienimy to. Zobaczysz. Nie martw się o nic, Michał. Zrobimy z ciebie prawdziwego mężczyznę.

Poklepał mnie po ramieniu. Nie odpowiedziałem. Bardzo mi się nie podobało, dokąd zmierzamy. Chciałem zostać w swoim pokoju i szyć. Jeżeli to nie przystawało do jego obrazu prawdziwego mężczyzny, to mogłem nawet być ciotą. Byłe zostawił mnie w spokoju.

– Krzywy! – zawołał Tata.

W drzwiach stanął ogromny mężczyzna. Znałem go, bo był ochroniarzem w klubie (nie zaglądałem do Gwiazdozbioru zbyt często, ale kojarzyłem go, raczej trudno go zapomnieć, jak się raz poznało). Spojrzałem w tamtą stronę zaskoczony. W jakiś dziwny sposób wcześniej zupełnie nie odnotowałem jego obecności (a musiał przecież od początku stać za progiem).

Olbrzym skinął mi przelotnie głową. Odpowiedziałem równie ostrożnym powitaniem. Krzywy był właściwie człowiekiem Longina Grzelaka, współnika mojego Taty. Nie rozumiałem, co robił u mnie w pokoju.

– Będiesz terminował u Krzywego – zaśmiał się Tata gwoli wyjaśnienia. – Boże, co za słowo! Terminował! Chyba skojarzyło mi się przez to twoje pedalskie szycie. Krzywy pomoże ci zostać prawdziwym mężczyzną. Nie postawiłem jeszcze na tobie kreski. Nic się nie martw, Michał.

Olbrzym spojrzał na mnie spod oka. Chyba oceniał, co można ze mnie zrobić. W końcu westchnął, jakbym nie przedstawiał zbyt dobrych rokowań na przyszłość. Nietrudno było odgadnąć, że nie był przyzwyczajony do osób mojego pokroju. Jego biceps miał większy obwód niż moje biodra. Myślę, że mogłem ważyć jakieś trzy razy mniej niż on.

*

To, co nastąpiło potem, pamiętam jak przez mgłę. Głównie dlatego, że Krzywy wyciskał ze mnie siódme poty (moje ciało było do tego absurdalnie wręcz nieprzygotowane). Przynajmniej tak było na początku. Olbrzym chciał chyba rzetelnie wywiązać się z zadania, które powierzył mu Tata. Po jakimś czasie (szybciej niż później) zorientował się jednak, że

to nie na wiele się zda. Byłem przypadkiem beznadziejnym.

Wieczorami miałem względny spokój. Całe szczęście Tata stracił zainteresowanie moim pokojem. Może dlatego, że wydawało mu się, iż powierzył mnie odpowiedniemu człowiekowi i że samo przebywanie z tą górą mięśni zmieni mnie w prawdziwego mężczyznę?

Wieczorami i nocami kontynuowałem pracę nad sukienką. Kiedy więc w ciągu dnia łąziłem posłusznie za Krzywym (który przestał wreszcie katować mnie na siłowni), właściwie byłem jak w półśnie (nie stwarzało to problemów, bo rozmowa z ochroniarzem i tak się nie kleiła).

Od pewnego momentu moim głównym zadaniem było załatwianie prostych spraw za Krzywego. Można powiedzieć: robienie sprawunków. Wtedy właśnie Ją poznałem. Była zupełnie inna niż jakakolwiek dziewczyna, z jaką miałem do tej pory do czynienia.

Właściwie to nie miałem zbyt wiele doświadczeń z kobietami. Fascynowały mnie. To prawda. Tyle że nie seksualnie, ale bardziej jako te, które mają nosić moje kreacje. Nie czułem zbyt wielkiego pociągu i mimo mojego wieku nadal nie miałem za sobą inicjacji (gdyby ojciec o tym wiedział, pewnie by się wściekł).

*

To było tak. Któregoś dnia Krzywy kazał mi odebrać przesyłkę. Nie sprecyzował, co to ma być. Dał mi tylko plik banknotów. Miałem nadzieję, że przesyłka nie będzie ciężka, bo posłaniec miał czekać w lesie, jakiś kilometr od Gwiazdozbioru. Pewnie nie chciało mu się zjeżdżać w boczną drogę, która prowadziła do klubu przez las.

A może nie chciał być widziany w miejscu, gdzie kręciło się tak dużo policji (w tamtym okresie klub stał się modny wśród mundurowych)? To by sugerowało sterydy, uznałem w duchu. Może Krzywy potrzebował kolejnej dawki (całe szczęście mnie ich nie dawał).

Szedłem rażnym krokiem. Przyszła wiosna, ale nadal było dość chłodno. Czekała na mnie przy głównej szosie.

Na zakręcie. Przykucnęła na poboczu i zrywała właśnie jakąś przebudzoną z zimowego snu roślinkę. Na mój widok schowała zdobycz do kieszeni i wstała. Drobną dziewczyną. Jeszcze delikatniejszej budowy niż ja. Ciemne włosy związane miała w niedbały kucyk tuż nad potylicą. Ubrana była cała na czarno. Nie szczególnego, legginsy i powyciągana bluza. Jakby wyszła z domu tylko na pięć minut.

– Pieniądze – rzuciła bez przywitania. – Daj. Pieniądze.

Podam jej plik banknotów. Staralem się nie okazać zaskoczenia, mimo że głos miała jakby zwierzęcy. Dziki. Zupełnie do niej nie pasował. Spojrzała na mnie spod oka, jakby oceniała moją reakcję. W końcu odwróciła się i odeszła bez słowa.

– Ale... Poczekaj no!

Jeszcze tego mi brakowało, żeby uciekła z pieniędzmi, które dał mi Krzywy. Co prawda mój Tata był jednym ze współników i praktycznie zarządzał klubem razem z Longinem Grzelakiem, ale i tak ochroniarz byłby pewnie wściekły, gdybym wrócił z niczym. Może na przykład skończyłoby się łagodne traktowanie, którym mnie ostatnio raczył.

Dziewczyna nie odpowiedziała. Odeszła kawałek. Dopiero teraz zauważyłem, że dalej w krzakach stał niewielki terenowy samochód. Otworzyła drzwi i wyciągnęła czarny plecak. Wyjęła z niego niewielki pakunek i ruszyła z powrotem w moją stronę. Zanim mi go przekazała, znowu mierzyła mnie jakiś czas od stóp do głów.

W końcu podała mi paczuszkę. Brzęknęło. Wydawało mi się, że w środku są jakieś buteleczki. Być może te małe brązowe, które widziałem kiedyś w dyżurce Krzywego. Nie byłem pewien, co w nich jest. Ktoś mi powiedział, że kurara, ale nie chciało mi się wierzyć. Nie przyjaźniłem się z nikim w klubie, więc być może ten cały Żaba i striptizerki po prostu się ze mnie śmiali (jak Pani zapewne wie, Klementyno, naprawdę tam była kurara).

Włożyłem przesyłkę do kieszeni bluzy. Ostrożnie, żeby nie stłuc zawartości. Ja i ta dziewczyna znowu staliśmy przez kilka minut bez słowa, przyglądając się tylko sobie intensywnie.

Nagle uśmiechnęła się do mnie. To był ten rodzaj uśmiechu, który z reguły rezerwuje się dla dobrych znajomych. Wyraz Jej twarzy zupełnie się zmienił, jakbyśmy naprawdę znali się od lat. To stało się w jednej chwili. Takie miałem przynajmniej wrażenie. Początkowa wrogość (czy może tylko ostrożność) zupełnie zniknęła. Jakby dziewczyna przeskanowała mój umysł, jak jakaś maszyna, a teraz uznała, że wszystko jest w porządku. Zatwierdzone.

– To do zobaczenia – powiedziała ciepło. Nawet głos miała teraz inny. Delikatny. Dziewczęcy. Piękny.

– Do zobaczenia – odparłem, obserwując, jak idzie do samochodu.

Zanim wsiadła do środka, raz jeszcze spojrzała w moją stronę. Nagle zauważyłem, jak bardzo jest podobna do młodej Poli Negri. Ogarnęła mnie pewność, że wyglądałaby w mojej idealnej sukience zdecydowanie lepiej niż Mama.

Przez kolejne wieczory (dni nadal musiałem spędzać z Krzywym) szylem ze zdwojoną siłą. To było, jakby spłynął na mnie pocałunek muzy. Nieco przykurzone materiały znowu odżyły w moich rękach.

Skończyłem kolejną sukienkę w niecały tydzień. Jak na mnie to było rekordowe tempo, bo przedtem zawsze długi czas skupiałem się na każdym detalu i planowałem każdy ruch, żeby na pewno był idealny. Nie tym razem. Teraz liczyło się, żeby sukienka powstała jak najszybciej.

Kiedy sukienka była gotowa, rozłożyłem ją na łóżku. Ciągłe nie byłem zadowolony z ostatecznego efektu, ale przynajmniej wydawało mi się, że idę w coraz lepszym kierunku. Że się zbliżam. Dzięki tej dziewczynie.

Miałem wielką ochotę, żeby przymierzyła moje dzieło, ale bałem się zapytać Krzywego, jak mogę się z nią skontaktować. Innych też bałem się pytać. Nie byliśmy na takiej stopie przyjaźni.

*

Spotkałem Ją zupełnie niespodziewanie. Pojechałem do brodnickiej pasmanterii po wstążkę i kilka innych rzeczy. Tego

dnia akurat Krzywy nic ode mnie nie chciał. Właściwie zasugerował mi, żebym się zwinął. Miał mnie już chyba dosyć.

Szedłem sobie ulicą zadowolony, niosąc pakunki z zakupami. W głowie tańczyły nowe pomysły i bałem się, że jak spojrzę komuś w oczy, to wszystko przepadnie. Patrzyłem więc uparcie w chodnik.

– Cześć – usłyszałem gdzieś po lewej stronie.

Spojrzałem tam. Stała z rękami opartymi o biodra. Od razu ją rozpoznałem. Znowu ubrała się w czarne legginsy i bluzę. Przy pierwszym spotkaniu umknęło mi, jak bardzo była szczupła. Jej nogi przypominały dwie słomki. Dziwiłem się, że dają radę dźwigać ciężar tułowia.

– Idziemy do cukierni?

Zapytała tak zwyczajnie, jakbyśmy niczego innego w życiu nie robili.

– Jasne – odparłem.

*

Nie ma co ukrywać. Po wizycie w cukierni rozpoczął się najlepszy okres w moim życiu. Dziewczyna nazywała się Sława. Piękne, mocne imię. Spotykaliśmy się codziennie, mimo że ciągle musiałem terminować u Krzywego (przynajmniej oficjalnie).

Skoro już o tym mowa, proszę sobie wyobrazić, Pani Klementyno, że w pewnym momencie olbrzym wymyślił sobie nawet, że będzie angażował mnie w uliczne bójki i burdy. Ponoć mogłem się w ten sposób nauczyć władać nożem.

Ten nagły przypływ obowiązkowości u Krzywego miał chyba coś wspólnego z tym, że mój Tata zjawił się któregoś dnia w klubie (o innej porze niż zazwyczaj) i zobaczył, że siedzę w kącie nad książką (zamiast trenować męskość).

Nawrzeszczał wtedy na Krzywego. Widok był dość komiczny, bo Tata sięgał ochroniarzowi do ramienia (a może nawet jeszcze niżej). Osilek patrzył na Tatę z wściekłością. Widziałem już to specyficzne napięcie (które potem nauczyłem się rozpoznawać) na jego twarzy. Gdyby nie to, że obok stał Longin Grzelak, Krzywy prawdopodobnie by Tatę zaatakował.

Kiedy Tata i Longin Grzelak odeszli, Krzywy spojrział na mnie ze złością. Wiedziałem, że kto jak kto, ale ja wyjdę na tym incydencie najgorzej. Nie myliłem się. Olbrzym zaczął zabierać mnie do okolicznych miast. Odwiedzaliśmy dzielnice, do których sam nigdy bym się nie wybrał.

Krzywy kazał mi atakować. To było wbrew mojej naturze, ale czy miałem wybór? Stawaliśmy we dwóch przeciw sporym grupom poubieranych w dresy chłopaków. To były prawdziwe zakapiory (podejrzewałem, że nawet bardziej zaprawione w bojach niż sam Krzywy).

Wielokrotnie wychodziłem z tych potyczek z posiniaczonym ciałem, porozcinaną skórą i urażoną dumą. Czasem bywało gorzej. Zawsze jednak wiedziałem, że wieczorem spotkam Sławę. Wtedy czułem się lepiej. To dodawało mi sił i pozwalało znieść to wszystko.

Sława cierpliwie i czule opatrywała moje rany. Pokazała mi też blizny na swoim ciele, ale nie wyjaśniła, jak się tam znalazły. Wiedziałem tylko, że stało się to jeszcze w dzieciństwie. Nie pytałem, bo widziałem, że nie chce do tego wracać.

*

Tak, to był najlepszy okres mojego życia. Ja i Sława byliśmy razem szczęśliwi. Potrafiliśmy rozmawiać godzinami. O wszystkim i o niczym. Byliśmy jak stare, dobre małżeństwo, a nie dwójka młodych ludzi, którzy dopiero co się spotkali. To się stało bez wstępów, bez zabiegania, bez historii.

– Jesteśmy bratnimi duszami.

Lubiła to powtarzać, kiedy leżeliśmy w nocy na dachu jej domu. Było tam takie miejsce (coś w rodzaju tarasiku czy występu w dachówkach), z którego mieliśmy zwyczaj obserwować gwiazdy. Sława lubiła mi wtedy opowiadać o swojej pracy. Mówiła o książce babci Augusty, dzięki której nauczyła się wszystkiego o swoim fachu, i o tajemniczym babcinym przepisie na niezwykle truciznę, który próbowała odtworzyć. Na razie bezskutecznie.

– Jesteśmy sobie pisani. Cokolwiek się stanie, teraz mamy

siebie.

To też lubiła powtarzać, kiedy się przytulaliśmy. Zgadzałem się z Nią. Mimo to nie odważyłem się Jej zaprosić do mojego domu. Bałem się, że moi rodzice nie zrozumieją Sławy. Była taka... inna? Oryginalna? Czasem Jej głos stawał się obcy i ostry, a ruchy szybkie i precyzyjne. Czasem z kolei była delikatna i czuła, dziewczęca. Czasem wyzywająca, czasem niewinna. Moja własna Pola Negri.

*

Niestety ten piękny czas dość szybko się skończył.

– Nie jestem dla ciebie wystarczająco dobra – zaczęła w pewnym momencie powtarzać. Nie byłem pewien, skąd wzięły się te nedorzeczne słowa. A może wiedziałem? Zdawało mi się, że od pewnego czasu zaczęła używać tych swoich mieszanek.

Dzięki książce babci Augusty była mistrzynią w przygotowywaniu trucizn (wtedy już wiedziałem, że ludzie z klubu powiedzieli mi prawdę o kurarze). Potrafiła zrobić każdą – popularną, nieznaną, starożytną, nowożytną. Co klient sobie zażyczył. Im trudniejsze zadanie, tym bardziej Sława była zadowolona.

Jednak od czasu do czasu hobbystycznie przygotowywała również środki odurzające. Myślałem, że sama nigdy ich nie próbuje. Aż do tamtego momentu. Nie potrafiłem sobie wytłumaczyć, co innego mogło być powodem jej ciągłego wahania nastrojów i dziwnych stanów apatii, po których następowało pobudzenie.

– Nie jestem dla ciebie wystarczająco dobra – powtarzała Sława. Jak katarynka. Raz po raz.

Kiedy przychodził taki moment, mogła to robić po sto, nawet dwieście razy (tak, Pani Klementyno, liczyłem!).

– Oczywiście, że jesteś! – zapewniałem. Za każdym razem (właściwie równie dobrze mógłbym to sobie nagrać na płytę, oszczędziłbym i gardło, i nerwy). – Jesteśmy dla siebie stworzeni, kochanie. Pamiętasz, prawda?

*

Nie wiem, czy Sława mi wierzyła. W każdym razie którejs nocy leżeliśmy jak zwykle na dachu jej domu i patrzyliśmy w gwiazdy. Było chłodno, przyciągnąłem ją więc bliżej do siebie. Wyglądała na zadowoloną. Lubiała bliskość (z tego powodu, kiedy spędzaliśmy wspólnie czas, właściwie nie odstępowałam się na krok).

– Naprawdę? – upewniła się.

– Jasne. Kocham cię, skarbie – zapewniłem.

Starąłem się, żeby w moim głosie nie zabrzmiało zniechęcenie i, co tu dużo mówić, znużenie tym nowym rytuałem powtarzania w kółko tego samego.

Chyba mi się udało ją przekonać, bo Sława uśmiechnęła się uszczęśliwiona. Leżeliśmy przez chwilę w milczeniu. Nagle ni to sapnęła, ni to szepnęła coś, czego nie zrozumiałem. Uniosłem się nieco na ramieniu.

– Co mówiłaś, kochanie?

Skrzywiła się. Trwało to ułamek sekundy.

– A pozostałe? – zapytała.

Westchnąłem.

– Co pozostałe?

Właściwie to nie musiałem pytać. Od pewnego czasu miała zwyczaj męczyć mnie o moje relacje z dziewczynami z Gwiazdozbioru. W ogóle ich nie znałem, nawet z nimi nie rozmawiałem, ale Sława mi nie wierzyła.

– Nie. Mów, że. Jak tańczą. Ci się nie podoba. Jak – warknęła niemal. Znowu mówiła tym innym głosem. Nie lubiłem tego.

Odsunęła się ode mnie i usiadła. Dachówki zaskrzyphiały pod jej niewielkim ciężarem (tak naprawdę to miejsce było bardzo niebezpieczne. Dach miał już najlepsze lata za sobą).

– Kochanie, daj spokój – poprosiłem delikatnie.

– Podobają. Ci się. Wiem – upierała się.

– Nie za bardzo. Naprawdę nie lubię striptizu. Przecież wiesz, że muszę tam siedzieć, bo ojciec każe mi spędzać czas z Krzywym. Przecież wiesz, że sam bym tam nawet nie zaglądał. W ogóle mnie to nie interesuje.

Sława spojrzała na mnie takim wzrokiem, że chciałem Ją już

tylko do siebie przytulić i bez końca zapewniać o swojej dozgonnej miłości. Wydawała się taka bezbronna. Przysunęła się z powrotem do mnie. Przytuliłem ją mocno. Gładziłem po czarnych włosach. Jej ciało zdawało się nic nie ważyć.

– Kochasz mnie? – zapytała.

– Oczywiście.

Wyswobodziła się znowu z moich objęć i usiadła. Spojrzała na mnie przenikliwie. W świetle gwiazd widziałem, że jej źrenice były ogromne.

– Przygotowałam coś dla nas – szepnęła. Mówiła tak, jakby zwierzała mi się z największej tajemnicy. Jakby to było coś najważniejszego na świecie.

Domyślałem się, że może chodzić o jakieś narkotyki. Wątpliwości musiały wymalować się na mojej twarzy, bo Sława zapytała natychmiast:

– Nie chcesz?

W jej głosie pojawiła się rozpacz. Jakby moja odmowa była równoznaczna z tym, że ona sama nic nie jest warta. Jakby to oznaczało, że wolę inne. Że odejdę.

Westchnąłem. Byłem pewien, że mogą z tego wyniknąć nie lada kłopoty. Wiedziałem, że mój Tata może się zorientować, że coś zażyłem. To z kolei mogłoby doprowadzić do katastrofy. Znałem go dobrze. Chciał, żebym pił, palił, korzystał z życia. Z jednym wyjątkiem. Nie tolerował narkotyków.

Mówił, że ci, którzy ich używają, są słabi. Nieprofesjonalni. Sam widziałem, jak pobił prawie do nieprzytomności jednego z pracowników w klubie, którego przyłapał na wciąganiu koki. Narkotyki działały na Tatę jak płachta na byka. Mógł je sprzedawać. Wciskać innym. Jednak od swoich ludzi wymagał całkowitej czystości.

Wiedziałem o tym. Mimo to przytaknąłem i twarz Sławy rozjaśniła się natychmiast.

– Chodź do środka – powiedziała cichutko. – Pokażę ci.

Serce biło mi szybko. Nie do końca wiedziałem, czego się spodziewać, ale poczułem ekscytację. Jak to będzie? Jak to wszystko się skończy? Sława pogładziła mnie po twarzy uspokajająco. Wydawała się szczęśliwa.

– Chodź – powiedziała raz jeszcze. Jej głos był teraz nieco niewyraźny, jakby poszczególne głoski się zamazywały. – Chodź, mój słodki.

Poszliśmy do Jej prowizorycznej sypialni. Wszędzie panował rozgardiasz, ale to wydawało mi się nieważne. Wbrew sobie czułem narastające podniecenie. Powoli zapomniałem o ostrożności i wcześniejszych obawach. Skąd Tata mógłby się dowiedzieć? Tu, w Jej domu, przecież nic mi nie grozi. Szedłem więc za Sławą, jakby prowadziła mnie do krainy czarów.

Na stoliku leżały dwie kostki cukru. A przynajmniej tak mi się wydawało. Sława zgasiła światło i zrobiło się prawie zupełnie ciemno, więc nie mogłem mieć pewności. Stałem w drzwiach i patrzyłem w tamtą stronę. Włączyła jakąś muzykę. Światło gwiazd odbijało się od tacki, na której leżał cukier.

– Chodź – powiedziała znowu delikatnie.

Zrobiłem posłusznie kilka kroków. Teraz już widziałem, że to nie cukier. To było raczej coś w rodzaju małych opłatków. Może bibulek. Już wiedziałem, co to jest. Nigdy niczego nie brałem, to prawda, ale w Gwiazdozborze pod okiem Krzywego widywałem sporo.

Skinęła głową w stronę tacki.

– Włóż to pod język – poinstruowała. – Lepiej zadziała.

Zrobiłem, co mi kazała.

– Teraz czekamy, aż się zacznie.

Pokiwałem głową. Położyliśmy się na łóżku. Już sama muzyka, którą wybrała, wprowadzała mnie w stan podobny do transu. Nie potrzebowałem wcale działania narkotyku.

– Jesteśmy wybrani – mówiła tymczasem Sława. Chwyciła mnie za rękę. Dłonie miała przerażająco zimne. Sam nie wiem, czemu nie czułem tego wcześniej. – Jesteśmy wybrani!

Jej słowa ginęły w muzyce. Kolory zlewały się z dźwiękiem. Sława się śmiała. Ja też. Część pokoju jakby zniknęła. Stolik pośrodku wydawał się rosnąć jak bluszcz. Gdzieś na granicy pola widzenia dostrzegłem kolorowe wzory. Próbowałem ich dosięgnąć, ale moja ręka podążała w zupełnie inną stronę. Tyle pamiętam.

*

– Jeszcze sobie o tym porozmawiamy!

To były ostatnie słowa, które wypowiedział do mnie mój Tata. Kiedykolwiek.

Pamiętam to, mimo że byłem wówczas całkowicie odurzony. W tamtym okresie nie bywało już inaczej. Wsiąknęłam w to na dobre. Wtedy wydawało mi się to w porządku (może dlatego, że wszystko toczyło się stopniowo).

Po pierwszym razie tamtej nocy nastąpiły kolejne próby i kolejne mieszanki, które Sława dla mnie przygotowywała. Ani się obejrzałem, kiedy poszliśmy dalej, a moje ręce pokryte były nakłuciami od poszukiwania żyły. Tak naprawdę nie wiedziałem nawet, co biorę. Zdawałem się na Sławę. To Ona wszystko zdobywała, przygotowała czy co tam jeszcze.

Całymi dniami potrafiliśmy siedzieć u Sławy w domu i patrzeć przed siebie. Bez słowa. Tak było nawet lepiej, bo kiedy tylko któreś z nas się odezwało, prawie zawsze kończyło się kłótniami. Bez zbytnich ustaleń uznaliśmy więc, że milczenie rzeczywiście jest złotem, a rozmowy właściwie nie są nam potrzebne (chyba że dotyczą kolejnej dawki narkotyku).

O dziwo, Sława nadal pracowała w swoim laboratorium. Ważyła te swoje mikstury i je sprzedawała. Musiała być silniejsza (a może odporniejsza?) ode mnie. Ja nie mogłem się skupić na niczym innym poza braniem.

Ukrywanie tego przed Tatą było możliwe, bo Krzywy w pewnym sensie mnie krył. To też się stało bez zbędnych ustaleń. Prawie automatycznie. Widziałem, że ochroniarz odczuwa ulgę, kiedy schodziłem mu z drogi. Był zmęczony moją nieporadnością i bezskuteczną próbą nauczania mnie męskości. Cieszył się więc, kiedy się nie zjawiałem, a mojemu Tacie wmawiał, że jestem w terenie (określenie tyleż enigmatyczne, co dobrze brzmiące).

W tamtym okresie nie myślałem, co będzie dalej. Byłem zadowolony, że mogę épać. Narkotyki odebrały mi nie tylko apetyt. Przede wszystkim zabrały mi chęć do pracy nad sukienką. Nawet jeżeli zdawałem sobie sprawę, że to, co na początku było miłością, a może nawet pocałunkiem muzy, teraz

w zastraszającym tempie obracało się przeciwko mnie.

Nawet jeżeli zdawałem sobie z tego sprawę... zdecydowanie wolałem nic nie zmieniać. Noce pełne wizji i odlotów były tego warte. Tak mi się wtedy wydawało. A porzucona sukienka (która kiedyś przecież miała być idealna) leżała niedokończona w moim pokoju.

*

Pech chciał, że tamtej ostatniej nocy próbowałem wymknąć się z domu. Gdybym siedział u siebie w pokoju, Tata pewnie by się mną nie zainteresował (przecież tak długo pozostał ślepy na wszystkie sygnały, które u innych dostrzegał bez trudu). Nie sądziłem jednak, że będzie jeszcze wychodził. Usiadł już przecież z Mamą przed telewizorem w salonie. Nie przewidziałem, że nagle dostanie telefon od Longina Grzelaka (o tym, że Longin zadzwonił, dowiedziałem się później, kiedy wiadomo już było, że to fortel, żeby wywabić Tatę z domu i go zabić).

Tak więc w wyniku tego zbiegu okoliczności ja i Tata spotkaliśmy się przy drzwiach. Coś tam już zażyłem i byłem w dość wesółkowanym nastroju. Tata spojrział w moje oczy i dostrzegłem na jego twarzy zrozumienie.

– Ćpiesz!

Dokładnie tak to ujął. Nie inaczej. Ćpiesz. To też pamiętam. Szczerze mówiąc, nie miałem wtedy siły ani chęci, żeby odpowiedzieć. Czekałem na cios z idiotycznym uśmiechem na wychudzonej twarzy. Żaden jednak nie nadszedł. Widziałem za to w oczach Taty, że mój koniec jest bliski. Nie tolerował narkotyków (jak Pani pamięta, Klementyno, już o tym pisałem). U nikogo. Tym bardziej u mnie. Ćpanie wpływało niekorzystnie na biznes. Jeżeli możesz być czegoś w życiu pewien, to tego, żeby nie ufać ćpunom. Tak powtarzał.

Mama wyszła z salonu i patrzyła na naszą konfrontację przerażona.

– Teraz muszę iść, ale jeszcze sobie o tym porozmawiamy – oznajmił Tata i wyszedł. Tak po prostu (to były ostatnie słowa, które do mnie powiedział, bo tamtej nocy Longin Grzelak

i Dymitr Sokołow go zastrzelili).

Kiedy tylko wsiadł do samochodu, Mama chwyciła mnie za rękę.

– Szybko – powiedziała gorączkowo. Widziałem, że była przerażona, chociaż tak naprawdę słowa Taty nie brzmiały przecież zbyt krwawo. „Porozmawiamy sobie”. Nic więcej. Dobrze go jednak znała. Tata nigdy nie żartował z takich spraw. – Spakujemy cię. Musisz uciekać. Michał, musisz uciekać! Nie przeżyję, jeżeli coś ci się stanie.

Ogarnęła mnie pewność, że Mama miała rację. Ucieczka to było jedyne rozwiązanie. Właściwie ciężko było mi się jednak ruszyć. Czulem się otepiały od zażytego narkotyku. Słowa dochodziły do mnie z trudem. Patrzyłem na oddalające się światła samochodu Taty z myślą, że dziś wieczorem zginę z jego ręki. Mimo to nie miałem ani siły, ani chęci czegokolwiek w tej kwestii zrobić.

Jak Pani wie, Klementyno, okazało się, że nie musiałem. Tej właśnie nocy to Tata umarł. A właściwie został zabity przez swoich współników. Wygląda więc na to, że miałem szczęście.

Może tak naprawdę cały czas je miałem? Przecież w tamtym okresie mogłem właściwie zginąć kiedykolwiek. Każdego dnia. I to wcale nie z ręki ojca. Dawki, którymi Sława mnie raczyła, mogły zabić (tak powiedziano mi potem na odwyku).

*

Zabrzmiało to okrutnie, ale czas po śmierci Taty wspominam dobrze. Może to nieludzkie, ale odżyłem wtedy.

Najlepsze było to, że nie musiałem już utrzymywać pozorów, że terminuję u Krzywego. Kiedy wyszło na jaw, że Tata został zabity przez Grzelaka i Sokołowa, Mama kazała mi trzymać się z daleka od Gwiazdozbioru. Jak Pani się domyśla, Klementyno, posłuchałem chętnie.

Mama pograżyła się w żałobie. Może inaczej: pograżona była w żądzy zemsty. Nie mówiła ani nie myślała o niczym innym. Tylko o tym, żeby pomścić Tatę. Nie rozumiałem, po co tak to rozgrzebuje. Było mi to jednak na rękę, bo dawało mi wolną drogę do dalszego ćpania.

Tymczasem w moim związku ze Sławą działo się lepiej niż wcześniej. Zniknęły gdzieś Jej humory i milczenie. Co jednak najważniejsze, prawie się nie kłóciliśmy. Jakby zależność była prosta: im więcej czasu spędzaliśmy razem, tym Sława była spokojniejsza. Skończyły się sceny zazdrości i płaczu. Jednym słowem, było dobrze. Nawet sielsko.

*

Może dlatego pierwszego sierpnia 2014 postanowiliśmy wziąć ślub. To było oczywiście szalone przedsięwzięcie! Nie wiem, co zayiliśmy (tak jak wspominałem, to Sława decydowała), ale rozpieła nas dzika niemal euforia.

– Weźmy ślub – zaproponowała nieoczekiwanie.

Nie bardzo rozumiałem, co Sława ma na myśli. Początkowo poczułem nieprzyjemny, otrzeźwiający niepokój (przypomniałem sobie bowiem o mojej zakurzonej białej sukience, która czekała na dokończenie).

– Ślub?

Nie za bardzo miałem na to ochotę (co oczywiste, nie powiedziałem tego jednak na głos).

– Nie chcesz? – zapytała Sława.

W Jej głosie czaił się nie żal, ale groźba. Może znowu tylko tak mi się wydawało. Musi Pani wiedzieć, Klementyno, że w tamtym czasie bardzo bałem się, że Ją stracę (teraz już wiem, że tak naprawdę oznaczała dla mnie stały dostęp do narkotyków. Nie chciałem, żeby to się skończyło. Nie wtedy).

– Oczywiście, że chcę – zapewniłem. Mój ton tryskał wręcz entuzjazmem. Na wszelki wypadek.

Sława patrzyła na mnie w oczekiwaniu.

– Co? – zapytałem. Nie rozumiałem, o co jej chodzi. Czasy, kiedy rozumieliśmy się bez słów, gdzieś dawno uleciały.

– Masz jeszcze ten nóż od ojca? – zapytała zamiast odpowiedzi. – Zawsze nosiłeś go w kieszeni!

Nie za bardzo wiedziałem, co to dokładnie ma wspólnego z naszym ewentualnym ślubem, ale wyciągnąłem nóż. Nie wiem dlaczego, ale od śmierci Taty zawsze pilnowałem, żeby go mieć przy sobie. Lubiłem wkładać rękę do kieszeni, dotykać

rzeźbionej rękojeści i skórzanej pochwy chroniącej ostrze. Ciężar noża w kieszeni zdawał się chronić mnie przed wszelkim złem.

A może było inaczej? Może miałem wyrzuty sumienia wobec Taty? Za to, że mi go nie brakowało, kiedy umarł. Albo za to, że go zawiodłem i nigdy nie stałem się takim mężczyzną, jak chciał?

Tymczasem Sława wzięła ode mnie nóż. Zdjęła skórzaną pochewkę i przyłożyła ostrze do swojej ręki. Było idealnie ostre, więc krew popłynęła szybko. Patrzyłem na to w skupieniu.

– Teraz ty – powiedziała.

– No co ty...

– Boisz się? – zaśmiała się cicho.

Pokręciłem głową.

– Nie, ale nie za bardzo rozumiem... – Nagle mnie olśniło. Przypomniałem sobie pentagram, który wytatuowała sobie niedawno na brzuchu. – Czy to jakiś obrzęd? Satanizm?

Wskazałem na jej brzuch, gdzie pysznił się tatuaż.

– Daj spokój – zaśmiała się Sława głośno. Krew nadal płynęła z rany na jej przegubie (powoli, bo mimo stanu, w jakim się znajdowaliśmy, udało jej się nie przeciąć żył). – Nie stałam się nagle satanistką! Ten pentagram jest jak amulet ochronny. To biały pentagram, ty głuptasie. Zresztą nieważne. Masz nóż i tnij. Chodzi o braterstwo krwi. Wymienimy się krwią. Ja dostanę twoją, ty moją. Będziemy złączeni na zawsze. Ślub. Rozumiesz?

Może trudno Pani w to uwierzyć, Klementyno, ale w jakiś dziwny sposób to miało wtedy sens. W zamroczonym narkotykami umyśle wydawało mi się nawet, że głęboki. Przeciąłem skórę na nadgarstku i patrzyłem, jak moja krew miesza się z krwią Sławy. To było mistyczne przeżycie.

Żeby to uczcić, znowu zażyliśmy coś, co dla nas przygotowała, więc nie wiem, ile czasu upłynęło. W każdym razie w pewnym momencie zauważyłem, że niewielkie rany na naszych rękach się zasklepiły, a krew na nożu od ojca zastygła. Moja i jej.

Patrzyłem na ten krwawy malunek na stali jak urzeczony. Wydawał się niczym piękny kwiat. Ognista, krwawa róża.

Wziąłem nóż i podałem go Sławie. Przyjęła go bez słowa, jakby to była jakaś przysięga. Prezent ślubny.

*

Ósmego sierpnia tamtego roku wylądowaliśmy w Warszawie. Były moje urodziny. Sława obiecała, że przygotowała dla mnie coś szczególnego. Niepowtarzalnego. Szczerze mówiąc, miałem nadzieję, że chodzi o jakąś nową narkotyczną mieszankę, i nie bardzo rozumiałem, po co musimy tuc się pociągami aż do Warszawy. Pytałem, ale nie wytłumaczyła. Wydawała się podekscytowana, więc w końcu i mnie się udzieliło.

Tym bardziej że w drodze zażyliśmy jedną z jej tabletek. Po tym specyfiku rzeczywistość jawiła się w szczególnie różowych barwach. Z przyjemnością słuchałem stukotu ciężkich kół pociągu na szynach. Były jak śpiew. Jak niebiańska muzyka. Nawet toaleta na Dworcu Centralnym w Warszawie wydawała mi się cudowną przystanią.

Pamiętam, że dzień był piękny. Słoneczny niemal do granic możliwości. Ludzie siedzieli na trawnikach pod wysokim do nieba Pałacem Kultury. Na ten czas zniknął podział pomiędzy tymi lepszymi i tymi gorszymi. Piękne dziewczyny w drogich ubraniach obozowały kilka metrów od grupy meneli. Niechlujni mężczyźni popijali piwo i zaśmiewali się głośno. Dziewczyny raczyły się dietetyczną colą i co rusz poprawiały kolorowe sukienki.

Usiedliśmy na rozgrzanym murku. Rozglądałem się dookoła z niedowierzaniem. Byłem zaskoczony zmianami, jakie tu nastąpiły. Ostatni raz odwiedziłem Warszawę chyba w latach dziewięćdziesiątych. Przyjechałem z Mamą. Wtedy pod Pałacem Kultury znajdował się olbrzymi, chaotyczny targ. Pamiętałem, jak musiałem się przebijać pomiędzy kupującymi. Szło to z trudem, bo ludzie byli tak zaabsorbowani towarami, że nie zwracali uwagi na małego chłopca. Mama trzymała mnie za rękę. Mocno, niemal kurczowo. Jakby bała się, że mnie straci (może miała rację. W tym gąszczu rzeczywiście łatwo było się zgubić).

Teraz po wielkim bazarze nie było ani śladu. Aczkolwiek kiedy

intensywnie wpatrywałem się w trawniki przed sobą, mogłem niemal dostrzec zarysy dawnych straganów (cokolwiek zażyliśmy, niesamowicie działało na zmysły. Rozkoszowałem się tym).

Tymczasem Sława znowu gadała jak nakręcona o tej nieszczęsnej babci Auguście i jej przepisach. Przyznam, że już mnie to nudziło. Zauważyłem, że dzień zaczynał chylić się już ku końcowi, a my właściwie nie ruszyliśmy się więcej niż pięćset (no może osiemset) metrów od dworca.

– To gdzie idziemy? – zapytałem.

Przypomniałem sobie z nagłą siłą obietnice Sławy dotyczące rzekomej niespodzianki urodzinowej. Pomyślałem, że to gadanie o prezencie to było zwykłe perfidne oszustwo. Sława nic dla mnie nie miała. Będziemy tak siedzieć na tym murku, aż moje urodziny miną i nie będzie już żadnego powodu, dla którego miałbym dostać jakikolwiek, najmniejszy nawet prezent. To miał być szczególny dzień, a nic się nie działo! Pewnie dlatego ogarnęła mnie irytacja (a może po prostu Jej magiczne tabletki przestały działać i wracałem nieubłaganie do rzeczywistości?).

– Poczekaj jeszcze – poprosiła Sława.

Na Jej ustach tańczył tajemniczy uśmiech. Widziałem po Jej oczach, że tym razem jest trzeźwa. Zupełnie. W jakiś sposób z tego powodu poczułem się jeszcze bardziej oszukany. Najchętniej bym stamtąd zniknął.

– Masz...?

Nie dokończyłem. Wiedziałem, że zrozumie. Niech Sława sama sobie będzie trzeźwa. Ja nie miałem na to najmniejszej ochoty. Nie w swoje urodziny. Tym bardziej że nagle murek zrobił się zbyt twardy, a menele na trawie śmiali się zdecydowanie za głośno. Upał też był nie do wytrzymania, a smog pokrywający miasto dusił. Potrzebowałem odmiany. Jak najszybciej.

– Poczekaj – poprosiła znowu.

Skrzywiłem się.

– Mam coś nowego – zapewniła. Chyba żeby mnie udobruchać. – Lepiej zadziała, jak nic nie będzie temu

przeszkadzać. Musimy poczekać. Przygotowałam to specjalnie dla ciebie. Zobaczysz. To będzie najlepszy odlot, jaki kiedykolwiek przeżyłeś.

To mnie trochę uspokoiło.

*

– Chodźmy – powiedziała Sława po pewnym czasie. Jej głos brzmiał teraz inaczej. Znowu poczułem ekscytację.

Chwyliła mnie za rękę i zaczęła prowadzić pomiędzy kamienice. Zapadł już zmierzch i miasto rozbłysło światłami latarni. Mój zegarek od dawna nie chodził, a ja nie miałem chęci na wymianę baterii. Nie wiedziałem, która może być godzina. Próbowałem odwrócić się w stronę Pałacu Kultury, żeby spojrzeć na wielki zegar na szczycie. Nie mogłem go już jednak dostrzec pomiędzy kamienicami. Może nie patrzyłem, gdzie trzeba (to możliwe, bo w pewnym momencie zupełnie straciłem orientację).

– Już niedługo dotrzemy na miejsce. Weź to. – Sława podała mi jakąś pigułkę. – Tylko nie gryź!

Nie pytałem, co mi daje. Jak zwykle. Nigdy przecież tego nie zrobiłem. Niewiedza zdawała się usprawiedliwieniem. Śmieszne. Jakby to miało w czymkolwiek pomóc! Jakby to oznaczało, że nie mam żadnych kłopotów!

Miałem sucho w ustach. Tabletkę z trudem przeszła mi przez gardło.

– Gdzie idziemy? – zapytałem, krztusząc się lekko.

– Jeszcze tylko kawałek – obiecała Sława.

Szliśmy pomiędzy kamienicami, a ja czekałem, aż pigułka zacznie działać. Nie wiedziałem, czego się spodziewać, więc już samo to sprawiało, że ogarnęło mnie przyjemne podniecenie. Właściwie było mi wszystko jedno, gdzie idziemy.

Do czasu.

– Jesteśmy – oznajmiła w końcu Sława i pokazała budynek po drugiej stronie ulicy.

Otworzyłem szerzej oczy.

– Przecież...

Sława pokiwała tylko głową zamiast odpowiedzi. W tej

sytuacji słowa były zbędne. Przed nami znajdowała się pracownia jednego z bardziej znanych polskich projektantów. Kiedy jeszcze fascynowało mnie szycie (czas przed narkotykami zdawał się lata świetlne temu), bardzo go podziwiałem. A teraz tak po prostu stałem tam, na jego progu. Nie mogłem w to uwierzyć. Dawne oczarowanie sukienkami i modą powróciło. Nagle znowu byłem sobą, a nie wiecznie otępiałym ćpunem.

Przebiegłem przez ulicę. Czuję się lekki. Jakbym unosił się kilka centymetrów nad asfaltem (nie łudzę się, że to sam zachwyty mnie niósł, narkotyk na pewno też już zaczął działać). Dotknąłem ręką szyby chroniącej wystawę. Przejechałem po niej palcami. Miałem wrażenie, że delikatnie wibruje. Jakby w odpowiedzi na moje przywitanie. W środku widziałem manekiny. Niektóre poubierane w gotowe sukienki. Na innych wisiały rozpoczęte dopiero projekty.

– Bardzo chciałbym ich dotknąć – szepnąłem.

Sława zaśmiała się tylko. Odwróciłem się do Niej. Byłem tak zaabsorbowany, że nie słyszałem nawet, jak do mnie podeszła.

– Poczekaj chwileczkę! – powiedziała.

Majstrowała coś przy kłódce, która przytwierdzona była do kraty chroniącej drzwi. Serce biło mi szybko. Miałem wrażenie, że świat wokół nas wiruje. Drzwi uśmiechnęły się do mnie. Wyraźnie. Zachęcająco. Wydawało mi się, że mamroczą Sławie słowa otuchy.

– Tak! Tak! Już prawie. Otworzymy się za chwilę – słyszałem niemal ich drewniany głos.

Wreszcie krata puściła przy akompaniamencie fanfar w moich uszach. Poleciałem w jej stronę najszybciej, jak mogłem. Drzwi otworzyły się, głośno zapraszając nas do środka. Nie zwlekałem.

Pracownia była cudowna (jeszcze piękniejsza, niż sobie wyobrażałem). Narkotyk sprawiał, że w powietrzu unosiło się płynne szczęście. Ściany falowały, jakby one też nas pozdrowiały. Od tej tabletki moje zmysły zupełnie wariowały.

Z miejsca pobiegłem do sukien. Dotykałem ich, zanurzając się w ich miękkości. Czuję się znowu małym chłopcem, który ogląda sukienki Mamy. Spojrzałem w górę, ale sufitu nie było.

Nad nami niebo. Gwiazdziste.

Odwróciłem się. Sława stała nadal w drzwiach. Przypatrywała mi się z uśmiechem. Była najpiękniejsza na świecie. Przywołałem Ją ręką. Tańczyliśmy do muzyki, która dochodziła nie wiadomo skąd. Wokół zapach róż.

Sama Pani widzi, Klementyno, że odlot po tej nowej pigułce już trwał w najlepsze (nie próbuję w ten sposób tłumaczyć ani usprawiedliwiać tego, co potem nastąpiło, chcę tylko rzetelnie to wszystko przedstawić).

Nagle wszystko się zmieniło. Nad prawym ramieniem Sławy zobaczyłem, że manekin przy drzwiach przygląda się nam ze złością. Z gniewem. Pochylił się do tego, który znajdował się obok. Rozmawiali.

Przestałem tańczyć. Dopiero teraz dotarło do mnie, że manekin ma twarz Taty. Nie mogło być wątpliwości.

– W porządku? – zapytała Sława. – Dobrze ci?

– Jesteśmy w niebezpieczeństwie – próbowałem powiedzieć, ale język mi się plątał. – Mój ojciec... Dopadł nas!!!

Bełkotałem, ale mimo wszystko chyba zrozumiała. Wyciągnęła nóż Taty, który podarowałem jej podczas naszego ślubu. Dobrze, że to zrobiła! Namówione przez Tatę manekiny zaczęły nas otaczać. Wiedziałem, że zaraz zaatakują. To po prostu musiało się wydarzyć. Zrobiłem więc jedyną rzecz, która przyszła mi do głowy. Ruszyłem na nie pierwszy.

Uderzałem z całych sił. Ja i Sława byliśmy jednak na straconej pozycji, bo oboje nagle staliśmy się bardzo mali. Lalki zaś rozrosły się do monstrualnych rozmiarów. Największa była ta z twarzą Taty. Gorycz na jego wykrzywionych ustach była aż zbyt łatwa do odczytania. A może to była radość, że wreszcie mnie dopadł?

Wyrwałem Sławie nóż i ciałem na ślepo. Nie ustawałem. Nagle poczułem, że zwycięstwo jest możliwe. Wtedy powróciła muzyka. Moje serce zwolniło nieco rytm. Uspokoilo się zupełnie, kiedy już wszystkie manekiny zaległy na ziemi. Pokonane. Burzowe niebo nad naszymi głowami wypogodziło się.

Rozejrzałem się po podłodze. Byłem zwycięzcą! Wszędzie

leżały członki wrogów. Rozbite. Nie stanowili już dla nas zagrożenia. Spojrzałem na Sławę. Miałem nadzieję, że jest ze mnie dumna. Ona jednak stała w rogu pomieszczenia i przyglądała się czemuś z uporem. Podszedłem tam ostrożnie.

Serce znowu zabiło mi szybciej. Na podłodze leżała dziwna postać. Głowę miała wielką, lewą rękę małą, prawą męską, tułów damski. Mieszanka zupełnie niepasujących do siebie elementów.

Twarz w każdym razie była męska. Teraz widziałem wyraźniej. To Tata! Pokonany. Zdawał się patrzeć na mnie z wyczekiwaniem.

– On chce mi coś powiedzieć – wykrztusiłem bełkotliwie. – Ale nie może!

Czułem tę niemoc Taty niemal namacalnie. Tak bardzo chciałem, żeby mu się udało. Może to miało być coś innego niż „jeszcze sobie o tym porozmawiamy”, jak powiedział do mnie w noc swojej śmierci. Może to miały być słowa wybaczenia! Musiałem je usłyszeć. Musiałem!

Dopiero po chwili (zupełnie nagle) zrozumiałem, co muszę zrobić. Tata potrzebuje języka. Tata tego właśnie potrzebuje. Wtedy będzie mógł wreszcie powiedzieć to, co zostało niewypowiedziane. Muszę mu pomóc. Muszę usłyszeć słowa wybaczenia! (Wiem, co Pani teraz myśli, Klementyno, ale w narkotycznym widzie to wszystko zdawało się mieć sens).

*

Ciężko pisać mi o tym, co stało się potem, mimo że sporo czasu już upłynęło, a rany się zagoiły. „On chce mi coś powiedzieć, ale nie może”. To były z kolei moje ostatnie w życiu słowa. Jak na ironię jakże prorocze.

Tak... Nigdy nie powiedziałem nic więcej, bo w narkotycznym szale, na haju spowodowanym Jej mieszankami, uniosłem rzeźbiony nóż Taty i sięgnąłem prosto do swoich ust.

Wiem, Pani Klementyno, że teraz trudno w to uwierzyć, ale wtedy, kiedy byłem na totalnym odlocie, to wydawało się mieć sens. Napiszę to raz jeszcze. Wydawało mi się, że Tacie brakuje tylko języka, że będzie mógł wreszcie wykrztusić, cokolwiek

miał mi do przekazania. Teraz oczywiście patrzę na to jak na szaleństwo. Bo jak inaczej można to nazwać? Może tylko: największy w moim życiu błąd?

Ból, który poczułem, kiedy ostrze zetknęło się z ciałem, natychmiast mnie otrzeźwił. Przynajmniej do pewnego stopnia. Metaliczny smak krwi w ustach. Rozdzierający ból zranionego języka. To wszystko cucilo z oparów narkotyków. Nóż upadł na ziemię z głuchym trzaskiem.

Rozejrzałem się wokół przytomniejszym nieco okiem. Byliśmy w pracowni krawieckiej. Na podłodze poniewierały się porozbijane manekiny i podarte sukienki. Sława stała nad stertą niepasujących do siebie fragmentów manekinów. W jakiś przypadkowy sposób ułożyły się w postać, którą przed chwilą wziąłem za Tatę. Teraz nie widziałem już jego twarzy. To była zwykła plastikowa lalka. Zniknęły szalone wizje.

Słyszałem natomiast wyraźnie wyjący alarm. To było bez wątpienia realne, nie żadna wizja épuna. Powoli zaczęło do mnie docierać, że Sława przecież się tu włamała. Ja też się tu włamałem.

Rozejrzałem się. Co gorsza, zniszczyliśmy rzeczy warte najprawdopodobniej bardzo dużo pieniędzy. Dodatkowo byliśmy pod wpływem jakiejś substancji. Na pewno zakazanej. Kiedy zjawi się tu policja, będziemy mieli problemy. Duże problemy.

Uciekać. To była moja jedyna myśl. Ogarnęła mnie całego. Uciekać! Spojrzałem na Sławę. Nagle nie wydawała mi się już taka piękna. To ona mnie w to wpakowała. W moje urodziny! Nie chciałem trafić do aresztu. Nie w moje urodziny! Nigdy! Zbyt wiele nasłuchiwałem się od Krzywego o tym, jak tam jest i co robią tam z takimi jak ja.

Gnany tą myślą pobiegłem do drzwi, zostawiając Sławę samą (nie jestem z tego dumny, ale tak niestety się stało). Potykałem się o porozbijane manekiny, ale jakoś wydostałem się na zewnątrz. Ręce i nogi nie bardzo mnie słuchały. Nie otrzeźwiałem więc chyba tak, jak mi się początkowo wydawało (jak się Pani domyśla, w ogóle nie byłem trzeźwy, narkotyki nadal działały). Wizje wprawdzie zniknęły, ale koordynacja

ruchowa nie powróciła.

Stałem na ulicy i oddychałem szybko gorącym, letnim powietrzem. Ruszyłem z miejsca dopiero, kiedy usłyszałem syreny zbliżających się nieubłaganie radiowozów. Obijałem się o ściany budynków.

Ledwie utrzymywałem się na nogach, ale udało mi się uciec w boczną uliczkę. Teraz zaczęła przypominać tunel. Powietrze było tam gęste i lepkie. Miałem nieprzyjemne wrażenie, że przejście metra zajmuje mi godzinę. A może nawet więcej. Może naprawdę tak było?

Nie wiem, ile to faktycznie zajęło, ale dopiero po dłuższym czasie dotarło do mnie, że z moich ust nadal płynie krew. Być może adrenalina (albo działanie pigułki) sprawiła, że na chwilę zapomniałem o bólu. Ogarnęła mnie jednak pewność, że nie dam rady dłużej iść. Padłem na stertę śmieci leżącą obok kontenera. Były miękkie. Jak najwspanialsza pierzyna. Jakbym zatapiał się w białych obłokach.

*

Całą jesień i wczesną zimę 2014 roku spędziłem w Stanach Zjednoczonych. Tamta sierpniowa noc zakończyła się prawdziwym cudem. Jakiś przechodzień znalazł mnie wycieńzonego, leżącego w stercie śmieci. Ten dobry człowiek wezwał pogotowie. Lekarzom udało się mnie uratować, mimo że jak się okazało, już sama dawka narkotyku, którą Sława mi podała, była w gruncie rzeczy niemal śmiertelna.

Przeżyłem. Jedyne, czego nie udało się uratować, to mój język. Po tym, co z nim zrobiłem nożem Taty, potrzebna była częściowa amputacja (na dobrą sprawę dziwne, że się nie wykrwawiłem w tych śmieciach).

Mama przyjechała do Warszawy, kiedy tylko dowiedziała się, co mi się stało (miałem ze sobą dokumenty, nie było więc problemu z identyfikacją). Płakała nad moim łóżkiem, aż jej niezbyt piękna twarz zrobiła się cała czerwona.

– Nie powinnam była cię tak zaniedbywać – łkała. Jakbym był małym chłopcem, a nie dwudziestoczteroletnim mężczyzną. – Śmierć taty, to wszystko... Przepraszam! Powinnam była

poświęcić ci więcej czasu po jego odejściu. Przepraszam!

Mama mnie przepraszała? Miałem ochotę krzyczeć, ale nie mogłem. Już nie.

Mama trwała przy mnie również podczas całego detoksu. Nie opuszczała mnie ani na moment, kiedy moim ciałem wstrząsały fale niewyobrażalnego cierpienia. Potem, kiedy było już po wszystkim, postanowiła wysłać mnie do Stanów Zjednoczonych. Do jednej z ekskluzywnych klinik odwykowych.

*

Miejsce w tym przybytku załatwili mi jacyś dalecy krewni Taty. Bogata rodzina, która mieszkała w Nowym Jorku. Gdyby nie ich wstawiennictwo, nigdy nie mógłbym się tam dostać (na miejsce czekało się kilka, a nawet kilkanaście miesięcy).

Ceny też były kosmiczne. Za miesiąc leczenia Mama zapłaciła pięćdziesiąt tysięcy dolarów (podejrzewam, że amerykańska rodzina Taty ją wspomogła. Po tym, jak Diana nas spłaciła, jesteśmy zamożni, ale chyba nie aż tak, żeby lekką ręką wydawać taką kwotę).

Cały październik spacerowałem po smaganym wiatrem brzegu Atlantyku. Głównie patrzyłem na fale i cieszyłem się z samotności. Inni mieszkańcy ośrodka rzadko wychodzili poza teren. Było tam wielu celebrytów. Być może obawiali się paparazzich czekających w pobliżu bramy wyjazdowej?

Ja nie miałem znanej twarzy, mną nikt się więc nie przejmował. Na początku zrobiono mi co prawda kilka ujęć. Chyba tak na wszelki wypadek. Wkrótce jednak paparazzi zupełnie stracili zainteresowanie mną i dali mi spokój.

Mój terapeuta (w ośrodku każdy miał swojego, w końcu cena zobowiązuje!) pochwalał te moje przydługie nadmorskie przechadzki.

– Jeżeli to ci pomaga, rób to – powtarzał z silnym teksaskim akcentem. Te słowa zdawały się wytartym banałem, ale mimo to jakoś podnosiły mnie na duchu.

Nie wszystko, co mówił, ocierało się o truizm. Czasem wśród psychologicznego bełkotu udawało mi się wyłowić kilka

znaczących zdań. Staralem się słuchać go uważnie. Dzięki niemu, nad miską jakiegoś zdrowego jedzenia (o naszą zbilansowaną dietę również bardzo dbano), zrozumiałem, że mój związek ze Sławą jest destrukcyjny. Że nie ma dla nas wspólnej przyszłości.

Kochaliśmy się, to prawda. Nie mogłem powiedzieć, że nie. Tylko że chyba prowadziliśmy się do brzegu wielkiego urwiska (to też słowa tego Teksańczyka). Byliśmy już naprawdę blisko krawędzi (przynajmniej ja). Jeżeli będziemy dalej iść ramie w ramie, to oboje spadniemy.

Zrozumiałem, że tak dalej być nie może. Że to, co nas kiedyś połączyło, jest piękne, ale trzeba to zakończyć. Z tego też powodu, mimo że miałem dostęp do internetu, a Sława przesyłała mi po kilka maili dziennie, nawet ich nie otwierałem. Każdy kolejny dzień nad szarym, jesiennym oceanem utwierdzał mnie w przekonaniu, że postępuję prawidłowo. To dodawało mi sił.

*

Kiedy skończyłem terapię w ośrodku, rodzina Taty przyjęła mnie do siebie. Mieszkali w elegancko umeblowanym apartamencie na Manhattanie. Spędziłem tam pochmurny listopad i nadzwyczaj śnieżny grudzień. Spacerowałem samotnie po Central Parku. To pomagało mi równie dobrze jak wcześniej bezkresny ocean.

Zacząłem czuć się coraz lepiej. Mniej też myślałem o Sławie. Nadal ignorowałem jej maile, więc nie wiedziałem, jak to wszystko się dla niej skończyło. Tak chyba było lepiej.

W Nowym Jorku stopniowo odzyskałem chęć do dalszej pracy nad moim projektem sukienki. Wyczekiwałem powrotu do domu. Czulem, że dam już radę na nowo żyć. Że jestem gotowy.

*

Wróciłem do kraju na początku tego roku, Pani Klementyno. Mama zrobiła mi niesamowitą niespodziankę. Niedaleko naszej rodzinnej rezydencji wybudowała mi klimatyczną pracownię krawiecką. Z miejsca zakochałem się w jej

atmosferze i cudownym szyldzie „Atelier Michała Rakowskiego”, który wisiał nad drzwiami (sama Pani widziała, Klementyno, że to prawdziwy majstersztyk).

Kiedy wszedłem tam po raz pierwszy, emocje dosłownie mnie przytłoczyły. W środku było wszystko, czego potrzebowałem, żeby szyć. Co najważniejsze zaś, na stole czekała na mnie sukienka. To była ta, której nie ukończyłem, zanim to wszystko się stało! Była symbolem dawnego życia. Dawnego mnie.

Zobaczyć tę sukienkę... To było wielkie przeżycie (dodam, że niekoniecznie przyjemne). W tamtej chwili uświadomiłem sobie chyba ostatecznie, że to, co było, nigdy już nie wróci. Dawny ja nie wrócę. Nie odzyskam tego, co nieodwracalnie straciłem przez swoją głupotę i przez Sławę. Ale przynajmniej żyłem. To było najważniejsze. To nadal jest najważniejsze. Życ.

Na tyłach pracowni Mama urządziła mi mieszkanie. Ucieszyłem się, bo po raz pierwszy w życiu byłem na swoim. Żeby mi dodatkowo pomóc, Mama zatrudniła dwie gospodynie (pracują, jak Pani wie, Klementyno, na zmianę). Jedna z nich to dawna przyjaciółka Mamy, Edyta Sadowska, druga to dochodząca ze wsi Iga Bogusz.

Od początku zdawałem sobie oczywiście sprawę, że te dwie kobiety (co do Bogusz nie byłem pewien, ale Sadowska na pewno!) miały mnie dyskretnie pilnować. Rozumiałem Mamę. Przecież zawiodłem nie tylko Tatę, ale także i ją. Bardzo. Na pewno miała w głowie słowa, które Tata tak często powtarzał: „Ćpunom nie można ufać”.

*

Rozumiałem to, więc postanowiłem pójść o krok dalej. Sam zapisałem się na półtoramiesięczną terapię do przychodni prowadzonej przez doktora Doriana Witkowskiego. Tak naprawdę czułem, że już tego nie potrzebuję. Że poradzę sobie sam. Wiedziałem jednak, że Mama będzie spokojniejsza i się ucieszy, że poważnie traktuję nowy etap w swoim życiu.

Co zaskakujące, sesje u doktora Witkowskiego spodobały mi się. Dorian jest zdecydowanie bardziej konkretny niż terapeuta, z którym pracowałem w Stanach. Witkowski jest dziwnym,

kolorowym człowieczkiem, ale zna się na swoim fachu. Nie naciskał na mnie. To przede wszystkim. Zadawał dobre pytania i, co najważniejsze, w odpowiednich momentach. To mi wystarczało.

*

Tak więc jeszcze na początku tego roku byłem szczęśliwy, Pani Klementyno. Miałem swoje własne atelier, wróciłem do szycia (skończyłem tamtą sukienkę, ale nie wyszła perfekcyjnie, dlatego dalej próbowałem), chodziłem na konstruktywną terapię.

Tak było w styczniu. Niestety dokładnie pierwszego lutego wszystko się skończyło. Pojechałem wtedy do Brodnicy, żeby kupić kilka rzeczy w znajomej już pasmanterii. Sława szła ulicą. Prosto na mnie. To było jak déjà vu. Zupełnie jak kiedyś dawno, dawno temu.

Nie mogłem się ukryć. To by było dziwne. Dziecinne. Poza tym chciałem spróbować zmierzyć się z tym problemem. To był test dla mnie (wcześniej czy później i tak pewnie by do tego doszło – to nie jest wielkie miasto).

Sława pomachała, kiedy tylko mnie zobaczyła. Trudno było nie dostrzec jej zimowej bladości. Czar jakby zupełnie przysł. Nie wiedziałem, dlaczego kiedykolwiek przypominała mi Połę Negri. Teraz widziałem, że rysy ma zupełnie pospolite. Żadnego podobieństwa. Nic.

– Cześć – powiedziała wesoło. Twarz jej się przy tym rozjaśniła. Bladość zdawała się dzięki temu jakby mniejsza. Wyglądało na to, że autentycznie cieszy się na mój widok.

Skinąłem głową (nie mogłem przecież odpowiedzieć). Sława potraktowała to chyba jako oziębłe przywitanie (nie wiedziała, co mi się przytrafiło z językiem), bo z miejsca mina jej zrzedła. Poczulem ukłucie wyrzutów sumienia, że Ją zostawiłem samą tamtej sierpniowej nocy, że nie odpowiadałem na wiadomości, które mi przez ostatnie miesiące wysyłała. Uznałem, że jestem jej chyba winny chociaż odrobinę wyjaśnienia. Chociaż kilka słów.

Wyciągnąłem notes (jak Pani wie, Klementyno, zawsze go

teraz ze sobą noszę, żeby porozumiewać się z ludźmi). Opisałem Sławie pokrótce, co się stało tamtej sierpniowej nocy w moje urodziny. Napisałem też, co było później. O odwyku, pobycie w Stanach i tak dalej.

– Otwórz usta – poprosiła, jakbyśmy nie znajdowali się na środku ulicy.

Rozejrzałem się niepewnie. Nie chciałem pokazywać tego, co zostało z mojego języka. Jeszcze w Stanach zdarzało mi się spędzać długie godziny przed lustrem. Otwarcie ust było bolesne (nie tyle fizycznie, bo ten ból już dawno minął, ile psychicznie) i intymne. To nie było coś, co chciałem zrobić na środku miasta.

– No pokaż – nalegała Sława.

Chciałem Ją zbyć. Napisałem więc, że muszę już iść. Słowo pisane ma jednak znacznie słabszą moc niż mówione. Przynajmniej w takich sytuacjach. Mogłem oczywiście po prostu odejść, ale patrzyła na mnie tak, że nie potrafiłem tego zrobić.

Pogładziła mnie delikatnie po twarzy. Chyba dla dodania otuchy. Wyszło to dokładnie tak, jak to robiła kiedyś (dawno, na samym początku, kiedy jeszcze nasze wspólne życie było całkiem niewinne, przed narkotykami).

Otworzyłem usta na moment i szybko zamknąłem. Staliśmy przez chwilę w ciszy. To było krępujące. Chyba i dla mnie, i dla niej.

Co u ciebie? – napisałem.

Milczenie się przedłużało, poczułem się więc w obowiązku to zrobić. Gdybym mógł mówić, starałbym się przybrać zniechęcający ton (taki, który mówi, że naprawdę się spieszę, ale chcę być uprzejmy). Niestety na kartce nic z tego nie dawało się przekazać.

Sława uśmiechnęła się natychmiast. Wydawała się zachwycona moim zainteresowaniem jej osobą.

– Chodźmy do kawiarni. Wszystko ci opowiem! – zawołała wesoło. Zupełnie jakby przed chwilą (i przez ostatnie miesiące) nic takiego się nie stało. – Chodź!

Nie mogę – napisałem, ale to Jej nie przekonało.

Pociągnęła mnie za sobą do Kameleona niedaleko baszty. Zamówiła nam specjalność zakładu, czyli tort bezowy. Kręciłem głową, że nie chcę, ale to znowu nie poskutkowało.

– Zastanawiałam się, gdzie byłeś – powiedziała, kiedy kelnerka postawiła przed nami talerzyki. Ciasto wydawało mi się teraz odrażające. Zupełnie nie rozumiałem, dlaczego kiedyś je lubiłem. – Próbowałam się z tobą skontaktować, ale nie odpowiadałeś na moje maile!

W głosie Sławy pojawiła się ledwie dosłyszalna nutka wyrzutu.

Na odwyku nie miałem kontaktu ze światem zewnętrznym. Wymóg tego ośrodka, gdzie byłem – napisałem szybko. To oczywiście nie była prawda. Nie mogłem jednak jej powiedzieć, że zwyczajnie ignorowałem jej wiadomości.

– Nie zjesz? – Podsunęła mi talerzyk z ciastem. – Za pierwszym razem jedliśmy ten tort. Na naszej pierwszej randce. Pamiętasz? Nie chcesz chociaż kawałka?

Pokręciłem głową. Od czasu historii z językiem żywiłem się właściwie tylko zmiksowanymi papkami (częściowa utrata języka utrudniała nie tylko mowę, ale też normalne jedzenie). Moje życie drastycznie się zmieniło. Spojrzałem na Sławę spod oka. Przez nią. Tak to czułem. Że to Jej wina. To ona wprowadziła mnie w świat narkotyków. To ona zabrała mnie do Warszawy, gdzie to wszystko się stało. To Jej specyfiki o mało mnie nie zabiły.

Sława odsunęła talerzyk na bok i pochyliła się do mnie. Znowu uśmiechnięta.

– No ale pytałeś, co u mnie. Nic się nie stało. Mówię o sierpniu – uściśliła. – Ten projektant to mój dawny klient. Nie wniósł żadnego oskarżenia, że poniszczyłeś mu te rzeczy. Nie był oczywiście zadowolony, ale jakoś go udobruchałam. Lubi mnie. Nie chciał robić kłopotów mojemu mężowi.

Zadławiłem się niemal własną śliną. Mężowi? Chciałem zaprotestować. Tym bardziej że w ustach Sławy zabrzmiało to poważnie. Jakbyśmy co najmniej wzięli ślub kościelny w Watykanie, a nie naćpani przecięli sobie skórę. Nie podobało mi się, dokąd to zmierza. Naprawdę bardzo chciałem już wyjść

z tej restauracji. Jak najdalej od Sławy i dawnego życia.

MUSZE JUŻ IŚĆ – napisałem znowu. Tym razem wielkimi literami (żałosna namiastka krzyku). Kiwnąłem też na kelnerkę i położyłem banknot na stole.

– To kiedy widzimy się znowu? – zapytała Sława niezrażona.

– Może podskoczę do ciebie? Ode mnie z Lipowa to niedaleko. Zawsze mogę być u ciebie. Kiedy tylko zechcesz. To kiedy?

Zamarłem. Tego pytania bardzo się obawiałem. Co miałem odpowiedzieć? Przecież tak naprawdę nie chciałem jej już nigdy widzieć. Wybrałem opcję najbardziej tchórzliwą. Wiem.

Moja Mama przydzieliła mi dwie kobiety, które mnie szpiegują – napisałem.

Jak już Pani tłumaczyłem, Klementyno, to nie była do końca prawda, bo ani Sadowska, ani Bogusz tak naprawdę nie mieszały się w moje życie zbyt czynnie (nawet jeżeli Sadowska naprawdę miała mnie pilnować, robiła to bardzo dyskretnie).

– Cholera jasna, biedaczku – zaśmiała się Sława, znowu gładząc mnie po twarzy. – No ale u ciebie i tak nigdy nie mogliśmy się spotykać. Kochanie, przecież jak zawsze możesz przyjść do mnie i będzie pięknie. Czekałam na ciebie tak długo. Nareszcie będziemy znowu szczęśliwi!

Byłem zrozpaczony. Przecież od kilku miesięcy byłem zupełnie czysty. Piłem niegazowaną wodę i jadłem zmielone na gęstą papę warzywa. Wzór cnót. Zacząłem nawet trochę ćwiczyć (może gdzieś podświadomie chciałem zadowolić Tatę?). To byłem nowy ja. Nowe życie. Nie chciałem wracać do starego. Za żadną cenę!

Sława patrzyła na mnie wyczekująco. Powinienem był to wtedy skończyć, ale znowu stchórzyłem.

Może spotkamy się w tej restauracji za tydzień? – napisałem. Wmawiałem sobie, że to dobre rozwiązanie. Że zyskam na czasie i pomyślę, co dalej.

Sława zmarszczyła brwi, ale skinęła głową.

*

Spotkaliśmy się tydzień później tak, jak ustaliliśmy. Sława znowu wyglądała na niezmiernie szczęśliwą, że mnie widzi. Ja

z kolei odwrotnie. Jeszcze bardziej utwierdziłem się w przekonaniu, że między nami koniec. Niestety znowu zabrakło mi odwagi, żeby powiedzieć to wprost. Przetrwiałem całe spotkanie i bojaźliwie przesunąłem oznajmienie jej, że to koniec, na kolejny tydzień. Tchórz!

Powtarzałem sobie w myślach, że następnym razem już naprawdę muszę zamknąć ten etap. Nie mogę Sławy dalej zwodzić. Mimo wszystko to nie w porządku. A że to naprawdę koniec, byłem pewny. Dla Sławy nie było w moim nowym życiu miejsca. Nie teraz, kiedy wszystko szło ku lepszemu! Nie teraz, kiedy znowu pracowałem nad sukienką (coraz bliższą ideałowi!).

*

Tak się złożyło, że tydzień później wypadły akurat walentynki. Wszędzie serduszka, różyczki, bombonierki, prezenciki. Powie Pani pewnie, Klementyno, że to najgorszy dzień, żeby z kimś definitywnie zerwać. Wiem...

Wtedy też zdawałem sobie sprawę, że to będzie aż nazbyt okrutne. Czuję jednak, że jeżeli nie zakończę tego teraz, już nigdy nie znajdę w sobie siły. Że jeżeli w tej chwili tego nie zrobię, wrócę do punktu wyjścia. Terapia i wyjście z nałogu... Wszystko na marne. Musiałem powiedzieć Sławie, że to koniec. Pieprzyć walentynki.

Znowu spotkaliśmy się w Kameleonie. Wokół nas siedziały pary zakochanych. Wszyscy mieli zaróżowione twarze albo od zimna, które panowało na zewnątrz, albo też z miłości. Sława się uśmiechała i znowu wyglądała zdecydowanie mniej blade. Zrobiła sobie chyba nawet dyskretny makijaż, mimo że tego nie lubiła (na ten widok prawie zrezygnowałem z przeprowadzenia planu).

Tak, chciałem zrezygnować (znowu wylazł ze mnie tchórz). W pewnym momencie zwróciłem jednak uwagę na Jej źrenice. Były tak wielkie, że tęczęwki prawie zniknęły. Wiedziałem, co to oznacza. Sława znowu zażyła jakąś swoją tabletkę. Z miejsca poczułem odrazę (co mnie do pewnego stopnia nawet ucieszyło!). Chciałem zacząć nowe życie. Naprawdę. Z całych

sił! Nie było tam miejsca dla ćpunkki.

Wyciągnąłem notes i położyłem go na blacie stołu z głośnym hukiem. Mężczyzna przy sąsiednim stoliku spojrział na mnie zaskoczony. Zignorowałem go. Całą uwagę skupiłem na pisaniu. Kiedy skończyłem, podsunąłem notatnik Sławie. Napisałem, że nie możemy być razem i że to moja ostateczna decyzja. Podkreśliłem to dwa razy, żeby nie było wątpliwości.

Sława przeczytała moją wiadomość, ale nie odpowiedziała. Odsunęła tylko brulion z powrotem w moją stronę.

Życzę ci jak najlepiej i dziękuję za nasz wspólny czas – dopisałem więc po chwili. Miałem nadzieję, że to jakoś złagodzi napięcie.

– Doprawdy? – powiedziała.

W jej oczach dostrzegłem łzy. Broda zaczęła Jej drżeć. Miałem wrażenie, że nic nie powstrzyma fali płaczu, która najwyraźniej się zbliżała. Położyłem rękę na Jej ramieniu pocieszająco. Odtrąciła ją.

Znowu poczułem odrazę. Nie miałem ochoty tego ciągnąć. Przecież nie musiałem. Postanowiłem więc wykorzystać sytuację. Wiem, że to było tchórzliwe i niezbyt męskie, ale wstałem szybko i wyszedłem z restauracji (zapomniałem nawet płaszcz, który powiesiłem na oparciu krzesła).

Zimno na zewnątrz było piekące, ale nie przejmowałem się tym. Chciałem szybko dotrzeć do domu. Nareszcie byłem wolny. Mogłem podjąć pracę nad sukienką. Mogłem dokończyć terapię. Życ. Życ. Życ. Udało się. Uwolniłem się od Sławy na zawsze.

*

Po tym feralnym czternastym lutego dostałem od Sławy kilka maili. Przekonywała, że rozumie moją decyzję, ale nie ma powodu, żebyśmy nie mogli po prostu być przyjaciółmi. Wahałem się, czy odpisać. W końcu jednak postanowiłem, że nie powinienem. Że przecież skoro chcę zerwać z nią kontakt, nie mogę dawać Sławie fałszywych nadziei.

Tak więc pozostawiłem jej wiadomość bez odpowiedzi. I tę pierwszą. I tę drugą. I kolejne. Mimo to Sława nie rezygnowała.

Pisała do mnie co najmniej raz dziennie. To były informacje na każdy temat: co jadła na obiad, że widziała fajny film, że debata polityków w telewizji ją rozwścieczyła. Nie mogłem oprzeć się pokusie. Czytałem te maile, mimo że wcześniej (jeszcze kiedy byłem w Ameryce) nigdy tego nie robiłem. Znowu tchórzostwo.

*

Pod koniec lutego miałem ostatnie spotkanie w cyklu terapii z doktorem Witkowskim. Kiedy minęła ta ostatnia godzina, poklepał mnie po ramieniu. Jakby chciał mi pokazać, że jestem wzorowym uczniem.

Zauważyłem, że wielu ludzi tak mnie teraz traktuje. Próbuje przekazać mi coś, starając się nie używać do tego głosu. To tak jak kiedy ktoś ma chrypę i szepcze, a potem wszyscy odpowiadają mu szeptem, mimo że nie ma po temu właściwie żadnych racjonalnych powodów. Wyglądało na to, że ludzie odczuwają potrzebę, żeby komunikować się ze mną na migi (jakby to oni wszyscy stracili możliwość mowy).

Uśmiechnąłem się, choć czułem z tego powodu irytację. Lubiłem doktora Witkowskiego i nie miałem ochoty się kłócić. Wiedziałem, że chce dobrze.

– Słuchaj, Michał – odezwał się nieoczekiwanie, kiedy stałem już w drzwiach wyjściowych z przychodni.

Spojrzałem na niego pytająco (byliśmy sami, bo recepcjonistka dawno już wyszła).

– Mam prośbę – powiedział Witkowski. – Jedna z moich pacjentek też wychodzi z nałogu. Nazywa się Sabina. Pomyślałem, że może mógłbyś spędzić z nią trochę czasu. Myślę, że kontakt z kimś, kto też przez to przeszedł, może być dla niej zbawienny. Nie chodzi mi o wiele. Godzina tygodniowo. Coś takiego. Jeżeli oczywiście masz czas. Zobaczysz, Sabina to wesoła osoba. Będziecie się dobrze bawić, a ciebie na pewno bardziej posłucha niż mnie, starego pryka.

Na jego twarzy malowała się pewność, że odmówię. Właściwie nie miałem żadnego obowiązku pomagać (a może nawet to było wbrew etyce?). Nagle jednak kontakt z osobą, która być może zrozumie mnie, wydał mi się niesłychanie kuszący. Zgodziłem

się.

Nigdy nie pożałowałem. Sabina była... Nie znałem nigdy osoby równie pozytywnie nastawionej do życia. Miała rude włosy i piegi, które (muszę to przyznać) wyglądały bardzo uroczo. Spotykaliśmy się w każdy piątek. Rozmawialiśmy (a właściwie ja pisałem, a ona mówiła) o wszystkim.

Czułem się szczęśliwy. Myślałem, że już tak teraz będzie.

Wtedy właśnie maile od Sławy zmieniły zupełnie swój charakter. Tak jakby skądś wiedziała, że zacząłem się spotykać z Sabiną. Maile nie były już neutralne i przyjacielskie. O nie. Teraz aż ociekały złością.

Przypomniałem sobie wszystkie sceny zazdrości, które Sława kiedyś mi urządziła (w tym najgorszym czasie, już Pani pisałem wcześniej, Klementyno). Dobrze znałem ten ton. Tym bardziej cieszyłem się, że podjąłem właściwą decyzję i nasz związek był już przeszłością.

*

Mniej więcej w tamtym czasie postanowiłem, że pozbędę się problemu i zwyczajnie założę nową skrzynkę mailową. Otwieranie starej i sprawdzanie poczty codziennie rano zaczęło bowiem przyprawiać mnie o nieprzyjemny dreszcz (już kiedy otwierałem okno przeglądarki, bałem się, co tam zastanę, ile ociekających jadem wiadomości od Sławy będzie na mnie czekało). No i po co mi ten stres? Nic złego przecież nie zrobiłem. Koniec! Nie musiałem się tak męczyć. Wystarczyło otworzyć wyszukiwarkę i założyć nowe konto, którego adresu Sława nie będzie znała.

Proste.

*

Mój cudownie prosty plan miał niestety swoje konsekwencje. Proszę w to wierzyć lub nie, Pani Klementyno, ale kiedy nadszedł maj, właściwie nie wychodziłem już z mojego atelier! Zapyta Pani pewnie, Klementyno, dlaczego. Otóż bałem się!

Robiłem wyjątek tylko dla spotkań z Sabiną. No i potem z Łukaszem Strzałkowskim (chłopak był kolejnym z moich

podopiecznych, poleconych mi przez doktora Witkowskiego). Z Łukaszem spotykałem się w czwartki (z Sabiną nadal w piątki) od czternastego maja.

Chłopak bardzo się starał udawać narkomana. Mnie jednak nie mógł zwieść (niestety za dużo sam o tym wiedziałem, żeby dać się nabrać). Te jego próby były dość żenujące, a przez to trochę rozczulające. Głównie dlatego, że (przynajmniej w moim odczuciu) Łukasz nigdy nie wypalił nawet marnego skręta. Co dopiero mówić o twardym towarze. Przypominał mi mnie samego jeszcze sprzed czasu, kiedy spotkałem Sławę. Był niewinny.

Mimo to (a może właśnie dlatego!) Łukasz niezmiernie mnie irytował (w tamtym czasie byłem w takim stanie psychicznym, że mało co mogłem ścierpieć). Na drugim spotkaniu z trudem znosiłem jego kiepskie kłamstwa (których celu nie rozumiałem, bo nigdy nie zdecydował się mi zwierzyć). Zacząłem więc go karmić najgorszymi historiami dotyczącymi dragów, jakie kiedykolwiek słyszałem. Kilka razy też pokazywałem mu to, co zostało z mojego języka. Skoro chciał się w to bawić, niech ma. Tak sobie wtedy pomyślałem.

Łukasz mnie irytował, ale jednocześnie stanowił towarzystwo, którego potrzebowałem, żeby się odważyć wyjść z domu (za co byłem mu wdzięczny).

W inne dni teoretycznie mogłem oczywiście prosić Sadowską albo Bogusz, żeby towarzyszyły mi podczas wyjść. Nie chciałem. Czułbym się z tym źle. Jakby odarty z męskości. Gdybym otwarcie poprosił o pomoc, przyznałbym, że jestem ofiarą. Nie byłem na to gotowy. Sprawę utrudniał fakt, że miałem wyrzuty sumienia. Przecież to wszystko poniekąd była moja wina.

*

Dlaczego tak bałem się wychodzić?

Jak już wspominałem wcześniej, zaczęło się od zmiany tonu w mailach Sławy. Kiedy założyłem nową skrzynkę, problem zniknął. Te ociekające złością słowa już mnie nie dotyczyły. Wydawało mi się, że to będzie koniec moich kłopotów.

Bardzo się myliłem. Wkrótce zrobiło się jeszcze gorzej. Już jakoś tak w połowie marca zacząłem się na Sławę natykać, gdziekolwiek wyszedłem. Pojawiała się znikąd. Czasem nie odzywała się do mnie, tylko za mną szła. Innym razem zaczynała rozmowę (mimo że nie odpowiadałem na Jej zaczepki). Próbowwała przekonywać. Namawiała.

– Jesteśmy dla siebie stworzeni, pamiętasz? – powtarzała to tysiące razy. Czasem tym swoim okropnym, innym głosem. – Ja i ty. Razem. Do końca. Wiem, że mnie kochasz. Tak jak i ja ciebie. Wiem.

Kręciłem głową, że nie. Staralem się iść szybko. Często niemal biegłem. Zawsze jednak Sława jakoś dawała radę mnie dogonić.

– Michałku, po co te kłamstwa? – pytała wtedy słodko. – Przecież wiem, że mnie kochasz.

*

Na początku Sława starała się mnie przekonać o uczuciu, które rzekomo do niej żywię. Z czasem jednak znowu zmieniła ton.

– Pożałujesz tego – syczała (robiła to tak cicho, żebym tylko ja mógł ją usłyszeć), ale do przechodniów uśmiechała się szeroko. Jakby nigdy nic. – Ty albo ta twoja suka!

Stopniowo zaczęło mnie przerażać każde samotne wyjście. Wiedziałem, że to skończy się spotkaniem z Nią. Że Sława gdzieś na pewno się przyczaiła. Była tylko drobną kobietką, ale z jakiegoś powodu mój lęk ciągle narastał. Aż miałem na tym punkcie jakąś fobię. Tak naprawdę to nie wiem, czego konkretnie się bałem, ale to był lęk, który wypełniał moje ciało po brzegi. Niezdefiniowany, nienazwany, ukrywany. Przez to jeszcze gorszy.

Zacząłem mieć trudności ze snem. Leżałem godzinami, nasłuchując. Jakbym spodziewał się, że Sława dostanie się do mojego domu. Kiedy już udało mi się zasnąć, nie przynosiło to spodziewanej ulgi. Dręczyły mnie koszmary. Głównie dotyczyły Sławy i naszej ostatniej nocy tamtego sierpnia. Tam w Warszawie. Znowu miałem te wizje, które wywołała jej pigułka. Jakby jakieś reminiscencje.

Byłem tak zestresowany tym prześladowaniem i zmorami, które budziło, że ciężko było mi skoncentrować się na szyciu. Z czasem wspomnienia tamtej sierpniowej nocy w Warszawie powracały nawet w ciągu dnia. W najmniej oczekiwanych momentach pojawiały się obrazy postaci złożonej z niepasujących do siebie fragmentów porozbijanych manekinów.

Znowu widziałem przy tym twarz Taty. A na niej zawód, rozczarowanie, chęć mordu. Czuję te same (trudne do zniesienia) emocje co wtedy w zdemolowanej przeze mnie pracowni projektanta. Próbowałem o tym nie myśleć, ale nie potrafiłem (jak to często bywa, im bardziej się starałem, tym bardziej miałem to przed oczami).

*

Ogarnięty desperacją postanowiłem spróbować odwrotnej taktyki. Zacząłem perwersyjnie rozkładać tamte chwile na czynniki pierwsze. O dziwo, rzeczywiście przyniosło to pewną ulgę, więc poszedłem o krok dalej. Postanowiłem robić lalki, które miały upamiętniać to, co wtedy zobaczyłem. Ohydna postać złożoną z niepasujących do siebie fragmentów. Pomagało, ale nie na długo. Dlatego robiłem kolejne lalki i kolejne. Nienawidziłem ich (nadal tak jest!).

Jedyne, co w tamtym okresie trzymało mnie przy życiu, to myśl, że jestem komuś potrzebny. Że nie jestem taki bezwartościowy. Że przynajmniej pomagam Sabinie wyjść z nałogu. A może nawet w jakimś stopniu dawałem wsparcie temu irytującemu Łukaszowi.

Prześladowanie prowadziło mnie na granice obłądzenia. Nie chciałem zgłaszać sytuacji na policji (ani tym bardziej niepokoić Mamy). Bo co mógłbym powiedzieć? Że jestem ofiarą kobiety? Takiej drobnej? Niewinnej? Wyśmiano by mnie! Nie byłem na to gotowy... Wymoczek. Pedał. Tata miał rację, kiedy tak mówił. Często wtedy myślałem, że gdybym był taki jak Krzywy, na pewno bym sobie poradził.

Jeszcze jedno mnie powstrzymywało. Co tak naprawdę mogłem Sławie zarzucić? O co ją oskarżyć? Że chodzi tymi

samymi ulicami co ja? To nie jest zabronione... Sytuacja wydawała się patowa. Nie, nie wydawała się, była patowa.

*

Tak wyglądało moje życie do środy dwudziestego siódmego maja. Wtedy nastąpił moment absolutnie kryzysowy. Aż do tamtego dnia Sława nigdy nie weszła do mojego atelier. Wiedziałem oczywiście, że czai się często w pobliżu (najczęściej kryła się w zaroślach po drugiej stronie drogi). Nigdy jednak nie odważyła się przekroczyć progu.

Do tamtego dnia.

Pamiętam, jakby to było dosłownie przed chwilą. Pracowałem właśnie nad sukienką. Zważywszy na stres i zdenerwowanie, całkiem dobrze mi szło (niedawno skończyłem kolejną lalkę i dzięki temu koszmar wspomnień nieco zelżał. Mogłem bardziej się skupić, a ręce mniej drżały).

Pracowałem właśnie nad wykrojem, kiedy usłyszałem dzwonki w drzwiach (Mama powiesiła je tam, żeby było jak w staromodnych sklepach). Lubiłem ich dźwięk. Był melodyjny, lekki. Zwykle zwiastowały pojawienie się kuriera z nowymi belami materiałów (albo ostatnio elementami do robienia lalek). Zwiastowały dobrą nowinę.

Aż do tamtego dnia.

Podniosłem głowę. Z uśmiechem. Kiedy zobaczyłem w drzwiach Sławę, mój uśmiech zniknął. Rozejrzałem się w poszukiwaniu pomocy. Bez sensu. Zostałem w pracowni sam. To była ostatnia środa miesiąca, a więc Edyta Sadowska już się ulotniła, żeby przypadkiem nie spotkać sędziego Jaworskiego (zawsze tak robiła, kiedy sędzia odwiedzał Mamę). Byłem sam.

– Cześć, kochanie – powiedziała Sława, wchodząc.

Kiwnąłem głową, chociaż czułem, że mięśnie tężeją mi z nerwów. Trudno mi było teraz uwierzyć, że kiedyś Ją kochałem.

Sława zaczęła przechadzać się po pracowni. Oglądała sukienki (miałem ochotę strząsnąć jej dłoń z materiału, jakby sam jej dotyk mógł wszystko zniszczyć). Potem zauważyła lalki, które poustawiałem na zapleczu za parawanem. Zrozumiała je

zdecydowanie opacznie.

– A więc jednak tęskniłeś! – zawołała. Na jej twarzy zobaczyłem wyraźną euforię. – Tęskniłeś do naszej ostatniej wspólnej nocy w twoje urodziny! Miałam rację! Dlaczego jesteś taki nieśmiały? Michał? Dlaczego nie chcesz przyznać, że musimy być razem? Że mnie kochasz, tak jak ja ciebie!

Stałem oniemiały (co w przypadku osoby, która nie ma języka, wcale nie jest trudne, jak Pani wie, Klementyno). Nie byłem pewien, co mogę w tej sytuacji zrobić. Roztrzaskać lalki? Wypchnąć Sławę z pracowni? Tak, mogłem oczywiście to zrobić, ale z jakiegoś powodu nie potrafiłem się ruszyć ani o milimetr.

– Wiedziałam – powtarzała Sława, gładząc lalki z czułością (dziwiłem się, że chce ich dotykać. Ja czułem do nich tylko wstręt). – Wiedziałam, że mam rację!

Z odrętwienia wyrwał mnie dźwięk przychodzącego SMS-a. To były dwa krótkie ćwierknięcia, które przypominały gwizdanie. Delikatny dźwięk, ale teraz wydawał mi się niczym grzmot. Sięgnąłem po telefon leżący na stole i zerknąłem na wyświetlacz. Mama pytała, czy chciałbym przyjąć u siebie sędziego Jaworskiego. Mogłem się domyślić.

Ten schemat powtarzał się co miesiąc. Po rozprawie w sprawie śmierci Taty Mama kontynuowała znajomość z Jaworskim. Co więcej, odkąd sędzia przestał pracować, wspierała go finansowo. Krótko mówiąc: utrzymywała go. Trzeba przyznać, że nie brał wiele, ale nie zmieniało to faktu, że przecież Mama nic mu nie była winna. To, że skazał Longina Grzelaka i jego kierowcę na więzienie, nie było przecież przysługą wyświadczoną naszej rodzinie, ale jego obowiązkiem jako sędziego. Jaworski wykonywał tylko swoją pracę.

Niestety od czasu rozprawy obsesja Mamy na punkcie zemsty za śmierć ojca nie zmalała (z przerwą na czas rozwiązywania moich kłopotów z uzależnieniem!). Czas wcale nie leczył jej ran. Nie rozumiałem tej fiksacji. Uważałem, że ona Mamę wyniszcza. Może właśnie dlatego zawsze odmawiałem przyjęcia Jaworskiego u siebie w atelier. Kolejny dziecinny bunt.

Jednak tamtego dnia SMS od Mamy był dla mnie jak

wybawienie. Odpisałem, żeby sędzia przyszedł jak najszybciej.

– Coś istotnego? – zapytała Sława.

Pokiwałem głową. Sięgnąłem po notes.

Przyjdzie tu zaraz bardzo ważny dla mnie człowiek. Człowiek, który pomścił mojego Tatę – napisałem (pomyślałem, że nie zaszkodzi użyć trochę retoryki mojej Mamy). Nazywa się Jakub Jaworski. To były sędzia. Nie wiem, czy pamiętasz.

Sława pokiwała głową. Znała historię śmierci Taty. Był to przecież okres naszej najbardziej intymnej znajomości. Wspomniałem Jej wtedy o Grzelaku i Sokołowie.

Naprawdę musisz iść – dopisałem na koniec. To bardzo ważne spotkanie. Sława patrzyła z powątpiewaniem, więc desperacko uzupełniłem: *Zobaczmy się innym razem.*

Dopiero ta obietnica chyba zdołała ją przekonać.

– Przrzekasz? – zapytała z czułością.

Pokiwałem głową. Kolejne tchórzostwo, ale w tamtej chwili zrobiłbym wszystko, żeby mieć choć moment wytchnienia od jej obecności. Pochyliła się i pocałowała mnie w policzek. Miałem wrażenie, że Jej usta palą. Ulgę przyniosło dopiero skrzypnięcie zamykających się za nią drzwi.

Zanim doszedłem do siebie, dzwonki znowu zadźwięczały. Spojrzałem na drzwi z trwogą, ale tym razem to był sędzia Jaworski. Z rezydencji nie było do mojego atelier daleko i Jaworski zjawił się w kilka minut.

Wyglądał na równie zakłopotanego jak ja. Pewnie wcale nie miał ochoty tu przychodzić (to Mama stale nalegała na te nasze spotkania). Trochę rozumiem jego niechęć. O ile z Mamą mógł przynajmniej porozmawiać (z reguły wyglądało to tak, że bez końca rozprawiali o śmierci Taty i winie Grzelaka, a potem Jaworski wychodził), o tyle ze mną sędzia skazany był na kłopotliwe milczenie.

– Piękne suknie – rzucił zdawkowo, rozglądając się po pracowni.

Była to rozpacзлиwa próba przetrwania tych kilku chwil u mnie. Dobrze wiedziałem. W przypływie jakiegoś impulsu (a może tylko po to, żeby rozładować atmosferę) sięgnąłem po

jedną z sukienek i podałem mu. Dodałem do tego lalkę (przynajmniej mogłem pozbyć się jednej z nich). Przyjął te prezenty, chociaż zdawał się zaskoczony. Dało to pretekst do wymienienia kilku kolejnych zdawkowych uwag (powiedział, że podaruje sukienkę przyjaciółce). Potem mogliśmy pożegnać się bez ryzyka, że ktoś mógłby poczuć się urażony.

Odetchnąłem, kiedy zamknął za sobą drzwi. Znowu byłem sam. Przynajmniej na jakiś czas bezpieczny. Miałem nadzieję, że przez resztę dnia będę mógł odpocząć, a potem wymyślę, co zrobię ze Sławą. Byłem bowiem pewien, że nie zapomni mojej obietnicy.

*

Niestety miałem rację. Zanim zdążyłem podejść do drzwi, żeby zamknąć je na klucz, Sława wpadła do środka jak burza. Najwyraźniej musiała się swoim zwyczajem przycząić w zaroślach (we włosach miała liście, więc to było bardziej niż prawdopodobne).

– Cześć, kochanie – powiedziała równie słodko jak kilkanaście minut wcześniej, zanim odwiedził mnie Jaworski.

Czułem, że ogarnia mnie nieunikniony atak paniki. Chciałem jak najszybciej się Jej pozbyć. Jej nagły powrót stał się chyba ostatnią kroplą w wypełnionej już po brzegi czarze gorzycy. To było o jeden raz za dużo.

Chwyciłem notatnik i napisałem to, co pierwsze przyszło mi do głowy. Gdybym się zastanowił... No ale skąd mogłem wiedzieć, że skazuję Sabinę na śmierć...

Znalazłem moją drugą połówkę – napisałem. Kochamy się. To naprawdę koniec pomiędzy mną a tobą. Przepraszam.

Niewinne kłamstwo. Tak się wtedy wydawało (może rzeczywiście trochę podkochiwałem się w Sabinie, ale na pewno nie była miłością mojego życia). Miałem nadzieję, że te słowa będą dla Sławy ostateczną odmową. Że wreszcie się ode mnie odczepi.

*

Następnego dnia był czwartek, a więc przypadło moje trzecie spotkanie z Łukaszem Strzałkowskim. Nie bardzo miałem ochotę wychodzić z atelier po wczorajszych wydarzeniach. W przypływie dobrych intencji uznałem jednak, że nie powinienem chłopaka zawieść (mimo że nie był ze mną do końca szczerzy, jak już Pani wspomniałem, Klementyno).

Wyszedłem ostrożnie przed pracownię. Byłem pewien, że Sława czai się gdzieś blisko. Rozejrzałem się, ale się nie pojawiła. Bałem się marzyć, że moje wczorajsze kłamstwo na temat Sabiny zadziałało i naprawdę zostawiła mnie w spokoju.

Tym razem umówiliśmy się z Łukaszem na rynku w Brodnicy. O dziwo, dotarłem tam bez najmniejszych przeszkód. Usiedliśmy z Łukaszem na ławce. Z zapalem godnym lepszej sprawy zająłem się analizowaniem skutków zażywania metamfetaminy. Wiedziałem, że chłopak tego gówna na pewno nigdy nawet na oczy nie widział, ale to robiło wrażenie (i pomagało mi skupić myśli).

Przez jakąś chwilę byłem tak tym zaprzątnięty, że o Sławie zapomniałem. Po raz pierwszy od dawna (a na pewno po raz pierwszy, odkąd zaczęła mnie prześladować). Może dlatego aż podskoczyłem, kiedy usłyszałem Jej głos.

– Cześć!

Podeszła do nas. Cała w uśmiechach.

Odwrociłem notes w Jej stronę i napisałem, że jesteśmy zajęci. Sława z miejsca zrobiła tę swoją smutną minę.

– Ale nie ma problemu – zapewnił Łukasz natychmiast. – Siadaj z nami!

Wyglądało na to, że skądś się znali. Pewnie z Lipowa, w końcu oboje stamtąd pochodzili. Tak czy inaczej miałem ochotę go zabić. Rozerwać na strzępy. Nic już nie mogło jednak Jej powstrzymać.

– Wspaniale – powiedziała Sława, siadając obok nas. – Co tam macie?

Przez najbliższą godzinę rozmawiali radośnie z Łukaszem. Jak para przyjaciół. Wbrew sobie poczułem kilka razy nieprzyjemne uczucie zazdrości. Nie wiem, o niego czy o Nią (a może byłem po prostu zazdrosny o to, że tak zwyczajnie

mogli porozmawiać. Tak normalnie, po ludzku. Bez pisania, brudzenia palców tuszem i bólu nadgarstka. Bez konieczności polegania na kartkach. Ja byłem skazany na wieczne milczenie).

– To może wrócimy moim samochodem – zaoferowała Sława na koniec.

Chciałem rzecz jasna odmówić, ale Łukasz podchwycił ten pomysł. Nie chciało mu się wracać pekaesem do Lipowa. W sumie nie ma co się dziwić. Jak Pani wie, Klementyno, ja mieszkam znacznie bliżej Brodnicy, po tej stronie jeziora, więc właściwie mogłem na upartego dojść do domu piechotą.

Jedźcie sami – napisałem. *Muszę jeszcze coś załatwić.*

To było kłamstwo, ale nie mogłem wprost znieść myśli, że spędzę ze Sławą chociaż chwilę dłużej.

– Jak chcesz – odparła z uśmiechem.

Kiedy patrzyłem, jak jej mała terenówka znika za rogiem, nie mogłem wprost uwierzyć we własne szczęście. Szybko jednak pozytywne myśli mnie opuściły. Powrócił lęk, że to wszystko nie wróży nic dobrego. Że Sława na pewno coś planuje. Trudno było uwierzyć, że prześladowanie skończy się z dnia na dzień. Tak po prostu.

*

W piątek rano obudziłem się z myślą, że chyba wiem, jak tę znajomość definitywnie zakończyć. Słowa nie wystarczą (zwłaszcza napisane tylko na papierze). Potrzebowałem demonstracji (obrazy trafiają przecież głęboko do serca).

Tamtego dnia przypadało moje ostatnie spotkanie z Sabiną. Musiałem dobrze je wykorzystać. Byłem pewien, że Sława mnie wczoraj śledziła (mimo że się nie ujawniła), bo jak inaczej tak nagle zjawiłaby się na rynku? Po raz pierwszy miałem nadzieję, że dziś będzie podobnie.

Poszliśmy z Sabiną do parku. Nie pomyliłem się, Sława zjawiła się niewiele później. Przedstawiła się jako moja dawna znajoma. Nie oponowałem. Nie chciałem wzbudzać jej czujności (ani niepokoić niepotrzebnie Sabiny). Po jakimś czasie Sława zostawiła nas samych, ale byłem pewien, że nie

odeszła daleko.

Odprowadziłem Sabinę pod dom.

– Dzięki za wszystko – powiedziała, kiedy stanęliśmy pod drzwiami jej bloku. – Przez te trzy miesiące bardzo wiele mi pomogłeś. Pokazałeś, że mogę...

Pochyliłem się i ostrożnie dotknąłem jej ust swoimi. Drżałem, chociaż z całych sił próbowałem to opanować. Bałem się. To był pierwszy pocałunek od wielu miesięcy (no i pierwszy pocałunek od czasu, kiedy straciłem język). Nie wiedziałem, jak to będzie. Całe szczęście Sabina odwzajemniła pocałunek (choć pewnie był dla niej dziwnym doświadczeniem).

– Słuchaj, Michał... Dajmy sobie może czas, co? – poprosiła cicho, kiedy oderwaliśmy się od siebie. Nie byłem pewien, jak odczytać jej ton. Nie chciała mnie urazić czy może naprawdę tego czasu potrzebowała? – Ja też cię lubię, ale... Zresztą w przyszłym tygodniu wyjeżdżam na kurs dla stylistek.

Pokiwałem głową. Wspominała o tym już wcześniej. Jej zainteresowanie modą bardzo nas do siebie zbliżyło.

– Może spotkamy się za dwa tygodnie w piątek – zaproponowała miło. – Wtedy zobaczymy, czy chcemy próbować coś razem budować. Zgadzasz się?

Pokiwałem głową. Sabina uśmiechnęła się szeroko, a ja do niej. Mimo trudnej sytuacji, kłamstw i manipulacji na potrzeby Sławy, poczułem autentyczną radość.

Randka? – napisałem w notesie.

Sabina skinęła głową.

– Za dwa tygodnie w piątek – podkreśliła raz jeszcze z uśmiechem.

Nigdy więcej już jej nie zobaczyłem.

*

To znaczy nigdy więcej nie zobaczyłem jej żywej. Wiem, że kiedy zobaczy Pani przesyłkę, zapyta Pani, Klementyno, kto to...

Ta głowa...

To Sabina.

Wesoła Sabina Chrzanowska, której jedyną winą było to, że ja

tchórzliwie ją wykorzystałem. Zginęła przez moje kłamstwa i sztuczki. Zginęła, bo nie potrafiłem sobie poradzić ze Sławą.

To ta wariatka ją zabiła! Sława!

Jak ciężko o tym wszystkim pisać... Sprawy zaszły jednak zdecydowanie za daleko. Powinienem był kogoś zawiadomić już dużo wcześniej, kiedy tylko domyślałem się, że to Sława za tym wszystkim stoi...

Może to, że Sława się ze mną nie kontaktowała od piątku dwudziestego dziewiątego maja, uspiło moją czujność? Nie będę jednak oszukiwał. Kiedy tylko w poniedziałek ósmego czerwca usłyszałem w telewizji pierwsze informacje o morderstwach... O inscenizacji w domu sędziego Jaworskiego, a potem o pentagramie wyciętym na jego brzuchu. Wiedziałem już, że to Sława! Powinienem był kogoś zawiadomić, ale się bałem...

Ale teraz...

Może nie zdecydowałbym się opowiedzieć Pani tego wszystkiego, Klementyno, gdyby nie to, że kolejna osoba jest teraz w niebezpieczeństwie. Trzeba ratować Łukasza!

CZEŚĆ ÓSMA

Czwartek, 11 czerwca 2015.

Ciąg dalszy

ROZDZIAŁ 101

Gdzieś pomiędzy jawą a snem.

Czwartek, 11 czerwca 2015.

Łukasz Strzałkowski

Łukasz spróbował otworzyć oczy, ale jego powieki nadal wydawały się zbyt ciężkie. Odetchnął głęboko. Znowu wyraźny zapach igliwia. Próbował się na nim skupić, żeby zebrać myśli.

Myśl! Myśl! Myśl!

Czwartek, dwa tygodnie temu! Pojechali z Michałem Rakowskim na rynek w Brodnicy. Siedzieli na ławce. W upale, który wtedy panował, trudno było robić coś więcej. Rakowski pokazywał Łukaszowi jakiś filmik o uzależnieniu od metamfetaminy.

W pewnym momencie ona podeszła do nich z uśmiechem na ustach. Łukasz znał ją trochę z Lipowa. Tam przecież wszyscy się znali.

– Co za zbieg okoliczności! – powiedziała chyba.

Michał zatrzymał filmik i ścisnął telefon w dłoni. Łukasz bardzo się cieszył, że przerwali oglądanie. Był ostatnią osobą, która kiedykolwiek chciała spróbować mety. Miał już zdecydowanie dosyć tych okropieństw. Robił to tylko, żeby pomóc Konradowi.

To moja znajoma – napisał krawiec w swoim notesie.

– Tak, tak. Dawne dzieje – powiedziała ona, śmiejąc się. – Świat jest mały. Mogę się przysiąc?

Jesteśmy zajęci – odpisał Michał.

– Jasne! Siadaj! – zapewnił szybko Łukasz. Skoro już musiał wytrzymać tę godzinę, wolał rozmawiać z nią niż dalej oglądać idiotyczne filmy. Szczerze mówiąc, miał też nadzieję, że podwiezie go potem do Lipowa. Miała przecież samochód.

Ten samochód. Czwartek! Dziś rano! Łukasz pamiętał, jak wsiadał do samochodu! Potem była już tylko bagnista nieświadomość.

ROZDZIAŁ 102

W drodze do Grzmięcy. Czwartek, 11 czerwca 2015. Klementyna Kopp

Klementyna pędziła swoją małą czarną skodą w kierunku młyna wodnego w Grzmięcy. Samochód podskakiwał na nierównościach drogi. Nie zdejmowała jednak nogi z gazu. Nigdy nie lubiła szybko jeździć, a tu już kolejny raz musiała się na to zdobyć. Nie wahała się. Teraz liczyła się każda sekunda. Przynajmniej jeżeli wierzyć słowom Michała Rakowskiego.

Docisnęła pedał gazu jeszcze mocniej i zredukowała bieg, wyprzedzając błękitną fiestę. Szybciej. Musiała jechać jeszcze szybciej. I tak straciła kilka cennych minut na telefony do komendy. Uznała jednak, że to było konieczne. Tym razem nie ma żartów. Klementyna potrzebowała wsparcia jak nigdy. To, że nie zamierzała na nie czekać, to była zupełnie inna kwestia. Ruszyła od razu spod atelier Rakowskiego mimo wyraźnych zakazów Cybulskiego.

Zerknęła przelotnie w lusterko wsteczne na krawca siedzącego z tyłu. Michał zrobił zbolałą minę. Oczekiwał chyba rozgrzeszenia. Klementyna nie zamierzała mu go dać. Każdy musi sobie radzić, jak umie.

– Wszystko świetnie – syknęła. – Ale! Gdybyś od razu mi pokazał, co było dołączone do tej uroczej przesyłeczki, nie tracilibyśmy czasu na czytanie tego twojego przydługiego poematu. Już byśmy byli na miejscu!

Przed chwilą Kopp zmuszona była przeczytać kilkunastostronicowy elaborat napisany przez Michała. Pełen był podkreśleń, starannie wykaligrafowanych gwiazdek, które dzieliły fragmenty tekstu, i sentymentalnych bredni godnych raczej nastolatki niż młodego mężczyzny. Po przeczytaniu tych

wypocin ogarnęło ją nieprzyjemne wrażenie, że coś tu jest nie tak. I nie chodziło tylko o niezmiernie irytujące zwroty „pani Klementyno”, które młody Rakowski dodawał, gdzie tylko się dało.

Klementyna czuła, że nie wszystko jeszcze rozumie w tej historii. To ją niepokoiło. Bardzo nie lubiła nie rozumieć. Działanie bez dokładnego rozeznania w sytuacji zwykle nie prowadziło do niczego dobrego. Mimo to zdecydowała się wyruszyć do młyna. Przeklęła w duchu.

To, że złamała swoją zasadę, powiększało jeszcze irytację faktem, że Michał nie pokazał jej od razu, co było dołączone do paczki. Oprócz turystycznej łódki z głową rudowłosej Sabiny Chrzanowskiej w środku znajdował się tam męski sportowy zegarek, zdjęcie, liścik oraz mała brązowa buteleczka.

Fotografia była nieostra, wydrukowana na zwykłym papierze. Klementyna od razu jednak rozpoznała Łukasza Strzałkowskiego. Uśmiechnięty syn Daniela na rynku w Brodnicy. Tak można by je zatytułować, gdyby komuś przyszła na to ochota. Zdjęcie najwyraźniej zrobiono z ukrytego w torebce telefonu.

Liścik dołączony do przesyłki okazał się jeszcze ciekawszy. Wydrukowano go na białej kartce. Ani papier, ani czcionka niczym szczególnym się nie wyróżniały.

Dokładnie o 19.00 podam truciznę Łukaszowi i sobie. Dołączam antidotum dla jednej osoby. Komu pomożesz, zanim nadejdzie godzina zero? Wiesz, gdzie nas szukać!

Prawdziwy melodramat. Godzina zero? Klementyna uśmiechnęłaby się na te słowa. Michał Rakowski twierdził jednak, że te bzdury to nie blef, a dziewczyna, którą nazywał Sławą, jest zdolna do wszystkiego. I wprost uwielbia taki melodramatyzm. Sądząc po przesyłce z głową Chrzanowskiej oraz inscenizacji w domu sędziego, Klementyna była w stanie w to uwierzyć.

Dlatego pędzili teraz do młyna w Grzmięcy. Rakowski twierdził, że to miejsce należało kiedyś do dziadka tej wariatki i ostatnie zdanie liściku mogło się odnosić tylko do młyna. To tam musiała trzymać Łukasza Strzałkowskiego.

Klementyna wzięła ostro kolejny zakręt. Byli już naprawdę blisko. Czuła ciężar brązowej fiolki w kieszeni. Podobno antidotum. Ale! Tak naprawdę to mogło być cokolwiek. Z trucizną włącznie. Nie było oczywiście czasu, żeby pojechać do laboratorium i sprawdzać skład płynu.

– Czy on jest pewien, że w buteleczce jest odtrutka, co? – zapytała Sadowskiej. Siedziała obok na siedzeniu pasażera, bo oboje z Michałem uparli się, że pojedą z Klementyną do młyna. Nie było czasu na kłótnie, więc Kopp się zgodziła.

Krawiec zaczął coś pisać w notesie. Klementyna słyszała skrobanie długopisu po papierze. Zmysły miała maksymalnie wyostrzone.

– Michał mówi, że tak – powiedziała Sadowska. – Według niego Sława nigdy by nie skłamała w takiej kwestii. Jeżeli napisała, że w buteleczce jest antidotum na truciznę, to znaczy, że tak jest.

– Spoko – rzuciła Klementyna tylko.

Koniec gadania, uznała w duchu. Skupiła się na kurczowym zaciskaniu rąk na kierownicy. Nie lubiła jeździć szybko. Zwłaszcza na zakrętach, a na drodze wzdłuż jeziora Strażym było ich aż nadto. Jeszcze jeden i kolejny. Widziała już mostek nad rzeczką wpadającą do jeziora. Nazywała się chyba Skarlanka. To właśnie nad nią zbudowano młyn.

Stary ceglany budynek widać już było pomiędzy drzewami. Klementyna wjechała na szutrową dróżkę, która do niego prowadziła. Kamyki wyskakiwały spod kół. Kilka z głośnym trzaskiem uderzyło o lakier. Kopp zakląła. Zawsze dbała o swoją skodę, bo fabia była może brzydka, ale na pewno niezawodna. Jak sama Klementyna. Cóż, teraz były jednak ważniejsze sprawy na głowie.

Zaparkowała przed młynem. Wyskoczyli ze skody i pobiegli w stronę porośniętego bluszczem budynku. Z tyłu, obok staromodnego młyńskiego koła, widać było niewielką przystań.

Idealne miejsce, żeby zapakować ciała na łódź, przeszło jej przez myśl. Potem wystarczy popłynąć w dół rzeczki, przeciąć jezioro i dotrzeć na cypel. Kiedy ekipa z komendy się tu zjawi, na pewno będą musieli sprawdzić tę łódkę.

Z tą myślą Klementyna popędziła do drzwi. Słyszała za sobą świszczący oddech Michała Rakowskiego. Sadowska została chyba gdzieś daleko z tyłu. Tymczasem krawiec wyprzedził Klementynę i dopadł do drzwi pierwszy. Nie była pewna, którą z dwóch osób tak spieszo mu było ratować – tę cholerną Sławę czy Łukasza. Całe szczęście Klementyna właściwie bez problemu odebrała mu buteleczkę z antidotum już w atelier. Woląca, żeby w razie czego odtrutka trafiła do odpowiedniej osoby.

Wbiegła do młyna, porzucając te rozważania. Całe szczęście w oddali słyszała już syreny radiowozów i karetki. Cieszyła się, że Cybulski potraktował jej słowa poważnie.

Budynek chylił się ku upadkowi. Widać było, że od dawna stał zamknięty. Oprócz prowizorycznej sypialni z rozsypującą się starą kanapą na parterze było prawie pusto. Michał Rakowski biegał jednak z pomieszczenia do pomieszczenia jak oszalały. Klementyna w jakiejś dziwnej desperacji robiła to samo. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, krawiec pokręcił przecząco głową. Na parterze nikogo nie było. Klementyna zakłęta pod nosem. To oznaczało, że mają do sprawdzenia jeszcze dwa piętra.

Pobiegła w kierunku schodów. Tynk obsypywał się ze ścian przy każdym jej kroku, jakby stary budynek miał się za moment zawalić. Nie przejmowała się tym. Dotarła na pierwsze piętro i zaczęła sprawdzać pokój po pokoju. Szum Skarłanki był tu wyraźniejszy niż na parterze. Pojękiwania koła młyńskiego także. Poza tym nic.

Pozostało ostatnie piętro. Schody prowadzące na najwyższy poziom budynku zrobione były z drewna. Skrzypiały niemiłosiernie przy każdym kroku, można więc było zapomnieć o efekcie niespodzianki. Jeżeli ta melodramatyczna Sława czekała u góry z Łukaszem, dokładnie wiedziała, że Klementyna i Michał się zbliżają. Zresztą chyba wszystko jedno. Ich wjazdu na teren młyna oraz bieganiny po niższych

piętrach nie można było nazwać dyskretnymi.

Pokonując ostatnie stopnie, Klementyna zerknęła przelotnie na zegarek. Zostało niecałe pięć godzin do „godziny zero”. Zdecydowanie za dużo, uświadomiła sobie nagle. Jeżeli Sława tak uwielbiała sztuczki i melodramaty, to powinna oczekiwać, że wpadną tu w ostatniej sekundzie. Na wielki finał. Tak jak w filmach.

Ostatni schodek skrzypnął głośno, kiedy Klementyna postawiła na nim stopę.

– Kurwa! – wyrwało jej się, kiedy obiegła wzrokiem pomieszczenie.

ROZDZIAŁ 103

**Gdzieś pomiędzy jawą a snem.
Czwartek, 11 czerwca 2015.
Łukasz Strzałkowski**

Łukasz przypominał sobie coraz więcej, chociaż nadal szło to bardziej opornie, niżby chciał. Rozmowa z Michałem Rakowskim dwa tygodnie temu na rynku w Brodnicy. No i ona. Była tam przypadkiem i do nich dołączyła. A potem?

Myśl! Myśl! Myśl!

Potem wtorek. Dwa dni temu! Zegarek. Wodoodporny zegarek, który Łukasz dostał od babci. Już pamiętał. Wracał ze szkoły zatopiony w myślach, a ona akurat jechała do Lipowa tą swoją terenówką. Pewnie załatwiała coś w Brodnicy. Podwiozła go, jak wcześniej. Rozmawiali o nurkowaniu. Tak. Na pewno. Łukasz pożyczył jej zegarek. Miała oddać w czwartek.

Czwartek! To dziś!

Dziś miała oddać zegarek i podwieźć go do szkoły. Teraz Łukasz pamiętał bardzo dobrze, jak wsiadł do jej samochodu. Znowu opowiadała mu o nurkowaniu, ale swojego zegarka Łukasz nigdzie nie widział...

A potem? Potem jakby ukłucie i jej głos stopniowo cichł. Później zaparkowała gdzieś i chyba szli kawałek przez las. Ciężko było stawiać kroki w tym zamroczeniu, które Łukaszowi zgotowała. Nogi się plątały, ale go przytrzymała. Później...

Łukasz otworzył oczy. Nagle. Kolory, kształty i tekstury atakowały go z każdej strony. Nie mógł skupić wzroku na niczym konkretnym. Dopiero po chwili zobaczył nad sobą drewniane belki sufitu.

– Obudziłeś się, tak?

To jej głos! To ona.

– Gdzie jestem? – wydukał Łukasz. – Nic nie rozumiem...

– Zaraz temu zaradzimy.

Coś w jej głosie mówiło Łukaszowi, że nie czeka go nic dobrego. Odwrócił się do niej. Zbliżyła się do niego ze strzykawką w ręku. W drugiej miała małą, brązową buteleczkę.

ROZDZIAŁ 104

Szpital.

Czwartek, 11 czerwca 2015.

Prokurator Leon Gawroński

Prokurator Gawroński i Daniel Podgórski siedzieli na obdartych krzesłach przed wejściem na porodówkę. Prokurator przedstawił siebie jako partnera Emilii, a Daniela jako ojca dziecka. Podgórski nie zaprotestował. Lekarze patrzyli na nich zdecydowanie nieprzychylnie. Właściwie to mało powiedziane. „Wrogo” znacznie lepiej opisywało stan faktyczny.

– Nie powinni panowie pozwalać, żeby pani Emilia pracowała tak ciężko. To jakiś absurd! – strofowała ich jedna z lekarek. – Sprawdziłam w karcie, że ta pani była u nas na badaniu w piątek i zalecono jej odpoczynek. Cięża przebiegała dobrze, ale przychodzi moment, że trzeba trochę przystopować.

– Nic mi nie powiedziała... – wydusił Daniel.

Po tym, jak Emilia zasłabła podczas oględzin w domu Sabiny Chrzanowskiej, Gawroński i Cybulski zdecydowali się zwolnić Podgórskiego z aresztu. To była wyjątkowa sytuacja. Tak naprawdę nie było sensu już go tam trzymać. Gawroński musiał to przyznać. Mieli już winnego. Jeżeli wierzyć Klementynie, to morderczynią była jakaś nieźrównowazona, chorobliwie zazdrosna o Michała Rakowskiego dziewczyna. Gawroński nie był jeszcze pewien, jak zareagować na to, że Kopp znowu miesza się do śledztwa.

Westchnął. Tylko czy to miało teraz jakiegokolwiek znaczenie? Na razie prokurator miał ważniejsze sprawy na głowie. Niech policja rozwikła cały ten bajzel. On postanowił zostać tu w szpitalu. Przynajmniej póki nie przekona się, że Emilia jest bezpieczna.

– Chyba ma pan też własny mózg, prawda? – warknęła

lekarka w stronę Daniela i odwróciła się do Gawrońskiego. – Pana to też dotyczy.

– Może nam pani powiedzieć, co się dzieje? Jakie są rokowania?

Kobieta spojrzała na nich spod oka. Ani widok poturbowanego przez Krzywego Daniela, ani pytający uśmiech Gawrońskiego nie sprawił, że jej chłód zelżał.

– Poród na przełomie trzydziestego i trzydziestego pierwszego tygodnia, jak każdy przedwczesny, może się różnie zakończyć dla dziecka. Zdają sobie panowie z tego sprawę? Przepraszam panów.

Lekarka weszła pospiesznie do sali operacyjnej, nie oglądając się na nich. Gawroński wiele by dał, żeby wejść tam za nią i to wszystko kontrolować. Niestety ani on, ani Daniel nie zostali wpuszczeni. Pozostało im tylko gapienie się na pulsującą nad drzwiami lampkę, która informowała o trwającym właśnie zabiegu.

Gawroński odetchnął głębiej, starając się uspokoić. Ci ludzie znają się na rzeczy, pocieszył się w duchu. Na pewno robią, co do nich należy. Nie wiedział, jak się wszystko ułoży między nim, Emilią i Danielem. Jedno było pewne, Strzałkowska i Dziecko będą cali i zdrowi. Prawda? Muszą być!

– Dziękuję – powiedział nagle Podgórski. Tak cicho, że prawie nie było go słychać.

Gawroński wzruszył ramionami.

– Dziękuję, że mogę tu być – powtórzył policjant. – Ja tego nie zrobiłem, nie musisz się martwić. Popełniłem ostatnio wiele błędów, ale nie zabiłem Jaworskiego ani Marilyn.

Ani Sabiny Chrzanowskiej, dodał w duchu prokurator. Wypuścił Daniela, ale na razie nie uznał za stosowne poinformować go, że jest trzecia ofiara. Gawroński nie dodał też, że według Klementyny Łukasz może być w niebezpieczeństwie. Ciekawe, czy Daniel by mu tak dziękował, gdyby był świadomy tego przemilczenia.

Może to i było nie w porządku, może Podgórski miał prawo wiedzieć o zniknięciu syna, ale Gawroński uznał, że mimo wszystko woli mieć Daniela na oku. Tak było lepiej dla nich

wszystkich. Gdyby policjant dowiedział się o niebezpieczeństwie grożącym Łukaszowi, mógłby znowu zrobić coś głupiego. Prokurator nie zamierzał pozwolić, żeby sytuacja skomplikowała się jeszcze bardziej.

– Nie ma sprawy – odparł ostrożnie. Starł się nie pokazać po sobie, że ogarnęły go wątpliwości.

– Ja ich nie zabiłem – powtórzył Daniel raz jeszcze. Tym razem z większą siłą. Wyglądało na to, że bardzo mu zależało, żeby przekonać Gawrońskiego.

Prokurator znowu westchnął.

– Wiem. Od początku uważałem, że jesteś niewinny – przyznał. Nie planował mówić o tym Podgórskiemu, ale samo jakoś wyszło. – To ja wysłałem ci SMS-a z ostrzeżeniem.

Daniel uniósł głowę i spojrzał na Gawrońskiego zaskoczony.

– Ty? Ty mnie ostrzegłeś? Myślałem, że to ty mnie wrabiasz.

– Już po pierwszych odkryciach techników w gospodarstwie Jaworskiego uznałem, że być może powinienem dać ci znać. Starter kupiłem w drodze powrotnej do komendy.

– Ale dlaczego? Przecież...

Podgórski nie dokończył. Gawroński też nie zamierzał wracać do sytuacji z listopada.

– Ze względu na Emilię – wyjaśnił. – Wiem, że jej na tobie zależy. Mnie zależy na niej i chcę, żeby była szczęśliwa. Proste równanie. Tylko że potem wszystko wymknęło się spod kontroli.

Siedzieli w ciszy, jakby nic już nie zostało do powiedzenia. Może tak właśnie było.

ROZDZIAŁ 105

Młyn wodny w Grzmięcy. Czwartek, 11 czerwca 2015. Starszy sierżant Marek Zaręba

Marek nie mógł uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę. Wyszedł przed ceglany młyn i spojrzał z niechęcią na budynek. Przebiegał tędy prawie codziennie podczas porannych treningów. Lubił biegać wokół jeziora Strażym, bo trasa liczyła niemal dokładnie dziesięć kilometrów. Dzięki temu nie musiał zabierać ze sobą telefonu z aplikacją do mierzenia przebytego dystansu. Cieszył się z tego, bo podczas joggingu lubił zupełnie odciąć się od świata. Słuchać swojego oddechu i odgłosów lasu. Wyłączał wtedy umysł i nie zastanawiał się dosłownie nad niczym. Podziwiał tylko świat wokół. Pewnie nikomu by się do tego nie przyznał, ale miał wrażenie, że osiąga wtedy stan podobny do medytacji. Tu i teraz. Tylko to się wtedy liczyło.

Młody policjant spojrzał raz jeszcze na szeleszczącą ścianę bluszczu pokrywającą młyn. Zieleń pięknie kontrastowała z rudym kolorem starych cegieł. Zawsze podobał mu się ten budynek. Nigdy nie przypuszczał, że stanie się kiedyś miejscem zbrodni.

– I nie wiesz, gdzie ona może być, co? – Klementyna Kopp jak zwykle wypluwała słowa jak z karabinu maszynowego. Właściwie trzeba było się domyślać, co mówi.

Michał Rakowski pokręcił głową i sięgnął po nieodłączny notatnik. Na pięknej twarzy krawca malowała się rozpacz.

Spędzaliśmy czas głównie tu – napisał. Ten młyn należał do rodziny Sławy. Tyle wiem. Nigdy nie zdradziła mi zbyt wiele.

Marek pokręcił głową z niedowierzaniem. Nie dlatego, że wątpił w słowa krawca. Chodziło raczej o to, że czuł się oszukany. Zaręba doskonale wiedział, do kogo należy młyn.

Znał podejrzaną właściwie od dziecka, chociaż przy nim używała pierwszego członu swojego osobliwego imienia. Była może nieco zadziorna, ale nie mógł uwierzyć, że zdolna jest do pozbawienia kogoś życia. I to w taki sposób.

Wszystko jednak wskazywało na to, że tak właśnie było. Klementyna, która przybyła tu pierwsza, znalazła na najwyższym piętrze młyna kolejną makabryczną inscenizację. Tym razem postać złożona była z damskiego tułowia i damskich kończyn. Wyglądało więc na to, że odnaleźli brakujące fragmenty zwłok Swietłany Sokołowej i Niny Chrzanowskiej. Przynajmniej na to liczyli. To by bowiem oznaczało, że nikt inny nie zginął.

Przynajmniej jeszcze nie. Marek poczuł, jak wszystkie mięśnie mu tężeją. Pomyślał o Łukaszu. Co ona z nim zrobiła? Czy naprawdę o dziewiętnastej zamierzała go otruć? Syn Daniela znowu był w niebezpieczeństwie. To już raz się zdarzyło, kiedy policjanci z Lipowa badali sprawę Trzydziestej Pierwszej.

Marek modlił się w duchu, żeby i tym razem Łukasz wyszedł z tego cało. Cały czas myślał o Emilii i Dziecku, które właśnie rodziła. Była jego przyjaciółką, więc Zaręba wiele by dał, żeby się dowiedzieć, co dzieje się w szpitalu. Prokurator Gawroński wysłał tylko zdawkowego SMS-a z informacją, że Strzałkowska nadal jest na sali operacyjnej, a on i Daniel czekają. Nie odpowiadał na telefony, a komórka Podgórskiego była wyłączona. Prawdopodobnie jeszcze jej nie odzyskał. Wszystko rozgrywało się przecież tak szybko. Markowi pozostało tylko działać. Nie dopuścić do tego, żeby synowi przyjaciół coś się stało.

– Musimy przesłuchać jej rodzinę – powiedział. – Może oni coś będą wiedzieć.

– Spoko. Ale! Już widzę, jak chętnie nam pomogą – mruknęła Klementyna. – Jesteśmy w dupie. Ta wariatka odsoniła wszystkie karty i nie ma już nic do stracenia. Tacy są najgorsi.

Marek zadrzał mimowolnie. Bał się, że komisarz Kopp może mieć rację. Tym bardziej że po dość pobieżnym przeszukaniu znaleźli w młynie całą masę dowodów rzeczowych: dwie piły, mechaniczną i ręczną, a także zszywacz tapicerski, który

posłużył do połączenia fragmentów ciał ofiar. Sprawczyni nie zadała sobie nawet trudu, żeby zmyć ślady krwi z narzędzi.

Podłoga w dobudówce na tyłach młyna pokryta była bordowymi śladami. Technicy i laboratorium będą musieli to potwierdzić podczas właściwych oględzin, ale wydawało się oczywiste, że to tam pocięto zwłoki. W kącie pomieszczenia leżało opakowanie z przezroczystą folią, której prawdopodobnie użyto do zapakowania fragmentów ciał.

Dobudówka znajdowała się tuż obok prywatnej przystani. Przycumowano tam niewielką łódź, którą z dużą dozą prawdopodobieństwa podejrzana przewiozła szczątki na ukrytą na cyplu polanę z obeliskiem.

Mieli więc właściwie wszystkie elementy układanki. Oprócz samej sprawczyni.

Nie rozumiem – napisał Michał Rakowski, jakby mógł słyszeć myśli Marka. *Przecież Sławie chodziło o to, żebym przyszedł ją uratować. Dlaczego jej tu nie ma? Gdzie się ukryła?!*

– Tego musimy się dowiedzieć – powiedział Marek, kiwając głową.

Mieli właśnie jechać do Lipowa, żeby przesłuchać matkę i wuję podejrzanej, komendant Cybulski postanowił jednak najpierw zadzwonić do komendy i zlecić zlokalizowanie telefonu komórkowego Łukasza. Szanse, że chłopak nadal miał go przy sobie, były oczywiście nikłe, ale zawsze można było liczyć na jakiś cud.

Zaręba spojrział w stronę komendanta. Cybulski wsunął telefon do kieszeni eleganckiego garnituru i ruszył do nich szybkim krokiem.

– To jedziemy wreszcie, co?

Klementyna była wyraźnie zniecierpliwiona. Marek też chciał ruszyć jak najszybciej. Czuł, że tracą cenny czas.

– Jadę do komendy – oznajmił Cybulski.

– Ale co z przesłuchaniem?

– Brat podejrzanej zdecydował się mówić.

ROZDZIAŁ 106

W drodze do Bydgoszczy. Czwartek, 11 czerwca 2015. Komisarz Nikodem Małecki

Małecki czuł nieprzyjemny ucisk w gardle. Próbował się uspokoić i wmówić sobie, że przecież ufał Głowackiej. Współpracowali długo i do tej pory go nie zawiodła. Z drugiej strony... Gdzieś tam zawsze czaiły się wątpliwości.

Wyjrzał przez tylną szybę radiowozu, który wiozł ich do Bydgoszczy. Nie zostali jeszcze o nic oficjalnie oskarżeni. Przynajmniej na razie. Mieli złożyć wyjaśnienia. Zdaniem Małeckiego to był najlepszy, o ile nie jedyny, moment, żeby uciec. Wbrew obietnicom Pameli nic się jednak nie działo.

Mijali zielone łąki i pola. Zboże kołysało się miarowo muskane delikatnymi podmuchami wiatru. Dzień był piękny. Zapowiadało się, że jutro będzie jeszcze piękniej. Tylko że nic się kurwa nie działo, pomyślał Małecki. Jak tak dalej pójdzie, to być może to pieprzone jutro spędzi w areszcie.

Jeszcze dziś rano Pamela zapewniała, że uda im się ulotnić, że ma swoje sposoby. Nie wchodziła w szczegóły, ale Małecki jej zaufał. Do tego stopnia, że pozwolił sobie na pogrywanie z Cybulskim i resztą. Na mówienie rzeczy, które mogły go ostatecznie pogrążyć – opłacenie świadka, przekupienie sędziego, przeprowadzenie akcji na własną rękę w klubie... Jeżeli plan B Głowackiej się nie powiedzie, pozostawało kwestią czasu, kiedy ludzie z BSW się do Małeckiego dobiorą. Do Pameli zresztą też.

Małecki znowu wyjrzał przez okno. Radiowóz z komendy wojewódzkiej jechał szybko i pewnie. Jeżeli nic się nie wydarzy, dotrą do miasta bez przeszkód i nie będzie mowy o ucieczce. Odwrócił się i zerknął na Głowacką vel Pamelę pytająco.

Skinęła głową ledwie dostrzegalnie, jakby chciała go uspokoić.
A może tylko mu się wydawało?

Nagle uśmiechnęła się szerzej. Tym razem nie mogło być mowy o pomyłce.

ROZDZIAŁ 107

Komenda Powiatowa Policji w Brodnicy. Czwartek, 11 czerwca 2015. Podinspektor Wiktor Cybulski

Dacie mi to, co ja chcę, to ja wam dam to, co wy chcecie – oznajmił Żaba pyszałkowato.

Bez mocnego makijażu zupełnie nie przypominał barmana z Gwiazdozbioru. Wyglądał jak zwykły młody mężczyzna. Bardzo chytry młody mężczyzna, dodał w duchu Cybulski. W butnej postawie Żaby było coś niezmiernie odpychającego. Komendant nie miał najmniejszej ochoty kontynuować tej rozmowy. Niestety nie było wyjścia.

Michał Rakowski niewiele wiedział na temat swojej dawnej kochanki. Wiedział, że stary młyn wodny należał do dziadka dziewczyny, a potem do jej ojca. Ta informacja stanowiła punkt zaczepienia, chociaż śledczy nie musieli nawet zaglądać do rejestrów. Marek Zaręba znał rodzinę Zielińskich, bo pochodziła z Lipowa. Honorata prowadziła kiosk przy stawie pośrodku wsi, a jej brat, Andrzej, parał się stolarką. Mąż kioskarki utopił się przed laty w Strażymiu, kiedy wypłynął na ryby po pijanemu.

Planowali zacząć poszukiwania właśnie od rozmowy z nimi, ale stało się inaczej. Przed wyruszeniem do Lipowa Cybulski zlecił zlokalizowanie telefonu zaginionego Łukasza Strzałkowskiego. To był chyba bardziej akt desperacji niż cokolwiek innego. Szybko okazało się, że sprawczyni rzeczywiście nie popełniła błędu. Komórkę chłopaka porzucono przy szosie w Tamie Brodzkiej.

Telefon do komendy przyniósł jednak nieoczekiwane rewelacje. Cybulski kazał swojemu zastępcy przesłuchać przebywającego w areszcie Tomasza „Żabę” Zielińskiego.

Barman został zatrzymany po wczorajszych wydarzeniach w Gwiazdozbiorze. Był bratem bliźniakiem poszukiwanej dziewczyny, mógł więc wiedzieć nawet więcej niż matka podejrzanej. Cybulski wysłał Marka i Klementynę do Lipowa, a sam wrócił szybko do Brodnicy, żeby pertraktować z Żabą.

– Chcę całkowitego oczyszczenia z zarzutów związanych z Gwiazdozbiorem – zażądał Żaba. Na jego szczupłej, delikatnej twarzy znowu malował się chytry uśmiech. Jego adwokat pokiwał głową z powagą. – Beze mnie nie posuniecie się za daleko.

Cybulski miał ochotę potrząsnąć barmanem i wydobyć z niego zeznania bodaj siłą. Tego oczywiście nie mógł zrobić, chociaż tkwili w pokoju przesłuchań zdecydowanie zbyt długo.

– Radziłbym uważać – mruknął komendant. Nie mógł się już dłużej powstrzymać. – Artykuł dwieście trzydzieści dziewięć kodeksu karnego punkt pierwszy. Za utrudnianie śledztwa grozi od trzech miesięcy do pięciu lat pozbawienia wolności.

Już kiedy wypowiedział te słowa, zrozumiał, że popełnił błąd. Adwokat Żaby uśmiechnął się uprzejmie.

– Imponująca znajomość przepisów, panie komendancie. Być może przypomina pan sobie w takim razie punkt drugi artykułu dwieście trzydziestego dziewiątego? Pozwoli pan, że mimo wszystko zacytuję – zaproponował prawnik triumfalnie i odchrząknął przed rozpoczęciem recytacji. – „Nie podlega karze sprawca, który ukrywa osobę najbliższą”. Warto także zwrócić uwagę na punkt trzeci tegoż samego artykułu. A zwłaszcza na jego początek. „Sąd może zastosować nadzwyczajne złagodzenie kary, a nawet odstąpić od jej wymierzenia, jeżeli sprawca udzielił pomocy osobie najbliższej albo działał z obawy przed odpowiedzialnością karną grożącą jemu samemu lub jego najbliższymi”. Poszukujecie siostry mojego klienta, więc...

Adwokat nie dokończył. Uśmiech zadowolenia nie schodził z jego twarzy.

– Cieszcie się, że jestem taki chętny, żeby pomagać – dodał Żaba z kolejnym cynicznym uśmiechem. – Co mnie obchodzi jakieś tam trzy miesiące za utrudnianie śledztwa. A myślę, że

życie tego chłopaka jest wam miłe. Ile on ma lat? Wspominał pan, że piętnaście? Dobrze pamiętam?

Tym razem adwokat zgromił barmana wzrokiem, ale Żaba niezbyt się tym przejął. Cybulski westchnął. Tak naprawdę mogli tylko pójść na ugodę z tym typem. Marek Zaręba i Klementyna Kopp pojechali do Lipowa porozmawiać z matką podejrzanej. To znaczy Zaręba pojechał, a Klementyna nieoficjalnie mu towarzyszyła, poprawił się w duchu komendant. Tak czy inaczej Honorata Zielińska twierdziła, że nie wie, gdzie może przebywać jej córka. Wuj podejrzanej, który mieszkał z nimi, też nic nie wniósł do sprawy.

Cybulski westchnął przeciągle. Jeżeli nawet Klementyna nic z nich nie wyciągnęła, nie wyglądało to dobrze. Albo naprawdę nic nie wiedzieli, albo chronili dziewczynę. Tymczasem Żaba zdawał się nie mieć takich obiekcji. Od razu zwietrzył możliwość wyciągnięcia z tej sytuacji korzyści dla siebie. Najwyraźniej wcale mu nie przeszkadzało, że wyda przy tym policji własną siostrę.

– Prosisz o dużo. Tymczasem nie wiemy nawet, czy naprawdę wiesz, gdzie Idosława ma laboratorium.

Dziewczyna przedstawiła się Michałowi Rakowskiemu jako Sława. W Lipowie wszyscy nazywali ją zaś zdrobnieniem od pierwszego członu jej oryginalnego imienia – Idka. Naprawdę nazywała się Idosława. Idosława, powtórzył w myślach Cybulski. Był niezmiernie ciekawy, skąd wzięło się tak osobliwe imię. Uznał jednak, że nie czas zgłębiać tego tematu. Przyjdzie jeszcze na to odpowiedni moment, kiedy zamkną sprawę i odnajdą Łukasza.

– Dobrze wiem, gdzie jest laboratorium – zapewnił Żaba. – Ale jak pan chce.

Barman twierdził, że Idosława w wolnym czasie zajmowała się produkowaniem trucizn i ziołowych specyfików. Podobno Krzywý kupował od niej kurarę, dlatego właśnie buteleczki z tą toksyną znaleziono w Gwiazdozborze podczas wczorajszego nalotu. Wszystko zaczęło się zazębiać i element układanki trafił na swoje miejsce.

Bezpośrednią przyczyną śmierci wszystkich ofiar było otrucie

kurarą. Początkowo śledczy założyli, że za zabójstwami stoi ktoś, kto miał dostęp do trucizny wyłącznie w klubie. Nie przyszło im do głowy coś bardziej oczywistego. Przecież ktoś musiał tę truciznę wytwarzać.

Żaba utrzymywał, że jego siostra ma tajemne laboratorium, w którym wytwarza swoje specyfiki. Skoro nie ma jej w młynie, być może właśnie tam się udała razem z Łukaszem Strzałkowskim. Nikt nie mógł mieć pewności, że tak jest, ale trzeba było sprawdzić to miejsce. Innego tropu przecież nie było.

– Dużo żądasz.

– Może i dużo, ale niech pan pamięta, że chcecie, żebym wydał wam moją siostrę, czyż nie? Krew z krwi!

– Nie wątpię. – Cybulski nie mógł powstrzymać się przed odrobiną sarkazmu. Żaba naprawdę go mierzył.

– Co wam szkodzi? – zapytał Żaba. W jego głosie po raz pierwszy pojawiło się lekkie drżenie. – Byłem tylko barmanem, nie bossem narkotykowym. To Diana i inni odpowiadają za wszystko. Ja tylko serwowałem drinki. Legalnie i oficjalnie. Ludziom od was też. Nigdy nawet nie spóźniłem się z wysłaniem PIT-u. Nie macie nic przeciwko mnie.

– Mamy całkiem sporo – nie wytrzymał Cybulski. Pewnie kolejny błąd, ale znowu nie mógł się powstrzymać. Spał może ze trzy godziny. Nie zjadł porządnego śniadania, nie mówiąc już o bezpowrotnie utraconej kolacji wczoraj. Ogarniało go więc coraz większe zniecierpliwienie.

– Niby co?

– Nasz człowiek działał przecież u was w klubie pod przykrywką...

Żaba zaśmiał się głośno, natychmiast odzyskując rezon.

– Małecki? Wasz człowiek? Dobrze sobie.

Cybulski poruszył się niespokojnie. W tonie barmana pobrzmiwała niepokojąca nuta. Potęgowała wątpliwości, które pojawiły się podczas dzisiejszej porannej odprawy. Całe szczęście dochodzenie w sprawie Małeckiego i Głowackiej przejęli ludzie z komendy wojewódzkiej. O ile Cybulski się orientował, na dobry początek wysłali ich radiowozem do

Bydgoszczy. I bardzo dobrze! Im dalej od Brodnicy, tym lepiej. Komendant nie potrzebował teraz dodatkowych komplikacji.

– Co masz na myśli? – zapytał mimo to.

– Hola, hola! – zawołał Żaba, wzruszając ramionami. – Już przecież mówiłem. Coś za coś.

Cybulski westchnął. Nie miał wyboru. Musiał się zgodzić. Tym bardziej że negocjacje z Żabą przedłużały się, a czas mijał nieubłaganie. Do godziny zero wyznaczonej przez sprawczynię zostało czterdzieści minut.

– Formalności załatwimy potem. Teraz mów szybko, gdzie jest to laboratorium.

ROZDZIAŁ 108

Gospodarstwo Weroniki w Lipowie. Czwartek, 11 czerwca 2015. Weronika Nowakowska

Weronika zamiatała stajnię szybkimi ruchami. Przed chwilą wyczyściła boksy i wysłała je świeżą słomą. Uznała, że trochę pracy fizycznej dobrze jej zrobi i pozwoli zrelaksować się po wczorajszych wydarzeniach. Zrezygnowała z wysłuchiwania wiadomości w mediach i cały dzień spędziła w stajni. Towarzyszyła jej Wiera, która specjalnie dla niej zamknęła dziś swój sklep. Nowakowska była przyjaciółce za to wdzięczna. Nie chciała być teraz sama.

– Wszystko chyba dobrze się skończyło – stwierdziła, aby dodać sobie animuszu. – Daniel trafił co prawda do aresztu, ale to tylko na czterdzieści osiem godzin. Przecież nie wsadzą do więzienia niewinnego.

– Pewnie nie – mruknęła Wiera bez przekonania. Przysiadła na niskim stołku i głaskała Igora. Pies wyglądał na rozanielonego.

Weronika odstawiła miotłę i poszła do paszarni po owies. Napelniła miarkę złotymi ziarnami. Na ten dźwięk Lancelot i Kofi zarzeli w swoich boksach. Doskonale wiedzieli, że czeka ich posiłek.

– Nie mogę przestać myśleć o Lwie Sokołowie – powiedziała Weronika, wysypując koniom owies do żłobów. – Pewnie znowu trafił do domu dziecka.

Widziała chłopca tylko przez chwilę, kiedy policja wyniosła go z meliny Piotra Maciejewskiego, ale ciągle miała go przed oczami. Poczula, że na samą myśl do oczu napływają jej łzy. Lewka najpierw stracił matkę, potem stał się ofiarą porwania. Co jeszcze go czekało?

Weronika odniosła miarkę do paszarni. W głowie powoli rodził jej się szalony pomysł. Czy nie jest już gotowa, żeby zostać matką? Adopcja przez samotne kobiety jest wprawdzie utrudniona, ale... Zauważyła, że Wiera przygląda jej się z pewnym rozbawieniem.

– No co? – zapytała Weronika zaczepnie. Przecież to niemożliwe, żeby sklepikarka wiedziała, co właśnie przemknęło jej przez głowę.

– Nic takiego, nic takiego, kochanieńka.

Nagle usłyszały, że na podjazd przed dworkiem wjeżdża samochód. Trzasnęły drzwi i do stajni wkroczyła Klementyna, a za nią Marek Zaręba. Oboje wyglądali na zmartwionych.

– Co się stało?

– Poszukujemy Idki Zielińskiej – oznajmił Marek bez wstępów.

Młody policjant wyjaśnił pokrótce wydarzenia dzisiejszego dnia. Weronika słuchała z rosnącym zdziwieniem. Przypomniała sobie córkę kioskarki, która przewracała oczami, słysząc paplanie swojej matki. Idka wzbudziła sympatię Nowakowskiej i doprawdy trudno było uwierzyć, że to ona jest morderczynią. Co gorsza, w niebezpieczeństwie znalazł się teraz Łukasz.

– Ani pani Honorata, ani pan Andrzej nie wiedzą, gdzie Idka jest... albo nie chcą nam powiedzieć – zakończył Marek. – Więc szukamy na oślep. Przyszło mi do głowy, że może pani, pani Wiero, coś wie. Zna pani plotki o wszystkich. Poza tym Idka też interesowała się ziołarstwem. Sklep był zamknięty, ale domyśliłem się, że jest pani u Weroniki i...

Zaręba nie dokończył, bo nagle jego telefon zaczął dzwonić. Odebrał szybko.

– Tak? Jedziemy!

– Co się dzieje?! – zawołała Weronika.

– Wiemy już, gdzie może być Idka! Ma ukryte laboratorium – rzucił Zaręba. Uśmiechnął się przeproszająco i pociągnął za sobą Klementynę Kopp. Wybiegli równie szybko, jak się zjawili.

Przez chwilę ani Wiera, ani Weronika nic nie mówiły.

– Marek już pojechał i nie ma co im zawracać głowy –

powiedziała w końcu sklepikarka. – Zresztą i tak pewnie się mylę. No ale jeżeli to Idka... Jeżeli chłopak jest w niebezpieczeństwie... to powinniśmy chociaż sprawdzić.

– O czym ty mówisz?

– O chacie w lesie.

ROZDZIAŁ 109

Chata w lesie.

Czwartek, 11 czerwca 2015.

Sława i Łaskun

Zbliżała się godzina zero. Sława spojrzała na zegarek. Do dziewiętnastej zostały dosłownie minuty. Niestety Michała nie było. Nie przyszedł...

Tik-tak, tik-tak.

Zdawało jej się, że słyszy, jak mijają sekundy. Zadrżała, kiedy wskazówka znowu się przesunęła. Tak... Czas płynął nieubłaganie. Tymczasem Michała nadal nie było. Ogarnął ją przemożny lęk, że ukochany nie przyjdzie.

Nie. Kocha. Zdrajca. Nie kocha.

Znowu zadrżała. Może rzeczywiście to Łaskun miał rację? Nie mogła powstrzymać rosnącej paniki. Pytania kłębiły jej się w głowie. Czy Michał dostał przesyłkę? Musiał dostać! Musiał!

Dostał. Kobieta. Na poczcie. Kobieta. Obiecywała. Dostał. Zdrajca. Nie kocha. Michał. Nie. Kocha. Zdrajca. Dostał, ale. Nie. Chciał. Przyjechać. Zdrajca.

A może Michał nie zrozumiał wskazówki, którą Sława dołączyła do przesyłki?

Nieosiągalne. Musiał zrozumieć. Musiał. Zdrajca.

Sława poczuła, że do oczu napływają jej łzy. Tak, Michał musiał zrozumieć wskazówkę. Przecież rzeźbiony nóż to była jednoznaczna sugestia, gdzie ukochany ma jej szukać. Tak. Michał musiał zrozumieć, że chodzi o chatę w lesie. Tu przecież wzięli ślub w sierpniu zeszłego roku. Tu wymienili się krwią. Tu Michał podarował jej nóż. Musiał zrozumieć, gdzie na niego czeka!

Dlaczego w takim razie jeszcze go nie ma? Przecież dała mu tyle czasu, żeby tu dotarł. Nawet jeżeli listonosz dostarczył paczkę dopiero po południu, do dziewiętnastej Michał bez

problemu mógł się tu dostać.

Nie. Kocha. Zdrajca. Nie kocha.

Po ciele Sławy znowu przebiegł nieprzyjemny, lodowaty dreszcz. Próbowwała za wszelką cenę odsunąć od siebie tę przerażającą myśl. Dla uspokojenia zaczęła myśleć o lalkach w jego pracowni. Skoro Michał je tworzył, to musiało oznaczać, że ciągle wspominał ich ostatnią wspólną noc. Wtedy w Warszawie, w jego urodziny. Niespodzianka, którą przygotowała, nie skończyła się najlepiej, ale przecież ta noc była ich. Tylko ich. Tak jak chata tu w lesie, dodała Sława w duchu. Oddychała szybko, starając się opanować narastające przerażenie. Na pewno ją kocha!

Nie. Kocha. Zdrajca. Nie kocha.

Na pewno kocha.

Nie. Kocha. Zdrajca. Nie kocha.

Sława przypomniała sobie dziecięce wróżby, kiedy odrywało się kolejne płatki kwiatów albo listki z gałązki akacji. Kocha. Nie kocha. Kocha. Nie kocha. Gdzieś głęboko czuła, że nie, że Łaskun ma niestety rację.

Łaskun. Pomoże. Łaskun. Przygotował się. Na tę. Ewentualność. Pomoże. Niech cierpi. Zdrajca. Niech.

Sława znowu zadrzała. Wiedziała, co Łaskun zrobił. Słyszała jego myśli, kiedy to on rządził tym ciałem. Ogarnęło ją przerażenie na samą myśl, że Michałowi może coś się stać.

I to przez nią, bo przecież to ona rozpracowała w końcu przepis babci Augusty. Dzięki temu stworzyła truciznę idealną. Po policzkach spłynęły jej łzy. Nie chciała, tak bardzo nie chciała, żeby Michałowi coś się stało, ale było już za późno. Łaskun zrobił swoje.

Tak. Trzeba było. Trzeba. Tak. Jeżeli nie przyjdzie. Jego wina. Niech. Zgnije. Niech. Tak trzeba. Było.

Sława powstrzymała szloch. Musiała się czymś zająć. Chwyliła więc plik swoich zapisków. Miały stanowić pamiętnik. Pisany przez nią samą. Tylko przez nią. Patrzyła na luźne kartki pamiętnika z czułością.

Miały odejść wraz z nią. Chciała je spalić, kartka po kartce, zanim nastąpi koniec. Chciała patrzeć, jak płomień strawi

słowo po słowie. Aż do litery S, którą zawsze stawiała na końcu.

S jak Sława. Bo przecież nie Idosława. Bo co to za imię? Czyż nie brzmiało idiotycznie? Podobno było po prababci, która ostatnia w żeńskiej linii rodziny była jedynaczką. Honorata miała na tym punkcie prawdziwą obsesję. Jakby to mogło cokolwiek zmienić, zaśmiała się Sława. Cóż, nie zadziałało. Nie przerwało klątwy.

O ileż lepsze byłoby imię po babci Augustcie. Matce ojca. To dopiero była silna kobieta. Dzięki jej księdze Sława tak długo przetrwała. Nauczyła się robić trucizny i wywary. Jeżeli jakiegokolwiek imię miałyby stanowić talizman, to właśnie Augusta, a nie ta idiotyczna Idosława. Idosława nie przydała się do niczego. Nie spełniła swojego zadania.

Sława zaczęła przeglądać swoje krótkie zapiski. Z miejsca ogarnęło ją rozrzewnienie. Tyle wspomnień. Tyle emocji wylanych na papier. Tyle cierpienia, a jednocześnie nadziei.

Jej wzrok padł na wpis oznaczony zerem. Przejechała palcem po pękatej cyfrze. Tak naprawdę rozpoczęcie właśnie od niej to była fanaberia. Kiedy jednak postanowiła pisać ten krótki pamiętnik, uznała, że tak będzie najlepiej. Zawsze się przecież zaczyna od zera. Od czystej karty...

Sława zerknęła znowu na zegarek. Coraz bliżej dziewiętnastej. A Michała nadal nie ma...

Nie. Kocha. Zdrajca. Nie kocha.

Zacisnęła spoczone dłonie na kartkach tego dziwnego pamiętnika. Już czas. Sięgnęła po zapalniczkę i podpaliła. Nagle poczuła, że nie da rady ich zniszczyć, że nie chce ich spalić. To jedyne, co pozostawi po sobie. Jedyne, co jest tylko jej. Zgasiła ogień, nie zważając, że parzył jej dłonie. Teraz to i tak wszystko jedno, prawda?

Sława czekała na jakieś słowa Łaskuna, ale się nie pojawiły. Czuli się nieswojo. Czyżby go straciła? Łzy płynęły po jej policzkach. Odetchnęła głębiej. Łaskun. Łaskun. Łaskun. Rozłożyła przed sobą kartki i raz jeszcze przebiegła wzrokiem wpis zerowy, jakby mogła go w ten sposób przywołać. Nic jednak się nie działo. Nie słyszała jego głosu. Ogarnął ją z tego powodu gniew.

Zdecydowanym ruchem przelożyła kartki z wpisem oznaczonym zerem na koniec pliku. Od zera zaczynałam i na zerze skończyę, pomyślała gorzko.

Odwrociła się w stronę Łukasza Strzałkowskiego. Chłopak tak naprawdę nie zawinił. Może to błąd, że go tu przyprowadziła? Może wystarczyło ukraść mu zegarek...

Trzeba. Było. Trzeba. Łaskun. Wie. Jak załatwiać. Takie sprawy. Wie. Nie zaryzykuje. Nikt. Życia dziecka. Nie zaryzykuje. Nawet. Jeżeli. Nie kocha. Jeżeli. Nawet. Michał nie kocha. Ale nikt. Nie zaryzykuje życia dziecka. Nikt. Nie. Zaryzykuje nawet. Zdrajca. A nawet. Jeżeli to. Jest jeszcze. Nóż.

A więc jednak Łaskun wrócił. Usiadła na ziemi i objęła głowę ramionami. Nagle chciała uciszyć ten jakże znajomy głos. Głos, który zawsze przynosił ulgę. Nie teraz. Nie kiedy mówił o Michał w ten sposób.

Zerknęła na zegarek. Tik-tak, tik-tak. Osiemnasta pięćdziesiąt osiem. Dwie krótkie minuty. Tyle zostało do godziny zero. Trucizna według przepisu babci Augusty była już gotowa. Mieszanka, na którą nie ma odtrutki. Właśnie jej zamierzała użyć. Jeżeli Michał ma od niej zginąć, to ona też

Nie rób. Tego. Nie!

Sława czuła zdenerwowanie Łaskuna i to, jak próbował przejąć kontrolę nad tym wspólnym ciałem. Musiała być silniejsza i mu nie pozwolić. Na razie dawała radę, ale kto wie, ile sił jej jeszcze zostało.

Wstała i podeszła do swojego czarnego plecaka. Wyciągnęła brązową buteleczkę. To były małe cuda sztuki szklarskiej. Sława lubiła ich szlachetny, głęboko brązowy kolor i pozornie prosty kształt. Kupowała ich całe pudła od znajomego, który zajmował się indywidualnym wyrobem szkła artystycznego. W laboratorium miała ich jeszcze cały zapas. Zrobiło jej się smutno na samą myśl, że nigdy już ich nie wykorzysta, że się zmarnują. No ale tak właśnie trzeba było.

Wyciągnęła strzykawkę, żeby dłużej się nad tym nie zastanawiać. Zerknęła przelotnie na zegarek, a potem na Łukasza Strzałkowskiego. Godzina zero wybiła. Już czas.

ROZDZIAŁ 110

Laboratorium.

Czwartek, 11 czerwca 2015.

Starszy sierżant Marek Zaręba

Marek wjechał na podwórze przed rozpadającym się domkiem. To tu według słów Żaby miało znajdować się laboratorium Idki. Zaręba i Klementyna Kopp byli sami. Cybulski i jego ludzie wyruszyli już co prawda z komendy, ale zająmie trochę czasu, zanim tu dotrą.

– Wchodzimy? – zapytał Marek.

Klementyna nie zaszczyciła go nawet spojrzeniem. Już pędziła w stronę pozornie opuszczonego domu.

– Może powinniśmy poczekać na karetkę?! – krzyknął za nią Marek, ale nogi same już go niosły do budynku.

– Pieprzyć karetkę, jeżeli antidotum jest prawdziwe – syknęła komisarz Kopp, kiedy dotarli pod drzwi.

Oddychała ciężko, a na jej czole perliły się krople potu. Zrobiło się o wiele cieplej niż wczoraj, a w powietrzu czuć było już zapowiedź nadchodzącego upału. Pewnie przez buzującą we krwi adrenalinę Marek wyłapywał każdy najdrobniejszy szczegół otoczenia. Wydawało mu się, że każde uczucie jest zwielokrotnione. Widział dokładnie szary cement łączący przybrudzone pustaki i miejsca, gdzie zaprawa zaczynała się kruszyć ze starości. Widział drobinki kurzu, które osiadły na drzwiach. Słyszał śpiew ptaka, który przysiadł na dziwnym tarasiku na rozsypującym się dachu rudery.

Kopnął w drzwi z całej siły. Pęknięcie desek zdawało się głośnie jak trzęsienie ziemi.

Wchodzą.

Nieźle wyposażone laboratorium.

W drugim pokoju skład.

W trzecim coś w rodzaju sypialni.

W piwnicy jeszcze więcej materiałów. Do tego brązowe flaszeczki równo poukładane na półkach. Takie same jak te, w których była kurara Krzywego. Technicy i laboratorium będą musieli to zbadać.

Bicie serca i przyspieszony oddech.

Marek i Klementyna wymieniają spojrzenia. Zaręba widzi w jej oczach to samo. Godzina zero. Zawiedli.

ROZDZIAŁ 111

Chata w lesie. Czwartek, 11 czerwca 2015. Sława i Łaskun

Sława napełniła strzykawkę i szybkim ruchem wbiła ją sobie w rękę. Nie traciła czasu na szukanie żyły. Wiedziała, że trucizna według przepisu babci Augusty zadziała tak czy inaczej. Już samo jej dotknięcie mogło po pewnym czasie spowodować śmierć.

Nie. Nie. Nie! Nie! Nie. Rób. Nie rób. Tego. Nie rób!

Czuła strach Łaskuna. Chyba po raz pierwszy się bał. Nic dziwnego. Nikt nie chce umierać. Ona też się bała. Tylko że nie było wyjścia... Nie kłamała w swoim pamiętniku. Kochała Michała z całego serca. Odkąd go poznała, Łaskun jej nie wystarczał.

Nie. Nie. Nie! Nie! Nie! Sława umiera. Łaskun umiera. Strach.

Czyżby teraz to ona miała Łaskuna uspokajać? Czyżby na koniec role się odwróciły?

Sława położyła się na ziemi i czekała, aż trucizna zacznie działać. Nie wiedziała, czego się spodziewać. Nikt przecież nie opisał jeszcze działania tej mieszanki. To było dzieło babci Augusty. Zapisała w swojej księdze kilka informacji na temat mikstury, ale nie było tego wiele. Sława nie była pewna, czy dlatego, że babcia nie zdążyła dokończyć swoich badań przed śmiercią, czy z innego powodu.

Nagle poczuła, że coś zaczyna się dziać. Serce przyspieszyło, kiedy ogarnęło ją mimowolne przerażenie. Starła się oddychać głęboko i miarowo, przygotowując się na niewiadomą. Miała wielką nadzieję, że pozostanie świadoma do końca. Ona.

Najpierw pojawił się ból w okolicach miejsca, gdzie igła

przebiła ciało. Sława miała ochotę drapać skórę z całych sił, ale się powstrzymała.

Zamknęła oczy i postanowiła skupić się na wspomnieniach. Przecież mówi się, że w ostatnich minutach całe życie staje człowiekowi przed oczami. U niej nic takiego się nie stało. Musiała wyteżać pamięć, żeby przypomnieć sobie, co zrobiła.

Co. Łaskun. Zrobił. Wspomnienia.

Tak. Co zrobili. Ona i Łaskun.

Zawsze. Razem. Łaskun pomoże. Zawsze pomoże. Zrobi to. Czego Sława nie. Da. Rady. Łaskun gotowy. Zawsze. Pomóc. Zrobi za Sławę. To, co. Najgorsze.

W ostatnią środę maja Sława pojechała do pracowni Michała, żeby porozmawiać. Zwyczajnie porozmawiać i przedstawić mu swoje racje. Była przekonana, że odpowiednie argumenty przekonają go, że powinni znowu być razem. Zwykła logika.

Niestety Michał nie chciał słuchać. W końcu kazał jej wyjść, bo zaraz miał przyjść do niego sędzia Jaworski. Gdyby nie to, że Michał obiecał, że wkrótce się zobaczą, można by podejrzewać, że to tylko wymówka, żeby pozbyć się Sławy. Ale skoro obiecał, to nie mogło tak być, prawda?

Sława wyszła z atelier nieco uspokojona, ale i tak z trudem powstrzymywała łzy, kiedy skryła się w kępie krzaków naprzeciwko wejścia do pracowni.

Łaskun wściekły. Że Sława. Wyproszona. Z pracowni. Łaskun wściekły, że Sława. Smutna. Wściekły. Że smutna. Pomoże. Łaskun.

Jeszcze gorzej zrobiło się, kiedy Sława zobaczyła, jak sędzia Jaworski wychodzi. Powinna się cieszyć... tylko że zauważyła, jak mężczyzna niesie sukienkę i lalkę. Michał musiał mu je podarować. Dlaczego Michał nie dał ich jej? Zazdrość wypełniała ją po brzegi.

Zdrajca. Nie kocha!

Starła się myśleć logicznie i nie dopuścić do siebie słów Łaskuna. Nie mogło tak być! Michał naprawdę ją kochał. Była jego żoną. Miłością jego życia! Przecież na zawsze mieli być razem.

Zresztą obiecał, że niedługo się spotkają. Wydostała się

z krzaków i pobiegła do atelier. Nie przejmowała się, że we włosach i na ubraniu ma liście. Musiała jak najszybciej porozmawiać z Michałem.

Nie mogła nie zauważyć zaskoczenia na twarzy krawca, kiedy wbiegła do atelier. Otrzepała więc ubranie i się uśmiechnęła.

– Kochasz mnie jeszcze? – odważyła się zapytać.

Łaskun czeka. Co Michał. Odpowie. Łaskun gotowy. Zdrajca. Zemsta. Nie kocha!

Sława z całych sił starała się nie dopuścić Łaskuna do głosu. Nie mogło tak być.

Jakże się myliła.

Jest inna kobieta – napisał Michał w notesie.

Serce biło jej tak szybko, jakby miało wyskoczyć z piersi. Czy tylko ona czuła, że ziemia drży w posadach? Nie mogła powstrzymać łez.

Łaskun wściekły. Nie pozwoli. Żeby. Płakała. Sława. Jakoś. Zaradzi. Zrobi. Coś. Nie pozwoli. Płakała. Żeby. Sława. Płakała. Nie pozwoli.

Michał znowu zaczął coś pisać, ale Sława nie czekała. Nie mogła. Musiała natychmiast wyjść. Z trudem dobiegła do samochodu. Każdy ruch i oddech był bolesny. Nie mogła uwierzyć, że Michał kocha inną. To niemożliwe. Absolutnie niemożliwe! Jest jej mężem! Mieli być zawsze razem!

Siedziała w samochodzie, próbując zebrać myśli. Może Michał po prostu potrzebuje trochę czasu, żeby sobie o tym wszystkim przypomnieć. W końcu sam zrozumie, że ją kocha. Sława przyjdzie do niego jeszcze kilka razy. Porozmawiają...

Nie. On nie. Kocha. Nigdy nie kochał. Zdrajca! Zdrajca. Zemsta! Łaskun. Wściekły. Zemsta. Za zdradzoną miłość. Nie pozwoli. Żeby. Sława cierpiała. Nie. Pozwoli. Łaskun. Zawsze pomoże.

Sława z całych sił próbowała nie dopuścić Łaskuna do siebie. Nie mógł mieć racji. To ona ją miała. Michał po prostu zblądził i tyle. Musi mu dać jeszcze trochę czasu.

Miał. Dużo czasu. Sława. Była tu. Wiele razy. Miał. Dużo czasu. Zdrajca. Nie kocha. Niech. Cierpi!

Sława przekreśliła kluczyk w stacyjce i powoli wjechała na

drogę. Kiedy mijala przystanek pekaesu, zobaczyła sędziego Jaworskiego. Widocznie czekał na autobus do Zbiczna. Tam musiał się przesiąść na kolejny do Lipowa. Dobrze widziała, że Jaworski nadal trzymał w dłoniach sukienkę i lalkę. Od niechcienia. Jakby te cudowne dary od Michała nie były niczym ważnym.

Łaskun gniew. Wściekłość. Plan. Ma. Już plan. Ma. Zemsta. Za. Zdradzoną miłość. Zemsta za.

Czuła, że drżą jej ręce. Nie chciała wierzyć Łaskunowi, ale chyba nie miała wyboru. Zatrzymała się obok przystanku i uchyliła okno.

– Pan do Lipowa, prawda?

Jaworski pokiwał głową z uśmiechem. Widocznie ją poznał. Mieszkał co prawda poza wsią, prawie w Szramowie, ale w okolicy wszyscy znali się z widzenia.

– Tak.

– Proszę wsiadać. Podwożę pana.

Siedzenie pasażera zaskrzyphiało, kiedy sędzia Jaworski zajął miejsce w samochodzie.

Łaskun z trudem. Gniew. Hamuje. Zemsta. Zemsta. Za zdradzoną miłość.

– Pani jest córką kioskarki z Lipowa, prawda? Pani Honoraty?

Sława wzdrygnęła się mimowolnie na dźwięk tego imienia.

– Tak – odpowiedziała z trudem.

– Pani ojciec chyba pracuje na budowie u nas w Szramowie?

– To mój wuj – poprawiła oschle. Nie miała ochoty rozmawiać o starym.

– To ten z przepaską na oku?

– Tak. Jest stolarzem. Dorabia u was.

– Spada mi pani jak z nieba! Z godzinę jeszcze bym tu czekał na pekaes, a potem jeszcze kawałek musiałbym dojść do domu.

– Nie ma pan samochodu?

– Zepsuł mi się. Mam teraz ograniczone fundusze, więc staram się coś tam sam grzebać... no ale średnio wychodzi. Nie jestem mechanikiem. Teraz wszędzie muszę jeździć albo autobusem, albo rowerem. Chyba że czasem jakaś dobra dusza

mnie podwiezie. Jak pani, pani Idko.

Poczuła wściekłość, kiedy ją tak nazwał. Nienawidziła tego imienia. Ludzie nic nie rozumieli.

Spokojnie. Spokojnie. Łaskun. Plan.

Sława odetchnęła głębiej. Może Łaskun miał jednak rację? Postanowiła, że zaufa mu kolejny raz. Resztę trasy przebyła, rozmawiając z sędzią Jaworskim przyjaźnie. Starła się, żeby ją polubił, żeby jej zaufał. Taki był plan Łaskuna.

Przyjacielska rozmowa. Z sędzią. Sława mówi z Jaworskim. Tymczasem. Łaskun myśli. Intensywnie. Już ma. Plan. Łaskun. Już ma. Plan zemsty za zdradzoną miłość. Michał. Nie kocha? To najgorsze. Co mógł zrobić. Michał. Zrobić. Najgorsze. Udławi się. Swoimi lalkami. Żywe lalki. Zemsta. Więzienie. Rozerwą go. Tam. Na strzępy. Straci dobre. Imię. Będzie się bał. Bał. Bał. Zemsta.

Przejechali przez Lipowo. Sława nie spojrzała nawet w stronę kiosku, kiedy go mijala. Pojechali wyłożoną wielkimi betonowymi płytami drogą w kierunku Szramowa. Dodała gazu, mimo że amortyzatory terenówki protestowały.

Wkrótce zobaczyła przed sobą gospodarstwo Jaworskiego.

– Wjechać na teren?

– Nie, nie! – zawołał sędzia. Z jakiegoś powodu wydawał się przerażony, że ktoś wjedzie na jego działkę. – Nie trzeba. Tu wysiądę. Bardzo dziękuję. Tam kawałek dalej jest stara droga. Łatwiej będzie tam zawrócić. Raz jeszcze dziękuję, pani Idko. Dopiero się uczę, że ludzie potrafią być dobrzy. Dziękuję.

Jaworski wyskoczył z samochodu i pobiegł do domu. Sława patrzyła, jak znika za drzwiami. Gospodarstwo chyliło się ku upadkowi.

Łaskun zadowolony. Samotnia. Nikogo w. Okolicy. Zadowolony. Łaskun. Trzeba sprawdzić. Tę drogę. O której. Mówił. Sprawdzić drogę. Jeżeli ukryta. Może się przydać. Bardzo przydać. Może. Się.

Pojechała kawałek dalej zgodnie z życzeniem Łaskuna. Rzeczywiście była tam zarośnięta droga. Prowadziła chyba prosto do tafli Jeziora Szramowskiego. Wjechała tam i się zatrzymała. Gałęzie sięgały chciwie w stronę terenówki. Zielona

karoseria samochodu tworzyła z nimi jedność. To było dziwne wrażenie, stać się częścią zieleni.

Idealne. Miejsce. Żeby ukryć. Samochód. Idealne. Stąd można pójść. Dalej. Obserwować dom. Sędziego. Łaskun. Zadovolony. Idealnie.

Następnego dnia, w czwartek dwudziestego ósmego maja, Sława postanowiła śledzić Michała. Chciała się chyba przekonać na własne oczy, czy Łaskun ma rację... a może tylko tak bardzo tęskniła i chciała go zobaczyć? Nic w tym złego, prawda?

Łaskun czuje. Że Sława. Wątpliwości. Ale Łaskun. Wie lepiej. Wie. Na płacz Sławy. Nie pozwoli. Zemsta. Zdrada. Udławi się Michał. Lalkami. Żywymi. Udławi. Pożaluje, że nie kocha. Pożaluje.

Jak zwykle Michał spędził większą część czwartku w atelier. Znała jego zwyczaje, bo przecież nie pierwszy raz go obserwowała. Wyszedł dopiero, żeby spotkać się z Łukaszem Strzałkowskim. Pojechała za nim.

Obserwowała ich z daleka, jak siedzieli na ławce na rynku w Brodnicy. Michał pokazywał Łukaszowi coś na ekranie telefonu. Sława nie mogła oderwać wzroku od ukochanego. Każdy jego ruch był jej drogi. Jak mógł wczoraj powiedzieć, że jej nie kocha? Przecież to absolutnie niemożliwe.

Poczuła, że musi do nich podejść.

Nie. Idź. Bez sensu. Głupota.

Sława zignorowała słowa Łaskuna. Nie mogła się powstrzymać. Tak bardzo chciała zobaczyć wyraz twarzy Michała, kiedy ją zauważy. Czy będzie w jego oczach to uczucie, które dostrzegła wczoraj w atelier. Musiało być!

– Cześć! – zawołała wesoło.

Czekała na spojrzenie Michała. Tak bardzo czekała. Niestety dziś jego piękne oczy zdawały się zupełnie obojętne. A może nawet wrogie? To bolało. Tak bardzo, bardzo bolało. Ale może to tylko dlatego, że przeszkodziła mu w spotkaniu? Musiało być jakieś wyjaśnienie. Przecież nie mógł kochać innej. Nie naprawdę. To absolutnie niemożliwe!

Zemsta. Za. Zdradzoną miłość. Zemsta. Łaskun pomoże.

Zawsze. Pomoże.

Łukasz dla odmiany zdawał się zadowolony z pojawienia się Sławy. Znała go trochę z Lipowa. Był synem tej nowej policjantki, Emilii. Zawsze był grzeczny i miły, kiedy przychodził do kiosku, jak Honorata prosiła ją o zastępstwo.

Zdjęcie. Z ukrycia. Trzeba zrobić. Bo będzie. Potrzebne do. Planu. Łaskun wie. Łaskun ma. Plan. Zemsta. Zemsta za zdradzoną. Miłość.

Sława pstryknęła kilka zdjęć, ukrywając telefon w torebce. Gdzieś głęboko miała nadzieję, że nie wyjdą. Że nie będzie można ich użyć. Że Łaskun się myli i nie będzie trzeba ich użyć.

Następnego dnia, w piątek, też pojechała pod pracownię. Było jeszcze trudniej, bo dobrze wiedziała, z kim spotka się tego dnia Michał. W piątki zawsze widywał się z tą rudą dziewczyną, której podobno pomagał. Z Sabina. Czy to o niej mówił? Czy to ją kochał? Niemożliwe! Absolutnie niemożliwe! Przecież to była narkomanka powierzona Michałowi przez psychiatrę.

Łaskun wściekłość. To Sławie. Należy się. Miłość. Należy. Się. Żadnej innej. Łaskun nie pozwoli. Zemsta. Sabina. Zginie. Ruda suka!

Michał zabrał Sabinę na spacer po parku pod zamkiem krzyżackim. Sława obserwowała ich z oddali. Chciała trzymać się na dystans, ale znowu nie dała rady. Musiała podejść i sprawdzić.

O dziwo, Łaskun tym razem nie oponował.

Podejdz. Niech cię. Pozna. Ruda. Niech pozna. Niech ufa. Plan. Zemsta za zdradzoną miłość. Niech. Ruda ufa.

– Cześć! – zawołała więc Sława, podchodząc.

Tym razem nie mogło być żadnych wątpliwości. Na jej widok na pięknej twarzy Michała pojawiła się wyraźna niechęć. Była tak widoczna, że nie dało się pomylić jej z niczym innym. Sława ledwo powstrzymywała płacz.

Nie. Kocha. Łaskun gniew. Pomoże. Łaskun. Zemsta.

– Cześć – odpowiedziała tymczasem uprzejmie Sabina. Uśmiechnęła się nawet miło.

Zdzira. Zginie.

– Jestem koleżanką Michała – przedstawiła się Sława, żeby

uprzedzić jakiegó jego wyjaśnienia.

– Bardzo mi mió – odpowiedziała Sabina.

Sława drżała, ale prowadziła miłą rozmówę. Ruda musiała jej zaufać.

Musiála. Tak. Trzeba.

– Codziennie biegam po tym parku – powiedziała Sabina.

Interesujące. Bardzo. Trzeba się. Dowiedzieć. Więcej. Trzeba.

– *Och, naprawdę?* – odpowiada. *Łaskun szybko. Za Sławę. Wykorzystać. To można. – Ja czasem też. Czasem. Ja.*

– Naprawdę?

– Tak – powiedziała Sława z uśmiejchem. Zerknęła przy tym na Michała.

Jego twarz wykrzywił nieprzyjemny grymas, więc uznała, że na dziś wystarczy. Nie ma co kusić losu kolejnymi kłamstwami. Nawet jeżeli Łaskun tego chce.

– Słuchajcie, muszę już iść. Bawcie się dobrze!

Ostatnie słowa z trudem przeszły jej przez gardło.

Łaskun pomoże. Zawsze. Znajdzie siłę.

Oczywiście Sława nie odeszła daleko. Cały czas ich śledziła. Michał odprowadził Sabinę aż pod jej blok. To zdarzyło się pierwszy raz.

Idealnie. Się składa. Łaskun zna. Teraz. Adres. Teraz. Zna. Idealnie.

To, co zdarzyło się chwilę później... nawet samo wspomnienie... bolało. Tak bardzo, bardzo bolało. Michał pochylił się nad Sabiną i pocałował ją prosto w usta. Sława zacisnęła powieki, żeby tego nie oglądać. Jak on mógł?

Łaskun wściekłość. Zdradza. Zdradzona miłość. Jak Sława nie. Będzie mieć. Michała. Jak nie. Będzie mieć. To nikt. Nikt inny. Zemsta.

Michał jej nie kochał? Wolał Sabinę? Właściwie nie było już wątpliwości, chociaż Sława tak bardzo pragnęła, żeby okazało się, że jest inaczej. Tak bardzo pragnęła, żeby to była pomyłka. Przecież Michał musiał kochać ją. Nie było innej możliwości.

Łaskun wie, kto zginie. Kto. Wie. Zginie. Sędzia Jaworski i ruda zdzira Sabina Chrzanowska. Oni. To oni. Michał będzie

miał. Swoją lalkę. Prawdziwą. Prawie żywą. Skoro tak chce. Niech się udławi. Niech. Zdrada. Zemsta. Za zdradę. Niech się udławi. Jak nie. Dla Sławy. To Michał dla nikogo.

Jakkolwiek trudne by to było, Sława musiała zebrać się w sobie i przeprowadzić plan Łaskuna.

W sobotę trzydziestego maja obserwowała dom Jaworskiego z zarośniętej drogi. Tym razem pojechała tam na rowerze. Niby dla zdrowia. Tak naprawdę nie chciała ryzykować, że ktoś przypadkiem zobaczy jej samochód i pomyśli, że coś często się tam kręci.

Obserwacja Jaworskiego potwierdziła, że sędzia był zupełnym odludkiem. Na wszelki wypadek Sława śledziła go też w niedzielę. Wyszedł tylko raz. Do sklepu Wiery. Nikt go nie odwiedził.

Gości zero. Dom odosobniony. Idealnie. Idealnie dla Łaskuna. Jaworski. Potrzebny. Do lalki. Żywej lalki.

W poniedziałek Sława zastanawiała się, czy nie zrobić sobie Dnia Dziecka i nie pojechać pod pracownię popatrzeć na Michała. W końcu był pierwszy czerwca.

Nie. Wolno. Teraz plan. Łaskun. Musi działać. Zemsta.

Posłuchała Łaskuna, ale nie mogła przestać myśleć o Michale. Może wystarczyłaby jeszcze jedna rozmowa? Mogła nawet błagać. Przecież Michał musiał zrozumieć, że mylił się co do własnych uczuć i kochał ją. Tylko ją. Nie Sabinę.

Nie! Trzeba. Jechać. Pod dom. Rudej. Tam. Trzeba. Jechać. Trzeba.

W końcu Sława zebrała się w sobie i pojechała pod dom Sabiny. Widziała, jak ruda wychodzi na dwór w stroju do biegania.

Szybko. Do parku! Musi. Łaskun. Być pierwszy. W parku. Pod zamkiem. Musi być.

Sława zaparkowała na ulicy Zamkowej i ruszyła alejką jakby nigdy nic. Po chwili zauważyła Sabinę. Ruda biegła powoli. Być może dopiero się rozgrzewała. Jej związane w warkoczyki włosy podskakiwały przy każdym ruchu.

Nienawiść. Zemsta. Za zdradzoną miłość.

Sława przyspieszyła kroku, a potem przysiadła na jednej

z ławek. Sabina będzie musiała tędy przebiegać. Przypadkowe spotkanie. Tak to miało wyglądać i chyba się udało, bo Sabina zatrzymała się i powiedziała przyjaźnie:

– Hej, ty jesteś znajomą Michała, prawda? Sława? Spotkałyśmy się w piątek.

Sława uniosła głowę znad telefonu, udając zaskoczenie.

– O cześć. Tak, tak. Rzeczywiście. Przypominam sobie. Ty jesteś Sabina, tak?

– Tak. Tak się zastanawiałam, skąd się znacie z Michałem. Byliście w piątek bardzo tajemniczy!

Dziewczyna wydawała się nastawiona przyjaźnie.

Łaskun zadowolony. Cieszy się. Działa. Michał nie powiedział. Niczego złego. Nie powiedział. O Sławie. Nic złego. To działa. Ruda ufa. Łaskunowi. Idealnie. Nie podejrzewa. Nic. Nie podejrzewa. Idealnie. Według. Planu. Michał się udławi. Skoro nie kocha. Zemsta. Żywa lalka.

– Dawne dzieje – odpowiedziała Sława z uśmiechem, chociaż serce rozdzierał ból. *Jeszcze trochę. Zemsta.*

– Wy chyba nie jesteście parą, co? – zapytała Sabina. – Michał tak na ciebie wtedy w piątek patrzył...

Sława poczuła, że serce bije jej szybciej. A więc jednak? Może mimo wszystko miała rację i w spojrzeniu Michała była miłość? Może zbłądził tylko na chwilę? Może wystarczy porozmawiać z nim spokojnie i wszystko zrozumie? Że muszą być razem, że są dla siebie stworzeni.

Nic. Z tego. Plan. Zemsta. Nie kocha.

Kocha!

Nie kocha. Michał. Nie kocha.

Kocha!

Nie kocha.

– Nie. Coś ty. Nie jesteśmy parą – odpowiedziała w końcu Sława, próbując powstrzymać łzy. – A co? Wy się spotykacie?

– Jeszcze nie wiemy – przyznała Sabina. *Zdzira. Zemsta. Michał należy do Sławy. Łaskun nie odpuści. Nie. Nie pozwoli.*

– Na razie robimy sobie przerwę. Jutro wyjeżdżam na kurs dla stylistek do Warszawy. Wracam w piątek. Niby moglibyśmy się już wtedy spotkać. No ale pomyślałam, że może lepiej poczekać

jeszcze tydzień. Dać sobie czas. Zobaczyć, czy to prawdziwe uczucie, czy tylko zauroczenie. Sama nie wiem, dlaczego ci to wszystko mówię! Jakbyśmy się znały. Przepraszam.

Sabina zaśmiała się zawstydzona. Sława też się uśmiechnęła, chociaż przyszło jej to z trudem.

Łaskun nasłuchuje. Wyjeżdża? Ruda? Jutro? Jak to? Łaskun nie chce czekać! Przecież plan. Zemsta. Nie chce. Czekać. Do piątku! Kiedy ruda wróci. Nie chce czekać. Łaskun. Ruda. Miała zginąć. Szybciej. Już. Wściekłość.

– Kurs dla stylistek? – pyta. Łaskun głosem. Sławy. Trzeba się upewnić. Kiedy. Jak. Co. Zmienić. Dopasować. Plan.

– Tak. Zawsze chciałam zrobić coś takiego – wyjaśniła Sabina. – Bardzo interesuję się modą. Może dlatego tak się dobrze dogadujemy z Michałem. Przecież on projektuje. Nawet nie wiesz, jak się cieszę z tego wyjazdu, chociaż jest taki krótki! Czuję, że teraz mogę zacząć żyć od nowa.

Doprawdy? Łaskun wściekłość. Zemsta!

Cały poniedziałkowy wieczór Sława spędziła u siebie w laboratorium. Pracowała nad recepturą babci Augusty, starając się jednocześnie zebrać myśli.

Łaskun myśli. Planowanie. Długo. Muszą zginąć oboje. Jaworski i ruda. We wtorek. Czyli jutro. Zanim ruda zdzira wyjedzie. Nie będzie. Czekać. Łaskun. Do jej powrotu. Jutro. To jutro.

Przez całą noc z poniedziałku na wtorek Sława nie mogła spać. Szalała burza, a ona miała surrealistyczne wrażenie, że jeżeli nie zaśnie, to wtorek nigdy nie nadejdzie i okropny plan Łaskuna zostanie tylko planem. Nie zmieni się w rzeczywistość. Wreszcie zmęczenie ją zmogło i zasnęła.

Przez cały wtorek nie wyszła z laboratorium. Łaskun się nie odzywał. Miała nadzieję, że nie będzie forsował planu. Niestety wieczorem wrócił.

Już czas. Już. Sława. Musi zaufać. Łaskun zawsze. Pomoże. Łaskun nigdy. Nie. Zawiódł.

To była prawda. Sława musiała mu zaufać.

Pojechała pod dom Jaworskiego, kiedy dzień zaczął chylić się ku końcowi. To od sędziego Łaskun chciał zacząć, bo

gospodarstwo leżało na uboczu i istniała mała szansa, że ktoś coś zauważy.

Kiedy mijała dom Jaworskiego, żeby ukryć samochód na opuszczonej drodze, zobaczyła, że sędzia jest na podwórzu. Nie zwrócił na nią uwagi. Zajęty był pracą przy aucie. Właściwie było jej wszystko jedno, czy ją zobaczy. Może nawet chciała, żeby tak się stało? Wtedy plan ległby w gruzach.

Niestety nic z tego. Zaczaiła się więc w krzakach okalających gospodarstwo i obserwowała sędziego z ukrycia. W kieszeni bluzy miała strzykawkę z kurarą. Mieszanka babci Augusty nie była jeszcze gotowa.

Kurarą. Zaatakować. Żeby. Bez problemu. Nie trzeba siły. Wystarczy wstrzyknąć. Koniec. W ciągu kilku minut. Łaskun jest mistrzem. W truciznach. W miksturach. W narkotykach. We wszystkim. Kurara. Tak zabije.

Sława czekała i czekała, a Jaworski bez końca majstrował przy popsutym samochodzie. Ze swojego miejsca widziała, że cały umazał się smarem. Co rusz zerkała na zegarek zdenerwowana. *Jeżeli. Oboje. Dziś zginąć. Jeżeli mają zginąć. Oboje. To czas. Kluczowy. Nie zdąży. Łaskun wściekłość. Za długo. Za długo. To wszystko. Do zrobienia. Tyle. Ma przecież tyle do zrobienia. Rozumie nagle. Łaskun. Rozumie. Nie zdąży zabić Jaworskiego i Sabiny. Nie zdąży jednej nocy! Nie tak. Nie tak miało. Być. Nie. Tak. Trzeba działać. Jak. Najszybciej.* Nie chciała jednak zaatakować na dworze. Mimo wszystko bała się, że ktoś może przejeżdżać. Chciała to zrobić w środku.

W końcu Jaworski odłożył narzędzia i ze zrezygnowanym wyrazem twarzy oddalił się w stronę domu. *Późno. Późno, kiedy Jaworski kończy majsterkować. Przy samochodzie. Bardzo późno. Łaskun nie chce. Się wycofać. Wściekłość. Zdrada. Myśli, że nadrobi. Musi się udać. Nadrobi. Kurara szybka. Szybka. Teraz do drzwi. Zabije oboje. Dziś. Musi się. Udać.*

Sława wydostała się z ukrycia i pobiegła do drzwi. Zapukała donośnie. Jaworski otworzył z chmurnym wyrazem twarzy. Nie miał chyba ochoty na gości. Kiedy ją rozpoznał, uśmiechnął się. Zawahała się. Czy na pewno tak trzeba?

Trzeba. Na pewno. Trzeba.

– O! Dobry wieczór! Nie spodziewałem się pani, pani Idko.

– Mogę wejść? – pyta Sława. *Pyta Łaskun.*

Jaworski nie wyglądał na zachwyconego.

– Nie spodziewałem się gości – podkreślił raz jeszcze znacząco.

Sława włożyła rękę do kieszeni i wymacała strzykawkę. Miała ochotę się wycofać. *Działać. Łaskun musi. Trzeba działać szybko. Póki drzwi. Otwarte. Do salonu.* Minęła zaskoczonego gospodarza i weszła do środka. W salonie rozłożony był jakiś dziwny sprzęt. Wyglądał jak z *Lotu nad kukułczym gniazdem.*

– To... – zaczął sędzia.

Łaskun. Do przodu. Łaskun. Ruch ręką. Strzykawka. Wbita. Igła. Kurara. Kurara. Działa. On umrze. Za chwilę. Wszystko zdaje się. Dobrze. Zaczyna iść dobrze. Jaworski na podłogę. Pada na podłogę. Zaraz umrze. Kurara działa. Dobrze. Idzie dobrze. Idealnie. Łaskun zadowolony.

Sława oddychała ciężko, patrząc, jak sędzia umiera. Miała wrażenie, że siły zupełnie ją opuściły. *Teraz. Nie ma. Już przecież odwrotu. Zabiła go, więc musiała to wszystko dokończyć. Musiała zabić też Sabinę. Tak. Tak. Nie ma. Odwrotu. Nie.* Trzeba znaleźć siłę, żeby zabić też Sabinę. *Trzeba. Zdążyć tej nocy. Łaskun nie. Chce. Czekać.*

Nagle zdarzyło się coś zupełnie nieoczekiwanego. Sława usłyszała, że na podjazd przed domem Jaworskiego wjeżdża samochód. Reflektory na chwilę rozjaśniły ciemność, która zdążyła już zapaść.

Zastanawiała się gorączkowo, co zrobić. Wyrzała ukradkiem przez okno, żeby ocenić sytuację. Nie mogła uciec na zewnątrz, bo z samochodu wysiadał właśnie jakiś ubrany w kolorowy garnitur facet. To chyba był ten psychiatra, z którym Michał raz czy dwa się spotkał. Co robił w domu Jaworskiego?

Źle. Bardzo. Źle.

Jedyne, co przyszło Sławie do głowy, to ukryć się na piętrze. Pobieгла więc na górę po skrzypiących schodach. Była tam przerobiona ze strychu sypialnia i mała łazienka. Niewiele miejsc, żeby się ukryć. Przebiegło jej przez myśl, żeby wpełznąć

jak dziecko pod łóżko. Jednak w tym momencie usłyszała, że drzwi na dole się otwierają. Zastygła, bojąc się, że najmniejszy ruch może ją zdradzić.

Łaskun. U góry. Czai. Się. Umie to robić. Od dawna. Od początku. Nie boi się. Śladów. Ubranie. Czapka na głowie. Nawet włos. Nie spadnie. Żadnych śladów. Teraz. Czekać.

Nasłuchiwała. Z dołu nie dochodził żaden dźwięk. Psychiatra w kolorowym garniturze musiał zauważyć ciało Jaworskiego. Co teraz robił? Co robił? Dlaczego do cholery jasnej nie zamknęła drzwi na klucz? Przecież nadal tkwił w zamku, kiedy zabijała Jaworskiego.

W zamku. Był. Zamknąć. Trzeba było. Błąd. Schować się. Trzeba. Schować. Do łazienki. Nie. Stać. W jednym. Miejscu. Trzeba. Schować!

Łaskun nalegał, ale za bardzo się bała. *Trzeba. Schować się. Trzeba.* Weszła cicho do łazienki. Serce biło jej szybko, kiedy przekraczała próg. Szybko i głośno. Zdecydowanie za głośno. Ale... Umywalka. Wanna. Butelki z wybielaczem. Serce biło coraz szybciej. Zupełnie jak kiedyś. Ogarnęło ją przerażenie. Co ona tam robiła?

Spokojnie. Łaskun. Pomoże. Zawsze.

Sława starała się skupić na tym, co się działo na dole. Nie na łazience. Z parteru dochodziło teraz szuranie i pobrzękiwanie metalu o metal. Potem usłyszała dźwięk zamykanych drzwi. Chwilę później silnik samochodu odpalił.

Wyszła ostrożnie zza drzwi i wyjrzała przez okno na poddaszu. Srebrne subaru właśnie wycofywało się z podjazdu. Co teraz? Uciekać?

Kończyć!

Psychiatra widział ciało. Na pewno.

Kończyć. Mimo. To.

A jak wezwie policję?

Kończyć!

Sława zeszła na dół. Ciało Jaworskiego leżało w tym samym miejscu, gdzie je zostawiła. Zniknęło natomiast to dziwne ustrojstwo, które przypomniało jej film z Nicholsonem. *Nie ma też. Laptopa. Tam. Leżał na. Stoliku. Złodziej? Ogarnęła ją*

ulga. *To. Tylko złodziej! Policji. Nie wezwie. Policji. Przecież. By się przyznała. Że kradł. Kontynuujemy. Tak trzeba. Zemsta! Wściekłość. Zaraz jednak powróciły wątpliwości. Może jednak lepiej się wycofać? Łaskun nigdy. Jaworski. Już nie żyje. Szkoda takiej okazji. Teraz ruda. Szybko. Tej. Nocy.*

Spojrzała na zegarek. Zrobiło się już bardzo późno.

Nie zdąży. Łaskun. Zabić Sabiny. Nie tej nocy. We wtorek. To niewykonalne. Za długo. W domu Jaworskiego! Plan runął. Łaskun wściekłość. Do piątku. Trzeba czekać. Dopiero w. Piątek. Ruda. Zginie. W piątek. Dopiero. Trzeba czekać. Gniew.

Łaskun kalkuluje. Zmienia plany. Musi. Dostosować. Plan. Co z ciałem?

Pierwotny plan Łaskuna był prosty. Chciał stworzyć z ciała Jaworskiego i Sabiny lalkę na podobieństwo tych, które robił w swojej pracowni Michał. *Kara. Dla niego. Na niego. Podejrzenia. Poza. Tym. On straci. Ważne. Osoby. Kara. Niech się. Udławi. Niech.*

Sława spojrzała na ciało sędziego.

– Tu ktoś go może znaleźć. Trzeba go przenieść. Nie można ryzykować – powiedziała do Łaskuna. Czasem nadal w ten sposób rozmawiali. Na głos. Jak kiedyś.

Na polanę. Trzeba. Go zabrać. Na polanę. Tam ukryć. Do piątku. Niech czeka.

Sława pokiwała głową. Polana to nie był zły pomysł. Skoro Sabina miała umrzeć dopiero w piątek, ciało sędziego musiało poczekać do tego czasu w bezpiecznym miejscu. Tak, na polanie można go ukryć. Prawie nikt jej nie zna.

Ojciec pokazał jej obelisk, kiedy byli na rybach. Opowiadał wtedy trochę o babci Auguście, że często zbierała tam zioła. Sława chłonęła każde słowo, chociaż nie wiedziała wtedy jeszcze, że kiedyś zajmie się tym samym co babka.

Zielarka! Dopiero teraz Sława pomyślała o tej sklepikarce. Wiera mogła znać polanę! Przecież chadzała w te okolice. Niedaleko miała swoją suszarnię ziół. Co będzie, jeżeli pójdzie na polanę i znajdzie ukryte tam ciało?

Mimo. To. Zaryzykować. Trzeba. Zaryzykować. Czas mija.

Psychiatra. Może. Wrócić. Może!

Sława znowu spojrzała na ciało Jaworskiego. A więc decyzja podjęta... Według pierwotnego planu Jaworski miał być pocięty tu na miejscu w gospodarstwie, ale teraz nie było na to czasu. Psychiatra mógł wrócić... Trzeba zabrać ciało jak najszybciej i pokawałkować je w młynie. Tam miała piłę mechaniczną. Będzie łatwiej pracować niż tą ręczną, która czeka w bagażniku samochodu.

Tylko skoro sędzia nadal jest w jednym kawałku, jak go dotransportować na starą drogę, gdzie została terenówka?

Ciągnąć? Wlec?

Odpada. Zostaną ślady. To zły pomysł. Ogarnęła ją panika.

Zaraz! Za domem. Stał wózek. Wózek do drewna.

Wózek do drewna. Zastanawiała się nad tym przez chwilę. To chyba nie był zły pomysł. Nawet jeżeli ktokolwiek będzie szukał jakichś śladów, wózek do drewna jest częścią wyposażenia tego gospodarstwa. Jaworski sam mógł coś wieźć. To na pewno nie będzie aż tak podejrzane jak ślady wleczenia.

Sława wyszła ostrożnie przed dom i pobiegła na tył. Rzeczywiście stał tam zardzewiały wózek. Podjechała nim pod ganek. Teraz trzeba będzie wyciągnąć ciało sędziego na zewnątrz. Innego wyjścia nie było. Po czole spływał jej pot. Całe szczęście Jaworski był drobnej postury. Mimo to jej mięśnie były tak zmęczone, że z trudem pchała wózek, kiedy wreszcie się udało. Musiała co jakiś czas przystawać. W końcu dotarła do granicy gospodarstwa.

Co teraz?

Teraz. Tylko. Zanieść do. Samochodu. Zanieść. Łaskun. Zawsze pomoże. Zawsze. Kawalek. Tylko. Kawalek. Łaskun pomoże.

Z trudem wpakowała Jaworskiego do samochodu. Serce biło jej szybciej, niż to wydawało się możliwe. Zdawało jej się, że znowu jest małą dziewczynką. Jak wtedy dawno, dawno temu.

Spokojnie. Malutka. Spokojnie. Łaskun pomoże. Zawsze. Pomoże. Łaskun.

Wróciła na teren gospodarstwa i odprowadziła wózek za dom.

Teraz. Trzeba ślady. Wyczyścić. Na. Górze wybielacz.

Sława zadrżała na samą myśl. Nie, nie zdobędzie się na to. Nie tej nocy. I tak dopadły ją najgorsze wspomnienia. Trzeba zaryzykować. Może nikt się nie zorientuje, że Jaworski nie żyje, skoro taki z niego odludek.

Nie. Trzeba to. Zrobić. Zamaskować. Ślady w domu. Trzeba!

Nie. Nie. Nie. Nie da rady. Nie dziś. Pobiegła do samochodu, chociaż doskonale zdawała sobie sprawę, że powinna wrócić na górę i wyczyścić wszystko wybielaczem tak, jak kazał Łaskun. Butelek było tak dużo... Można było wymyć cały dom i ten pieprzony wózek na drewno też. Tylko że ona nie da rady. Nie dziś. Koniec kropka.

Odpaliła silnik i pojechała przez martwy nocny świat prosto do młyna. Tam wjechała samochodem do garażu. Siedziała przez chwilę, oddychając ciężko. Trup sędziego obok niej na siedzeniu. To było zupełnie tak jak wtedy z tatą... Wspomnienia tamtej nocy sprzed wielu lat znowu ożyły. Starła się je odgonić, ale wracały i wracały.

Spokojnie. Malutka. Spokojnie. Łaskun pomoże. Zawsze. Pomoże. Łaskun.

W końcu Sława zebrała się w sobie i wysiadła z samochodu. Zamknęła drzwi garażu na kłódkę. Wyszarpała ciało. Spadło na podłogę z głuchym łoskotem. Przeciągnęła je jak najdalej od auta. Nie chciała, żeby podczas piłowania chociaż kropla krwi zabrudziła lakier. Mniejsze rzeczy przesądzały czasem o niepowodzeniu.

Łaskun tnie. Ciało. Jaworskiego. Na kawałki. Piła elektryczna. Szybko idzie. Więc. Tułów, ręce, nogi. Łaskun pakuje. W folię. Oddzielnie. Każda część. Ciała.

Kiedy było już po wszystkim, nocne niebo niebezpiecznie pojaśniało. Chciała to zignorować. Była tak zmęczona, że miała ochotę paść na ziemię i spać.

Nie. Wolno. Nie. Trzeba na. Polanę. Jeszcze tej. Nocy. Ciało. Nie może. Tu. Zostać.

Pokiwała głową. Wyplyniecie teraz na Strażym niosło za sobą pewne ryzyko. Jakiś nadgorliwy rybak mógł już przygotowywać się do połowów. Jednak nie wyobrażała sobie, by mogła pozostawić pokawałkowane zwłoki Jaworskiego w młynie.

Zacząła więc przenosić zapakowane w folię kawałki ciała do łodzi. Drżała, wypływając na środek jeziora. Tu wspomnienia tamtej nocy sprzed lat były jeszcze silniejsze.

W końcu łódź dobiła do brzegu. Sława przycumowała ją w krzakach. To miejsce pokazał im kiedyś ojciec. Stamtąd było już niedaleko na polanę. Zacząła przenosić części ciała sędziogo pod obelisk. Kiedy ułożyła je tam wszystkie, usiadła obok, opierając się o wielki kamień. Była tak zmęczona, że obecność trupa zupełnie jej nie przeszkadzała.

Łaskun kręci. Głowę. Niezadowolony. Co jeżeli. Na polanie ktoś odkryje. Ciało? Za wcześnie. To za wcześnie. Miała być lalka. Co będzie. Jak. Ktoś. Odkryje ciało Jaworskiego przed piątkiem? Plan przypadnie. Wtedy. Michał nie zrozumie. Że to wiadomość. Dla niego. Nie będzie. Kary. Nie będzie. Zemsty. Łaskun zły. Gniew.

– Wytnę na nim pentagram – powiedziała Sława cicho. – Jeżeli ktoś odnajdzie ciało przed piątkiem, to Michał i tak zrozumie, że to znak ode mnie. Od nas.

Ponad rok temu wytatuowała sobie na brzuchu niewielki biały pentagram. Dla ochrony przed złem. Michał doskonale o tym wiedział. To będzie czytelny sygnał. Zwłaszcza jeżeli wytnie symbol na brzuchu w miejscu, gdzie sama go miała.

Podniosła się niechętnie i przerzuciła opakowany w folię korpus na plecy. Wyjęła z kieszeni nóż z rzeźbioną rękojeścią. Ten sam, który dostała od Michała w dzień ślubu jako symbol ich miłości. Ręka jej drżała, gdy wycinała pentagram w martwej skórze, rozrywając przy tym folię. Szkoda, przecież tak starała się wszystko dobrze zapakować.

Kiedy skończyła, przerzuciła tułów z powrotem na brzuch. Potem pobiegła do łodzi. Nie patrzyła nawet, jak to wyszło. Nie mogła. Nie chciała.

Spała długo. Obudziła się dopiero w środę koło południa. Od razu włączyła telewizor. Chciała sprawdzić, czy są jakieś informacje o zaginięciu Jaworskiego. Nic. Milczenie. W radiu, gazetach i na portalach internetowych też żadnych wiadomości. Wyglądało na to, że Witkowski z jakiegoś powodu nikogo nie zawiadomił o tym, że widział ciało Jaworskiego.

Najwyraźniej nikt nie przejmował się sędzią, bo w czwartek też nie pojawiły się żadne wieści na jego temat. To dodało Sławie sił.

Myśl. O tym. Że. Sabina wraca jutro. Też. Daje siłę. Też. Łaskunowi. Daje. Siłę.

Jutro piątek, dlatego trzeba było zdecydować, co dalej. Sława doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Posłuchała Łaskuna i zabiła sędziego, było więc za późno, żeby się wycofać, prawda? Nawet jeżeli nie chciała w tym uczestniczyć od samego początku.

Sabina. Zginie. Lalka. Żywa lalka. Zemsta. Za zdradzoną. Miłość.

Więc to już ustalone. Zaufa Łaskunowi do końca. Stworzą tę lalkę, skoro tak trzeba.

Tylko gdzie. Zostawić. Lalkę?

We wtorek Łaskun powziął butny plan podrzucenia „żywej lalki”, jak ją nazywał, pod pracownię Michała. Sława bała się aż tak ryzykować.

To może. Na polanie? Tam. Gdzie. Ciało. Jaworskiego?

Sława pokręciła głową. Polana też nie wydawała się najlepszym miejscem. Z wręcz odwrotnego powodu. Skoro nikt nie znalazł tam ciała Jaworskiego od wtorku, znaczy, że może tam leżeć jeszcze długo i nikt się o niczym nie dowie. A przecież w gruncie rzeczy chodziło o to, żeby lalka została odnaleziona i żeby Michał się o niej dowiedział.

I. Za nią. Odpowiedział. Niech. Się. Udławi. Niech. Żywą lalką. Się udławi.

Nagle przyszło jej do głowy, że idealnym miejscem może być dom sędziego. Z jednej strony znajdował się na odludziu, zapewniał więc jakie takie bezpieczeństwo podczas przygotowań. Z drugiej w końcu chyba ktoś tam zajrzy, prawda? A wtedy odkryje lalkę.

Poza tym tak czy inaczej warto było tam wrócić, żeby po sobie posprzątać. Łaskun miał rację. Sława musiała się przemóc. Im mniej śladów zostawi, tym lepiej. Przecież to oczywiste. Musi wejść tam do łazienki. Musi wziąć rozpuszczalniki, wybielacze i tak dalej. Poradzi sobie. Nie jest już dzieckiem. Jest dorosła.

Więc to już ustalone. A skoro lalka miała powstać w domu sędziego Jaworskiego, Sława musiała wrócić na polanę po jego głowę. Wzdrygnęła się.

Nie. Ma. Innego. Wyjścia.

Popłynęła tam w nocy z czwartku na piątek. Dla dodania sobie animuszu starała się myśleć o tym, że niedługo zginie Sabina. Jak jej już nie będzie, Michał na pewno zrozumie, że są dla siebie stworzeni. Sława i Michał. Sabina mu niepotrzebna.

Głowa nie wyglądała najlepiej. Dobrały się do niej zwierzęta. Sława wzięła ją z odrazą. Cały czas skupiała się na myśleniu o Sabinie. O tym, jak ta ruda zdzira zginie. Nie będzie miała Michała. Niedoczekanie.

Zdzira. Jej kolej. Zginie. Michał się udławi.

Nie, Michała trzeba zostawić w spokoju. Na pewno zrozumie, że tak naprawdę kocha Sławę. Kocha ją przecież.

Nie kocha.

Kocha!

Nie. Kocha.

W końcu nadszedł piątek – piąty czerwca. Wielki dzień.

Sława pojechała pod dom Sabiny z samego rana. Nie wiedziała, kiedy dziewczyna wraca z tego nieszczęsnego kursu dla stylistek. Trzeba było cierpliwie czekać. Strzykawka z kurarą ciążyła w kieszeni, kiedy mijały kolejne minuty, a potem godziny siedzenia w terenówce zaparkowanej przed blokiem.

Kilka razy miała ochotę wysiąść. Przejść się po okolicy albo chociaż wstąpić do pobliskiego warzywniaka, żeby kupić jakieś owoce na przekąskę. Bała się jednak, że przegapi powrót rudej.

Dopiero gdzieś około siedemnastej zobaczyła Sabinę. Szła ulicą i ciągnęła za sobą niewielką walizczkę. Kończyła właśnie rozmawiać przez telefon. Miała uśmiech na ustach.

Zginie. Zdzira. Kara. Zginie.

Sława włączyła silnik i podjechała kawałek. Otworzyła okno i wychyliła się.

– Hej!

Sabina spojrzała na nią zaskoczona, ale twarz jej pojaśniała, kiedy poznała koleżankę Michała.

– O cześć!

– Słuchaj, Michał prosił, żebym cię do niego szybko podwiozła. To ważne.

Sabina spojrzała na telefon.

– Ale do mnie nie dzwonił.

– Nie, nie... To ważne.

Zabrzmiało to idiotycznie, ale słów nie dało się już cofnąć. Całe szczęście Sabina nie zastanawiała się nad tym. Zdawała się rozpromieniona i chyba było jej wszystko jedno, co właśnie usłyszała. Jej błąd.

– W sumie to się dobrze składa. Opowiem mu, jak było na kursie. Poczekasz chwilę, aż zaniosę rzeczy do mieszkania? Nie targałabym tego wszystkiego ze sobą.

– Jasne.

Sława czekała w samochodzie z bijącym sercem. A co, jeżeli Sabina nie wróci? Co, jak się czegoś domyśliła? Całe szczęście jej obawy były bezzasadne i Sabina szybko pojawiła się w drzwiach klatki schodowej.

– Kurczę, zostawiłam telefon na górze – powiedziała, uderzając się w czoło.

Idealnie. Łaskun. Zadowolony. Idealnie. Mniej problemów. Telefon. Można. By przecie. Namierzyć. A tak. Nie. Idealnie. Łaskun. Zadowolony. Łaskun.

– Nie szkodzi – zapewniła Sława szybko. – Nie będzie ci potrzebny.

– Słuchaj, a co się właściwie dzieje? – zapytała Sabina.

Domyśliła. Się czegoś? Zdzira. Domyśliła?

– Opowiem po drodze – obiecała Sława. Starła się, żeby zabrzmiało to lekko.

Ruda zdzira. Wsiada. Do samochodu. Idealnie. Taki plan. Ufa. Zaufała. Dobrze. Łaskun zadowolony. Idealnie.

– To powiesz mi, co i jak? – zaśmiała się Sabina po chwili. *Zdzira.* – Znowu strasznie jesteś tajemnicza!

– *Odjedźmy stąd. Kawalek. Już mówię. Tłumaczę. Już.* – *Łaskun mówi. Głosem Sławy. Mówi. Łaskun. Nie potrafi. Już się ukrywać. Łaskun już się. Nie ukrywa. Złość. Zazdrość. Zaraz koniec. Zemsta.*

– *Ale gdzie jedziemy?* – upiera się. *Sabina. Zdzira. Zginie.*

– *Zobaczysz. Zaraz. Już zaraz.*

Już są. Za miastem. Droga przez las. Nikt nie widzi. Nikt. Dojeżdżają do. Młyna. Do garażu. Sabina pytania. Przerażenie. Łaskun. Ignoruje. Kurara. Łaskun. Strzykawka. Igła. Atak. Kurara działa. Szybko. Sabina. Nie żyje. Ulga. Radość.

Ulga i radość w końcu się pewnie pojawiają. Przynajmniej taką Sława miała nadzieję. Bo jak na razie była tylko panika. Ogarnęło ją nieprzyjemne uczucie, że porwała się na coś, czego zupełnie nie ogarnia. Przygotowywanie trucizn to było zupełnie coś innego niż wstrzykiwanie ich ludziom i cięcie ich na kawałki.

Już. Prawie. Już prawie. Się. Udało. Łaskun. Da radę. Łaskun. Już prawie. Łaskun pomoże. Zawsze.

Krojenie ciała Sabiny szło łatwiej niż Jaworskiego. Może to kwestia doświadczenia? Sława zapakowała fragmenty ciała w plastikową folię.

Szczelnie. Bardzo szczelnie. To samo z głową. Sędziego. Bo stara folia. Porwana. Do samochodu. Jeszcze zszywacz. Do bagażnika. Łaskun. Bierze też pilę. Ręczną. Na wszelki wypadek. Jakby coś. Dociąć. Trzeba. Dopiłować. Było. Gotowe. Łaskun jedzie do. Domu. Jaworskiego.

Podjechała pod gospodarstwo sędziego i jak zwykle ukryła samochód na starej, zarośniętej drodze. Siedziała przez chwilę i nasłuchiwała. Potem odważyła się wysiąść. Przez dłuższy czas obserwowała dom. Chciała się przekonać, czy nikogo tam nie ma, czy nikt nic nie zauważył.

Wokoło było zupełnie cicho, więc Sława odważyła się podbiec do drzwi i sprawdzić, czy nadal są otwarte. Tak było. Co więcej, klucz niezmiennie tkwił w zamku tak, jak go zostawiła we wtorek. Wyglądało na to, że nikogo tu nie było od tamtego czasu. Ani psychiatry, ani nikogo innego.

Sława uznała, że czas przenieść głowę sędziego Jaworskiego i tułów Sabiny do środka. I tak wszystko znalazło się na piętrecze. Najlepiej chyba ułożyć lalkę na łóżku, zdecydowała. Jak opuszczoną kochankę.

Niech Michał się. Udławi. Zemsta. Za miłość. Zdradzoną. Złamane serce. Łaskun nie pozwoli. Zemsta.

Odpakowała głowę sędziego i ułożyła ją na poduszce. Naprawdę wyglądała okropnie. Nieważne, pomyślała i odwróciła wzrok. Teraz pora na tułów.

Tu niestety pojawił się problem. Sława nie była w stanie rozerwać folii. Być może miała zbyt zmęczone mięśnie. A może była zbyt gorliwa, kiedy go pakowała? Może nie trzeba było owijać go w tyle warstw grubej folii?

Sławę ogarnęła panika. Co zrobić? Zostawić ciało w folii?

Bez. Sensu. W ogóle. Nie przypomina. Lalek. Michała. Jak jest. W folii. Trzeba. Zdjąć.

Tylko jak? Gdyby tylko miała ze sobą rzeźbiony nóż... Że też zostawiła go w młynie.

Nagle przyszedł jej do głowy najprostszy pomysł na świecie. Przecież Jaworski na pewno ma w kuchni jakieś noże. W każdym domu są. Sława zbiegła na dół i zaczęła przeszukiwać szuflady. Ręce w czarnych ochronnych rękawiczkach tańczyły. Nowa energia pojawiła się znikąd.

W końcu wybrała zwykły nóż do krojenia chleba i pobiegła z nim na górę. *To. Wystarczy. Do przecięcia. Wystarczy. Idealnie. Zaczęła ciąć folię. Najpierw powoli i ostrożnie. Potem z coraz większą gorliwością. Bardzo chciała już to zakończyć. Odpocząć. Tak bardzo chciała. Ręce jej drżały z niecierpliwości. Kawalek po kawalku. Ręce drżą. Niecierpliwość. Szybciej. Łaskun chce już. Lalkę skończyć. Głowa czeka. Niecierpliwość. Szybciej. Nóż tnie folię.*

Nagle stało się coś, czego nawet w najgorszych snach nie przewidziała. Ani Sława, ani Łaskun. Na dole rozległ się dźwięk otwieranych drzwi.

Znowu? Błąd. Znowu! Łaskun. Wściekłość. Jak. To możliwe. Znowu błąd!

Ręka jej zadrżała i Sława niechcący wbiła kuchenny nóż w ciało Sabiny. Cholera! Cholera! Cholera!

Nóż w ciele. Sabiny. Nie to. Najgorsze. Najgorzej, że ktoś. Po schodach. Na górę. Znowu! Przekleństwo. Ten sam błąd. Co ostatnio. Łaskun wściekły. Czemu nie. Zamknął. Drzwi?

Czemu? Błąd! Znowu! Powtórka. Kto tym razem? Czy to. Ten. W kolorowym. Garniturze. Wrócił. Czekal?

Nie było czasu, żeby się chować, więc Sława stanęła tuż za drzwiami. W kieszeni miała resztkę kurary, która posłużyła do zabicia rudej Sabiny. Wystarczy, żeby poradzić sobie z przeciwnikiem. Nawet jeżeli był sporej postury.

Ktokolwiek idzie. Zginie.

– Jakub, jesteś tam?

Sława знаła ten głos. To była jedna z dziewczyn z Gwiazdzbioru. Ta, która przebierała się za Marilyn Monroe.

Striptizerka zauważyła Sławę dopiero, kiedy postawiła stopę na ostatnim stopniu. Wyglądała na zupełnie zaskoczona. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć. Ale...

Łaskun. Szybszy. Strzykawka. Kurara. Żadnych. Świadców nie może. Być.

Sława nie chciała patrzeć, jak kobieta umiera. Źle się z tym czuła. Nawet bardzo źle. Zabiła przecież niewinną osobę.

Żeby zająć czymś rozedrgane myśli, zaczęła przeglądać zawartość torebki striptizerki. To wydawało się zdecydowanie przyjemniejsze niż patrzeć na ostatnie chwile Marilyn.

Przyjemniejsze do czasu.

Łaskun wściekłość. Suka. Zdzira. Zemsta.

Marilyn miała w torebce białą sukienkę!!! To było jedno z niesamowitych dzieł Michała. Czy Michał spotykał się także z nią? Jak on mógł? Jak mógł, kiedy Sława tak go kochała. Czy jej miłość naprawdę mu nie wystarczała?

Ogarnęła ją taka wściekłość, że miała ochotę rozerwać ciało kolejnej rywalki na strzępy. Przez dłuższą chwilę walczyła ze sobą, żeby tego nie zrobić.

Spokojnie. Malutka. Łaskun. Lepszy. Pomysł ma. Tułów dziwki. Zamiast Sabiny.

– Zrobimy dwie lalki – powiedział. Łaskun. Głosem Sławy. Powiedział. Zemsta. Niech się. Udławi. Żywe. Lalki. Niech. Się. Udławi Michał. Zemsta za. Zdradzoną. Miłość.

Sława spojrzała na zapakowany w folię tułów Sabiny. W ciele nadal tkwił kuchenny nóż. Westchnęła i zerknęła na martwą Marilyn. Może tak rzeczywiście będzie lepiej? Tułów Sabiny

jest ciągle zapakowany. Wystarczy zanieść go z powrotem do samochodu. To praktyczne podejście sprawiło, że emocje zaczynały się uspokajać. Sława odzyskiwała kontrolę nad sytuacją.

Na początek wyjęła nóż z ciała Sabiny i odniosła go do kuchni. Spłukała krew w zlewie, żeby nie zaschła. Potem dokładniej go wyczyści. Najpierw trzeba ukryć tułów Sabiny z powrotem w terenówce. Wyjęła z bagażnika ręczną piłę.

Dobrze. Że jest. Łaskun. Pomyślał. O wszystkim.

Piła ręczna to nie było idealne rozwiązanie, ale nie było innego. Adrenalina dodawała Sławie siły, tak że wszystko teraz wydawało się możliwe. Nawet wejście do tej choleralnej łazienki. Nawet wymycie całego domu detergentami.

Łaskun. Wraca do domu. Na górze. Łazienka. Na piętrze. Tam tnie Marilyn. W wannie. Trudno. Trudno to idzie. Ale idzie. Jakoś. Potem czekać. Aż krew przestanie płynąć. Godzinę? Więcej? Mniej? Trudno powiedzieć. Zmęczenie. Krwi nie tak wiele. Bo trup? To jest?

Sława wyjęła tułów Marilyn z wanny i ułożyła na łóżku. Wielkie piersi striptizerki rozlały się na boki. Kikuty rąk były porozrywane, bo cięcie ręczną piłą okazało się o wiele trudniejsze, niż mogłoby się wydawać.

Nie. Szkodzi. Nic. Nie. Szkodzi.

Teraz należało połączyć głowę Jaworskiego z tułowiem Sabiny. Poszło zadziwiająco szybko. Zszywacz tapicerski wchodził w porwaną skórę prawie bez oporu. Nie trzymało się to może za dobrze, ale przecież nie o to chodziło.

Sława odeszła kilka kroków od łóżka i spojrzała na efekt pracy.

Idealnie. Łaskun zadowolony. Zupełnie jak. Lalka. U Michała. Niech się. Udławi. Zdrajca. Niech się udławi. Niech. Będzie wiedział, że to dla niego. Michał. Niech wie. Niech się udławi. Łaskun zawsze pomaga.

Po namyśle Sława wyjęła jeszcze perły i sukienkę z torby tej obmierzłej dziwki. Położyła to wszystko na jej tułowiu. Nie ma możliwości, że policja nie zwróci na to uwagi. Będą musieli sprawdzić, skąd wzięła się sukienka. Nikt inny tak pięknych nie

robi. Tylko Michał. Tego była pewna.

Rozerwą go. Na strzępy. Niech. Nie wytrzyma. Niech ma. Co tak kochał. Lalki. Żywe lalki. Niech się udławi. Niech.

Przyglądała się stworzonej przez siebie postaci. Przykryta białą sukienką wyglądała jak groteskowa panna młoda. Brakowało tylko makijażu. Sława nie mogła powstrzymać nieco histerycznego śmiechu. Wiedziała, że zupełnie traci panowanie nad sobą, ale nie mogła już nic z tym zrobić.

Nagle przypomniała sobie, że widziała w torebce Marilyn szminkę i cienie. Niewiele myśląc, wyjęła je i zaczęła malować twarz sędziego nerwowymi ruchami. Nie mogła przestać. Nie wiedziała, ile to trwało.

Wystarczy. Już. Wystarczy. Spokojnie. Malutka. Łaskun pomoże. Zawsze. Pomoże. Sławie.

Sława odłożyła kosmetyki z powrotem do torebki i oddychała ciężko, próbując się uspokoić tak, jak radził Łaskun.

– A pentagram? – zapytała. Głos jej drżał. – Może dodać jeszcze pentagram? Jako podpis dla Michała. Tak jak na tułowiu sędziego na polanie. Żeby wiedział, kto za tym wszystkim stoi. Żeby wiedział, kogo zranił.

Niepotrzebne. To. Niepotrzebne. I tak przecież. Się. Domyśli. Się. Mogłoby. To. Niepotrzebnie odwrócić. Uwagę. Policji od. Sukienki. Uwagę. Policji. Odwrócić. Niepotrzebnie.

Teraz. Co innego. Trzeba. Posprzątać. Trzeba.

Sława spojrzała w stronę łazienki i zadrżała. Wiedziała jednak, że musi to zrobić. Nie może pozwolić, żeby został w tym domu jakikolwiek ślad po niej. Nie przywiozła ze sobą przezroczystej folii, zeszła więc na dół do kuchni i poszukała worków na śmieci. Zapakowała do nich ręce, nogi i głowę Marilyn. Zaniósła je do samochodu. Teraz pozostało sprzątanie.

Wróciła do domu Jaworskiego z silnym postanowieniem, że nie będzie zbyt wiele myśleć. Tylko działać. Tylko robić.

Robić. Sprzątać. Cały. Dom. Wózek na drewno. Też. Wszystko. Wybielaczem. Z. Łazienki. Sprzątać. Na wszelki. Wypadek.

Sława płakała przez cały czas, chociaż tak bardzo starała się

nie myśleć o dawnych czasach, o dzieciństwie. Jednak już sam zapach detergentów budził wspomnienia, które tak bardzo chciała od siebie odsunąć. Ten zapach... Zna go tak dobrze. Dla niej to odór strachu, bólu. Nie do wytrzymania.

Nie bój. Się. Malutka. Łaskun. Pomoże. Nie. Bój się. Malutka. Łaskun pomoże. Zawsze.

W końcu dom łsniał. Sława zaś czuła się martwa. Zupełnie martwa. Jak ta lalka na górze.

Zamknęła za sobą drzwi na klucz. Przez chwilę zastanawiała się, czy go zabrać. Ostatecznie jednak uznała, że nie jest jej już potrzebny. Poza tym dziwnie ciążył w dłoni. Jak wyrzuty sumienia. Rzuciła klucz w krzaki rosnące przy płocie gospodarstwa i pobiegła do terenówki. Dopiero tam zorientowała się, że zapomniała wymyć nóż leżący w zlewie.

Trzeba. Wrócić. Trzeba.

Nie. Nie. Nie. Powrót nie wchodzi w grę. Tak bardzo nie chciała wracać. Nikt przecież na ten nóż nie zwróci uwagi. Poza tym była tam tylko krew Sabiny. Nic więcej. Co w tym złego...

Łaskun nie odpowiedział. Sława starała się odдыchać głęboko, ale to wcale nie uspokajało. Była sobota nad ranem, a ona tkwiła w aucie ze szczątkami dwóch kobiet. Zaśmiała się nieco histerycznie. Kto by się tego spodziewał? Kto by pomyślał? Ona na pewno nie. Od dawna zajmowała się truciznami, ale to naprawdę było coś zupełnie, zupełnie innego.

Otarła łzy. Musiała wziąć się w garść i coś postanowić. Czy naprawdę chciała pogrążyć Michała? Czy naprawdę chciała zrzucić na niego winę? Po chwilowym ataku gniewu teraz nie była już tego taka pewna. Zabicie Sabiny było chyba już wystarczającą karą... Nie mogła jeszcze zrzucić na niego morderstw. Tak go kocha!

Ale. On. Nie kocha!

Kocha.

Nie. Kocha. Nie.

Z braku lepszego pomysłu postanowiła pojechać z powrotem do garażu obok młyna. Nie miała siły na nic więcej. Działanie adrenaliny mijało i zaczynała odczuwać potworne zmęczenie. Uznała, że na razie zostawi szczątki tam. Absolutnie nie da rady

wiosłować z nimi na polanę.

Dojazd na miejsce zdawał się ciągnąć w nieskończoność. Kilka razy omal nie zasnęła za kierownicą. Oczy same jej się zamykały. Musiała się skupić! Przecież wypadek to ostatnie, czego teraz potrzebowała. Co by powiedziała policji i ludziom z karetki? Jak by wytłumaczyła, że ma w samochodzie zapakowany w folię kobiecey tułów oraz głowę i kończyny drugiej kobiety w workach na śmieci? Czy ktokolwiek by zrozumiał, że to ona jest tu prawdziwą poszkodowaną?

W końcu wjechała do garażu obok młyna i z trudem zamknęła za sobą drzwi. Zdobyła się jeszcze na to, żeby zanieść szczątki Marilyn i Sabiny na najwyższe piętro budynku. Tam będą bezpieczne.

Położyła się spać na brudnej kanapie na dole. Było jej wszystko jedno. Nie sądziła, żeby ktokolwiek zainteresował się, że nie wróciła do domu. Zasnęła niemal od razu.

Kiedy się obudziła, w pomieszczeniu panował półmrok. Wyglądało na to, że przespała całą sobotę i dzień ma się już ku końcowi. Leżała wpatrzona w popękany sufit. Myślała o śnie, który powtórzył się kilkakrotnie w ciągu tego niespokojnego wypoczynku.

Tułów i kończyny. Bez głowy. Ta wizja nie potrafiła jej opuścić. A może to był sen Łaskuna? W ostatnich dniach trudno było już rozróżnić, kiedy była sobą, a kiedy nim. Chyba powoli zlewali się w jedność.

Sława wstała z kanapy i otrzepała ubranie z kurzu. Nadal miała na sobie czarne legginsy, bluzę, kominiarkę i rękawiczki, w które ubrała się wczoraj. Materiał pokryty był ledwo widocznymi w półmroku plamami zeschłej krwi. O dziwo, nie było jej wcale tak wiele, jak można było się spodziewać.

Odetchnęła głębiej. Gdyby nie zabrudzone ubranie i ból w całym ciele, mogłaby pomyśleć, że wydarzenia z domu sędziego Jaworskiego też były tylko częścią snu. Wrażenie było tak silne, że szybko wspięła się na górę po schodach. Musiała sprawdzić, czy szczątki naprawdę tam są.

Leżały tam, gdzie je zostawiła. Na ich widok przed oczami znowu stanęła jej wizja ze snu. Ułożyła tułów Sabiny na środku

poddasza. Trzeba go będzie rozpakować, ale zajmie się tym później. Na razie chciała tylko zobaczyć, jak sen wygląda w rzeczywistości. Ułożyła ręce i nogi Marilyn w odpowiednich miejscach przy korpusie Sabiny.

Idealnie. Łaskun zadowolony. Z jakiegoś. Powodu. Tak. Idealnie.

Sława zadrżała. Czy to nie było szaleństwo? Czy ona nie zwariowała już zupełnie? Wszystko jej się teraz mieszało. Nie miała nawet pewności, czy wspomnienia ostatnich dni były prawdziwe czy wymyślone.

Wydawało jej się nawet, że zadzwoniła... że ktoś przyjechał... że ktoś jej pomagał... że ktoś był z nią w domu sędziego. Nie Łaskun. Ktoś inny. Tylko kto?

Zupełnie się pogubiła.

Łaskun pomoże. Niech się nie boi. Sława. Łaskun pomoże. Zawsze.

Westchnęła. I tak nie było już odwrotu. W środku nocy wsiadła do łodzi i wróciła na polanę na cyplu. Zawiozła tam te części, których nie wykorzystała, robiąc drugą lalkę. Cieszyła się, że już prawie po wszystkim. Obiecała sobie, że niedzielę poświęci na odpoczynek. Może odzyska panowanie nad tym nędznym ciałem, w którym była uwięziona.

Niedziela odpoczynek. Zasłużony. Poniedziałek rano. Kupno lodówki. W niej głowa. Będzie. Przesyłka. Lodówka. Turystyczna. Żeby szczelnie zamknąć.

We wtorek. Łukasz. Zegarek. Chłopak to. Zabezpieczenie. Michał nie. Zignoruje. Nikt nie zignoruje. Losów. Dzieciaka.

W środę. Rano. Łaskun wysyła. Paczkę z. Lodówką. Z fiolką. Ze zdjęciem Łukasza. Z rzeźbionym nożem.

Michał mnie kocha. Zrozumie i przyjdzie. Jeszcze zrozumie, że mnie kocha. Jeszcze nie jest za późno.

Nie kocha!

Kocha...

Nie. Kocha.

Kocha.

Nie kocha. Nie kocha. Łaskun pewny. Dlatego zdrajca. Też. Zginie. Łaskun użył. Trucizny. Przepisu. Augusty. Łaskun.

Zdrajca też zginie. Michał zginie.

Łaskun już spokojny. Spełnił zadanie. Spełnił. Cokolwiek teraz. Gdziekolwiek teraz. Sława i Łaskun. Razem. Jedność.

Sława się zakrzuszyła. Wspomnienia ostatnich dwóch tygodni nagle zupełnie wyblakły. Nie potrafiła już nic sobie przypomnieć. Zupełnie nic. Prawdopodobnie wszystko poplątała. Oszalała. Nie chciała pamiętać.

Chciała zniknąć. Chciała zostać.

Teraz było już tylko tu i teraz.

Tu i teraz.

Piątek.

Godzina dziewiętnasta.

Godzina zero.

Chata w lesie.

Oddech Łukasza Strzałkowskiego tuż obok.

Po raz ostatni nabrała powietrza w ściśnięte płuca. Z trudem. Niemal spazmatycznie. Trucizna babci Augusty robiła swoje. Sława wiedziała, że to już koniec.

Posłuchać swojego. Ciała. Trzeba. Już. Tylko. Posłuchać swojego ciała. Śpij. Maleńka. Śpij.

Gdzieś na obrzeżach świadomości usłyszała, że skrzypią drzwi. Przyszedł jej Michał? To przecież musiał być on, bo kto inny? Sławę zalała fala ulgi. Nadzieja sprawiła, że prerażenie zbliżającym się końcem nagle straciło na znaczeniu. Michał jednak ją kochał! Jednak kochał!

Ulgę szybko zastąpił strach o niego. Łaskun zatrzał przecież nóż! Sława bardzo chciała ostrzec ukochanego. Chciała mu powiedzieć, żeby nie dotykał noża. Pod żadnym pozorem! Żeby nie przejeżdżał po nim ręką, jak to miał w zwyczaju. Nie może tego robić, bo wtedy do jego ciała przeniknie wystarczająca ilość toksyny.

Sława tak bardzo chciała go ostrzec, ale było za późno. Ciało już nie słuchało rozkazów umysłu.

Żegnaj. Maleńka. Żegnaj.

Do chaty weszły dwie kobiety. Sława zamknęła oczy, żeby nie widzieć. Po chwili już jej nie było. Przegrała.

CZEŚĆ DZIEWIĄTA

Piątek. 12 czerwca 2015

ROZDZIAŁ 112

**Sklep Wierzy w Lipowie.
Piątek, 12 czerwca 2015.
Weronika Nowakowska**

Weronika popijała jakiś ciemny napój, który przygotowała dla nich Wiera. Miał mocno korzenny aromat i trzeba go było pić drobnymi łykami. Sklepiarka podała go w małych glinianych czarkach. Jego woń roznosiła się po całym sklepie.

Marek jechał właśnie do Brodnicy, ale przedtem chciał zamienić z nimi kilka słów.

– Znowu znalazłyście się w centrum wydarzeń – powiedział z lekkim uśmiechem. – Jak na samym początku tej historii. Mogłybyście raz jeszcze streścić mi punkt po punkcie wydarzenia wczorajszego wieczora.

– Kiedy powiedziałaś, że to Idka – zaczęła Wiera – i potem pojechałaś do jej laboratorium, od razu pomyślałam, że trzeba sprawdzić chatę w lesie, gdzie suszyła zioła. Gdzieś musiała przecież być. Jeżeli nie tu, to tam.

– Skąd pani wiedziała, że ona ma taką chatę?

Wiera spojrzała na Zarebę z nieco pobłażliwym uśmiechem.

– Obie zajmowałyśmy się zielarstwem. Spotykałam ją czasem w lesie. Nie przeszkadzałyśmy sobie. Kiwałyśmy głową na przywitanie, a i to nie zawsze. W lesie panują inne zasady, Mareczku. Nie wchodzi się sobie w drogę.

– A jednak wiedziała pani o jej chacie.

– Toteż właśnie mówię. Nie wchodzić sobie w drogę oznacza wiedzieć, których części lasu unikać. – Wiera odwróciła się do Weroniki. – Pamiętasz? Mówiłam ci, że w tych kniejach jest więcej szałasów takich jak mój, kochanieńka. To było podczas rozmowy z Danielem. Pamiętasz?

Nowakowska pokiwała głową. Może i Wiera rzeczywiście powiedziała coś takiego. Wtedy Weronika nie zwróciła na to większej uwagi. Bardziej była skupiona na kłótni z Podgórskim. Od tamtego wtorku minęły zaledwie trzy dni, a wydawało się, że całe lata.

– Kiedy tam weszliśmy, Idka umierała – powiedziała Weronika.

Głos jej zdrzął na to wspomnienie. Igor okręcił się wokół jej nóg i usiadł ciężko na jej lewej stopie. Wyczuwał chyba jej zdenerwowanie. Weronika cieszyła się, że pies jest blisko. Pogłaskała go po głowie. Jego obecność zawsze dodawała otuchy. A teraz potrzebowała jej bardziej niż kiedykolwiek, bo miała przed oczami śmierć Idki. Wątpiła, żeby kiedykolwiek mogła zapomnieć.

Weszły z Wierą do chaty, kiedy ciałem młodej zielarki wstrząsały ostatnie drgawki. Podbiegły, żeby jakoś pomóc, ale Idka zdawała się już nie żyć. Oczy w każdym razie miała zamknięte. Nagle jej powieki lekko się uniosły. Idka patrzyła przed siebie, jakby nie wiedziała, gdzie jest i co się dzieje.

Potem się uśmiechnęła. Była w tym dziwna radość i spokój. Ten uśmiech zastygł na jej ustach, kiedy dusza odeszła.

Weronika wpatrywała się w nią jak zahipnotyzowana. Nie mogła oderwać od Idki oczu. Dopiero po chwili dotarło do niej, że jest tu jeszcze Łukasz. Syn Daniela zdawał się głęboko spać. Żył! To jego trzeba było ratować, a nie morderczynię.

– Łukasz nie reagował na nic, ale oddychał – dokończyła Weronika. – Zadzwoiłam do was.

Ekipa śledczych wraz z karetką pogotowia dotarła na miejsce z pewnym trudem. Chata była ukryta w gęstwinie. Dalej jeszcze w głąb lasu niż szałas Wiery przy cyplu. Karetka musiała zostać na wąskiej drodze kawałek dalej. Stał tam też niewielki

terenowy samochodzik Idki.

Sanitariusze biegli z noszami pomiędzy drzewami. Weronika słyszała ich pokrzykiwania. Dla Idki było już za późno. Natomiast Łukasz oddychał miarowo, jakby głęboko spał. Zabrano go do szpitala, gdzie od wczoraj dochodził do siebie.

– Czyli nie podała Łukaszowi trucizny? – zapytała Weronika.

Wiedziała co prawda, że Idka to morderczyni, ale jej ostatnie spojrzenie było takie spokojne. Nie mieściło się w głowie, że Idka zdolna była do takiej przemocy. Tylko że już nieraz dałam się zwieść pozorom, pomyślała Weronika z goryczą.

– Podała Łukaszowi mocne środki nasenne – wyjaśnił Marek.

– Czyli nie chciała go zabić – szepnęła Weronika. Znowu pogłaskała Igora po głowie.

– Tego nie wiemy – odparł Marek, odstawiając glinianą czarkę na sklepową ladę. – Jej motywacje nie są do końca jasne.

Przez chwilę nikt nic nie mówił.

– A co u Emilii? – odważyła się zapytać Weronika.

Wiedziała już, że wczoraj Daniela wypuszczono z aresztu, po tym jak Strzałkowska trafiła do szpitala. Nikt jednak nie powiedział jej, jak się skończyło. Weronika bardzo się martwiła, ale nie odważyła się zadzwonić do Podgórskiego. Nie była pewna, czy w tej sytuacji wypada zawracać mu głowę. Przecież relacje między nimi nie były jasne. Ostatnie wydarzenia tego nie zmieniły.

Zaręba wyraźnie się zawahał.

– Jadę właśnie się dowiedzieć – powiedział, ale Weronika czuła, że młody policjant nie mówi jej wszystkiego.

ROZDZIAŁ 113

Dom dla Dzieci „Nowa Szansa” w Brodnicy. Piątek, 12 czerwca 2015. Halina Michalik

Halina Michalik oparła łokcie na blacie biurka i schowała twarz w dłoniach. Przed chwilą rozmawiała z policją. Dowiedzieli się skądś, że złożyła fałszywe zeznania w sprawie zabójstwa Lecha Rakowskiego i dostała za to pieniądze. Skądś wiedzieli, ale nie mieli dowodów. Usiłowali wyciągnąć z niej przyznanie się do winy. Milczała jednak twardo.

Taka strategia miała szansę powodzenia, prawda? Sędzia Jaworski o tym wiedział, ale już nie żył. Problem mogła stanowić tylko Jagoda Rakowska i jej syn. Tak na Halinę naciskali, że zasugerowała im to i owo. Być może to oni wydali Halinę policji. Całe szczęście nie było dowodów, tylko słowo przeciwko słowu.

Popatrzyła na bawiącego się na podłodze w jej gabinecie Lwa Sokołowa. Halina miała swoje zasady i nigdy nie wyróżniała żadnego dziecka w taki sposób. Nie chciała wybrańców, nie chciała tych gorszych i tych lepszych. U niej wszyscy byli równi.

Tym razem zrobiła wyjątek i pozwoliła chłopcu posiedzieć tu chwilę. Może ze względu na jego historię. W ciągu kilku dni stracił matkę, trafił do domu dziecka, został porwany, by potem wrócić tu... Kto wie, co go jeszcze czeka?

Halina Michalik westchnęła. Była pewna, że będzie musiała odpowiadać za to, że nie upilnowała swojego podopiecznego. Jeżeli jej tu zabraknie, to kto wie, co się stanie z zakładem. Może go zamkną, a dzieci przeniosą do innych domów dziecka?

Nie, do tego nie dopuści! Dlatego właśnie nie przyznała się do złożenia fałszywych zeznań! Zaprzeczała wszystkiemu bez najmniejszego zawahania. Przynajmniej o to jej nie oskarżą.

Ktoś zapukał do drzwi, wyrrywając ją z zamyślenia.

– Proszę – powiedziała.

Poklepała się po policzkach w nadziei, że to doda jej sił i energii do działania. Lew zaśmiał się głośno, jakby to był świetny żart. Halina odwzajemniła uśmiech. Czuła głęboką ulgę. Skoro chłopiec potrafił tak okazywać radość, może wszystko jeszcze się ułoży.

– Pani dyrektor? – Konrad wsadził głowę do gabinetu. Na jego coraz bardziej męskiej twarzy malowało się zmartwienie. – Mogę na chwilę?

Halina odetchnęła głębiej, żeby nie dać po sobie poznać, że cokolwiek się stało. Musiała być dla tych dzieci opoką. Nie miały nikogo oprócz niej. Tylko ją.

– Czy mógłbym pojechać do szpitala odwiedzić Łukasza? To mój przyjaciel...

– Oczywiście – odpowiedziała Halina Michalik natychmiast. Dobrze wiedziała, że szkolny kolega Konrada jest tam na obserwacji. Mówiono o tym rano we wszystkich wiadomościach. – Klara z tobą idzie?

Nastolatka wyszła zza drzwi i kiwnęła głową. Halina od początku była pewna, że dziewczyna tam stoi. Ta dwójka była naprawdę nierozłączna. Koniecznie będzie musiała z nimi o tym porozmawiać.

Nagle Halinę znowu opanował lęk. Nie może pozwolić, żeby zdjęto ją ze stanowiska. Wiedziała, co dla tych dzieci dobre. Już dawno poprzysięgła sobie, że będzie robić, co się tylko da, żeby im pomóc. Kto da radę, jeżeli nie ona?

ROZDZIAŁ 114

Brodnica.

Piątek, 12 czerwca 2015.

Waldemar Brzeski

Waldemar zatrzymał taksówkę na chodniku przy ulicy Partyzantów. Domy były tu niskie i pudełkowate, jak za słusznym zdaniem minionych czasów. Nie lubił tej części miasta. Zdecydowanie wolał rynek i okolice. Uważał, że właśnie one dodawały uroku temu przyjemnemu miastu.

Spojrzał w lusterko. Klientka uśmiechnęła się do niego szeroko. Taksówkarz odpowiedział jej tym samym. Wyglądała na zachwyconą. Brzeski umiał postępować z ludźmi. Dwadzieścia pięć lat w zawodzie robiło swoje.

– Trzydzieści sześć złotych wyszło – poinformował.

Kobieta podała mu banknot pięćdziesięciozłotowy. Zaczął szukać reszty w wielkim portfelu. Dostał go od małżonki na urodziny w zeszłym roku. Prezent bardzo mu się przydawał. Te wszystkie przegródki sprawiały, że mógł uporządkować i pieniądze, i dokumenty w jednym miejscu. A to duża wygoda. Chociaż też i ryzyko.

– Do czterdziestu proszę – zapewniła klientka z kolejnym szerokim uśmiechem.

Była starszą panią w eleganckim kapelusiku. Na ręce nasunęła długie staromodne rękawiczki, a w lewej dłoni ścisnęła parasolkę przeciwsłoneczną. Rzadko widywało się takie damy.

– Dziękuję – odparł taksówkarz, podając jej sfatygowaną dziesięciozłotówkę. – Pomogę pani wysiąść.

Brzeski obszedł samochód i otworzył drzwi pasażera. Wróciły upały i z miejsca poczuł, że poza samochodem, gdzie działała klimatyzacja, koszula zaczyna lepić mu się do ciała.

– Dziękuję panu – powiedziała klientka uprzejmie. – Do widzenia.

Patrzył, jak oddalała się drobnymi krokami w stronę jednego z pudełkowatych domków. Zupełnie nie pasowała do tej okolicy, uznał, wracając do samochodu. Przykręcił mocniej klimatyzację. Chciał poczekać, aż starsza pani wdrapie się bezpiecznie na ganek.

Włączył radio. Od samego rana mówiono, że sprawa śmierci Swietłany Sokołowej i sędziego Jaworskiego została rozwiązana. Winną okazała się jakaś młoda kobieta z sąsiedniej wsi. Zbliżała się pełna godzina, a więc będą kolejne wiadomości. Brzeski ciekaw był, czy powiedzą coś nowego.

Rozległ się dzingiel serwisu informacyjnego. Taksówkarz pogłośnił radio. Przysłuchiwał się głosowi spikerki z uwagą. Miał wrażenie, że o Swietłanie wspomniano tym razem bardzo zdawkowo. Może dlatego, że w tak zwanym międzyczasie pojawiły się nowe problemy i nowe afery. W polityce, w kulturze. W Polsce i na świecie. Brzeski westchnął. Wszyscy tak łatwo zapominali o tym, co było wczoraj. Takie czasy chyba nastaly.

Może on też nie powinien się tak przejmować? W radiu nie mówiono już o konieczności zgłoszenia się na policję z informacjami, mógł więc chyba dać sobie spokój z opowiadaniem im o Swietłanie. Jakie to miało teraz znaczenie, że zawiózł ją do sędziego Jaworskiego w zeszły piątek?

Swietłana zadzwoniła po niego wcześniej niż zazwyczaj i poinformowała, że wychodzi z klientem, ale potem wróci pod Gwiazdozbiór. Niech Brzeski po nią przyjedzie i czeka przy głównej drodze, jak zwykle. Nigdy nie podjeżdżał pod sam klub.

Wsiadła do samochodu z rumieńcami na twarzy. Skoro wyszła z jakimś mężczyzną, Brzeski podejrzewał, że wie, czym się zajmowali. Nie pytał oczywiście. Lepiej żyć w nieświadomości, żeby móc spokojnie wrócić do domu i patrzeć żonie w oczy. Jak przez trzydzieści pięć lat wspólnego bytowania.

– Wraca pani do domu, pani Swietlano?

Sokołowa zajęła miejsce z tyłu i zatrzasnęła za sobą drzwi.

– Miałam mieć wolny weekend i iść dziś na randkę...

Brzeski spojrzał na nią w lusterku. Wyglądała na zatroskaną. Jej śpiewny wschodni akcent brzmiał jeszcze bardziej melancholijnie niż zazwyczaj.

– Ale?

– Wie pan co? Strasznie martwię się o przyjaciela. Tego, do którego mnie pan wiozł we wtorek.

Brzeski przypomniał sobie ten kurs. To było gdzieś w okolicy jakiejś niewielkiej wsi. Chyba nazywała się Lipowo. Musiał włączyć nawigację, bo zupełnie nie znał tamtych terenów. Oczywiście teraz już wiedział, że przyjacielem, do którego jechali, był sędzia Jaworski.

– Coś się stało? Jest chory?

Sokołowa westchnęła.

– Nie. To znaczy nie tak, że na grypę. Na depresję. Poznaliśmy się na terapii – wyjaśniła. Wyglądała przy tym na nieco zawstydzoną. Taksówkarz uśmiechnął się do niej miło, żeby nie czuła się oceniana. – On wpadł na głupi pomysł. Chciał sam na sobie przeprowadzić taką jedną terapię... Poprosił mnie o pomoc.

Taksówkarz pokiwał głową. Wyglądało na to, że Sokołowa ma potrzebę wygadania się.

– Zgodziłam się, bo on też mi w czymś pomagał... w walce z nieodpowiednim mężczyzną, który mnie wykorzystał. Znaczący nadużył zaufania. Nieważne... ja... Miałam mu pomóc. Z tą terapią. Po to tam jechałam we wtorek. Przez to nie poszłam nawet na moją terapię...

– Pamiętam, że się nie wyrobiliśmy – powiedział Brzeski. Bardzo nie lubił, kiedy nie udawało mu się dowieźć klienta na czas.

– Proszę się nie przejmować. To ja zostałam tam za długo. Próbowaliśmy i próbowaliśmy...

– I co? Udało się? – zainteresował się taksówkarz.

Bał się nawet zapytać, o jaką terapię chodziło. Wyraz twarzy Sokołowej był zbyt poważny. Wtedy, we wtorek, kiedy ją wiozł

na miejsce, nawet tego nie zauważył, ale teraz, kiedy o tym myślał, przypomniał sobie jej zdenerwowanie. Kiedy wróciła do samochodu, na jej twarzy malowała się widoczna ulga. Teraz sobie przypomniał.

– Całe szczęście nic z tego nie wyszło. Sprzęt, który on kupił, nie zadziałał. To była duża ulga, muszę powiedzieć. Bałam się tego pomysłu.

– W takim razie w czym problem?

Swietłana westchnęła.

– Z moim przyjacielem zawsze widuję się w czwartki. On lubi mieć uporządkowane życie. We wtorek terapia, w czwartek spotkanie ze mną, w niedzielę zakupy. Tylko że wczoraj był czwartek, a on nie przyszedł na spotkanie. Poza tym wczoraj miałam urodziny. On dał mi prezent już we wtorek. Piękną sukienkę – głos Swietłany załamał się. – Tylko że to było, jakby wiedział, że się nie zobaczymy. Ta burza zerwała mu linię telefoniczną i nawet nie mogę się z nim skomunikować. Denerwuję się.

– Na komórkę pani nie próbowała?

– On nie używa komórek – wyjaśniła Sokołowa z pewnym rozczuleniem. – Boi się promieniowania. Martwię się.

Przez chwilę siedzieli w ciszy.

– No to wygląda na to, że muszę panią znowu zawieźć do przyjaciela, co? – powiedział Brzeski z uśmiechem.

– *Da.* Tak chyba będzie najlepiej. Pal licha dzisiejszą randkę. Motory poczekają.

Brzeski kojarzył już trasę, ale i tak postanowił włączyć GPS. Nie znał jeszcze tamtych okolic za dobrze, a w nocy naprawdę łatwo się zgubić. W dobie telefonów komórkowych wszystko było ułatwione. Nie trzeba nawet mieć oddzielnej nawigacji, jak kiedyś. Taksówkarz nie rozumiał, dlaczego przyjaciel Sokołowej dobrowolnie rezygnuje z takiego cudu techniki.

Przez resztę drogi Swietłana prawie się nie odzywała. Brzeski próbował opowiedzieć jej o planowanym na jutro wyjeździe do Grecji, ale odpowiadała zdawkowo. Dał jej więc spokój. Wyglądała przez okno z wyrazem bezbrzeżnego smutku na twarzy.

Teraz, kiedy to wspominał, zastanawiał się, czy Sokołowa przeczuwała, że to będzie jej ostatnia noc. Brzeski na pewno nie. Nigdy by jej tam przecież nie zawiózł, gdyby cokolwiek takiego przyszło mu na myśl. Tak sobie powtarzał, odkąd tylko usłyszał o jej śmierci po powrocie z kilkudniowych wakacji. To niestety wcale nie sprawiało, że miał mniejsze wyrzuty sumienia.

– Proszę się tu zatrzymać – powiedziała Swietłana, kiedy minęli Lipowo i wjechali na wyłożoną wielkimi płytami drogę.

Taksówkę otaczała całkowita ciemność. W świetle reflektorów Brzeski ocenił, że droga biegnie dalej przez pola. Mapa w nawigacji pokazywała, że znajdują się kilkaset metrów od Jeziora Szramowskiego, ale w ciemności nie widział otaczających go zagajników. Najwyraźniej Swietłana zamierzała przejść resztę drogi na piechotę, jak to zrobiła we wtorek. Mówiła wtedy, że jej przyjaciel bardzo nie lubi, kiedy ktoś wjeżdża na jego posesję.

– Nie widzę żadnych świateł.

– Dom jest za zakrętem.

– Poczekać?

Sokołowa zastanawiała się.

– Nie chcę pana tu trzymać – mruknęła w końcu. – I tak już się późno zrobiło. Niech pan wraca do domu i odpocznie. Przecież jutro pan wyjeżdża.

Brzeski spojrzał na nią zdziwiony. Nawet nie pamiętał, kiedy opowiedział jej o planowanym wyjeździe na długo oczekiwane wakacje z żoną. Może na początku trasy, kiedy ruszali spod klubu? W każdym razie na samą myśl poczuł ekscytację. Pierwsze prawdziwe wakacje od dziesięciu lat.

– Nie będzie pani mogła wrócić do miasta.

Dlaczego nie nalegał? Przecież zawsze dbał o klientów. Dlaczego rzucił tylko kilka słów zupełnie bez przekonania? Teraz to sobie wypominał. Nie powinien był jej pozwolić tam pójść. Szła przecież prosto w szpony mordercy. Otarł łzy napływające mu do oczu.

– Przenocuję u przyjaciela – zapewniła Sokołowa. – Do przyszłego tygodnia!

– Do przyszłego tygodnia.

Nie było przyszłego tygodnia. To znaczy nie dla niej. Waldemar Brzeski nie mógł sobie wybaczyć, że wtedy odjechał. Podkręcił głośność radia. Od tamtych wydarzeń minął dokładnie tydzień i życie toczyło się dalej... Był na urlopie, miał nowych klientów... Wyrzął przez okno. Elegancka starsza pani wdrapała się już po schodach do pudełkowatego domu. Czas ruszać.

W radiu mówili właśnie o tym, że premier zapowiada przetasowania w rządzie. Nikt już nie pamiętał o Swietłanie. Tylko Waldemar Brzeski w swojej taksówce. Takie przynajmniej miał wrażenie.

ROZDZIAŁ 115

Brodnica.

Piątek, 12 czerwca 2015.

Natalia „Twiggy” Jaworska

Świeciło przepiękne słońce. Po kilku pochmurnych dniach gorąco zdawało się rozkoszne. Twiggy usadowiła się wygodnie na ławce w parku pod zamkiem. Obok niej siedziała Edyta Sadowska. Jej matka.

Nic nie mówiły. Po prostu tak trwały. I to przez ostatnie pół godziny. Może nawet dłużej. Przedtem spacerowały. Też bez słowa. Spacer to i tak był postęp, uznała Twiggy. Przynajmniej Sadowska nie przyniosła kolejnej ohydnej lalki w jakiejś żalostnej próbie przebłagania córki za te wszystkie lata nieobecności.

Twiggy odwróciła się do matki. Sadowska z uporem przyglądała się swoim dłoniom. Nie wyglądała na nastawioną zbyt przyjacielsko. Mimo to Twiggy poczuła nagle, że słowa po prostu płyną. Nie mogła ich powstrzymać, chociaż bardzo chciała.

Mówiła o dzieciństwie z sędzią Jaworskim. O samotności. O tym, jak sędzia zostawiał ją na wiele godzin zajęty własnymi demonami. Mówiła o tym, że wuj Rajmund, jedyna osoba, której ufała, okazał się pedofilem. Mówiła o piątkowej kłótni z Marilyn. O tym, jak Mary ją oskarżała i miała za złe, kiedy Lewka powiedział jej o zdjęciach.

Twiggy czuła wszechogarniający wstyd, bo to ona poleciła koleżance wuja Rajmunda do opieki nad Lwem. Mimo to pyskowała bez sensu, kiedy Marilyn ją zaatakowała. Nie umiała po prostu przeprosić.

Mówiła wreszcie matce o pracy jako tancerka egzotyczna i powiedzmy wprost prostytutka. Mówiła o tym, jak bardzo

tego nienawidziła. Mówiła też o przesłuchaniach, które zapewne ją czekają, gdy rozpocznie się śledztwo dotyczące działalności klubu.

Mówiła, mówiła, mówiła.

Mówiła, aż słowa zaczęły się ze sobą zlewać i zmieniały się w szloch. Wtedy Sadowska nieoczekiwanie położyła jej rękę na ramieniu. Twiggy podniosła wzrok i spojrzała matce w oczy. Czyżby to był moment pojednania?

Z całych sił próbowała wypatrzeć w oczach Sadowskiej chociaż cień matczynego uczucia. Nie doszukała się tam niczego takiego. Twiggy poczuła wściekłość na samą siebie za tę złudną nadzieję. Skąd jej mogło przyjść do głowy, że Sadowskiej zależało?

Niby dlaczego miałyby zależeć? Przecież były sobie zupełnie obce. Oprócz tego, że dwadzieścia dwa lata temu Sadowska ją urodziła. Twiggy nie powinna zapominać, że liczyć może tylko na siebie. Jak zwykle.

Wstała i odeszła bez słowa, nie oglądając się na tę kobietę.

ROZDZIAŁ 116

Stare Świątki. Piątek, 12 czerwca 2015. Piotr Maciejewski

Piotr Maciejewski siedział w celi aresztu śledczego. Opierał się o ścianę. Czuł, że rozsadza go wściekłość. Miał ochotę walić w te metalowe drzwi i krzyczeć, że doszło do gigantycznej pomyłki. Wściekał się, że nie wsadzili go do celi razem z Zychem albo z innym chłopakiem, tylko tkwił tu sam jak palec. Nie mogli mu dodać kogokolwiek? Przynajmniej byłoby z kim pogadać. Mechanik nie lubił być sam. Zdawał sobie sprawę, że to dziecinne. Nie mógł jednak nic na to poradzić. Uczucie było obezwładniające.

Nie powinien był wchodzić w te pierdolone dragi. Daniel miał rację. Totalna chujnia. Maciejewski w ogóle się do tego nie nadawał. Trzeba było trzymać się samochodów. Tym bardziej że przecież tak dobrze im szło. Zwłaszcza po szumie medialnym na temat logo z trzema szóstkami. Kurwa jego mać. Po co ładował się w narkotyki? Dlaczego był pierdolonym idiotą?

Przejechał dłonią po twarzy i przetarł oczy. Nie bał się samego więzienia. Bał się, że jeżeli sąd go skáže i trafi do Starych Świątek na dłużej, nieodwołalnie straci kontakt z córką. Agnieszka na pewno o to zadba. Była żona wykorzystana tę wpadkę, żeby nastawić dziecko przeciw niemu. To właśnie było najgorsze. Nic mu nie zostanie. Koniec marzeń z dzieciństwa o rodzinie i domu. Zaczął w bidulu, a skończy w kiciu.

Drzwi celi otworzyły się. Wszedł klawisz z jedzeniem. Na razie Maciejewski nie mógł wychodzić z celi, więc jedzenie mu przynoszono. Strażnik postawił tacę na stole. Naczynia brzęknęły głośno.

– Facet, twoja kobieta się tu dobijała – zaśmiał się

funkcjonariusz. – Nie wiem, jak z nią wytrzymujesz. Hetera nieźła.

Mężczyzna wycofał się ze śmiechem. Maciejewski nie mógł uwierzyć w to, co właśnie usłyszał. Agnieszka się tu dobijała? Co to mogło oznaczać?

Łza zakręciła mu się w oku, choć nigdy przecież nie płakał. Może jednak cuda się zdarzają?

ROZDZIAŁ 117

Wysypisko.

Piątek, 12 czerwca 2015.

Gienek

Gienek upewnił się raz jeszcze, że maszyna cała łśni. Nie, to miejsce jeszcze trzeba wyczyścić. Niestety była też rysa. Musiała powstać, kiedy ustrojstwo wypadło z rąk tego faceta w kolorowym garniturze. Wtedy jak nieudolnie próbował przeleźć przez płot wysypiska. Gienek do tej pory nie potrafił zdusić śmiechu, kiedy sobie to przypominał. Musiał bardzo się pilnować, kiedy policja przyszła tu wypytywać o maszynę. Nie chciał przecież im jej oddawać.

Czyścił maszynę, chichocząc w najlepsze, kiedy do środka zajrzał Mały. Włosy miał jak zwykle rozwichrzony. Ubrał się w tę koszulę, którą znaleźli wczoraj. Gienek uznał, że nie będzie protestował. Mimo że była jeszcze całkiem nowa i tak naprawdę to jemu się należała, bo to on pierwszy zobaczył torbę z tymi ubraniami.

– No i co? Działa już? – zapytał Mały, wskazując maszynę.

W jego głosie czaiła się nutka złośliwości, ale Gienek i to postanowił zignorować. No bo niby co? Że nie umie naprawić tego złomu? Umie, umie. W końcu w poprzednim życiu był elektrykiem. I to niezgorszym, o ile sobie przypominał.

Pogłaskał maszynę z czułością. Była dobra taka, jaka była. Póki nie działała, jemu pozostały marzenia. Jeżeli ją naprawi, to co? Będzie tylko bzyczenie prądu w elektrodach. Nic więcej.

ROZDZIAŁ 118

Dom doktora Witkowskiego w Brodnicy. Piątek, 12 czerwca 2015. Doktor Dorian Witkowski

Doktor Witkowski podjechał samochodem pod dom. Silnik srebrnego subaru imprezy pracował miarowo. Normalnie sprawiłoby mu to radość, ale teraz czuł się brudny, splamiony. Miał ochotę jak najszybciej pobiec pod prysznic i myć się godzinę, a może nawet dłużej. Tylko czy uda mu się kiedykolwiek zmyć przykrości aresztu? Próbował powtarzać sobie, że miał szczęście, że tak szybko go wypuszczono. To niewiele pomagało.

Anna wyszła przed dom i pomachała do niego. Żona zachowywała się jakby nigdy nic. Psychiatra uśmiechnął się i odmachał. Czuł, że w gardle rośnie mu gęła i nie ma ochoty wysiadać z samochodu. Nie był już co prawda podejrzany o dokonanie morderstwa, ale Anna musiała przecież wiedzieć, że zdradził ją ze Swietlaną. Na pewno jej powiedzieli. Z pewnością nie tego się spodziewała, wracając z delegacji.

Zresztą na pewno nie tylko żona wiedziała o tym incydencie. Tylko czekać, aż pojawią się przecieki do mediów. Tylko czekać, aż Witkowski będzie musiał zamknąć przychodnię.

To byłby koniec. Psychiatra położył ręce na kierownicy. Miał ochotę wcisnąć gaz do dechy i walnąć w drzwi garażu, a potem w ścianę.

Anna zeszła ze schodków i ruszyła w jego kierunku. Uśmiechnęła się smutno, kiedy napotkała jego spojrzenie. Ten zaszępiiony uśmiech to było najgorsze, czego Witkowski mógł się spodziewać. Gorsze nawet niż brudny areszt i oskarżenia o morderstwo. Zawiódł ją.

– Cieszę się, że wróciłaś do domu, kochanie – powiedział,

wysiadając z samochodu.

Zawsze tak się witali, kiedy Anna wracała z delegacji. Dokładnie tymi słowami. Zabawne, że dopiero teraz zwrócił na to uwagę. W takiej chwili.

– A ja cieszę się, że cię widzę – odpowiedziała żona zgodnie z tradycją. Smutny uśmiech nie zniknął z jej twarzy.

ROZDZIAŁ 119

Stare Świątki.

Piątek, 12 czerwca 2015.

Rajmund Jaworski

Rajmund żałował tylko jednego. Że go nakryto. Taka strata. Wszystko miał już przecież przygotowane. Na początek wyremontował tak dobrze znany pokój w piwnicy. Ten, który kiedyś stworzył ojciec.

To miejsce zawsze było duszne i dławiące. Przez to straszniejsze. Teraz wreszcie Rajmund zainstalował tam wentylację. No i proszę, strach ujarzmiony choć trochę. Zupełnie inne miejsce niż kilkadziesiąt lat temu...

I pomyśleć, że brat chciał mu odebrać schedę po ojcu i zrównać dom rodzinny z ziemią. Chyba po to tylko, żeby zniszczyć to, co było kiedyś, i zacząć wszystko od nowa.

Rajmund odwrotnie. Nie chciał burzyć trudnej przeszłości, chciał ją okiełznać. Sprawić, by na zawsze była jego. Prawie mu się to udało. Remont postępował dobrze, a on powoli tworzył sobie własne miejsce na ziemi. Wreszcie był wolny. Bez ojca.

Wszystko zniszczyła ta łysa wytatuowana baba, a potem ta dwójka policjantów. Młody, nieopierzony mięśniak i ciężarna baba. Komu przeszkadzało, że Rajmund zrobił kilka zdjęć? Przecież nie tknął Lewki.

Co komu szkodzą fotografie? Tak było o wiele lepiej dla chłopca. Musiał się tylko raz rozebrać i było już po wszystkim. To najlepsze rozwiązanie. Czym jest pięć minut pozowania nago wobec wieczności codziennego rozbierania się przed ojcem? No czym?

Rajmund wiedział najlepiej, że rozbieranie się dzień w dzień i znoszenie oddechu ojca tuż przy twarzy, kiedy stary zboczeniec robił swoje, to nic dobrego. Skończyło się to

dopiero, kiedy brat podrósł na tyle, że ojciec przerzucił się ze swoją żądzą na niego. Rajmund odzyskał wolność, a jego zadaniem było już tylko obserwowanie i znoszenie nienawistnego wzroku brata, kiedy ojciec się do niego dobierał.

Tak. To było prawdziwym prezentem dla Lewki, że raz jeden musiał się rozebrać i zapozować do kilku zdjęć. Nie musiał przechodzić przez to, co spotkało Rajmunda.

– Nic nie zrobiłem – powiedział do adwokata z wyrzutem, werbalizując swoje myśli.

– Jasne. Obawiam się jednak, że prokuratura ma mocne dowody i rozprawa będzie tylko formalnością – mruknął prawnik bez większego zainteresowania. – Niestety muszę pana ostrzec, że pedofile nie są za dobrze traktowani w więzieniu. Pewnie zdaje pan sobie z tego sprawę. Radziłbym uważać pod prysznicem.

Facet zaśmiał się cicho. Brzmiało to, jakby miał czkawkę. Poprawił marynarkę od kiepskiego garnituru z lichego materiału. Był obrońcą z urzędu i prawdopodobnie zarabiał równie mało jak Rajmund, zanim przeszedł na emeryturę. Co gorsza, wyglądał, jakby był jeszcze chłopcem, a nie mężczyzną. Pewnie dopiero skończył studia. Nie wróżyło to najlepiej.

– Nie jestem żadnym pedofilem. Jestem dobrym człowiekiem – wydusił z siebie Rajmund. Brakowało mu tchu. Jak oni wszyscy mogli rzucać na niego takie potworne oskarżenia. Nawet jego własny prawnik. – Opiekowałem się chorym ojcem. Do końca. Jestem dobrym człowiekiem.

Bo jak inaczej można nazwać kogoś, kto czule zajmował się własnym katem, kiedy go dopadła niemoc? No jak?

ROZDZIAŁ 120

Więzienie w Starych Świątkach.

Piątek, 12 czerwca 2015.

Diana Grzelak

Diana nie mogła uwierzyć w to, co się dzieje. Klub był zamknięty, Krzywy nie żył, a Małecki i Pamela ją zdradzili. Ona sama trafiła do aresztu w Starych Świątkach. A przecież ledwie kilka dni temu była tu na widzeniu u Longina.

To wszystko było wprost nie do uwierzenia. Zdenerwowanie i rozgoryczenie potęgował fakt, że taki Żaba się wywinął, a ona tu tkwiła jak jakaś kryminalistka. Szczęście w nieszczęściu, że od pół roku z Gwiazdozbiorem współpracowała świetna prawniczka polecona przez Wadima.

– Dostałam informację, że pan Longin niestety nie żyje – powiedziała mecenas Felicja Adamczyk. – Nic się już nie dało zrobić. No, ale w pani sprawie na pewno będzie inaczej. Już ja się o to postaram. Ja i mój mocodawca.

W ustach kogoś innego taka zdawkowa informacja o śmierci najdroższego jej człowieka doprowadziłaby Dianę do białej gorączki. Adamczyk powiedziała to jednak takim tonem, że pani Grzelak pokiwała tylko głową. Jak nakręcany sprzężyna automat.

Może już samo słowo „mocodawca” odbierało jej odwagę. Doskonale wiedziała, że chodzi o Wadima. Wiedziała też, że Rosjanin kazał prawniczkę dać jej ostrzeżenie bez słów. Pewnie był wściekły za to, co wydarzyło się w klubie. Mogła oczywiście tłumaczyć, że to nie jej wina, że ona też ucierpiała, ale pogorszyłoby to tylko sprawę. Nie była głupia.

– Gdyby żył Krzywy, można by całą winę zrzucić na niego – mruknęła. Nie miała innego wyjścia. Musiała grać w tę grę.

Mecenas Felicja Adamczyk pokiwała głową z satysfakcją.

ROZDZIAŁ 121

Warna.

Piątek, 12 czerwca 2015.

Komisarz Nikodem Małecki

Małecki zapalił papierosa i wypuścił dym daleko przed siebie. Pamela uśmiechnęła się do niego szeroko. Siedzieli w niewielkiej obskurnej spelunie niedaleko portu w Warnie. Było bardzo ciepło i słonecznie. Przydałyby się ciemne okulary, ale nie zdążył jeszcze kupić. Droga z Polski do Bułgarii zajęła nieprzerwane dwadzieścia dwie godziny. Do tej pory napędzała go chyba adrenalina, ale teraz para z niego uszła i komisarz czuł się zupełnie wypompowany.

– Podoba ci się tu? – zapytała Pamela tonem pogawędki.

Według lewych papierów nazywała się teraz Ksenia. Jego zdaniem było to wyjątkowo pretensjonalne imię, ale nie zamierzał tego komentować.

– Całkiem – odparł, zaciągając się papierosem. Powietrze pachniało upałem i morzem.

Uśmiechnęła się w odpowiedzi. Miała teraz krótkie czarne włosy. Wyglądała zupełnie inaczej. Nie pasowały do niej. Podobno znała tu jakąś klinikę, gdzie w najbliższych dniach bez zbędnych pytań usuną jej gigantyczne implanty piersi. Planowała też lekką korektę rysów twarzy i szybkie przybranie na wadze co najmniej piętnastu kilogramów. Wtedy metamorfoza będzie skończona.

Opowiadała o tym ze swadą. Nawet głos miała teraz inny. Małeckiemu wydawało się, że bardzo ją to wszystko cieszy, mimo że zamierzała się oszpecić. Pamela wprost kochała się zmieniać. Ingerowanie we własne ciało nie stanowiło dla niej problemu. Ciekaw był, jak daleko mogłaby się posunąć.

– No i co? Dobrze, że mi zaufałeś?

Nie mógł oprzeć się wrażeniu, że w jej pytaniu czaiła się dziwna nuta. Mimo to pokiwał głową. Musiał przyznać, że jej plan B rzeczywiście był udany. Chociaż plan A nie do końca się powiódł.

– Skąd mogłem wiedzieć, że masz swojego człowieka w komendzie wojewódzkiej – odparł, zaciągając się głęboko dymem.

Papieros był bez filtra, więc w ustach zostały mu niewielkie skrawki tytoni. Splunął na ziemię. Chciał sprawiać wrażenie spokojnego. Tym bardziej że instynkt podpowiadał mu, że coś jest nie w porządku. W takich sytuacjach tylko spokój może pomóc.

Małecki próbował szybko przeanalizować obecną sytuację. Właściwie wszystko poszło całkiem nieźle. W ciągu tych kilku lat, kiedy grali podwójną rolę w Gwiazdozbiorze, udało im się całkiem nieźle obłowić. Mieli pieniądze. Polska policja na pewno ich ścigała, ale istniała nikła szansa, że zostaną odnalezieni ponad dwa tysiące kilometrów od Brodnicy.

Granice Unii Europejskiej były pootwierane i mogli poruszać się bez trudu. Człowiek Pameli załatwił lewe dokumenty, więc byli dodatkowo kryci. Jechał z nimi przez większą część trasy. Rozstali się z nim dopiero po przekroczeniu granicy Bułgarii. Często zmieniali samochody. Teraz, jak Małecki się nad tym zastanawiał, ich ucieczka była zorganizowana wręcz perfekcyjnie. W drodze o tym nie myślał, był zbyt zmęczony i pochłonięty ucieczką.

Wydmuchał kłęb dymu. Teraz mogli obawiać się jedynie gniewu Wadima, uznał, odrzucając swoje poprzednie wątpliwości. Rosjanin na pewno nie będzie zadowolony z tego, co się stało w Gwiazdozbiorze. Nie był to co prawda jeden z jego kluczowych klubów, ale Wadim dbał o każdy. Nawet najmniejszy, bo nigdy nie było wiadomo, którego będzie potrzebował. Prowadził rozliczne interesy, od narkotyków po handel kobietami. Często były mu potrzebne mety na krótki czas.

– To nie był mój człowiek – odpowiedziała Pamela spokojnie, przerywając jego rozważania.

– Co masz na myśli?

– Tam w komendzie. To nie mój człowiek.

– Przecież pomógł nam uciec – powiedział Małecki, mimo że powoli zaczął się domyślać, co to mogło znaczyć. Bardzo starał się, żeby jego głos tego nie zdradził.

– To człowiek Wadima – poinformowała Pamela.

Małecki przełknął ślinę.

– Co masz na myśli? – powtórzył wcześniejsze pytanie.

– Jak się pewnie domyślasz, Wadim nie jest zadowolony, że go okradałeś. Rozwścieczyło go zwłaszcza to, że udało ci się to robić tak długo i nikt się nie zorientował. Cóż, oko Wadima było skierowane zupełnie gdzie indziej. Tylko dlatego tak długo uchodziło ci to na sucho.

Oko Wadima? Małecki miał ochotę roześmiać się w głos. Co to, jakiś pieprzony Sauron?

– O czym ty mówisz? Sama go latami okradałaś.

Przy każdym przerzucie zabierali dla siebie trochę towaru. Nie za dużo, żeby nikt się nie zorientował. Ale ostatnia akcja okazała się porażką. Może byli zbyt zachłanni?

Pamela miała przekonać swojego starego znajomego Piotra Maciejewskiego, aby zrobił skok na klub. Bez pomocy mechaników ciężko byłoby we dwójkę przeprowadzić kradzież takiej ilości towaru. Potem Pamela i Małecki planowali rzucić braci Maciejewskich na pożarcie Wadimowi. W międzyczasie narkotyki bezpiecznie by zniknęły.

Pamela idealnie odegrała swoją rolę. Maciejewski nie zorientował się, że nim manipuluje, i myślał, że sam wpadł na pomysł kradzieży narkotyków. Sprawy zdawały się układać idealnie. Nawet ultimatum postawione Małeckiemu przez Jagodę Rakowską i zlecenie zabójstwa Longina Grzelaka w dzień przerzutu narkotyków. Nawet Krzywy i jego chęć zemśczenia się na Danielu. Dzięki temu wszystkiemu w klubie powstał chaos, który zdawał się współgrać z planami Małeckiego i Pameli.

Niestety potem sprawy wyrwały się spod kontroli.

– Ja okradałam Wadima?

Pytanie Pameli ociekalo wprost niewinnością.

– A kto! Ty mnie w to wciągnęłaś i powiedziałaś, że możemy świetnie zarobić, oszukując wszystkich po kolei. Policję, Rakowskiego i Grzelaka, Wadima. Mieliśmy być ty i ja przeciwko reszcie.

Małecki zaklął w duchu. Sam słyszał, jak dziecinnie teraz brzmią te słowa.

– Pierwsze słyszę – uśmiechnęła się Pamela, błyskając białymi zębami.

– Po co mnie tu w takim razie przywiozłaś, skoro tak chcesz teraz pogrywać?

Znowu się uśmiechnęła.

– Ta kawiarnia należy do pana Wadima – powiedziała bardzo cicho. – Dostarczyłam cię, żeby mógł własnoręcznie wymierzyć sprawiedliwość. Lubi załatwiać takie sprawy osobiście. Bardzo mu się nie podoba, kiedy ktoś miesza w jego interesach.

Małecki rozejrzał się po obskurnym barze. Czy Wadim naprawdę tu był? Speluna była prawie pusta. Za barem wąsaty łysol czyścił od niechcenia kufle. Przy drzwiach przysiadł spory facet. Na bicepsach miał wyjątkowo wstrętne dziary. Pewnie ochroniarz. Poza tym kilku niepozornych, spalonych słońcem chudzielców sączyło kiepskie piwo.

– Pamela, nie pierdol – szepnął komisarz. – Myślisz, że Wadim dał się na to nabrać? Na twoje słodkie słówka? Myślisz, że go przechytrzyłaś? Myślisz, że on wierzy, że jesteś jego wierną pracownicą? Że jak mnie tu dostarczyłaś, to pójdziesz teraz wolno?

Przez mgnienie oka Pamela zdawała się rozważać te słowa.

– Do widzenia – powiedziała jednak w końcu i wstała.

Małecki zerwał się z krzesła. Wiedział, że już za późno, zanim jeszcze usłyszał wystrzał z pistoletu z tłumikiem. Przez moment całe życie przebiegło mu przed oczami. Najpierw lata jak najbardziej sumiennej pracy w policji.

Potem nieudana akcja, w której zginął jeden z jego ludzi, a drugi został poważnie ranny i teraz mógł być tylko przewodnikiem psa. Małecki nie mógł sobie wybaczyć, że tak to wyszło. Tamtego dnia coś się skończyło, coś się w nim załamało. Poczul, że zawiódł jako dowódca. Nikt tego co

prawda nie powiedział wprost, ale tak było.

Wyrzuty, jakie Małecki sobie robił, stały się tak wielkie, że w końcu przestało mu zależeć. Być może to był mechanizm obronny, żeby jakoś to przetrwać. Może dlatego tak łatwo dał się przekonać, kiedy Pamela zaproponowała współpracę?

Najpierw jako policjantka pod przykrywką, która potrzebuje partnera. Małeckiemu spodobał się ten pomysł. Taka robota wydawała się odskocznią od normalnej pracy w wydziale kryminalnym. Dopiero potem Głowacka stopniowo oswajała go z nowym planem. Pomysł polegał na tym, że we dwójkę się obłowią kosztem tych złych. Bo przecież ludzie, którzy pracowali w klubie, byli źli, prawda? To nic złego zabierać kryminalistom.

Małecki złapał się na haczyk tej manipulantki i nawet nie wiedział, w którym momencie zupełnie się pogubił. Może to się stało wtedy, kiedy zabił Lecha Rakowskiego i zrzucił winę na Longina Grzelaka i Sokołowa?

Oczywiście to Pamela go do tego namówiła. Chciała przejąć kontrolę nad klubem. Manipulowanie Dianą było przecież znacznie prostsze niż Longinem i Lechem. Małecki miał nadzieję, że Wadim naprawdę lubi się mścić i w swoim czasie wykończy tę pieprzoną manipulantkę.

Powieki mu opadły. Mimo to oczami wyobraźni widział teraz ofiary akcji, którą zawalił. Martwego policjanta i na zawsze okaleczonego Adama Szablowskiego, któremu pozostała tylko Jolka. Przynajmniej już było po wszystkim.

ROZDZIAŁ 122

Szpital.

Piątek, 12 czerwca 2015.

Michał Rakowski

Synu, mam nadzieję, że mi wybaczysz – wychrypiała Jagoda.
– Tak bardzo przepraszam!

Mama leżała jeszcze w szpitalu, ale czuła się coraz lepiej. Lekarze byli dobrej myśli. Michał natomiast miał już naprawdę dosyć tego przepraszania.

Nie powinnaś chyba teraz zbyt dużo mówić – odpisał jej w swoim notesie. *Musisz odpoczywać.*

Jagoda od razu zaczęła otwierać usta, nie bacząc na jego słowa. Westchnął. Najwyraźniej miała palącą potrzebę to z siebie wyrzucić.

– Przepraszam cię bardzo – powiedziała raz jeszcze, potwierdzając tym samym przypuszczenia krawca. Po jej niezbyt urodziwej końskiej twarzy spływały łzy. – Opętała mnie żądza zemsty. To, że Małecki sam przyszedł do nas na przesłuchanie... Uznałam, że to znak. Nie powinnam była... A potem... Och, dobrze, że przynajmniej tyle mi zostało rozsądku, żeby ciebie w to nie mieszać. Pojechałam do klubu piętnaście minut wcześniej, niż się umówiliśmy.

Michał pokiwał głową. Już to wszystko wiedział. Odkąd matka odzyskała przytomność po postrzale przez Dianę Grzelak, ciągle o tym mówiła. Nie mógł już tego słuchać. Jagodę opętała teraz nowa obsesja. Tym razem nie zemsta, a ciągle przepraszanie. Jak tak dalej pójdzie, będzie chyba musiał znaleźć w sobie duże pokłady cierpliwości.

Pogładził Jagodę po dłoni uspokajającym gestem. Uśmiechnęła się do niego, więc chyba się udało. Siedzieli w milczeniu. Michał westchnął. Cisza okazała się jeszcze

bardziej nieprzyjemna niż nieustające przeprosiny. W tym bezruchu rzeźbiony nóż ciążył mu w kieszeni jeszcze bardziej. Był jak cholernie nieprzyjemny wyrzut sumienia.

Sława dołączyła nóż do swojej upiornej paczki. Michał od początku nie miał wątpliwości, że ostatnie zdanie jej krótkiego listu: „Wiesz, gdzie nas szukać!”, odnosi się właśnie do noża. To on był wskazówką, że zaszyła się z Łukaszem w leśnej chacie. Tej samej, do której go kiedyś zaprowadziła, żeby dokonać obrzędu wymienienia się krwią, który nazywała uparcie ślubem. Na samą myśl o tamtym dniu Michał zdrzął.

Odetchnął głębiej, żeby się uspokoić. Tak, doskonale widział, gdzie ta szalona Sława na niego czeka. Tylko że ani przez moment nie zamierzał tam pojechać. Ani dopuścić do tego, żeby ktokolwiek inny dotarł do chaty na czas, jeżeli już o to chodzi.

Kiedy tylko otworzył paczkę i zobaczył, co jest w środku, zrozumiał, że oto wreszcie ma szansę pozbyć się swojej prześladowczyni. Jeżeli Sława pisała, że zażyje truciznę, to na pewno zamierzała tak zrobić. On musiał dopilnować, żeby nikt jej w tym nie przeszkodził.

Zgoda. Mogło się tak stać, że przy okazji zginie Łukasz Strzałkowski. Michał temu nie przeczył. Czasem ofiary były konieczne i nieodzowne. Historia zna wiele sytuacji, kiedy poświęcało się przeciętne jednostki, żeby przetrwały te wybitne, prawda? Michał nie miał najmniejszych wątpliwości, że jest na tyle wyjątkowy, że jego przetrwanie jest ważniejsze niż życie jakiegoś nastolatka. A Michał nie mógł przetrwać, jeżeli żyła Sława. Po prostu nie zniósłby kolejnych miesięcy, a może nawet lat prześladowań.

Najprościej oczywiście byłoby nikomu o paczce nie mówić. Doszedł jednak do wniosku, że za dużo w ten sposób ryzykuje. Jeżeli to kiedykolwiek wyszłoby na jaw, mógłby zostać oskarżony o ukrywanie dowodów. Tego absolutnie nie chciał. Tym bardziej że miał przed sobą głowę Sabiny.

Musiał kogoś poinformować. To miało swoje plusy! W ten sposób Michał mógł stworzyć pozory, że chce pomóc ratować Łukasza i schwytać niebezpieczną morderczynię. A więc

postanowione. Musi powiedzieć o paczce.

Tu pojawiał się problem w postaci liściku od Sławy. Pisała, że Michał wie, gdzie jej szukać. Pozbyć się kartki? To też nie wydawało się dobrym rozwiązaniem. Jeżeli nie byłoby listu, jak Michał wytłumaczyłby, że Sława istotnie jest wariatką? Liścik stanowił podstawę, dzięki której można było przedstawić historię ich znajomości.

Tak więc liścik też musiał zostać. Co z nożem? Nikt oczywiście nie mógł wiedzieć, że dołączony do paczki nóż to istotna wskazówka. Mimo to Michał postanowił go ukryć, dopiero potem pokazał paczkę Sadowskiej i poprosił ją, żeby skontaktowała się z Klementyną. Ukrycie noża wydawało się najmniej ryzykowne. Poza tym wolał dmuchać na zimne niż potem się sparzyć.

Schował nóż do kieszeni, jak to miał kiedyś w zwyczaju. Jeszcze zanim to wszystko się stało. Tuż po śmierci ojca. Kiedy nóż znalazł się na swoim miejscu, Michał poczuł się jak wtedy. Jakby czas się cofnął.

Ukrycie noża w kieszeni to było rzecz jasna tylko tymczasowe rozwiązanie. Kiedy nadejdzie odpowiedni moment, Michał zamierzał się go pozbyć. Przynajmniej początkowo. Szybko się bowiem okazało, że to wcale nie jest takie łatwe.

Z niejasnego powodu nie mógł tak po prostu go wyrzucić. I wcale nie chodziło o to, że Michał bał się, że przedmiot może zostać odnaleziony. Raczej znowu ogarnęło go to idiotyczne wrażenie, że w nożu tkwi jakaś moc, że to amulet, który przyniesie siłę i powodzenie.

To oczywiście była jedna wielka brednia. Dotychczas nóż nie uchronił Michała przed niczym. A nawet więcej, przyczynił się do tragedii. Na samą myśl o tamtej sierpniowej nocy rok temu kikut języka zdawał się na nowo piec niewyobrażalnym bólem. Michał z trudem przełknął ślinę. Myślami znowu był w pracowni projektanta w Warszawie. Wydawało mu się, że nóż upadł wtedy na ziemię. Idka musiała go stamtąd zabrać.

Cholerna wariatka! To wszystko jej wina! Michał zdecydowanie nie zamierzał pozwolić jej przeżyć.

Stąd właśnie kolejny doskonały pomysł: skontaktować się z tą

dziwną Klementyną Kopp zamiast z policją. Michał wiedział, że Sadowska złapie się na haczyk, kiedy wyjaśni jej, że nie ufa ludziom z komendy i chce wezwać Kopp. Sadowska nie cierpiała glin od czasów, kiedy pracowała na ulicy, te słowa to był miód na jej uszy. Zadzwoiła do Klementyny. Michał miał nadzieję, że samotna ośmieszona była policjantka nie będzie zbyt skuteczna. Niestety pomylił się, nie docenił tej wytatuowanej baby.

Po pierwsze, Klementyna zjawiła się w atelier nadspodziewanie szybko. Całe szczęście, że przygotował bardzo długi list. Przeczytanie go mogło zająć sporo czasu. Michał obszernie przedstawił w nim całą historię. Naświetlił ją rzecz jasna odpowiednio, żeby nie było wątpliwości, że ta pieprzona Sława jest niepoczytalna. Przecież tak było, prawda? To nawet nie było kłamstwo! Nikt normalny nie gada sam ze sobą.

No dobrze. W kilku miejscach trochę skłamał. A raczej podkoloryzował prawdę. Na przykład w kwestii uzależnienia Sławy od narkotyków. Ona nigdy ich nie brała. Zbyt dużo wiedziała o tych mieszankach, żeby w to wchodzić.

Niestety tylko on sam okazał się słaby. Pierwsze narkotyki dał Michałowi jej pieprzony braciszek. Michał podejrzewał, że Żaba podbierał towar z klubowego magazynu. Dopiero kiedy przestał terminować u Krzywego, Michał musiał zacząć wyłudzać narkotyki od Sławy. Ona z kolei wypraszała je pewnie od Żaby. Brat na pewno nie potrafił jej odmówić.

Relacja pomiędzy tą dwójką była dziwna. Gdyby nie to, że Sława była w nim tak zakochana, Michał podejrzewałby, że rodzeństwo uprawia ze sobą seks. Pieprzona rodzina wariatów. O tym w liście do Klementyny oczywiście nie mógł napisać. Wtedy dowiedziałaby się zbyt wiele. Postanowił nie podawać żadnych istotnych szczegółów, żeby policjantka nie miała punktu zaczepienia. Sława musiała zginąć!

Kiedy Michał wrócił ze Stanów, wydawało się, że się od niej uwolnił. Ale nie! Wariatka zaczęła go nękać. Do tego stopnia, że bał się nawet wyjść z domu. To akurat nie było kłamstwo! Sława zniszczyła mu życie. To wszystko jej wina! Wszystko! Kompletnie zrujnowała mu życie. To jej wina! Tej cholernej

wariatki. Zasłużyła, żeby umrzeć! Nie było wątpliwości.

Dlatego właśnie schował nóż, a Klementynie pokazał resztę upiornej przesyłki. I to dopiero, kiedy skończyła czytać list! Dzięki temu Michał zyskał kolejne minuty i opóźnił wyjazd z atelier bez rzucania podejrzeń na siebie. W liście jasno dawał przecieź do zrozumienia, że chce współpracować, czyż nie?

Kiedy Klementyna zaczęła wypytywać, gdzie Sława mogła się ukryć, Michał skierował ją do młyna. Powiedział, że tam się spotykali. To było kłamstwo, ale skąd ta wytatuowana baba mogła wiedzieć, że spędzali czas głównie w laboratorium? O nim Michał nie miał zamiaru mówić. Przynajmniej nie na początku. Może w odpowiednim momencie, ale musiała narosnąć wokół niego aura tajemniczości.

Pojechali do młyna. Ta wariatka urządziła tam krwawą jatkę, ale oczywiście w środku nie było ani jej, ani Łukasza Strzałkowskiego. Szybko przyjechała policja i zaczęła wypytywać. To było nieuniknione. Michał co rusz zerkał na zegarek i przerażało go, jak czas wolno płynie. Za wszelką cenę musiał zyskać kolejne minuty. Dlatego udawał, że nie zna jej pełnego imienia i nazwiska, że przedstawiła się jedynie jako Sława. Gówno prawda. Doskonale wiedział, że inni mówią na nią Idka, a ona tego nienawidzi.

Jak można się było spodziewać, policja szybko ustaliła jej tożsamość, ale co Michał zyskał, to zyskał. Mundurowi pojechali przesłuchać matkę i wuja Sławy, ale bez rezultatu. Widać nie powiedziała im o laboratorium. Zawsze powtarzała, że jej relacje ze starymi są trudne. Widać naprawdę tak było.

No i został jeszcze pieprzony braciszek. Jego Michał obawiał się najbardziej. Żaba zapewne wiedział i o laboratorium, i o chacie w lesie. Przecieź byli ze Sławą blisko. Niepokój całe szczęście okazał się płonny. Co najlepsze, facet najwyraźniej był interesownym skurwielem! Zaczął prowadzić pertraktacje z policją.

Michał nie mógł uwierzyć we własne szczęście. Los mu sprzyjał. To był niemal cud! Dzięki chciwości Żaby kolejne cenne minuty zmieniały się w kwadransy i godzina zero przybliżała się coraz szybciej. Kiedy nareszcie wybiła, śledczy

byli fantastycznie daleko od chaty w lesie.

Michał nie spodziewał się co prawda, że sklepikarka z Lipowa zna chatę, ale całe szczęście było już za późno, żeby uratować Sławę! Naprawdę się otruła. To był koniec prześladowań!

Wisienką na torcie okazał się fakt, że Łukasz przeżył. Michał autentycznie się z tego cieszył. Przecież nie życzył chłopakowi źle. Nie był jakimś potworem. Tylko sytuacja ułożyła się, jak się ułożyła. Przez Sławę! Tylko i wyłącznie przez tę cholerną wariatkę.

– Synku, co ci jest? – zapytała Jagoda, wrywając Michała z zamyślenia.

Uśmiechnął się do matki. To musiało wystarczyć. Przecież nie mógł jej wytłumaczyć swojego udziału w sprawie. A już na pewno nie na piśmie. Nie mogła wiedzieć, że jeżeli czeokolwiek w życiu żałował, to nie ostatniego dnia i narażania życia Łukasza. Nie. Żałował głupiego ruchu ręką, kiedy zaczął odcinać sobie język tamtej sierpniowej nocy. Żałował koszmarów, które od tamtej nocy nie mogły go opuścić.

Cała nadzieja w tym, że teraz, wraz ze śmiercią Sławy, ta makabra się skończy. Michał o wszystkim zapomni. Zniszczy ohydne lalki i skupi się na sukience. Projekt był już prawie perfekcyjny. Musiał go dokończyć! Do tego był stworzony.

Tylko czemu ten nóż jest taki ciężki, przyszło mu nagle do głowy. Jakby ważył tonę? Kieszeń zdawała się teraz sięgać do ziemi. Włożył dłoń do środka i zacisnął na rzeźbionej rękojeści. Miał dziwne wrażenie, że skóra płonie od samego dotyku. Chciał wyciągnąć nóż z kieszeni i cisnąć nim o ziemię.

– Synku, czy wszystko w porządku? – zapytała Jagoda.

Gdyby mógł wrzasnąć, już by to zrobił. Ręka piekła żywym ogniem. Świat zaczął wirować, jakby Michał nie był w szpitalnej sali, ale na rozpędzonej karuzeli. Nagle zrozumiał. Trucizna! Trucizna zabijająca przez sam dotyk. To sprawka Sławy. Rozszyfrowała przepis z tej poszarpanej książki, która podobno należała do jej babci.

Chciał otworzyć usta w niemym krzyku o pomoc. Wargi zdawały się jednak zaciskać jeszcze mocniej. Zupełnie wbrew

jego woli. Michał poczuł, że nie może złapać oddechu. Uczucie duszności wywoływało panikę. A więc jednak... więc jednak... więc jednak to ta wariatka miała ostatnie słowo.

CZEŚĆ DZIESIĄTA

Od zera...



Ktoś mi kiedyś powiedział, że warto spisywać swoje emocje, żeby lepiej sobie z nimi radzić. Długo tego nie robiłam, ale teraz zamierzam spróbować. Bardzo, bardzo, bardzo chcę to zrobić sama. Nie wiem, czy to się uda, bo bardzo długo pozwalałam, żeby Łaskun dzielił ze mną życie. Zawsze był wiernym towarzyszem. Ale teraz chcę, potrzebuję, mówić sama, swoim głosem. Ten jeden raz chcę mieć coś dla siebie.

Nie wiem, jak długo będę pisać, do jakiego momentu dojdę... A może lepiej powiedzieć, do którego będę chciała dojść. Zaczynam numerowanie wpisów od zera, bo od tego każdy z nas zaczyna. Od niczego. Od czystej karty, którą potem wypełnia. Wszyscy zaczynamy od zera. Ja także. Łaskun także.

Moje najwcześniejsze wspomnienie to wanna, a właściwie lepiej powiedzieć wielogodzinne siedzenie w wannie. Doszło do tego, że znałam każdy jej fragment, każdy centymetr jej chropowatej faktury i najmniejszą plamę rdzy w miejscach, gdzie biała emalia zupełnie się wytarła.

Miałam dużo, dużo czasu, żeby poznać to miejsce. Z jakiegoś powodu moja matka była bowiem zdania, że tylko długotrwałe wymaczanie zmyje ze mnie skazę, która ciążyła na naszej

rodzinie od pokoleń. Jakby to był brud fizyczny...

Nie wiem, skąd się to u niej wzięło, ale to przeświadczenie było tak silne, że nic nie mogło matki przekonać, żeby pozwoliła mi wyjść z wanny przed ustalonym przez nią czasem. Kiedy próbowałam walczyć, wpychała mnie brutalnie do wody.

– To dla twojego dobra – tłumaczyła wtedy. – Dzięki temu nie skończysz jak ja.

Nie rozumiałam, co miała na myśli. Nie wiedziałam wtedy, co to za skaza. Czułam tylko instynktownie, że to coś strasznego.

Zazwyczaj siedziałam w wannie tak długo, że moja skóra stawała się pofałdowana i porowata. Czasem czułam tak silne swędzenie, że drapałam się do krwi. Woda robiła się od niej brunatna. Wiedziałam, że nie powinnam tego robić, ale mimo nieuniknionych konsekwencji nie potrafiłam się powstrzymać.

Kiedy matka widziała, że woda ciemnieje, robiło się jeszcze gorzej. Dodawała wtedy do niej jakiegoś płynu. Sprawiał, że moja skóra piekła i pękała, a ja drapałam się jeszcze bardziej. Z perspektywy czasu mogę się tylko domyślać, że matka kapała mnie w jakimś detergencie, rozpuszczalniku czy wybielaczu do mycia łazienek.

– Jeszcze chwileczkę! To cię oczyści, Idka – powtarzała z czułością, wlewając kolejne porcje chemikaliów do mętnej wody. – Zobaczysz, kochanie. To cię oczyści. Będzie dobrze. Ochronię cię przed klątwą.

Plakałam, chociaż ból i pieczenie były dobrym znakiem. Zwiastowały rychły koniec kąpieli. Matka musiała gdzieś tam w głębi wiedzieć, że nie może za długo trzymać mnie w tym roztworze, że to jednak nie to samo co woda z mydlinami, że są pewne granice.

Kolejne dni naznaczone były bólem podrażnionej do granic wytrzymałości skóry, ale za to matka na ten krótki czas zdawała się ze mnie nareszcie zadowolona. Wtedy pozwalała mi nawet bawić się z moim bratem w salonie. Mówiła o nim Żabka. Do tej pory wiele osób tak go nazywa.

Być może matka uważała, że rodzinna skaza tyczy się tylko dziewczynek. W każdym razie mój brat nigdy nie musiał brać tych oczyszczających kąpieli. Nie rozumiał więc, czemu unikam

jego dotyku jak ognia i nie odpowiadam na bliskość, której tak pragnął. Doprowadziło to do tego, że patrzył na mnie spod oka i niechętnie akceptował moją obecność w salonie.

Te dni, kiedy mogłam siedzieć tam z bratem, to był też jedyny czas, który spędzałam z ojcem. Ojciec był twardym mężczyzną, który z zasady chyba nie zajmował się dziećmi. W każdym razie jego zainteresowanie nami polegało głównie na okazjonalnym wymierzeniu dyscypliny, jak sam to określał. Bicie pasem miało nas ustawić do pionu na całe życie. Dostawało się po równo i mnie, i bratu, bo u ojca nie było takich podziałów jak u matki.

Resztę naszego wychowania ojciec zostawiał matce i właściwie rzadko się do nas odzywał. Tak po prawdzie to nie miał też zbyt często. Lubił popić, więc albo leżał pijany na kanapie przed grającym bez sensu telewizorem, albo gdzieś wychodził.

– Znowu idzie kogoś pieprzyć – wściekała się matka, jak tylko słyszała zamykające się za nim drzwi. Nigdy wcześniej. Chyba trochę się go bała. – Myślisz cholernik, że nie wiem? Ma mnie za idiotkę? Nienawidzę go! Ty też go nienawidzisz, Idka?

Kiwałam głową, bo ona tego oczekiwała. Nigdy jednak nie czułam do ojca nienawiści. Mimo wszystkich jego przewin zdecydowanie zdawał mi się w tamtym czasie ostają bezpieczeństwa. Głównie dlatego, że wiedziałam, czego się po nim spodziewać. Wystarczyło w porę zejść mu z drogi, żeby nie oberwać.

Jak był w lepszym nastroju, to czasem zabierał nas na łódkę. Mnie i brata. Startowaliśmy z przystani obok młyna wodnego, który należał kiedyś do mojego dziadka, i spływaliliśmy Skarlanką do jeziora Strażym.

Ojciec lubił łowić ryby i całkiem nieźle się na tym znał. Lubił też przy tym rozprawiać o ziołach, bo jego matka tym się kiedyś zajmowała. Twierdził, że babcia Augusta potrafiła przygotować każdą miksturę, a swoje zapiski ukryła gdzieś w młynie. Później okazało się, że nie kłamał. Odnalazłam tę księgę i przepisy babci Augusty zmieniły całe moje życie. Pozwoliły stworzyć swoje miejsce na tym świecie.

Tak. Po ojcu wiedziałam, czego się spodziewać. Z matką nigdy tak nie było. Potrafiła być słodka niczym miód, a pół minuty później wrzeszczała i straszyla mnie grzechem nieczystości. Potrafiła czytać mi bajki, a za chwilę zgarniała laurki, które przygotowałam dla niej z jakiejś okazji, i na moich oczach je paliła. Potrafiła robić dla mnie naleśniki, ponieważ tak je lubiłam, a następnego dnia nie dawała mi w ogóle jedzenia. Potrafiła rysować moje portrety i całować je na znak, że bardzo mnie kocha, a za chwilę wycinała moją twarz ze zdjęć rodzinnych. Potrafiła spać przytulona do mnie, tak że prawie nie mogłam oddychać, a potem przez kilka dni w ogóle mnie nie zauważała.

W Lipowie pewnie nikt by się tego po niej nie spodziewał. Uchodzi za pogodną kobietę, która do wszystkich szeroko się uśmiecha z okienka kiosku i zawsze lubi sobie pogadać. To maska. Matka potrafi ranić i manipulować lepiej niż ktokolwiek inny.

Mimo to, a może właśnie dlatego, to właśnie jej miłości pragnęłam bardziej niż ojcowskiej. Tak bardzo chciałam, żeby chwile jej dobrego humoru trwały jak najdłużej. Niestety były ulotne, a ja zawsze wcześniej czy później wracałam do wanny.

Tak bardzo pragnęłam, żeby mnie zaakceptowała. Z perspektywy czasu wiem, że właśnie dlatego zrobiłam to, co zrobiłam.

Któregoś dnia matka zabrała mojego brata i pojechała z wizytą do swoich rodziców. Ja w takich sytuacjach z reguły zostawałam w domu.

– Babcia nie lubi dziewczynek, zostajesz – powtarzała mi matka. – Tylko Żabka jedzie ze mną.

To mówiąc, pakowała mojego brata do samochodu. Nie protestował. Metody wychowawcze matki zbudowały między nami mur nie do przebicia. Podejrzywałam nawet, że mnie nienawidził.

Kiedy matka i brat odjeżdżali, z jednej strony rodziły się we mnie zazdrość i poczucie odrzucenia, z drugiej pozostanie

z ojcem oznaczało brak wielogodzinnych kąpeli i chociaż odrobinę spokoju.

Tamtego wieczora, kiedy tylko samochód matki zniknął za rogiem, ojciec od razu zebrał się do wyjścia. Był już nieco podpity, więc nie zauważył, że wymknęłam się za nim. A może zauważył, ale było mu wszystko jedno?

Nie jestem pewna, dlaczego postanowiłam go śledzić. Może pchała mnie dziecięca ciekawość. Jego świat przecież nigdy nie był dla mnie dostępny. A może chciałam zobaczyć, co to jest to pieprzenie, o którym tyle mówiła matka?

Myślałam, że ojciec pójdzie do sklepu pod kościołem, żeby kupić wódkę. Często tak robił w niedzielę po mszy. Tak się jednak nie stało. Szedł dalej. Aż na drugą stronę wsi. Nie znałam tych terenów. Teraz wiem, że to niedaleko, ale kiedy byłam małą dziewczynką, wydawało mi się, że odeszliśmy kilometry od naszego domu.

Ojciec zapukał do jakichś drzwi. Otworzyła mu kobieta. Z mojego ukrycia mogłam dostrzec, że jego twarz rozpromieniła się, kiedy tylko ją zobaczył. To mnie zaskoczyło, ponieważ nigdy wcześniej nie widziałam, żeby ojciec tak się uśmiechał, żeby był taki szczęśliwy.

Ojciec i nieznamąca kobieta zniknęli za drzwiami. Nie mogłam oczywiście wejść za nim do środka, więc gorączkowo zastanawiałam się, co dalej. Nagle w moim sercu pojawiła się nadzieja. A gdybym tak zawiadomiła matkę? Z jakiegoś powodu ogarnęła mnie pewność, że ucieszyłaby się, a może nawet mnie pokochała? Może wreszcie skończyłyby się kąpiele?

Tak bardzo pragnęłam jej miłości, że nie myśląc wiele, zawróciłam do domu, żeby ją zawiadomić. Telefon stał na wysokiej półce w naszym oblepionym kwiecistą tapetą korytarzu. Półkę matka kazała zamocować wysoko, żeby ani mnie, ani bratu nie przyszło do głowy dzwonić gdzieś i nabijać rachunek. Musiałam przynieść sobie taboret z kuchni, żeby jej dosięgnąć.

Dopiero kiedy wdrapałam się na górę i wykręciłam numer do dziadków, ogarnął mnie lęk. Ręce zaczęły mi drżeć. Już miałam

odłożyć słuchawkę, kiedy usłyszałam:

– Halo?

Od razu rozpoznałam głos matki. To jeszcze bardziej mnie przeraziło, bo przecież to babcia albo dziadek powinni byli odebrać. W ostateczności wuj, który nadal u nich pomieszkiwał. No ale odebrała właśnie ona.

– Halo!

Przez dłuższą chwilę zbierałam się, żeby wykrztusić chociaż słowo.

– Mamusiu?

Po drugiej stronie przez moment panowała cisza, jakby połączenie zostało zerwane. Znowu drżałam. Byłam pewna, że nie zwiastowało to nic dobrego, bo to milczenie znałam aż za dobrze. Z reguły niedługo później trafiałam do wanny.

– Przepraszam... – wykrztusiłam. – Mamusiu... Mamusiu, tata jest u takiej pani...

Po drugiej stronie linii znowu zapadło milczenie. Teraz było jednak innego rodzaju. Coś się w nim czaiło. Coś nowego. Znowu zadrżałam. Najbardziej nie lubiłam niepewności. Wywoływała największy strach.

– Gdzie? – powiedziała w końcu matka.

– Zaprowadzę cię – obiecałam, wyczuwając swoją szansę.

– Czekać w domu i nigdzie się nie ruszaj. Zostawię Zabkę u dziadków i wrócę sama. Wychodzimy od razu, jak dojadę. Ani mi się waży ruszyć, bo...

Nie musiała kończyć, i tak nie miałam zamiaru nigdzie się stąd ruszać. Stałam na stołku jeszcze długo po tym, jak się rozłączyła, i bezmyślnie wpatrywałam się w odłóżającą kwiecistą tapetę. W końcu ośmieliłam się zejść i usiadłam tuż przy drzwiach, wrażliwa na każdy nawet najmniejszy dźwięk, wyczekując powrotu matki.

Matka zjawiała się szybciej, niż myślałam.

– Gdzie on jest? – syknęła.

Poprowadziłam ją tą samą drogą, którą wcześniej poszedł ojciec. Przynajmniej tak mi się wydawało. Do sklepu pod kościołem szło mi dobrze, ale potem trochę się pogubiłam. Jak już mówiłam, nie znałam za dobrze tej części wsi. Poza tym

byłam zdenerwowana. Musiałam pomylić zakręty. W każdym razie nie mogłam znaleźć domu tamtej kobiety.

Pokręciliśmy się jeszcze trochę po okolicy w nadziei, że coś jednak sobie przypomnę. Matka była coraz bardziej zdenerwowana, chociaż uśmiechała się szeroko. Chyba na wypadek, gdyby przechodził ktoś znajomy.

W końcu zrobiło się już późno i wieś zupełnie opustoszała. Matka postanowiła zawrócić. Wtedy właśnie zobaczyliśmy ojca. Szedł, zataczając się lekko. Obok niego, drobniejszymi krokami, szła ta jego kobieta.

Matka chwyciła mnie za ramię i pociągnęła w krzaki. To nie było właściwie potrzebne, bo i tak nie zwróciliby na nas uwagi. Pocałowali się na środku szosy, nie zważając, że ktoś może ich zobaczyć. Może byli tak pijani, że nawet nie przyszło im to do głowy? A może założyli, że o tej porze już wszyscy śpią?

Drżałam z przerażenia, co robi matka, ale ona tylko otoczyła mnie czule ramieniem i powiedziała:

– Chodźmy do domu, Idka.

Wyszliśmy ostrożnie zza krzaków, kiedy ojciec i ta kobieta ruszyli dalej. W drodze powrotnej matka cały czas obejmowała mnie opiekuńczo. Chociaż podrapana po ostatniej kąpieli skóra bolała przy każdym jej dotyku, moje serce biło radośnie. Chciałam, żeby trwało to jak najdłużej.

– Dobrze zrobiłam, mamusiu? – odważyłam się zapytać, kiedy weszliśmy do domu.

– Bardzo dobrze – zapewniła. – Teraz sobie tu poczekamy.

Nie wiedziałam, na co czekamy, ale usiadłam z nią w salonie. Ziewałam, bo zrobiło się już naprawdę późno. Głowa co chwila mi opadała, ale czułam, że nie wolno mi zasnąć.

Nagle skrzypnęły drzwi i do środka wtoczył się ojciec. O ile mogłam się zorientować, był już bardzo pijany. Nie zwrócił na nas uwagi, bo siły i koordynacji starczyło mu akurat na tyle, żeby dotrzeć na kanapę i runąć na nią jak długi. Obie patrzyliśmy na niego jak zahipnotyzowane. Chrapał głośno, a mnie wydawało się, że jego pierś unosiła się i opadała z zawrotną prędkością.

– Idka, kochanie, przynieś mi, proszę, kluczyki od

samochodu.

– Ale...

– Przynieś!

Pobiegłam do szafki, gdzie matka zawsze je odkładała. W tym domu to ona była kierowcą, bo ojciec rzadko trzeźwiał. Uśmiechnęła się do mnie, kiedy wróciłam biegiem.

– Świetnie. Dobra dziewczynka! Teraz mi pomożesz, prawda? Pomożesz mamusi? Bo bardzo mamusię kochasz, prawda?

Przytaknęłam ochoczo, więc matka uśmiechnęła się znowu.

– To do roboty! – Wzięła ojca pod ramiona i spojrzała na mnie wyczekująco. Nie wiedziałam, czego ode mnie chce, stałam więc bez ruchu, wpatrzona w nią. – Na co czekasz, do cholery jasnej? Bierz go za nogi i niesiemy.

Podeszłam do kanapy i spróbowałam chwycić ojca za nogi. Chrapnął głośno, a ja cofnęłam się przerażona.

– Nie martw się – zapewniła matka szeptem. – Jest pijany jak bela. Bierz go i niesiemy.

Z trudem dotargaliśmy go do samochodu i wsadziłyśmy na tylne siedzenie. Pot spływał po całym moim ciele, a zadrapania piekły boleśnie.

– Jedziemy – oznajmiła matka. – Odpoczniesz po drodze.

Na usta cisnęły mi się tysiące pytań, ale byłam tylko dzieckiem i nawet gdybym tak bardzo się nie bała, pewnie i tak nie umiałabym ich sformułować. Wskoczyłam do samochodu i skuliłam się na siedzeniu obok niej. Leżała tam sterta gazet, które nie sprzedawały się w kiosku. Część z nich matka z reguły zawoziła do babci, żeby sobie poczytała. Pewnie tamtej nocy nie zdążyła wypakować ich z samochodu.

Zagrzebałam się w gazetach i magazynach jak małe zwierzątko szukające kryjówki. Matka była tak przejęta, że nie kazała mi nawet uważać, żeby się nie pogniotły. Jechałyśmy w milczeniu. Zakopana w pachnących tuszem stronach słuchałam chrapliwego oddechu ojca i krótkich sapnięć matki. Było w nich tyle emocji, że nawet jako dziecko rozumiałam, że zwiastują coś niedobrego. Pragnęłam stamtąd uciec, a jednocześnie być blisko.

W końcu matka zatrzymała samochód. Wyjrzałam przez

okno, w ciemności rozpoznałam młyn należący do dziadka. Pamiętam, że kiedy zgasł silnik, zapadła prawie zupełna cisza. Świat wokoło spał. Nawet leśne stworzenia już się pochowały.

– Wynosimy go – rozkazała matka.

Wysiadłam posłusznie z samochodu, pełna lęku, że nie dam rady wnieść ojca po schodach do młyna. Całe ciało mnie bolało i piekło. Jednak ku mojemu zdziwieniu matka nie miała chyba w planach targać ojca do budynku. Krok za krokiem niosłyśmy pijanego w stronę przystani za młynem. Widziałam już drewnianą łódź dziadka, z której ojciec korzystał, kiedy wypływał na ryby. Znowu nie odważyłam się zadać matce żadnego pytania.

– Wsadzamy go do łodzi.

Łódka zakołysała się na wodzie, kiedy wrzuciłyśmy ojca do środka. Otworzył oczy i rozejrzał się wokoło, ale po sekundzie czy dwóch znowu je zamknął i zaczął pochrapywać jakby nigdy nic. Słyszałam, jak matka oddycha z ulgą.

– Powiedz pa, pa tatusiowi.

– Pa, pa – szepnęłam posłusznie.

Nie wiem, czy już wtedy zrozumiałam, co zamierza matka. A może widzę to dopiero teraz z perspektywy czasu. Czy gdybym wtedy coś zrobiła, życie potoczyłoby się inaczej?

– Dobrze, teraz tu czekaj – rzuciła matka. Wsiadła do łodzi i zaczęła z trudem wiosłować wąską rzeczką w stronę jeziora.

Kazała mi czekać, ale nie mogłam. Znowu ciągnęło mnie, żeby ruszyć za ojcem. Zaczęłam przedzierać się przez krzaki wzdłuż nurtu Skarlanki. W ten sposób dotarłam do brzegu jeziora Strażym. Widziałam łódkę, płynącą na środek jeziora.

Nagle w świetle księżycy zobaczyłam, jak matka wypycha pijanego ojca za burtę. Ojciec, przebudzony nagle przez chłód wody, zaczął rozpaczliwie przebierać rękami. Pewnie utrzymałby się na powierzchni, gdyby nie to, że matka uderzyła go z całej siły wiosłem w głowę. Potem sama wyskoczyła za burtę. Widziałam, jak szamoczą się w wodzie. Ojciec umiał pływać, ale alkohol buzujący we krwi, zaskoczenie i ogłuszające uderzenie w głowę utrudniały mu walkę z rozwścieżoną Honoratą. W pewnym momencie oboje zanurzyli się w wodzie

i zniknęli.

Ogarnął mnie paniczny lęk. Obróciłam się na pięcie i ruszyłam biegiem z powrotem do młyna. Nie zważałam na gałęzie uderzające mnie w twarz. Biegłam z całych sił, aż dotarłam na przystań, gdzie matka kazała mi czekać. Próbowałam usiąść na zbutwiałym drewnie pomostu, ale ogarnęło mnie takie poczucie osamotnienia, że nie potrafiłam tego znieść.

Pobiegłam do samochodu. Całe szczęście matka nie zawracała sobie głowy zamykaniem go. Otworzyłam drzwi i wspięłam się na siedzenie. Serce biło mi szybko, kiedy zagrzebywałam się w gazetach.

Trwałam tak, targana drgawkami, nie wiem jak długo. Czas wydawał się ciągnąć w nieskończoność. W końcu moje ciało całe zdrętwiało. Wyciągnęłam niepewnie ręce przed siebie, żeby się trochę poruszać. Patrzyłam na swoje dłonie, jakby były obce.

Czułam dziwną, palącą potrzebę, żeby przekonać się, że są moje własne. Sięgnęłam po pierwszą z brzegu gazetę, żeby sprawdzić, czy na pewno mnie posłuchają. Potem chwytałam następną i następną. Rwałam je na strzępy jak oszalała.

Zatrzymałam się dopiero na tej, w której były zdjęcia jakichś zwierzątek. Przeglądałam je gorączkowo. Najbardziej podobało mi się to niepozorne na dole kartki. Zwierzak przypominał ni to małego borsuka, ni to mysz, wydrę albo szczura. Było ciemno, a ja nie umiałam jeszcze dobrze czytać, więc nie potrafiłam odcyfrować napisu pod zdjęciem, tylko wielki tytuł artykułu *Zwierzęta Azji*.

Patrzyłam na niepozorne zwierzątko z nadzieją, że jakoś mi pomoże, że mnie uratuje z tej wymiętej kartki papieru. Dopiero teraz po twarzy zaczęły płynąć mi łzy, jakby widok tego zwierza uwolnił trzymane na wodzy emocje. Matka zabiła ojca. A właściwie to ja zabiłam ojca. Gdybym na niego nie doniosła, to by się nie stało. Byłam tylko dzieckiem, ale gdzieś w środku to rozumiałam. To ja byłam winna.

Znowu zapłakałam. Bardzo chciałam, żeby zwierzak ze zdjęcia powiedział mi, że nic się nie stało, że będzie dobrze. Wpatrywałam się intensywnie w fotografię, aż miałam wrażenie, że skierował wzrok prosto na mnie. Kiedy już byłam przekonana, że zaraz coś powie, usłyszałam kroki. Wyrwałam kartkę ze zdjęciem i schowałam pod ubranie.

Matka otworzyła drzwi i wsiadła do środka. Ociekała wodą, ale jej twarz zrobiła się dziwnie spokojna. Omiotła spojrzeniem porwane przeze mnie na strzępy gazety. Zadrżałam, oczekując reprimendy.

– Wracamy do domu i zrobię naleśniki – powiedziała zamiast tego z czułością.

Mimo wcześniejszej rozpaczki serce zabiło mi radośnie. Przez chwilę wszystko wydawało się w porządku. Po co mi wечно pijany ojciec, skoro teraz matka wreszcie będzie mnie kochać? Tylko kartka ze zdjęciem niepozornego zwierzaka, którą schowałam pod swetrem, drażniła mi skórę i boleśnie przypominała o tym, co widziałam. O tym, że to było złe.

Najbliższe dni okazały się prawdziwym koszmarem. Nie dlatego, że znowu trafiłam do wanny. Szczerze mówiąc, zaczęłam tego pragnąć w nadziei, że zmyję z siebie winę za śmierć ojca. Jak na złość matka mnie tam nie wysyłała. Być może dlatego, że w naszym domu pojawiła się kilkakrotnie policja.

Pierwszy raz, żeby powiadomić matkę o wypadku ojca.

– Najwyraźniej wsiadł do łodzi po pijanemu i wypadł za burtę – powiedział jeden z funkcjonariuszy. – No i jeszcze uderzył się głową o dno łodzi, kiedy próbował wypłynąć. Wiem, jak to brzmi, ale proszę mi wierzyć, że takie wypadki się niestety zdarzają. Zwłaszcza po pijanemu. Bardzo mi przykro, pani Honoratko. Naprawdę bardzo mi przykro.

Matka rozplakała się jak na zawołanie. To nie było problemem, jej humory zmieniały się przecież jak w kalejdoskopie. Nie sądziłam, żeby odczuwała prawdziwy żal.

– Co ja teraz zrobię? – zawodziła teatralnie. – Co ja zrobię?

Mój brat został przywieziony od dziadków dopiero kilka dni później. Próbowałam mu powiedzieć, co się wydarzyło, ale

słowa nie przechodziły mi przez gardło, więc patrzył tylko na mnie równie niechętnie jak zawsze.

Nie potrafiłam też nic powiedzieć policjantom, którzy przychodzili do nas, żeby informować o postępach w śledztwie. Bałam się patrzeć im w oczy, żeby nie zobaczyli, że to ja zabiłam ojca. Jedyne, czego pragnęłam, to tej znieprawionej oczyszczającej kąpieli. Ona jednak nie nadchodziła.

Kilka razy próbowałam nawet sprowokować matkę, ale póki policjanci nas odwiedzali, zachowywała się wzorowo. Robiła mi naleśniki, poila oranżadą, czytała bajki i głaskała. Zaczęłam podejrzewać, że to nagroda za mój wkład w śmierć ojca. Przez to czułam się jeszcze gorzej, a słowa chowały się jeszcze głębiej. Na ten czas stałam się zupełnie niema.

Któregoś dnia, w chwili nieuwagi matki, poszłam sama do łazienki. Wlałam do wanny trochę jakiegoś płynu do czyszczenia. Chwyciłam też butelkę zmywacza do paznokci i zmieszałam to wszystko. Powietrze niemal natychmiast stało się duszące. Upadłam na ziemię, nie mogąc złapać oddechu.

Matka musiała usłyszeć, że upadłam, bo przybiegła i wyciągnęła mnie z łazienki. Wezwała pogotowie. Zabrano mnie do szpitala, choć nic wielkiego się nie stało. Lekarz tłumaczył to matce już wtedy, ale ja zrozumiałam dopiero po latach, co się wydarzyło. Zmieszanie rozpuszczalnika chlorowego z acetonem ze zmywacza do paznokci doprowadziło do reakcji, w wyniku której mógł powstać chlor, chloroform lub chloroaceton. Wszystkie silnie drażniące. Chlor i chloroaceton stosowane były kiedyś jako broń chemiczna.

– Pani córeczka miała szczęście, że tak szybko pani zareagowała, pani Honorato, i że ekspozycja na truciznę była tak krótka – tłumaczył matce lekarz. – Musi pani lepiej pilnować Idki.

– Być może Idka tak bardzo przeżywa śmierć taty, że przychodzą jej do głowy głupie pomysły – płakała matka.

Lekarz kiwał głową ze zrozumieniem.

– Może powinna pani mieć kogoś do pomocy – zasugerowała jedna z pielęgniarek. – Przynajmniej na razie.

Kiedy wyszłam ze szpitala, moje ciało się zagoiło, ale dusza była nadal w strzępach. Tymczasem okazało się, że matka wzięła sobie do serca poradę pielęgniarki i znalazła pomoc do opieki nad nami. Wuj, którego z jakiegoś powodu wszyscy nazywali „starym”, odwiedzał nas coraz częściej.

Stary wkrótce znalazł wspólny język z moim bratem. Żaba szybko zaczął się śmiać, jakby zupełnie zapomniał o śmierci ojca. Ja z kolei siedziałam całymi dniami w swoim pokoju zakopana w pościeli albo ukryta pod łóżkiem.

Tamtej nocy matka nie zauważyła, że przemyśliłam do domu skrawek gazety z samochodu i schowałam za szafą u siebie w pokoju. W tym strasznym czasie moim jedynym towarzyszem i powiernikiem był zwierzak ze zdjęcia.

Potrafiłam już odczytać podpis pod zdjęciem. Mój przyjaciel był łaskunem. Niewielkim zwierzakiem z południowo-wschodniej Azji, który zasłynął potem swoim udziałem w produkcji jednej z droższych kaw na świecie, kopi luwak. Wtedy oczywiście tego nie wiedziałam. Podobała mi się jednak jego nazwa. Kojarzyła się z czymś dobrym, z łaską. Byłam tylko dzieckiem, ale już wtedy życie nauczyło mnie wielu dorosłych słów.

Zamknięta sama w pokoju, toczyłam z moim łaskunem długie rozmowy. Opowiadałam mu o tamtej nocy, kiedy umarł ojciec. Czułam, że tylko łaskun może mnie zrozumieć, bo przecież też tam był.

Z perspektywy czasu wiem, że po powrocie ze szpitala nastął najspokojniejszy okres w moim dotychczasowym życiu. Kąpiele się skończyły, matka zostawiła mnie samą sobie, a w tych długich monologach, które wygłaszałam do zwierzaka ze zdjęcia, odnalazłam pewien spokój.

To skończyło się, kiedy stary wprowadził się do nas na dobre. Wuj był bratem bliźniakiem matki. Od czasu mojej przodkini, Idosławy, po której odziedziczyłam swoje idiotyczne imię, wszystkie cięższe w naszej rodzinie były bliźniacze. Zawsze córka

i syn. Dlatego nikt się nie zdziwił, kiedy urodziłam się ja i mój brat.

Byłam dzieckiem, ale gdy stary z nami zamieszkał, szybko poczułam, że jego relacje z moją matką są więcej niż braterskie. W domu często ją obejmował, kładł jej dłoń na pośladku albo czule całował. Nie broniła się, a nawet odpowiadała tym samym. Nazywała go „starym”, ale brzmiało to dziwnie pieszczotliwie.

Stary zaczął wprowadzać nowe zwyczaje. Wyciągał mnie z mojej pustelni w pokój i kazał siadać do wspólnych posiłków przy stole w kuchni. Zachowywał się przy tym, jakby dom należał do niego. Mój brat od razu to zaakceptował. Takie odnosiłam wtedy wrażenie.

– Jesteśmy rodziną – powiedział któregoś dnia stary, wpychając we mnie posiłek przygotowany przez matkę. – Rodzina spędza razem czas. Musisz się tego nauczyć wcześniej czy później, zrozumiałaś, Idka?

Kiwnęłam głową, nadal zupełnie niema. Od czasu powrotu ze szpitala nie odezwałam się ani słowem do nikogo oprócz mojego łaskuna.

– Odpowiadaj! – zażądał wuj.

Kiedy nie byłam w stanie wykrztusić słowa, stary chwycił mnie za ramię i pociągnął kwiecistym korytarzem aż do mojego pokoju. Cała drżałam. Jedyne, czego pragnęłam, to chociaż spojrzeć na mojego przyjaciela, na mojego łaskuna. Wiedziałam, że tylko on mi pomoże.

Wyrwałam się staremu chyba tylko dlatego, że byłam drobna i zwinna. Skoczył do drzwi, bo myślał zapewne, że zamierzam uciekać. Tymczasem ja rzuciłam się w stronę szafy. Wydobyłam zdjęcie łaskuna i spojrzałam na nie z czułością. Za plecami usłyszałam kroki wuja. Bez trudu wyrwał mi papier z ręki.

– Co tam chowasz, Idka?

Nie odpowiedziałam.

– Co to jest?! – zawołał znowu gniewnie.

– Mój łaskun – wyszeptalam.

– Twój co? Zresztą nieważne. Będziesz się od dziś zachowywała normalnie. Zrozumiano? Wrócisz teraz do stołu

i będziesz odpowiadała na pytania i jadła to, co przygotowała ci mama. Zrozumiano?

Znowu nie odpowiedziałam.

– Zrozumiano?

– Nie jesteś moim ojcem, żeby mi rozkazywać – odpyskowałam.

Ku mojemu zaskoczeniu stary zaśmiał się niemal serdecznie.

– Powiem ci coś w sekrecie, moja mała złośnico. Otóż twoim ojcem jest nie kto inny, tylko właśnie ja. Ty i twój brat zostaliście poczęci na słomie w stodole twoich dziadków. Tam z reguły chadzaliśmy z Honoratą, żeby załatwić te sprawy.

Słowa starego zabrzmiały absurdalnie, ale z jakiegoś powodu nie miałam wątpliwości, że mówi prawdę. Nagle ogarnęła mnie pewność, że właśnie odkryłam skazę, która ciążyła na naszej rodzinie.

Kiedy myślę po latach o tym, jak moja matka cieszyła się, budując niechęć pomiędzy mną a bratem, zaczynam ją rozumieć. Musiała bać się, że powtórzę jej błąd, że związę się z własnym bratem, że będę nieczysta tak jak ona, jej matka i wiele innych kobiet w naszej rodzinie. Oprócz tej nieszczęsnej Idosławy jedynaczki.

– Co tak szeroko otwierasz oczy? – zaśmiał się stary. – Nikt nie kocha twojej matki tak jak ja i Honorata nigdy nikogo nie kochała tak, jak kocha mnie. Tak było od zawsze. To znaczy odkąd pierwszy raz skusiła mnie swoją urodą. Ten pijus, którego uważałaś za ojca, mógł sobie myśleć, że jesteście jego dziećmi, ale ty i Żaba jesteście z mojej krwi i od dziś będziesz mnie słuchać, jak córka powinna słuchać ojca. Dosyć tych hysterii i zamykania się w pokoju. Zrozumiano?

Łzy popłynęły mi z oczu. Teraz też płaczę... Jestem owocem kazirodczego związku, kto chciałby poznać taką prawdę? Czy mężczyzna, którego nazywałam ojcem, wiedział o tym i dlatego całe życie mnie ignorował? Czy dlatego szukał szczęścia w objęciach innej kobiety, bo nie mógł znieść nawet widoku mnie i mojego brata?

– Będziesz oczywiście trzymała gębę na kłódkę – zakończył wuj. – Zrozumiano?

Pokiwałam głową. Wstyd i przerażenie aż mnie paliły. Nigdy nikomu o tym nie powiedziałam. Dopiero teraz odważyłam się napisać. Po tylu latach.

We wsi nikt się nie zorientował. Nikomu nie wydawało się podejrzane, że brat mieszka z siostrą, żeby wesprzeć ją po śmierci męża. Komu przyszłoby do głowy, że „stary” i gadatliwa Honorata z kiosku ze sobą sypiają? A może nikt nie chciał wiedzieć? Może nadal nikt nie chce widzieć? To znacznie łatwiejsze.

Stary wyjął zapalniczkę z kieszeni i jakby nigdy nic podпалиł zdjęcie łaskuna. Oczy zaszczyły mi łzami. To rozwścieczyło wuja jeszcze bardziej, bo uderzył mnie mocno w twarz. Policzek zapiekł, ale to było nic w stosunku do tego, co właśnie przeżywałam. Mój jedyny przyjaciel, mój powiernik stanął w płomieniach. Co zrobię bez łaskuna? Czy zawsze będę sama, zdana tylko na siebie? Pytania kłębiły mi się w głowie, a ja płakałam dalej.

– Przystaniesz się mazać, do cholery jasnej? – rozzłościł się stary.

Ponieważ nie reagowałam, wuj znowu uderzył mnie w twarz. Nie skutkowało, więc sięgnął po pas. Stał nade mną, ciężko dysząc, kiedy otworzyły się drzwi.

Myślałam, że w progu zobaczę matkę, ale stał tam mój brat. Żaba przyglądał się nam przez chwilę.

– Zostaw. Idkę – rozkazał w końcu. Zupełnie nie jak mały chłopiec, ale jak mężczyzna. – Już. Zostaw. Idkę! Zostaw!

Przełknęłam łzy. Byłam tak zaskoczona tym, że brat stanął w mojej obronie, że zapomniałam o płaczu. Coś takiego nie zdarzyło się nigdy przedtem.

– Oboje jesteście trochę niepokorni, co? – zaśmiał się stary i zamachnął na mojego brata. – Oduczę was pyskowania, dzieciaki, oj oduczę.

Patrzyłam, jak wuj okłada mojego brata pasem, niezdolna się ruszyć. Obok mnie na podłodze dogasały resztki zdjęcia Łaskuna. Stary musiał upuścić papier na ziemię, kiedy wyciągał pas.

Poczułam nagle, że zachodzi we mnie jakaś zmiana, jak budzi

się we mnie sprzeciw wobec tego, co się dzieje mojemu bratu, co się stało z moim przyjacielem. To wtedy po raz pierwszy usłyszałam głos Łaskuna.

Łaskun niezadowolony. Zupełnie. Niezadowolony. Łaskun obroni. Zawsze.

Łaskun wyciąga rękę. Rękę. Palce w oczy. Prosto. W oko. Starego. W prawe. Dłubać. Szarpać. Paznokciami. Wuj ryczy. Z bólu.

Teraz. Uciekać. Łaskun obroni. Zawsze. Obroni. Łaskun.

Wybiegłam z pokoju, pociągając za sobą brata. Słyszałam jak przez mgłę, że stary krzyczy, że jest wściekły i że prawdopodobnie pożałuję tego, co przed chwilą zrobiłam. Nie przejmowałam się.

Wreszcie nie byłam sama.

S.

CZEŚĆ JEDENASTA

Piątek, 12 czerwca 2015.
Cdn.

ROZDZIAŁ 123

Komenda Powiatowa Policji w Brodnicy.
Piątek, 12 czerwca 2015.
Podinspektor Wiktor Cybulski

Dzień chylił się już ku końcowi, ale Cybulski siedział nadal przy biurku w swoim gabinecie. Przez ostatnie dni tyle się wydarzyło, że koniecznie trzeba to było wszystko jakoś uporządkować. Zapowiadało się, że nie wyjdzie z komendy zbyt szybko.

Odetchnął głębiej. Dobrze, że przynajmniej afera z ucieczką Małeckiego i Głowackiej nie była na jego głowie. Niech się zajmą tym ludzie z województwa i z centrali. Co lepsze, chcieli też przesłuchać Halinę Michalik i Jagodę Rakowską na okoliczność przekupienia sędziego i świadka przez Małeckiego.

Komendant nie oponował. Było mu to na rękę. Miał dosyć swoich kłopotów. Makabryczne zabójstwa, Emilia Strzałkowska w szpitalu, a przed chwilą otrzymał informację, że Idosława nie poprzestała na uśmierceniu trzech osób. W przemyślny sposób otruła także swojego dawnego kochanka. Lekarze walczyli o życie Michała Rakowskiego, ale nie udało im się go uratować.

– Co za dzień! – odezwał się doktor Zbigniew Koterski, jakby słyszał myśli komendanta.

Patolog wykonał już sekcję i przyszedł do Cybulskiego, żeby porozmawiać o częściach zwłok znalezionych wczoraj w młynie. Pili herbatę i jedli ciasto drożdżowe, które przyniósł Koterski. Komendant nie przepadał za deserami. Na pewno byłoby to smaczniejsze, gdyby przełamać słodycz ciasta jakimś wytrawnym winem. Przyszło mu na myśl musujące prosecco, które kupił niedawno. Oczywiście spożywanie alkoholu w komendzie było wykluczone. Musiał zadowolić się gorzką herbatą.

Podwieczorek został odsunięty na bok. Kiedy Cybulski otrzymał telefon o otruciu młodego Rakowskiego, obaj z patologiem zupełnie stracili apetyt.

– Wiadomo już, jakiej trucizny użyła Idosława?

– Niestety. Czekamy na wyniki poszerzonej ekspertyzy toksykologicznej.

– Czyli tym razem to nie kurara?

– Nie. To jakaś inna substancja. Wcześniej czy później uda się ustalić, co to jest. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że Michał Rakowski zginął od tej samej trucizny.

Mówiąc to, Koterski poluźnił kołnierzyk. Zdjął kitel i podwinął rękawy koszuli. Cybulski miał ochotę pójść za jego przykładem, bo zrobiło się naprawdę ciepło. Uznał jednak, że pewnych granic się nie przekracza. Nikt w komendzie nie widział go nigdy bez marynarki. To się raczej nie zmieni. Upał czy nie.

– Nie było natomiast problemu z analizą zawartości brązowej fiołki, dołączonej do paczki z głową – dodał patolog.

– Podobno miała zawierać antidotum.

– Tak. Dlatego w laboratorium wszyscy mieli nadzieję, że analiza tego płynu ułatwi zidentyfikowanie trucizny. A przynajmniej pomoże zawęzić krąg poszukiwań.

– I?

– W buteleczce była sól fizjologiczna.

– Sól fizjologiczna? Przecież to...

– Tak. To żadna odtrutka.

– W takim razie całe szczęście, że Idosława zdecydowała się wstrzyknąć truciznę tylko sobie.

– Tak – zgodził się patolog.

Cybulski rozmasował skronie, żeby powstrzymać nadchodzący ból głowy. Idosława. Jej zaślepienie żądzą zemsty i zazdrością wydało mu się niepokojąco znanym uczuciem. Pomyślał o Żanecie. O tym, że teraz jego była żona mieszka w jego domu z kochankiem.

Zazdrość. Jakże destrukcyjne uczucie. Potrafi pokonać najlepszego i doprowadzić do zguby szybciej, niż mogłoby się wydawać. Dlatego lepiej skupić się na dobrym winie, uznał Cybulski. Zdecydowanie lepiej. Na przykład takie Mollydooker Carnival of Love z 2012 roku, skoro mowa już o miłości. Według „Wine Spectator” drugie najlepsze wino poprzedniego roku.

– Skoro to antidotum nie było prawdziwe, być może Idosława od początku planowała samobójstwo.

– To już wasza robota – odparł doktor Koterski.

Cybulski pokiwał głową. Tak, zemście trudno się oprzeć. A jednak Idosława nie przeprowadziła swojego planu do końca. Wstrzyknęła truciznę tylko sobie, oszczędzając Łukasza. Co to mogło oznaczać?

– Bardzo cię proszę, powiedz mi chociaż, że szczątki z młyna to brakujące fragmenty ciał poprzednich ofiar.

Całe szczęście lekarz sądowy odparł:

– Trzeba będzie zrobić badanie zgodności DNA, ale jestem właściwie pewien, że tak. Teraz mamy trzy kompletne ciała: sędziego Jaworskiego, Swietłany Sokołowej i Sabiny Chrzanowskiej.

Cybulski odetchnął z ulgą.

Nagle rozległo się pukanie. Obaj z patologiem odwrócili się. Drzwi otworzył szef techników kryminalnych. W rękach trzymał plik kartek zabezpieczony w torebce na dowody.

– Mogę zająć chwilę? – zapytał uprzejmie.

– Oczywiście. Zapraszam.

Technik spojrział na patologa przelotnie.

– Ja i tak już wychodzę – powiedział doktor Koterski z uśmiechem i zniknął za drzwiami, zostawiając ich samych.

– Coś się stało? – zapytał komendant. Szef techników

wyglądał bowiem na zafrasowanego.

– Przyniosłem kartki, które znaleźliśmy w chacie. Myślę, że chciałby je pan przeczytać, panie komendancie.

Cybulski miał nadzieję, że w tych nadpalonych zapiskach znajdzie przynajmniej część odpowiedzi. Idosława fascynowała go bardziej, niż kiedykolwiek chciałby to przyznać. Nawet przed sobą.

Może chciał poznać jej myśli i sprawdzić, czy przypadkiem nie odnajdzie tam siebie? Czy aż tak dużo ich od siebie różniło? Czy nie byłby zdolny pójść tą samą ścieżką, byle choć na chwilę mieć Żanetę z powrotem obok siebie? Nie. Na pewno nie zdobyłbym się na morderstwo, uznał Cybulski. Jednak gdzieś głęboko czuł, że to kłamstwo.

– Oczywiście. To ważny dowód – odpowiedział, siłąc się na jak najbardziej profesjonalny ton.

Technik podał mu kartki, ale nadal stał w drzwiach. Komendant westchnął i rzucił okiem na pierwszy wpis. Wolałby zapoznać się z nim bez towarzystwa.

Skoro już wyjaśniłam, jak to się wszystko zaczęło, to teraz chciałabym napisać o Nim – przeczytał zaskoczony. – To wygląda, jakby coś powinno być przedtem.

– Bo jest – wyjaśnił szef techników. – Wpis oznaczony zerem znajduje się na końcu. Myślę jednak, że powinien być na początku. Wtedy to wszystko ma sens. No ale zostawiłem to tak, jak było ułożone. Nie chciałem niczego zmieniać.

– Oczywiście. Bardzo dobrze. Dziękuję.

Cybulski starał się, żeby w jego głosie nie zabrzmiało zniecierpliwienie. Bardzo chciał, żeby szef techników już wyszedł. Ten jednak uparcie stał w drzwiach.

– Coś jeszcze? – zapytał więc komendant. Miał nadzieję, że nie zabrzmiało to nazbyt obcesowo.

Technik wskazał plik kartek.

– Niech pan spokojnie przeczyta, panie komendancie. Nie jest tego dużo. Ze cztery, pięć wpisów. Ja poczekam.

Cybulski usiadł przy biurku. Naprawdę wolałby być sam. Po chwili zapomniał zupełnie o techniku, podążając za Idosławą w jej wspomnieniach. Dał się ponieść krótkiej, ale przejmującej

opowieści kobiety, która pozbawiła życia trzy osoby, bo kochała za bardzo.

W końcu komendant odłożył kartki na biurko. Czuł się głęboko poruszony. Łaskun.

– Będę musiał skonsultować się z ekspertem z dziedziny psychologii – powiedział do technika. – To jest...

Nie starczyło mu siły, żeby sprecyzować myśl. Z wpisu oznaczonego zerem można było wnioskować, że Idosława stworzyła sobie mroczne alter ego, które zwała Łaskunem. Komendant czytał kiedyś opracowanie na temat schorzenia znanego jako osobowość wieloraka. Według autora zaburzenie to jest niezmiernie rzadkie. Powstaje w wyniku traumatycznych wydarzeń, z którymi ofiara w żaden inny sposób nie potrafi sobie poradzić. Musi uciec w zupełnie inną tożsamość. Niejako podzielić się na dwie lub więcej osób, żeby część brzemienia przejęła nowo powstała osobowość. Każde z tych wcieleń ma swój charakter, zachowania i wspomnienia. Może być innej płci i wieku.

Jeżeli wydarzenia opisane we wpisie zerowym są prawdą, w wypadku Idosławy zdecydowanie można było mówić o szczególnie traumatycznych przeżyciach. Maltretowanie przez matkę, śmierć mężczyzny, którego mała Idka uważała za ojca, aż wreszcie informacja o tym, że jest owocem kazirodczego związku. Tego było zbyt wiele!

– Być może Idosława nie ponosi odpowiedzialności za to, co zrobiła – szepnął Cybulski bardziej do siebie niż do szefa techników. – Jeżeli w momencie popełniania zabójstw była niepoczytalna...

– Chciałbym złożyć rezygnację – przerwał mu nieoczekiwanie mężczyzna.

Cybulski spojrzał na niego zupełnie zaskoczony.

– Rezygnację?

Technik pokiwał głową i spuścił wzrok.

– Ale dlaczego? Przecież pracujesz tu od lat. Zawsze wszyscy byli zadowoleni...

– Ja jestem niezadowolony.

Cybulski poczuł się znużony. To nie był odpowiedni moment

na prowadzenie rozmów o zarobkach, ale szef techników był naprawdę dobry w swoim fachu. Szkoda byłoby go stracić. Oby tylko nie chodziło o nieformalny udział Klementyny w śledztwie, przebiegło komendantowi przez myśl. Szef techników nigdy nie darzył jej sympatią, a po wydarzeniach ostatniej jesieni chyba zniechęcił.

– Zastanowimy się nad podniesieniem twojej pensji. Są cięcia, ale...

– Nie zrozumiał mnie pan, komendancie – przerwał mu znowu mężczyzna. – Nie chodzi o podwyżkę. Jestem niezadowolony, ale z siebie.

– Z siebie?

Szef techników pokiwał głową.

– Dałem się ponieść emocjom. Przeze mnie być może... – nie dokończył. Głos drżał mu wyraźnie.

– Mógłbyś wyjaśnić po kolei.

– Pozwoliłem sobie zignorować pewne ślady – wydusił szef techników. – Na początku śledztwa.

Cybulski miał ochotę pytać, ale zrezygnował. Czasem milczenie było najlepszym rozwiązaniem.

– Chodzi o gospodarstwo sędziego Jaworskiego. Jeden z moich ludzi zwrócił uwagę na ślady kół wózka do drewna. Prowadziły do granicy posesji. Do ściany lasu.

– Cóż w tym dziwnego? Pewnie sędzia przywoził drewno na opał.

– To samo powiedziałem – mruknął technik, ale w jego głosie słyhać było wyraźną gorycz. – Tylko że... Potem mój podwładny odkrył ścieżkę. Prowadziła do drogi. Też zarośniętej. Znalazł tam ślady opon samochodu terenowego. Zignorowałem je wtedy. Tłumaczyłem sobie, że nie są związane ze sprawą. Szukaliśmy wtedy Podgórskiego i... Nieważne. Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie. Zwłaszcza teraz, kiedy wiemy, że sprawczyni jeździła takim samochodem. Nie tylko z monitoringu obok domu Sabiny Chrzanowskiej i...

Technik wyglądał, jakby zaraz miał się rozpłakać. Cybulski po raz pierwszy widział go w takim stanie. Zwykle zdawał się chłodny, żeby nie powiedzieć antypatyczny, niezdolny do

wyrażania głębszych uczuć.

– Spokojnie. Każdemu może się...

– Nie! – wrzasnął niemal mężczyzna. – Celowo zignorowałem ślady tych opon! Chciałem, żeby winny był Podgórski. Chciałem udupić Kopp!

Cybulski wstał i podszedł do niego. Miał wrażenie, że doskonale rozumie tę rozpacz. Swego czasu zdarzyło mu się podobne uchybienie. A wszystko przez zazdrość. Położył technikowi dłoń na ramieniu. Technik odtrącił ją z wściekłością.

– Rozumie pan, co mówię, komendancie? Celowo zignorowałem ślady opon! Tak jak i to, że obok były ślady butów, a badanie luminolem pokazało, że cały wózek na drewno się świecił. Nie powiedziałem o tym nawet podczas odprawy!

Cybulski znowu rozmasował skronie. Do tych sensacyjnych informacji trzeba było podejść spokojnie.

– Czyli wózek na drewno też został wyczyszczony wybielaczem? Tak jak dom?

– Prawdopodobnie.

– Czyli być może korzystając z niego, Idosława transportowała ciało lub ciała do samochodu?

– Nie sądzę, żeby sędzia mył wózek na drewno wybielaczem – warknął technik. – Nikt tak nie robi. Więc tak. To prawdopodobne.

– To niewiele zmienia. Bardziej interesują mnie ślady butów. Mogły należeć do Idosławy?

Technik pokręcił głową. Wyciągnął z kieszeni pomietą kartkę papieru. Wydrukowano na niej zdjęcie niewyraźnego odcisku prawego buta.

– Niemożliwe. Z tego, co widziałem, była niską kobietą – powiedział. – Tamto to była męska czterdziestkadwójka, może trójka.

– Buty sędziego Jaworskiego?

– On też miał mniejsze stopy. Był drobnej budowy, jak pan wie, komendancie. Oczywiście te ślady nie muszą być związane ze sprawą...

– Ale mogła tam być jeszcze jedna osoba – dokończył za niego Cybulski. – Mężczyzna.

Znowu rozmasował skronie. Bał się nawet myśleć, co to oznacza. A przecież przed chwilą komendant miał już gotowe wyjaśnienie całej sprawy. Morderstw dokonała druga osobowość Idosławy, zwana przez nią Łaskunem. Bezwzględny morderca, który kontrolował jej ciało. Na którego nie miała wpływu.

– Być może był tam mężczyzna – powtórzył technik za Cybulskim. – Taka możliwość istnieje. Tym bardziej że teraz przyglądaliśmy się dokładniej paczce, w której sprawczyni wysłała głowę.

– I?

– Znalazłem w środku włos. Jest krótki. Prawdopodobnie męski. Oczywiście to nie musi nic oznaczać – zastrzegł szef techników. – Wyjaśnienie może być całkiem niewinne. Na przykład włos mógł się dostać do lodówki przypadkiem. Dajmy na to jeszcze w sklepie, kiedy ktoś oglądał tę lodówkę. No ale pomyślałem, że tym razem nie przemilczę nawet najdrobniejszego szczegółu.

Cybulski starał się rozważyć to wszystko na spokojnie. Ślad męskiego buta i włos zdecydowanie powinny zostać zbadane. Trzeba też szybko ustalić, gdzie kupiono lodówkę turystyczną, a także przesłuchać pracowników poczty, skąd nadano przesyłkę do Michała Rakowskiego. Pytać, pytać, pytać. Nie tylko o Idosławę, ale także o to, czy ktoś jej nie towarzyszył. Mężczyzna.

Łaskun. Czyżby Cybulski mylił się, stawiając swoją diagnozę o osobowości wielorakiej? Czy Łaskun był realną osobą? A może rzeczywiście istniał jedynie w głowie Idosławy, ale pomagał jej ktoś jeszcze? Jak było? Czy kiedykolwiek się dowie?

ROZDZIAŁ 124

Dom Zielińskich w Lipowie.

Piątek, 12 czerwca 2015.

Tomasz „Żaba” Zieliński

Żaba pojechał do domu matki w Lipowie. Chciał dopilnować jeszcze jednej rzeczy. Był to winien Idce. Na chodniku przed posesją czatowali dziennikarze. Kiedy wysiadł z samochodu, rzucili się na niego z aparatami. Flesze błyskały z każdej strony. Natychmiast spuścił wzrok.

– Pan jest bratem morderczyni? – krzyknął ktoś. – Prawda? To pan!

– Niech pan coś o niej powie!

– Zawsze była szalona?!

– Bał się jej pan?

– Jak to jest być bratem morderczyni?

Żaba przedzierał się przez tłum, ignorując pytania. Nie zamierzał rozmawiać o siostrze. Z nikim. A już na pewno nie z nimi. I tak nic by nie zrozumieli. Tak bardzo kochał Idkę, a sam przecież miał trudności, żeby to wszystko pojąć.

Nie zawsze był z siostrą blisko. Matka już o to zadbała. To zmieniło się tamtej nocy, kiedy wprowadził się do nich wuj. Żaba pamiętał to doskonale. Stary wściekł się, że Idka nie chce jeść. Uciekła do pokoju, a on ruszył za nią. Żaba widział w jego oczach wściekłość. Sam nie wiedział, kiedy zostawił matkę przy stole i poszedł za nimi.

Potem słowa prawdy z ust wuja. Idka i Żaba byli owocem kazirodczego związku. Kolejne uderzenia i przepychanki. Żaba pomógł Idce, a ona jemu. Od tamtej chwili byli właściwie nierozłączni.

Tylko że nigdy nie byli sami. Żaba szybko zorientował się, że siostra w momentach szczególnie trudnych nie była sobą.

W jednej chwili całkowicie się zmieniała. Inaczej mówiła, inaczej się poruszała. Jakby przemieniała się w dzikie zwierzę. Dopiero kilka lat później Żaba poznał jego imię. Łaskun.

Zanim skończyli dwadzieścia lat, Żaba był już pewien, że to nie jest zabawa, że Idka w swoim ciele ma drugą osobę. Dziką i nieokiełznaną. Zupełnie inną niż jego delikatna, kochająca siostra. Początkowo Idka nie wiedziała w ogóle o istnieniu Łaskuna. Kiedy o niego pytał, zaprzeczała. Nie pamiętała tych momentów, kiedy to Łaskun przejmował władzę nad jej ciałem.

Żaba zaczął szukać informacji na ten temat na własną rękę. Bardzo kochał siostrę i chciał to wszystko zrozumieć. Chciał jej pomóc. Wkrótce odkrył, że to, co się działo z Idką, zostało już zbadane i sklasyfikowane przez naukowców. W psychologii nazywano to dysocjacyjnym zaburzeniem tożsamości.

Mądra nazwa. W skrócie zaś polega to na tym, że w jednym ciele żyją co najmniej dwie osobowości. Każda inna. Mogą różnić się płcią, wiekiem, a na pewno charakterem. Kiedy ciałem rządzi druga osobowość, nawet parametry fizjologiczne, jak ostrość wzroku czy ciśnienie krwi, mogą się zmieniać.

Jednym z najbardziej znanych przykładów tego zaburzenia jest pacjentka o imieniu Eve. Miała ona trzy osobowości: Eve White, Eve Black i Jane. Na podstawie jej historii pod koniec lat pięćdziesiątych powstał film *Trzy oblicza Ewy*.

Kiedy Żaba opowiadał o tym Idce, płakała. Bała się, że jeżeli ktokolwiek się o tym dowie, zostanie uznana za wariatkę. Nie chciała szukać pomocy psychologa. Żaba to szanował. Siostra i tak wiele w życiu przeszła. Wydawało mu się, że sam da radę jej pomóc i jakoś kontrolować Łaskuna, kiedy ten przejmował władzę nad ciałem siostry.

Przez długi czas żyli we względnym spokoju. Do momentu, kiedy nie ujawniła się Sława. Szczerze mówiąc, Żaba długo nie wiedział, że ma do czynienia z kolejną osobowością w ciele siostry. Sława w przeciwieństwie do Łaskuna zachowywała się niemal normalnie. Z charakteru, przynajmniej początkowo, bardzo przypominała Idkę. Być może była więc w niej od bardzo dawna? Prawie od początku? Może już od momentu, kiedy matka zaczęła urządzać siostrze te oczyszczające kąpiele?

To miało sens.

W każdym razie Żaba zauważył, że coś się dzieje, dopiero wtedy, kiedy siostra zaczęła interesować się truciznami. W starym młynie wodnym, który należał do ich rodziny, znalazła księgę. Była ukryta w pomieszczeniu na górze. Jeżeli wierzyć opowieściom mężczyzny, którego w dzieciństwie uważali za ojca, została spisana przez babcię Augustę.

Siostra zaczęła obsesyjnie ją studiować, zbierać zioła i przygotowywać mieszanki. Żaba początkowo uważał to za nieszkodliwe hobby i kiedyś nieopatrznie wspomniał o tym Krzywemu. Ochroniarz bardzo się tym zainteresował i zamówił u siostry pierwszą mieszankę.

Żabie niezbyt się podobało, żeby Idka poznała towarzystwo z klubu, ale ona nalegała. Już to samo w sobie było dziwne, bo z reguły się z nim nie kłóciła i ufała jego opinii. Sam pracował w Gwiazdozbiorze tylko dla pieniędzy. Ktoś musiał utrzymać ich dwójkę. Idka okazjonalnie pomagała w kiosku matki, ale nie przynosiło to wielkich dochodów. Poza tym Żaba bardzo chciał, żeby Idka już nigdy nie musiała znosić towarzystwa Honoraty. Dlatego się zgodził.

Tak, już samo to, że siostra nalegała na współpracę z Krzywem, powinno dać do myślenia. To był pierwszy moment. Potem zaczęła się wściekać, kiedy nazywał ją Idką. Mówiła, że nienawidzi tego imienia. Dopiero wtedy zobaczył subtelne zmiany w mimice i głosie. Raz Idka, raz Sława. Okazjonalnie dziki, nieokiełznany Łaskun. Ciało jego siostry zamieszkiwały więc trzy osobowości.

Odkąd zaczęła przygotowywać trucizny dla klubu, Sława robiła się coraz bardziej zuchwała i jej charakter łatwiej można było odróżnić od nieśmiałej, zamkniętej w sobie Idki. Któregoś razu Sława sama przyznała się Żabie, że od dawna wie o Łaskunie. Wyglądało na to, że tylko Idka pozostaje niczego nieświadoma.

Wkrótce Żaba zauważył, że Sława i Łaskun zaczęli się doskonale dogadywać. We dwójkę stawali się coraz silniejsi i w końcu jego Idka, ta prawdziwa, coraz rzadziej miała kontrolę nad swoim ciałem. Coraz rzadziej była jego kochającą

siostrą, a coraz częściej podszywającą się pod Idkę Sławą lub zupełnie nieobliczalnym Łaskunem.

Najgorsze przyszło, kiedy Sława przypadkiem spotkała Michała Rakowskiego. Zakochała się w nim do szaleństwa, chociaż Żaba zupełnie nie rozumiał, co można widzieć w tym egocentrycznym typie, który laził po klubie, jakby był książkątkiem.

Próbował wyrwać Sławę spod wpływu Michała. Mimo wszystko Żaba czuł się za nią odpowiedzialny. W jakimś sensie też była jego siostrą. Niestety Sława nie była jak Idka. Nie słuchała go.

Wtedy barman wpadł na pomysł uzależnienia Michała od prochów. Myślał, że może wtedy Sława przejrzy na oczy i przestanie się interesować Rakowskim. Pomogło to jedynie na krótki czas. Kiedy krawiec wyjechał do Stanów po wypadku z językiem, Sława ujawniała się rzadziej. Nadal zajmowała się przygotowywaniem trucizn. Do tego pisała długie maile do Michała. Przez resztę czasu pozwalała Idce wracać.

Wszystko zmieniło się, kiedy Michał Rakowski wrócił do Polski. Sława i Łaskun zupełnie przejęli wtedy kontrolę nad Idką. Było coraz gorzej. Żaba nie spodziewał się jednak, jak daleko to zajdzie. Nie spodziewał się, że dwie osobowości, które pożerały stopniowo jego kochającą siostrę, posuną się tak daleko. Do straszliwego morderstwa.

Sława doskonale widziała, że Żaba nie zostawi Idki w potrzebie, i to wykorzystała. Po pierwszym morderstwie ściągnęła go do gospodarstwa sędziego Jaworskiego, bo nie była sama w stanie przetransportować ciała. Dla drobnej kobiety to był problem. Nawet jeżeli umysłem aktualnie zarządzał Łaskun.

Co gorsza, Żaba zaczynał mieć wrażenie, że Sława zupełnie odlatuje. Kiedy pomagał jej uporać się z tym całym bałaganem, wydawało mu się, że momentami nie zauważała wcale, że on jest razem z nią w gospodarstwie sędziego. Zapominała całe sekwencje wydarzeń, tak jak kiedyś Idka. Czy to możliwe, że druga osobowość siostry pod wpływem tego okropnego morderstwa dzieliła się na kolejne? Podobno niektórzy

pacjenci cierpiący na osobowość wieloraką mogli mieć nawet po kilkadziesiąt osób w jednym ciele.

Żaba wiedział, że posuwa się za daleko, pomagając Sławie i Łaskunowi. Nie potrafił jednak odmówić. Pomógł przetransportować ciała i kupić lodówkę turystyczną. Co miał zrobić, skoro Łaskun, który zazwyczaj Żabę ignorował, groził, że inaczej ujawni się policji? Przecież Sława i Łaskun zamieszkiwali ciało Idki. Gdyby zostali przyłapani, jego ukochana siostra trafiłaby do więzienia jako morderczyni. A przecież Idka niczemu nie była winna. Nie pamiętała nawet, że jej ciało brało w coś takim udział. Nie, Żaba nie mógł do tego dopuścić.

Długo zastanawiał się, czy powinien rozmawiać o tym z Idką, kiedy wreszcie Łaskun, Sława i ktokolwiek tam jeszcze był, pozwolili ukochanej siostrze wrócić i choć na chwilę kontrolować to znękanne ciało. Żaba wiedział, że dla Idki informacja, że jej rękami zabito trzy osoby, będzie nie do zniesienia. W końcu uznał, że nie może tego przed nią ukrywać. Nigdy przecież nie mieli przed sobą tajemnic.

Idka długo płakała. On też. Ich ciałami splecionymi w objęciach wstrząsał niepowstrzymany szloch. Wtedy Idka postanowiła, że tak dłużej być nie może. Chciała unicestwić swoje ciało, nad którym i tak nie miała już żadnej kontroli, i błagała, żeby jej pomógł.

Żaba nie mógł znieść myśli o rozstaniu, ale kochał Idkę z całej siły i wiedział, że nadszedł moment, kiedy będzie musiał pozwolić siostrze odejść. Była tak nieszczęśliwa. Zamknięta w ciele opanowanym przez monstra. Nie była w stanie sama tego zakończyć, bo ani Sława, ani Łaskun nigdy by jej na to nie pozwolili. Żaba wiedział, że to on musi znaleźć siłę, żeby jej pomóc.

Postanowił wykorzystać obsesję Sławy na punkcie Michała. Wmawiał jej, że ubóstwiany Michał jej nie kocha, że bez niego nie ma sensu żyć. Żaba bał się, że Sława nie złapie się na haczyk. Była przecież sprytna. Nie docenił skali jej obsesji. Nieoczekiwanie Łaskun podchwycił temat. Żaba podejrzewał, że Dzikus, jak go czasem w myślach nazywał, jest zazdrosny

o Sławę i jej miłość do Rakowskiego.

W końcu Sława podjęła decyzję o samobójstwie. Żaba wiedział, że wszystko ma się odbyć w chacie w lesie, gdzie suszyła zioła do swoich mieszanek. Z zapisków, które zaczęła prowadzić, Żaba dowiedział się, że w swoim mniemaniu wzięła tam ślub z Michałem. Wymiana krwi miała przypieczętować przysięgę. Na myśl o tym, że ta wariatka wykorzystywała w ten sposób ciało jego siostry, Żaba utwierdził się w przekonaniu, że musi spełnić życzenie Idki.

Te zapiski niezmiernie bolały, ale i tak je przeczytał, kiedy Sława mu na to pozwoliła. Wpis oznaczony zerem sugerował, że miał rację i Sława była obecna w ciele jego siostry dłużej niż Łaskun. „Moje najwcześniejsze wspomnienie to wanna” – napisała. Widocznie kąpiele były tak bolesnym przeżyciem dla kilkuletniej Idki, że inaczej nie mogła sobie z nimi poradzić.

Żaba wyrzucał sobie, że już wtedy nie pomógł siostrze. Był dzieckiem, kiedy to wszystko się zaczęło, ale wyrzuty sumienia robiły się tak wielkie, że ledwie mógł skupić się na graniu roli zblazowanego barmana w klubie. Utwierdziły go w przekonaniu, że teraz nie może zawieść.

Miał wielką nadzieję, że będzie mógł towarzyszyć siostrze, a przynajmniej jej ciału, w ostatnich chwilach. Niestety sprawy w Gwiazdozbiorze przybrały zupełnie nieoczekiwany obrót i Żaba został aresztowany.

Policja szukała jego siostry. Nie mógł dopuścić, żeby ją zbyt wcześnie znaleźli i uratowali, bo wtedy Idka na zawsze pozostałaby uwięziona w jednym ciele z okrutnymi mordercami. W końcu być może zupełnie by ją unicestwili. Nie, Sława musiała popełnić samobójstwo. To musiało się skończyć teraz. Dla dobra Idki.

Trzeba było opóźnić działania policji. Postanowił wtedy udawać, że chce przehandlować informację o siostrze za swoją wolność. Próbował przedłużać negocjacje, jak mógł, żeby ta pieprzona Sława zażyła truciznę. Wyglądało na to, że ten kutas Michał Rakowski liczy na to samo, bo nie powiedział policji o chacie. Żaba też nie zamierzał. Skierował śledczych do laboratorium.

– Jaka ona była?! – krzyknął znowu jeden z dziennikarzy, wyrwijąc Żabę z zamyślenia. – Jaka była morderczyni?

– A ten Gwiazdozbiór? Co tam się wydarzyło?

– Niech lepiej mówi o zabójczyni!

– Tak!

– Tylko jedno zdjęcie!

Żaba miał ochotę zatkać uszy, żeby nie słyszeć migawek aparatów. I tak nic by nie zrozumieli. Zupełnie nic. Ani Idki, ani jego.

Wszedł do domu matki i oparł się o drzwi. Oddychał z trudem. Tak bardzo pragnął być wczoraj w tej chacie. Tak bardzo chciał zobaczyć, czy w ostatniej chwili Idce udało się być sobą. Czy odczuła ulgę? Czy chociaż przez te ostatnie kilka sekund była szczęśliwa?

– Żaba?

Głos starego dochodził z dużego pokoju. Żaba zrobił kilka kroków do przodu. Wuj siedział w salonie i dłubał coś przy stole. Dokoła niego leżały porozrzucone narzędzia.

– Cześć – rzucił stary. – Nie wiedziałem, że wpadniesz.

Nie miał opaski na oku, bo nosił ją tylko poza domem. Widać więc było zdeformowany oczodół. Efekt ataku Łaskuna wiele lat temu. Tamtego dnia narodził się w ciele Idki.

– Gdzie matka? – zapytał Żaba pozornie od niechcenia.

– Nie wiem. Po rozmowie telefonicznej z tobą poszła chyba do sypialni – stwierdził stary. Gdyby tylko wiedział, o czym Żaba rozmawiał z Honoratą. Gdyby tylko wiedział. – Ja siedzę tu od rana i będę się nad tym stołem, więc nawet nie wiem. Poszedłbym do roboty do Szramowa myśli zająć, ale nawet wyjść się nie da, bo reporterzy czatują przed domem. Honoratka też nie poszła do kiosku. Po tym, co się stało z Idką, nie chciała dziś otwierać. Wiadomo.

Jeszcze tego by brakowało, pomyślał z wściekłością Żaba. Jeszcze tego by brakowało. Nie, Honorata nigdy już nie otworzy kiosku, już on o to zadba. To od niej wszystko się zaczęło, to ona katowała Idkę. Dziś poniesie karę.

Żaba zadzwonił tu przed chwilą, żeby dać matce wybór. Mogła załatwić to sama albo on mógł to zrobić. Bardzo był

ciekaw, czy Honorata wybrała honorowe wyjście z sytuacji. Jeżeli nie, Żaba miał ze sobą coś specjalnie dla niej.

Włożył dłoń do kieszeni i zacisnął rękę na szklanej buteleczce. Wykradł ją Krzywemu z ostatniego transportu. Wtedy jeszcze nie wiedział, że może przyda się w taki właśnie sposób. Myślał raczej, że w ostateczności użyje jej do zabicia Sławy i Łaskuna.

Poszedł korytarzem do sypialni matki, zostawiając starego w salonie. Kwiecista tapeta, którą Żaba pamiętał od wczesnego dzieciństwa, odchodziła wielkimi płatami. Zwłaszcza przy półeczce, na której stał telefon. Przypominało to węża zrzucającego starą, niepotrzebną już skórę.

Zapukał do drzwi sypialni, ale nie doczekał się odpowiedzi.

– Mamo? – zawołał na próbę.

– Może jest w łazience! – odrzyknął z salonu stary.

Żaba miał ochotę kazać mu się zamknąć, ale uznał, że nie warto. Poszedł w drugą stronę korytarza. Tapeta odchodziła tu jeszcze bardziej. Pewnie z powodu wilgoci. Jego rodzinny dom nie przedstawiał się najlepiej.

Zapukał mocno do drzwi łazienki. Znowu nie doczekał się odpowiedzi. Poczul, że serce bije mu jeszcze szybciej. Idka na pewno by tego nie chciała. Była delikatna, czuła i zawsze wybaczała. On jednak kipiał takim gniewem, że po prostu nie mógł pozwolić matce żyć dalej.

– Mamo?

– Honorata, wyłaź! – wrzasnął wuj, wychodząc z salonu. Żaba nigdy nie mógł się przełamać, żeby nazwać go ojcem. Nigdy. – Nie odpowiada?

Żaba pokręcił głową i cofnął się kilka kroków. Nie był pewien, jaką metodę matka wybrała, ale miał wielką nadzieję, że już po wszystkim.

– Honorata! Wchodzę! – zawołał stary. Żaba słyszał w jego głosie drzenie, jakby wuj nareszcie zrozumiał, że coś jest nie tak. – Wchodzę!

Znowu nie było odpowiedzi, więc stary nacisnął klamkę. Żaba cofnął się jeszcze kilka kroków. W powietrzu unosił się mocny, drażniący zapach detergentów. Widział, że butelki płynów do czyszczenia toalet leżały na podłodze wśród mniejszych

opakowań po zmywaczu do paznokci.

Opary powstałe w wyniku reakcji chemicznej były niebezpieczne, ale Żaba stał i patrzył, jak stary z rykiem wynosi nagie ciało Honoraty z łazienki. Nie oddychała. Więc chlor, czy cokolwiek tam powstało, zrobił swoje, pomyślał Żaba. Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że tak właśnie powinno być. Nie inaczej.

ROZDZIAŁ 125

Szpital.

Piątek, 12 czerwca 2015.

Łukasz Strzałkowski

Łukasz cały czas czuł się nieco skołowany. Z tego, co rozumiał z tłumaczenia jednego z lekarzy, Idka podała mu mieszankę jakichś ziół o działaniu nasennym. Na wszelki wypadek jeszcze był na obserwacji w szpitalu, ale jutro pewnie zostanie wypisany. Cieszył się, że weekend będzie mógł spędzić w domu.

Kiedy obudził się dziś koło południa, przy jego łóżku siedział Konrad, a Klara podobno czekała przed drzwiami sali. Odwiedził go też Marek Zaręba. To wszystko było miłe, ale Łukasz spodziewał się jednak mamy.

Chciał jej tyle opowiedzieć. Na przykład o scyzoryku, który dał Jaworskiemu i przez który podejrzenia padły potem na tatę. Bzdury... to się już przecież nie liczyło. Tak naprawdę Łukasz najbardziej chciał Emilię przeprosić za tamtą kłótnię. Tak po prostu.

Tymczasem mama nie przyszła. Może naprawdę się obraziła? To było idiotyczne wytłumaczenie, ale zawsze jakieś. Łukasz pytał Konrada, czy gdzieś widział jego mamę, ale kolega zaprzeczył. Marek Zaręba też zasznurował usta.

Kiedy Łukasz zaczął się już denerwować, przyszedł Daniel. Ojciec był blady i jeszcze bardziej milczący niż w ostatnich miesiącach. Twarz miał opuchniętą i posiniaczoną, jakby wdał się w jakąś bójkę. Poruszał się z trudem.

– Gdzie mama? – zapytał Łukasz. Powinien może wypytać się o zdrowie Daniela, może opowiedzieć o scyzoryku, ale ogarniało go coraz silniejsze uczucie niepokoju. – Dlaczego jej tu nie ma?

Daniel poklepał go po ramieniu.

– Musimy poczekać.

Łukasz patrzył na ojca oniemiały. Musimy poczekać? Co to miało oznaczać? Pytania kłębiły się w głowie nastolatka, ale nie potrafił ich zadać. Bał się. Nie był już dzieckiem. Doskonale rozumiał, że coś musiało się stać.

Siedzieli w ciszy, kiedy drzwi się otworzyły. Łukasz spojrział w tamtą stronę w nadziei, że to mama. To jednak nie była Emilia, tylko prokurator Gawroński i Marek Zaręba.

– Są nowe fakty w śledztwie – powiedział Gawroński do Daniela. – Cybulski mówi, że trzeba będzie poprosić o opinię biegłego psychologa. Pomyślałem o Weronice.

Podgórski skinął głową.

– Tego już za wiele – wyrwało się Łukaszowi. – Dyskutujecie tak sobie po prostu o tej waszej sprawie. Omal nie zginąłem, czyż nie? Dlaczego nikt nie traktuje mnie poważnie? Chyba mnie też należą się jakiejkolwiek odpowiedzi? Gdzie mama?

Trzej mężczyźni wymienili spojrzenia. Tego było już naprawdę za wiele.

– Mogę teraz zobaczyć mamę?! – wrzasnął Łukasz. – Chcę ją zobaczyć!

– Obawiam się, że trzeba będzie jeszcze trochę poczekać – oznajmił prokurator Gawroński, powtarzając niemal słowo w słowo to, co powiedział wcześniej Daniel. Umówili się czy co?

– Niby na co mam czekać?! – krzyknął chłopak.

Żaden z mężczyzn nie odpowiedział.

ROZDZIAŁ 126

Mieszkanie Liliany w Brodnicy.

Piątek, 12 czerwca 2015.

Klementyna Kopp

Klementyna spojrzała na Lilianę spod oka.

– Żartujesz sobie ze mnie, co?

Liliana pokręciła głową i napiła się spokojnie kawy. Siedziały w jej pięknym, białym mieszkaniu z oknami na rynek.

– Absolutnie nie – odparła. – I tak nie zamierzasz przestać mieszać się w to wszystko, więc co ci szkodzi?

– Spoko. Ale! Mam być jak bohaterka tych wszystkich książek, które mi przysyłałaś do wariatkowa, co? – zachnęła się Klementyna.

– Daj spokój. Wiem, że bycie prywatnym detektywem to coś idealnie dla ciebie.

– W prawdziwym życiu nie ma Sherlocków.

– Odkąd przejmujesz się takimi błahymi ograniczeniami? – zaśmiała się Liliana i spojrzała na Klementynę nieco wyzywająco. – Doskonale wiem, że brakuje ci pracy w policji.

Kopp wzruszyła ramionami od niechcienia. Nie sądziła, żeby Cybulski miał coś przeciwko temu, żeby mieszała się od czasu do czasu w sprawy policji. A nawet jeżeli, to co?

– Przeze mnie Daniel o mało nie zginął – mruknęła. Bez przekonania. – A teraz...

– Oj, daj już spokój i przestań kokietować, Klem. To do ciebie nie pasuje. Dzięki tobie nie zginął syn Daniela, czyż nie?

Klementyna pokiwała powoli głową. Już dawno obiecała sobie, że zacznie nowe życie. Prywatny detektyw? Równie dobrze może spróbować, bo przecież Liliana miała rację, nie przejmowała się ograniczeniami.

– Mam już dla ciebie nawet sprawę – dodała Liliana i podała

Klementynie skrawek papieru.

„Hotel Drozdy” – napisano tam. Kopp wzdrygnęła się i spojrzała na Lilianę. Drozdy? Czy Liliana wiedziała? Czy zrobiła to specjalnie?

– Co masz taką minę? – zażartowała kochanka.

Klementyna raz jeszcze przeczytała nazwę hotelu. Nie mogło być mowy o pomyłce. Ta sama kaligrafia... Nie sądziła, że kiedykolwiek wróci do tego piekielnego miejsca.

A może właśnie nadszedł czas?

OD AUTORKI

2016

Drodzy Czytelnicy, już po raz szósty spotkaliśmy się w Lipowie i okolicach. Dziękuję Wam, że jesteście ze mną, wspieracie mnie i dajecie tyle energii do dalszego pisania. Jesteście najlepsi!

Jak zwykle nieustająco dziękuję mojej Mamie, mojemu ukochanemu Mężowi (dzięki za cierpliwość, dzielenie życia z pisarzem nie jest wcale łatwe!), całej mojej Rodzinie oraz przyjaciółce Magdzie za wielkie wsparcie, w każdej chwili.

Dziękuję również serdecznie następującym osobom: Annie Derengowskiej, Agnieszce Obrzut-Budzowskiej, Marii Balkan, Marcie Rzehak, Elżbiecie Kwiatkowskiej, Agnieszce Taterze, Marcie Kaszubie oraz całej reszcie wspaniałej ekipy z wydawnictwa Prószyński Media; dziękuję Gregowi Messinie (*Thank you, Greg!*), Małgorzacie Grudnik-Zwolińskiej, Maciejowi Korbaśkiemu oraz Mariuszowi Banachowiczowi.

Dziękuję też wszystkim recenzentom, redaktorom portali internetowych dotyczących literatury oraz blogerom książkowym, którzy recenzują moje powieści. Dziękuję również moim patronom medialnym oraz pisarzom, którzy mnie wspierają.

Wydarzenia i osoby opisane w tej książce są całkowicie fikcyjne i powstały w mojej wyobraźni jedynie na potrzeby tej opowieści. Fikcyjna jest również część miejsc, gdzie rozgrywała się akcja. Nie istnieje Gwiazdozbiór, Dom dla Dzieci „Nowa Szansa”, Garaż Braci Maciejewskich ani młyn wodny nad Skarlanką (a przynajmniej nie w takiej formie, jak został przedstawiony w tej książce).

Niektóre lokalizacje można zaś odnaleźć na mapie, między innymi Szramowo, Strzemiuszczek czy wieś Grzmięcę.

Pozwoliłam sobie jednak trochę pozmyślać (pisarze to uwielbiają!) na temat ich wyglądu i geografii. Lipowo, jak już dobrze wiecie, drodzy Czytelnicy, ma swój pierwowzór w rzeczywistości, chociaż (jak za każdym razem) zapewniam Was, że nikt tam nikogo nie morduje!

Książkę tę dedykuję mojemu wielkiemu Przyjacielowi, który odszedł po walce z chorobą. Dziękuję, że byłeś ze mną przez te wszystkie lata. Na zawsze pozostaniesz w moim sercu. Mam nadzieję, że gdzieś kiedyś jeszcze się spotkamy. Tęsknię każdego dnia!

Nie sposób wymienić tu wszystkich wspaniałych ludzi, którzy mnie otaczają i pomagają spełniać marzenie, jakim jest snucie kolejnych opowieści. Pozostaje mi więc raz jeszcze powiedzieć krótko: Dziękuję Wam wszystkim!

Do zobaczenia przy okazji następnej historii!

Kasia Puzyńska

VIRTUALO
Księgarnia Internetowa

empik

lesiojot